
OPINIA

**KWARTALNIK
SPOŁECZNY I NAUKOWY**

Redaguje zespół:

*Marek Albinia, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chyłek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji), Jan
Józef Kasprzyk, Adam Lewandowski (sekretarz naukowy), Marek Michalik,
Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk,
Piotr Wójcik*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Instytut Historyczny NN
im. Andrzeja Ostoja Owsińskiego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:
Akces, Warszawa

SPIS TREŚCI

Dr Andrzej Anusz, Wprowadzenie	7
Mirosław Lewandowski	
WSTĘP.....	9
I RZECZPOSPOLITA.....	11
Dlaczego Kopernik mógł być tylko Polakiem?	11
Narodziny stołeczności Warszawy	15
Hołdy pruskie w Warszawie.....	18
Spójrznie na Zamek	20
Zamek na Ujazdowie.....	24
Czy Rousseau mylił się.....	27
Uchwalenie Konstytucji 3 Maja.....	29
Czego zabrania wolność.....	32
Powstanie w Warszawie 17–18 kwietnia 1794 (1)	34
Powstanie w Warszawie 17–18 kwietnia 1794 (2)	42
Kościuszko na szanłcach Warszawy	48
ZABORY	50
Nim zapadła Noc Listopadowa	50
Spisek warszawski	50
Plan powstania Jarosława Dąbrowskiego	53
Warszawskie oddziały partyzanckie	55
Śmierć Romualda Traugutta.....	58
Tradycje walki	59
Strzały na Placu Grzybowskiem.....	62
Niedoszły zamach na Generał – gubernatora	66
Podwójna śmierć Stefana Okrzei	68
II RZECZPOSPOLITA	74
31 dni, kiedy wracała niepodległość.....	74

SPIS TREŚCI

Zabójstwo prezydenta Narutowicza	80
Jeszcze o zabójstwie prezydenta Narutowicza	84
Śladem Mariusza Zaruskiego	86
Droga generała Śmigłego do władzy.	88
Śmigły-Rydz w walce o władzę.	94
WOJNA	101
Obrona stolicy we wrześniu 1939 r.	101
Oblężenie Warszawy	113
Szturm generalny Warszawy i kapitulacja miasta	119
Obrona Warszawy	126
Sen nocy wrześniowej. Relationes przypkoviensis	129
Prawda i tylko prawda	133
Profesora Wyki igraszki z historią.	137
Harcerze we Wrześniu	140
Listy o kulisach początków konspiracji.	142
Kronika Warszawy 1939–1945	151
Kronika Warszawy 1939–1945 (dokończenie)	159
Powrót.	165
Krwawy rok 1943	167
Bombonierka dla „Mitropy”	170
Dwadzieścia pięć minut.	173
Arsenał	176
Dramatyczna akcja „Madryt”	178
Losy Warszawskiego Getta.	182
Bunkier przy ulicy Miłej	193
Inż. Czerniaków i mjr Anielewicz.	197
Władysław Sikorski i Stefan Rowecki. W 25 rocznicę podwójnej tragedii ...	201
Boje na ulicach miasta	202
Strzały na Marszałkowskiej	204
Strzały na Nowym Świecie.	206

SPIS TREŚCI

Kim był Friedrich Pabst	210
Strzęp epopei	213
Rzecz o perspektywie. Na marginesie najnowszej książki Zbigniewa Żałuskiego	220
Sytuacja militarna	224
W osaczonej fabryce Kamlera.....	228
Bój o zamek.	231
Etapy burzenia Zamku	235
Wyzwalanie Warszawy	237
Bitwa o Pragę i Wisłę.	242
Kościół św. Wojciecha	246
Zbrodnie na ludności Warszawy	247
800 000.	258
Odpowiedzialność za Warszawę	267
Przez Warszawę biegła droga do Berlina	272
Ludność Warszawy w styczniu 1945 roku	282
Pierwsze kroki	285
Tak zginął Hitler	288
Śledztwo w sprawie śmierci Hitlera	296
Warszawskie doświadczenia okupacyjne – wzorcem dla policji NRF	300
Kwiaty dla doktora Hahna.	303
Wyrok w II procesie Hahna	305
Morderca pięćdziesięciu tysięcy	306
Wkład militarny Polski	312
Polski wkład w zwycięstwo.	312
Pochłonięci przez historię	316
Wrześniowe obrachunki.	318
ROZMOWY.	325
Słowo o Wrześniu (rozmowa z generałem Romanem Abrahamem)	325

SPIS TREŚCI

Sens i rezultaty Września (rozmowa z ppłk. Tadeuszem Jurgą)	328
Polska Ludowa: koncepcja i rzeczywistość (rozmowa z ppłk. Zbigniewem Załuskim)	333
Współczesność i Historia. Rozmowa ze Zbigniewem Załuskim	340
Trwanie: niezłomność i wytrwałość (rozmowa z profesorem Stanisławem Lorentzem)	344
Trwanie poprzez klimaty (rozmowa z Melchiorzem Wańkowiczem)	348
Ostatnie rozmowy [z Melchiorzem Wańkowiczem]	354
Diament, nie popiół (rozmowa z Bohdanem Porębą)	357
Miasta, w których żyjemy (rozmowa z Adolfem Ciborowskim)	365
VARIA	372
Nie od razu miasto zbudowano....	372
Pułk czwarty	378
Śmierć generała de Gaulle'a	382
Układ PRL–NRF	383
Petersburg – Piotrogród – Leningrad	385

DR ANDRZEJ ANUSZ
redaktor naczelny

WPROWADZENIE

150 numer specjalny kwartalnika społecznego i naukowego „Opinia” w sposób wyjątkowy jest dedykowany zmarłemu 10 października 2024 roku współzałożycielowi „Opinii” Leszkowi Moczulskiemu oraz pomysłodawcy tej edycji pisma sekretarzowi „Opinii” zmarłemu 14 stycznia 2025 roku Michałowi Janiszewskiemu.

W sposób szczególny chciałbym podziękować Mirosławowi Lewandowskiemu, który dokonał wyboru i opracowania artykułów Leszka Moczulskiego z tygodnika „Stolica” z lat 1968–1977, które to poprzedził wstępem.

Okres z którego pochodzą publikowane teksty to czas szczególny i trudny w życiu Leszka Moczulskiego. Jego praca w „Stolicy” ściągnęła na niego uwagę Służby Bezpieczeństwa. Z materiałów SB wynika, że tzw. rozmowa pozyskaniowa odbyła się 29 sierpnia 1969 roku i zakończyła się z punktu widzenia SB sukcesem. Leszek Moczulski zobowiązał się do pomocy SB, ale odmówił podpisania pod zobowiązaniem współpracy. Od tego czasu był traktowany przez SB jako TW „Lech”.

Leszek Moczulski podjął bardzo trudną i dramatyczną grę z przedstawicielami komunistycznych struktur państwa. Jednocześnie prowadząc aktywną działalność w niezależnych środowiskach, głównie kombatanckich oraz publicystyczną. W lutym 1977 roku funkcjonariusze SB zmienili kategorię sprawy, Leszek Moczulski przestał być dla nich TW „Lechem”, został zaś objęty sprawą operacyjnego rozpracowania „Oszust”. Wydaje się że nowy kryptonim bardzo dobrze oddawał emocje funkcjonariuszy SB wobec postępowania i zachowania wobec nich Leszka Moczulskiego. Czuli się po prostu przez niego oszukani i wyprowadzeni w pole...

Myszę, że z tego faktu wynikała taka zaciętość w zwalczaniu Leszka Moczulskiego w jego późniejszej działalności, najpierw w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela później jako przywódcy Konfederacji Polski Niepodległej.

Życząc dobrej lektury, musimy pamiętać w jak trudnym okresie dla Leszka Moczulskiego powstawały publikowane w tym numerze „Opinii” teksty.

LESZEK MOCZULSKI
Wybór tekstów z tygodnika „Stolica”
z lat 1968–1977

Wybór, wstęp i opracowanie

Mirosław Lewandowski

WSTĘP

Leszek Moczulski zmarł 10 października 2024 roku. Gdyby żył, skończyłby w czerwcu 2025 roku 95 lat. Postanowiliśmy uczcić 95 urodziny założyciela Konfederacji Polski Niepodległej wyborem jego tekstów publikowanych w „Stolicy”. Z uwagi na ograniczenia objętości nie było, niestety, możliwe opublikowanie wyboru ze wszystkich lat, gdy Moczulski publikował w tym tygodniku (1958–1977). Zdecydowaliśmy się więc na wybór obejmujący drugą połowę tego okresu.

Lata graniczne są dosyć oczywiste.

Zaczynamy od roku 1968, bowiem wtedy właśnie miała miejsce w PRL antysemitka nagonka, a Moczulski był nieraz oskarżany o to, że w niej uczestniczył. Wyjaśnienie dość zawiłych przyczyn, dla których te fałszywe oskarżenia były formułowane, odłożymy na inną okazję (liczę, że w tym roku ukaże się moja książka o genezie, powstaniu i pierwszym roku działalności Konfederacji Polski Niepodległej i tam zostanie to szczegółowo opisane). Tu poprzestańmy na przytoczeniu tekstów Moczulskiego opublikowanych w „Stolicy” w 1968 roku tak, aby wykazać bezpodstawnosć tych pomówień.

Kończymy zaś na wiosnie 1977 roku, gdy Moczulski – po ogłoszeniu na konferencji prasowej 26 marca tego roku powstania Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela – przeszedł do jawnej działalności opozycyjnej, z czym wiązało się jego zwolnienie z pracy w redakcji pisma, w którym spędził 20 lat swego życia.

* * *

Teksty ułożono nie w porządku chronologicznym, ale w porządku tematycznym, obejmującym sześć działów: *I Rzeczpospolita, Zabory, II Rzeczpospolita, Wojna* oraz *Rozmowy i Varia*. Przy każdym tekście podano rocznik i numer „Stolicy”, w którym został opublikowany.

Pisownię pozostawiono w zasadzie oryginalną, choć np. gdy idzie o skróty wojskowe, obecnie zapisuje się je niekiedy inaczej (np. Dywizja Pancerna to obecnie „DPanc.” a nie „d. panc.”, zaś pułk piechoty to obecnie „pp” a nie „p.p.”).

Oryginalne przypisy Autora publikowane w „Stolicy” oznaczono gwiazdką (*), nasze przypisy są objęte numeracją ciągłą.

* * *

A jednak ci, którzy marzą, mają rację napisał Leszek Moczulski w tekście, który kończy ten wybór. To zdanie mogłoby być mottem nie tylko tego tomu, ale również całej drogi życiowej Leszka Moczulskiego.

Ci, którzy marzą, mają rację, pod warunkiem (to trzeba dopowiedzieć), że marzeniom towarzyszy wysiłek intelektualny skierowany na realizację tych marzeń i determinacja. Taką drogą szli Polacy przez setki lat swojej wspaniałej i tragicznej historii. To o nich pisał Moczulski na łamach „Stolicy”.

I RZECZPOSPOLITA

DLACZEGO KOPERNIK MÓGŁ BYĆ TYLKO POLAKIEM?¹

Nikt już chyba poważnie nie będzie toczył sporu o to, jakiej narodowości był Mikołaj Kopernik. Wprawdzie całkiem niedawno jakieś zachodnioniemieckie pismo znów obwieściło jego rzekomą niemieckość, lecz chyba nawet redaktorzy tego dziennika nie bardzo w to wierzą. Umyka natomiast często z pola widzenia kwestia znacznie głębsza: co sprawiło, że odkrycia systemu heliocentrycznego dokonał właśnie Polak – w Polsce? Czyżby fakt, że Kopernik był Polakiem – zaliczał się jedynie do licznych w historii przypadków?

Otóż – nie. Wydaje się, że odkrycie systemu heliocentrycznego, a więc dokonanie rewolucjonizujące ówczesną wiedzę, sposób myślenia, światopogląd nawet – nastąpiło w Polsce dlatego, że w naszym kraju były po temu szczególnie sprzyjające warunki. Spójrzmy szerzej na epokę, w której żył i działał Kopernik, na XV i XVI stulecie. Był to w Europie, a także w większej części świata, czas przełomu. Horyzont, który jeszcze nie tak dawno zamykał się od zachodu Atlantykiem, a od wschodu światem Islamu, w tych właśnie latach, w których Kopernik pobierał nauki uniwersyteckie, gwałtownie się poszerzył: Vasco da Gama dotarł do Indii, Kolumb do Ameryki, zaś jeden ze statków Magellana okrążył glob ziemski. Ten nowy, większy świat wyszedł właśnie ze średniowiecza. Renesans, humanizm zwyciężały powszechnie, wraz z reformacją potęgował się przełom światopoglądowy, może większe jeszcze znaczenie miała rewolucja intelektualna. Kopernik płynął na tej wezbranej fali dokonujących się przemian. Tamtą epokę renesansu i humanizmu pamiętamy na ogół z dobrej strony, a przecież działy się wówczas również rzeczy złe i straszliwe. Niestety to nie wielcy humaniści, myśliciele i działacze, narzucali powszedni koloryt czasu. Głoszenie nowych prawd wymagało, jak zawsze zresztą, wielkiej odwagi: intelektualnej, moralnej, a także zwykłej odwagi ludzkiej, mieszczącej się również w sferze politycznej. Głoszenie własnych myśli, odbiegających od oficjalnych kanonów, jest zajęciem ryzykownym. Płacono za to często głowę. Europa XV i XVI stulecia, wypełniona wojnami religijnymi, charakteryzująca się wzrostem despotyzmu władzy zmierzającej ku formom absolutnego rządzenia, ograniczająca prawa jednostki, narzucająca poddanym, często krwawo, jednolitość

¹ „Stolica” z 1973 r., nr 17. Moczulski opowiadał, że Mieczysław Rakowski (wówczas redaktor naczelny „Polityki”) uznał zamieszczony tutaj tekst za nacjonalistyczny (sic!) i polecił Wojciechowski Giełżyńskiemu, aby napisał polemikę. Tekst Giełżyńskiego zatrzymała jednak cenzura, która zakazała krytykowania Moczulskiego, aby go nie popularyzować. Antoni Dudek, Maciej Gawlikowski, *Leszek Moczulski. Bez wahania*, Kraków 1993, s. 99. Zob. też Mieczysław F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1972–1975*, Warszawa 2002, s. 92.

norm ideowych i światopoglądowych – w imię uznanych kanonów dokonywała rzezi nie tylko w Meksyku czy Peru, lecz również w środku naszego kontynentu. Na tym tle Polska stanowiła wyjątkową oazę swobód i wolności tak politycznych, jak moralnych, ideowych i światopoglądowych. Jej ustroj wewnętrzny, jakby wyzyskał wszystkie ożywcze soki renesansu, stał się ucieleśnieniem myśli i pragnień humanistów wielu narodów. Ten właśnie ustroj uformował się i okrzepł w czasie tych dwu stuleci, w których żył Kopernik. Przyznają to nawet zacięci wrogowie Polski. „Polska XV w. należała do najlepiej ukształconych państw w Europie... Potrafiła Polska połączyć skrajną swobodę jednostki z wysokim stopniem znaczenia mocarstwowego” – pisał Hellmuth Moltke (w swym antypolskim skądinąd paszkwilu *Darstellung der innern Verhältnisse und des gesellschaftlichen Zustandes in Polen*²). Wprawdzie dwa kraje wyprzedziły Polskę, tworząc podstawy nowożytnych ustrojów politycznych. W Anglii powstała Wielka Karta (1215 r.), na Węgrzech Złota Bulla Andrzeja II (1222 r.). Oba te akty, choć na trwale weszły do dziejów świata, w praktyce zostały zapomniane. Złota Bulla stanowi zamknięty rozdział przeszłości, Wielka Karta – o której realizację walczone przez cały wiek XIII – a właściwie już tylko jej tradycja, staje się jedynie argumentem dla angielskiego nurtu reform XVII wieku. Polskim odpowiednikiem tych aktów stał się młodszy – z roku 1374 przywilej koszycki Ludwika Andegaweńskiego, kamień węgielny późniejszego ustroju Rzeczypospolitej. Zaczynając później, Polska rychło wysunęła się na czoło. Kopernik urodził się w kraju, gdzie prawa jednostki (oczywiście w ramach właściwego dla tamtego czasu feudalnego ustroju stanowego) miały już zupełnie nowoczesny charakter. Przywilej czerwiński z 1422 r. i przywilej jedleński z 1430 r. gwarantowały całkowitą nietykalność majątkową i osobistą pełnoprawnych obywateli. Dopiero dwa i pół stulecia później, w 1679 r. narodził się słynny akt brytyjski *Habeas corpus* gwarantujący pełną wolność osobistą pełnoprawnych obywateli. Polska wolność jednostki, prawie że wyjątek w ówczesnej Europie, ograniczona była wprawdzie tylko do stanu szlacheckiego. Ustroj stanowy w Europie warunkowany był jednak powszechnym rozwojem społeczno-gospodarczym. Dobrze jednak pamiętać, że w Polsce pełnoprawni obywatele stanowili znacznie większą część społeczeństwa niż w innych krajach, nawet dużo później. Przykładowo, pełne prawa obywatelskie posiadała w Polsce XVI stulecia większa część mieszkańców – niż we Francji w drugiej ćwierci XIX wieku, a więc już po rewolucjach Wielkiej i Lipcowej.

W ramach ustroju stanowego, Polska jest państwem w pełni demokratycznym. Jeszcze na sześćdziesiąt lat przed urodzeniem Kopernika, akt unii w Horodle uznaje zasadę, że wybór monarchy musi, otrzymać społeczną akceptację. Zjazd w Piotrkowie postanawia w 1453 r., że gdy monarcha nie zechce stanąć na gruncie praworządności, tzn. uznawać wcześniejszych aktów określających ustroj państwa i prawa obywateli –

² Helmuth Karl Bernhard von Moltke, *Opisanie stosunków wewnętrznych i położenia społecznego w Polsce*, 1832 (data wydania w języku polskim).

będzie zdetronizowany. Trzydzieści lat po śmierci Kopernika, w 1573 r. ostatecznie ustalona zostaje zasada wyboru króla, a *de facto* dożywotniego prezydenta – przez ogół pełnoprawnych obywateli.

W innych państwach monarchowie władze swą wywodzą z czynników nadprzyrodzonych, a choć decyzje ich często napotykały sprzeciw czy bunty, nigdzie w zasadzie nie ma systemu prawnego, określającego granice ich rządu. W Polsce system ten dostał nie tylko wytworzony, lecz działał skutecznie. Nie tylko dla tego, że od roku 1453 r. król polski ma dodanych senatorów-rezydentów, a w istocie kontrolerów, ograniczających jego swobodę podejmowania decyzji, bo władza jednostkowa została zastąpiona przez społeczną. Statuty nieszawskie 1454 r. uzależniają praktycznie całą władzę ustawodawczą od sejmików ziemskich, a także pozbawiają monarchę władzy sądowej. W ostatniej dekadzie XV stulecia, w tym czasie, gdy Kopernik studiował na uniwersytetach, a Kolumb odkrywał Amerykę – w Polsce wykształca się dwuizbowy sejm, złożony z Senatu i Izby Poselskiej, wybieranej na sejmikach przez ogół pełnoprawnych obywateli. Nie jest to wprawdzie jeszcze parlament we współczesnym rozumieniu tego słowa, ale będąc emanacją woli społecznej, stanowił instytucję wyjątkową w ówczesnym świecie, wybiegającą ogromnie naprzód ku całkiem nowym czasom. Tenże Sejm w 1505 r. uchwała konstytucję *Nihil Novi*: „nic nowego nie może być w przyszłości stanowione przez króla, bez zgody panów rady i posłów ziemskich”. Monarcha, reprezentujący władzę wykonawczą, może działać tylko w granicach ustaw, te zaś stanowi wyłącznie ciało przedstawicielskie, jakim jest sejm. Čwierć tysiąca lat upłynie, nim zasady powyższe zaczną się postulować, a następnie wprowadzać w zachodniej Europie; gdzie indziej znacznie później.

Podkreślmy raz jeszcze: zasady wyżej zarysowane obowiązywały w ramach feudalnego ustroju stanowego, bowiem rozwój społeczno-gospodarczy tamtej epoki determinował zachowanie tegoż ustroju. Polska – praworządne państwo wolności, odbijała od ogólnego obrazu świata. To zresztą było jednym z głównych źródeł jej ówczesnej mocarstwowości. Nie podbijaliśmy innych krajów orężem, same się bowiem do nas garnęły; wolnościowe instytucje polskie stały się magnesem, one to ostatecznie zadecydowały zarówno o Unii Lubelskiej, już po śmierci Kopernika, jak też o powrocie Prus Królewskich – jeszcze przed jego urodzeniem.

Wolność jednostki, niezależność sądów od władzy, przedstawicielski charakter naczelnych instytucji państwowych – wszystko to stwarzało szczególny klimat, w którym każdy obywatel mógł głosić swe niezależne poglądy, nie tylko naukowe, lecz przede wszystkim polityczne i światopoglądowe.

Cóż to oznaczało wówczas, tłumaczy najlepiej porównanie z panującą wszechwładnie w innych krajach katolickich inkwizycją, okrutną w Hiszpanii, łagodniejszą – jednak krwawą – we Włoszech czy Francji. A także z kontrinkwizycją protestancką. W Anglii XV w. za rządów Henryka VIII palono na stosach katolików; za rządów Marii – protestantów; za rządów Elżbiety – katolików i protestantów dopuszczając wy-

znawanie jedynie anglikańskiej religii państwowej. Francja miała wojny religijne i noc świętego Bartłomieja; Rzesza niemiecka – również wojny wyznaniowe oraz liczne rzezie ludzi innego, niedozwolonego wyznania i zabronionych przez władców przekonań. Wkrótce po śmierci Kopernika, w 1555 r. w Augsburgu ogłoszono tzw. pokój religijny w Niemczech, oparty o nieludzką zasadę, że poddani mają wyznawać taką samą religię, ten sam światopogląd, co ich władcy (*cuius regio, eius religio*): jeśli mówi się o mrokach średniowiecza, to wracały one z tą zasadą niczym przerażające widmo. Likwidowano fizycznie, najczęściej okrutnie, ludzi o innych przekonaniach światopoglądowych, zaś między odmiennymi od oficjalnych przekonaniem i opozycją – a zdradą stanu postawiono znak równania. To nieprawda, że była tylko jedna noc świętego Bartłomieja. Jeśli Anglik czerpał swe przekonania z czegokolwiek innego niż zatwierdzonego przez światłą i nowoczesną królową Elżbietę „Modlitewnika” – szedł na stos, lub do ciemnicy.

Swoboda przekonań, wolność głoszenia własnych poglądów, odrzucanie starych, konserwatywnych norm i kanonów, dominowało nie tylko wewnątrz Polski, lecz było przez Polaków głoszone na zewnątrz. Już na Soborze w Konstancji (1414–1418) główny rzecznik delegacji polskiej, rektor Akademii Krakowskiej, Paweł Włodkowic bronił też na owe czasy rewolucyjnych; wystąpił przeciwko, prawie, że niepodważalnemu jeszcze od starożytności, kanonowi, przyznającemu pełne władztwo nad światem dwu ówczesnym potęgom politycznym i ideowym, czyli cesarstwu i papieżstwu; głosił zasady pełnej suwerenności wszystkich państw.

Był to głos Polski przeciwko mrokom średniowiecza. Głos nie jedyny. Niezależne poglądy, wybiegające daleko naprzód, głoszone wówczas były w Polsce przez licznych myślicieli i niosły się głębokim echem po całej Europie. Czy to starszy nieco od Kopernika Jan Ostroróg czy młodszy Andrzej Frycz Modrzewski, czytani i doceniani byli nie tylko nad Wisłą. Dzieło *De optimo senatore* biskupa Wawrzyńca Goślickiego w Anglii dwukrotnie konfiskowano i palono na stosie; dopiero w 1733 r., w dwa wieki po napisaniu i po dwu angielskich rewolucjach mogło ono ukazać się nad Tamizą i przyczynić w niemałym stopniu do budowy konstytucyjnego ustroju brytyjskiego.

Nie tylko w Polsce XV i XVI wieku głoszono tezy radykalne, nowe, wybiegające myślą w przyszłość. Czyniono to, często pełnym głosem, w prawie całej Europie. Była jednak zasadnicza różnica. W Polsce własne przekonania, nawet najbardziej kontrowersyjne, można było obwieszczać bez ryzyka; gdzie indziej trzeba było uprzednio zadbać o możnych protektorów, którzy tym rewolucyjnym tezom nadaliby stygmat oficjalności. Takiego protektora zabrakło Janowi Husowi i zginął na stosie w Konstancji. Marcin Luter mógł wystąpić przeciwko oficjalnemu Kościołowi, bo chronił go elektor saski Fryderyk Mądry i mury twierdzy w Wartburgu. W ówczesnej Polsce protektorzy nie byli potrzebni. Istniały warunki prawne i społeczne, w których głoszenie własnych, choćby najbardziej kontrowersyjnych opinii uważane było za normalne i najwyżej wywoływało ostre polemiki.

Chcemy postawić tezę: gdyby nie wolnościowy ustrój ówczesnej Polski, panujące

w niej swobody obywatelskie, wolność przekonań i światopoglądu – być może dzieło Kopernika nie zostałyby dokonane. Urodził się on, wychował i pracował w warunkach, które umożliwiały głoszenie nowych prawd, stwarzały po temu przychylną aurę, dopingowały nawet. Nie bez znaczenia była świadomość, że odkrywca nie podzieli losu Giordana Bruno, który spłonął na stosie, za to tylko, że głosił tezy Kopernika. Twórca nowego systemu zatrzymującego Słońce i poruszającego Ziemię – dosłownie i w przenośni – mógł odkryć swoją prawdę dlatego, że był Polakiem, obywatelem ówczesnej Polski. Jeśli więc w tym roku wraz z całym światem święcimy kopernikowską rocznicę, pamiętać należy nie tylko o wielkim dziele uczonego, lecz o warunkach, które umożliwiły powstanie tego dzieła – warunkach będących dla nas żywą, najwspanialszą tradycją oraz częścią naszej narodowej mentalności.

Leszek Moczulski

* * *

NARODZINY STOŁECZNOŚCI WARSZAWY³

Nie minęło nawet sto lat między przyłączeniem Księstwa Mazowieckiego – a wraz z nim Warszawy – do Korony, gdy nadwiślański gród awansował do rangi faktycznej stolicy państwa. Nastąpiło to na przełomie XVI i XVII wieku, zaś najpóźniejsza data graniczna określana jest na rok 1611. Od tej pory Warszawa jest stolicą, a długotrwały proces uzyskiwania stołeczności, zapoczątkowany w czasach Zygmunta Augusta, został zakończony. Co było decydującą przyczyną, że miasto położone na obszarze świeżo włączonym do królestwa, a co ważniejsze znajdujące się na samym skraju ówczesnej Korony – szybko przekształciło się w państwową metropolię?

Decydującym powodem, który przesądził o karierze Warszawy jako przyszłej metropolii i stolicy państwa, stała się unia polsko-litewska, która dwa złączone wspólną dynastią państwa przekształciła w jedną, federalną Rzeczpospolitą. Dzieje integracji polsko-litewskiej, a biorąc pod uwagę nie tylko formalno-prawną stronę zagadnienia, lecz faktyczną – integracji polsko-litewsko-ruskiej – były długie i nieproste. Począwszy od unii w Krewie w 1385 r. związek polsko-litewski przybierał różne formy. W pewnych okresach nawet osoba panującego nie łączyła obu państw; było tak w okresie 1434–1447, kiedy w Polsce panował Władysław III (poległy w 1444 r. pod Warną), a Wielkim Księciem Litewskim był Kazimierz Jagiellończyk, wybrany królem polskim dopiero w 1447 r. Później, w latach 1492–1501 w Koronie panował Jan Olbracht, w Wielkim Księstwie – Aleksander, dopiero po śmierci brata król Polski.

Integracja monarchii Jagiellonów w jeden organizm państwowy dokonana została za panowania ostatniego z królów tej dynastii, Zygmunta Augusta. Wiele w tym było

³ „Stolica” z 1969 r., nr 28.

jego osobistej zasługi, lecz dzieło integracyjne przede wszystkim stało się rezultatem procesów społecznych. Trwający już przez dwieście lat związek obu państw, wzajemne przenikanie się wpływów, promieniowanie kultury, a zwłaszcza postępowego, jak na owe czasy, ustroju polskiego na Wielkie Księstwo przyniosły doniosłe rezultaty, umożliwiły związek państw i ludów, który nie był inkorporowaniem słabszego przez silniejszego, lecz dobrowolną i równą integracją.

W latach panowania Zygmunta Augusta Warszawa po raz pierwszy w dziejach zaczęła stawać się siedzibą królewską. Monarcha przebywał tutaj bardzo często, stąd kierował sprawami swych rozległych państw. Zdecydowało o tym właśnie położenie Warszawy. Tuż obok, niemal ręką sięgnąć, znajdowała się Litwa. Granica biegła wzdłuż Liwca; Węgrów i Sokołów Podlaski znajdowały się już w Wielkim Księstwie. Z Warszawy było mniej więcej tak samo daleko do małopolskiego Krakowa, wielkopolskiego Poznania i litewskiego Wilna. To przesądziło, że tak często przebywał tu Zygmunt August.

Sprawa unii polsko-litewskiej podjęta została ostatecznie w 1562 r. z inicjatywy samych Litwinów, zebrane w obozie pod Witebskiem 13 września 1562 r. rycerstwo Wielkiego Księstwa zawiązało konfederację, zaś następnie ten „litewski sejm obozowy” wystąpił do Zygmunta Augusta, aby „złożył sejm wspólny z pany Polaki i Unią, aby byli z nimi w jedności, najwięcej dla dwu przyczyn, dla jednego pana obrania i dla jednej obrony, aby wspólnie sejmowali i prawa jednakiego używali”. Na czele stronnictwa zmierzającego do unii, a grupującego szerokie warstwy drobnej i średniej szlachty litewskiej, stał Jan Chodkiewicz, starosta inflancki i późniejszy kasztelan wileński, ojciec sławnego zwycięzcy spod Kircholmu – hetmana Jana Karola Chodkiewicza. Opór unii stawiali natomiast kierowani przez Mikołaja Czarnego Radziwiłła magnaci litewscy, pragnący utrzymać w swej władzy Wielkie Księstwo.

Niewiele brakowało, aby akt unii polsko-litewskiej dokonany został w Warszawie. Tutaj bowiem, na pogranicze polsko-litewskie, zwołał Zygmunt August Sejm na listopad 1563 r. Obrady trwały długo, aż do wiosny roku następnego. W sejmie uczestniczyli przedstawiciele Litwy, główne skrzypce w ich delegacji grało jednak stronnictwo radziwiłłowskie. Wspólnym wysiłkiem magnatów polskich i litewskich dzieło unii zostało storpedowane.

Potężni polscy feudałowie domagali się prostej inkorporacji Litwy do Korony, gdy Mikołaj Czarny Radziwiłł odrzucał nawet zasadę wspólnego sejmu. Nie pomogły wysiłki Zygmunta Augusta, który sięgnął do kroków ostatecznych: 12 lutego 1564 r. zrzekł się praw dziedzicznych dynastii jagiellońskiej do Litwy, przelewając je na Koronę Polską. Zbyt słabe w sejmie ugrupowania reprezentujące szerokie rzesze szlachty polskiej i litewskiej nie przeforsowały unii.

Sprawa została odłożona. Śmierć Mikołaja Czarnego w maju 1565 r. osłabiła nieco stronnictwo magnackie na Litwie, bo nowy jego przywódca, brat cioteczny poprzedniego, Mikołaj Rudy Radziwiłł, był indywidualnością dużo słabszą.

W dyskusjach i niekończących się rozmowach sprawa unii nie postępowała jed-

nak naprzód. Debatowano nad nią na kolejnych sejmach: koronnych w Parczewie (tuż nad granicą Litwy), Piotrkowie, Lublinie i znów Piotrkowie, litewskich – w Bielsku, Wilnie, Brześciu i Grodnie. Na Litwie stronnictwo opowiadające się za unią, głównie dzięki wysiłkom Jana Chodkiewicza, umocniło się znacznie, wzrastała też w siły partia szlachecka w Koronie. Magnaci bronili jednak twardo swych pozycji.

W tej sytuacji, na samo Boże Narodzenie 1568 r. Zygmunt August zwołał sejm koronny do Lublina. Równocześnie niemal rozpoczął obrady sejm litewski w pobliskim Wohyniu (w pobliżu Łukowa). W styczniu 1569 r. dwa sejmy połączyły się w Lublinie we wspólnych obradach. Dyskusje były wielce namiętne, i raz po raz dochodziło do dramatycznych incydentów. W nocy na 1 marca 1569 r. posłowie litewscy pod wodzą Mikołaja Rudego chyłkiem opuścili Lublin. Nie było to jednak ostateczne zerwanie, bowiem Jan Chodkiewicz, który też wyjechał z Lublina, nadal ze swym stronnictwem walczył o unię.

Rychło też do Lublina poczęli powracać pojedynczy posłowie litewscy. Jako pierwszy pojawili się posłowie województw podlaskiego, wołyńskiego, bractawskiego i kijowskiego, wobec stanowiska stronnictwa radziwiłłowskiego postanowili oni oderwać swe województwa od Wielkiego Księstwa i przyłączyć do Korony. Nastąpiło to zresztą niebawem.

Tymczasem na Litwie zwołano sejmiki i wybrały one nowych posłów do sejmku. Stronnictwo szlacheckie odniosło w tych wyborach wielkie zwycięstwo. Zresztą szlachta na Litwie coraz bardziej zaczęła się burzyć, grożąc zbrojnym rokoszem, jeśli magnaci będą się nadal upierać.

W czerwcu nowo wybrani posłowie litewscy przybyli do Lublina pod wodzą Jana Chodkiewicza. Sprawa unii była już zdecydowana, parę tygodni jednak dyskutowano ostateczne szczegóły. Wreszcie 28 czerwca 1569 r. – dokładnie czterysta lat temu – sejmujące stany polsko-litewskie uchwaliły akt Unii. Kilka dni później – 1 lipca – obie strony złożyły sobie wzajemne przysięgi dochowania układu po wsze czasy, a Zygmunt August osobiście zainicjował uroczyste *Te Deum* w kościele franciszkańskim. Akt Unii stał się faktem.

W samym akcie Unii Lubelskiej wskazana została przyszła stołeczna rola Warszawy. Przewidywał on bowiem wspólną elekcję władcy Rzeczypospolitej polsko-litewskiej oraz wspólny sejm polsko-litewski, władzę najwyższą całego państwa, który miał obradować w Warszawie. Wkrótce potem zresztą ustalono, że elekcja króla też będzie odbywać się w Warszawie.

Zarówno sam akt Unii, jak i jego szczegółowe postanowienia zadecydowały o stołeczności Warszawy. Żadne inne z ówczesnych miast Rzeczypospolitej nie leżało w równej odległości między Litwą, Wielko- i Małopolską. Miejsce elekcji króla i obrad sejmowych* narzuciło się automatycznie. Było do przewidzenia, że wcześniej czy

* Postanowienie to pod koniec XVII w. zmieniono w ten sposób, że co trzeci sejm zamiast w Warszawie odbywał się w litewskim Grodnie [przypis oryginalny].

później Warszawa musi się stać siedzibą monarchy i centralnym ośrodkiem dyspozycji władzy państwowej.

W ten sposób akt Unii z 28 czerwca 1569 r., uchwalony w Lublinie, zdecydował na długie stulecia o politycznym rozwoju Polski, a także o roli, jaką miała odgrywać Warszawa.

L. M-ski

* * *

HOŁDY PRUSKIE W WARSZAWIE⁴

Znamienity obraz Jana Matejki, stanowiący dziś integralną część świadomości Polaków, związał hołdy pruskie z krakowskim rynkiem. Mało kto pamięta jednak, że z siedmiu hołdów, składanych przez Hohenzollernów z Prus tylko dwa, 10 kwietnia 1525 r. i 9 grudnia 1550 r. miały miejsce na krakowskim rynku. Raz hołd odbył się 19 lipca 1569 r. w Lublinie. Wszystkie pozostałe hołdy miały miejsce w Warszawie. Pierwszy warszawski hołd pruski przyjmował król Stefan Batory. Miał on miejsce 26 lutego 1578 r. – a więc lat temu 390 na Krakowskim Przedmieściu przed kościołem Bernardynów (kościół św. Anny). Król zasiadł tu na specjalnie przygotowanym tronie. Hołd składał Jerzy Fryderyk Hohenzollern, margrabia Ansbach, który sprawował władzę nad Prusami w imieniu umysłowo chorego księcia Alberta Fryderyka. Po odebraniu przysięgi wierności i poddaństwa z rąk lennika, król Stefan wręczył mu chorągiew z jednej strony czerwoną z białym orłem polskim, z drugiej białą z czarnym orłem pruskim. Nawiasem mówiąc, ten czarny orzeł na białym tle, flaga ustalona po sekularyzacji zakonu krzyżackiego przez Polskę dla lennych Prus – stał się z czasem aż do chwili likwidacji państwa pruskiego w 1947 roku ich flagą oficjalną.

W źródłach historycznych zachowały się znacznie szersze opisy następnego z kolei hołdu pruskiego. Składał go margrabia Jan Zygmunt, elektor brandenburski, również w imieniu niepoczytalnego Alberta. Po przybyciu do Warszawy, w listopadzie 1611 r. jeszcze przed oficjalną ceremonią hołdu, Jan Zygmunt, witając króla Zygmunta III Wazę siedzącego na wspaniałym rumaku, objął go wiernopoddanym gestem za but.

Sama uroczystość hołdu odbyła się 16 listopada 1611 r. również przed kościołem Bernardynów. Elektor Jan Zygmunt czekał na przyjęcie przez króla w Zamku Ujazdowskim. Tuż przed złożeniem hołdu udali się po niego wojewodowie poznański Ostroróg, łęczycki Sędziwój i mazowiecki Gostomski. Zawieźli oni Hohenzollerna na Krakowskie Przedmieście. Tam już zasiadł na wspaniałym tronie król Zygmunt III ubrany w białą dalmatynkę i mający na sobie wszystkie insygnia królewskie. Tron okryty był złotogłowiem zaś cały plac przed kościołem ozdobiony czerwonym suknem. Obok

⁴ „Stolica” z 1968 r., nr 19.

króla stał chorąży koronny Sebastian Sobieski z flagą i miecznik koronny Jan Branicki z gołym mieczem w dłoni. Za tronem znajdowali się senatorowie w paradnych strojach. Z balkonu sąsiedniego domu obserwowała uroczystość królowa Konstancja. Plac cały wypełniony był tłumem w części konnym; z okien i dachów sąsiednich domów wychylały się setki ciekawych twarzy.

Najpierw do tronu podeszło sześciu wysłanników elektora. Padli na kolana przed majestatem uniżonymi głosami prosili, aby król zezwolił elektorowi złożyć hołd. Zgoda na to została udzielona i powiadomił o niej wysłanników kanclerz koronny biskup kujawski Wawrzyniec Głębocki.

W chwilę potem do tronu podeszedł elektor Jan Zygmunt w otoczeniu dostojników księstwa pruskiego. Padł on przed królem na kolana i uderzył czołem o but Zygmunta. Następnie Hohenzollern wygłosił dłuższą orację, dziękującą za dopuszczenie do oblicza władcy i proszącą, aby król „jako przyrodzony dziedziczny i najwyższy wszystkich ziem pruskich i księstwa pruskiego pan” zgodził się przyjąć hołd.

Odpowiedzi znów udzielił kanclerz Głębocki. W imieniu króla wyraził on zgodę na złożenie hołdu, po czym zastrzegł się, że spodziewa się i zupełnie ufa, że „Wasza Książęca Mość oraz oświeceni bracia jego dołożą starania, iżby się za to dobrodziejstwo względem ich, należnymi usługami odwdzięczyli i że tak Jego Królewskiej Mości, jak i Królestwu jego będą się starali i usiłowali ciągle dobrze zasługiwać”.

Następnie odbyła się właściwa uroczystość hołdu. Zygmunt III wziął do ręki chorągiew i wygłosił krótkie przemówienie przekazujące władzę lenną nad Prusami książęcymi w ręce elektora. W odpowiedzi klęczący elektor złożył dwa palce na Ewangelii, leżącej na kolanach królewskich i za kanclerzem Głębockim powtarzał tekst przysięgi wierności, zobowiązując się do pełnego posłuszeństwa wobec Rzeczypospolitej i jej władcy. Dopiero po wygłoszeniu bardzo długiej rot tej przysięgi, Jan Zygmunt przejął chorągiew. Król pozwolił wówczas lennikowi wstać z kolan i zaprosił, aby zajął miejsce w niskim fotelu umieszczonym po lewej stronie tronu.

Ostatni wreszcie hołd pruski został złożony królowi Władysławowi IV przez elektora brandenburskiego Fryderyka Wilhelma w dniu 7 października 1641 r. Uroczystość odbyła się przed samą bramą Zamku Królewskiego. Tutaj był ustawiony tron królewski, również przykryty złotogłowie, zaś na placu rozpostarto czerwone sukno. Przebieg uroczystości był identyczny jak poprzednich. Najpierw padli na kolana wysłannicy elektora, prosząc o dopuszczenie go przed oblicze władcy. Później sam Fryderyk Wilhelm padł na kolana, prosząc o inwestyturę. Po zgodzie, królewskiej złożył wiernopoddaną rotę przysięgi.

Król wprawdzie i tym razem na zakończenie uroczystości posadził lennika po swojej lewicy,

lecz traktował go z wyraźnym lekceważeniem. Zaprosił Fryderyka Wilhelma do Zamku na ucztę lecz skromność jej zdziwiła uczestników. Sam król prawie że nie jadł, elektorowi podsuwano potrawy zimne i niemal skrzepłe; nie przeszkodziło to jednak,

że Fryderyk Wilhelm kazał ich sobie dokładać. Panowie polscy, do takich uczt nie przywykli, prawie nie jedli. Albrecht Radziwiłł skarżył się w pamiętnikach, że z uczt tej, zakończonej o godzinie 11-ej, wyszedł bardzo głodny.

Tak zakończył się ostatni hołd pruski w Warszawie. 16 lat później tenże sam elektor, wiarołomny Fryderyk Wilhelm złamał przysięgę wraz ze Szwedami, najedzając Rzeczpospolitą. W sierpniu 1656 r. zbrojnie wjechał do Warszawy i przed Zamkiem Królewskim, w tym miejscu gdzie sam składał hołd, wyrzekł groźne słowa: „Odtąd miecz będzie rozstrzygał”.

I miecz rozstrzygnął, choć inaczej, niż myślał elektor. W 300 niespełna lat po jego zdradzie miecz zadecydował, że ziemie pruskie, tak nieopatrnie oddane w lenno Hohenzollernów, wróciły na stałe do Rzeczypospolitej.

L. M.

* * *

SPOJRZENIE NA ZAMEK⁵

Lipcowym zmierzchem po burzy, gdy zmruzzyć nieco oczy – bryła Zamku wygląda prawie tak, jakby już cała wzniosła się na nowo. Trzeba dopiero minąć ogrodzenie, wejść między świeże mury, aby ocenić, jak wysoko wyrosły poszczególne skrzydła. Gotyckie – dawny Dwór Większy, przykryte już jest dachem; południowe, gdzie Zygmunt III i Władysław IV oglądali sztuki Szekspira, sięga najwyższej kondygnacji; skrzydło saskie, od strony Wisły, nadal jest najniższe; fragment zachowanej ściany, z oknem dawnego mieszkania Stefana Żeromskiego, wynosi się ponad nowy mur z czerwonej cegły. Wieża Zygmuntońska dopiero będzie budowana. Tuż obok niej ściany wzniosły się prawie do drugiego piętra. W ich obrębie gęste drewniane rusztowania, jakby spotęgowana palisada wymierzona w niebo; ta sala której obrys jest już widoczny, budzi szczególne uczucia. To w niej obradowały sejmy, tutaj chwalono Konstytucję 3 Maja, tę salę zaborca unicestwił pierwszą, gdy mury Zamku były jeszcze nienaruszone; pragnąc zatrzeć pamięć o wydarzeniach, jakie te mury widziały, jedną wielką salę przebudowano na wiele drobnych klitek. Teraz powstaje na nowo. Jest to patos, lecz usprawiedliwiony: zwycięstwo życia, prawdy, racji moralnej – nad śmiercią, fałszem, oszustwem.

Trwa odbudowa Zamku – lecz w istocie, cóż naprawdę odbudowujemy. Czy tylko gmach? Nawet mury zamkowe, nie mówiąc o wnętrzach, rekonstruowane są z tyśięcznych zachowanych fragmentów wracających teraz na swoje miejsce. Przywraca się dawną panoramę miasta od strony Wisły. Mniejsza z tym, bo być może, gdyby chodziło jedynie o odbudowę gmachu, który lat paręset stał w tym właśnie miejscu, gra nie byłaby warta świeczki. Przecież jednak najmniej ważne jest, że odbudowuje się

⁵ „Stolica” 1973 r., nr 29.

mury, najmniej ważna rekonstrukcja kształtu zewnętrznego budowli. Ci ludzie, którzy finansują odbudowę setkami milionów zebranych złotych, tysiącami godzin zwykłej pracy fizycznej, ci wszyscy, którzy śledzą niemalże każdą nowo położoną cegłę – pragną czegoś więcej niż prostego odtworzenia gmachu. Nie mury, lecz zawarta w nich treść jest przecież najważniejsza; mury odbudowujemy, aby przywrócić wielkie symbole, które w nich zamknęła historia.

To miasto, zburzone całkowicie, zostało odbudowane straszliwym wysiłkiem po to, aby ludzie znów mogli żyć w Warszawie. Otóż życie w Warszawie możliwe było i jest bez rekonstrukcji Zamku. Żadne względy bezpośrednie tego nie wymagały. W każdym razie teoretycznie. Kto jednak zaprzeczy, że nie może wystarczyć sam dach nad własną głową, zakład pracy i arterie komunikacyjne; dzisiaj widać już wyraźnie, jak narasta społeczna potrzeba czegoś, co nie musi tłumaczyć się walorem materialnym. To, że odbudowa Zamku trwa dopiero teraz, jest czymś logicznym i naturalnym. Całkiem niezależnie od znanych wieloletnich trudności z rekonstrukcją, usuniętych ostatecznie dopiero po Grudniu 1970 r. – rozwój Warszawy po ubiegłowiejskich zniszczeniach znalazł się w fazie, która wymagała odbudowy właśnie Zamku.

Odbudowa Warszawy, rozwój Warszawy... Zbyt często pod tymi terminami rozumiemy tylko działania materialne: wznoszenie domów, osiedli, fabryk, placów i ulic. W rzeczywistości w minionych blisko trzydziestu latach mieliśmy do czynienia z o wiele bardziej złożonymi procesami. Odbudowywaliśmy zarówno substancję miejską, jak społeczność Warszawy; jedno i drugie zostało już zakończone, w stolicy obecnie jest więcej domów i więcej mieszkańców niż kiedykolwiek w dziejach. Trwają jednak, nie zakończone jeszcze, procesy odbudowy warszawskiej świadomości, twórczego nawiązywania do tradycji tego miasta, wytyczania perspektyw biegnących w przyszłość. W tym wielkim dziele odbudowy warszawskiej, a także ogólnej polskiej świadomości, w toku procesów przyspieszonego umacniania się moralnego społeczeństwa, właśnie Zamek i jego odbudowa spełnia rolę szczególną. Powstaje on z woli narodu i jego wysiłkiem; jest dowodem nowych sił moralnych, narastających w naszym społeczeństwie.

Za rok, w lipcu 1974 r., cała bryła zamkowa będzie gotowa w stanie surowym. Nastąpi to dokładnie w trzydzieści lat od odrodzenia się Polski – Polski Ludowej i socjalistycznej. Jest to przedział całego pokolenia. Chodząc po zamkowej budowie, zaglądałem w twarze robotników, obserwowałem tych, którzy z placu patrzyli, jak toczą się prace. W ogromnej większości byli to ludzie młodzi. Urodzili się, gdy Zamku już – i jeszcze – nie było. Jest to pokolenie, które swym życiem zaznacza dystans czasowy od lat wojny, a zarazem pokolenie, które dźwigać będzie na sobie cały ciężar budowy drugiej Polski, nowej, lepszej, trwalszej.

Tak więc, w lipcu Trzydziestolecia, bryła zamkowa stanie na nowo. Nie tylko ona. W tym samym czasie, u stóp Zamku, gotowa będzie Wisłostrada, a także krzyżująca się z nią Trasa Łazienkowska. Tam, gdzie te dwie wielkie arterie przecinają się, nowy kształt otrzyma płyta przyczółka czerniakowskiego, miejsca jednego z najbardziej krwa-

wych bojów toczonych kiedykolwiek w tym mieście. Można w tym widzieć tylko nowe inwestycje, lecz taki technokratyczny sposób patrzenia nie pozwala zobaczyć niczego. Otóż przecie, w tych trwających obecnie a gotowych za rok inwestycjach dostrzec należy w jakimś wielkim skrócie główne rysy wizerunku nowej, przyszłej piękniejszej Polski. W wizerunku tym splatają się w jedną całość wielkie, nowoczesne budowle: arterie komunikacyjne, zaplanowane z rozmachem, obiekty budowane w perspektywie roku dwutysięcznego – i szacunek oraz twórcze nawiązanie do przeszłości, do narodowych tradycji, tych niedawnych, sprzed lat trzydziestu – gdy trwał bój na wiślanym brzegu, i z wielowiekowym rodowodem.

Wiele przyczyn spowodowało, że jest to możliwe. Wszystkie wypływają jednak z jednego głównego źródła. Otóż podczas ostatnich dziesięcioleci odbudowaliśmy nie tylko Warszawę, nie tylko Polskę, odrobiliśmy z nadwyżką straszliwe straty biologiczne – ale przede wszystkim odbudowaliśmy społeczeństwo⁶. Dzisiaj mamy do czynienia z innymi Polakami niż ćwierć wieku temu. Dlatego właśnie tak szybko rekonstruowany jest Zamek.

Wyżej pisaliśmy: w odbudowie Zamku ważne są nie mury, lecz ich treść. W Apelu Społecznego Komitetu Odbudowy stwierdzone zostało precyzyjnie: w Zamku dostrzegamy wielki Panteon Narodowy, symbol polskiej suwerenności i niepodległości⁷. Oczy-

⁶ Moczulski zdaje się tu nawiązywać do treści swojego referatu, wygłoszonego 11 XI 1973 r. (w tym samym roku, w którym ukazał się przytoczony tu tekst w „Stolicy”) w domu matki Restytuta Staniewiczza w Poznaniu. Oto fragment: *W wielkim skrócie – po wojnie groziła nam zagłada biologiczna? – Tak. A obecnie? – Nigdy nie mieliśmy pokolenia tak rozwiniętego fizycznie, tak rozwiniętego umysłowo i równocześnie niewolnego od negatywnych skutków przeszłości. To co, że nam kiedyś groziła zagłada biologiczna i że kiedyś mieliśmy z tego powodu znaczne straty? – To jest rozdział tak samo zamknięty, jak rozpad Polski po okresie panowania Mieszka II w XI wieku. Ten okres tak samo jest zamknięty, bowiem mamy obecnie do czynienia z innym biologicznie społeczeństwem. Mieliśmy porwane więzi społeczne? – Tak, mieliśmy. Ale dziś one są odbudowane. Żyliśmy pod przemożnym parciem psychicznym terroru? – Tak, żyliśmy. Ale młode pokolenie, większość Polaków w tym kraju, nie wie, co to znaczy naprawdę terror, nie może go sobie naprawdę wyobrazić. Jesteśmy równocześnie mądrzejsi. Ponieważ do tych doświadczeń, z których czerpały poprzednie pokolenia, myśmy dołożyli doświadczenia naszych ojców i naszych dziadków. Jesteśmy silniejsi, odważniejsi i mądrzejsi. Więc czego nam brakuje? Jeśli ludzie roku 18-tego mówią: „Daliśmy wam ojczyznę. Coście z nią zrobili?”, to dlaczego wstydzimy się odpowiadać? Czego nam brakuje? Czego nam brakuje, że nie możemy doprowadzić do stanu, kiedy nasza odpowiedź będzie pełna dumy? Zdaje się, że w tej chwili brakuje nam tylko jednego. Brakuje nam poczucia własnej siły. Temu narodowi, temu krajowi, brakuje zrozumienia, jak być silnym. Obszerne fragmenty tego referatu są dostępne na portalu Internetowe Archiwum KPN, w dziale: Leszek Moczulski – Varia – Obowiązek naszego pokolenia. Moczulski w kilku tekstach publikowanych w „Stolicy” w 1972 r. i w 1973 r. nawiązywał do też zawartych w tym wykładzie.*

⁷ Moczulski był później oskarżany przez Andrzeja Czumę i Jacka Kuronia, że pisał referaty dla Józefa Kępy – I sekretarza KW PZPR w Warszawie i członka Politbiura. Na procesie lustracyjnym Moczulski odniósł się do pytania sądu na ten temat w sposób następujący: „*Stolica*” przez całe lata była jedynym pismem, które walczyło o odbudowę Zamku, postulowało ją. Gdy nasz postulat został spełniony po

wiecie, wkraczamy tutaj w sferę pojęć oderwanych. Dobrze jest wskazać na ich żywą treść. Suwerenność, niepodległość są pewnymi kategoriami nadrzędnymi. Służą one zawsze wyraźnym, ściśle sprecyzowanym celom. Z samych dziejów Zamku wywieść można walory polskiej suwerenności i niepodległości. Z początkiem roku obchodziliśmy czterechsetną rocznicę Konfederacji Warszawskiej, jesienią obchodzić będziemy dwusetną rocznicę utworzenia Komisji Edukacji Narodowej. Oba te fakty związane są bezpośrednio z Zamkiem. Konfederacja Warszawska ubrała w szatę prawną polską tolerancję i wolność myśli – a więc zasady, które wprowadziliśmy w życie wcześniej i konsekwentniej niż inni. Komisja Edukacji – pierwsze w świecie ministerium oświaty – stanowiła pionierski, potężny krok w dziejach nie tylko Rzeczypospolitej. Oba te wielkie wyznaczniki tłumaczą doskonale sposób, w jaki Rzeczpospolita spełniała swą suwerenną niepodległość, nadając jej istotną, odrębną treść. Oczywiście, dotyczy to nie tylko przeszłości. Wszak w czasie obecnym widzimy, jak twórcze nawiązanie do wielkich tradycji profituje i rozwija się. Dyskutowany właśnie raport nad stanem oświaty, troska jaką społeczeństwo otacza kwestie wychowania młodego pokolenia, prowadzi w prostej linii od takiego wydarzenia dziejowego, jakim była Komisja Edukacji Narodowej. Stoją przed nami zadania dźwigania Polski wzwyż, budowy nowej, innej, współczesnej Rzeczypospolitej; zadania te, wsparte o wspomniane wyżej filary przeszłości, wypełnione zostaną przez żyjące dzisiaj pokolenia.

Lipcowy wieczór, spacer po zamkowym terenie; w wielkim skrócie zobaczyć można przemiany czasu. Nie ma już zawstydzającego placyku, który tyle lat rozpościarał się na miejscu Zamku. Gdy jesteśmy tu dzisiaj, zewsząd otaczają nas mury. Zamkowy dziedziniec na powrót stał się dziedzińcem. Spojrzenie na Zamek, który wznosi się coraz wyżej. Spojrzenie na Zamek, to najważniejsze: nie na mury, lecz wartości pozor nie oderwane, które zamkowa bryła sobą wyraża. Rekonstrukcja przeszłości? Skądże! Pomost do przeszłości.

L. M.

grudniu 1970 roku, ja bym z wielką radością napisał referat na temat Zamku i potrzeby jego odbudowy tylko, że ten pan, ani nikt inny, się do mnie w tej sprawie nie zgłosił. Natomiast ówczesny sekretarz propagandy, o ile pamiętam nazywał się Łukaszewicz, zgłosił się nie do mnie, tylko do naczelnego redaktora, że w związku, że miało się odbyć pierwsze posiedzenie Społecznego Komitetu Odbudowy Zamku w Warszawie, a przewodniczącym tego Komitetu był rzeczywiście Józef Kempa – sekretarz Komitetu Warszawskiego – zwrócił się sekretarz propagandy (podległy mu) Andrzej Łukaszewicz, żebyśmy mu dostarczyli materiałów historycznych dotyczących Zamku. To zadanie Wysznacki [redaktor naczelny „Stolicy”] zlecił mnie, co było rzeczą oczywistą, bo ja prowadziłem dział historyczny. Porozumiałem się z Łukaszewiczem, który powiedział, żeby napisać projekt apelu. Ja go napisałem, przyjęty został szczęśliwie bez żadnych zmian. Zgodnie z naszymi przekonaniem określiłem tam Zamek, jako symbol suwerenności Polski. Jednocześnie dostarczyłem w jakiejś obszernej notatce podstawowe informacje dotyczące Zamku, jego budowy i jego zniszczenia, które prawdopodobnie zostały wykorzystane w referacie, który miał Kępa, który inaugurował to posiedzenie Komitetu Społecznego, na którym nie byłem. Fragment wyjaśnień Leszka Moczulskiego na procesie lustracyjnym, 23 I 2014 r. (spisano z nagrania dźwiękowego).

ZAMEK NA UJAZDOWIE⁸

Zapadła ostatnio decyzja rekonstrukcji zamku na Ujazdowie. Rozpoczyna ona nowy rozdział w zawiłkanej i niełatwej historii tej budowli. Mało kto pamięta, że w tym właśnie rejonie ówczesnej Warszawy, jeszcze przed powstaniem miasta, mieścił się najstarszy gród naszej stolicy. Wzniesiono go na wysokiej skarpie, tuż nad szeroką doliną Wisły, która zresztą płynęła nieco bardziej na zachód niż obecnie. Już dzieje pierwszego, drewnianego grodu przebiegały tragicznie. Dwukrotnie został zdobyty i spalony. Raz w 1262 r. przez Rusinów i Litwinów, a po raz drugi, w 1281 r. w trakcie walk dynastycznych między Piastami Mazowieckimi. Wybitny badacz dziejów Warszawy, Juliusz W. Gomulicki wiąże bezpośrednio zniszczenie zamku książęcego na Ujazdowie w 1262 r. z decyzją budowy Warszawy i nowego grodu książęcego na obszarze, gdzie dzisiaj wznosi się Zamek Królewski.

Odbudowany po dwu opresjach XIII-wiecznych, drewniany dworec przetrwał aż do drugiej połowy XVI wieku. Wprawdzie rezydencja Książąt Mazowieckich przeniesiona została do Zamku w Warszawie, na Ujazdowie mieli oni jednak siedzibę letnią i dwór myśliwski. Gdy Mazowsze zostało inkorporowane do Korony, gródek ujazdowski przeszedł na własność króla Zygmunta Starego. Na mocy jego testamentu, w 1548 r. dwór otrzymała królowa wdowa Bona: tutaj na Ujazdowie umieściła ona swoją główną rezydencję i centralę licznych dóbr rozsianych po całej Rzeczypospolitej. Ponieważ stary dwór nie starczał na potrzeby królowej, kilkaset metrów na północ, też nad skarpą, wzniosła ona nowy wielki pałac drewniany w stylu przypominającym nieco włoską willę. Po śmierci Bony Ujazdów wrócił do rąk królewskich. Rezydowała tutaj często córka Bony Anna Jagiellonka, a następnie także jej mąż król Stefan Batory. Gdy w roku 1578 odbywały się uroczystości zaślubin najbliższego współpracownika króla Jana Zamoyskiego z Krystyną Radziwiłłówną, właśnie w tym dworze odbyła się uroczysta premiera „Odprawy posłów greckich” Jana Kochanowskiego. Po śmierci Batorego Ujazdów przejął nowy król, wnuk Zygmunta Starego – Zymunt III Waza.

Król Zygmunt III zwrócił uwagę na zalety Ujazdowa i postanowił tutaj wznieść sobie nową rezydencję, odpowiednio godną. W roku 1606 zaczęto wznosić murowany zamek na skarpie, położony mniej więcej w połowie drogi między dawnym dworem piastowskim a willą królowej Bony. Zapewne zamek projektował wybitny architekt Jan Trevano, a budował Mateusz Castello. Budowla powstała i zaczęła być użytkowana szybko. Wiemy, że w 1611 r. gościł tutaj Jan Zygmunt, elektor brandenburski. W 1627 r. Władysław IV tutaj właśnie postanowił urządzić uroczystości z okazji swych zaślubin, musiał najpierw zamek wyremontować i na nowo przyozdobić.

⁸ „Stolica” 1973 r., nr 32

Współcześni stwierdzają, że zamek ujazdowski należał do najwspanialszych budowli Rzeczypospolitej. Zbudowano go na planie niemal idealnego kwadratu, z obszernym podwórcem w środku, polskim stylem z trzech stron ozdobionym krużgankami. Gmach był jednopiętrowy, na wszystkich jego rogach wznosiły się nieco wyższe od budowli wieże. Przypominał on wyglądem zachowany do dziś a powstały w tym samym czasie Pałac Biskupi w Kielcach.

I połowa XVII wieku była najlepszym okresem w dziejach tego wielokrotnie niszczonego i ostatecznie barbarzyńsko zniszczonego zamku. Gdy w 1655 r. król szwedzki Karol Gustaw zdobył Warszawę i prawie całą Polskę, na zamku ujazdowskim urządził swoją główną rezydencję. Zamek wówczas wyglądał wspaniale. Zdewastowany przez uciekających Szwedów, rychło jednak stracił swą dotychczasową świetność. Król Jan Kazimierz nie miał funduszu na jego odbudowę. Przejściowo używał gmachu jako mennicy, a w 1668 r. podarował go podczaszemu wielkiemu koronnemu Teodorowi Denhoffowi. Podczaszys odsprzedał go z czasem wielkiemu marszałkowi koronnemu Stanisławowi Herakliuszowi Lubomirskiemu, co potwierdził Sejm specjalną uchwałą, wydaną w roku victorii wiedeńskiej – w 1683 r. Lubomirski postanowił urządzić na Ujazdowie główną rezydencję swego rodu. Zadanie odbudowy, a raczej przebudowy zamku powierzył może najwybitniejszemu architektowi tej epoki, Tylmanowi z Gamenen. Kształt zewnętrzny zamku pozostawiony został prawie bez zmian, a więc zachował późnorenesansową sylwetę i elewację w stylu Wazów. Wnętrza zostały jednak opracowane na nowo, w barokowym stylu Jana III. W 1690 r. przebudowa zamku została ukończona, a zapewne do końca stulecia powstał wokół budynku obszerny, bogato zdobiony park. Całość ponownie została uznana za jedną ze wspanialszych rezydencji w Polsce.

Choć przeznaczony na siedzibę rodu, zamek nie znajdował się długo w rękach Lubomirskich. Ujazdów spodobał się bardzo królowi Augustowi II Mocnemu i kolejny właściciel zamku, starosta spiski Teodor. Lubomirski w 1726 r. odstąpił rezydencję monarsze. Wprawdzie transakcji tej nie zatwierdził Sejm, tak że zamek ujazdowski August trzymał na mocy dzierżawy. Liczył się jednak z faktem, że wcześniej czy później zamek stanie się jego formalną własnością i zlecił opracowanie planów szeroko zakrojonej przebudowy.

August III nie miał żadnych projektów wobec Ujazdowa, który nadal był formalnie własnością Lubomirskich. Dosłownie na kilka miesięcy przed śmiercią ostatniego Sasa, Elżbieta Lubomirska i syn jej Kacper sprzedali Ujazdów stolnikowi litewskiemu, Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu. Ostateczna finalizacja transakcji nastąpiła już jednak nie ze stolnikiem – a z królem. Stanisław August za majątność ujazdowską, obszerną, obejmującą także dzisiejsze Łazienki zapłacił milion sto tysięcy złotych.

Przejęty przez Stanisława Augusta zamek nie znajdował się wcale w złym stanie, dla monarchy jednak był on urządzony staroświecko i król rozpoczął jego przebudowę. Pierwsze prace budowlane zaczęły się w 1766 r. Początkowo król zamierzał przebu-

dować jedynie wnętrza, a choć prace były już bardzo zaawansowane (od wiosny 1767 roku Stanisław August – jak planowano – miał zamieszkać na Ujazdowie), król postanowił zmienić również nie tylko elewacje, ale bryłę budynku. W 1769 r. król wreszcie zamieszkał na Ujazdowie, ale roboty budowlane dalekie były od zakończenia. W części budynku, m.in. w skrzydle zachodnim, a więc najbardziej reprezentacyjnym, trwały jeszcze prace. W 1770 r. oddano do użytku salę teatralną, rok później przerabiano fasadę; prawdę mówiąc, prace te nigdy nie zostały zakończone. W opracowaniu projektów uczestniczył zapewne Jakub Fontana, choć głównie czynny był Dominik Merlini. Pracami kierował aż do 1772 r. August Moszyński. Prace malarskie wykonywali Canaletto i Piliement. Niektóre wnętrza – jak na przykład Salę Audiencyjną projektował Pleresch, Salę Balową Schroeger. Przy wnętrzach pracowali także malarze Smuglewicz, Scisło, Maraino, rzeźbiarze Pinck i Monaldi.

Gdzieś około 1775 r. król stracił serce do Ujazdowa. Przebudowa zamku daleka była w tym czasie do ukończenia. 21 maja 1784 r. zamek zostaje oddany przez króla na rzecz miasta Warszawy z przeznaczeniem na koszary wojskowe. Do nowej funkcji przystosował budynek wybitny architekt

Stanisław Zawadzki. Podwyższył on cały zamek do wysokości dwu pięter, usunął wszelkie dekoracje i całością nadał prosty i surowy styl klasycystyczny. W 1784 r. zamek zaczyna pełnić nową funkcję. Koszaruje tutaj regiment szefostwa Działyńskich. Podczas Insurekcji Kościuszkowskiej ten słynny regiment stąd wyrusza w bój, spiesząc na pomoc ogarniętej rewolucją Warszawie.

Późniejsze dzieje zamku są mało efektowne. Po rozbiorach mieszczą się tutaj koszary pruskie, w 1807 r. zamek obejmuje wojsko polskie Księstwa Warszawskiego. W 1809 r. gmach zostaje przeznaczony na szpital wojskowy i służy on zarówno armii Księstwa Warszawskiego, jak i Królestwa Polskiego, podczas Powstania Listopadowego będąc centralnym szpitalem wojskowym. Z czasem wokół zamku powstaje wojskowy szpital ujazdowski. Zostają wzniesione nowe pawilony, a w 1852 r. zamek poddany zostaje kolejnej przebudowie. Szpital mieści się tutaj aż do II wojny światowej. We wrześniu 1939 r. zamek ostrzeliwany jest ze wschodniego brzegu Wisły przez niemiecką artylerię i bombardowany z powietrza; niszczy go pożar. Podczas okupacji stoi ruiną, a w pobliskich pawilonach nadal pracuje szpital ujazdowski. Taki stan rzeczy trwa aż do Powstania.

Po wojnie podnoszone były różne projekty odbudowy stojących murów zamkowych. Ostatecznie jednak w 1954 r. zapadła decyzja ich rozebrania. Pozostały jedynie fundamenty i piwnice zamkowe.

Na tych starych fundamentach zrekonstruowany teraz zostanie na nowo zamek, który przeszedł tak trudną i nieszcześliwą historię.

L. M.

* * *

CZY ROUSSEAU MYLIŁ SIĘ⁹

Do dzisiaj jeszcze żywe zdumienie budzi opinia, którą przed dwustu laty wydał Jean-Jacques Rousseau. Zapytany przez Wielhorskiego, jak należy zreformować Rzeczpospolitą, wielki filozof i ojciec duchowy Rewolucji Francuskiej odpowiedział traktatem; w swych „Uwagach nad rządem polskim” Rousseau stwierdził, że ustroj Rzeczypospolitej jest nieomal znakomity i przewyższa angielski (*vaut mieux que celle de Grande Bretagne*¹⁰). Opinia to zdumiewająca, jeśli osadzić ją w realiach czasu. Wówczas, w połowie XVIII wieku Wielka Brytania stanowiła klasyczny przykład ideału ustrojowego, przedmiotu westchnień pisarzy politycznych i myślicieli całej Europy. Polska zaś? Tonęła w bezwładzie czasów saskich; „klęskom politycznym towarzyszył bezrząd wewnętrzny” – napisze Władysław Smoleński; ocena wymowna, bo ten właśnie dziejopis występował przeciwko czarnym obrazom przeszłości tworzonemu przez szkołę krakowską. I oto sam Rousseau, porównując podziwianą przez wszystkich Wielką Brytanię z pogardzaną przez wszystkich Rzeczpospolitą – Polsce przyznał palmę pierwszeństwa, jej ustroj pochwalał, stawiał za wzór dla Europy.

Pomyłka? Wielki filozof nie znał ustroju polskiego, chwalił za to, czego ten nie posiadał? A może pisał przez przekorę? Skąd tenor jego „Uwag nad rządem polskim”?

Nie było pomyłki; w każdym razie to nie Rousseau mylił się. Znał dobrze ustroj I Rzeczypospolitej; by odpowiedzieć na postawione przez Wielhorskiego pytanie, przeprowadził obszerne studia, których rezultatem stała się ważka przeciw książka. Nie pisał przez przekorę. Pisał jednak o czymś innym, niż odczytywali to odbiorcy jego pracy. Rousseau zajmował się ustrojem Rzeczypospolitej – a więc konstrukcją prawną; również doktryną polityczną, która legła u jego podstaw. Badał cele, dla których powołano instytucje oraz ducha, przyświecającego ustawom. Odbiorcy mieli przed oczami coś zupełnie innego: funkcjonowanie ustroju, realizowaną politykę czy też jej brak, błędną działalność lub bezczynność instytucji, praktykowaną wykładnią ustaw.

Taka pomyłka zdarzała się nie tylko z odczytywaniem Rousseau i nie tylko z oceną ustroju I Rzeczypospolitej. Częściej chyba w naszej historii ludzie pióra i ludzie czynu mylili dwie różne sprawy: założenia ustrojowe oraz praktykę ustrojową. Milcząco niejako zakładano identyczność tych dwu sfer. Stąd i rodziły się nieporozumienia i pomyłki, które miały znaczenie nie tylko teoretyczne, lecz wyciskały krytyczne piętno na realnej rzeczywistości. Uważano często, że wystarczy osiągnąć jakiś cel, określany pojęciem oderwanym, a od tej pory wszystko potoczy się wspaniale; gdy nie toczyło się, wątpiono w słuszność samego celu. Ot, na przykład, takim celem i dłużej niż przez cały wiek XIX stało się odzyskanie Niepodległości. W powszechnych ocenach oznaczała ona kres wszystkich udręk i automatyczne rozwiązanie wszelkich problemów. Najpięk-

⁹ „Stolica” z 1971 r., nr 13.

¹⁰ *Jest lepszy niż w Wielkiej Brytanii* (franc.)

niej ujmował to Mickiewicz, inni – nie tak wysublimowanymi słowy – powtarzali to milionkroć. Przyszła wreszcie ta Niepodległość tak upragniona i okazało się wtedy, że wcale nie usunęła całego zła z ojczyzny: trudne problemy nadal czekały na rozwiązanie, nawet ich przybyło. Niepodległość bowiem – czyli narodowa możliwość zarządzania się samemu, stanowienia o sobie samym – otwiera dopiero możliwości dalszego działania, pozwala na podejmowanie decyzji własnych i we własnym narodowym interesie¹¹, a nie w interesie mocarstw zaborczych. Jest rzeczą wielką, ogromną, najważniejszą – lecz nie stanowi antidotum na wszystkie bolączki.

Inny przykład: oto praktykę ustrojową, niedobłą, karygodną nawet, lecz wynikającą z wadliwych działań ludzi często nierozumiejących sensu idei, której mieli służyć – przenosi się na krytykę ustroju i ducha, który legł u jego podstaw. Właśnie dlatego tak trudno jest zrozumieć opinię Rousseau. Jeśli bowiem przez całe panowanie Augusta Trzeciego wszystkie sejmy – poza jednym, pacyfikacyjnym roku 1736 – nie doszły do skutku, bo zostały warcholsko zerwane, jeśli nawet zerwano 1749 r. sesję Trybunału Piotrkowskiego, pozostawiając ziemie wielkopolskie bez wymiaru sprawiedliwości, to cóż za androny wypisuje ten wolnomyślny Francuz, jakby blekotu się najadł?

Wprawdzie już wówczas, w każdym razie na przełomie XVIII i XIX wieku pewne fakty pobudzały do refleksji. Prusy były państwem, którego rozwój i siła imponowały powszechnie; Jena i Austerstädt wykazały, że starczył jeden dzień, aby „tak wielka potęga tak marnie, paskudnie i podle rozsypała się w proch”. Polska – „pośmiejch narodów” – w chwili śmiertelnego zagrożenia zreformowała się wewnętrznie, stanowiąc Konstytucję 3 Maja („która jest lepsza niż angielska” – zanotował postronny, baczny a wrogi nam obserwator), a następnie zrywając się do Insurekcji. Te historyczne pointy były sprzeczne z powszechnymi opiniami, wcześniejszym powszechnym sądem o Rzeczypospolitej i o Prusach.

Wróćmy do Rousseau. Czy mylił się? Gdy wykreślimy wyraźną granicę między pojęciem samego ustroju a praktykami występującymi w trakcie realizacji założeń ustrojowych, inaczej przyjdzie nam spojrzeć na opinię wielkiego myśliciela. I wtedy musimy zadać sobie pytanie: może to właśnie Jean-Jacques Rousseau miał rację?

LESZEK MOCZULSKI

* * *

¹¹ W Konfederacji Polski Niepodległej wielokrotnie to podkreślaliśmy, że odzyskanie niepodległości nie jest celem samym w sobie, ale jest jedynie warunkiem *sine qua non* rozwiązania wszystkich problemów. Z tego też powodu IV Kongres KPN w 1992 roku podjął decyzję o dalszym istnieniu Konfederacji. Zob. *Tezy programowe Konfederacji Polski Niepodległej uchwalone przez IV Kongres*, III 1992 (tekst dostępny w Internetowym Archiwum KPN w zakładce „Dokumenty KPN”).

UCHWALENIE KONSTYTUCJI 3 MAJA¹²

Wczesnym rankiem 3 maja 1793 r. tłumy ludności poczęły gromadzić się na placu Zamkowym, przed Zamkiem Króla Jegomości i Rzeczypospolitej. Krążyły niejasne pogłoski, że wydarzy się coś wielkiego. Jedni mówili, że sam król Stanisław August tegoż dnia ma przyjąć prawo miejskie, czyli stać się warszawskim mieszczaninem; inni wywodzili, że stronnictwo konserwatywne rugować będzie z Sejmu jego Marszałka Stanisława Małachowskiego i grupę posłów za to, że 29 kwietnia na ratuszu przyjęli prawa miejskie. Zresztą nikt prawie nie wiedział, co się zdarzy, choć wszyscy byli przekonani, iż nastąpi coś wielkiego. Królewscy hulani, których gęste posterunki otaczały Zamek i przejścia do Sali Sejmowej, byli widowym dowodem, iż na coś się zanoszą.

Zanosilo się już od dawna. Patriotyczne stronnictwo reform krok po kroku na sesjach Sejmu Wielkiego przeprowadzało coraz to nowe postanowienia, ale szło to bardzo powoli, ślamazarnie nawet – wobec sprzeciwów sejmowej konserwy, mocnej wpływami i pieniędzmi, a zwłaszcza opieką możnego ambasadora carycy Katarzyny – Bułhakowa. Aby przyspieszyć dzieło naprawy Rzeczypospolitej, postanowiono ułożyć projekt konstytucji, całościowo wprowadzający reformy, w stosownej a dogodnej chwili wnieść go pod obrady i uchwalić „bez deliberacji i przez aklamację”. Przywódcy nurtu reformatorskiego, a wśród nich Stanisław Małachowski, Ignacy Potocki, marszałek wielki litewski, ks. Hugo Kołłątaj, kasztelan raciański Mostowski, posłowie inflanccy Weyssenhoff i Niemcewicz, brzesko-litewski – Małaszewicz, krakowski – Sołtyk, postanowili dopuścić do tajemnicy króla. Kontakt został nawiązany przez sekretarza Stanisława Augusta, ks. Scypiona Piattoliego – i od tej pory potajemne narady odbywały się w mieszkaniu tego ostatniego, na II piętrze Zamku.

Czas naglił, projekt konstytucji był gotów, najważniejsze polegało na uniemożliwieniu działania konserwatywnej opozycji. W tym celu postanowiono wykorzystać święta Wielkiejnocy. Po feriach świątecznych posłowie zazwyczaj zjeżdżali do Warszawy powoli, opóźniając się nieraz po kilka tygodni. Dlatego na dzień uchwalenia konstytucji wyznaczono 5 maja, tuż po świętach. Do wypróbowanych posłów, na których głosy i zachowanie tajemnicy można było liczyć, król rozesłał listy wzywające do rychłego przybycia na sesję.

Niestety w ostatniej chwili tajemnica się wydała: o projekcie konstytucji król powiadomił kilku dygnitarzy, a wśród nich Jacka Małachowskiego, kanclerza wielkiego koronnego, młodszego o dwa lata brata Stanisława, marszałka sejmu i jednego z przywódców stronnictwa reform. Jacek Małachowski zdradził tajemnicę przed Bułhakowem. Ten wezwał natychmiast przywódców konserwatywnej opozycji i na gwałt zaczęto ściągać stronników spoza Warszawy. Te przygotowania oponentów nie uszły

¹² „Stolica” z 1971 r., nr 18.

uwadze grupy reformatorów. Postanowiono przyspieszyć jeszcze bardziej uchwalenie konstytucji i wyznaczono termin na dzień 3 maja. Poprzedniego dnia w mieszkaniu Stanisława Małachowskiego zebrało się 83 posłów sejmowych i podjęto pisemne zobowiązanie głosowania nazajutrz za konstytucją. Wieczorem w pałacu Radziwiłłowskim (obecnie namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu) urządzono zebranie w bardzo obszernym składzie; współczesny pamiętnikarz zanotował, że tłoczyło się „mnóstwo szlachty i mieszczan, senatorów i księży”. Przemawiał podstoli koronny Stanisław Sołtyk, mówiąc o krzywdach wyrządzanych przez carycę ojczyźnie. Odczytano projekt konstytucji, przyjęty z aplauzem.

Tegoż 2 maja tłumna narada odbyła się również w mieszkaniu Bułhakowa. Deliberowano, jak przeszkodzić uchwaleniu konstytucji. Roli głównego oponenta podjął się Suchorzewski, poseł kaliski.

Długo przed rozpoczęciem sesji sejmowej przed zamkiem zaczął zbierać się tłum. Mieszczanie wypełnili tłumnie salę sejmową, tłoczyli się w łóżach galerii na antresoli, zajmowali ławy poselskie, grupowali tuż przy barierze marszałkowskiej. Spieszący na sesję sejmową posłowie z trudem nieraz przeciskali się przez zebrane tłumy. Panował nastrój ogólnego podniecenia.

Posiedzenie zagałę o godzinie jedenastej marszałek Małachowski, zgodnie z planem proponując rozpoczęcie obrad od odczytania depeš od polskich agentów dyplomatycznych. Zaraz potem Suchorzewski, Sołtyk i kilku innych posłów naraz poprosiło o głos. Otrzymał go Sołtyk, który żądał natychmiastowego czytania depeš, a jeśli wiadomości są groźne, natychmiastowego podjęcia niezbędnych decyzji. Tuż po nim Suchorzewski głośno, niemal krzykiem, domagał się udzielenia głosu, twierdząc, że ma „wielkie a okropne rzeczy do wyjawienia”. Obawiano się, aby obrady nie zostały zatomowane. Głos więc zabrał sam Stanisław August, zalecając odczytanie depeš. Wtedy Suchorzewski przecisnął się przez zbitą ciżbę, padł przed tronem na kolana i począł wykrzykiwać: „Uknowaną została rewolucja na zgubę wolności! Dla łatwiejszego przeprowadzenia projektu konstytucji, ułożonego w tajemnicy, chcę sejm przerazić zmyślonemi wiadomościami z zagranicy o niebezpieczeństwie rozbioru Rzeczypospolitej. Protestuję!”.

Szum na ławach poselskich i wśród zgromadzonych arbitrów, czyli osób przysłuchujących się obradom, nie pozwolił Suchorzewskiemu na dłuższe kontynuowanie wywodu. Większość posłów głośno zaczęła domagać się odczytania depeš. Tadeusz Matuszewicz odczytał wówczas raporta, z których wynikało, iż grozi porozumienie między Berlinem i Petersburgiem na zgubę ojczyzny. Gdy skończył, poderwał się Ignacy Potocki i w krótkiej przemowie wezwał króla, aby „wskazał środki ratunku”. Stanisław August stwierdził, że jedynie silny rząd jest w stanie uratować Rzeczpospolitą, a projekt potrzebnych zmian został już przygotowany. „Prosimy o projekt! Prosimy o projekt!” – rozległo się z ław poselskich. Siarczyński, sekretarz sejmowy, odczytał przygotowany tekst konstytucji. Rozległy się wówczas gorące okrzyki aprobaty

ze strony większości posłów, a do nich swe wiwaty dołączyli arbitrzy. Suchorzewski porwał wówczas za rękę swego nieletniego syna, wbiegł na środek sali i zaczął krzyzcze: „Zabiję siebie i swoje dziecko, by nie doczekało niewoli pod nową konstytucją”. Ośmieleni tą melodramatyczną sceną, inni przeciwnicy konstytucji poczęli zrywać się z miejsc, protestować, domagać się, aby projekt konstytucji został poddany pod staranną dyskusję. Zwolennicy reform głośno odrzucali ich zarzuty, coraz bardziej stanowczymi głosami domagając się poddania konstytucji pod głosowanie. Gwar i hałas powiększały się coraz bardziej, groziło, że obrady przekształcą się w tumult – zwłaszcza że część posłów posiadała szable i niejednen zadziorny szlachciura już szukał dłonią karabeli. Zabrał wówczas głos król, prosząc Małachowskiego o liczenie głosów. Małachowski wezwał przeciwników konstytucji, aby podnieśli się z miejsc, celem policzenia sprzeciwów. Manewr ten nie powiódł się jednak. Przedstawiciele partii konserwatywnej znów wystąpili z mowami, domagając się powtórnego odczytania tekstu konstytucji, ponieważ, jak twierdzili, panujący w sali hałas nie pozwolił im na zapoznanie się z jej treścią. Projekt więc odczytano ponownie, opozycjoniści głośnymi krzykami przerywali jednak sekretarzowi i zagłuszali jego słowa. Znów zaczęło narastać zamieszanie, krzyżowały się krzyki i groźby.

Wtedy poseł inflancki Michał Zabiello zwrócił się wprost do króla, aby ten natychmiast zaprzysiągł konstytucję. Projekt ten wywołał żywy aplauz części posłów i wszystkich arbitrów. Zza okien sali sejmowej dobiegały okrzyki tłumy, zebranego na placu. Wiedzano już tam, w czym rzecz, i domagano się natychmiastowego przyjęcia konstytucji.

Senatorowie i posłowie zrywają się z miejsc, tłoczą pod tronem, domagają natychmiastowego zaprzysiężenia ustawy. Suchorzewski pada na ziemię, krzycząc: „Po moim trupie!”. Marszałek Stanisław Małachowski przekrzykując rozgwar, trzykrotnie pyta, czy Sejm projekt przyjmuje. Za każdym razem głośny chór głosów odpowiada mu: Zgoda! Biskup krakowski ks. Feliks Turski głośno czyta rotę przysięgi, którą za nim powtarza łamiącym się nieco ze wzruszenia głosem Stanisław August. Następnie król wzywa zebranych, aby wszyscy wspólnie udali się do Katedry Św. Jana i złożyli tam przysięgę na konstytucję. W zamieszaniu senatorowie, posłowie i arbitrzy wychodzą. Na placu Zamkowym manifestuje tłum. Marszałkowie sejmowi zostają przez mieszczan zanieśieni do Katedry na rękach. Już w głównej nawie marszałek konfederacji litewskiej Kazimierz Nestor Sapieha, związany silnie z opozycją, występuje z przemówieniem, w którym poddaje krytyce niektóre postanowienia konstytucji; wobec nastrojów zebranych oświadcza jednak, że opowiada się za nią „dla nierozdzierania jedności narodu”. Ks. biskup Turski odczytuje ponownie rotę przysięgi, którą po nim powtarzają głośno zebrani, wypełniając po brzegi Katedrę. Biskup smoleński ks. Tymoteusz Gorzeński intonuje uroczyste Te Deum. Z pobliskiego dziedzińca dobiega huk dział strzelających na wiwat. Powszechna radość ogarnia tłumy wypełniające Katedrę i tłoczące się na pobliskich ulicach.

Konstytucja 3 maja została uchwalona. Senatorowie i posłowie wracają do sali sejmowej, gdzie już spokojnie i bez dramatycznych epizodów podpisują akt wiekopomnej ustawy.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

CZEGO ZABRANIA WOLNOŚĆ¹³

*Mente et malleo*¹⁴, myślą i młotem czynów wznosiły pokolenia dawną Rzeczpospolitą, zaś gmach jej wsparty został na rozmyślnie wybranych fundamentach. Wśród nich znajdowało się prawo kardynalne, zwane żrenicą wolności – zasada liberum veto. Wieki minęły i taż zasada, niegdyś przedmiot ogólnej dumy została przez wszystkich potępiona. Prawda jednak leży pośrodku, bo nie liberum veto stało się główną przyczyną upadku Rzeczypospolitej, choć ujemne konsekwencje wyrodzonego posługiwanie się tą zasadą dostrzeże każdy.

Było i pozostało liberum veto jedną z najpiękniejszych i najszlachetniejszych zasad, jakie stworzyła prawno-polityczna, demokratyczna myśl ludzkości. Stwierdzała, że decyzje dotyczące ogółu, jedynie ogół może podejmować, *unaniter*¹⁵ – wszystkimi głosami. Systemy większościowe sprowadzają się do narzucania zdania i woli tym, którzy znajdują się w mniejszości. Opinia większości nie musi być jednak zawsze słuszna. Mniejszość (nawet pojedynczy człowiek), może mieć, wbrew zdaniu innych, rację. Pierwszy z brzegu przykład: iluż to ludzi na świecie, a choćby iluż rewolucjonistów przyznawało rację Karolowi Marksowi¹⁶? A ilu opowiadało się za myślą Prudhomne? W stulecie Komuny Paryskiej dobrze jest zestawzić te dwa nazwiska. Dzisiaj myśl Marksa przyjmują setki milionów ludzi, o Prudhomne pamiętają nieliczni erudyci. Jeśli zatem jednostka może (choć nie musi) mieć słuszość, czy przyznawanie w każdym wypadku racji większości jest usprawiedliwione i rozsądne? Należy podejmować decyzje najdoskonalsze, nie najpopularniejsze. Liberum veto miało gwarantować stanowienie najślusznějších ustaw. Takich, które w toku swobodnej dyskusji zesłały wszechstronnie zbadane, aby po wyważeniu wszystkich argumentów, wszyscy mogli się za nimi opowiedzieć. Jak długo ktoś był odmiennego zdania, trwał dialog, gdyż właśnie ta jednostkowa opinia mogła być najdoskonalsza.

Sami sobie zadajemy pytanie: jeśli zasada była tak dobra, dlaczego wyniki okazały

¹³ „Stolica” z 1971 r., nr 23.

¹⁴ *Myślą i młotem* (łac.) – dewiza podkreślająca znaczenie wysiłku intelektualnego i wysiłku fizycznego.

¹⁵ *Jednomyślnie, zgodnie* (łac.).

¹⁶ Powołanie się na Marksa w kontekście tych wywodów wygląda na kpinę.

się źle? Rozważania na temat przyczyn rażących często dysproporcji między duchem ożywiającym najszlachetniejsze ustawy i ideały a praktyką ich wykonywania zaprowadziłyby nas zbyt daleko. Stwierdzić tylko warto, że nic bardziej nie niszczy i nie degeneruje ustroju niż jego utopijne założenia: doktrynalny idealizm zabija powołane przez siebie do życia zasady. Tak było z liberum veto w dawnej Rzeczypospolitej.

„Za najświetniejszych czasów sejmowania polskiego – pisał Bobrzyński – większość głosów rozstrzygała zarówno w senacie, jak i w izbie poselskiej”. Tak działało się przez cały wiek: mniejszość dawała się przekonywać, a co najmniej nie zakładała sprzeciwu. Zasada liberum veto obowiązywała, a co więcej nieprzerwanie działała, choć nie musiało się nią posługiwać. Była hamulcem ważnym i istotnym, o którym pamiętała zarówno większość, jak mniejszość. Stanowiła ważny instrument wewnętrznej równowagi. Niezbędnej równowagi. Trudno kwestię rozpatrywać w wymiarach jednostki. Sięgnąć do hamulca, zawołać liberum veto mógł wprowadzić pojedynczy poseł, ale nie był to jego głos jednostkowy. Za każdym poselskim głosem stało zdanie sporego środowiska, przedyskutowane na sejmiku, sformułowane w ścisłych i obowiązujących instrukcjach, jakie wyborcy dawali swemu przedstawicielowi. Łatwiej jest skłonić jednostkę do przyjęcia poglądów większości, niż pogodzić ścierające się partykularyzmy i odmienne racje grupowe. A przecież tych partykularyzmów i odmiennych racji, obowiązujących posłów, w dawnej Rzeczypospolitej nie brakowało. Gdyby nie hamulec ustrojowy, zasada liberum veto, partykularyzmy te zapewne silniej dochodziłyby do głosu.

Nic, co ludzkie, wieczne. W połowie XVII wieku to względnie pomyślane liczenie się z zasadą liberum veto osiągnęło swój kres. Mniejszość, z różnych przyczyn, do których oddzielnie wrócimy, nie chciała podejmować dyskusji, które by ją mogły przekonać. Nie godziła się na postanowienia większości. Ta ostatnia utraciła dawny umiar, przestała dbać o zachowanie równowagi. Coraz częściej tamowano czynności sejmu – *sistere activitatem*¹⁷. Nie dopuszczano w ten sposób do podejmowania jakichkolwiek decyzji. Zaś bez decyzji państwo nie może działać.

Jest to szczególnie pouczająca lekcja historii: zasada ustanowiona wyłącznie w tym celu, aby uniemożliwić dyktaturę większości nad mniejszością, doprowadziła automatycznie do ustanowienia dyktatury mniejszości nad większością. Równocześnie przekreślano to, co w ustroju było najcenniejsze: pochodzenie władzy najwyższej i decyzji ogólnonarodowych od mandatu ogółu. Sejm bowiem można było zerwać. Wstrzymanie czynności Rzeczypospolitej jest niemożliwe. W ten sposób, gdy sejm nie mógł stanowić uchwał, niezbędne decyzje podejmowane były poza tym konstytucyjnym naczelnym organem przedstawicielskim. Dochodziły do głosu pozakonstytucyjne grupy nacisku, konwentykle, możne koterie, mafie, kliki i frakcje – te zaś z reguły forsowały swe jednostkowe racje i grupowe interesy. Demokracja pożerała demokrację, władza konstytucyjna ustępowała swoistej dyktaturze, nie kontrolowanej i tym groźniejszej,

¹⁷ *Wstrzymać aktywność* (łac.).

że powołujące się na szczytne ideały wolności i sprawiedliwości. Tak postępuje wynaturzanie się ustroju, pełen odwrót od jego założeń i ideałów. Proces szczególnie groźny, bowiem im bardziej nierealne, utopijne są założenia ustrojowe, konfrontacja z rzeczywistością staje się tym bardziej dramatyczna, a degeneracja ustroju nieunikniona i brzemienna klęskami.

Liberum veto oparto na przekonaniu, że prawdziwa jednomyślność zawsze jest możliwa. Był to wymóg nie do spełnienia. Zasada liberum veto, ustanawiając dyktaturę mniejszości nad większością, preferowała interesy i poglądy niepodzielane przez większość społeczeństwa. Utrwalała się praktyka decydowania przez nieliczną mniejszość, w majestacie najwyższego prawa i najszlachetniejszej doktryny, za ogół.

Sto pięćdziesiąt lat naszej historii, pomiędzy połową XVII a schyłkiem XVIII stulecia wypełnione było procesami, o których mowa wyżej. Nic chyba bardziej karygodnego od próby zapomnienia nauk, jakie płyną z tamtego czasu. Do nauk tych i przyczyn – czemu właśnie liberum veto poświęciliśmy odrębny felieton – wrócimy zresztą niebawem.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

POWSTANIE W WARSZAWIE 17–18 KWIETNIA 1794 (1)¹⁸

Sto siedemdziesiąt pięć lat temu Warszawa powstała – przeciwko najeźdźcy i w imię rewolucji. Święte dni – jak określili współcześni czwartek 17 i piątek 18 kwietnia 1794 roku – były wydarzeniem przełomowym. Nie tylko dla Insurekcji Kościuszkowskiej. Po raz pierwszy w takiej skali w imię wolności ojczyzny stanęły do walki masy nie-szlacheckie, nie mające większych tradycji walk wyzwolenńczych. Wcześniej, w dobie Sejmu Czteroletniego, Warszawa słowem opowiedziała się za programem reform; teraz krwią zdała egzamin czynu.

Insurekcja Kościuszki rozpoczęta 24 marca w Krakowie, mimo Raclawic mogła zadusić się w braku oddechu. Dopiero powstanie w Warszawie oraz późniejsze o kilka dni powstanie jakobińskie w Wilnie przekształciły krakowski zryw w Insurekcję ogólnopolską.

*

Warszawa nie była gotowa do powstania. Aresztowania rozbiły w końcu marca organizację spiskową. Stanisław August i dość silne ugrupowanie dworskie przeciwny był powstaniu. W stolicy skupili się czołowi działacze satelicy i otwarci zdrajcy, dzierżący w swych rękach najwyższe urzędy, z marszałkiem Rady Nieustającej (tj. szefem rządu) Józefem Ankwiczem i naczelnym dowódcą hetmanem Piotrem Ożarowskim na czele.

¹⁸ „Stolica z 1969 r., nr 16.

Wydawało się, że sytuacja Igelströma, który zgromadził w Warszawie ok. 8 000 żołnierzy carskich jest dostatecznie mocna.

Z początkiem kwietnia przybyły do Warszawy emisariusz Kościuszki Tomasz Maruszewski zastaje organizację spiskową rozbitą. Dwudziestopięcioletni wysłannik Naczelnika dokonuje niemal cudu – w krótkim czasie na gruzach rozbitego sprzysiężenia tworzy Związek Rewolucyjny, tym razem o bardziej jednolitym, lewicowym charakterze. W skład Związku wchodziły radykalni oficerowie, poważną rolę odgrywał przywódca cechów Jan Kiliński.

W niedzielę palmową 13 kwietnia w mieszkaniu Kilińskiego przy ul. Dunaj zebrało się około setki spiskowców wojskowych i cywilnych. Po dłuższej dyskusji podjęto decyzję rozpoczęcia powstania w najbliższym czasie. Dwa dni później, piętnastego, w koszarach artylerii na rogu Gęsiej i Dzikiej (mniej więcej na rogu obecnych Anielewicza i Zamenhofa), na kwaterze por. Kubickiego, odbyła się ostatnia parada. Przewodniczył kpt. Ropp. Ustalono termin wybuchu: Wielki Czwartek, 17 kwietnia, godzina piąta rano. Sygnałem miał być wystrzał armatni spod Cytadeli i dzwony warszawskich kościołów...

*

Szef sztabu carskiego, a zarazem agent pruski, gen. Jan Jakub Pistor opracował plan poskromienia Warszawy. Zgrupowania carskie rozmieszczono tak, że blokowały jednostki polskie oraz poszczególne dzielnice. Na dany rozkaz miano obsadzić Arsenał i spacyfikować poszczególne rejony Warszawy. Jak się zdaje, zamierzano uczynić to w Wielką Sobotę, 19 kwietnia, gdy ludność zgromadzi się w kościołach. Igelström rozkazał, by nabożeństwa odprawiano we wszystkich świątyniach o tej samej godzinie; umożliwiało to ich otoczenie i rozprawę z ludnością. Garnizon carski został postawiony w stan ostrego pogotowia. Oddziały całe noce spędzały pod bronią w specjalnych „zborniach”, dopiero po rannym apelu rozchodząc się na kwatery. Działa zatoczono na pozycje, po ulicach krążyły patrole kozackie. Wywiad carski, kierowany przez brygadiera Karola Baura, od początku Wielkiego Tygodnia spodziewał się wybuchu. Garnizon polski w Warszawie liczył ledwo 3 500 ludzi, porozrzucanych w odległych od siebie koszarach, blokowanych przez oddziały carskie. W stolicy znajdowały się regiment gwardii pieszej koronnej (koszary przy ul. Bitnej na terenie obecnej Cytadeli), regiment X szefostwa Działyńskiego (koszary ujazdowskie), dwie kompanie rozwiązanego już regimentu V fizylierów (kwatery wokół Arsenалу), regiment gwardii konnej koronnej (koszary mirowskie), pułk 5 przedniej straży (lekkiej jazdy), zwany ułanami królewskimi (kwatery na Mariensztacie), część pułku 4 przedniej straży, resztki korpusu inżynieryjnego i sześć kompanii artylerii (koszary przy Dzikiej) oraz drobniejsze jednostki, takie jak milicja municypalna Warszawy. Na Pradze, gdzie znajdowały się ogromne magazyny wojsk carskich, zajęte po brzegi przez generalnego dostawcę, Szmula Jakubowicza zwanego Zbytkowerem – nie było w ogóle regularnych wojsk polskich, a tylko batalion straży skarbowej.

Żołnierzy polskich wesprzeć miała ludność cywilna. Broń dla niej – podobnie jak i armaty oraz zapasy amunicji dla wojska – znajdowały się w Arsenale.

Garnizonem warszawskim dowodził gen. Jan August Cichocki, lecz nadzorował go osobiście zdradziecki hetman – Ożarowski. Dowódcy i wyżsi oficerowie głównych jednostek polskich albo starali się zachować stanowisko neutralne, albo opowiadali się po stronie Stanisława Augusta czy nawet hetmana Ożarowskiego, głosząc gotowość poprowadzenia swych oddziałów przeciwko buntującej się ludności. Młodszy oficerowie w większości byli odmiennych zapatrywań, znaczna ich część należała do sprzysiężenia lub była pod jego wpływem.

Dowódcą wojskowym powstania w Warszawie Kościuszko wyznaczył płka Filipa Haumana, dowódcę regimentu X Działyńskiego. Ten wzdrażał się przed przyjęciem nominacji; sprzysiężenia nie zwalczał, oglądał się jednak na Stanisława Augusta, od niego uzależniając swe działania.

Komendant garnizonu warszawskiego Cichocki w skomplikowanej sytuacji postanowił prowadzić własną politykę. Deklarując wierność zarówno hetmanowi Ożarowskiemu i Igelströmowi, jak też Stanisławowi Augustowi, za wszelką cenę pragnął utrzymać w swym ręku Arsenał. Zapewniało mu to wpływ na wydarzenia. Po odmowie Haumana sprzysiężeni nie mieli kandydata na dowódcę wojskowego; ostatecznie kolektywnie przygotowano plan wystąpienia zbrojnego i kolektywnie postanowiono nimi dowodzić; akcją kierowała grupka oficerów artylerii, którzy po wybuchu skupili się w Arsenale.

Wystraszony postępami powstania a zwłaszcza Raclawicami, z początkiem Wielkiego Tygodnia ambasador Igelström postanowił podjąć działania bardziej stanowcze. Planował zbrojną rozprawę z ludnością. Zażądał, aby centralne władze Rzeczypospolitej, formalnie niepodległej i suwerennej, powołały pod sąd sejmowy przywódców „rebelii Kościuszki” i ukarały ich zaocznie. Chciał, aby sami Polacy potępiili Polaków; oddziały carskie miały tylko dopomóc i rozgromić „anty państwowych i antynarodowych buntowników”.

Żądania Igelströma, który zresztą zgłosił gotowość wystąpienia w roli oskarżyciela przed sądem sejmowym – wywołały przestraszyć Rady Nieustającej. Ani król, ani jej członkowie nie chcieli aż tak bardzo palić za sobą wszystkich mostów. Kanclerz Antoni Sułkowski udał się w środę 16 kwietnia na Miodową, aby pokornie prosić Igelströma o odwołanie żądań. Ambasador przyjął go jak psa, zbesztiał i wyrzucił za drzwi. Kanclerz ledwo wrócił do Zamku, padł rażony apopleksją.

Ambasador carski zażądał zwołania Rady na piątą po południu; posiedzenie rozpoczęło się punktualnie. Za drzwiami sali obrad leżały zwłoki zmarłego kanclerza. Marszałek Ankiewicz odczytał żądania ambasadora, lecz nikt nie chciał zabrać głosu. Wreszcie Józef Zabiello stwierdził, że milczenie oznacza przecież zgodę. Podpisano pośpiesznie protokół.

*

Wielu nie spało tej nocy. W „zborniach” czuwały oddziały carskie, podobnie jak i znajdujący się na Marymoncie korpusik pruski gen. Wölcký’ego. W koszarach polskich sprysiężeni przeprowadzali ostatnie agitacje, ściągali spiskowcy cywilni. Przywódcy uzgadniali plany. Kiliński do jedenastej wieczorem odwiedzał wszystkich przywódców cechowych, później konferował w koszarach z oficerami. Zaopatrzył się tam jeszcze w amunicję, którą przewiózł do swojego domu. Tutaj sporządził testament...

Niespokojny Cichocki o północy objechał miasto, nic nadzwyczajnego nie dostrzegając. Warszawa była spokojna, pod Arsenalem stała pikiet kozacka.

Półtorej godziny później, o 3.30 rozpoczął się ruch w koszarach gwardii pieszej koronnej. Należący do spisku oficerowie postawili regiment pod broń. Starszyzna pułkowa spała, dowódcę regimentu płka Augusta Hiża obudzono jednak, aby wydał chorągiew pułkową; regiment chciał iść w bój pod swym znakiem. Hiż oponował, nie chciał ani iść z regimenterem do walki, ani oddać chorągwi; pod pistoletem zabrał ją mu por. Milfort.

Przed piątą, zostawiając 8 starszych oficerów, regiment wymaszerował z koszar. Głośny marsz wojska zbudził mieszczan z Zakroczymskiej, Franciszkańskiej, Gęsiej*, ludzie wybiegali z domów, spiesząc za wojskiem, wznosząc rewolucyjne krzyki. Regiment dotarł do koszar artylerii na Gęsiej; stąd jedna jego część, zabrawszy działa ruszyła obsadzić prochownię znajdującą się poza wałem otaczającym Warszawę, mniej więcej przy dzisiejszej ul. Okopowej w pobliżu wylotu Anielewicza, reszta ruszyła pod Arsenał.

Drugi pułk gwardii, regiment konny, również nie czekał na umówiony sygnał powstania. Przed 5.00 jednostka zebrała się; jej dowódca płk Dionizy Poniatowski postanowił iść wraz z regimenterem, choć Komendę pozostawił w ręku spiskowych. Tuż przed koszarami mirowskimi, przy Żelaznej Bramie, stały zatoczone na stanowiska działa baterii sztukunkra Mikołaja Titowa. Szwadron gwardii konnej dowodzony przez kpt. Kosmowskiego, rozpoczął niespodziewaną szarżę, zdobywając w mgnieniu oka baterię. Nadbiegła zaraz 11 rota grenadierów syberyjskich, która odbiła zagwożdżone już przez Polaków działa. Nie przyniosły też większego sukcesu ataki gwardii konnej na rotę 7 i 8, rozlokowane na Chłodnej. Mirowscy cofnęli się do koszar, gdzie napływała też nieprzerwanie ludność cywilna; to odpierali zbliżającego się wroga, to wypadali zaczepnie, przechodząc do ataku. Obudzone strzelaniną gromady Warszawiaków poczęły wybiegać na ulicę; tłum gromadził się zwłaszcza na pobliskim Lesznie i nie czekając na pomoc wojska, rozpoczął atakować rozlokowany tutaj III batalion grenadierów kijowskich.

Walka wokół koszar Mirowskich, na Elektoralfnej, Chłodnej i Lesznie trwała, gdy około godziny 5.00 rano rozległ się pod Arsenalem wystrzał armatni, zaś natychmiast

* Obecnie Gęsia nosi imię Anielewicza. Bieg tej ulicy na jej wschodnim odcinku został po wojnie zmieniony, poprzednio była ona przedłużeniem na zachód ulicy Franciszkańskiej (obecnie skręca i łączy się ze Świętojerską) [prypis oryginalny].

potem poczęły dzwonić dzwony prawie wszystkich warszawskich kościołów. Widno już było, a w tym huku dzwonów i coraz głośniejszej strzelaninie wybiegała z domów ludność, skupiała się wokół grup spiskowców czy na własną rękę atakowała kwatery wroga oraz poszczególnych oficerów i żołnierzy carskich, spieszących ulicami ku swym jednostkom. Grały sygnały alarmowe oddziałów rosyjskich, w bojowych kolumnach spieszyły one na wyznaczone punkty. Tu i ówdzie zapłonął pierwszy dom...

Jeszcze przed sygnałnym wystrzałem z działa hetman Ożarowski został powiadomiony, że gwardia piesza chce opuścić koszary. Przed 5 wpadł tutaj na spienionym koniu – za późno, regimentu już nie było. Gdyby zresztą był, Ożarowski żywy nie wróciłby do miasta. Teraz przez Freta zawrócił z powrotem. Na starym Mieście już się rozpoczęło, ludzie biegali po ulicach, wzywając ogół do broni, Kiliński własnoręcznie zabił dwu carskich oficerów i kozaka, Józef Egerzdorf zastrzelił sztyldwacha. Zresztą ludzie w swej masie jeszcze nie wylegli na ulicę. Ożarowski osobiście schwytał Egerzdorfa i na swym koniu odwiózł do warty marszałkowskiej. Tutaj jacyś studenci strzelali do niego, a zaraz potem huk dział i dzwonów rozległ się nad miastem. Ożarowski podciął konia, cwałem ruszył na Zamek.

Nie lepiej powiodło się Cichockiemu. Zbudzono go zbyt późno, koło piątej. Spieszenie ruszył do Arsenału – zbyt późno. Tu już byli cywilni i wojskowi spiskowcy, przed gmachem stała część regimentu gwardii pieszej koronnej, skupiały się kompanie fizylierskie. Cichocki liczył na wierność tych ostatnich, lecz fizylieryzy wybrali powstanie; umożliwili tylko swemu byłemu dowódcy ucieczkę spod Arsenału, gdzie go chcieli aresztować. Generał przedostał się do Zamku.

Tymczasem wokół Arsenału gromadził się tłum, oficerowie i żołnierze rozdawali broń poszczególnym grupom, które natychmiast kierowały się w bój. W sumie tego i następnego dnia wydano ze zbrojowni 8 tys. karabinów, 2 tys. pistoletów, 8 tys. pałaszy – uzbrajając łącznie ok. 8 tys. ludzi. Jedno po drugim zaczęto wytaczać działa...

Z kilku stron Arsenał otaczały oddziały carskie. Na Nalewkach*, w odległości kilkuset kroków, znajdował się IV batalion grenadierów syberyjskich, III batalion grenadierów kijowskich znajdował się na Lesznie pod Marywilem** część I batalionu grenadierów kijowskich, wreszcie na Miodowej i Podwału pokaźne siły otaczające siedzibę Ingelströma.

* Ulica Nalewki biegła od Długiej, wzdłuż wschodniej ściany Arsenału w kierunku północnym, aż po pl. Muranowski (znajdował się on w pobliżu obecnego skrzyżowania ul. Stawki i ul. Nowotki, nieco na zachód od tej ostatniej ulicy). Pozostałością dawnych Nalewek jest obecna Bohaterów Getta. Od Nalewek odchodziły na zachód ul. Nowolipki i Gęsia (dziś Anielewicza), na wschód Świętojerska i Franciszkańska. Obecna uliczka Nalewki na Muranowie Północnym nie ma nic wspólnego z dawnym przebiegiem tej ulicy [przypis oryginalny].

** Marywilem zwano zespół budynków i bud handlowych, przy obecnym pl. Teatralnym, na miejscu, gdzie dziś jest Teatr Wielki. Wiodła stąd Bielańską prosta droga do Arsenału (nie było trasy W-Z!) [przypis oryginalny].

Wiemy już, że jeszcze przed piątą ruszyły się do boju grupy mieszkańców Warszawy na Lesznie. Pośpieszyli im na pomoc w małych zespołach gwardziści konni od Elektoralnej, później, już po alarmie, spod Arsenału tłum przyciągnął kilka dział, nadbiegli też artylerzyści. Część III batalionu grenadierów kijowskich obsadziła skrzyżowanie ulic Leszna i Przejazd (gdzie dziś skwerek przed kinem Muranów). Celnym ogniem grenadierzy powstrzymywali tłum atakujący od strony Tłomackiego (dziś trasa W-Z przy Grubej Kaście). O powodzeniu natarcia polskiego zadecydowały armaty. Dowodził nimi por. Maksymilian Umiński. Wysunął on trzy działa ubezpieczone przez kilkudziesięciu uzbrojonych warszawiaków, tuż przed dom obsadzony przez wroga i zasypał go pociskami. Gdy grenadierzy wystrzelali kanonierów, armaty obsługiwali cywile, w końcu strzelał sam Umiński. Ostatecznie oddział carski został rozbity doszczętnie; od jednego z ostatnich pocisków padł śmiertelnie ranny sam Umiński. Mieszkańcy okolicznych domów wystawili mu później mały pomniczek na miejscu walki; po zajęciu Warszawy kazał go zburzyć Suworow.

Reszta II batalionu, dowodzona przez gen. Tiszczeza, broniła się w domu po południowej stronie Leszna, naprzeciwko wylotu Karmelickiej. Nie mając szansy utrzymania tej pozycji, grenadierzy przebili się Karmelicką na Nowolipie. Tutaj oddział carski został zaatakowany z dwu stron przez grupę pieszych gwardzistów i cywilów, a po krwawej walce doszczętnie rozbity. Sam Tiszczeze, ranny, dostał się do niewoli.

Inne były losy IV batalionu grenadierów syberyjskich, sprawnie dowodzonego przez secondmajora barona v. Wimpffena (jako generał porucznik zginie on później pod Austerlitz). Gdy pierwsze grupy uzbrojonych cywilów rzuciły się od Arsenału na kwaterę dowództwa batalionu przy ul. Nalewki – carski dowódca odparł atak przy pomocy ściągniętych biegiem z Franciszkańskiej rot 13 i 14. Chwilę później nadeszły od Muranowskiej dwie pozostałe rot. Krótkie rokowania pozwoliły grenadierom zająć dogodnie pozycje. Gdy bój wznowiono, podciągnięte od Arsenału armaty zaczęły razić kartaczami carskich żołnierzy, a jeszcze większe straty zadawali mieszczanie strzelający z okien i dachów domów. Po godzinie walki batalion miał już 200 zabitych; Wimpffen wydał wówczas rozkaz odwrotu. Ścigany ostro, pod osłoną zapalonych domów, batalion cofnął się franciszkańską; zagroził mu tutaj drogę tłum ledwo uzbrojonych cywilów, grenadierzy wykłuli ich bagnetami prawie do nogi. Zakroczymską i Freta oddział przedostał się do Długiej, gdzie już były jednostki carskie, skupione wokół siedzimy Igelströma na Miodowej. Straty podczas tego odwrotu były też poważne, na Długą przedostało się ledwo 200 grenadierów, niewiele więcej niż 1/3 batalionu.

Ze znacznie mniejszymi stratami wyszedł z opresji IV batalion grenadierów kijowskich, dowodzony przez majora Wasyla Titowa. Nie niepokojony początkowo, zebrał on się na ul. Kłopot (w tym miejscu znajdują się dziś budynki Dworca Gdańskiego). Dopiero po siódmej grenadierzy zostali zaatakowani przez uzbrojony tłum, któremu później na pomoc przybyły oddziały gwardii pieszej koronnej kpt. Fryderyka Melforta i por. Teodora Borkowskiego. W kilkugodzinym boju osaczony batalion

carski straci ok. 100 ludzi. Koło 11.00 Titowowi udało się nawiązać łączność z Prusakami, którzy podeszli od północy pod wał otaczający miasto (biegł on od brzegu Wisły w pobliżu obecnej Cytadeli przez rejon dworca aż do ronda przy Marchlewskiego i dalej wzdłuż obecnej Okopowej); pod ich osłoną batalion wycofał się poza wał wraz z korpusikiem Wölcký’ego i odmaszerował ku cmentarzowi powązkowskiemu.

W tym samym czasie, gdy trwały opisane wyżej boje, praktycznie całkowicie oczyszczono z Rosjan obszar Starego i Nowego Miasta, choć w niektórych punktach żołnierze carscy bronili się dość długo. Kancelaria wojsk carskich, mieszcząca się na rogu Wąskiego Dunaju i Nowomiejskiej – *vis a vis* kamienicy ks. Mazowieckich – odpierała ataki przez siedem godzin. W ten sposób północna część miasta była wolna. Tylko na raczej obszernym terenie przy Miodowej, Podwalu i Długiej skupiły się dość poważne siły dowodzone przez samego Igelströma. Ściągnął on tutaj także oddział z Marywilu, odblokowując od tej strony Arsenał i rozsyłał rozkazy, aby wszelkie jednostki – poza zgrupowaniem południowym – spieszyły na Miodową, adiutanci i kurierzy z rozkazami byli chwytni przez cywilów, zresztą niektóre jednostki już zostały zniszczone, inne nie kwapiły się z marszem w gąszcz bitwy. Tak było ze zgrupowaniem zachodnim, nad którym dowództwo objął gen. Iwan Nowickij. Przerwał on bój pod koszarami mirowskimi, skupiając wszystkie znajdujące się w tym rejonie oddziały (poza zniszczonym na Lesznie) przy Grzybowskiim i nie zdradzając żadnej aktywności. Ostatecznie do Igelströma przebił się tylko v. Wimpffen oraz przeszły tutaj rotę z Marywilu.

Początkowo ambasador i generał *en chef* nie bardzo wiedział, co się dzieje; choć spodziewał się powstania, zaskoczyło go ono jednak, myślał, że jakieś oddziały Kościuszki podeszły już pod Warszawę. Słał do Stanisława Augusta po wyjaśnienia, ale ten nie mógł mu powiedzieć nic więcej ponad to, co i tak było widoczne.

Króla obudzono dość wcześnie, koło piątej. Zaraz też do Zamku zaczęli przybywać wystraszeni dostojnicy satelickiego rządu: Ankwicz, Ożarowski, Cichocki, marszałek Moszyński. Stanisław August zaraz posłał po pułk 5 królewskich ułanów, lecz tego już nie było na kwaterach. Niemal w ostatniej chwili pułk przeszedł Miodową pod Arsenał; jeszcze po nim przeciągnął tędy batalii strzelców skarbowych, przeprawiony łodziami z Pragi; Rosjanie – zdezorientowani nieco w tych początkowych chwilach, przepuścili ich bez przeszkód.

Przy Stanisławie Augustie pozostała tylko zamkowa warta, którą pełnił oddział z gwardii pieszej. I ona chciała iść do powstania. Stanisław August osobiście przemówił do żołnierzy, nawołując, aby nie opuszczali jego osoby. Trafiło to do przekonania gwardzistów. Wówczas uspokojony nieco król wyszedł na plac przed Zamkiem, ku Kolumnie Zygmunta. Ze Starego Miasta wylewał się tłum uzbrojonych ludzi, wszyscy biegli w kierunku wylotu Podwalu i na Senatorską, aby przedostać się do Miodowej*. Zaczy-

* Miodowa nie była wówczas przebita do Krakowskiego Przedmieścia i kończyła się przy Senatorskiej, w miejscu gdzie odchodzi od niej Kozia [przypis oryginalny].

nał się pierwszy szturm mieszczan na siedzibę Igelströma. Za chwilę na Miodowej rozległy się strzały: to batalion grenadierów, ustawiony przed pałacem Żałuskich, ogniem rolowym strzelał do mieszczan. W tym samym czasie otworzyła się brama zamkowa: porwana przez oficerów-spiskowców warta spieszyła do boju. Król próbował jeszcze zatrzymać gwardzistów. Wszelkie dyskursy przerwał jednak huk dział z Miodowej. Żołnierze i tłum ruszyli tak gwałtownie w kierunku potężniejącego boju, że Stanisława Augusta omal nie przewrócono. Wrócił więc do Zamku. Wpadli tutaj zaraz mieszczańscy, lecz zachowywali się spokojnie, domagali się tylko wydania broni. Król nakazał to i przez okno I piętra przyglądał się trwającej walce: przy Kolumnie Zygmunta ustawiona była armata; po każdym wystrzale cofała się do tyłu i zaraz potem gromada cywilów rychtowała ją, kierując wylot lufy w Podwale, ku bramie dziedzińca pałacu Żałuskich.

Przed oknami Zamku Królewskiego rozgrywała się regularna bitwa. Stąd było widać tylko jej część, toczącą się na Podwale. Pierwszy atak na kwatery Igelströma szedł wzdłuż Miodowej. Jeszcze przed siódmą tłum ledwo uzbrojonych mieszczan ruszył ku batalionowi carskiemu uszykowanemu do boju tuż przed pałacem. Rotowymi salwami żołnierze odparli cywilów, a jedna z ich kompanii w pościgu dotarła aż do Senatorskiej. Wtedy właśnie oddział gwardii pieszej koronnej rzucił swą wartę na Zamek i wdał się w bój. Gwardziści i cywile zajęli pałac Branickich i strzałami z okien zmusili kompanię carską do odwrotu aż pod kościół Kapucynów.

Tak rozpoczęły się walki w tym rejonie, wielce chaotyczne, choćby dlatego, że po stronie polskiej nie było jednolitego dowództwa. Ponawiane wciąż ataki czy to od Senatorskiej Miodową lub Podwalem, czy od Arsenалу wzdłuż Długiej, czy z przeciwnej strony od Freta – nie były zgrane z sobą i odbywały się niejednocześnie. Ułatwiał to oddziałom carskim obronę. Wyraźnym sukcesem powstańczym było opanowanie przez grupę artylerzystów i fizylierów dowodzonych przez kpt. Roppa i por. Linowskiego oraz cywilów dowodzonych przez Kilińskiego pałacu Rzeczypospolitej (dziś zwanego pałacem Krasińskich). Ustawiono tutaj trzy działa, które z placu otwarły celny i skuteczny ogień w gęste kolumny carskiej piechoty i jazdy stłoczone na Miodowej. Gen. Apraksin postanowił zdobyć pałac, gdyż inaczej utrzymanie Miodowej było niemożliwe. Na czele silnego zgrupowania, w którym znalazły się resztki IV batalionu grenadierów syberyjskich (v. Wimpffen akurat dołączył z nim do sił głównych), Apraksin zaatakował plac i pałac Rzeczypospolitej. Doszło do niezwykle krwawego boju, poległ w nim por. Linowski, a ze strony carskiej kpt. Trubieckij, straty obustronne w żołnierzach były bardzo wysokie, batalion v. Wimpffena wykrawał się prawie do reszty. Ostatecznie Apraksin zdobył plac i pałac. Polacy utrzymali ogród Krasińskich, skąd ostrzeliwali wroga z dział.

Sytuacja otoczonego zgrupowania carskiego stawała się z każdą chwilą gorsza. Straty były poważne i wciąż rosły. Żołnierze carscy od rana nie mieli nic w ustach, ponieważ walki rozpoczęły się przed śniadaniem, a potem nie zdołano zorganizować dowozu żywności; dowódcy inne sprawy mieli na głowie. Żołnierze zdradzali więc tendencję

do dezercji, zapuszczali się do mieszkań poszukiwaniu żywności, niektórzy przedostali się nawet w tym celu dość daleko za pierścień okrażenia, gdzie ich później wyłapywali cywile. Igelström coraz bardziej wpadający w panikę, próbował za pośrednictwem króla wydostać się z matni. W rokowaniach uczestniczył starszy brat królewski książę Kazimierz Poniatowski, który z Zamku jakimś małym wózkiem pojechał na Miodową, przepuszczony przez obie strony walczące. Przedłożył on propozycję króla, aby oddziały carskie zaprzestały walki i wymaszerowały poza miasto, wypuszczone przez powstańców. Igelström bał się jednak, że tłum zaatakuje i rozbije kolumnę w czasie odwrotu. Poza tym powstańcy odmówili wypuszczenia oddziałów carskich. Nieco później, gdy sytuacja osaczonych stała się bardziej krytyczna i przerażony Igelström powtórnie zwrócił się do króla o pomoc, ten miał rzekomo sugerować, aby oddziały carskie złożyły broń, po czym zostaną wypuszczone wolno za miasto. Ambasador tym bardziej bał się przyjąć taką propozycję, miotany strachem chciał sam pojechać do Zamku, sądząc, że wytarguje lepsze warunki. Odradzono mu jednak ten krok, gdyż niewielkie były szanse na to, że dojedzie do Zamku żywy. Rzeczywiście, gdy ambasador wysłał do króla swego ukochanego synowca mjr. Igelströma, rozgrzany walką tłum zabił go na Senatorskiej.

Jedynym ratunkiem dla Igelströma była pomoc silnych zgrupowań rosyjskich, znajdujących się jeszcze w Warszawie. Gen. Nowickij trzymał jednak swoje oddziały skupione przy placu Grzybowskim i nie kwapił się iść w bój, a gen. Miłaszewicz obsadzający Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat nie był w stanie tego uczynić.

Regiment X Działyńskiego – z którym, jak i z jego dowódcą płk. Haumanem – Kościuszką największe wiązał nadzieje – początkowo pozostał neutralny. Wprawdzie wczesnym rankiem ten najsilniejszy z polskich pułków stanął pod bronią, ale nie opuszczał koszar Ujazdowskich. Mimo coraz bardziej dramatycznych nalegań oficerów należących do spisku, Bauman wstrzymywał się z rozkazem wymarszu. Dopiero, gdy wrócił z Zamku wysłany tam adiutant, przywożąc polecenie przybycia regimentu do króla, Hauman rozkazał wymarsz. Nie był to jednak marsz na pomoc Insurekcji, lecz w celu wzmocnienia neutralnego w rozgrywce monarchy. Spiskowcy sądzili jednak, że gdy regiment wejdzie już do miasta, przylączy się do boju.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

POWSTANIE W WARSZAWIE 17 – 18 KWIETNIA 1794 (2)¹⁹

Regiment X pomaszerował alejami Ujazdowskimi. Ta część miasta była niemal zupełnie niezabudowana. Przecinały ją tylko szerokie, wysadzone drzewami ulice, a raczej

¹⁹ „Stolica” z 1969 r., nr 17.

aleje, rozchodzące się promieniście od okrągłych placów. Drogę do miasta zagradzało carskie zgrupowanie gen. Miłaszewicza, którego zadaniem było właśnie zablokowanie regimentu X. Na Mokotowskiej, na czele IV batalionu jeńców jekatierinosławskich stał ppłk v. Klugen. Gdy regiment wyruszył z koszar, Klugen podjechał do Haumana, pytając, dokąd pułk idzie. Pułkownik odparł, że do Zamku, aby bronić króla „od buntującej się czerni”. Klugen, czy uwierzył, czy bał się rozpoczynać walkę z działymi, dość że przepuścił regiment. Inna rzecz, gdy działymy weszli w Nowy Świat, Klugen obsadził swym batalionem plac Trzech Krzyży, zajmując Polakom tyły.

Na Nowym Świecie przy Foksalu stał dywizjon szwoleżerów austryjskich dowodzony przez ppłk. hrabiego Igelströma, jeszcze jednego z licznych krewniaków ambasadora, ściągających do Polski po pieniądze, folwarki i karierę. I ten oddział nie zatrzymał działymy: kolumna przeszła wzdłuż jazdy i obie formacje oddały sobie honory wojskowe. Ppłk Igelström nie mógł chyba mieć wątpliwości co do celu marszu działymy. Ludność witała regiment owacyjnie, żołnierze wykrzykiwali z szeregów, aby ludzie szli po broń do ich koszar.

Regiment maszerował ku Świętokrzyskiej. Na czele szły kompanie strzelców w zielonych mundurach i okrągłych kapeluszach z kitkami, a za nimi dwa bataliony muszkieterskie w granatowo-fioletowych uniformach i wysokich czapkach ze złożonymi blachami. Łącznie wraz z ochotnikami regiment liczył ponad 800 bagnietów i 4 lekkie działka.

Przy Świętokrzyskiej pułk stanął. Wylot Nowego Świata zagradzał szereg carskich grenadierów. Prawym skrzydłem opierał się on o kościół Św. Krzyża i pałac Branickich, lewym o klasztor Dominikanów-Obserwantów (na tym miejscu zbudowano później pałac Staszica).

Rozpoczęły się rokowania. Drogę zagradzał I batalion grenadierów syberyjskich dowodzony przez płk. ks. Gagarina; znajdował się tutaj także gen. Miłaszewicz. Rozmowy prowadzili najpierw adiutanci. Hauman wysłał do carskich dowódców por. Ludwika Lipnickiego, domagając się wolnej drogi do Zamku, gdzie regiment idzie osłonić króla przed buntem. Gen. Miłaszewicz nie wiedział, co począć, gdyż wersja ta mogła odpowiadać prawdzie i regiment nie musiał przyłączyć się do powstania. Wysłał więc swego krewniaka mjr. Miłaszewicza do Igelströma po decyzję, major zginął jednak po drodze, zaatakowany przy Koziej przez tłum. Następnie na Miodową pojechał adiutant generała por. Adler wraz z dodanym mu dla bezpieczeństwa Lipnickim. Obaj dotarli do Igelströma, który stanowczo zabronił przepuszczenia działymy do miasta. Adler, ranny w drodze powrotnej i ociekający krwią, cwałem przedostał się przez Krakowskie Przedmieście, przywoząc ten rozkaz Miłaszewiczowi. Chwilę później nadjechał i Lipnicki, który po drodze wstąpił na Zamek do króla. Prawdziwie czy nie oficer zapewniał carskiego generała, że Stanisław August domaga się przybycia pułku; Lipnicki należał do spisku i pragnął, aby regiment jak najszybciej przedostał się na właściwy plac boju. Miłaszewicz oświadczył jednak, że działymy nie przepuści i aresztował

nawet Lipnickiego, lecz na stanowcze żądanie Haumana musiał go zwolnić. Po chwili od Zamku nadjechał gen. Mokronowski, również domagający się przepuszczenia pułku. Gdy Miłaszewicz powtórnie odmówił, polski generał chciał przedostać się do działaczy, lecz grenadierzy bagnetami zagrodzili mu drogę. Widząc, że Miłaszewicz chce go aresztować, Mokronowski podciął konia i cwałem ruszył do Zamku.

Podczas tych rokowań, gdy obie jednostki stały naprzeciwko siebie na odległość strzału kartaczowego, należący do spisku oficerowie zaczęli po cichu szykować żołnierzy do walki. Kpt. Mycielski z dwoma kompaniami cofnął się ku Wareckiej, aby osłonić tyły pułku od v. Klugena i ppłk. Igelströma, ppor. Sypniewski poprzez Świątokrzyską usiłował zejść od flanki oddział carski. Inne grupy żołnierzy udały się na ul. Aleksandrię (obecnie Kopernika). Widząc, że bez boju się nie obejdzie, Hauman zdał dowództwo mjr. Zaydlicowi i odjechał do domu. Nie chciał się angażować. Chwilę później, około godz. 10.00. działacze otwarli ogień ze swych armat. Natychmiast zagrały i carskie armaty. Por. Lipnicki i chor. Antoni Urbanowski poderwali swych ludzi do ataku na baterię carską, lecz szturm załamał się krwawo. Pod ogniem wroga działacze cofnęli się z ulicy poza załomy murów i stamtąd oraz z okien domów poczęli razić przeciwników. Lipnicki z Urbanowskim wtargnęli do klasztoru Dominikanów-Obsługantów i z jego okien oraz dachu ich ludzie rozpoczęli gęsty ogień; strzelcy Sypniewskiego wtórowali im z pałacu Branickich. Mjr Zaydlic i ppor. Mokein na czele grupy żołnierzy przedostali się przez Ordynacką i gdzieś w pobliżu skarpy aż na Krakowskie Przedmieście koło Wyztek, gdzie przyłączyli się do nich tłumnie mieszczanie. Od Zamku nadszedł też oddział gwardii pieszej z jednym działem. Wspólnie rozpoczęto atak na oddział carski od tyłu. Por. Kowalski z grupką żołnierzy przedostał się do pałacu Karasia (stał on na miejscu obecnego parkingu na rogu Kopernika i Oboźnej), tuż obok, przez Aleksandrię, szturmował przeciwnika tłum cywilów i żołnierzy. Placówka carska obsadzająca budowany pałac ks. de Nassau (obecna ul. Dynasów) została rozbita przez Kadetów; walczył wśród nich późniejszy generał Józef Sowiński.

Sytuacja oddziału carskiego, rażonego ogniem prawie ze wszystkich stron, stawała się tym cięższa, że wskutek nadmiernego zużycia amunicji już w pierwszych chwilach boju – zaczynało jej brakować. Wszyscy prawie kanonierzy zostali wybici, poległo też około 200 grenadierów. Gdy sytuacja stała się beznadziejna, Miłaszewicz dał rozkaz odwrotu.

Oddział carski, ścigany przez działaczy, atakowany od tyłu przez lud, ostrzeliwany z okien po obu stronach ulicy – poniósł dalsze straty. Ciężko ranny Miłaszewicz zdał dowództwo i kazał się odnieść do jakiegoś domu. Dowodzący teraz książe Gagarin wycofał oddział w kierunku klasztoru Wyztek, gdzie jednak zaatakowano go z obu stron. Ciężko ranny Gagarin zdał z kolei dowództwo: w kuźni saskiej, gdzie chciał się skryć, dopadli go powstańcy i zabili. Nad resztkami batalionu objął dowództwo kpt. Popow. Przez plac Saski (stanowiący wówczas ogrodzony dziedziniec wewnętrzny

pałacu) przebił się on jakoś ostatecznie ku Królewskiej, skąd przez Szpitalną dotarł z garstką ludzi do Klugena.

Bój został rozstrzygnięty, regiment X – nad którym ponownie objął dowództwo przybyły natychmiast po zakończeniu walk Hauman – pomaszerował w kierunku Zamku. Nie zostawiono niestety silniejszego oddziału na placu Saskim.

Ten rejon zaś miał stać się wkrótce terenem ciężkich walk. Jak wiemy, gen. Nowickij ze swym zgrupowaniem stał na Grzybowie. Dotarł tam do niego wreszcie stanowczy rozkaz Igelströma spiesznego marszu na Miodową. Może niezbyt spiesźnie Nowickij ruszył jednak. Kolumna jego posuwała się Królewską, tutaj jednak dostała się pod ogień powstańców obsadzających domy południowej strony ulicy. W tym właśnie czasie kpt. Popow z resztkami rozbitego przez działaczyków batalionu przebił się na Królewską; widząc swoich, pomaszerował ku nim, lecz został powitany strzałami. W kurzu i dymie grenadierzy syberyjscy zostali wzięci za powstańców. Popow odszedł wówczas ku Świętokrzyskiej, zaś kolumna Nowickiego ruszyła ku placowi Saskiemu. Znajdujący się na czele premier major Bagguwut, widząc uzbrojonych cywilów pod pałacem, postanowił zaatakować ich na bagnety. Nie zdążył jednak dać rozkazu do szturmu, gdy nadjechał por. Christodułow z rozkazem od Nowickiego – „Generał rozkazał ratować panu ludzi i cofać się ku rogatkom jerozolimskim”. Na takie *dictum* żołnierze stracili resztkę ochoty do walki i nie czekając dalszych rozkazów, zaczęli cofać się.

Wystraszony klęską Miłaszewicza gen Nowickij istotnie postanowił opuścić miasto. Ulicą Twardą wycofał się na wał miejski i rogatki jerozolimskie, zatrzymując się w rejonie dzisiejszej ul. Raszyńskiej. Na jego rozkaz ściągnęły tutaj również oddziały znajdujące się na placu Trzech Krzyży. W sumie skupiło się tutaj pokaźne zgrupowanie: 1 700 bagnetów, 650 szabel i 16 armat. Wojska stały za rogatką w szyku obronnym, zaś dowódcy przez kilka godzin zastanawiali się, co robić. Ostatecznie Nowickij zgodził się, aby część jego sił: jeźrzy Klugena, szwoleżerowie Igelströma, grenadierzy Bagguwuta i artylerzyści Woronowa razem ponad 1 700 ludzi i 6 dział – spróbowała przebić się z odsieczą na Miodową. Sam przezornie pozostał za rogatkami, dowództwo nad kolumną objął ppłk Klugen.

Oddziały carskie pomaszerowały Twardą i Sienną, pierwszy opór ze strony uzbrojonego ludu napotykać na Marszałkowskiej. Nim kolumna dotarła Królewską do placu Saskiego, wieść rozeszła się po mieście o marszu Klugena. Na placu poczęli gromadzić się cywilni powstańcy, podciągnięto tutaj jedno działo dowodzone przez kpt. Hiacynta Drozdowskiego. Już w czasie boju podporucznik Komarnicki sprowadził drugą armatę.

Gdy oddziały carskie podeszły, rozpoczął się trwający może półtorej godziny bój o bramę, jaka oddzielała plac Saski od ul. Królewskiej. Polacy – dowodzeni tutaj przez Kralewskiego i Sienickiego – otwierali bramę, oddawali strzał z działa i zamykali wierzeże, po czym – po nabiciu armaty powtarzało się wszystko *da capo al fine*. Wreszcie jeźrzy przez Ogród Saski wdarli się do południowego skrzydła pałacu, co przesądziło o upadku bramy. Wtedy Drozdowski cofnął swą armatę pod przeciwną bramę pro-

wadzącą na Wierzbową i stamtąd raził ogniem wroga. Drugie działo strzelało spod kuźni saskiej. Gęste kolumny carskie, skupione na Królewskiej, nie kwapiły się jakoś z wtargnięciem na plac. Klugen zresztą uważał, że należy rozbić przeciwnika ogniem, co było opinią tyle oryginalną, że dotychczas od wystrzałów poukrywanych za oknami i w załomach murów powstańców główne straty ponosili znajdujący się na widoku żołnierze carscy. Nie bacząc na zdanie dowódcy, premiermajor Bagguwut postanowił uderzyć na bagnety. Wprowadził dwie rotę na dziedziniec saski, rozwinął do boju, jednak na jego rozkaz „naprzód!, na sztychy!” – nikt nie zareagował. Podobnie stało się i pod drugim rozkazem. Zamiast ruszyć naprzód, grenadierzy i jęgrzy zaczęli strzelać z miejsca. Bagguwut machnął wówczas ręką i opuścił pole bitwy; Klugen przez dłuższą chwilę nie wiedział, co począć. Rozwiązanie przyniósł rozkaz Nowickiego, nakazujący natychmiastowy odwrót za rogatki jerozolimskie. Wykonano go skwapliwie.

W ten sposób jedyna próba odsieczy Igelströma, podjęta przez silne zgrupowanie carskie, powstrzymana została na Placu Saskim siłami niemal wyłącznie cywilnych powstańców.

Ambasador carski otrzymał jednak pomoc, choć nieznaczną i nie mogącą zmienić toku wydarzeń. Batalion Titowa, który poprzednio – jak już wiemy z ul. Kłopot pod osłoną Prusaków wycofał się na Powązki – nie pozostał bezczynny. Jego dowódca natychmiast zaczął molestować Prusaków, aby zgodnie z uprzednim porozumieniem pospieszył do walki z powstańcami. Wólcký ostatecznie ugiął się i postanowił przemarszować do rogatek marymonckich, aby tam rozeznac się w sytuacji.

Gdy jednak siły carskie i pruskie dotarły do rogatek i zaświstały nad nimi pierwsze pociski, gen. Wólcký stracił zapał do bitwy. Umówił się z Titowem, że batalion tego ostatniego pierwszy wkroczy do miasta, a dopiero za nim, w pewnym odstępie, posuwać się będą Prusacy.

Wkrótce po wejściu kolumny Titowa do miasta, rozległa się stamtąd burza wystrzałów karabinowych i armatnich. Pruski generał postanowił wówczas pozostać poza miastem. Uważał, że batalion Titowa musi już być kompletnie zniszczony.

Batalion nie był jednak zniszczony. Na czele swej kolumny Titow maszerował ulicami Gwardii, Zakroczymską i Freta, a następnie przez Świętojerską dotarł do obsadzonego przez oddziały carskie pałacu Rzeczypospolitej. Nie był to łatwy przemarsz: raz po raz trzeba było toczyć bój ogniowy lub na bagnety z zagrażającymi drogę grupami uzbrojonych mieszczan. W walkach tych ok. 1/3 kolumny Titowa poległo. Przybycie tego batalionu do wojsk Igelströma nie wzmocniło ich wiele; ambasador mógł się natomiast dowiedzieć od Titowa, że Prusacy nie kwapią się z pomocą. Satrapa carski zrozumiał wówczas chyba, że wszystko jest już stracone.

Ataki na osaczone zgrupowanie carskie trwały nieprzerwanie. Raz Polakom udało się nawet wdrzeć na dziedziniec pałacu Żałuskich, lecz zostali stamtąd wyparci. W sumie nie udało się powstańcom uzyskać jakiegoś wyraźnego sukcesu. I bez tego jednak sytuacja zgrupowania Igelströma była bez wyjścia. Było to już ostatnie zgrupowanie carskie –

po rozbiciu Miłaszewicza i wycofaniu się Nowickiego, jakie pozostało w Warszawie. Boje na Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu i placu Saskim ostatecznie przesądziły losy batalii. Skądś dowódcy carscy dowiedzieli się, że Wölky, który na noc odszedł od miasta, rankiem powrócił ze swym korpusem pod rogatki marymonckie. Była w tym szansa ratunku, nawet Igelström na chwilę odzyskał ducha. W pałacu Rzeczypospolitej na rozkaz Pistora zebrano około siedmiuset najlepszych żołnierzy, reszta pozostała na stanowiskach. Generałowie carscy dołączyli do grupy uderzeniowej. W zwartym szyku opuściła ona pałac Rzeczypospolitej, kierując się ku wałom miejskim.

Układ ulic w tym rejonie był nieco inny niż obecnie. Miodowa kończyła się ślepo przy placu Rzeczypospolitej (tj. pl. Krasińskich). Wydłuż północnej jego ściany przebiegała ul. Świętojerska, biegnąca od Nalewek do Freta. Kolumna carska, w której środku znajdował się Igelström, już na placu dostała się pod gęsty ogień kartaczów. Mimo strat, spieszenie ruszyła w Świętojerską ku Freta. Tutaj znalazła się pod ogniem dział, ustawionych przez Mokronowskiego na Freta i Nalewkach. Żołnierze carscy nie wytrzymali tej nawały ognia, w nieporządku schronili się na obszerne dziedziniec pomiędzy Świętojerską a Koźlą. Tutaj kolumna została otoczona.

Ani Mokronowski, ani dowódcy powstańczy nie przypuszczali zapewne, że w tej grupie znajdują się carscy generałowie. Sądzone, że Igelström jest nadal w rozpaczliwie bronionym pałacu Żałuskich. Ta pomyłka ocaliła ambasadora. Kolumna, w której znajdował się, uporządkowała się i przedostała na Kozią. Siły powstańcze były w tym rejonie mniejsze. Po krwawej walce kolumna carska przebiła się ku Franciszkańskiej. Szlak dalszej ucieczki, przez Bonifraterską i Kłopot, nie nastroczał już większych trudności. Igelström z kawalerią ruszył pierwszy, Pistor osłaniał odwrót. Tak wydostano się poza miasto, gdzie już czekali Prusacy. Odpędzili oni ogniem szykujące się do szarży szwadrony pułku mirowskiego. Igelström był ocalony.

A tymczasem na Miodowej, Podwału, w pałacu Rzeczypospolitej broniły się resztki pozostawionych na stracenie oddziałów carskich. Krwawy bój przeciągnął się na cały dzień. Po południu powstańcy zdobyli szturmem klasztor kapucynów na Miodowej, blisko dwie godziny później, koło 17.00 – pałac Żałuskich. Wcześniej jeszcze padł pałac Rzeczypospolitej.

Wieczorem bitwa była skończona.

Zgrupowanie warszawskie Igelströma zostało kompletnie rozbite. Z blisko 8-tysięcznego garnizonu ocalało tylko niespełna 2 1/2 tysiąca ludzi, których wyprowadził Nowicki oraz kilkuset żołnierzy, którzy przebili się z Igelströmem. Cała reszta zginęła lub dostała się do niewoli. Powstańcy zdobyli ponad 2 tys. karabinów, 500 pistoletów, 3 tys. pałaszy, kasę armii carskiej i dziesięć kas pułkowych i batalionowych, działa, sztandary, olbrzymie magazyny z zapasami. Wzięto do niewoli większość personelu ambasady carskiej i prawie całe archiwum. Zwycięstwo to okupiono poważnymi stratami. Poległo ponad 500 żołnierzy i 700 cywilów, co najmniej drugie tyle było rannych.

LESZEK MOCZULSKI

KOŚCIUSZKO NA SZAŃCACH WARSZAWY²⁰

Do narodowej legendy przeszedł obraz Naczelnika pod Racławicami, gdy w białej sukmanie, konno prowadzi kosynierów do ataku na carską baterię. Mniej znany jest epizod, gdy na przedpolach warszawskich szańców, konno i z szablą w ręku Naczelnik wiódł do boju warszawskich mieszczan, na ich czele zdobywając pruskie armaty.

Było to 28 sierpnia 1794 roku. Od kilku już tygodni armia pruska, dowodzona przez króla Fryderyka Wilhelma bezskutecznie oblegała Warszawę. Upadek stolicy przesądzałby klęskę całej Insurekcji i Fryderyk Wilhelm zdecydował się na ostateczny szturm. Uderzenia pruskie 26 sierpnia przyniosły pewne powodzenie. Uporządkowawszy wojska i podciągawszy odwody, Fryderyk Wilhelm postanowił wznowić uderzenie 28 sierpnia. Główny kierunek natarcia pruskiego kierować się miał przez Powązki.

Wkrótce po świcie gęste kolumny Prusaków, najeżone tysiącami bagnatów ruszyły do ataku. Wróg kierował się na pozycje obsadzone przez korpus gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. W lasku powązkowskim Polacy wykopali głęboką fosę i wybudowali trzy główne szańce oraz baterie dla artylerii. Niestety, obrońcy znacznie ustępowali liczbą nacierającym nieprzyjaciołom. Nie bacząc na straty, żelazne regimenty Fryderyka Wilhelma wdzieraly się na szańce polskie, w ciągu godziny opanowując je częściowo i zdobywając parę baterii. W lasku powązkowskim zaczęły płonąć drzewa, a ich ogień przenosił się na pobliskie budynki.

W tym dramatycznym momencie boju na plac walki przybywa sam Tadeusz Kościuszko. Prowadzi z sobą posiłki: piechotę z własnego korpusu i „municipialność warszawską” – czyli ochotniczy pułk złożony z mieszczan stołecznych, dowodzony przez szewca – pułkownika Jana Kilińskiego.

Nadejście nowych polskich oddziałów zmienia kolejność bitwy. Mieszczanie warszawscy i piechurzy Kościuszki rzucają się w bój. Skrwawione bataliony Dąbrowskiego skupiają się na nowo i kontratakuja wroga. Nadbiega brygada jazdy Kołyski i szarżuje rozwinięte do boju szwadrony kirasjerów i huzarów pruskich. Wróg nie strzymał pola, rzuca się do ucieczki. Polacy wdzierają się na powrót do lasku powązkowskiego.

Wróg jednak nie rezygnuje. Na pole bitwy wkraczają nowe pruskie bataliony, szwadrony kawalerii liniowej atakują Polaków. Kościuszko rzuca w bój nowe oddziały piechoty. Pod morderczym ogniem armat wroga kolumna polska przebiega przez wąski mostek i rozwija się do boju. Podpułkownik Mycielski na czele swych żołnierzy rzuca się na wroga, zmusza go do ucieczki, zdobywa dwie pruskie baterie. W innym miejscu bitwy dwoi się i troi gen. Dąbrowski. Znowu wypiera Prusaków z lasku.

²⁰ „Stolica” z 1973 r., nr 41. Nie był to jedyny tekst Leszka Moczulskiego o Kościuszcze. Wśród innych należałoby wymienić *Imię Kościuszki*, „Stolica” z 1967, nr 42.

Od zachodu nadciągają jednak nowe oddziały pruskie. Znów zmieniają się losy bitwy. Krok po kroku, Polacy cofają się z lasku powązkowskiego ku szancom Warszawy. Odwrót osłania kawaleria brygadiera Kołyski.

Zbliża się zmierzch, bój trwa już kilkanaście godzin. Prusacy myślą, że osiągnęli zwycięstwo. Jeszcze jeden wysiłek, a w ślad za Polakami wedrą się na szanice Warszawy. Nowe bataliony grenadierów brandenburskich i fizylierów wschodnioprukich rozwijają się do boju.

W tej właśnie chwili Kościuszko daje rozkaz do generalnego kontrataku. Sam staje na czele pułku mieszczan warszawskich witany owacyjnymi okrzykami. Formują się szturmowe kolumny, chylą bagnety, piki i osadzone na sztorc kosy. Z okrzykiem „Wolność i Ojczyzna” mieszczenie warszawscy biegną do ataku w pierwszej linii – z pałaszami w dłoni – Kościuszko i Kiliński.

Zwarte czworoboki pruskie witają nacierających gęstym ogniem. Grenadierzy dwa razy tylko zdążyli oddać salwę, gdy Polacy wpadają w ich szyki. Łamie się ordynek batalionowy, doborowa piechota pruska nie może stawić czoła warszawskim mieszczanom. Rozpadają się czworoboki, wróg ucieka.

Cudów waleczności dokonuje też konna brygada Kołyski. Jeźdźcy szarżują wprost na plujące ogniem baterie i zdobywają je – jedną po drugiej.

Noc już zapada, gdy pokonani Prusacy częściowo w panice uciekają z pola bitwy. Szturm na Warszawę załamał się. Jeszcze dni parę i armia Fryderyka Wilhelma będzie musiała rozpocząć niesławny odwrót spod bram Warszawy.

L. M.

ZABORY

Nim zapadła Noc Listopadowa²¹

SPISEK WARSZAWSKI²²

O wpół do szóstej podpalono drewniany browar na Solcu, lecz zbutwiałe i mokre ściany nie chciały się palić. Sygnał, który miał stać się początkiem rewolucji 29 listopada 1830 r., nie został w mieście dostrzeżony. Mimo to garstka cywilnych spiskowców z Nabelakiem i Goszczyńskim na czele zebrała się w łasku ujazdowskim. Było ich 14. W pobliżu ulicy Agrykola napotkali oni ppor. Wysockiego i wraz z nim udali się do pobliskiej szkoły podchorążych. Stąd cywilni spiskowcy i kilku podchorążych – razem nie było ich nawet 30 – ruszyli do Belwederu, siedziby Wielkiego Księcia Konstantego, a Piotr Wysocki wbiegł do sali wykładowej i przerwał zajęcia okrzykiem: „Wybiła godzina zemsty. Niech piersi wasze będą Termopilami. Idźcie na dół, rozbierzcie broń!”.

Tak rozpoczęło się Powstanie Listopadowe. Jak jednak doszło do wybuchu w noc 29 listopada?

Królestwo tzw. Kongresowe, utworzone na mocy uchwał Kongresu Wiedeńskiego 1815 r., obejmujące mniejszą tylko część ziem polskich – nie zaspokoilo aspiracji narodowych Polaków. Gdy ponadto obietnice dawane przez cara Aleksandra, a zarazem konstytucyjnego króla polskiego okazały się czcze, zaś konstytucja państwa była raz po raz naruszana – niezadowolenie poczęło rosnąć. Już na przełomie drugiej i trzeciej dekady XIX w. zaczynają tworzyć się spiski i tajne sprzysiężenia. W 1819 r. powstaje Wolnomularstwo Narodowe, przekształcone dwa lata później w Towarzystwo Patriotyczne: w tym samym 1819 r. tworzy się Związek Wolnych Polaków. Władze wpadają jednak na trop podziemnych organizacji, jeszcze pod koniec 1821 aresztowania rozbijają Związek Wolnych Polaków, w 1822 aresztowany zostaje mjr Walerian Łukasiński, dusza i przywódca Towarzystwa Patriotycznego. Samo Towarzystwo przetrwało do początku 1826 r., a po nieudanym puczu dekabrystów w Petersburgu w grudniu 1825 r. – zostało rozbite przez policję. Przez kilka następnych lat nie istniała żadna poważna organizacja podziemna. Niemniej jednak narastał systematycznie opór społeczeństwa przeciwko narzuconej władzy i umacniały się tendencje rewolucyjne.

Dopiero 15 grudnia 1828 r. instruktor szkoły podchorążych, ppor. Piotr Wysocki utworzył tajną organizację spiskową. Przez dłuższy okres czasu prawie że nie wychodziła ona poza mury szkoły mieszczącej się w Łazienkach, należało do niej kilku tylko

²¹ Nie był to jedyny tekst Leszka Moczulskiego o Powstaniu Listopadowym. Wśród innych należałoby wymienić: *Bitwa o Olszynkę Grochowską*, „Stolica” z 1966 r., nr 9; *Uderzenie z Warszawy*, „Stolica” z 1966, nr 48 oraz *Szanse Powstania*, „Stolica” z 1967, nr 48.

²² „Stolica” z 1970 r., nr 48.

cywilnych spiskowców. Dopiero wiosną 1829 r., gdy w kraju narastać zaczęło wyraźnie niezadowolenie i odczuć się dawało coraz silniejsze poruszenie w różnych środowiskach – sprzysiężenie Wysockiego zaczęło nabierać znaczenia. Nawiązano kontakty z legalną opozycją sejmową oraz młodzieżą akademicką.

Sytuacja zaczęła gwałtownie zaostrzać się od lata 1830 r. *Trois Glorieuses* – trzy dni chwały 27–29 lipca, kiedy to rewolucja w Paryżu obaliła dynastię Burbonów, wstrząsnęły Europą i głośnieym echem odbiły się nad Wisłą. Wkrótce potem, w sierpniu 1830 r. wybucha narodowe powstanie w Belgii i kraj ten wyzwala się spod władzy Holandii. Na jesieni dochodzi do rozruchów w Niemczech i we Włoszech.

Te wydarzenia międzynarodowe podwójnie oddziaływały na rozwój sytuacji w Polsce. Po pierwsze zachęciły rewolucyjnych spiskowców do działania, umacniały nastroje rewolucyjne w masach. Maurycy Mochnacki, jeden z najaktywniejszych spiskowców pisze, że „stolica Polski wzmagala się i huczała jako rzeka wezbrana, chcąc się rozlać z swego łożyska” pod wpływem wiadomości napływających z Francji i Belgii. Mimo iż nastroje rewolucyjne ogarniały szerokie rzesze mieszkańców Warszawy, sprzysiężenie założone przez Wysockiego nie sięgało do warstw mieszczańskich, zwłaszcza rzemieślniczych – siłą rzeczy najbardziej radykalnych. Spisek nadal obejmował głównie wojskowych, częściowo tylko cywilnych, pochodzących ze sfer – jakbyśmy to dziś nazwali – inteligenckich, wreszcie studentów. Sprzysiężenie przeniknęło do licznych pułków i jesienią należało już do niego ok. 200 oficerów. Szczególne znaczenie miało przystąpienie do spisku ppor. Józefa Zaliwskiego, starego konspiratora jeszcze z Wolnomularstwa Narodowego i Towarzystwa Patriotycznego, który następnie utworzył własną choć niewielką organizację podziemną.

Wydarzenia we Francji i Belgii inaczej jeszcze wpłynęły na sprawy polskie. Car Mikołaj, uważający się za strażnika i czołowego przywódcę Świętego Przymierza reakcyjnych mocarstw europejskich, postanowił interweniować, aby „przywrócić legalną władzę” we Francji i Belgii. Już we wrześniu przygotowania militarnej interwencji zbrojnej rozpoczęto, a w październiku 4 korpusy carskie osiągnęły gotowość bojową.

Na jednym ogniu car chciał upiec dwie pieczenie: zdławić rewolucję na zachodzie, a równocześnie uspokoić i podporządkować sobie w pełni Polskę. Jako awangarda armii carskich, maszerujących na zachód, aby „przywrócić tam porządek”, iść miało wojsko polskie. Niezależnie od haniebnego roli, jaką petersburski satrapa wyznaczał Polakom w dziele zdławienia rewolucji we Francji i Belgii – zamierzał on po obsadzeniu Królestwa przeważającymi siłami carskimi ograniczyć jeszcze bardziej jego autonomię, a wojsko polskie wcielić po prostu w szeregi własnego.

Te zamiary cara zaktywizowały spiskowców. Przeciwny był im zresztą wielki książę Konstanty, dla którego plan Mikołaja równoznaczny był z pozbawieniem go faktycznej władzy absolutnej nad Królestwem Kongresowym. To stanowisko Konstantego pociągnęło za sobą ważne konsekwencje. Mimo iż na jesieni 1830 r. coraz szybciej narastały nastroje rewolucyjne, w masach i rozbudowywała się organizacja spiskowa – Konstanty

ukrywał to przed Mikołajem, informując brata, że sytuacja jest zupełnie spokojna i nie grozi żaden wybuch.

W rzeczywistości było zupełnie inaczej. We wrześniu i październiku organizacja spiskowa w wojsku rozbudowała się poważnie, a na jej czele stanęli Wysocki, Zaliwski i Urbański. Organizacją cywilną, złożoną z literatów, dziennikarzy, prawników, urzędników, kierowali Zaleski, Goszczyński, Nabelak, Mochnacki. Nielegalnym grupom studenckim przewodzili Meysner, Bartkowski, Rettel. Spisek nie objął natomiast młodzieży rzemieślniczej.

Policja Konstantego trafiła bez większego trudu na ślad tych tajnych organizacji, zwłaszcza grupy akademickie nie potrafiły się konspirować. Mimo iż wielki książę starał się sprawę bagatelizować, podjął decyzję aresztowań. W pierwszej połowie listopada zatrzymano wielu spośród spiskowców. Penetracja policji poszła tak daleko, że przesłuchiwani już byli nawet Wysocki i Urbański. Ujawniony został spisek w szkole podchorążych. Zaniepokojony Konstanty musiał powiadomić Mikołaja o rzeczywistym stanie rzeczy.

Spiskowcy znaleźli się niemalże w przymusowej sytuacji. Łada dzień aresztowania mogły rozbić całą organizację. Zaliwski parł do wybuchu. Wysocki odkładał decyzję. 19 listopada 1830 r. gazety warszawskie przedrukowały ukaz cara Mikołaja o mobilizacji armii carskiej i wojska polskiego celem rzucenia ich na zachód dla zdławienia rewolucji francuskiej i belgijskiej. Była to kropla, która przelała czarę. Jeszcze 21 listopada w bibliotece Towarzystwa Przyjaciół Nauk, obecnym Pałacu Staszica, Wysocki, Zaliwski i Bronikowski rozmawiali z Joachimem Lelewelem, powszechnie uznanym za jednego z głównych przywódców opozycji demokratycznej w Polsce.

Lelewele wtajemniczony w sprawy spisku dawał odpowiedzi wymijające, przyjął jednak do wiadomości informację, że rewolucja musi zostać rozpoczęta. Kilka dni później, 26 listopada, Lelewele ponownie zwracał uwagę na ryzyko zbrojnego wystąpienia.

Spiskowcy byli już zdecydowani na wszystko. Termin wybuchu ustalili na 10 grudnia, lecz pod wpływem wiadomości, że łada dzień mają nastąpić masowe aresztowania – przyspieszyli wybuch na 29 listopada. Nie bardzo wiedzieli, co chcą osiągnąć rewolucją. Zamierzano tylko zgładzić Konstantego, lecz nie ustalono nawet, kto po rewolucji stanie na czele kraju. Spiskowcy zamierzali być jedynie iskrą, która podpali prochy, przypuszczając, że ich zbrojny zamach porwie za sobą cały naród, który wyłoni właściwe kierownictwo. Plany militarne zamachu opracował Józef Zaliwski. W Warszawie znajdowało się ok. 6 000 żołnierzy carskich, rozmieszczonych w różnych punktach. Jedno z najsilniejszych zgrupowań znajdowało się w rejonie Łazienek. Tutaj miał walczyć na czele podchorążych i cywilnych spiskowców Piotr Wysocki: podlegała mu także akcja na Belweder. W śródmieściu komendę objął sam Zaliwski: głównym zadaniem było obsadzenie Arsenału. Wreszcie w północnych dzielnicach akcją zbrojną dowodzić miał Urbański.

PLAN POWSTANIA JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO

Tak zarysował się spisek. A równocześnie, choć bez przygotowań organizacyjnych, w plebejskich masach Warszawy dojrzała wola rewolucji²³. Spiskowcy stali się rzeczywiście tylko iskrą, od której rozgorzał potężny płomień walki ludu Warszawy.

L. M.

* * *

PLAN POWSTANIA JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO²⁴

Przybyły w lutym 1862 r. do Warszawy Jarosław Dąbrowski rychło stał się czołowym przywódcą rewolucyjnego odłamu Czerwonych, zmierzającego do jak najszybszego rozpoczęcia powstania i połączenia walki wyzwolenczej z wprowadzeniem w życie szerokich reform społecznych. Świeżo ukończywszy z wyróżnieniem Akademię Sztabu Generalnego w Petersburgu i mianowany adiutantem 6 dywizji, tkwi Dąbrowski głęboko w środowiskach rewolucyjnych wewnątrz carskiego korpusu oficerskiego. Bardzo inteligentny, gruntownie wykształcony, miał osobowość przyszłego wodza naczelnego: i woli, i umiejętności starczyłoby mu na wywołanie i prowadzenie powstania. Nie mógł tylko dokonać tego w pojedynkę.

Wkrótce po przybyciu do Warszawy, Dąbrowski wszedł w skład Komitetu Miejskiego, centralnej organizacji kierującej radykalnym skrzydłem Czerwonych. Wysznuwawszy się na plan pierwszy w Komitecie, doprowadził do połączenia z nim odrębnego dotychczas Komitetu Akademickiego, kierującego organizacją złożoną z ok. 2 000 młodzieży. Zjednoczona i zreformowana organizacja spiskowa skupiła w swych szeregach łącznie ok. 7 000 ludzi, z czego 250 w Warszawie. Pod kierunkiem Dąbrowskiego spiskowcy zostali podzieleni na dziesiątki setki i tysiące. W samej Warszawie, głównym ośrodku spisku, kierował nimi Naczelnik miasta; funkcję tę objął sam Dąbrowski. Przystąpiono do bezpośrednich przygotowań powstańczych; spiskowcy szkoleni byli wojskowo, w podwarszawskich lasach zbierano na ćwiczenia grupy i po 200 osób liczące.

Równoległe z tworzeniem sprężystej organizacji spiskowej przystąpił Jarosław Dąbrowski do opracowywania planu powstania. Uważał, że warunki chwili są bardzo sprzyjające. W Polsce nastroje społeczeństwa były bardzo gorące. W miastach głównie

²³ Słowo „rewolucja” w tekstach Moczulskiego często pojawia się jako synonim walki o niepodległość. Poczynając od czasów Kościuszki (który wzorował się tu na „rewolucji amerykańskiej”, czyli wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, w której zresztą sam brał udział) było to logiczne, bowiem dążenie do odzyskania niepodległości własnymi siłami, zakładało wciągnięcie do walki szerokich mas ludowych, a to oznaczało połączenie walki o wyzwolenie narodowe z dążeniem do radykalnych reform społecznych. Na przełomie XIX i XX wieku owo zespolenie walki narodowej i rewolucji społecznej było szczególnie widoczne w programie PPS-u.

²⁴ „Stolica” z 1968 r., nr 2.

rzemieślnicy i studenci, lecz także część mieszczaństwa, wzburzona brutalnymi ekscesami najeźdźców, którzy wprowadzili stan wojenny, coraz bardziej pragnęła walki. Na wsi chłopci domagali się reform agrarnych, dekrety podziemnej władzy o ich uwłaszczeniu mogły poruszyć masy. W Rosji sytuacja była podminowana. Od roku już raz po raz dochodziło w Petersburgu do manifestacji antyrządowych, liczne kręgi inteligencje domagały się konstytucji, pisma tajne i emigracyjne, takie jak „Zemlia i Wola” czy „Koło koła” nawoływały nie tylko do gruntownych zmian w państwie Romanowych, lecz głosiły hasła prawa Polski do oderwania się od caratu. Wśród kręgów inteligencji młodych oficerów szerzyły się spiski. Patrzono na Polskę, aby dała sygnał do rewolucyjnego zrywu. W zwycięstwie powstania polskiego widziano początek przyszłej rewolucji rosyjskiej. Szczególnie w garnizonach Królestwa Polskiego było wielu spiskowców: wśród nich Ukraińcy Andrzej Potebnia i Piotr Śliwicki, Rosjanie: Fienin, Kutuzow, Polak Dobrogojski. Szczególnie w artylerii i broniach technicznych spisek był bardzo rozgałęziony.

Na wykorzystaniu tego rewolucyjnego spisku w szeregach armii carskiej oparł Jarosław Dąbrowski swój plan powstania. Był on prosty. Umówionej nocy jedna z grup spiskowców warszawskich licząca ok. 2 000 uzbrojonych ludzi podejść miała pod bramę Cytadeli; bramę tę mieli otworzyć spiskowcy wojskowi. Następnie jedni i drudzy łącznie mieli rozbroić oddziały; zadanie to rysowało się tym łatwiej, że żołnierze na noc broń składali, a część z ich bezpośrednich dowódców należała do spisku. Zresztą wiadome było, że niejedna rota na rozkaz swych oficerów dołączy się do powstania. Tej nocy jeszcze grupy spiskowców miały aresztować lub zgładzić namiestnika Królestwa i czołowe osobistości z wojska i administracji okupanta. Wreszcie, po otwarciu Arsenału, inne grupy spiskowców miały rozdać broń ludowi i formować z niego powstańcze oddziały.

Głównym zagrożeniem dla spisku były pułki rosyjskie spoza Cytadeli. Znajdowały się one w obozie pod Powązkami. Spiskowcy, oficerowie sztabów rosyjskich (a takim oficerem sztabu był i sam Dąbrowski) tuż przed rozpoczęciem powstania fałszywymi rozkazami mieli pułki te skierować w różnych kierunkach od Warszawy; przy okazji i tutaj zamierzano aresztować lub zgładzić generałów.

Wreszcie inna jeszcze grupa spiskowców spoza Warszawy miała podejść pod Modlin, wtargnąć do fortecy otwartymi bramami i opanować ją identycznie jak warszawską Cytadelę. W ten sposób zdobyto znajdujący się tam zapas broni (m.in. 7 000 karabinów).

Po opanowaniu Warszawy i Modlina miał się w stolicy ukonstytuować rząd tymczasowy i ogłosić dekrety o uwłaszczeniu chłopów i powołaniu całego narodu pod broń. W oparciu o ogarniającą cały kraj organizację spiskową jej setnicy i tysiącznicy przystąpią do formowania wojska.

Termin powstania Dąbrowski ustalił na czerwiec. Dłużej nie można było czekać, raz aby sprzyjające warunki nie minęły, dwa że w czerwcu miała nastąpić zmiana dyslokacji jednostek rosyjskich, co porwałoby organizację spiskową w wojsku.

Plan swój przedstawił Dąbrowski na posiedzeniu Komitetu pod koniec marca; przesądził zresztą decyzję, oświadczając, że choćby go Komitet odrzucił, to on jako Naczelnik miasta, przeprowadzi go na czele organizacji miejskiej. Przy jednym głosie przeciw zebrani głosowali za planem.

Rychło potem jednak wśród środowisk spiskowych zrodził się spisek przeciwko Dąbrowskiemu. Oddziało tutaj poważnie ugodowe stronnictwo Białych; mniej radykalni wśród Czerwonych zaczęli się wahać i łamać. Czołową rolę zakulisową w tym spisku przeciw spiskowi odegrał Agaton Giller, choć na plan pierwszy wysunął się Koskowski i członek Komitetu Daniłowski. Gdy odbywało się posiedzenie Komitetu, dom został obstawiony przez uzbrojonych w sztylety i rewolwery spiskowców, zaś Koskowski zmusił Komitet do rozwiązania się i utworzenia w nowym składzie, już bez Dąbrowskiego.

Dąbrowski jednak nie ustąpił. Nowy, złożony po części z Białych Komitet nie utrzymał się długo. Dąbrowski doprowadził do jego upadku, lecz na to miejsce powstał Komitet o składzie kompromisowym.

Te wewnętrzne rozgrywki przesądziły jednak sprawę powstania. Wieści o planie Dąbrowskiego przeniknęły na zewnątrz. Władzom carskim udało się wpaść na trop niektórych spiskowców w wojsku. Aresztowano kilku oficerów. Gdy miano aresztować Śliwickiego, kierującego szkołą podoficerską, kursanci z bronią w ręku wystąpili w obronie swego dowódcy i tylko rozkaz Śliwickiego powstrzymał ich przed rozpaczliwym zrywem. Wkrótce potem grupę oficerów Arnholda, Śliwickiego i podoficera Rostkowskiego rozstrzelano, w odwet za co Andrzej Potebnia dokonał nieudanego zresztą zamachu na namiestnika Lidersa.

Władze carskie przystąpiły do tropienia spiskowców. Aresztowano samego Dąbrowskiego. Ten może jedyny człowiek, nadający się na wodza powstania – nie wziął w nim udziału. Wodzem naczelnym został dopiero po latach – w Komunie Paryskiej.

Wraz z aresztowaniem Dąbrowskiego skończył się jeden z przedwstępnych etapów Powstania Styczniowego.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

WARSZAWSKIE ODDZIAŁY PARTYZANCKIE²⁵

W połowie stycznia 1863 roku coraz liczniejsze gromadki młodzieży warszawskiej zaczęły opuszczać miasto, kierując się do Puszczy Kampinoskiej lub lasów Serockich. Uchodzono w ten sposób przed branką rekruta do armii carskiej, wyznaczoną począt-

²⁵ „Stolica” z 1968 r., nr 4.

kowo na 25 stycznia. Powstanie miało się rozpocząć tuż przed branką, w nocy z 22 na 23 stycznia.

Władze carskie przyspieszyły jednak termin branki, odbyła się ona w nocy z 15 na 16 stycznia. Policjanci i żandarmi, pod osłoną wojska, które obsadziło ulice, porwali z domów według przygotowanych list 1 657 rekrutów, których zgromadzono w Cytadeli. Nie udało się jednak schwycić wszystkich, których zamierzano.

Jeszcze przed branką Komitet Centralny Narodowy i kierujący nim wówczas faktycznie Padlewski zarządzili ewakuację spiskowców poza miasto. Gorączkowo zbierano dla nich zapasy kożuchów, ubrań, żywności, broni i amunicji. W kilku wyraźnie zorganizowanych obozowiskach skupiały się coraz to nowe grupy młodzieży warszawskiej, głównie rzemieślniczej. Z nich to Padlewski zamierzał sformować zgrupowanie partyzanckie, którego zadaniem miało być w chwili wybuchu Powstania zdobycie Płocka. Po jego wyzwoleniu miał tam przybyć z Warszawy Rząd Narodowy i stąd kierować dalszymi losami Powstania.

Także i po brance liczne grupy młodzieży opuszczały miasto, kierując się do obozowisk. Głucha wieść o tym, że Powstanie wybuchnie lała dzień, zaczęła krążyć po Warszawie. Ugodowe stronnictwo Białych postanowiło przeciwdziałać. Z jego inicjatywy odbył się wiec studentów Szkoły Głównej, gdzie wpływy Białych były bardzo silne. Reżyserowana impreza przyniosła sukces organizatorom: wiec potępił decyzję Komitetu Centralnego Narodowego o zarządzeniu powstania i uchwalił rezolucję, że młodzież nie weźmie udziału w ruchu powstańczym.

Lecz takie rezolucje nie mogły już nic zmienić, wszystkie sprężyny były uruchomione i kraj stawał do walki. Nawet liczni uczestnicy wiecu Szkoły Głównej w kilka dni później znaleźli się w lesie, w oddziałach powstańczych.

Padlewski opuścił Warszawę, łącząc się z młodzieżą w Puszczy Kampinoskiej; Rogaliński, b. żołnierz Garibaldiego, wyjechał do obozowiska w lasach pod Wyszogrodem. Rozpoczęto pośpieszną organizację oddziałów wojskowych. Z tych, dla których wystarczyło broni palnej, formowano strzelców, inni tworzyli oddziały kosynierskie. Ci, dla których i kos zabrakło, grupowani byli w zespoły tzw. drągalierów, uzbrojonych jedynie w grube pałki. Broń dla nich trzeba było zdobyć dopiero na wrogu. Ducha jednak nie brakło i w dni kilka z grup prawie nieprzeszkolonych wojskowo udało się sformować zwarte i zdyscyplinowane oddziały.

Władze carskie dowiedziały się jednak przez szpiegów o leśnych obozowiskach. Zresztą faktu masowego wychodzenia młodzieży z miasta nie udało się ukryć. Wróg postanowił więc schwycić uciekinierów. Kolumny wojska ruszyły za miasto, zarzucając gęstą sieć wokół obozowisk powstańczych.

Główną uwagę carscy dowódcy przywiązywali do obozowisk młodzieży w Puszczy Kampinoskiej. Wojska rosyjskie otoczyły Puszcę, zaczęły ją cesać, zbliżając się coraz bardziej do miejsca formowania oddziałów Padlewskiego. Wreszcie sak został zamknięty i z niewielkiego, otoczonego szczelnie wycinka Puszczy nikt już nie mógł się

wydostać. Trębacze zagrali sygnał do szturm i gęste szeregi piechoty carskiej ruszyły naprzód z okrzykiem „ura!”. Jaki jednak był zawód nacierających, gdy wtargnąwszy do obozowiska, nie zastali już tam żywej duszy.

Padlewski rozpoznał bowiem zamiary wroga i nie dał się schwytąć w sieć. Forsownym marszem ruszył na czas na północ, pod Secyminem przeszedł po lodzie na prawy brzeg Wisły, połączył się z oddziałami sformowanymi w lasach Serockich i pomaszerował w kierunku Płocka.

Jeszcze gorzej powiodła się carskim dowódcom wyprawa w lasy Wyszogrodzkie, gdzie swój oddział formował Rogaliński. I on, klucząc po lasach, wydostał się z zastawionych siideł. Ale nie tylko; dzielny dowódca ukazał wrogowi kły. Pod Ciołkowem zaskoczył znienacka kolumnę rosyjską i zniósł ją w pierwszym uderzeniu. Poległ płk Kozłaninow wraz z 43 swymi żołnierzami, kilkudziesięciu zostało rannych, a resztę powstańcy rozpendzili. Polacy ponieśli jednak również dotkliwą stratę: wśród kilku poległych znalazł się dzielny Rogaliński.

Działania rosyjskie przyniosły jednak pewien skutek. Zmuszeni do wymykania się oblławie i kluczenia po lasach, Padlewski i Rogaliński nie zdołali na czas przybyć pod Płock. Potyczka pod Ciołkowem, gdzie zginął Rogaliński, odbyła się już w nocy z 22 na 23 stycznia.

Nie doczekawszy się przyjscia zapowiadzianych oddziałów, spiskowcy płocky sami podjęli nieudaną próbę zajęcia miasta. Władze carskie nie dały się zaskoczyć i powstańcy ponieśli klęskę. Tak więc pierwotny plan wyzwolenia Płocka i uczynienia z niego podstawy przyszłych działań spalił na panewce. Padlewski podjął więc nową decyzję. Postanowił okupić swój oddział i wszystkie inne grupy działające w tej części Mazowsza w jednym wielkim obozie w lasach Drobińskich. Dopiero po zgromadzeniu odpowiednich sił zamierzano przejść do ofensywy.

W tym czasie, gdy główne siły Padlewskiego organizowały się pod Drobinom, mniejsze oddziały rozrzucone zostały wokół jakby łańcuchem. W Ciechanowskim dowodził grupą partyzancką warszawski subiekt, Jurkowski, w Makowskim – Tytus Steinkeller, przepraw nad Wisłą pilnowała konna partia Przybyszewskiego. Rosjanom jednak udało się zaskoczyć niektóre z powstańczych oddziałów. Pod Gliniojeckiem kolumna dowodzona przez renegata Sierżputowskiego rozbiła partię Wolskiego, a tydzień później rozgromiono oddział Steinkellera. Tych porażek nie zrównoważyły sukcesy Kolbego i Jurkowskiego, którzy na znacznej przestrzeni rozbili rosyjską straż graniczną, zdobywając sporo broni. Padlewski musiał opuścić rejon Płocka i na czele swych oddziałów, w znacznej mierze złożonych z młodzieży warszawskiej, przeszedł w lasy między Bugiem a Narwią. Tutaj wydał rozkazy, aby ściągały do niego partie działające na pobliskim Podlasiu. Aby przyspieszyć spotkanie, Padlewski wyruszył naprzeciwko oddziału Zameczka. Po połączeniu, obie partie zajęły Myszyniec. Tutaj 9 marca stoczona została krwawa bitwa, w której poległ m.in. dawny naczelnik Warszawy Edward Rolski. Mimo porażki Padlewski zebrał na nowo oddział. Ścigające kolumny carskie

dopadły go pod Żeribokiem w Ciechanowskim i ponownie zadały klęskę powstańcom. Padlewski odbudował jednak swą partię, odparł kolejny napad wroga pod Strzegowem i wycofał się do Łaszewa.

Sytuacja jednak była krytyczna. Ze wszystkich stron dążyły ku partii Padlewskiego kolumny carskie. Oddział powstańczy, manewrując w kierunku pruskiej granicy, stoczył kilka pomyślnych potyczek z kozakami, lecz naciskany ze wszystkich stron, po starciach pod Wróblewem Radzanowem i Chramponiem – znalazł się w sytuacji bez wyjścia. 22 marca, po dwóch miesiącach walk i forsownych marszów, Padlewski rozwiązał w Gorzeniu swoją partię, osaczoną już ze wszystkich stron.

Tak zakończyły się działania zgrupowania partyzanckiego, złożonego w znacznej mierze z młodzieży warszawskiej. Mimo rozwiązania partii powstańcy Padlewskiego w większości znaleźli się następnie w innych oddziałach, nadal tocząc walkę z najeźdźcą.

Sam Padlewski schronił się w dworze w Mysłakowie, gdzie organizował dalszą walkę. 22 kwietnia, gdy wyjechał stamtąd na spotkanie maszerującej z zaboru pruskiego partii powstańczej – został schwytany przez kozaków, rozpoznany i 15 maja rozstrzelany w Płocku.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

ŚMIERĆ ROMUALDA TRAUGUTTA²⁶

5 sierpnia 1864 r. o godz. 10.00 na południowych stokach Cytadeli zginął wraz z R. Krajewskim, J. Toczyskim, H. Zielińskim. J. Jeziorańskim ostatni dyktator Powstania Styczniowego – Romuald Traugutt. Przypadkowe i niezależne od siebie aresztowania zapoczątkowują śledztwo, kręgami swymi sięgające Rządu Narodowego. Nikt jeszcze z aresztowanych nie wspomniał o Romualdzie Traugucie, a władze carskie nie szukały go, będąc przekonane, że Traugutt już nie żyje.

W trakcie śledztwa pojawiło się jednak nazwisko Artura Goldmana, który działał w zakresie finansów Rządu Narodowego. Aresztowany był zresztą wcześniej, teraz przesłuchiwany ponownie, chcąc za wszelką cenę zdobyć przychylność władz carskich, zaczął sypać: ujawnił przede wszystkim, że Traugutt żyje i jest szefem rządu, że posługuje się pseudonimem Michał Czarnecki, podał jego rysopis, poinformował o miejscach, gdzie go widywał i o osobach, które go znały.

To zeznanie Artura Goldmana miało miejsce 8 i 9 kwietnia. Tegoż dnia szef komisji śledczej płk Tuchółka zarządził poszukiwania Traugutta w oparciu o dane uzyskane

²⁶ „Stolica” z 1968 r., nr 31. Jest to w zasadzie nie artykuł, ale krótka notka. Obszerny artykuł Leszka Moczulskiego o Traugucie ukazał się w „Stolicy” nr 31 z 1958 r. (był to prawdopodobnie jego pierwszy tekst w tym piśmie) – *Aresztowanie i śmierć Romualda Traugutta*.

TRADYCJE WALKI

od zdrajcy, a 11 kwietnia Traugutt został aresztowany. Artura Goldmana specjalnym rozkazem Tuchołki wyjęto spod sądu wojennego i zwolniono z więzienia.

Po trzymiesięcznym śledztwie Romuald Traugutt został postawiony przed sądem wojennym i wraz z czterema towarzyszami skazany na karę śmierci przez powieszenie.

Im

* * *

TRADYCJE WALKI²⁷

Gdy na całym prawie świecie robotnicy obchodzili po raz pierwszy święto 1 maja w 1890 r. – obchód tego dnia pracy i walki także w Warszawie wzbudził uznanie za granicą. We Francji, w Niemczech, w Wielkiej Brytanii partie czy grupy socjalistyczne działały legalnie, miały własne jawne wydawnictwa, organizacje. W Polsce, skutej kajdanami carskimi, było to nie do pomyślenia. Dlatego na kongresie międzynarodowym w Brukseli (w 1889 roku), który podjął decyzję o świętowaniu 1 maja, delegaci polskiej partii Proletariat – Maria Jankowska i Stanisław Mendelson, głosując za tą uchwałą, zastrzegli jednak, że wątpliwe jest, czy uda się ją nad Wisłą wprowadzić w życie. Groziło bowiem, że policja carska złamie w zarodku przygotowania majowe i idąc ich tropem, rozbije organizację robotniczą.

A jednak dzień 1 maja 1890 r. był w Warszawie świętowany. Jeszcze w marcu grono działaczy Proletariatu podjęło uchwałę, aby zmobilizować robotników do wystąpienia w tym dniu. Chodziło o poruszenie mas, o dotarcie do nich właśnie przez wspólne, zbiorowe wystąpienie. „Tajne kółka – wspomina Czesław Hulanicki, jeden z organizatorów 1 maja 1890 r. – były z natury swej nieliczne, stanowiły cienki zaledwie strumyk w morzu ludowym, nie mogły więc zapuścić rozgałęzionych korzeni w rzeszach robotniczych”. A szło przecież właśnie o rozkołysanie, o wzburzenie, o wyrwanie z bierności, apatii tych fal proletariackich. One jeszcze pomimo dziesięcioletniej przeszło propa-

²⁷ „Stolica” z 1968 r., nr 18. Przed 1 Maja w prasie PRL-u ukazywało się wiele propagandowych tekstów, ukazujących to święto robotnicze w towarzystwie marksistowskich haseł walki klas. Na tym tle artykuł Moczulskiego jest przewrotny, wpisuje bowiem pierwszą demonstrację pierwszomajową na ziemiach polskich w 1890 r. w zupełnie inny kontekst – jako narzędzie wyrwania robotników z apatii i wciągnięcia ich do walki z najeźdźcą. Słowo „najeźdźca” pojawia się w tekście wielokrotnie, mowa jest także o „kajdanach carskich” i o „żandarmach”. Wyraz „rewolucja” pojawiający się w tym i w innych artykułach Moczulskiego („Rewolucja bez rewolucji”!), należy postrzegać jako synonim powszechnej walki o niepodległość, w ramach której masy ludowe (chłopskie, czy robotnicze) są wciągane do działań na rzecz niepodległości, po odzyskaniu której, będzie możliwość realizacji ambitnego programu reform społecznych. W ten sposób Moczulski oszukał cenzurę i wpisał demonstrację 1 V 1890 r. w zupełnie inny kontekst.

gandy i agitacji, murem chińskim odgródzone były od garstki „szaleńców”, gotowych na wszystko w imię dobra ludu robotniczego...

Pierwsze warszawskie święto majowe miało więc poruszyć masy. Organizacja robotnicza uznała, że w ryzykownej akcji majowej warto się narazić na najcięższe nawet represje ze strony najeźdźcy – ale równocześnie poruszyć masy, wyrwać je z apatii.

Zamiar ten powiódł się całkowicie. Wprawdzie żandarmom carskim udało się wpaść na trop przygotowań, aresztowano wielu działaczy, a następnie skazano w pierwszej warszawskiej „sprawie majowej” – lecz ofiary te nie poszły na marne. 8 do 10 tys. robotników odpowiedziało na wezwanie, przystępując 1 maja do strajku. Tak masowego wystąpienia nie pamiętała Warszawa od dawna, a jego rozmiar uniemożliwił władzom carskim zastosowanie represji wobec wszystkich manifestujących.

To pierwsze masowe wystąpienie proletariatu polskiego w dniu 1 maja, miało ważne konsekwencje. Od tej pory w zasadzie datować można proces formowania się w Polsce masowych partii robotniczych. W najbliższych latach, na fali tego narastającego ruchu mas, powstały PPS i SDKPiL. Decydujące znaczenie miało to, że został przerwany okres apatii mas; pierwsze zbiorowe wystąpienie na tę skalę zapoczątkowało proces prowadzący obiektywnie do rewolucji.

Następne święta majowe, podobnie jak i pierwsze, były nie tylko uroczystym obchodem, lecz istotnym elementem walki aktywizacji mas robotniczych. Gdy polityka najeźdźcy i rodzimej reakcji zmierzała do atomizowania mas, do rozbijania łączących więzi, do przekształcania klasy robotniczej w zespół samotnych, pojedynczych i wystraszonych ludzi – partie robotnicze zmierzały do umocnienia wzajemnych związków proletariatu. „Łączność między ludźmi – czytamy w wydanej z okazji 1 maja 1896 r. nielegalnej broszurze »Pamiętka Majowa« – to największa zbrodnia wobec cara. A czym jest robotnik bez łączności? – niewolnikiem każdego wyzyskiwacza, niewolnikiem każdej pijawki, niewolnikiem własnej ciemnoty... Jedni pod tym ogromem ucisku obojętnieją, na własną niedolę nawet, i nie widząc znikąd pomocy, idą, jak woły w jarzmie, pokornie i cicho pracować dla drugih, inni stawiają opór, lecz i ci potrzebują zachęty i otuchy. gdyż walka jest trudna i ofiarna jak nigdzie”. Najlepszą zaś otuchą było umacnianie poczucia własnej siły. Masowe, 1-majowe wystąpienia robotnicze siłę tę ukazywały. Masowe manifestacje eliminowały uczucie samotności bezradnej jednostki wobec wyzysku i niewoli, ukazywały siłę mas.

Były walką i szkołą walki. To poczucie własnej siły wzmaga się w proletariacie polskim coraz bardziej. Mówi o tym pieśń, powstała jeszcze w 1894 r., zatytułowana „Oto nadszedł maj uroczy”. Łatwo sobie było wyobrazić uczucia tłumu, śpiewającego:

*Jak daleko oko sięga,
Zaświętował każdy z nas.
Taka (nasza) jest potęga
Gdy stanjemy wszyscy wraz.*

*Gdy się ruszy lud roboczy,
Nie umilknie jego głos,
Z naszą sprawą się zjednoczy
Wszeludźkości całej los.
Gdy staniemy razem wszędzie,
Choć źle było, lepiej będzie...*

Rok po roku, data 1 maja wyznaczała nowy etap rozwoju ruchu robotniczego, a zarazem jego walki z najeźdźcą i rodzimą reakcją. Raz łamane, kiedy indziej coraz bardziej zwycięskie demonstracje majowe były nie tylko przeglądem wzrastającej siły robotniczej, coraz to inne dawniej bierne grupy i środowiska włączały się do walki.

Tak doszło do umocnienia się organizacji robotniczych, które swym zasięgiem i wpływami objęły praktycznie cały proletariatus. Dokonana została wielka praca organizacyjna i uświadamiająca. Ona też umożliwiła masowe wystąpienia proletariatus polskiego podczas rewolucji 1905–07 r.

Wystąpienia majowe podczas rewolucji były szczególnie potężne. O pierwszej z tych majowych demonstracji, podczas rewolucji, wspomina jej uczestnik A. Krajewski: „Pochód rósł i potężniał. Bo zewsząd zbiegli się robotnicy, posłyszawszy dźwięki »Czerwonego« i »Warszawianki«. Raz po raz otwierały się bramy i wybiegały z nich grupki ludzi, chcących przyłączyć się do demonstracji. I wkrótce pochód stał się olbrzymi: około dwudziestu tysięcy głów ludzkich szło pod czerwienią sztandarów, z piersi tłumów dobywały się niestrojone, klójące z sobą, a mimo to potężne i porywające dźwięki pieśni robotniczych... W pewnej chwili pochód się zatrzymał. Naprzeciw nam jechał patrol konny i to dość liczny. Chwila milczenia – tłum rozstał się w milczeniu, dając pośrodku drogę żandarmom. Ci przejechali stępą, wolno, jakby ociągając się... Tak doszliśmy przez Żelazną czy też Towarową do Alei Jerozolimskich i skręciliśmy wszyscy w Aleje Tam miał się dokonać akt ostatni demonstracji. Ledwie uszliśmy paręset kroków, usłyszeliśmy tętent kopyt końskich i granie trąbki. To szedł naprzeciw nam wielki, bo liczący kilkuset ludzi, oddział wojska. Tym razem wiedzieliśmy wszyscy, że starcie jest nieuniknione. Tłum drgnął i zatrzymał się, ale się nie rozpierchnął... Widziałem twarz oficera, widziałem pierwszy szereg żołnierzy, jak mur nieruchomy i milczący... Usłyszałem jakiś krzyk oficera, potem suchy trzask strzałów karabinowych. W pierwszej chwili tłum nie drgał – staliśmy wszyscy jak wryci w ziemię – raczej jeszcze trwał rytm pochodu, jeszcze nogi rwały się naprzód. Nikt się jednak naprzód nie rzucił. Gruchnęła nowa salwa, następna rozsypała się już w urywany terkot poszczególnych karabinów. Tłum runął w bok, zanim zdążyłem zdać sobie sprawę, czy są ranni i zabici. Porwała mnie fala ludzka... Krwawe starcie 1 maja nie przynębiło mas. Przeciwnie, podniosło jeszcze bardziej nastrój bojowy – już czwartego maja wielotysięczne tłumy brały udział w demonstracyjnym pogrzebie towarzyszy zamordowanych 1 Maja...”.

Takie były pierwsze warszawskie maje – bardziej kulminacyjne dni walki niż uroczyste obchody. To nadawało im charakter odmienny niż w większości krajów europejskich. Toteż przeszły do robotniczej, polskiej tradycji.

L. M.

* * *

STRZAŁY NA PLACU GRZYBOWSKIM²⁸

Długie czterdzieści lat żyła Polska w cieniu klęski Powstania Styczniowego. Katastrofa, choć oddalona od współczesnych o co najmniej długość pokolenia, ciążyła w ich duszach i umysłach. W tej czy innej formie, mocnej lub słabej, dominowały przekonania określane mianem „realnych” czy „pozytywistycznych”, a hasła pracy organicznej, pracy od podstaw zwyciężały w codziennej praktyce. Powstałe w ostatniej dekadzie XIX wieku socjalistyczne partie robotnicze w Polsce, mimo iż na sztandarach wypisane miały hasła rewolucji, a z racji swych najgłębszych celów powinny były mierzyć siły na zamiary, w codziennej praktyce ograniczały się do mrówczej pracy agitacyjnej obliczonej na długofalowe działanie przez stopniowe uświadamianie klasy robotniczej. Ten stan rzeczy odpowiadał zresztą ogólnym nastrojom i przekonaniom panującym w całej Europie. Po okresie burzy i naporu, wstrząsów które przeorały głęboko cały kontynent, po piętnastoletnim okresie wojen i rewolucji, gwałtownych wzlotów jednych i równie gwałtownych upadków innych, (w tym czasie mieściło się również Powitanie Styczniowe), zakończonym efektownym pokonaniem Francji przez Prusy w 1870–71 r. i zalaniem krwią Komuny Paryskiej – zapanowała długa era stabilizacji. Wszystko zostało jakby zamrożone. Na razie nie liczone było z możliwością szybkich i gwałtownych przemian, a wizja rewolucji, tego celu zasadniczego partii robotniczych, wydawała się być odległa o wiele pokoleń. Okres ten oceniony został przez jednego z działaczy socjalistycznych, już z perspektywy kilku lat, następująco: „Jeżeli mam być szczerzy i odpo-

²⁸ „Stolica” z 1974 r., nr 46. Kluczem do zrozumienia drugiego dna tego tekstu jest wiedza o tym, że babcia Leszka Moczulskiego współpracowała z OB PPS, przenosząc bibułę, ale także browningi na dnie wózełka swej córeczki (matki Leszka). Oczywiście czyn polegający na przenoszeniu broni ukrytej pod ciałem maleńkiego własnego dziecka może budzić kontrowersje. Leszek Moczulski słyszał kiedyś w nocy, zimą, na początku 1940 r., rozmowę swojej mamy i babci. Mama Moczulskiego dziwiła się, że jej matka ryzykowała życiem własnego dziecka, aby zaopatrzyć bojowców w broń. Poruszona zapytała: *A co by się ze mną stało, gdyby kozacy znaleźli te pistolety?* Na co babcia, po długiej chwili milczenia, powiedziała do córki: *Teraz się wszystko na nowo zaczyna. Znowu będziemy robili to samo. Poczekaj! Zrozumiesz!* Nagrania tego i innych wspomnień Leszka Moczulskiego są dostępne na kanale Internetowe Archiwum KPN na YT w ramach cyklu *Rozmowy o zmierzchu*, zrealizowanego przez nasz Instytut w ramach projektu dofinansowanego przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

wiedzieć na postawione sobie pytanie, czy kto z nas kiedykolwiek wyobrażał sobie, czy i co poza uświadomieniem i agitacją przyjdzie nam kiedyś zrobić, to muszę powiedzieć, że kwestia ta dla nas nie istniała, że o tym nie myśleliśmy wcale. Jeśli zaś nawet ktoś zadał niewczesne pytanie, jakimi środkami dotrzemy do swych celów, to wszyscy odczuwali niestosowność takiego postawienia sprawy, wymigiwali się od odpowiedzi lub zadowalali się przerzucaniem rozwiązania zagadnienia na najróżnorodniejsze czynniki. Mówiliśmy więc, że oświecona Europa nie znieśie wśród siebie takiego potwora reakcji, jakim jest Rosja; jednocześnie zaś znowu składaliśmy wszystko na barki ruchu ludowego w Rosji: czasem mówiliśmy o możliwości jakichś wypadków i wojen, w które zresztą nikt z nas ani trochę nie wierzył”. Wprawdzie w międzynarodowym ruchu robotniczym znajdowali się ludzie – tacy jak Lenin – którzy przez marazm codzienności dostrzegali przyszłe wielkie wydarzenia i domagali się, aby głównym zadaniem partii socjalistycznych stało się przygotowywanie rewolucji i zbrojnej walki z rządami, to na ogół dominowały poglądy sprecyzowane najdokładniej przez ówczesnych przywódców i ideologów niemieckiej socjaldemokracji, reformistyczne i spodziewające się przemian tylko w toku długo trwających procesów ewolucyjnych.

W Polsce, nadal przesłoniętej cieniem katastrofy 1863 r., ludzi, postulujących konieczność sięgania do radykalnych kroków, zapowiadających konieczność czynnej walki o wyzwolenie socjalne i narodowe, uważano za fantastów, „romantyków”, pogrobowców i rzekomo dawno przebrzmiałej, „awanturniczej” ideologii powstańczej.

I nagle w ten zastój niczym miot uderzyła rzeczywistość. W lutym 1904 r. rozpoczęła się wojna carsko-japońska, a choć początkowo powszechnie sądzono, że nie wywrze ona większego wpływu na imperium carów, wraz z pierwszymi klęskami w Mandżurii nowe prądy zaczęły przebiegać przez olbrzymie państwo, pojawiła się wizja rewolucji, do niedawna zupełnie teoretyczna. Gdy władze carskie zarządziły na ziemiach polskich częściową mobilizację rezerwistów, co dla tysięcy ludzi oznaczało zapowiedź śmierci w interesie zaborczego imperium carskiego, rozpoczął się lawinowy nacisk mas, domagających się czynnych wystąpień. Podziemny Warszawski Komitet Robotniczy wydaje odezwy, wzywające do zorganizowanych wystąpień, organizowania manifestacji publicznych, likwidowania szpicli i prowokatorów. Wkrótce potem przystąpiono do organizacji robotniczych bojówek, były to kilkusobowe grupy, uzbrojone w laski, które z reguły po wyjściu robotników z fabryki, organizowały wokół czerwonego sztandaru króciutkie, kilkuminutowe manifestacje. Było to mało, jak na narastające uczucie mas. Partia bolszewików w Rosji, kierowana przez Lenina i z jego inicjatywy zaczęła przygotowywać się do powstania zbrojnego robotników, dziełem partii socjalistów-rewolucjonistów stał się udany zamach bombowy na premiera Plehwego, zaś wspólna odezwa polskich, litewskich, białoruskich i łotewskich działaczy socjalistycznych wzywała robotników wszystkich narodów, aby czynnie występowali przeciwko caratowi, temu – jeszcze wedle słów Marksa – „więzieniu narodów”. Jesienią, w październiku, w kierownictwie polskiego ruchu socjalistycznego zwycięża kon-

cepcja przejścia do „taktyki czynu”. Początkowo nie jest ona w pełni sprecyzowana, ale nowy pobór rezerwistów do wojska przyspiesza wydarzenia. Dochodzi do licznych manifestacji, a jedną z największych staje się masowy mityng robotniczy w ul. Leszno z początkiem listopada. Żandarmi carscy i sotnia kozaków rozbijają jednak manifestację, raniąc kilkadziesiąt osób.

Wydarzenia na Lesznie odbiły się gwałtownym echem w całym mieście. Na zwołanej wkrótce przez Warszawski Komitet Robotniczy przy ul. Łochowskiej konferencji zebrani domagają się podjęcia stanowczych kroków. „Krzyczano: Dawajcie bronie! Bronie! Pokażemy im, że i my z nimi walczyć potrafimy! Odplacimy im za Leszno!” – zapisał jeden z uczestników konferencji, Bronisław Żukowski.

W największej tajemnicy postanowiono więc uzbroić grupę członków PPS w rewolwery i pistolety. Wybrano 60 ludzi, na których czele stanął „Kuroki” – Bronisław Berger i „Łysy” (nazwisko nie ustalone). Uzbrojono ich w najprzeróżniejsze rewolwery i 8 nowoczesnych pistoletów browning później przez bojowców zwanych „bronkami”. Równocześnie w wydrukowanych potajemnie trzech odezwach wezwano ludność Warszawy, aby wzięła udział w wielkiej manifestacji na pl. Grzybowskiem 13 listopada o godz. 13.00. Termin i data tej manifestacji były więc jawne dla władz carskich, w tajemnicy miano zachować jedynie udział uzbrojonych bojowców. Niestety, nie udało się to, bowiem działający wewnątrz organizacji PPS prowokator Ajzenlist ujawnił całą sprawę przed policją. Na szczęście znał on nazwisko tylko jednego z bojowców; został on natychmiast aresztowany przez władze carskie. Reszty policja nie mogła wychwytać; policmajster Seifert postanowił dać im krwawą łaźnię podczas manifestacji. Zresztą informacji prowokatora, jak się zdaje, nie potraktowano zbyt poważnie; władze carskie nie wierzyły, że rewolucjonistom uda się zorganizować uzbrojoną grupę – i że zdecydują się oni na akcję zbrojną.

Od godziny 7 rano w niedzielę 13 listopada; na ulicach wokół placu Grzybowskiego i na podwórkach okolicznych domów zaczęły gromadzić się oddziały carskiej policji i konnych żandarmów. Nie przeszkadzano zresztą gromadzić się tutaj mieszkańcom Warszawy. Dopiero po godzinie 8.00, gdy na plac napłynęło już wiele tysięcy ludzi, na ogół robotników i młodzieży, policja zaczęła interweniować i grozić najrozmaitszymi karami, wzywać do rozejścia się. Nie dało to żadnych skutków, zaś Seifert wstrzymał się na razie od rozpędzenia zebranych sił. Najpewniej chciał dopuścić do rozpoczęcia manifestacji, aby potem rozbić ją brutalnie i zastraszyć ludzi.

W tym czasie na samym placu i w pobliżu gromadziły się coraz większe tłumy. Już wpół do dwunastej tłok był tak wielki, że został wstrzymany ruch tramwajowy w tym rejonie. Liczbę obecnych oceniano na 80–100 tysięcy ludzi. Wszyscy czekali na rozpoczęcie manifestacji, coraz bardziej się niecierpliwiąc.

Wreszcie nadeszła godzina pierwsza. Po prawej stronie od schodów prowadzących do kościoła Wszystkich Świętych skupiła się grupa bojowców z ukrytymi pistoletami. W pewnym momencie podeszła do nich siostra Stefana Okrzei i wręczyła „Zduno-

wi” niewielki czerwony sztandar, zwinięty w rulonik²⁹. Stojący obok bojowiec Nejman krzyknął głośno: „Płachta do góry!”. Na ten okrzyk na całym placu zapanowała martwa cisza. Chwilę później zaintonowano Warszawiankę. Wszyscy zdjęli kapelusze i czapki z głów. „Zdun” i Okrzeja umocowali chorągiew na długim drążku i unieśli do góry. Czerwony sztandar, niezbyt wielki, miał napis: „PPS. Precz z wojną i caratem! Niech żyje Wolny Polski Lud!”. Wokół sztandaru stanęli: siostra Okrzei, dwaj bracia Retke, a za nimi cała grupa 60 bojowców. Tak uformowało się czoło pochodu, do którego tysiącami zaczęli gnać się robotnicy. Kolumna, nadal śpiewając Warszawiankę, ruszyła w stronę wylotu ul. Bagno. W tym samym momencie wybiegło stamtąd kilkudziesięciu policjantów z szablami. Rzucili się oni na pochód, ale salwa z 60 rewolwerów bojowców zmusiła ich do panicznej ucieczki. Pochód wszedł w ul. Bagno, gdy ruszył na nich szarżą oddział konnej żandarmerii. Kolejna salwa rozbiła tę szarżę. Strzelając nieprzerwanie do próbujących ich powstrzymać policjantów, bojowcy wraz ze sztandarem dotarli do rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Tutaj szarżował na nich oddział carskich dragonów, ale został zmuszony do ucieczki³⁰.

Manifestacja osiągnęła swój cel: na oczach kilkudziesięciu tysięcy zebranych ludzi, bojowcy nie tylko stawili zbrojny opór, ale zmusili oddziały carskiego wojska i policji do ucieczki. Na placu Grzybowskim żandarmi, ściągnięci uprzednio, próbowali rozbić manifestację. Przez jakiś czas trwała gwałtowna strzelanina, a większość ludzi zaczęła pośpiesznie opuszczać plac. W tym momencie nadeszły nowe carskie oddziały, dowodzone osobiście przez policmajstra Sejferta. Cały plac został otoczony. Ludzie poczęli więc chronić się w Kościele Wszystkich Świętych, gdzie właśnie odprawiano sumę. Żandarmi zaczęli strzelać do kościoła, ale bali się wdrzeć do środka. Ograniczyli się więc do strzelaniny na placu, który obstawiły sotnie kozackie i do oblężenia kościoła.

Sytuacja taka trwała jakiś czas, gdy o 14.30 przybył oberpolicmajster warszawski Nolken. Wezwał on znajdujących się w kościele ludzi do wyjścia. Gdy nikt nie posłuchał, Nolken zaczął nawoływać; „Daję słowo honoru, że nikt was bić nie będzie, wychodźcie!”. Część zebranych uwierzyła i zaczęło wychodzić. Gdy zebrała się spora gromada, Nolken kazał zamknąć drzwi kościoła i rozpoczęło się bicie bezbronných.

Równocześnie oddziały wojskowe w szyku bojowym stanęły na śródmiejskich ulicach, a na plac Grzybowski sprowadzono nawet dwie armaty. Miasto całe było wzburzone, a tłumy ludzi krążyły na ulicach, zwłaszcza wokół placu Grzybowskiego i ratusza, gdzie trzymano aresztowanych w kościele. Wojsko kilkakrotnie strzelało do tłumu.

²⁹ Wedle wspomnień Leszka Moczulskiego, alternatywą dla siostry Okrzei, była babcia Moczulskiego, która także była brana pod uwagę, jako ta osoba, która dostarczy czerwony sztandar na pl. Grzybowski w wózku dziecięcym.

³⁰ Demonstracja i walka na Placu Grzybowskim w Warszawie 13 XI 1904 r. została w sposób bardzo plastyczny przedstawiona w dobrym filmie Michała Rosy pt. *Piłsudski* (2019).

Ogółem tego dnia zginęło 11 osób cywilnych. Straty policji wyniosły 3 zabitych i 14 ciężko rannych.

Na drugi dzień rano zwolniono wszystkie zatrzymane dzieci, a po miesięcznym pobycie w więzieniu również blisko 600 schwytanych ludzi. Zatrzymano tylko siedem osób: pięć z nich zesłano na Sybir, a dwie skazano po 12 lat katorgi.

Taki był przebieg manifestacji na placu Grzybowskim. Poruszyła ona cały kraj, głośnym echem odbiła się w Europie. Po raz pierwszy od upadku Powstania Styczniowego, carskie oddziały w Polsce napotkały zbrojny opór i zostały nawet zmuszone do ucieczki. Okazywało się, że niemożliwe staje się możliwe, trzeba tylko chcieć i nie bać się wroga. Represje carskie zamiast, jak poprzednio, zastraszać ludzi, teraz budziły wyłącznie nienawiść i pragnienie odwetu. Manifestacje i starcia zbrojne zaczęły się mnożyć w całym kraju.

L. M.

* * *

NIEDOSZŁY ZAMACH NA GENERAŁ – GUBERNATORA³¹

„Dziś chcemy dokonać zamachu na człowieka, który winien jest zbrodni na polskiej klasie robotniczej. Chcecie wziąć w nim udział?”.

Takie pytanie zadał w początkach lutego 1905 r. 22-letniemu Bronisławowi Żukowskiemu – niewiele od niego starszy – Bolesław Berger, posługujący się pseudonimem „Kuroki” i kierujący załazkową grupą bojową. Rewolucja 1905 roku rozpoczęła się przed paru tygodniami, zaś organizacje robotnicze nie były przygotowane do podjęcia czynnej walki wymierzonej w aparat wroga i stanowiącej odpowiedź na carski terror. W dotychczasowej robocie partyjnej rewolucjoniści nauczyli się agitacji, organizowania masówek, wydawania podziemnych druków i ich kolportażu – ale na warunki rewolucyjne takie umiejętności nie wystarczają.

Gdy więc, w znacznej mierze pod naciskiem mas robotniczych, zapadły decyzje odpowiadania terrorem na terror – wszystko trzeba było przygotowywać od początku. Stąd pierwsze akcje bojowe, z których jedną opisujemy, były tak bardzo nieporadne, aby nie rzec – naiwne. Ale to właśnie z takich najzupełniej amatorskich akcji zrodziła się późniejsza organizacja bojowa, sprawna i silna, zdolna do przeprowadzenia zarówno precyzyjnie obmyślanych zamachów, jak też masowych uderzeń zbrojnych.

Bronisław Żukowski, od początku 1901 r. członek Polskiej Partii Socjalistycznej, brał udział w słynnej manifestacji na placu Grzybowskim, w listopadzie 1904 roku. Gdy w styczniu potężny strajk powszechny rozpoczął rewolucję w Warszawie, Żukowski rzucił swoją pracę robotnika ogrodniczego i w całości poświęcił się działalności

³¹ „Stolica” z 1975 r., nr 14.

partyjnej. Należał do tych, którzy przy każdej okazji, na każdym zebraniu partyjnym, domagał się zbrojnego wystąpienia przeciwko terrorowi policji i wojsk carskich. Jeszcze w styczniu Warszawski Komitet Robotniczy, zgromadził kilku chemików z zadaniem konstruowania bomb. Nikt nie wiedział, jak to należy robić. Przygotowano kilkadziesiąt ładunków wybuchowych w pudełkach blaszanych i rozdzielono je wśród organizacji dzielnicowych. Na Pragę przypadło siedem sztuk. Rozdzielono je między bojowców z zadaniem atakowania patroli kozackich na mieście. Wszystkie bomby okazały się jednak niewypałem. Kozacy myśleli, że to ktoś z tłumu rzuca do nich kamieniami i nie reagowali. Na ul. Nowolipki zamach wyglądał anegdotycznie: gdy bomba upadła między patrol, jeden z kozaków zeskoczył z konia, schował ją do kieszeni i pojechał dalej. Fiasko tej pierwszej akcji bombowej wywołało ogólne rozgoryczenie. Żądano dostarczenia „takich bomb, jak na Plehwego” – to znaczy takich, jakimi ostatnio rewolucjoniści rosyjscy wykonali udany zamach na carskiego ministra. Na razie jednak takich bomb nie było.

Ktoregoś z pierwszych dni lutego, wyznaczony na dowódcę bojówki „Kuroki”, przeglądając carski „Warszawskij Dniownik” znalazł informację, że tegoż dnia o godzinie 16.30 Generał-gubernator warszawski Czertkow odjeżdża z dworca Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Była to okazja do zamachu na znienawidzonego satrapę. Czasu na organizację akcji pozostało niewiele. „Kuroki” zaczął montować ekipę bojową. Niestety, trudno było szybko zebrać ludzi. Bojowiec o godzinie 15.00 pojechał na Pragę, na ul. Wałową 30 do mieszkania Stefana Okrzei, jednego z najbardziej bojowych i niecierpliwych rewolucjonistów. Stefana nie było w domu, „Kuroki” dał więc kartkę jego siostrze, aby zaniósła ją natychmiast do fabryki „Wulkan”, gdzie Okrzeja pracował. Ściągnięty tak Okrzeja zjawił się w domu może po 20 minutach. „Kuroki” dał mu pistolet browning, dwa magazynki amunicji i kazał natychmiast jechać na dworzec. Plan zamachu był następujący: Czertkow przyjedzie na pewno do poczekalni pierwszej klasy, a tuż przed odjazdem pociągu przez peron będzie siedł do wagonu. Należy przepuścić go, a następnie strzelać z bliskiej odległości. Natychmiast po zamachu Okrzeja ma przebiec pod wagonami stojących przy peronach pociągów, wyjściem przy ul. Chmielnej opuścić dworzec i zmieszać się z tłumem na Marszałkowskiej. Stefan zapytał, czy będzie sam. „Będzie was tylko dwóch – wyjaśnił »Kuroki« – tego drugiego znacie i zobaczycie go tam na dworcu”.

Prosto od Okrzei pojechał „Kuroki” do Żukowskiego, którego zastał w domu. Zadał mu cytowane na wstępie pytanie. Bronisław zgodził się z ochotą. Dostał również pistolet browning i dwa magazynki. Podobnie jak Okrzei, również Żukowskiemu „Kuroki” nie powiedział ze względów konspiracyjnych, kto ma być drugim zamachowcem.

Pierwszy na dworcu znalazł się Okrzeja. Nieco później nadjechał dorożką Żukowski. Obaj zamachowcy przywitani się spojrzeniem: znali się dobrze i każdy cenił drugiego. „Gdym zauważył Okrzeję – wspominał później Żukowski – zrobiło mi się wesoło i zapanowałem nad sobą. Byłem pewny, że w chwili krytycznej nie zrobi mi zawodu”.

Pociąg stał przy peronie. Rozległ się pierwszy dzwonek. Obaj zamachowcy odbezpieczyli trzymane w kieszeniach pistolety. Okrzeja stanął po prawej stronie drzwi wejściowych na peron, Żukowski po lewej stronie. Cicho, aby nikt nie dosłyszał Stefan polecił: „Ja dam dwa pierwsze strzały, a Wy poprawcie”.

Rozlega się drugi dzwonek. Czertkow powinien się zaraz pojawić. Do wagonu wsiadają ostatni pasażerowie. Trzeci dzwonek. Czertkowa nadal me ma! Zawiadowca daje sygnał odjazdu – i pociąg rusza. Generał-gubernator nie wsiadł.

Obaj bojowcy nie wiedzą, co czynić. Naradzają się i postanawiają czekać do odejścia następnego pociągu, za godzinę. Ale i tym pociągiem Czertkow nie odjechał.

Dopiero następnego dnia sprawa się wyjaśniła. „Warszawskij Dniewnik” poinformował, że wskutek nagłego pogorszenia się stanu zdrowia Generał-gubernatora, wyjazd jego został odłożony.

Bezpośrednim następstwem tego nieudanego zamachu było jednak wydarzenie o wiele ważniejsze od ewentualnego zgładzenia Generał-gubernatora. Trzy dni później Okrzeja i Żukowski zostali wezwani na ul. Przemysławą 1, do mieszkania pewnej kobiety, blisko współpracującej z partią; była to zapewne Bronisława Reimer. Poza nimi przybył tutaj „Kuroki” oraz „Katajama” – Prystor. Okazało się, że „Kuroki” musi wyjechać z Warszawy, a zadaniem zorganizowania grupy bojowej z prawdziwego zdarzenia obarczony został „Katajama”. Dwoma pierwszymi członkami grupy bojowej i dowódcami jej sekcji, które musieli dopiero sami stworzyć, zostali Okrzeja i Żukowski, obaj pod nowymi pseudonimami „Ernest” i „Harakiri”. Obaj mieli wycofać się całkowicie z pracy agitacyjnej i innej działalności partyjnej, rzucić pracę zawodową i ze swoich mieszkań przenieść się do lokali partyjnych. Okrzeja otrzymał zadanie wybrania bojowców z dzielnic partyjnych Praga i Powązki, zaś Żukowski z dzielnic Wolska, Jerozolimska, Mokotowska i Dolna. W Ciągu kilku następnych dni nowo powstała organizacja spiskowo-bojowa liczyła już 14 osób i posiadała 11 pistoletów i kilkaset nabojęw.

Taki był początek organizacji, której działalność wkrótce wstrząsnęła całym krajem.

Leszek Moczulski

* * *

PODWÓJNA ŚMIERĆ STEFANA OKRZEI³²

We wtorek, 5 września 1939 r. po południu z lotniska w Zielonce wystartował klucz myśliwców 112 eskadry. Prowadzi samolot dowódca eskadry, porucznik pilot Stefan Okrzeja; po obu jego stronach lecą P-11 pilotowane przez pilota Witolda Łokuciewskiego i plutonowego pilota Lecha. Klucz kieruje się w stronę Wyszkowa; właśnie przed chwilą wiadomość, że z tamtej strony leci na Warszawę niemiecki rajd bombo-

³² „Stolica” z 1973 r., nr 18.

wy. Rzeczywiście, w dwadzieścia minut po starcie widać Niemców: dziewięć Dornierów Do 217, trzy trójki – jedna za drugą. Myśliwcy polscy mają przewagę wysokości: zawracają, aby od tyłu zaatakować wroga. Polskie samoloty są już o dwieście metrów od Dornierów, gdy wszystkie dziewięć maszyn wroga rozpoczyna ogień ze swych karabinów maszynowych. Niemcy mają przewagę, ale polscy myśliwcy nie baczą na to. Na czele klucza atakuje ich Okrzeja; dwa pozostałe samoloty są może sto metrów z tyłu. W pewnej chwili Łokuciewski widzi, jak z silnika P-11 wybucha gęsty dym, a w ułamek sekundy później obrywa się prawe skrzydło. Płonący samolot spada na ziemię w pobliżu wsi Kręgi. Dwaj pozostali polscy myśliwcy przerwali się przez ogień niemiecki i atakują wroga. Jeden Dornier zostaje strącony, inne zrzucają bomby na puste pola i uciekają. Ofiarą pilota Stefana Okrzei został zatrzymany jeszcze jeden niemiecki rajd bombowy na Warszawę.

Porucznik pilot Stefan Okrzeja otrzymał to imię dla uczczenia pamięci brata, który zginął za Polskę, nim narodził się późniejszy lotnik. Obaj polegli za tę samą sprawę. Stefana Okrzeję starszego spotkała jednak inna śmierć. Był to rok 1905. W końcu stycznia całą Warszawę ogarnął strajk powszechny. Sparaliżowane władze carskie początkowo nie potrafiły przeciwdziałać. Gdy jednak ochłonęły, ściągnęły posiłki wojskowe do miasta, rozpoczął się terror.

Polska Partia Socjalistyczna postanowiła odpowiedzieć terrorem na terror. Przystąpiono do formowania grup bojowców, aby zbrojnie dokonywali sprawiedliwości, likwidując najbardziej krwiożerczych katów carskich. Tych najtrudniejszych zadań partyjnych nie można było zlecać, wykonywać je mieli wyłącznie ochotnicy.

Jako jeden z pierwszych do działalności bojowej się zgłosił się dziewiętnastoletni Stefan Okrzeja. Syn robotnika warszawskiego urodził się 3 kwietnia 1886 r. Ojciec pracował na kolei. Stefan ukończył dwa oddziały w szkole miejskiej, później kształcił się na kompletach, jako młodzieńcy chłopak podjął pracę robotnika najpierw w zakładzie „Labor”, a następnie w fabryce „Wulkan”. W tej właśnie fabryce zetknął się z ruchem i wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej. Energiczny i odważny rzucił się w wir roboty rewolucyjnej. Gdy w 1904 r. schwytano Marcina Kasprzaka i władze carskie postawiły go przed sądem, Stefan Okrzeja niósł czerwony sztandar prowadząc manifestację robotniczą w Alejach Ujazdowskich. Później, w innej manifestacji na Lesznie, choć pocięty szablami kozaków, nie wypuścił czerwonego sztandaru z rąk. W listopadzie 1904 r. brał czynny udział w słynnej manifestacji na placu Grzybowskim, gdzie po raz pierwszy od Powstania Styczniowego przybyłe wojsko i policję carską powitano strzałami. W styczniu 1905 r., działając pod pseudonimem „Witold”, uczestniczył w organizowaniu strajku powszechnego. W marcu zgłosił się ochotniczo do akcji bojowej.

Szefem terroru carskiego w Warszawie był oberpolicmajster Nolken. Organizacja bojowa postanowiła urządzić na niego zamach. W tym celu należało Nolkena wywabić w upatrzone miejsce. Plan był prosty; najpierw dokona się zamachu na Pradze, wymie-

rzzonego albo na koszary kozaków Orenburskich, albo na pobliski XII rewir policji carskiej. Słusznie przypuszczano, że Nolken natychmiast uda się na miejsce akcji; wpadnie w zorganizowaną tam na niego zasadzkę.

Obie akcje przygotowano łącznie. Od strony technicznej organizował je Stefan Wawrzyński.

Stworzono trzy grupy bojowe, w składzie każdej był główny wykonawca wyroku i jeden człowiek do „obstawy”; dwie z tych grup miały niezależnie od siebie stworzyć zasadzki na Nolkena, trzecia zaś wykonać akcję prowokującą – zmierzającą do wywabienia oberpolicmajstra. Głównymi wykonawcami byli Stefan Okrzeja, Konstanty Halska oraz nieznan z nazwiska bojowiec; obstawę tworzyli Józef Bąkowski, Józef Rydziński i jeszcze ktoś trzeci.

26 marca Okrzeja w towarzystwie swego współtowarzysza udał się najpierw do koszar kozaków, ale były one puste; wszystkie sotnie wyjechały na miasto. Uzbrojony w bombę, browning i sztylet, Okrzeja kieruje się na ul. Wileńską, gdzie w domu pod numerem 9 mieścił się XII cyrkuł policji. Jego towarzysz pozostał po drugiej stronie ulicy, gdy „Witold” wszedł do środka, świadom, iż jest to krok niemal samobójczy. Bojowcowi udało się przedostać do kancelarii cyrkułu. Znajdowało się tam trzech carskich policjantów: rewirowy Mietlickij, stójkowy Biller i strażnik Sarap, osławiony kat robotników praskich. Okrzeja wbiegł do środka i z okrzykiem: – „Macie!” – rzucił bombę na stół. Ładunek eksplodował natychmiast, odłamki zraniły nie tylko wszystkich trzech policjantów, lecz również Okrzeję. Na poły przytomny, „Witold” wybiegł z cyrkułu do bramy; zmylił tam zresztą drogę i najpierw ruszył w stronę podwórka. Rychło jednak zawrócił i przez zakład felczerski (dziś w tym lokalu mieści się sklep) wydostał się na ulicę. W tym momencie ul. Wileńską przejeżdżał konny tramwaj; gdy rozległ się huk eksplozji, zatrzymał się on dokładnie przed cyrkułem. Ten tramwaj oddzielił Okrzeję od towarzysza z obstawy. Nagle pojawił się, być może wysiadł z tramwaju, rewirowy Czepielewicz Widząc rannego zamachowca, zaczął do niego strzelać ze swego nagana. Okrzeja odpowiedział celniejszym ogniem browninga. Policjant, śmiertelnie ranny, upadł. W tym momencie na pobliskim rogu ulic Inżynierskiej i Esplanady (obecnie: ul. 11 Listopada) pojawiła się grupa żołnierzy z pobliskich koszar pułku grenadierów gwardii; natychmiast ruszyli oni w pościg za zamachowcem. Okrzeja dobiegł do bramy domu przy ul. Wileńskiej 3, gdzie się schronił, strzelając do nadbiegających. Tutaj został aresztowany przez kapitana Żandarmerii Chwoszczynskija.

Zamach na Pradze zaalarmował oberpolicmajstra Nolkena. W tym właśnie czasie był on na przedstawieniu „Aidy” w Teatrze Wielkim. Natychmiast opuścił spektakl i w towarzystwie swego adiutanta, kapitana żandarmerii Szepeła wsiadł do powozu. Eskortował ich na rowerze agent Ochrany Gawriłow.

U zbiegu ul. Miodowej i Krakowskiego Przedmieścia czekała pierwsza grupa zamachowców. Nolken przejechał jednak tak szybko, że nie zdołali oni rzucić bomby. Chwilę później powóz oberpolicmajstra skręcił w Nowy Zjazd, aby mostem Kierbedzia

przedostać się na Pragę. Na rogu Nowego Zjazdu i ul. Mariensztat czekał kolejny zamachowiec, Konstanty Halska. Podbiegł on do powozu Nolkena i rzucił bombę. Od eksplozji policmajster został ciężko ranny (podawała później prasa, że odłamki raniły go w stu dwudziestu miejscach, co było wyraźną przesadą), podobnie jak towarzyszący mu kpt. Szepel. Halska wraz z towarzyszem uciekali ulicami Mariensztat, a następnie źródłową. W pogonь rzucił się na rowerze agent Gawriłow. Dopędził zamachowców, strzelając z rewolweru. Bojowcy odpowiedzieli ogniem, zabijając agenta na miejscu – po czym spokojnie wycofali się.

Nolken opuścił Warszawę na zawsze.

W ręku władz carskich znalazł się tylko Stefan Okrzeja. Schwytany przez carskich policjantów, Okrzeja został natychmiast poddany śledztwu. Przeglądał go przybyły sędzia do spraw szczególnej wagi Guglinskij. „Witold” odmówił nawet ujawnienia swego nazwiska. Dopiero znacznie później policji udało się je ustalić. Okrzeja przyznał się jedynie do tego, co i tak było wiadome: że jest członkiem partii socjalistycznej, że rzucił bombę w tym celu „aby zabić policjantów i sterroryzować policję”. Za przyczynę swego kroku podał „palącą żądzę zemsty za ohydne czyny gwałtu nad bezbronną ludnością w czasie ruchów robotniczych w Warszawie w styczniu i lutym. Nie miałem zamiaru poprzestania na tym zamachu – powiedział. – Moim zdaniem cała warszawska policja powinna być unicestwiona. Kary żadnej się nie lękam: ani katorga, ani śmierć mnie nie przeraża”.

Rannego Okrzeję przewieziono do Cytadeli Warszawskiej i uwięziono w X Pawilonie. Tutaj przeprowadzono formalne śledztwo i sporządzono akt oskarżenia. Rozprawa została wyznaczona na 23 czerwca 1905 r. W skład sądu weszli gen. Pawłow jako przewodniczący oraz pułkownicy v. Krug, Owsiejew, Kremienieckij i Nikitin. Oskarżał prokurator pułkownik Granowskij. Okrzeja nie chciał się bronić i zamierzał zrezygnować z adwokata. W świetle prawa był jednak niepełnoletni, a procedura przewidywała, że w tym wypadku musi być obrońca. Pragnąc uniknąć, aby bronił go adwokat z urzędu, który w imieniu podsądnego mógłby składać jakieś nie odpowiadające mu deklaracje, Okrzeja przyjął obronę mecenasa Patka, wybitnego prawnika, od dawna blisko związanego z ruchem rewolucyjnym i niepodległościowym.

Rozpoczęła się rozprawa sądowa. Akt oskarżenia zarzucał Okrzei, że należał do tajnego stowarzyszenia, mającego na celu obalenie ustroju państwowego oderwanie od imperium carskiego jego Kraju Prywislanskiego, czyli czyn przewidziany § 102 części 2 nowego powszechnego kodeksu karnego; że działając w porozumieniu z Polską Partią Socjalistyczną, otrzymaną od niej bombę rzucił w kancelarii XII rewiru, ciężko raniąc trzech policjantów, czyli czyn przewidziany § 279 wojskowego kodeksu karnego; że postrzelił śmiertelnie policjanta, co stanowi czyn przewidziany w § 1459 starego powszechnego kodeksu karnego; zaś w następstwie rany policjant zmarł – co stanowi czyn przewidziany w § 279 wojskowego kodeksu karnego.

Skonstruowany w ten sposób akt oskarżenia, zmierzający do tego, aby za wszelką

cenę uzasadnić wyrok śmierci, został obalony przez mecenasa Patka. Oskarżenie w zależności od wygody posługiwało się albo starym kodeksem karnym, obowiązującym poprzednio, albo nowym, obowiązującym obecnie, albo w ogóle przechodziło nad ich postanowieniami do porządku dziennego, posługując się kodeksem wojskowym. Ponadto, w świetle prawa Stefan Okrzeja był małoletni, co wykluczało możliwość skazania go na śmierć. Sędziowie carscy nie przejmowali się jednak takimi drobiazgami.

Przewód sądowy był stosunkowo krótki. Okrzeja zwięźle odpowiadał na wszystkie postawione mu pytania. Dopiero, gdy na koniec udzielono mu ostatniego słowa, przedstawił pobudki swego działania. Nie było to przemówienie człowieka, który się bronił, ale głos rewolucjonisty, który oskarżał. Zanotowane przez adwokata, przemówienie to następnie było szeroko kolportowane w rewolucyjnej Warszawie.

– Przyznaję się do przypisywanych mi w akcie oskarżenia czynów, ale nie w tym oświeceniu, jakie im akt oskarżenia niesłusznie nadaje – rozpoczął Okrzeja. – Popęliłem czyn i taka powinna być jego charakterystyka, jego oświecenie... Od dziecka raziło mnie zestawienie nędzy jednych i rozkoszy drugich ludzi, a że nędzy było zawsze więcej, że ta nędza była mi zawsze bliższą, przemyślałem bezustannie, jaką drogą można by było wpłynąć na uszczęśliwienie cierpiących mas, jaką drogą dojść do tego, aby szczęście nie było zawsze tylko po stronie silnych i bogatych. Myśl ta mnie nie opuszczała, z nią żyłem w szkole, z nią pracowałem w fabryce. Dużo przemyślałem, przeczytałem. Chciałem jeszcze długo pracować nad sobą, zanim przejdę do czynu. Stałe i ciągłe partyi naszej prześladowania przez władze nie pozwalały na to w ogóle, a wypadki styczniowe wytrąciły mnie raptownie z nakreślonej drogi. Kto nie był wówczas na ulicy, kto nie widział i nie słyszał tego, co się tam działo, ten o tym sądzić nie może. (...) ... Zwróciłem się wraz z innymi do partyi z propozycją należenia do organizacji spiskowo-bojowej, która między innymi miała na celu energiczny protest i zemstę z bronią w rękę za czyny gwałtu.

Omówiwszy krótko swój zamach bombowy, Okrzeja szerzej przedstawił motywy swojego działania.

– Rzuciłem bombę w gniazdo tej nikczemnej policji, której egzystencja jest plagą i plamą ludzkości... To, co się stało, jak w ogóle wszystko to, co się teraz dzieje, uważam za konieczność dziejową. Tyrania, barbarzyństwo i ciemnota nie wiedzą o tym, że są tyranią, ciemnotą, nie mają dla siebie pogardy, potępienia, więc nie ustąpią same.

– Trzeba je zwalczać – zakończył Okrzeja przemówienie – i dotrzeć do istotnej swobody, istotnego dobra i istotnego szczęścia, nie zadowalając się półśrodkami. W walce tej wiele ofiar zginie, ale ludzkość wyjdzie z niej zwycięsko, a ludziom słońce zaświeci. Wierzę, że socjalizm da ludziom szczęście. Ostatnim moim pragnieniem jest, ażeby ludzie byli dobrzy i szczęśliwi.

Przemówienie wywołało silne wrażenie na sądzie. Udał on na naradę, która trwała aż do północy. Wreszcie ogłoszono wyrok: kara śmierci przez powieszenie. Sędziowie zdawali sobie jednak sprawę, że ich wyrok jest niezgodny nawet z obowiązującymi

PODWÓJNA ŚMIERĆ STEFANA OKRZEI

w carskim państwie prawami. Dlatego zwrócili się do generałgubernatora z wnioskiem, aby wyrok śmierci zamienił na dwadzieścia lat katorgi.

Mimo że na dzień procesu władze carskie zarządziły specjalne środki bezpieczeństwa, zastrajkowali robotnicy wszystkich fabryk warszawskich. Odbyły się manifestacje.

Wyrok wraz z aktami sądowymi przesłano do Petersburga w normalnym trybie kasacji. Sąd wojskowy kasację odrzucił, kwestię wykonania wyroku uzależniając od decyzji generałgubernatora Maksimowicza. Wielkorządca carski karę śmierci zatwierdził. Gdy do celi Okrzei przyniósł tę wiadomość mecenas Patek, skazaniec przyjął ją spokojnie. Adwokat sugerował mu, aby podpisał podanie do cara Mikołaja II o ułaskawienie. Okrzeja stanowczo odmówił.

Wyrok śmierci wykonano 21 lipca 1905 r. przy bramie straceń Cytadeli Warszawskiej. Bojąc się nowych manifestacji robotniczych, wszystko przeprowadzono w tajemnicy, wbrew prawu nie zawiadamiając nawet obrońcy. Okrzeja nie pozwolił włożyć sobie maski na twarz, odepchnął kata i sam założył stryczek na szyję. Skoczył z okrzykiem: – Niech żyje socjalizm! Precz z caratem!

Stryczek był jednak źle zawiązany, Okrzeja upadł na ziemię. Bez chwili przerwy ponowiono kaźń. Tym razem skutecznie.

Tak zginął Stefan Okrzeja. Trzydzieści cztery lata później poległ młodszy brat, również Stefan Okrzeja.

LM.

II RZECZPOSPOLITA

31 DNI, KIEDY WRACAŁA NIEPODLEGŁOŚĆ³³

Słowa popularnej przed półwieczem piosenki: „ni z tego, ni z owego, mamy Polskę od pierwszego” – nie odpowiadały prawdzie. Proces odzyskiwania niepodległości, niezależnie od jego głębokich korzeni i od długotrwałych wysiłków, które poprzedziły nadejście tej dziejowej chwili – trwał czas jakiś, nie rozwijał się ani przypadkowo, ani łatwo.

Czynniki, które zdeterminowały odzyskanie niepodległości, generalnie rzecz biorąc, były dwa: zasadnicze znaczenie miała nieprzerwana, ponad stuletnia walka narodu polskiego, który nigdy nie pogodził się z niewolą. Drugim czynnikiem stało się stworzenie warunków międzynarodowych, które umożliwiły Polakom realizację ich aspiracji narodowych: rolę zasadniczą odegrała tutaj Rewolucja Październikowa³⁴ i rozgromienie caratu, a następnie rozprężenie wewnętrzne i sytuacja rewolucyjna w Niemczech, upadek Rzeszy oraz Austro-Węgier.

W połowie roku 1918 sytuacja na ziemiach polskich była następująca: w zaborach pruskim i austriackim władzą nadal niepodzielnie władze monarchii Hohenzollernów i Habsburgów, choć dopuszczone były, zwłaszcza w Galicji, dość rozwinięte formy polskiego życia politycznego. Królestwo tzw. Kongresowe i reszta zamieszkanych przez Polaków ziem zaboru rosyjskiego okupowane były przez oddziały niemieckie i austriackie. Królestwo podzielone było na dwie strefy okupacyjne: południową, obejmującą w przybliżeniu Kielecczynę i Lubelszczyznę, zarządzali Austriacy, pozostałą – Niemcy. W Warszawie działała powołana przez okupantów Rada Regencyjna, sprawująca pod obcym nadzorem tzw. najwyższą władzę nad Królestwem; podlegały jej nieliczne oddziały wojskowe tzw. „polnische Wehrmacht” oraz dość rozbudowany już aparat cywilnej administracji.

³³ „Stolica” z 1968 r., nr 45.

³⁴ Rola Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej (taka pełna oficjalna nazwa tego wydarzenia obowiązywała w prasie PRL) była mocno podkreślana przez komunistyczną propagandę. Z powodów cenzuralnych Moczulski nie mógł o tym wydarzeniu nie wspomnieć w tekście o odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. (tak, jak nie mógł z kolei np. napisać o Bitwie Warszawskiej 1920 r.). Paradoksalnie „rewolucja październikowa” (Moczulski opisuje szczegółowo wydarzenia, które miały miejsce na przełomie 6 i 7 listopada 1917 r. w ówczesnej stolicy Rosji w ostatnim tekście tego tomu) rzeczywiście odegrała istotną rolę w odbudowie polskiej niepodległości, ale nie z uwagi na deklaracje Lenina, czy Stalina. Kluczowy był fakt, że przejście władzy przez bolszewików w Piotrogradzie (i w Moskwie) pod koniec 1917 r. doprowadziło na wiosnę 1918 r. do długotrwałej wojny domowej w Rosji, a to dało czas Polsce (i innym narodom zniewolonym przez Moskale). Moczulski zwraca na to uwagę pisząc tu o „rozprężeniu wewnętrznym”, które było skutkiem rewolucji.

Spółeczeństwo polskie było podzielone dość wyraźnie pod względem politycznym. Wyróżniały się szczególnie cztery zasadnicze kierunki programowe: konserwatywny, tracący coraz bardziej na znaczeniu, narodowa demokracja, zapewne przerastająca siłą inne grupy, stronnictwa tzw. niepodległościowe obejmujące partie radykalne, lecz nie rewolucyjne, oraz konsekwentna lewica (SDKPiL i PPS-Lewica). W nadchodzących rozgrywkach o przejęcie steru państwa główną rolę miały odegrać dwa najsilniejsze ugrupowania: narodowa demokracja i stronnictwa niepodległościowe.

Pod egidą narodowej demokracji, zwanej popularnie endecją, działał w Paryżu Komitet Narodowy Polski (KNP) kierowany przez przywódcę narodowej demokracji, Romana Dmowskiego, uznany przez zachodnich aliantów, którzy KNP przyznali pewne funkcje rządu polskiego. Również w kraju endecja była bardzo silna: praktycznie kierowała życiem polskim w zaborze pruskim, bezpośrednio i pośrednio przez prawicowe PSL „Piast” Wincentego Witosa – wywierała walki wpływ na Galicję, dysponowała i poważnymi wpływami w Królestwie.

Stronnictwa niepodległościowe skupiały się wokół tzw. Konwentu. Była to organizacja tajna, gromadząca przedstawicieli PPS-Frakcji Rewolucyjnej, PSL „Wyzwolenie” oraz kilku mniejszych ugrupowań i dysponująca nielegalną organizacją zbrojną pn. Polska Organizacja Wojskowa POW. Przywódca, Józef Piłsudski aresztowany przez Niemców 22 VII 1917 r. znajdował się w więzieniu w Magdeburgu, a pod jego nieobecność pracami Konwentu kierowali płk Edward Śmigły-Rydz, komendant POW oraz Jędrzej Moraczewski. Wpływy tego ugrupowania były dość silne w Królestwie i Galicji, prawie że nie występowały w zaborze pruskim.

Wydarzenia drugiej połowy 1918 r. – coraz wyraźniejsza klęska mocarstw centralnych – zaktywizowały działające ugrupowania polskie. Wielkie znaczenie miały postępy rewolucji w Rosji i dekret rady komisarzy ludowych o unieważnieniu traktatów rozbiorowych Polski.

Starając się utrzymać na fali wydarzeń. Rada Regencyjna 7 X 1918 wystąpiła z orędziem do narodu, zawierającym program „utworzenia niepodległego państwa, obejmującego wszystkie ziemie polskie z dostępem do morza”. Tydzień później, 15 X 1918, posłowie polscy do parlamentu austro-węgierskiego uchwalili rezolucję, stwierdzającą, iż uważają się oni za obywateli „wolnego, zjednoczonego i niezawisłego państwa polskiego” Następnego dnia, 16 X, KNP w Paryżu zwrócił się do organizacji politycznych w kraju z wnioskiem o utworzenie „Tymczasowego trójzaborowego rządu narodowego”.

Wydarzenia europejskie i wydarzenia polskie przybierały na tempie. Oto kronika następnych wydarzeń – owych 31 dni, w których Polska stała się niepodległą.

Październik 1918 r.

23. – Rada Regencyjna powołuje do władzy rząd pod prezesurą Józefa Świeżyńskiego. Gabinet, w skład którego m.in. weszli Zygmunt Chrzanowski, Stanisław Głabiński, Władysław Grabski, Antoni Ponikowski, Andrzej Wierzbicki, jest w zasadzie politycznie jednorodny, narodowo-demokratyczny.

28. – W Krakowie zostaje utworzona Polska Komisja Likwidacyjna, jako organ przeznaczony do likwidacji władz austriackich i zastąpienia ich polskimi. Przewodniczącym PKL został przywódca PSL „Piast” Wincenty Witos, w skład komisji weszli przedstawiciele wszystkich głównych organizacji politycznych Galicji i Śląska Cieszyńskiego.

31. – Oddziały austriackie w Krakowie i na prowincji zostały rozbrojone przez tworzone naprędce polskie formacje wojskowe, na których czele – z polecenia PKL – stanął płk Bolesław Roja. W pałacu Wielopolskich generalicja austriacka podpisuje układ o przekazaniu twierdz, magazynów wojskowych, koszar etc. – co staje się równoznaczne z przejściem całości władzy nad Galicją przez PKL. PKL przystępuje do tworzenia własnej administracji cywilnej i organizacji siły zbrojnej.

– W nocy rozpoczynają się, w znacznej mierze wskutek niemiecko-austriackiej inspiracji, bratobójcze walki ukraińsko-polskie we Lwowie³⁵.

Listopad 1918 r.

1. – Oddziały POW przystępują do rozbijania jednostek austriackich na terenie okupowanej przez nie południowej części Królestwa. Rozbijanie Austriaków zostało zakończone 5 XI.

2. – Rząd Świeżyńskiego wypowiada posłuszeństwo Radzie Regencyjnej, jako organowi działającemu z obcego mandatu i zapowiada samodzielne kierowanie odradzającym się państwem.

– W Warszawie przy ul. Pięknej odbywa się zakonspirowane posiedzenie członków Konwentu, PPS Frakcji Rewolucyjnej, PSL „Wyzwolenia”, POW i in. Kierujący naradą płk Śmigły zapowiedział organizację „tymczasowego rządu republikańsko-demokratycznego”, który ma działać do powrotu Piłsudskiego. Konieczność utworzenia rządu uzasadniono „klęską i rozprzężeniem wojsk okupacyjnych, koniecznością utrzymania... porządku, niedopuszczenia do zagrażającej nam anarchii i pozyskania mas chłopskich i robotniczych dla powstającego państwa. Do powzięcia tej decyzji zmusza nadto niepopularność wśród rzesz ludowych i inteligencji niepodległościowej Rady Regencyjnej”, której źródło władzy „nie pochodzi od narodu”. Zebrani postanowili utworzyć rząd tymczasowy w Lublinie, gdyż miejscowy pułk „Polnische Wehrmacht” był opanowany przez POW.

3. – Rada Regencyjna rozwiązała rząd Świeżyńskiego, który wypowiedział jej posłuszeństwo. Gabinet posłusznie ustąpił, a Świeżyński kontrasygnował nawet akt rozwiązujący rząd. Rada Regencyjna powołała nowy gabinet o charakterze prowizorycznym, kierowany przez Władysława Wróblewskiego; misję utworzenia rządu opartego o szerszą bazę polityczną otrzymał Eustachy ks. Sapieha.

4. – W Lublinie rozpoczynają się wstępne przygotowania do utworzenia rządu.

³⁵ Z przyczyn cenzuralnych, poza tym jednym zdaniem, w tekście nie można było poświęcić więcej miejsca polsko-ukraińskim walkom o Lwów, który w tym czasie był częścią Związku Sowieckiego.

5. – W Lublinie powstaje pierwsza w Polsce Rada Delegatów Robotniczych (RDR), złożona z przedstawicieli SDKPiL, PPS-Lewicy, PPS-Frakcji Rewolucyjnej i Bundu. RDR wystąpiła przeciwko Radzie Regencyjnej.

6. – W Lublinie na masowym wiecu ludności na wniosek PPS-Frakcji Rewolucyjnej przyjęto rezolucję o konieczności utworzenia rządu ludowego. Inne rezolucje stwierdzały obalenie Rady Regencyjnej, zapowiadały organizację Milicji Robotniczej, wprowadzenie 8-godzinnego dnia pracy.

Dla poparcia tych żądań Lubelska RDR ogłosiła na swym terenie strajk powszechny.

– Na wiecu 30 tys. chłopów w Tarnobrzegu k. Sandomierza postanowiono usunąć działające na tym terenie władze krakowskiej PKL i zastąpić je samorządem chłopskim. W ten sposób powstała tzw. Republika Tarnobrzaska, na której czele stanęli radykalni działacze: ks. Eugeniusz Okoń i Tomasz Dąbał. Przystąpiono do tworzenia własnej milicji i przejmowania władzy.

7. – w nocy z 6 na 7 listopada wdrukowany został manifest Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej i nowej władzy, złożyły przysięgę znajdujące się w Lublinie oddziały wojskowe i POW. Obsadzono pocztę, telegraf, stację kolejową. W Lublinie trwał popierający nowy rząd strajk powszechny. Rano ogłoszono o utworzeniu rządu i podano jego skład. Na czele rządu stanął (nieobecny zresztą jeszcze w Lublinie) Ignacy Daszyński, przywódca galicyjskiej PPSD. Większość tek obsadzili przedstawiciele PPS (Tomasz Arciszewski, Marian Malinowski, Bronisław Ziemięcki) oraz PSL „Wyzwolenie” (Stanisław Thugutt, Juliusz Poniatowski, Tomasz Nocznicki, Błażej Stolarski); ponadto w skład gabinetu weszli Medard Downarowicz i Wacław Sieroszewski oraz – jako minister wojny – płk Edward Śmigły-Rydz. Kilka tek w rządzie zarezerwowano dla PSL „Piast”; Wincenty Witos, który wraz z Daszyńskim przybył do Lublina samochodem z Krakowa, odmówił jednak w imieniu własnym i stronnictwa udziału w rządzie, po czym w sposób raczej skryty opuścił miasto.

Nowemu rządowi podporządkowała się Republika Tarnobrzaska oraz Rada Robotnicza z Przemyśla. Polska Komisja Likwidacyjna, kontrolująca niemal całą polską część Galicji, nie uznała rządu, zaś Rada Regencyjna zamierzała obalić go siłą. W związku z tym jeszcze 7 listopada płk Śmigły wydał rozkaz o mobilizacji POW i powołaniu pod broń Polaków, b. żołnierzy armii zaborczych.

8. – W Zagłębiu został proklamowany strajk powszechny, w Dąbrowie Górniczej utworzono pod egidą SDKPiL i PPS-Lewicy Radę Delegatów Robotniczych. W ogłoszonym orędzium RDR zwróciła się „do robotników całego kraju z manifestem wzywającym do utworzenia Rad Delegatów w mieście i na wsi i do przygotowania się do ujęcia całej władzy w swe ręce”. Przystąpiono do organizacji Czerwonej Gwardii.

9. – Abdykował cesarz Wilhelm II, w Niemczech proklamowano republikę, a władze przejęli socjaldemokraci; rewolucja w Niemczech zaczęła zataczać coraz szersze kręgi; objęły one m.in. oddziały Wehrmachtu stacjonujące w Polsce, gdzie powstają Rady Żołnierskie (Soldatenraty), przejmujące dowództwo nad jednostkami.

10. – Do Warszawy przybywa Józef Piłsudski, w rezultacie rewolucji niemieckiej zwolniony wraz z Kazimierzem Sosnkowskim z więzienia w Magdeburgu. Witął go m.in. członek Rady Regencyjnej, Zdzisław ks. Lubomirski.

W Warszawie rozpoczęła się potężna demonstracja przeciwko Radzie Regencyjnej. Z miasta uciekł gubernator niemiecki, gen. v. Beseler. Warszawski Soldatenrat, reprezentujący 30 tys. garnizon niemiecki w stolicy, zwrócił się do Piłsudskiego o zagwarantowanie bezpiecznego wyjazdu z Warszawy. Piłsudski wprawdzie początkowo zamierzał natychmiast wyjechać do Lublina, ostatecznie zgodził się na rokowania z Radą Regencyjną w sprawie przejścia od niej władzy. Zagwarantował też bezpieczeństwo garnizonowi niemieckiemu, domagając się natychmiastowego wydania zapasów broni, sprzętu wojennego, taboru kolejowego itp.; Soldatenrat warunki te przyjął.

– W Warszawie zostaje powołana Rada Międzypartyjna, złożona z przedstawicieli SDKPiL i PPS-Lewicy w celu przygotowania Zjazdu Zjednoczeniowego, na którym ma powstać Partia Komunistyczna oraz dla kierowania pracami obu partii do tego czasu. W skład komisji, która miała przygotować program nowej partii, weszli z SDKPiL: Adolf Warski, Władysław Kowalski i Franciszek Fiedler, z PPS-Lewicy: Wera Kostrze-wa, Maksymilian Horwitz i Józef Ciszewski. Pracom zjednoczeniowym patronowała przebywająca w Berlinie Róża Luksemburg.

11. – Oddziały POW, młodzież, studenci, robotnicy i rzemieślnicy przystępują do rozbijania Niemców w Warszawie. Poza kilkoma punktami, m.in. ratuszem, gdzie doszło do większych starć zbrojnych, akcja przebiegała spokojnie. Jedynie w Cytadeli pozostał nadal silny i uzbrojony garnizon niemiecki.

– Po nocnych rokowaniach Rada Regencyjna przekazała Józefowi Piłsudskiemu pełnię władzy wojskowej oraz zleciła mu misję utworzenia rządu³⁶. Do Warszawy przy-bili Śmigły-Rydz i Daszyński i podporządkowali się Piłsudskiemu. Piłsudski zażądał rozwiązania się rządu lubelskiego, co też natychmiast nastąpiło, po czym powierzył Ignacemu Daszyńskiemu misję utworzenia nowego rządu. Daszyński rozpoczął rozmowy, jednak zarówno przedstawiciele endecji, jak PPS-Lewicy odmówili uczestnic-twa w nowym gabinecie.

– W Warszawie utworzona zostaje Rada Delegatów Robotniczych, złożona z przed-stawicieli SDKPiL, PPS-Lewicy i PPS-Frakcji Rewolucyjnej. Na czele RDR stanął Franciszek Grzelszczak (SDKPiL).

– W Compiegne podpisany został układ rozejmowy między Niemcami a mocar-stwami zachodnimi. Wśród innych postanowień, układ zobowiązywał Niemcy do

³⁶ Z powodów cenzuralnych niemożliwe było wyraźniejsze podkreślenie w tym tekście daty 11 XI 1918 r. Udało się jednak zaznaczyć kluczową rolę Józefa Piłsudskiego w tych wydarzeniach (a także Edwarda Śmigłego-Rydza i POW), choć ceną za to było wymienienie kilku mało istotnych inicjatyw radykalnej lewicy. Z drugiej strony z tekstu jasno wynika, że inicjatywy te, o których szeroko rozpiszywała się prasa oficjalna, były bez znaczenia w całym procesie formowania się władz niepodległego państwa.

ewakuacji wojsk i personelu cywilnego z terytoriów należących uprzednio do Rosji (a więc i z Królestwa Kongresowego); ewakuacja ta miała jednak nastąpić dopiero w chwili, którą alianci uznają za odpowiednią. Zastrzeżenie to uczyniono m.in. wobec nacisków przewodniczącego Komitetu Narodowego Polskiego, Romana Dmowskiego, który obawiał się, że zbyt spieszna ewakuacja Wehrmachtu może spowodować, że od wschodu przyjdzie na polskie ziemie rewolucja.

13. – W Warszawie odbywa się manifestacja, zorganizowana przez PPS-Frakcję Rewolucyjną, a wymierzona przeciwko Radzie Regencyjnej. Demonstranci żądają, aby Rada oddała resztę władzy i rozwiązała się. Manifestacja została zakończona zawieszeniem czerwonego sztandaru na Zamku Królewskim.

14. – Rada Regencyjna przekazuje pełnię władzy Józefowi Piłsudskiemu, co było równoznaczne z jej likwidacją. Piłsudski oficjalnie powierzył misję tworzenia nowego rządu Ignacemu Daszyńskiemu.

– Na mocy porozumienia między Piłsudskim a Soldatenratem – ostatni żołnierze niemieccy opuścili Warszawę. Magazyny broni i materiałów wojennych na Cytadeli w Warszawie przejęły oddziały polskie.

18. – W związku z protestem ugrupowań endeckich przeciwko Daszyńskiemu, ten ostatni na polecenie Piłsudskiego zrzekł się misji formowania rządu. Nowym premierem został wyznaczony Jędrzej Moraczewski, który w ciągu dnia sformował gabinet. W skład rządu weszli m.in. Tomasz Arciszewski, Marian Malinowski, Tomasz Naczynicki, Stanisław Thugutt, Bronisław Ziemięcki, Leon Wasilewski, Wincenty Witos. Mimo obecności w rządzie, przedstawiciele PSL „Piast” faktycznie w pracach jego nie brali udziału. Teki zarezerwowane dla przedstawicieli narodowej demokracji nie zostały przez nią obsadzone.

19. – Nowemu rządowi, noszącemu oficjalną nazwę Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej podporządkowały się wszystkie polskie burżuazyjne³⁷ ośrodki władzy na wolnych już od okupanta obszarach b. zaborów rosyjskiego i austriackiego; nie podporządkowała się natomiast część Rad Delegatów Robotniczych.

21. – PPS-Frakcja Rewolucyjna występuje z jednolitej, warszawskiej Rady Delegatów Robotniczych i organizuje odrębną Radę.

22. – Piłsudski zatwierdza dekret opracowany przez Tymczasowy Rząd Ludowy. Dekret ustanawiał niepodległą Polskę o ustroju republikańskim. Aż do czasu zwołania Sejmu Ustawodawczego, który przejmie najwyższą władzę, dierży ją Tymczasowy Naczelnik Państwa. Powołuje on odpowiedzialnego przed nim premiera i ministrów oraz zatwierdza wszystkie akta prawne, uchwalone przez rząd. Naczelnikiem Państwa został Piłsudski. Wraz z organizacją podstawowych, prawnych zasad państwa oraz organizacją

³⁷ Przymiotnik ten może dzisiaj razić. W czasach PRL był używany powszechnie na określenie wszystkiego, co nie było związane z radykalną lewicą.

jego władz najwyższych proces odzyskiwania niepodległej państwowości został, w każdym razie pod względem formalnym także, zakończony.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

ZABÓJSTWO PREZYDENTA NARUTOWICZA³⁸

(wstęp do wspomnień Henryka Charlemagne³⁹)

Wybór Gabriela Narutowicza na pierwszego Prezydenta RP był sprawą nagłą i zaskakującą dla opinii publicznej. Narutowicz, 57-letni w chwili elekcji profesor nauk inżynierskich przebywający wiele lat na emigracji w Szwajcarii, wrócił do kraju wkrótce po odzyskaniu niepodległości i był ministrem robót publicznych. Silne więzi łączyły go z czołowymi stronnictwami ówczesnej lewicy parlamentarnej, zwłaszcza ze Stronnictwem Ludowym, „Wyzwolenie”, a także z Naczelnikiem Państwa Józefem Piłsudskim. Jako minister robót publicznych Narutowicz okazał się znamenitym organizatorem, jednym z głównych autorów szybkiej odbudowy Polski po zniszczeniach wojennych. W 1922 r. ujawnione zostały wybitne zdolności Narutowicza w polityce zagranicznej. Jako wiceprzewodniczący delegacji polskiej na konferencję w Genui, której celem było unormowanie sytuacji w powojennej Europie, Narutowicz uzyskał błyskotliwe sukcesy. Na wniosek Naczelnika Państwa powołany został latem 1922 na ministra spraw zagranicznych i tę funkcję pełnił w dwu kolejnych gabinetach: krótkotrwałym pod prezesurą prof. Artura Śliwińskiego i następnym prof. Juliana Nowaka. Mimo krótkiego okresu kierowania MSZ prof. Narutowicz uzyskał poważne sukcesy na niwie międzynarodowej i jego to głównie zasługą było nieco późniejsze uznanie przez Zachód granic ówczesnej Rzeczypospolitej.

Widziano powszechnie w Narutowiczu polityka wybitnego i człowieka uczciwego, lecz nikt – a on sam najmniej – nie przypuszczał, że stanie się pierwszą osobą Rzeczypospolitej. Listopadowe wybory 1922 r. przyniosły umocnienie pozycji zarówno lewicy, jak i prawicy – przy osłabieniu centrum. Nie rokowało to pomyślnych nadziei na perspektywę harmonijnej pracy parlamentu. Wkrótce po zebraniu się Izby doszło do porozumienia między główną siłą centrum – PSL „Piast” – a główną siłą prawicy – narodową demokracją (endecją), w wyniku czego Marszałkiem Sejmu został przedstawiciel pierwszego z tych ugrupowań Maciej Rataj, zaś Marszałkiem Senatu endek Wojciech Trąmpczyński. Z kolei przed połączonymi w Zgromadzenie Narodowe Izbami stanął wybór pierwszego Prezydenta. Rzecz początkowo wydawała się formalnością,

³⁸ „Stolica” z 1970 r., nr 22.

³⁹ Wstęp jest podpisany jako tekst redakcyjny, jednak z kolejnego tekstu (który dalej publikujemy) wynika, że autorem tego wstępu był Leszek Moczulski.

gdyż ogólnie sadzono, że zostanie nim Józef Piłsudski; nawet zwalczająca zaciekle dotychczasowego Naczelnika Państwa endecja nie widziała możliwości przeciwdziałania. Ogromnym zaskoczeniem stała się więc decyzja Piłsudskiego, że o wybór na Prezydenta ubiegać się nie będzie. Termin elekcji nadchodził i sztaby partyjne gorączkowo zaczęły szukać własnych kandydatów. Sam Piłsudski sugerował wybór przywódcy PSL „Piast” Wincentego Witosa, widząc w tym szansę współpracy parlamentarnej stronnictw w lewicy i centrum⁴⁰. Narodowa demokracja, pragnąc utrzymać sojusz z centrum, przeforsować chciała własnego kandydata, proponując PSL-owi i Witosowi jako elektów m.in. Trąpczyńskiego, Paderewskiego, Zamoyskiego, Hallera. Witos, choć stronnictwo jego nie należało do najsilniejszych w parlamencie, przecenił swoją rolę języczka u wagi. Wiedział, że ani lewica, ani prawica bez poparcia „Piasta” nie przeprowadzi swojego kandydata. Postanowił więc zająć stanowisko twarde, a uniemożliwiając inny wybór – doprowadzić do tego, aby uzyskać urząd prezydenta dla siebie lub kandydata „Piasta” czy to w sojuszu z lewicą, czy też prawicą.

Oba te skrzydła nie chciały jednak Witosa za prezydenta. Wbrew opinii Piłsudskiego, PSL „Wyzwolenie” odrzuciło stanowczo kandydaturę Witosa, a to samo uczyniła PPS. Kolejną kandydaturę wysuniętą przez Piłsudskiego w osobie Stanisława Wojciechowskiego główne stronnictwa lewicy również odrzuciły, wysuwając własne projekty: PPS – Ignacego Daszyńskiego, a „Wyzwolenie” w osobie swego przywódcy Thugutta – Gabriela Narutowicza.

Prof. Narutowicz zaskoczony był wysunięciem jego osoby. „Kiedym mu pierwszy raz zaproponował wystawienie jego kandydatury – wspomina Thugutt – przeraził się po prostu tej myśli – i odmówił. Odmawiał prawie do końca, mimo niesłabnącego nacisku Thugutta. 9 grudnia 1922 r., gdy na sali obrad zbierali się już członkowie Zgromadzenia Narodowego, a Thugutt po raz ostatni telefonicznie domagał się przyjęcia kandydatury – Narutowicz wreszcie ustąpił i oświadczył: „Ja kandydować nie chcę, ale jeśli »Wyzwolenie« wybór przeprowadzi – wybór przyjmę”.

Niewielkie były szanse, aby wybór ten nastąpił. Zgłoszono pięć kandydatur: Maurycego Zamoyskiego, Stanisława Wojciechowskiego, Gabriela Narutowicza, Ignacego Daszyńskiego i Baudouin de Courtenay. Po drugim głosowaniu odpadł Daszyński, po trzecim Baudouin de Courtenay; układ głosów był następujący: Zamoyski 228 głosów, Narutowicz 158 głosów, Wojciechowski 150. W czwartym głosowaniu endecja zastosowała manewr taktyczny, cztery własne głosy, przerzucając na Narutowicza. Prawica chciała w ten sposób wyeliminować Wojciechowskiego. Sądzono, że gdy dojdzie do alternatywy, Narutowicz lub Zamoyski, „Piast” za wszelką cenę będzie chciał utracić kandydata konkurencyjnego stronnictwa, jakim było „Wyzwolenie”. Taktyka taka przyniosła nieprzewidziane skutki. „Piast” nie mógł głosować za Zamoyskim, jednym

⁴⁰ W późniejszych uzupełnieniach Wiktor Nowakowski napisał w „Stolicy”: *Chodziło raczej w tym wypadku o odsunięcie „Piasta” od endecji.*

z największych obszarników w kraju – gdyż oznaczało to utratę twarzy wśród mas chłopskich. Musiał głosować za Narutowiczem. W ten sposób presja prawicy na centrum doprowadziła do wybrania prezydentem kandydata lewicy.

Wydarzenia, które nastąpiły po elekcji, przedstawia w swych wspomnieniach, które niżej drukujemy Henryk Charlemagne, ówczesnie zastępca komendanta stołecznego policji państwowej. Wściekłość endecji przeciwko wyborowi Narutowicza, którą tak plastycznie przedstawia pamiętnikarz i która doprowadziła do zbrodni – wynikała nie tyle nawet ze sprzeciwu wobec samej osoby Narutowicza, którego uczciwość i walory wcześniej nie były kwestionowane – ile była rezultatem mocno odczutej porażki w Zgromadzeniu Narodowym. Endecy nie mogli darować, że ich taktyka doprowadziła do wyboru Narutowicza i szukali za wszelką cenę zarówno zemsty, jak też sposobu cofnięcia wydarzeń i doprowadzenia do nowej elekcji. W zajadłych, nie cofających się przed niczym, oszczerczych i wprost nawołujących do zbrodni publikacjach prasowych (smutny laur zdobył tu zwłaszcza Stanisław Stroński, który słusznie otrzymał miano „gangstera prasowego”) i wypowiedziach publicznych – stworzona została atmosfera gwałtów ulicznych, prób przekreślenia siłą przez bojówki młokosów decyzji Zgromadzenia Narodowego, wreszcie atmosfera zbrodni.

Do zbrodni tej doszło. Kule Niewiadomskiego, fanatycznego ekstremisty endeckiego, który przez poprzedzające morderstwo dni karmił się jedynie lekturą na wpół rewolwerowego dziennika prawicy – ugodziły nie tylko pierwszą osobę Rzeczypospolitej, lecz i państwo.

Rzeczpospolita w tych tragicznych i dramatycznych godzinach po morderstwie na osobie Prezydenta rzeczywiście pozbawiona była władz najwyższych. Upředni Naczelnik Państwa Józef Piłsudski przekazał już władzę Narutowiczowi i był osobą prywatną. Prezydent nie żył. Poprzedni gabinet prof. Nowaka 14 grudnia podał się do dymisji, a funkcję sformowania nowego rządu otrzymał Ludwik Darowski. Rząd premiera Darowskiego nie ukonstytuował się jednak jeszcze. Na czele armii formalnie stał szef sztabu gen. Władysław Sikorski – lecz natychmiast po morderstwie wysunięto jego kandydaturę na prezesa rady ministrów (funkcje głowy państwa, a więc i desygnowanie premiera, wypełniał Marszałek Sejmu Rataj): Sikorski nie był więc już de facto szefem sztabu i nie był jeszcze premierem. Również mianowanie Piłsudskiego szefem sztabu głównego miało dopiero nastąpić. Nie było wreszcie ministra spraw zagranicznych, bo po Narutowiczu nikt nie objął teki.

Zaś sytuacja nabrzmiewała burzą. W najbliższych godzinach po morderstwie w różnych ugrupowaniach politycznych i związkach – a zwłaszcza w PPS i „Strzelcu” – samorzutnie niejako zaczyna przygotowywać się wielkie manifestacje robotnicze, które miały przekształcić się w zbrojne przejście władzy przez lewicę i rozbić ugrupowań prawicowych.

Daszyński nie dopuścił do czynnego wystąpienia PPS według wskazanego wyżej planu, Piłsudski uspokoił sytuację w wiernych mu środowiskach (Strzelec i in.). Za

poradą tego ostatniego Rataj wyznaczył szybko premierem Sikorskiego, który w kilka godzin sformował nowy rząd⁴¹. Zebrane 20 grudnia ponownie Zgromadzenie Narodowe nowym prezydentem Rzeczypospolitej wybrało Stanisława Wojciechowskiego.

Gdy w pierwszym swym exposé przed Sejmem premier Sikorski oświadczył, że z żalem opuścił szeregi armii, ławy prawicy zahuczały od okrzyków: „I z naszym wielkim żalem! Wróć pan do niej!”. Generał odparował pięknie i godnie: „Krzykiem nie zabijają panowie prawdy o sobie”.

Red.

*Przypisy*⁴²:

- Autor, który liczy dziś 87 lat i mieszka nadal w Warszawie, był podówczas z-cą Komendanta stołecznej Policji.
- Obecna ulica Wiejska. Sejm mieścił się wówczas w nieistniejącym dziś budynku ustawionym frontem przy samej ulicy.
- Pomyłka. Gabriel Narutowicz mieszkał w Hotelu Europejskim, w gmachu MSZ, miał tylko gabinet służbowy i niewielkie pomieszczenie prywatne.
- Nie był to szwadron szwoleżerów, a samodzielna jednostka zw. szwadron przyboczny prezydenta.
- Nie było jeszcze wówczas postanowione, czy prezydent przybędzie do gmachu Zachęty na otwarcie dorocznego Salonu. Dopiero już w powozie, po opuszczeniu rezydencji kardynała Kakowskiego, po poradeniu się swego adiutanta por. Sołtana⁴³, Narutowicz postanowił udać się na otwarcie.
- Mimo iż rząd prof. Nowaka podał się już do dymisji, ministrowie tego gabinetu urzędowali nadal. Min. Majkowski⁴⁴ zatrzymał zresztą tekę w następnym gabinecie Sikorskiego.
- Naoczny świadek zamachu, ówczesny wicedyrektor Departamentu Sztuki i znany malarz Jan Skotnicki, który udzielał Prezydentowi wyjaśnień na wystawie, stwierdził że było to przed obrazem Ziomka „Pejzaż zimowy”. Wprawdzie Skot-

⁴¹ Wiktor Nowakowski w swych uzupełnieniach do tego artykułu opublikowanych w „Stolicy” podaje, że po wypadkach 11 XII 1922 r., o których mowa dalej, które poprzedziły zabójstwo Narutowicza, dotychczasowy minister spraw wewnętrznych inż. Antoni Kamiński podał się do dymisji, a Naczelnik Państwa (Piłsudski) tymczasowym kierownikiem MSW mianował Ludwika Darowskiego (który równocześnie pełnił funkcję ministra pracy i opieki społecznej). Darowski tego samego dnia zawiesił w czynnościach Komisarza Rządu na m. st. Warszawę Borzęckiego. 14 XII Darowski uchylił tymczasowe zawieszenie Borzęckiego, ale nowy premier – Władysław Sikorski udzielił mu urlopu, powierzając kierownictwo Komisarjatu Rządu Franciszkowi Anuszowi.

⁴² Autorem przypisów, podobnie jak i wstępu, zapewne także był Moczulski. Samych wspomnień nie publikujemy.

⁴³ W późniejszym uzupełnieniu Wiktor Nowakowski napisał w „Stolicy”: *Adiutant Sołtan był już chyba rotmistrzem.*

⁴⁴ Literówka, którą poprawił w późniejszym tekście Wiktor Nowakowski – *Ministrtrtem Sprawiedliwości był prof. Wacław Makowski*

nickiego czasami zawodzi pamięć, w tym jednak wypadku pomyłka jest raczej wykluczona. Obraz Ziomka Skotnicki polecił zresztą zakupić do zbiorów państwowych, „by nie stał się przedmiotem niezdrowej sensacyjnej spekulacji”.

- Była to zapewne znana poetka Kazimiera Iłakowiczówna.
- Ludwik Darowski był dopiero desygnowany na premiera., lecz tytuł mu już przysługiwał. Od 11 grudnia pełnił on funkcję ministra spraw wewnętrznych na miejsce odwołanego min. Kamieńskiego, zaś w gabinecie Nowaka i kilku poprzednich był ministrem pracy i opieki społecznej.
- Wśród obecnych w Zachęcie w chwili zamachu był obecny wprawdzie lekarz – jak wspomina Skotnicki wzięty specjalista chorób wenerycznych dr V. – odmówił on jednak dokonania oględzin zwłok. Uczynił to dopiero wezwany lekarz pogotowia, który sporządził formalny protokół zgonu.
- Piłsudski był w tym czasie osobą najzupełniej prywatną i propozycja powiadomienia go wynikała raczej z siły przyzwyczajenia wobec osoby Naczelnika Państwa. Powiadomić należało przede wszystkim Marszałka Sejmu Rataja, gdyż w myśl Konstytucji on przejmował funkcję głowy państwa.

* * *

JESZCZE O ZABÓJSTWIE PREZYDENTA NARUTOWICZA⁴⁵

Postawienie kandydatury i wybór prezydenta Gabriela Narutowicza rozegrane zostały w niesłyszanie krótkim czasie. W piątek 1 grudnia 1922 r. Marszałek Sejmu Rataj zarządził zwołanie Zgromadzenia Narodowego celem obioru prezydenta na przyszłą sobotę 9 grudnia. Panowało powszechne przekonanie, że jedynym realnym kandydatem jest Józef Piłsudski, mimo iż on sam wcześniej w kilku rozmowach z przyjaciółmi, m.in. z Narutowiczem zapowiedział, że o prezydenturę ubiegać się nie będzie. Natychmiast po podaniu terminu elekcji kluby poselskie PPS, „Wyzwolenia”, „Piasta” i Narodowej Partii Robotniczej zgłosiły kandydaturę Piłsudskiego. Wówczas na prośbę tego ostatniego premier prof. Nowak zwołał w najkrótszym możliwym terminie, tzn. na poniedziałek 4 grudnia, do Sali Kolumnowej Rady Ministrów spotkanie przedstawicieli wymienionych wyżej klubów. Obecni byli także członkowie rządu. Na zebraniu tym Józef Piłsudski wystąpił z dłuższym przemówieniem, cytuje je p. Nowakowski.

⁴⁵ „Stolica” z 1970 r., nr 29. Było to uzupełnienie, a częściowo polemika z wyjaśnieniami i uzupełnieniami Wiktora Nowakowskiego, opublikowanymi w tym samym numerze „Stolicy” *dla niezbyt zorientowanego w wypadkach sprzed prawie pół wieku czytelnika*. Po tekście Nowakowskiego Moczulski zamieścił przytoczone wyżej słowa poprzedzając je następującym zdaniem: *Publikując interesujące wyjaśnienia i uzupełnienia p. Wiktora Nowakowskiego, ze swej strony dodajemy do nich parę uwag, aby sprawę rozwickłać w pełni*.

Warto przypomnieć, że na zebraniu w sali kolumnowej obecny był i Narutowicz.

Natychmiast po zakończeniu spotkania, w znacznie mniejszym już gronie zapytany o radę Piłsudski sugerował wybór Witosą na prezydenta. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż Piłsudski już od roku nawiązywał bliższą współpracę z Witosem. Najważniejsze znaczenie miał jednak fakt, że wskutek podzielenia się Sejmu na dwa zwalczające się obozy, człowiekiem kompromisu – o jakim mówił Piłsudski – mógł być wyłącznie ktoś z centrum, a więc przede wszystkim Witos. Kandydatura jego wywołała jednak żywy sprzeciw „Wyzwolenia”, jednej z głównych partii lewicy. Przywódca „Wyzwolenia” Thugutt rozważał jednak ją poważnie. Wspomina, że spotkał się Witosem u Fryzego, redaktora „Kuriera Porannego” i rozmawiali na temat „przede wszystkim wyboru prezydenta” aż do „bardzo późnej nocnej godziny”. Rozważano wariant, że Witos, zgodnie z sugestią Piłsudskiego zostanie prezydentem, Thugutt zaś premierem (por. „Wybór pism” Thugutta, Glasgow 1943, s. 98). Rozmowa ta miała zapewne miejsce we wtorek, 5 grudnia lub nazajutrz. Wcześniej jeszcze, 5 grudnia, Witos rozmawiał z Piłsudskim i wydaje się mało prawdopodobne, aby nie omawiali sprawy kandydatury przywódcy „Piasta” na prezydenta. Zresztą Witos równolegle, choć i bez powodzenia rokował z prawicą, pragnąc uzyskać jej poparcie.

Mimo pewnych wahań Thugutt ostatecznie pozostał przy swoim pierwotnym sprzeciwie wobec kandydatury Witosą, wysuwając na jego miejsce Narutowicza. Szukając kompromisowego rozwiązania, Piłsudski zaproponował wówczas kandydaturę Stanisława Wojciechowskiego, luźno związanego z „Piastem”; o kandydaturze tej rozmawiał z Narutowiczem podczas dwukrotnych rozmów: 6 lub 7 grudnia oraz 9 grudnia rano.

Wyjaśnienia wymaga jeszcze sprawa powołania nowego rządu. Wybrany 9 grudnia w sobotę, 14 grudnia w czwartek Narutowicz objął urząd i tegoż dnia przyjął dymisję gabinetu Nowaka, a zaraz potem przeprowadził rozmowy z przedstawicielami stronnictw: Witosem, Barlickim, Thuguttem, Wachowiakiem, Głębińskim, na temat utworzenia gabinetu, który miałby poparcie parlamentarne. Rozmowy te nie dały wyników, a przedstawiciel Narodowej Demokracji, Głębiński posunął się tak daleko, że zażądał abdykacji prezydenta. Wieczorem tego dnia Narutowicz długo rozmawiał z Piłsudskim: „Nie sądził, by w tej zaognionej sytuacji mógł utworzyć rząd parlamentarny” – zanotował Marszałek.

Wyjaśnić należy, że w chwili zamachu na prezydenta, Piłsudski zupełnie przypadkowo był w Pałacu Saskim, gdyż przybył odszukać w Biurze Historycznym Sztabu Generalnego jakieś papiery. Trudno powiedzieć, czy pierwszy o zamachu zawiadomił go p. Charlemagne, czy poseł Zyndram-Kościałkowski, po latach premier. W każdym razie przybyli oni do Piłsudskiego w minimalnym odstępie czasu. Warto przytoczyć jeszcze fragment wspomnień Piłsudskiego, gdy złożył on wizytę Narutowiczowi w poniedziałek 11 grudnia, natychmiast po burdach i zajściach ulicznych, w trakcie których prezydenta obrzucono błotem – dosłownie i w przenośni. Narutowicz „siedział w fo-

telu, głęboko poruszony. Nie chciał mi opowiadać szczegółów. Wskazał mi rewolwer, leżący opodal i powiedział: »uprzedzono mnie, chciałem wziąć tę broń ze sobą, a strzelam bardzo celnie. Zostawiłem rewolwer na stole. Nie chcę się bronić«.

L. M-ski.

* * *

ŚLADEM MARIUSZA ZARUSKIEGO⁴⁶

W swej książce „Z harcerzami na Zawiszy Czarnym” nestor żeglarstwa polskiego Mariusz Zaruski tak pisał: „Pływałem, łaskawi moi Czytelnicy, mokłem i marzęm na pokładzie jachtów nie po to, ażeby z was uczynić sportowców..., lecz dlatego, ażebyście Wy jako Polacy poznali morze, uczuciem się z nim związali, uznali je za własną bezcenną wartość, bez której nie ma życia dla dzisiejszej Polski”. Ta myśl Zaruskiego, aby w drodze morskiego wychowania młodzież nie tylko kształtować charaktery, rozwijać tężyznę i umiejętności – lecz przede wszystkim doprowadzić do tego, aby całe społeczeństwo polskie zrozumiało, czym jest w istocie morze dla naszego kraju – legła u podstaw pracy wychowawczej harcerstwa wodnego.

Dzieje żeglarskich drużyn harcerskich zaczynają się u wybrzeży Oceanu Spokojnego. Tam właśnie, w latach 1918–19, dr Jakóbkiewicz, przy pomocy mjra Czumy⁴⁷, brata późniejszego obrońcy Warszawy, stworzył pierwszy polski harcerski hufiec morski. Skupiona w nim młodzież po powrocie do kraju stała się głosicielami tej prawie nie znanej wówczas dyscypliny. Początkowo rozwijała się ona powoli. W Warszawie pierwszy harcerski krąg wodny powstał w 1922 r. Wkrótce potem na czoło harcerskiego żeglarstwa wysunął się Poznań. Z inicjatywy studenta prawa Ludwika Hermela 17 drużyna harcerska im. Jana Kilińskiego przybrała tytuł Wilków Morskich i – początkowo na jeziorach, a później na morzu, zaczęła żeglować. Harcerze z tej właśnie drużyny, na własnym jachcie „Rybitwa”, zorganizowali w 1927 r. pierwszy rejs zagraniczny. Prowadził on z Poznania Wartą i Odrą do Szczecina, a dalej przez Bałtyk do

⁴⁶ „Stolica” z 1977 r., nr 13. Wybór bohatera tego tekstu nie był przypadkowy. Ze względów cenzuralnych Moczulski nie mógł jednak wtedy napisać, że gen. Mariusz Zaruski został w 1940 r. aresztowany przez NKWD we Lwowie i – jako „element społecznie niebezpieczny” zesłany na 5 lat do Kraju Krasnojarskiego. Z uwagi na wiek (75 lat) i stan zdrowia Zaruski trafił ostatecznie do szpitala wzięnnego w Chersoniu, gdzie zmarł na wiosnę 1941 r.

⁴⁷ Płk Władysław Czuma, podobnie jak i gen. Walerian Czuma (d-ca obrony Warszawy w 1939 r.) byli braćmi ojca Andrzeja Czumy – prof. Ignacego Czumy. Mamy tu wyraźny ukłon Moczulskiego w stronę Andrzeja Czumy, który był jednym z dwóch rzeczników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (obok Moczulskiego). 13 numer „Stolicy”, w którym opublikowano powyższy tekst ukazała się z datą 27 III 1977 r. Dzień wcześniej Moczulski w mieszkaniu Antoniego Pajdaka prowadził konferencję prasową, na której ogłosił powstanie Ruchu Obrony.

Kopenhagi i Helsinigör, na międzynarodowy zlot harcerski Jamboree. Polacy byli jedynymi uczestnikami zlotu, którzy przyплыли tutaj jachtem. Wrócili „Rybitwą”, płynąc w sztormie z Kopenhagi do Gdyni.

Takie były początki harcerskiego żeglarstwa morskiego. Od końca lat dwudziestych zaczyna się ono gwałtownie rozwijać. Buduje morski ośrodek szkoleniowy w Jastarni, nie licząc śródlądowych, z których najbardziej uczęszczany mieścił się nad jeziorem Narocz. Z roku na rok powiększa się ilość drużyn żeglarskich. W Warszawie działa 39 morska drużyna harcerska im. Józefa Wybickiego. Szybko zaczyna powiększać się flotylla harcerskich jachtów. Pierwszą wielką jednostką był jacht „Beniowski”, a po jego rozbiciu „Zorza”. To na tej właśnie łodzi, przechrzczonej na „Zjawę”, gdyński harcerz Władysław Wagner w lipcu 1932 r. wyruszył z Gdyni na pierwszy polski rejs „po wielkim kółku” – czyli dokoła świata⁴⁸. Zmieniając po drodze współtowarzyszy i jachty, po sześciu i pół latach, Wagner jako pierwszy polski żeglarz okrążył ziemię. Nie zdążył wrócić do kraju: wojna wybuchła, gdy dopłynął do Wielkiej Brytanii.

Harcerze dążyli jednak do posiadania naprawdę dużego, flagowego jachtu swej flotylli. Po dłuższych staraniach, dzięki pomocy finansowej Komitetu Floty Narodowej, w 1934 r. udało się kupić unieruchomiony szkuner „Petrea”. Przez cały rok trwały jego remont i przebudowa. Wreszcie, już jako „Zawisza Czarna”, pod komendą Mariusza Zaruskiego, wypłynął on 29 czerwca 1935 r. w swój pierwszy harcerski rejs. Od tej pory ten piękny 300-tonowy jacht stał się głównym statkiem szkoleniowym harcerstwa polskiego. Ale nie jedynym, na którym pływali harcerze. Coraz śmieiej wyruszali oni na morze, szukając coraz dalszych tras. W lipcu 1938 r. również harcerze warszawskiej 39 drużyny na jachcie „Poleszuk” wyruszyli w podróż dookoła świata. Dopłynęli jednak tylko do Chicago, gdzie zaskoczyła ich wojna.

W latach 1939–45 harcerzy-żeglarzy nie zabrakło na żadnym froncie walki. Zaś w 1945 r. przystąpili do odbudowy. Porty były zniszczone, z jachtów pozostały wraki. Uszkodzonego „Zawiszę Czarnego” zaczęto remontować, siłami społecznymi. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać harcerskie drużyny morskie, choć na ogół nie miały jeszcze sprzętu nadającego się do pływania.

Tak trwało przez pięć lat. A potem nastąpiła przerwa. W ramach organizacji harcerskiej żeglarstwo zanikło. Szukający wodniackich przygód harcerze musieli się skupiać w innych organizacjach⁴⁹. Pozostawiony własnemu losowi, zginął i rozsypał się „Zawi-

⁴⁸ Moczulski był zapalonym żeglarzem. Żeglował po jeziorach, żeglował po Bałtyku, marzył o rejsie dookoła świata. Siedziba warszawskiego klubu żeglarskiego „Horyzont” była nieraz miejscem konspiracyjnych spotkań w okresie poprzedzającym utworzenie Ruchu Obrony, zaś obóz żeglarski nad jeziorem Zegrzyńskim latem 1979 r. poprzedzał utworzenie Konfederacji Polski Niepodległej.

⁴⁹ Czytelna aluzja do okresu stalinowskiego, kiedy to prawdziwe harcerstwo zastąpiono „czerwonym”, opartym na wzorach sowieckich. Wprost nie dało się jednak tego napisać.

sza Czarny”. Dopiero w 1957 r. przystąpiono do odbudowy harcerstwa morskiego⁵⁰. Dwa lata później powstał Społeczny Komitet Budowy Floty Harcerskiej. Zaczęły powstawać harcerskie ośrodki żeglarskie. Siedem dawnych szalup „Batorego” harcerze przebudowali na jachty morskie. Tak powstała „flotylla czerwonych żagli”. W 1961 r. podniesiono banderę na flagowym jachcie ZHP, do dzisiaj największym jachcie polskim – stalowym szkunerze o starej nazwie: „Zawisza Czarny”. Pierwszym jego kapitanem został bohater minionej wojny – komandor Bolesław Romanowski.

Przez następne 25 lat żeglarstwo harcerstwo rozwija się coraz bardziej i skupia obecnie 25 tysięcy młodzieży. Wprawdzie większość z nich pływa po śródlądziu, ale i w żeglarstwie morskim harcerze są wielką siłą. Z roku na rok przybywa harcerskich jachtów morskich. Centrum Wychowania Morskiego i Wodnego w Gdyni, które ostatnio dorobiło się pięknych zabudowań w basenie jachtowym w Gdyni, rokrocznie szkoli dziesiątki jachtowych sterników morskich i kapitanów. Flotylla jachtów zatokowych uwija się przez cały sezon między Gdańskiem, Helem i Puckiem. Jachty pełnomorskie wyruszają w coraz dłuższe trasy. „Zawisza Czarny” przebył w ubiegłym roku Atlantyk, w Operation Sail płynąc do Stanów Zjednoczonych i uczestnicząc w uroczystościach dwusetlecia USA.

Coraz szerzej i pełniej harcerze wychodzą na morze. Spełnia się myśl Zaruskiego, wychowawcy całego pokolenia żeglarzy polskich, który przez morskie wychowanie młodzieży – chciał cały naród przybliżyć do morza.

L. M.

* * *

Z ostatnich lat II Rzeczypospolitej

DROGA GENERAŁA ŚMIGŁEGO DO WŁADZY⁵¹

⁵⁰ Po 1956 r. przystąpiono też do odbudowy w PRL prawdziwego harcerstwa. W proces ten zaangażowani byli m.in. dwaj krakowscy uczestnicy Ruchu Obrony, a następnie członkowie-założyciele Konfederacji Polski Niepodległej: Krzysztof Gąsiorowski oraz Stanisław Janik-Palczewski.

⁵¹ „Stolica” z 1968 r., nr 27. Jest to tekst podpisany także przez Krzysztofa Naumienkę, szefa działu społecznego w „Stolicy”. Ale Moczulski nie potrzebował przecież „pomocy” szefa działu społecznego przy pisaniu tekstów w ramach cyklu „Z ostatnich lat II Rzeczypospolitej”. Udział Naumienki i jego propagandowe „wstawki” (które dość łatwo można rozpoznać) były jednak ceną, którą trzeba było zapłacić, aby teksty te w ogóle mogły się ukazać. W tamtym czasie były to bowiem w zasadzie tematy niecenzuralne. Skoro te „wstawki” były konieczne, to brał je na swoje konto Naumienko, którego nazwisko dodatkowo pojawiło się pod tekstem zawierającym szczegółową, historyczną analizę. Moczulski opisywał podobne praktyki w sposób następujący: *Wszystkie moje publikacje sygnowałem nazwiskiem lub przejrzystym skrótem literowym. Jeśli do tekstu redakcja wprowadzała zmiany nie odpowiadające moim poglądom wycofałem swój podpis, przestając tym samym być autorem danej publikacji. Jest to powszechnie uznawana zasada. Gdy znalazłem się kiedyś w sytuacji, że ukazał się artykuł, do*

W artykułach poświęconych „kuchni politycznej” międzywojennej Polski publikowanych w naszym piśmie w ubiegłym [1967] roku („Śmierć Józefa Piłsudskiego” w nr. 16, „Epitafium dla Walerego Sławka” w nr. 22. i „Malowany plot” w nr. 25⁵²) przedstawiliśmy przebiegające w okresie kwiecień 1935 r. – maj 1936 r. zakulisowe rozgrywki o władzę toczące się w łonie sanacyjnej „góry”. Przypomnieliśmy też trudną sytuację wewnętrzną II Rzeczypospolitej – impas jej gospodarki, konflikty socjalne, opór szerokich mas społeczeństwa i walkę jego postępowych, radykalnych ugrupowań przeciwko antydemokratycznej polityce i totalitarnym programom przywódców obozu piłsudczykowski. Rzecz jasna publikacje nasze nie roszczą sobie pretensji ani do przedstawiania całości wydarzeń ostatniego czterolecia przedwojennego, ani do ich pełnej oceny, a zajmują się jedynie pewnymi wybranymi problemami (Red.).

Przez cały rok od śmierci Józefa Piłsudskiego nowo mianowany generalny inspektor Sił Zbrojnych raczej unikał rozgłosu. Nabierał znaczenia, rządząca góra coraz bardziej liczyła się z jego zdaniem, ale i szereg ważnych decyzji podejmowano bez niego, na wiele porad go nie zapraszano. Nie było zresztą ku temu formalnych podstaw – nie był członkiem rządu.

W organizacji sił zbrojnych II Rzeczypospolitej obowiązywała zasada, w praktyce dość niefortunna, oddzielenia kierownictwa administracją wojska w czasie pokoju (sprawowało je Ministerstwo Spraw Wojskowych) i kierownictwa pracami przygotowawczymi do wojny. Taką organizację narzucił jeszcze w 1926 r. Józef Piłsudski i wtedy też, w sierpniu tego roku, utworzony został Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych wraz ze stanowiskiem generalnego inspektora, przewidzianego na wypadek wojny na stanowisko naczelnego wodza, oraz z inspektorami armii, desygnowanymi na wypadek wojny na dowódców poszczególnych armii. Formalnie generalny inspektor nie miał wraz z podległym mu aparatem żadnych funkcji dowódczych, a więc i władzy; sprawował natomiast kontrolę wyszkolenia wojsk i przygotowań do wojny, zajmował się studiami przewidywanych w tej przyszłej wojnie operacji. Pierwszemu generalnemu inspektorowi Piłsudskiemu, takie ograniczenia kompetencji w niczym nie przeszkadzały – i tak przecież osobiście decydował o wszystkich sprawach nie tylko wojska, lecz i całego państwa. Śmigłemu jednak te ograniczenia zaczęły ciążyć już wkrótce po

którego redakcja bez mojej wiedzy i zgody wprowadziła poprawki, pozostawiając moje literki, złożyłem wypowiedzenie z pracy i zagroziłem wystąpieniem do sądu, czym zmusiłem redakcję do niecodziennego w cenzurowanej prasie sprostowania, że opublikowany tekst nie jest mojego autorstwa (Leszek Moczulski, Michnikowi w odpowiedzi, „Droga” 1978 r., nr 3, s. 38-41). W 1968 r. zabrano też Moczulskiemu stałą, cotygodniową rubrykę, którą prowadził od początku swojej pracy w tym piśmie, opartą na listach od czytelników (Z otwartych szkatuł). Prowadził ją odtąd „Krzysztof Kulicz”, którego to pseudonimu używał Krzysztof Naumienko.

⁵² Pod wszystkimi tymi tekstami podpisani byli: Leszek Moczulski i Krzysztof Naumienko.

objęciu GISZ, zwłaszcza, że dokonana na jego rozkaz analiza stanu armii wykazała konieczność podjęcia jej gruntownej modernizacji i przebudowy.

Podjęcie prac nad rozbudową i modernizacją sił zbrojnych wiąże się ściśle z początkiem rozgłosu wokół osoby generalnego inspektora, z jego wypłynięciem na szerokie polityczne wody i z poważnym, choć stopniowym rozszerzaniem jego uprawnień. Ważnym posunięciem w tej dziedzinie było powołanie na premiera gen. Felicjana Sławoja Składkowskiego, dotychczasowego szefa Administracji Armii. Jak wspominaliśmy w artykule „Malowany płot”, dość nieoczekiwane premierostwo Składkowskiego było (potraktowanym jako prowizorium) kompromisem w zakulisowej grze sił wśród sanacyjnej „góry”. Niewątpliwie jednak Śmigły, wysuwając swego zaufanego na stanowisko premiera, rozumiał doskonale, że przejmując w ten sposób w zasadzie kontrolę nad rządem.

Niemal równocześnie z powołaniem nowego gabinetu wydany został pierwszy z serii oficjalnych dokumentów państwowych podnoszących stanowisko i osobę Śmigłego o szczebel wyżej: Mościcki na wniosek generalnego inspektora podpisał „Dekret Prezydenta RP z 9 V 1936 o sprawowaniu zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi i organizacji naczelných władz wojskowych w czasie pokoju”. Istotnym *novum* ustanowionym przez ten dekret było powołanie Komitetu Obrony Rzeczypospolitej (KOR⁵³), który miał ustalać wytyczne dla rządu i koordynować prace w zakresie przygotowań obronnych państwa. Przewodniczącym KOR został jako najwyższy zwierzchnik sił zbrojnych sam prezydent, faktyczne kierownictwo objął wiceprzewodniczący – Śmigły. Organem wykonawczym KOR był jego sekretariat – SeKOR, który stał się jednym z głównych ośrodków planujących i dyspozycyjnych w tych sprawach ekonomicznych państwa, który miały lub mogły mieć znaczenie militarne. Była to ingerencja w kompetencje wicepremiera Kwiatkowskiego, kierującego gospodarką Rzeczypospolitej, który też po tymczasowym sprzymierzeniu się ze Śmigłym dla obalenia gabinetu Kościalskiego planować zaczął kontrakcję.

Wejście Śmigłego na szeroką arenę życia politycznego zaakcentowane zostało jego udziałem w inauguracyjnym posiedzeniu nowej Rady Ministrów, które odbyło się 15 maja 1936 r. Wygłosił on wtedy dłuższe przemówienie o sytuacji polityczno-militarnej Polski. Dowodził w nim, że państwo znajduje się w stanie zagrożenia, przy czym zgodnie z antyradzieckim nastawieniem sanacji zagrożenia tego dopatrywał się nie tylko z tej strony, z której ono w rzeczywistości narastało – to znaczy z jawnie już szykujących się do odwetu Niemiec, ale i ze strony prowadzącego pokojową politykę ZSRR⁵⁴. W dziewięć dni później podjął ten sam temat przed szerszym forum – w mowie wygłoszonej na zjeździe Związku Legionistów, gdzie wysunął jako „kategoryczny imperatyw”

⁵³ Tekst jest z 1968 r., a więc przywołanie skrótu KOR nie było tu żadną aluzją.

⁵⁴ Fragment o ZSRR „prowadzącym pokojową politykę” w drugiej połowie lat 30. XX wieku brzmi dzisiaj groteskowo (w 1968 r. było to zwykłe i częste sformułowanie w komunistycznej propagandzie) i jest zapewne jedną z „wstawek” Krzysztofa Naumienki.

postulat konsolidacji sił narodowych wokół szeroko pojętej sprawy obrony państwa – to jest wokół swego programu politycznego i własnej osoby. Dokonując analizy sytuacji Polski i zestawiając ją z tym, co się dzieje „za zachodnią i wschodnią granicą” (pomijał przy tym świadomie różnice potencjałów ekonomicznych, ustroje i politykę ZSRR i Niemiec), domagał się dorównania przez Polskę rozwojowi ekonomiczno-militarnemu sąsiadów. Miałoby się to, jego zdaniem, dokonać za pomocą „zorganizowanej i kierowanej woli ludzkiej”. „Hasło obrony Polski – wołał patetycznie – jest jakby potężnym łańcuchem, który jest jednym końcem przytwierdzony do Polski – chodzi o to, żeby jak najwięcej dłoni chwyciło za ten łańcuch. Trzeba go sobie przerzucić przez ramię i ciągnąć, ciągnąć, chociażby w krzyżach trzeszczało, aby Polskę podciągnąć wzwyż”.

Były to tylko słowa – chwytiliwe, robiące wrażenie na słuchaczach, ale i pozbawione głębszych treści. „Bronić Polski”? „Ciągnąć ją wzwyż”? Działalność polityków, ich programy, ocenia się jednak nie słusznością głoszonych przez nich ogólnikowych haseł i nawet nie osobistymi, subiektywnymi intencjami. Programowi „niepodległościowemu” Śmigłego brakowało nie tylko intelektualnej głębi, lecz rzeczywistej analizy sił i możliwości państwa wraz z jego anachronicznym ustrojem społecznym, antydemokratyczną polityką wewnętrzną i nierealistyczną zewnętrzną⁵⁵. Brakowało też nowych i śmielszych koncepcji sanacji – w pierwotnym, dosłownym znaczeniu tego terminu. O tym, że „trzeba w Polsce zrobić porządek”, mówili przecież piłsudzcy już od dziesięciu lat i choć „porządek” był rzeczywiście Rzeczypospolitej potrzebny, niewiele to znaczyło. Najwyżej zza frazesów w rodzaju Sławkowskiej „powszechnej organizacji społeczeństwa” czy Śmigłowskiej „zorganizowanej i kierowanej woli ludzkiej” ujawniały się tęsknoty do totalitarnych wzorców. Takich walor miały zresztą wówczas wszystkie rozważania o pragmatyce władzy i technice manipulowania społeczeństwem, rozważania unikające jak diabeł święconej wody rzetelnej społecznej analizy sił.

Wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski był jednym z nielicznych ludzi spośród rządzącej „góry”, którzy dostrzegali (przynajmniej na płaszczyźnie czysto ekonomicznej, bez uwarunkowań klasowych i politycznych) brak głębszych przemyśleń i demagogię ogólnikowego programu Śmigłego⁵⁶. Niezależnie od własnych ambicji politycznych, czyniących z niego naturalnego oponenta generalnego inspektora, wicepremier jako ekonomista i niejako „główny księgowy” reżimu potrafił przeliczać pięknie brzmiące ha-

⁵⁵ Kolejna „wstawka” dot. II RP, która jakoby prowadziła „nierealistyczną politykę zewnętrzną”. Dalej następuje lekceważące określenie koncepcji politycznych Walerego Sławka i jest mowa o tym, jakoby piłsudzcy mieli „tęsknoty do totalitarnych wzorców”. Ponieważ babka Moczulskiego była współpracownicą Sławka w OB PPS, a sam Sławek był w domu Moczulskich (a nawet rozmawiał z kilkuletnim Leszkiem, co ten wspominał zob. nagranie na naszym kanale na YT – „Rozmowy o zmierzchu – Leszek Moczulski”).

⁵⁶ W dacie publikacji tego tekstu Eugeniusz Kwiatkowski żył, mieszkał w Krakowie i brał udział w uroczystościach przy trumnie Józefa Piłsudskiego organizowanych przez nieformalny Związek Legionistów Polskich na Wawelu. Zmarł w 1974 r.

sła na złotówki. I on jednak uważał za aksjomat, że żadne „uzdawianie” Rzeczypospolitej nie może ani trochę naruszać ustrojowego *status quo* – w rezultacie więc i jego własny program nie przynosił propozycji tak dla państwa niezbędnych śmielszych posunięć.

Wraz ze zwiększoną ruchliwością polityczną Śmigłego szybko rośnie jego popularność. Także ambicje. Już na posiedzeniu Rady Ministrów z 15 maja wyraźnie stawiał się jakby nad rządem – zachowując się trochę jak zwierzchnik w czasie odprawy, udzielając ministrom wskazówek, wyznaczając im zadania. Jego stronnicy z grupy „peowiaczkiej”, którą teraz już trafniej można było określić jako grupę „GISZ”, coraz śміielej szerzą przekonanie, że jest on następcą Piłsudskiego nie tylko jako inspektor generalny i że winien być uznany za wodza nie tylko w ewentualnej wojnie. Jednym z głównych dyrygentów i zarazem solistów tej propagandy staje się redaktor naczelny „Kuriera Porannego” Wojciech Stpiczyński.

Nie zasypia gruszek w popiele i Składkowski. Nie wiadomo, czy z inspiracji Śmigłego, czy też z własnej inicjatywy parokrotnie napomyka on Mościckiemu, że w przyszłym wyborze prezydenta jedynym kandydatem powinien zostać Śmigły. Rzecz jasna, że w Mościckim sugestie takie nie wzbudzają zachwytu. Fakt, że generalny inspektor najwyraźniej sięga po przywództwo obozu piłsudczykowskiego, a więc i po władzę, która zgodnie z literą kwietniowej Konstytucji należy wyłącznie do prezydenta, że urzędujący premier uważa się za podwładnego generała – zaniepokoił nie tylko Mościckiego i skupioną wokół niego grupę „zamkową”. Wywołało to również niezadowolenie w innych środowiskach obozu, a zwłaszcza w tym, które związane było z wymanewrowanym już z bezpośredniej rozgrywki Sławkiem. Ci piłsudczycy widzieli w karierze Śmigłego uzurpację uprawnień należnych jedynie zmarłemu „komendantowi”, no i po cichu zadawali sobie pytanie, dlaczego to Śmigły właśnie, a nie kto inny z ich grona, zyskać ma największe zaszczyty.

Nastroje te postanowił wyzyskać Kwiatkowski. On to głównie, choć podobne inspiracje płynęły i z innych stron, wpływać zaczął na Mościckiego, by ten „zastopował” ambitnego generała. Mościcki, sam zagrożony w swych prerogatywach, chętnie się na to zgodził.

W połowie czerwca odbyło się na Zamku posiedzenie Rady Gabinetowej. Przewodniczył prezydent, obecny był premier i wszyscy ministrowie. Generalnego inspektora, nie będącego członkiem rządu, nie zaproszono. Zabrał głos Mościcki. Mówił ostro, z werwą. Stwierdził dobitnie, że obowiązkiem wszystkich ludzi w kraju jest przede wszystkim przestrzeganie nowej Konstytucji. Tylko w niej – dowodził – są ujęte zasady prawne, określona pragmatyka rządzenia, którą należy stosować. Nie ma natomiast i nie może być żadnych pozakonstytucyjnych sił, pozakonstytucyjnych ośrodków władzy. Stąd też cały rząd, premier i ministrowie, pamiętać muszą o swych prawach i obowiązkach. Konstytucja stwierdza wyraźnie, iż są oni odpowiedzialni tylko przed prezydentem. Rząd jest rządem prezydenta, on wyłącznie, a nie nikt inny, ustala jego politykę, kieruje nim... Wywody te wywarły wrażenie, zwłaszcza na Składkovskim

i tych ministrach, którzy czuli się związani z generalnym inspektorem. Kwiatkowski triumfował. Było oczywiste, że słowa prezydenta skierowane są przeciwko Śmigłemu, że próbują sprowadzić go znów do przeznaczonej mu swego czasu roli specjalisty wojskowego, który kontroluje armię i prowadzi studia operacyjne lecz w polityce nie ma nic do powiedzenia. Natomiast zapowiedziane wykorzystywanie przez prezydenta jego władzy dałoby w praktyce ster rządów w ręce jego głównego doradcy, czyli właśnie Kwiatkowskiego. Mościcki przemawiał dalej, gdy nagle... stracił wątek. Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia, ministrowie z osłupieniem patrzyli na prezydenta wodzącego bezbarwnymi oczami po sali – prezydenta odpowiedzialnego za losy państwa i narodu jedynie „przed Bogiem i historią”, a który oto wydał się im nagle niedołącznym sklerotycznym starcem.

Trwało dobrą chwilę, zanim Mościcki opanował się, przebrnął przez nieoczekiwaną, tak kompromitującą lukę pamięci i pośpiesznie dokończył przerwane przemówienie. Był to drobny incydent, okazał się jednak brzemienny w skutki, gdyż wpłynął na wytworzenie się nowego układu sił w pałacowych rozgrywkach między ugrupowaniami „Zamku” i „GISZ-u”. Wstrząsnął on bowiem Kwiatkowskim.

Wicepremier całe swoje znaczenie i niemałe w układzie sił wśród obozu rządzącego wpływy zawdzięczał Mościckiemu. Prezydent – chwiejny, łatwo ulegający podszeptom i naciskom profesor chemii, dziesięć lat wcześniej wyniesiony przez Piłsudskiego na najwyższe w państwie stanowisko, był dla rzutkiego ekonomisty i osłoną, i najpotężniejszą bronią. Gdyby go nie stało, gdyby musiał ustąpić, pozycja Kwiatkowskiego uległaby bardzo poważnemu osłabieniu i kto wie, czy w ogóle dalsza jego polityczna kariera nie stanęłaby pod znakiem zapytania. Incydent na posiedzenia Rady Gabinetowej uświadomił wicepremierowi z całą dobitnością, że 69 lat Mościckiego trzymającego się jeszcze na ogół dobrze, to jednak już wiek, który należy brać pod uwagę. W tej sytuacji Kwiatkowski doszedł do wniosku, do którego zresztą już wcześniej powinna była go skłaniać rosnąca liczba zwolenników Śmigłego, że nie ma sensu dalej angażować się w intrygi przeciwko generalnemu inspektorowi, młodszemu od prezydenta o 19 lat. I w rezultacie z dnia na dzień całkowicie zmienia front z równie wielką energią, z jaką poprzednio występował przeciwko aspiracjom Śmigłego, teraz zaczyna je u Mościckiego popierać – jawnie przekonując prezydenta, że generalnemu inspektorowi należy jednak przyznać odpowiednią w państwie pozycję.

Te nowe starania Kwiatkowskiego zbiegają się ze wzmożeniem nacisku ze strony popierających Śmigłego piłsudczyków, których z kolei zaniepokoiła sama treść wystąpienia Mościckiego na Radzie Gabinetowej. Konstytucja konstytucją – tłumaczą – ale przecież generał jest następcą Piłsudskiego, szefem wojska i choćby względy militarne wymagają przyznania mu większych kompetencji tak formalnych, jak i faktycznych.

Mościcki słuchał tych namów z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony na pewno nie było mu na rękę forowanie generalnego inspektora, z drugiej jednak czy nie rozsądniej było okazać mu przychyłność i ofiarować to, co tamten przy dokonującym się

przegrupowaniu obozu piłsudczykowskiemu prędzej lub później i tak mógłby osiągnąć sam? Poza tym i jego zaniepokoić musiała ta wykazana na Radzie Gabinetowej chwila słabości. Nie czuł się na ogół źle, ale musiał przecież liczyć się także z opinią swych współpracowników, a ta nieoczekiwana i silna, choć krótkotrwała amnezja stanowiła poważny sygnał alarmowy... W rezultacie uległ i postanowił się wycofać z zajętego przeciw Śmigłemu stanowiska.

W ten sposób nieoczekiwanie zniknęły przeszkody stojące na drodze generalnego inspektora do zajęcia dominującej pozycji w rządzącym obozie. Generał Śmigły odniósł zwycięstwo w zakulisowych rozgrywkach wśród „góry” władza była w jego ręku. Oficjalne, ostateczne potwierdzenie tego faktu, będące już tylko formalnością, nastąpić miało niebawem. Okoliczności, w jakich do tego dojdzie, okażą się jednak nader interesujące.

L. M.

K. N.

* * *

Z ostatnich lat II Rzeczypospolitej

ŚMIGŁY-RYDZ W WALCE O WŁADZĘ⁵⁷

– Cóż ja poradzę? – uzasadniał kiedyś marszałek Sejmu II Rzeczypospolitej Stanisław Car swoją kapitulację w jakimś przejściowym sporze z Edwardem Śmigłym-Rydzem. – Ja mam tylko straż marszałkowską, a pan... trzydzieści dywizji.

Słowa te, cytowane już w naszym cyklu artykułów o kulisach walki o władzę w różnych ugrupowaniach obozu sanacyjnego w latach 1935–1936 („Stolica” nr 16, 22, 25 z 1967 r. i nr 27 z br.), rzucają charakterystyczne światło na istotę wyraźnej w tym czasie politycznej kariery generalnego inspektora Sił Zbrojnych i muszą stanowić zasadnicze motto rozważań. Nie rościmy sobie, rzecz prosta, pretensji do pełnego naświetlenia złożonej problematyki owego okresu, lecz zgodnie z zapowiedziami poprzednich artykułów kontynuujemy opowieść o wewnętrznych rozgrywkach w ówczesnej rządzącej „górze”.

Przypomnijmy, po śmierci faktycznego dyktatora II Rzeczypospolitej, Józefa Piłsudskiego, w maju 1935 r., w obozie rządzącym ujawnił się wewnętrzny podział na – z grubsza biorąc – trzy grupy: „pułkowników” z ówczesnym premierem Walerym Sławkiem na czele, „zamkową” wokół prezydenta Ignacego Mościckiego i najwybitniejszego w jego otoczeniu polityka – ekonomisty Eugeniusza Kwiatkowskiego, oraz „peowiaczką” lub inaczej „GISZ-u” wokół właśnie generała Rydza-Śmigłego. Do zasadniczego starcia doszło początkowo między „pułkownikami” a „Zamkiem”, w rezultacie czego

⁵⁷ „Stolica” z 1968 r., nr 50-51.

wyeliminowany został z życia politycznego Walery Sławek (jego ostateczna „śmierć” polityczna nastąpić miała jednak później, jesienią 1938 r., a śmierć rzeczywista, samobójcza, w kwietniu 1939 r.).

W cieniu tej rozgrywki zbierał siły i rósł w znaczeniu, wraz z kierowaną przez siebie grupą, Śmigły. Po śmierci Piłsudskiego mianowany on został generalnym inspektorem Sił Zbrojnych, przy czym nominację na to opuszczone przez zmarłego marszałka stanowisko zawdzięczał najprawdopodobniej swej opinii specjalisty wojskowego nie wykazującego ni uzdolnień, ni ambicji politycznych. Piłsudczycy przystępujący do podziału władzy po swym „komendancie” po prostu nie spodziewali się, że stosunkowo młody generał (urodzony 11 III 1886 r.), spokojny, zamknięty w sobie, ulegający wpływom i skłonny do kompromisów – może okazać się w wewnętrznych sporach groźnym konkurentem. Do tego jako generalny inspektor, którego kompetencje ograniczały się nominalnie do kontroli szkolenia wojsk i opracowywania planów ewentualnej wojny, nie mający autorytetu i praktycznych prerogatyw swego poprzednika, Śmigły praktycznie miał być pozbawiony wielkiego wpływu na aktualną politykę państwa.

Wkrótce już jednak okazało się, że rachuby te spaliły na panewce. Po dokonaniu przez GISZ analizy stanu armii generalny inspektor wysuwać począł żądania faktycznie ingerując w kompetencje zarówno Ministerstwa Spraw Wojskowych (do czego przy ówczesnej strukturze kierowania armią miał koniec końców niejakić prawo), jak i rządu, i wreszcie prezydenta. Jego program modernizacji sił zbrojnych i w konsekwencji polityczny program rządzenia krajem w oparciu o „kategoryczny imperatyw skupienia wszystkich sił dla obrony Rzeczypospolitej” wyrażał interesy armii i oczywiście zyskał jej poparcie, a owe wspomniane na wstępie trzydzieści dywizji, formalnie apolitycznych, stanowiło w rozgrywce wewnętrznej siłę nie do lekceważenia. Dodajmy, że posunięcia, których rzecznikiem staje się Śmigły, oznaczają oczywiście także poważną ingerencję GISZ we wszystkie dziedziny życia państwa i zwłaszcza w jego gospodarkę. Tu jednak generalny inspektor napotyka opór ze strony „Zamku”: sprawy ekonomiki II Rzeczypospolitej chciałby do swej wyłącznej kompetencji zastrzec wicepremier Kwiatkowski...

W połowie 1936 r. generał Śmigły zaczyna zyskiwać sobie pozycję drugiej po prezydencie, a faktycznie pierwszej osobistości w państwie. Nie mając po temu formalnie żadnych uprawnień stawia się on ponad rządem, udzielając gabinetowi pouczeń, wskazując mu kierunki działania. Sytuację taką ułatwia fakt, że od wiosny 1936 r. premierem jest zaufany generalnego inspektora gen. Felicjan Sławoj-Składkowski. Dochodzi do próby kontrakcji ze strony „Zamku”: występując na posiedzeniu Rady Gabinetowej Mościcki w przemówieniu utrzymanym w tonie kategorycznym przypomniał zasady Konstytucji z 1935 r. przyznającej pełnię władzy prezydentowi i zarazem dał do zrozumienia, że on sam nie zamierza się tą władzą z nikim dzielić. Na tym samym jednak posiedzeniu czy też wkrótce po nim nastąpił przełom – główny przeciwnik Śmigłego, w osobie Kwiatkowskiego, doszedł do wniosku, że nie uda się wyeliminować generalnego inspektora z rozgrywki, a zatem lepiej go popierać. (Pisaliśmy o tym obszernie

w poprzednim artykule). W ten sposób zniknęła zasadnicza przeszkoda stojąca na drodze generała Śmigłego do osiągnięcia dominującej pozycji w obozie rządzącym.

Teraz sam Kwiatkowski zaczyna przekonywać prezydenta, że trzeba wzmocnić autorytet generalnego inspektora, że trzeba mu pomóc, bo to jest wódz, wokół którego musi być skupione całe państwo. Oddziałują na Mościckiego i inne wpływy: ci piłsudczycy, którzy opowiadali się i przedtem za Śmigłym, zostali pobudzeni do działania treścią wystąpienia prezydenta. Wzmogły się tedy płynące z różnych stron naciski na Mościckiego, a także na premiera Składkowskiego i innych prominentów reżimu, by uznać jednak generalnego inspektora za następcę Piłsudskiego nie tylko na tym nominalnym stanowisku, by wyciągając stąd logiczny wniosek zapewnić generałowi odpowiednio uprzywilejowane stanowisko w państwie. Chcąc czy nie chcąc Mościcki, który zresztą nigdy nie odznaczał się nadmierną stanowczością, postanowił zadośćuczynić tym żądaniom. Powstawała tylko jeszcze kwestia, jak to uczynić, w jakiej formie. Sposób, na jaki się zdecydowano, nie należał do najrzeczniejszych. Przeciwnie: dostarczył wówczas i miał jeszcze dostarczać w przyszłości wielu powodów do dowcipów.

Było już lato w pełni, lipiec; prezydent był na wypoczynku w swej letniej rezydencji w Wiśle. Odwiedził go tu Składkowski i Mościcki, korzystając z okazji, powiadomił premiera o swej decyzji potwierdzenia wyjątkowej roli w państwie generalnego inspektora Sił Zbrojnych i jego kompetencji – włącznie z wpływem na rząd. Trudno w tej chwili wysuwać jednoznaczne twierdzenia co do samego autorstwa pomysłu, można domyślać się, że nie bez wpływu był tu właśnie Sławoj, choć on sam twierdzi w swoich pamiętnikach, że to Mościcki wręcz polecił mu wydać okólnik określający funkcję i pozycję generalnego inspektora w państwie.

Składkowski uradowany takim obrotem rzeczy powrócił do Warszawy i natychmiast przystąpił do wykonania tego polecenia z całą właściwą mu skrupulatnością. Tak powstał sławny Okólnik Prezesa Rady Ministrów z 15 lipca 1936 r., opublikowany w prasie dnia następnego. Okólnik ten między innymi głosił: „Zgodnie z wolą Prezydenta Rzeczypospolitej generał Rydz-Śmigły, wyznaczony przez Marszałka Piłsudskiego jako pierwszy Obrońca Ojczyzny i pierwszy współpracownik Pana Prezydenta w rządzeniu państwem, ma być uważany i szanowany jako pierwsza w Polsce osoba po Panu Prezydencie Rzeczypospolitej”. I dalej: „Wszyscy funkcjonariusze państwowi z Prezesem Rady Ministrów na czele okazywać mu (tj. Śmigłemu) winni objawy honoru i posłuszeństwa”⁵⁸.

⁵⁸ Spokojna, merytoryczna początkowa treść powyższego artykułu załamuje się na końcu części pierwszej – ostatnie trzy akapity wyraźnie nie pasują do początku (który jest zresztą głównie streszczeniem poprzedniego odcinka tego cyklu). Pojawia się tutaj jakiś Brzozowski i jego rzekoma wypowiedź do prezydenta Mościckiego, obecny jest prześmiewczy ton. Na fakt, że jest to fragment napisany przez drugiego autora wskazuje też kolejność nazwisk (Rydz-Śmigły) typowa dla komunistycznej propagandy. Rydz, to prawdziwe nazwisko drugiego marszałka (po ojcu, który był synem kowala i prostym podoficerem w armii austriackiej, przy czym rodzice Edwarda zawarli małżeństwo dopiero po jego

Treść tego dokumentu wprawiła w osłupienie nawet najlojalniejszych zwolenników rządu. Rzecz charakterystyczna, że już w czasie jego opracowywania podniosły się pierwsze głosy sprzeciwu; między innymi przybiegł do Składkowskiego podsekretarz stanu przy Radzie Ministrów Brzozowski, blady i trzęsący się ze zdenerwowania.

– Panie premierze, proszę tego nie robić, przecież to kompromitacja! Jakże można załatwiać takie sprawy okólnikiem? Po pierwsze – tłumaczył – nie można uzupełniać Konstytucji okólnikiem Prezesa Rady Ministrów. Ostatecznie właściwą formą mógłby być Dekret Prezydenta RP z mocą ustawy. Po drugie: kompromitująca jest czołobitność tego dokumentu wobec wymienionej z nazwiska osoby. Stawia to przecież nawet generała Rydza-Śmigłego w dwuznacznej sytuacji, gdyż albo on ma autorytet dzięki temu, co sam sobą przedstawia, i wówczas nie trzeba nikomu nakazywać, by mu okazywano „objawy honoru i posłuszeństwa”; albo nie ma takiego autorytetu, a wówczas nakazy, choć potrzebne, nie mogą być skuteczne...

Wobec takiej argumentacji Sławoj-Składkowski zawahał się. Porozumiał się z Mościckim, lecz gdy ten potwierdził swoje intencje, okólnik został ostatecznie wydany. Obawy wiceministra Brzozowskiego okazały się jednak nieco przesadne. Oczywiście, rzucająca się w oczy groteskowość dokumentu spowodowała mnóstwo komentarzy nisko kwalifikujących intelektu jego autorów, nie wpłynęło to jednak na rosnącą popularność generalnego inspektora. Wtajemniczeni wiedzieli, a spora część opinii publicznej domyślała się (lub została poinformowana pocztą pantoflową), że sam Śmigły, choć niewątpliwie to arcydziełko reżimowej biurokracji sprawić mu musiało przyjemność, nie był bynajmniej jego inspiratorem. W ten sposób generalny inspektor zyskał wszystko, co w takiej sytuacji zyskać mógł: tak czy inaczej uznano go za co najmniej „pierwszą osobę po prezydencie”, a równocześnie tenże prezydent niezręcznością formy tego uznania „podłożył się” opinii publicznej. Że ośmieszył się przy okazji – nie po raz pierwszy zresztą i nie ostatni – Sławoj-Składkowski, nie stanowiło to zapewne dla Śmigłego zbyt wielkiej straty...

*

Popularność generalnego inspektora, wciąż – jak już wspominaliśmy – rosnąca, budowana była różnymi sposobami. Przyczyniała się do niej oczywiście propagandowa kampania prasowa, nakręcana głównie przez Wojciecha Stpiczyńskiego, jedną z najciekawszych postaci otoczenia generała, nie zaniedbywał reklamy i sam Śmigły – często występując publicznie i głosząc w różnych przemówieniach swój program obronny.

Hasło obrony Rzeczypospolitej oddziaływało na wszystkich tak na obóz rządowy, jak i na opozycję – i to zarówno prawicową, jak też lewicową. Zwłaszcza że generalny

urodzeniu – był on więc dzieckiem nieślubnym, co w tamtym czasie miało znaczenie), Śmigły to nazwisko odpowiadające jego pseudonimowi konspiracyjnemu. Kolejność nazwisk Śmigły-Rydz była zgodna z poglądem marszałka, który podkreślał, że człowieka określają jego czyny, a nie pochodzenie i niechętnie mówił o swoim pochodzeniu. Pisownię Śmigły-Rydz stosował zwykle Moczulski. Przeciwnicy sanacji mówili złośliwie Rydz-Śmigły. Taką pisownię stosuje Naumienko. Te same argumenty przemawiają za tym, że cała druga część artykułu (po gwiazdce) jest również autorstwa Naumienki.

inspektor dość umiejętnie unikał jednoznacznego skonkretyzowania odpowiedzi na pytanie, przed kim właściwie należy Polski bronić. Niebezpieczeństwo z zachodu, ze strony hitlerowskiej Rzeszy, z każdym tygodniem stawało się coraz bardziej oczywiste i pod tym względem nawoływania generała do narodowego zjednoczenia mogły zyskiwać uznanie nawet u konsekwentnych, klasowych przeciwników sanacji. Równocześnie hasła głoszone przez Śmigłego miały wyraziste ostrze antyradzieckie, co zyskiwało mu poklask na prawicy. Słowem – każdy, kto chciał dopatrywać się w osobie generalnego inspektora cech męża opatrznosciowego, mógł doszukać się w jego programie odpowiednich treści. Jedynie nielegalna KPP i sympatyzujące z nią jednolitofrontowe ugrupowania rewolucyjnej lewicy zwracały konsekwentnie uwagę na demagogię niepodległościowej propagandy piłsudczyków.

Drugie istotne hasło, z upodobaniem głoszone przez Rydza-Śmigłego i organicznie związane zresztą ze wspomnianymi wyżej ideami obronnymi, dotyczyło „poszerzenia bazy rządzenia”. Frazes ten (frazes, bo generalny inspektor oczywiście ani myślał o rzeczywistej demokratyzacji ustroju czy choćby o korekturach antydemokratycznej Konstytucji z 1935 roku) służyć miał „konsolidacji społeczeństwa” przez kokietowanie i podporządkowanie obozowi rządzącemu czyli – w tym wypadku – grupie „GISZ” centrowych ugrupowań opozycyjnych z prawa i z lewa. Nie kończyło się na hasle: z polecenia Śmigłego poszczególne osobistości z jego otoczenia, znów z niezmiernie w tym czasie aktywnym Stpiczynskim na czele, przeprowadzały rozmowy – sondując opinie i wysuwając konkretne propozycje. Po roku dać to miało efekt, ostatecznie zresztą dość mizerny, w postaci utworzenia tzw. Obozu Zjednoczenia Narodowego, popularnie nazywanego „Ozonem”. W połowie roku 1936, jeszcze przed ukazaniem się Okólnika z 15 lipca, dyskontem tych wszystkich zabiegów i usilnej propagandy miał stać się udział Śmigłego w wielkiej manifestacji ludowej w Nowosielcach.

Impreza ta, niejednoznaczna w swej wymowie, zyskała i wówczas, i do dziś – w perspektywie historycznej, znaczny rozgłos; warto więc pokrótce zrelacjonować jej przebieg.

W XVII w. we wsi Nowosielce na Rzeszowszczyźnie dojsć miało do bohaterskiej kierowanej przez miejscowego wójta Michała Pyrza obrony przed jakimś zagonem tatarskim i choć rzecz nie została po dziś dzień zweryfikowana przez kompetentnych historyków w roku 1936, w trzechsetną jakoby rocznicę tego wydarzenia, postanowiono urządzić pod usypanym na tę okazję kopcem upamiętniającym „chłopski czyn w obronie Rzeczypospolitej” gigantyczną uroczystość. Na pół legendarna postać siedemnastowiecznego wójta odpowiadała jako symbol wszystkim niemal kierunkom politycznym II Rzeczypospolitej – oczywiście w swoistej dla każdego z nich interpretacji. I tak centrowi, zbliżeni do sanacji, działacze Stronnictwa Ludowego, właściwi organizatorzy uroczystości, uczyć chcieli w Pyrzu chłopą i zarazem przyjąć udział w oferowanym przez Śmigłego „poszerzeniu bazy rządzenia”; klasowy punkt widzenia decydował o uczestnictwie w tej imprezie licznych grup rewolucyjnych; z kolei odłamy prawicowe SL, związane z endecją, i sami endecy nadać chcieli obchodom charakter przede

wszystkim nacjonalistyczno-klerykalny, a przy tym zaakcentować fakt, że Nowosielce broniły się przed „nawałą ze wschodu”. Trudno określić w sposób jednoznaczny, na ile świadomie te ostatnie ugrupowania liczyły także na jeszcze jeden akcent politycznej demonstracji, wyrazisty potem w jej przebiegu: szło mianowicie o nacisk na sanację, by podzieliła się władzą ze swą pravicową opozycją, której symbolem był w tym wypadku przebywający na politycznej emigracji Wincenty Witos. Ze swej strony Śmigły kalkulował, że uda mu się znaleźć dla tych sprzecznych tendencji korzystny dla siebie wspólny mianownik w postaci własnego programu politycznego, a przy okazji uczynić dalszy krok w kierunku wzrostu swej popularności. Dlatego też wychodząc z takiej logicznej, acz w rezultacie (jak się wkrótce miało okazać) chybionej kalkulacji, z zadowoleniem przyjął zaproszenie do Nowosielc i zarazem spowodował przybycie na obchody wojska – w postaci licznych delegacji pułkowych.

W Zielone Świątki, 29 czerwca 1936 r., niemal z całej Polski przyjechało do Nowosielc specjalnymi pociągami około 120 tys., czy nawet według innych ocen około 150 tys. chłopów. Kopiec ku czci Pyrza poświęcić miał biskup przemyski Barda. Śmigły powitany został chlebem i solą przez wójta Zmorę, a następnie chłopską furką zawieszony na miejsce uroczystości. Asystował generałowi miejscowy nestor, 92-letni chłop Adam Wąsacz. Słowem, wszystko było bardzo „ludowo”. Podkreślał to podczas obiadu wydane go przez proboszcza ks. kanonika Ulanowskiego, działacz SL Franciszek Słysz, zwracając się do Śmigłego słowami: „my, chłopci, cieszymy się, że pan generał też z chłopów pochodzi”. Padały także deklaracje w pełni zadowalające generalnego inspektora, jak np.: „w Polsce Niepodległej chłopci dadzą z siebie wszystko, by zapewnić potęgę i szczęśliwy państwa byt”. Cieszący Śmigłego nastrój chłopsko-sanacyjnej sielanki szybko jednak uległ zmianie, gdy z ram kameralnych przyszło wyjść przed oblicze masowej demonstracji. Zgodnie z programem generał udekorował kopiec Pyrza wstęgą orderu *Virtuti Militari* i wreszcie stanął na trybunie (byłe jak, nawiasem mówiąc, sklecone; ktoś tam z otoczenia Śmigłego nawet z niej zleciał wskutek załamania się deski) – odbierając defiladę chłopów.

Defilada przebiegała wprawdzie w porządku; naprzeciw trybuny, pod drzewami, grała marsze orkiestra – ale na drzewach usadowiły się grupy młodzieży, rozbitej co prawda w przekonaniach (radykałnie lewicowej i pravicowej), lecz jak najbardziej opozycyjnej wobec reżymu. Toteż okrzyki wznoszone z tych drzew, przekrzykujące bardziej przyjemne hasła uczestników pochodu, nie mogły przyprowadzić generalnego inspektora o dobry humor. Zwłaszcza że niektóre z tych haseł podejmował, często bezwiednie, maszerujący tłum chłopski. Tak więc obok okrzyków: „Niech żyje Wódz!” czy „Niech żyje Śmigły!”, „Niech żyje armia!” – krzyczano również „Niech żyje Witos!” (co było obrazą majestatu) czy wręcz „oddaj nam Witosia!”. Pojawiały się też hasła radykałnie rewolucyjne: „precz z sanacją” i nawet – co już wyraźnie wskazywało na inspirację KPP – „żądamy chleba i pracy”. Podczas manifestacji wręczono też Śmigłemu komplet rezolucji uchwalonych wcześniej przez chłopów na błoniach grzęskich pod Nowosielcami.

Wśród rezolucji były co prawda i zredagowane całkiem po myśli generała (jak np. ta, która głosiła, iż lud wiejski poprze „...wysiłki zmierzające do podniesienia obronności państwa i zapewnienia Polsce bezpieczeństwa i siły”), lecz inne zawierały postulaty wyraźnie świadczące, jakiego państwa gotowi byli bronić i jaki program polityczny chcieli popierać ludowi patrioci. Zacytujmy dokument najbardziej znamienity:

„Stronnictwo Ludowe gotowe jest poprzeć z całą gorliwością wszystkie wysiłki zmierzające do podniesienia obronności Państwa, osłabionego m.in. wskutek niezgodnej z opinią i wolą społeczeństwa polityki zagranicznej. Równocześnie uważamy... że pierwszym zasadniczym warunkiem podniesienia obronności jest związanie z Państwem szerokich mas ludowych przez przywrócenie im praw, odebranych przez obecny system rządzenia. Toteż chłopci żądają: a – konstytucji opartej na podstawach demokratycznych; b – zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu; c – rozwiązania obecnych Izb Ustawodawczych, dostatecznie skompromitowanych i ośmieszonych, rozwiązania ciał samorządowych i przeprowadzenia nowych, uczciwych i bezstronnych wyborów na zasadach demokratycznych; d – zlikwidowania dotychczasowych praktyk administracyjnych, dzielących społeczeństwo na różne klasy; e – sprawiedliwego, tylko na prawie i sumieniu opartego wymiaru sprawiedliwości”.

Generalny inspektor nie dotrwał do końca nowosieleckiej manifestacji. Zszedł z trybuny podczas trwania defilady i odjechał już nie chłopską furką, lecz luksusowym samochodem. Kilkugodzinne wystawianie na słońcu zmęczyło go, a poza tym był niezadowolony. Jak zwierzał się następnie, „Nowosielce pozostawiły w nim głęboki niesmak”; konfrontacja jego programu i politycznych marzeń z realną rzeczywistością roku 1936 z prawdziwymi aspiracjami mas ludowych – nie wypadła pomyślnie. Trudno się temu dziwić – w kraju, jakim była Polska, kraju ogromnych napięć społecznych i nabrzmiałego, tragicznego problemu agrarnego, masowych strajków chłopskich, Śmigły chciał bronić Rzeczypospolitej i mimo wszystkich konfliktów społeczeństwo gotowe było podjąć ten program, nawet realizowany pod jego przewodnictwem. Obrona państwa przed grożącym coraz wyraźniej z zachodu niebezpieczeństwem (właśnie wiosną 1936 roku Niemcy zremilitaryzowali Nadrenię) wymagała jednak programu szerszego, z którego potrzeby – jak widać – zdawały sobie sprawę masy ludowe, a nie chciał czy nie mógł zdać sobie sprawy generalny inspektor. Poprzemy cię, ale...” – zdawała się mówić Śmigłemu cytowana wyżej nowosielecka rezolucja, on jednak nie był zdolny przyjąć tego tak istotnego „ale”. Tymczasem polityka polega nie tylko na mówieniu do mas (generał zresztą w Nowosielcach nie przemawiał) i domaganiu się ich poparcia, lecz i na słuchaniu i przyjmowaniu ich uzasadnionych postulatów.

Manifestacja pod kopcem Michała Pyra mogła być cennym doświadczeniem. Niewybaczalny dla polityka jest strach przed korzystaniem z doświadczeń.

LESZEK MOCZULSKI
KRZYSZTOF NAUMIENKO

WOJNA

Epos 28 dni

OBRONA STOLICY WE WRZEŚNIU 1939 R.⁵⁹

Pierwszym, dla którego wojna zaczęła się w Warszawie, był szef referatu sytuacyjnego sztabu głównego. W piątek o świcie, dokładnie o godz. 4.48 odebrał z Gdańska wiadomość, że oddziały niemieckie rozpoczynają już akcję zbrojną. Następne raporty, które wpłynęły do sztabu w ciągu godziny, potwierdzały tę spodziewaną od dwu dni wiadomość: Wehrmacht przekroczył granicę polską na całej jej długości. Wojna! Jeszcze przed 5.00 rano radiostacja warszawska nadała lakoniczny komunikat: „Zarządzam w całym kraju alarm opl. Nieprzyjaciel działa lotnictwem wszędzie, głównie jednak od strony Słowacji”. Półtorej godziny później nad miastem rozległ się ryk syren alarmowych, a spiker radiowy zaczął monotonna powtarzać słowa: „Uwaga, uwaga, nadchodzi...”. Dla większości mieszkańców miasta były to jeszcze ćwiczenia przeciwlotnicze. W tym samym czasie, gdy radio podało oficjalny komunikat o rozpoczęciu działań wojennych, na przedpolach Warszawy pod Nieporętem, o godz. 7.00 por. Gabszewicz stracił pierwszy w rejonie stolicy, a drugi wojnie – samolot niemiecki.

Warszawa, której obszar powietrzny już pierwszego dnia stał się miejscem zażartej bitwy, jak soczewka skupia uwagę naczelnych dowódców obu walczących stron. W planach operacyjnych – polskim, opracowanym w lutym i marcu, i niemieckim, opracowanym w kwietniu i maju⁶⁰, stolica Rzeczypospolitej zajmowała kluczową rolę. Cały plan niemiecki sprowadzał się w zasadzie do jednego: aby zbieżnymi uderzeniami z Prus Wschodnich i Śląska, osiągnąć rejon Warszawy, otaczając w ten sposób siły polskie na zachód od Narwi i Wisły i niszczyć je. Dla Niemców zdobycie Warszawy miało być koroną bitwy. Od tego zależał ich sukces. Polski plan operacyjny, przewidujący

⁵⁹ „Stolica” z 1968 r., nr 35. 5 lat po publikacji trzech zamieszczonych tutaj tekstów „Stolica” opublikowała kolejny artykuł Moczulskiego przedstawiający oblężenie Warszawy w 1939 r. Za drugim razem Autor omawiał walki dzielnic po dzielnicę, natomiast mniej miejsca poświęcił ogólnej sytuacji na froncie. L. Moczulski, „Warszawa jedna twojej mocy się urąga”, „Stolica” z 1973 r., nr 35 (tekst ten był podpisany inicjałami K.M., jednak wedle spisu treści „Stolicy” za rok 1973 autorem tego tekstu był Leszek Moczulski – L.M.).

⁶⁰ Moczulski tu podkreśla, że polski plan obronny (plan „Z”) opracowany został wcześniej, niż niemiecki plan ataku (Fall „Barbarossa”), wbrew bezpodstawnym zarzutom komunistycznej propagandy, jakoby plan obrony został opracowany zbyt późno. Plan ten nie mógł być zresztą opracowany przed upadkiem Czechosłowacji, który spowodował wydłużenie koniecznej linii obrony (na południu) o kilkaset kilometrów.

niezbędne z przyczyn politycznych wysunięcie armii polowych nad samą granicę⁶¹ – rozstawił je wielkim łukiem od północy po południowy zachód, tak aby zasłaniały kierunki wyprowadzające na Warszawę. Aby zamknąć wrogowi drogę uderzenia ku stolicy, na dalekich przedpolach miasta, w odległości od kilkudziesięciu aż do trzystu kilometrów od Kolumny Zygmunta – skupione zostały zgrupowania operacyjne posiadające łącznie 36 dywizji i brygad – na 52, jakie na wojnę wystawiła Polska.

Atak kolumn pancernych i zmotoryzowanych powstrzymany miał być od samej granicy, lecz wiadomo było, że już w pierwszych godzinach wojny lotnictwo niemieckie będzie chciało przedostać się nad Warszawę. Do obrony miasta przed uderzeniami Luftwaffe przygotowano ogromne, jak na ówczesne warunki polskie, ośrodek OPL⁶². Składały się nań brygada pościgowa, dysponująca 54 samolotami, a więc 1/3 wszystkich myśliwców polskich, oraz naziemna obrona przeciwlotnicza, wyposażona w 96 dział, co też stanowiło 1/3 całości artylerii plot, obszaru kraju (poza działami plot, użytymi na froncie).

Rola, jaką obie walczące strony przywiązywały do Warszawy, nie była spowodowana względami metafizycznymi. Pod każdym względem stolica Polski pełniła rolę kluczową. Tutaj znajdowały się centralne ośrodki dyspozycji państwowej, rząd, sejm i senat, kierownictwa wszystkich partii politycznych. Tutaj pracowało naczelne dowództwo. Warszawa stanowiła centralny i największy węzeł łączności w całym kraju. Przemysł warszawski był jednym z najważniejszych ośrodków wytwórczości, zwłaszcza zbrojeniowej. Wreszcie położenie Warszawy było kluczowe pod względem komunikacyjnym i szczególnie ważne strategicznie. Przypomnijmy, że ówczesna Polska, rozciągnięta na dwie prawie równe części biegiem środkowej Wisły, i Sanu, w spadku po zaborcach otrzymała wadliwy układ komunikacyjny, którego do dziś jeszcze w pełni nie udało się przebudować. Wówczas wschodnia i zachodnia część państwa były połączone zgoła niedoskonale. Przez wszystkie mosty na Wiśle i Sanie, od Warszawy po Przemyśl, w ciągu doby mogły przejść 264 transporty kolejowe, z czego na mosty warszawskie przypadały 144 transporty, więcej niż połowa. Z trzydziestu dywizji i brygad, które w ramach polskiego planu koncentracji trzeba było przewieźć z garnizonów pokojowych na nadgraniczne pozycje transportami kolejowymi – 17 jechało przez węzeł warszawski. Tędy też kierowana być miała podstawowa masa uzupełnienia i materiałów niezbędnych walczącym wojskom. Obezwładnienie węzła kolejowego Warszawy przez Luftwaffe przecinało ten ruch.

Rola Warszawy wynikała także z innych jeszcze, ważniejszych względów. Hitler

⁶¹ Moczulski podkreśla polityczną konieczność stoczenia bitwy granicznej, czego nie biorą pod uwagę krytycy, zarzucający polskiemu planowi obrony nadmierne rozciągnięcie armii wzdłuż granic z Niemcami i Słowacją. Istniało bowiem ryzyko polityczne, że Niemcy zajmą bez walki Pomorze, Śląsk i Wielkopolskę i zaproponują pokój, co postawiłoby Polskę – gdyby nie broniła tych terenów – w trudnej sytuacji.

⁶² OPL – obrona przeciwlotnicza.

zmierzał do błyskawicznego rozstrzygnięcia wojny z Polską tak szybkiego, aby mocarstwa zachodnie nie zdążyły przystąpić do wojny⁶³; za wszelką cenę pragnął uniknąć wojny dwu frontowej, prowadzącej do szybkiej klęski niemieckiej. Ponieważ dyplomatyczne próby izolowania politycznego Rzeczypospolitej zawodziły, Niemcy miały nadzieję, że uzyskają to przez błyskawiczne działania wojsk. Zajęcie Warszawy wstrzymywało interwencję zachodnich sprzymierzeńców – to było dla wszystkich oczywiste⁶⁴. Upadek Warszawy musiał też załamać wolę walki Polaków – jak sądzono. Zdobycie stolicy Polski pod każdym względem było dla Niemców sprawą na najważniejszą w tej kampanii.

Wkrótce po świcie z wschodniopruskich lotnisk startują bombowce 1 szkolnego pułku Luftwaffe. Niedługo po godzinie 6.00 przekraczają one granicę polską pod Mławą i polska sieć dozoru OPL alarmuje Warszawę, że pierwszy rajd bombowy kieruje się na stolicę. Z podstołecznych lotnisk o 6.50 startuje cała brygada pościgowa eskadry i klucze drogą radiową kierowane na nadlatujące Heinkle – 111, Dornieri 17 i Messerschmitty Me-109 i Me-110 spotykają eskadry wroga koło Nieporętu. Samolotów niemieckich jest ponad sto, dwukrotnie więcej niż polskich. Myśliwce P-11 i P-7, znacznie gorsze technicznie od niemieckich, przechodzą do ataku i na północny wschód od Warszawy rozpala się powietrzna bitwa. Trwa ona 50 minut: wyprawa niemiecka zostaje rozproszona, bombowce zrzucają swój ładunek na podstołeczne pola, aby szybciej się go pozbyć i zawracają. Tylko kilku samolotom niemieckim udaje się przedostać nad Warszawę, gdzie na chybił trafił zrzucają bomby na peryferie. O 7.40 wróg jest odparty, samoloty polskie wracają na lotniska.

Tak rozpoczęła się pierwsza z eposu obrony Warszawy – bohaterska obrona miasta przez myśliwce.

W piątek, 1 września, w południe kieruje się na Warszawę mniejsza wyprawa bombowców, a po 16.30 nadlatuje raz jeszcze potężne zgrupowanie Luftwaffe. Obu tym wyprawom nie udaje się przedostać nad miasto. W sumie podczas całego dnia myśliwce brygady pościgowej staczają 230 walk powietrznych (wypada po prawie 5 na jeden samolot!), zestrzeliwiają 14 samolotów niemieckich na pewno, 5 prawdopodobnie,

⁶³ Aneksy podpisany w maju 1939 r. do polsko-francuskiego układu wojskowego z 1921 r. przewidywał, że w razie agresji Niemiec na Polskę, Francja rozpocznie ofensywę najpóźniej 15-tego dnia od wypowiedzenia wojny Niemcom. Francja (i Wielka Brytania) wypowiedziały wojnę Niemcom 3 IX 1939 r. Polski plan obrony (o czym jego krytycy często zapominają) zakładał więc wojnę koalicyjną (analogicznie, jak współczesne polskie plany obrony w przypadku agresją rosyjskiej). Oznacza to, że celem Polski w 1939 r. była obrona do czasu, gdy ofensywa Francji na Zachodzie zmusi Niemcy do wycofania znacznej części swych sił z frontu polskiego. W 1939 r. Niemcy rzucili pko Polsce 60-70% swoich żołnierzy oraz 80-90% nowoczesnego uzbrojenia.

⁶⁴ Nie tylko zajęcie przez Niemców Warszawy wstrzymywało rozpoczęcie francuskiej ofensywy, ale także agresja sowiecka na Polskę 17 IX (ale o tym Moczulski z oczywistych powodów napisać nie mógł).

10 uszkadzają poważnie, bardzo wiele – lekko. Straty polskie są jednak znaczne: 10 samolotów zostało zniszczonych, aż 24 uszkodzone, 2 pilotów (kpt. Olszewski i por. Szymański) poległo, 8 jest rannych.

W sobotę, nauczeni doświadczeniem, Niemcy nie odważają się na tak dla nich kosztowne, a mało skuteczne naloty na Warszawę. W ciągu dnia tylko pojedyncze samoloty Luftwaffe podchodzą nad miasto, lecz na widok polskich myśliwców uciekają: nie ma ani jednej walki powietrznej. W niedzielę ofensywa powietrzna na Warszawę zostaje podjęta: poza 1 pułkiem lotniczym, Niemcy kierują przeciwko miastu także 27 p. bombowców z osobistego odvodu Goeringa. Niemieckie wyprawy nad stolicę – jedna o 10.00, druga po południu nie osiągają celu, jedynie części bombowców udaje się dotrzeć głównie nad peryferie miasta, a po pośpiesznym zrzuconiu bomb – zawracają. Niemcy, zdając sobie sprawę, jak bardzo ustępują polskim pilotom, unikają walk powietrznych, wykorzystując większą szybkość swych maszyn, po prostu uciekają, a polskie P-11 i P-7 nie są w stanie ich dogonić. Dochodzi w sumie do około 50 walk powietrznych: 4 samoloty niemieckie i 2 polskie zostają w ich trakcie zestrzelone.

W poniedziałek, 4 września brygada pościgowa otrzymuje bardziej ofensywną taktykę: nie czeka na podejście wypraw bombowych, ale wychodzi im naprzeciw. Niemcy kierują tego dnia dwie brygady bombowe na stolicę i obie zostają przechwycone; przy stracie 1 samolotu 9 niemieckich zostaje zestrzelonych, zaś oba rajdy rozproszone. Brygada pościgowa jest już bardzo osłabiona w wyniku poprzednich walk, część jej sprzętu jest tak uszkodzona, że nie nadaje się do działań; rankiem dysponuje ona jedynie 25 maszynami. To decyduje, że większej niż poprzednio ilości samolotów niemieckich udaje się dostać nad Warszawę i planowo bombardują one Okęcie, w innych dzielnicach, głównie peryferyjnych, zrzucając chaotycznie mniejsze ilości bomb.

Środa 6 września jest ostatnim dniem walk brygady pościgowej nad Warszawą. Rano ma ona tylko 21 samolotów. Przechwytuje trzy rajdy bombowe i przy stracie 3 maszyn zestrzeliwuje 15 niemieckich na pewno, 4 prawdopodobnie i 10 ciężko uszkodza. To są już jednak ostatnie walki brygady nad Warszawą. Wobec rozerwania frontu i marszu niemieckich kolumn pancernych na stolicę, podwarszawskie lotniska są już bezpośrednio zagrożone i zapada decyzja ewakuacji brygady na południowy wschód.

W ciągu 6 dni walki brygada pościgowa, dzielnie dowodzona przez płk. pilota Pawlikowskiego i jego zastępcę, ppłk. pilota Pamulę oraz dowódców dywizjonów kapitanów Krasnodębskiego i Kowalczyka – dobrze zasłużyła się stolicy. Myśliwce polskie zestrzeliły w tym czasie 43 samoloty niemieckie na pewno, 9 prawdopodobnie i 20 poważnie uszkodziły. Straty polskie wyniosły w tym czasie 10 samolotów zestrzelonych w walce, ale ponadto 28 ciężko uszkodzonych lub zużytych w rezultacie nieprzerwanej niemal pracy. Ani jeden z rajdów bombowych w tym okresie w całości nie dotarł nad Warszawę, a przenikały tam tylko pojedyncze samoloty wroga, a później mniejsze zespoły.

Wielki udział w walce, choć mało wymierny w cyfrach, miała też polska artyleria przeciwlotnicza, skutecznie odpędzająca te samoloty niemieckie, którym udało się przeniknąć nad stolicę. Ilość jej zestrzałów jest trudna do ustalenia, w każdym razie nie mniejsza niż kilkanaście maszyn wroga. W sumie więc w tym okresie Niemcy tracą nad stolicą nie mniej niż 60 samolotów. Dodać do tego trzeba poważne uszkodzenia sprzętu, w rezultacie czego maszyny niemieckie na stałe lub czas dłuższy nie nadawały się do użytku. Biorąc to pod uwagę i najbardziej ostrożnie licząc trzeba przyjąć, że w rezultacie walk nad Warszawą od 1 do 6 września Luftwaffe straciła 100 – 120 samolotów. Była to część niemała z 2433 samolotów bojowych jakimi dysponowali Niemcy w chwili wybuchu wojny.

Przez pierwsze dni wojny Warszawa żyje w podnieceniu, ale w atmosferze optymizmu. Wprawdzie już w piątek 1 września w peryferyjnych dzielnicach – na Żeraniu, Bródnie, w Jelonkach – ofiarą bomb padają pierwsze kobiety i dzieci, ale gdy samoloty niemieckie pojawiają się nad Warszawą tłumy widzów obserwują walki powietrzne, które polscy myśliwcy toczą nad miastem. W niedzielę, na wieść o przystąpieniu zachodnich aliantów do wojny tysiące ludzi manifestuje przed ambasadą brytyjską na Nowym Świecie, francuską na Frascati i ministerstwem spraw zagranicznych na Wierbowej.

Wojna jednak zbliża się do miasta i już w niedzielę pojawiają się pierwsi, na razie jeszcze nieliczni, uciekinierzy ze strefy walk. Sytuacja na froncie staje się coraz bardziej krytyczna. Już pierwszego dnia wojny na północ od Częstochowy zarysowuje się marsz niemieckiego korpusu pancernego i naczelny wódz w nocy z piątku na sobotę wydaje pierwsze rozkazy, dotyczące stworzenia zapory przeciwpancernej, która ma nie dopuścić czołgów niemieckich do Warszawy. W niedzielę rano, gdy we froncie polskim powstaje już luka, w którą wlewa się korpus pancerny wroga, naczelne dowództwo wydaje rozkaz przygotowania bezpośredniej naziemnej obrony miasta. 3 września zostaje utworzone Dowództwo Obrony Warszawy. Kieruje nim gen. bryg. Walerian Czuma, a wokół niego w następnych dniach tworzy się zasadnicze jądro kierujące walką i życiem miasta, złożone z prezydenta Stefana Starzyńskiego oraz pułkowników Tadeusza Tomaszewskiego, Mariana Porwita i Wacława Lipińskiego.

Siły obrony Warszawy częściowo tworzy się na miejscu, częściowo przybywają one do miasta z rozkazu naczelnego dowództwa. Ostatecznie do chwili podejścia czołgów niemieckich pod Warszawę, garnizon stolicy liczy 7 batalionów liniowych, 3 marszowe, 7 improwizowanych, 6 baterii artylerii lekkiej i 3 1/2 baterii improwizowanej, 6 baterii artylerii ciężkiej (łącznie 40 udział lekkich i 24 ciężkie; ponadto co najmniej 43 armatki ppanc.⁶⁵), wreszcie batalion czołgów (27 czołgów lekkich i 6 rozpoznawczych); ponadto trwa organizacja dalszych oddziałów. Trzon obrony stanowią jednostki liniowe, skierowane do Warszawy przez naczelne dowództwo: oddziały 26, 40 i 94 p.p.,

⁶⁵ Armatki ppanc. – armatki przeciwpancerne.

29 pułku i 41 dywizjonu artylerii lekkiej, 3 pułku i 46 i 98 dywizjonu artylerii ciężkiej. Ponadto w dyspozycji jest kilkanaście samolotów łącznikowych i obserwacyjnych R-XIII i RWD-8 oraz jeden myśliwiec P-11, pilotowany przez szefa sztabu brygady pościgowej, mjr Wyrwickiego. Między 5 a 7 jednostki te przygotowują i obsadzają pozycje obronne na skraju miasta. Podzielone są one na trzy odcinki: „Południe” – dowodzony przez ppłk. Rozborskiego, „Zachód” – dowodzony przez ppłk. Kalandyka i „Północ”, dowodzony przez ppłk. Tewzadze. Całością sił na zachodnim brzegu Wisły dowodzi płk Marian Porwit. Na Pradze, na razie nie zagrożonej jeszcze przez nieprzyjaciela, dowodzi płk Julian Janowski; przygotowano tu dwa pododcinki obronne: północny ppłk. Stanisława Miliana i południowy ppłk. Stefana Kotowskiego.

Pod wpływem wydarzeń na froncie i odwrotu wojsk polskich ku linii środkowej Wisły, już w poniedziałek 4 września zostaje zarządzona ewakuacja z Warszawy centralnych władz i urzędów. Rozpoczyna się ona w nocy na wtorek i trwa do końca środy. Wprawdzie ministrowie z najbliższymi współpracownikami pozostają w Warszawie, jednak masowa ewakuacja urzędników przybierająca nieraz charakter ucieczki (palenie akt itp.) tworzy nerwowe nastroje w mieście.

Wzrastają one tym bardziej, gdy wraz z wyższymi i średnimi urzędnikami zaczynają ewakuować się ich rodziny, wraz z dobytkiem. Niektórzy oficerowie rezerwy i ze stanu spoczynku, z różnych względów nie powołani służby czynnej, zakładają mundury i w nich opuszczają miasto, co wywołuje zupełnie oczywiste i zrozumiałe złe nastroje wśród ludności stolicy.

Sytuacja raptownie pogarsza się w środę 6 września. Wobec rozerwania polskiego frontu pod Sieradzem i Piotrkowem oraz pobicia przez Niemców armii „Łódź” i „Pruś”, naczelne dowództwo zarządza pilny odwrót całości sił na linię Wisły⁶⁶. Istnieje niebezpieczeństwo, że czołgi niemieckie wyminą cofające się polskie oddziały, aby przez wyrwy we froncie pierwsze dotrzeć do mostów na Wiśle i do Warszawy. W środę o 10.00 podjęta zostaje decyzja natychmiastowej ewakuacji całego rządu i reszty władz centralnych i przeniesienia siedziby naczelnego dowództwa jeszcze najbliższej nocy do Brześcia Litewskiego. Ewakuacja władz cywilnych rozpoczyna się prawie natychmiast i odbywa się już chwilami w panice. W dodatku do miasta zaczyna przybywać coraz potężniejsza rzesza uchodźców, a wśród nich – kolumny rozbitych pod Piotrkowem taborów. Uciekinierzy opowiadają o bombardowaniu i ostrzeliwaniu cywilów przez niemieckie samoloty, a także bestialstwach oddziałów Wehrmachtu na froncie, mordowaniu ludności, paleniu miasteczek i wsi. W ciągu dnia nastroj zdnierwowania w mieście systematycznie narasta. Późnym wieczorem w Dowództwie Obrony Warszawy odbywa

⁶⁶ Linia Wisły stanowiła oś polskiej obrony w walkach w XVIII, XIX i XX wieku (zwykle pko Rosji – jak w 1792 i w 1794 r., a także w 1831 r. i w 1920 r.; w 1939 r. linia Wisły była główną linią obrony także pko Niemcom). W tym sensie trudno uznać za zaskoczenie, że ujawnione w toku kampanii wyborczej w Polsce w 2023 r. polskie plany obrony również zakładały obronę na linii Wisły.

się odprawa. W jej trakcie szef sztabu DOW, płk Tomaszewski występuje z wnioskiem, aby powiadomić ludność miasta, że czołgi niemieckie mogą pojawić się pod murami Warszawy już za godzinę. Liczne pisma, w najlepszej zresztą woli, publikują bowiem fałszywe, optymistyczne artykuły, uważając że w ten sposób podtrzymają ducha społeczeństwa. Oficjalne komunikaty wojenne podają wprawdzie faktyczny stan rzeczy, lecz ze względu na tajemnicę wojskową są wstrzemięźliwe w ujawnianiu szczegółów, a ponadto informują wyłącznie o faktach, które już nastąpiły, a nie są dopiero spodziewane. Optymistyczne artykuły są oceniane przez dowództwo wojskowe jako szkodliwe i płk Tomaszewski domaga się zmiany tego stanu rzeczy – co uznają wszyscy obecni.

Rezultat jest jednak nieprzewidywany. Obecny na odprawie szef propagandy naczelnego dowództwa, płk Umiastowski, około północy występuje przez radio. Bliski hysterii oficer wzywa przez radio wszystkich zdolnych do noszenia broni warszawiaków, „by opuszczali miasto i szli na wschodni brzeg rzeki. Zapowiada, że czołgi niemieckie są niedaleko i nawołuje cywilną ludność do budowy barykad. Wydzwięk ogólny tego niepoczytalnego przemówienia jest taki, że Niemcy już za chwilę zajmą Warszawę, której nie ma kto bronić i wszyscy praktycznie powinni uciekać. W trakcie przemówienia do studio wpada prezydent Stefan Starzyński i wrywa Umiastowskiemu mikrofon z ręki. Przemówienie zostaje przerwane, ale jego skutki nie dają się odrobić. W nocy na czwartek Warszawę ogarnia w dużym stopniu panika, a tłumy ludzi, głównie mężczyzn – opuszczają domy, aby się udać w nieznane, na wschód. Nadawane przez całą noc z rozkazu gen. Stachiewicza⁶⁷, szefa sztabu głównego, komunikaty dementujące wystąpienie Umiastowskiego i apelujące do ludności, aby pozostała w mieście – nie dają większych rezultatów. Koło świtu fala ludzi wypełnia już warszawskie mosty, sunąc na wschód. W tym samym czasie opuszcza Warszawę Śmigły Rydz, jadąc na nowe miejsce dowodzenia w Brześciu Litewskim; nieco wcześniej wyjeżdża ze stolicy premier Sławoj-Składkowski i ministrowie.

Przez cały czwartek w Warszawie panuje panika. Od zachodu przybywa coraz potężniejsza fala uciekinierów pomieszanych z rozbitymi taborami wojskowymi. Liczni mieszkańcy zgłaszają się ochotniczo do budowy umocnień i są natychmiast kierowani przez dowództwa wojskowe do planowanych prac. Lecz znacznie więcej ludzi traktuje apel Umiastowskiego o budowie barykad dosłownie, przystępując do ich wznoszenia samorzutnie. W ciągu kilku godzin prawie całe miasto zostaje pokryte siecią barykad, które przecinają arterie, uniemożliwiając ruch. Przed tymi barykadami formują się coraz potężniejsze zatory furmanek z cywilnymi uciekinierami oraz rozbitych taborów wojskowych. Równocześnie nieprzerwanie trwa ucieczka ludności z miasta na wschód.

⁶⁷ Gen. Wacław-Stachiewicz po wojnie znalazł się na emigracji w Kanadzie, gdzie zmarł w 1973 r. Jego żoną była Wanda z d. Abraham – siostra gen. Romana Abrahama. Moczulski był blisko związany z gen. Abrahamem (zm. w 1976 r.), zaś jego siostra Wanda Stachiewiczowa (zm. w 1995 r.) wspierała finansowo zza Oceanu działalność opozycyjną Moczulskiego w PRL.

Warszawy nie strzeże już brygada pościgowa i Luftwaffe może docierać do miasta prawie bezkarnie; ale Niemcy nie orientują się w sytuacji i tego dnia na stolicę nie ma większych nalotów. Bombardowane są jednak dworce, z których odchodzą ostatnie ewakuacyjne pociągi, a także mosty i dzielnice mieszkaniowe. Cały organizm miasta jest sparaliżowany, maszerujące na pozycje oddziały wojskowe z trudem tylko przedostają się przez miasto.

Pod wieczór sytuacja z wolna zaczyna się uspokajać. Działają pozytywnie zarządzenia władz wojskowych, poczynają odnosić skutek wysiłki zmierzające do przywrócenia spokoju. Tym jednak, który praktycznie w dużym stopniu sam opanowuje sytuację w mieście – jest prezydent Stefan Starzyński. Nie ma do dyspozycji żadnych środków, policja prawie w całości uciekła, władze miejskie nie są w stanie działać. Stefan Starzyński ma jednak mikrofon radiowy – i przy jego pomocy zaczyna panować nad setkami tysięcy rozgorączkowanych. Miasto zaczyna się uspokajać, po czasie rozpoczyna fala gorączki opada i Warszawa odnajduje siebie.

W piątek w stolicy panuje już spokój. Usunięto większość zagradzających ulice barykady, czynne są sklepy, kawiarnie. Od zachodu wprowadzie ciągli napływa fala uciekinierów i żołnierzy z rozbitych jednostek, lecz miasto wchłania ją spokojnie i w sposób zorganizowany. Część uciekinierów kierowana jest w różne rejony miasta, gdzie mieszkańcy udzielają im pomocy, pracują punkty sanitarne i opatrunkowe, wydawana jest żywność. Inne grupy uciekinierów kieruje się na wschodni brzeg Wisły.

Pozycje obronne na skraju miasta obsadzone są całkowicie i przygotowane do walki. Na odcinku spodziewanego pierwszego uderzenia niemieckiego, na Woli i Ochocie, pod dowództwem ppłk. Kalandyka d-cy 40 pułku piech. czekają na nadejście Niemców III batalion 40 p.p. mjr Sanojcy⁶⁸ (na Woli), II batalion 40 p.p. mjr Kassiana (na Czystem) i II batalion 41 p.p. strzelców suwalskich mjr Kaniowskiego-Zagłoby. Na dalekim przedpolu obserwują nadchodzenie pancernych kolumn wroga polskie czołgi i zmotoryzowane kolumny zaporowe, których armatki w ciągu dnia ustrzeliły niejednego pancerny wóz niemiecki. Gdy około 11.00 Niemcy docierają do Grójca i Radziejowic, gen. Czuma poleca 360 pułkowi ppłk. Chmury obsadzić drugą pozycję obrony wewnątrz miasta, trzecią pozycję zajmują kompanie czołgów i zmotoryzowanych armatek ppanc. Dowódca obrony Warszawy wraz z płk. Porwitem odbywają ostatnią przed walką inspekcję oddziałów pierwszej linii, wyjeżdżają też przed pozycję polskie.

Miasto gotowe jest do obrony, zdeterminowana wola walki łączy żołnierzy i cywilów. Minęła bezpowrotnie rozpacz i panika, Warszawa czeka na nadejście wroga.

Szosa piotrkowską, od strony Raszyna, suną ku Warszawie kolumny niemieckiej 4 dywizji pancernej. Długa i krwawa była jej droga do Warszawy. Już pierwszego dnia

⁶⁸ Wiele osób wymienionych w tekście żyło w dacie jego publikacji i mieszkało w Polsce. Przykładem może być płk Antoni Sanojca (zm. w 1990 r.), późniejszy szef Oddziału I KG AK, skazany po wojnie w procesie I Zarządu WiN-u.

wojny zastąpiła jej drogę ku stolicy Polski Wołyńska Brygada Kawalerii płka Filipowicza i w bohaterskim boju odrzuciła wszystkie ataki pancerne pod Mokrą. Później ta sama brygada powstrzymywała 4 pancerną pod Ostrowami, atakowała czołgi niemieckiego korpusu pancernego w nocnym wypadzie na Kamieńsk. Następnie czołgi niemieckie musiały stoczyć nawet jak na kampanię jesienną wyjątkowo krwawy bój pod Borową Górą z 2 p.p. Legionów ppłk. Czyżewskiego, później pod Tomaszowem drogę im zagroziła 13 dywizja piechoty płka Kalińskiego i zwłaszcza 13 p.p. Legionu Bajońskiego ppłka Kubickiego. Wielokrotnie atakowały czołgi z powietrza polskie Łosie i Karasie z brygady bombowej płk. Hellera. Wszystkie te jednostki, tyle że na coraz bliższym przedpolu, tak samo broniły Warszawy, jak i jednostki jej garnizonu. Niełatwa i krwawa była droga niemieckiej dywizji pancernej do stolicy; z jej 320 czołgów tylko 210 dotarło do samego miasta. Teraz jednak Warszawę widać już i czołgiści niemieccy są pewni ostatecznego zwycięstwa. Ich cel jest przed nimi, więc czołgi przystroili jedliną i chorągiewkami z hackenkreuzem; wkraczają do Warszawy i chcą zadać szoku na ulicach tego milionowego miasta. Tuż za czołowymi kolumnami pancernymi jadą samochody sztabowe. Zatrzymują się między Okęciem a Ochotą, zaś z niewielkiego wzniesienia generałowie Reichenau – dowódca armii, Höpner – dowódca Korpusu pancernego i Reinhardt – dowódca dywizji obserwują wkroczenie swych czołgów do miasta. Tuż obok radiotelegrafista podniesionym głosem wywołuje naczelne dowództwo.

Przed oczami Niemców rozpościera się Warszawa, cicha i jakby wymarła, nad miastem snują się dymy pożarów, ślad ostatniego bombardowania. Ponadto ani odrobiny ruchu, cisza i pustka: czyżby wszyscy mieszkańcy zginęli lub uciekli? Czołgi podchodzą już do skraju zwartej zabudowy, mijają pierwsze, pojedyncze domy. – „Nadawaj – zdławionym emocją głosem rozkazuje Reichenau radiotelegrafście – Piątek, godzina 17.15: oddziały Wehrmachtu wkraczają do Warszawy!”.

Jeszcze nie umilkł pisk radiostacji, gdy od strony miasta dobiega huk wystrzału i widać biały balonik dymu. Sekunda ciszy – i głośnie zaczynają szczeleć polskie pepance⁶⁹, głuchym hukiem uzupełniają polskie działa 75 mm. Czołgi niemieckie mieszają się, zawracają, uciekają – i tylko gdzieś na przedpolu, prawie już przy Opaczewskiej, pozostaje zgubiona czerwona chorągiewka znakowana czarnym, złamanym krzyżem.

Pierwsze strzały polskich armat do czołgów wroga padają z Warszawy w drugi piątek wojny, 8 września – i rozpoczyna się nowy rozdział historii obrony stolicy. Nadana do naczelnego dowództwa niemieckiego depesza o wkroczeniu do Warszawy jeszcze tegoż wieczora zostaje powtórzona przez radiostację berlińską, a za nią przez radiostacje całego świata. Warszawa jednak broni się – i trzeba ją zdobyć jak najszybciej. Przez całą noc z piątku na sobotę Niemcy szykują uderzenie na miasto. Wkrótce po świcie roz-

⁶⁹ Pepance – pododdziały przeciwpancerne (działa przeciwpancerne i obsługujący je żołnierze).

poczyna się huraganowy ogień niemieckiej artylerii, zaś pod jej osłoną około godziny 7.00 rozpoczyna się pancerny szturm Warszawy. Na Ochotę uderza 35 pułk czołgów i 12 pułk strzelców zmotoryzowanych. Pozycji polskich wzdłuż ulicy Opaczewskiej broni 6 kompanii 41 p.p. kpt. Łaganowskiego, wzdłuż Wawelskiej – 5 kompania tegoż pułku, zaś w odwodzie, na terenie filtrów, jest 4 kompania por. Sawickiego. Kośćcem obrony jest 5 armat baterii 29 pułku, dowodzonych przez por. Pancerza oraz armaty ppanc. plutonów ppor. Sutkowskiego i ppor. Puchalskiego oraz dwie armaty por. Albrechta.

Czołgi niemieckie ruszają najpierw na Opaczewską. Huraganowy ogień artylerii, zgrzyt gąsienic, trzask walących się ścian domów – wszystko to działa na młodych żołnierzy, którzy przeżywają swój bojowy chrzest. Plutony 6 kompanii mieszają się, żołnierze zaczynają cofać się... Czyżby Niemcy bez walki zdobyli tę pozycję? Oficerowie podrywają swoich ludzi do przodu, kompania opanowuje się, gęstym ogniem zaczyna razić niemiecką piechotę. Czołgi niemieckie kierują się głównie na Grójecką, aby nią dostać się w głąb miasta. Atakują barykadę przy Opaczewskiej. Dowodzone przez por. Niedzielina działo 75 mm niszczy 3 czołgi i 2 samochody pancerne, ale wróg zdobywa barykadę. Dalszą drogę Grójecką zagradza mu działo ppor. Sucheckiego, ustawione na wysokości ul. Nieborowskiej. Niszczy ono kolejno 7 czołgów i 3 samochody pancerne, zatrzymując uderzenie niemieckie wzdłuż Grójeckiej.

Drugie uderzenie idzie wzdłuż Żwirki i Wigury. Przy Kaszyńskiej stoi armata ppor. Koreywo. Niszczy on 7 czołgów niemieckich, natarcie tutaj także zostaje zatrzymane.

Trzecie uderzenie niemieckie przy Szczęśliwickiej też zostaje powstrzymane. Natomiast w rejonie Białobrzeskiej Niemcy przedostaną się przez luki polskiej obrony. Grupy czołgów wdzierają się głęboko w Ochotę, dochodzą aż pod ówczesny Dworzec Towarowy, do rejonu, gdzie obecnie przy przedłużeniu alej Jerozolimskich stoi rząd wieżowców (widocznych na naszej okładce po prawej stronie od góry). Część czołgów zawraca stąd ku Grójeckiej, jeden z nich dociera do tej ulicy Sękocińską, a więc już za placem Narutowicza. Równocześnie silny napór niemiecki od czoła spycha 6 kompanię w głąb dzielnicy – w niektórych odcinkach prawie do placu Narutowicza.

Równocześnie Niemcy postanawiają obejść Ochotę od południa, nowa ich kolumna uderza przez Pole Mokotowskie w kierunku kolonii Staszica. To natarcie nie ma jednak powodzenia, w ogniu polskim załamuje się prawie natychmiast.

Krytyczna sytuacja jest natomiast w rejonie pl. Narutowicza. Obecny tutaj płk Porwit osobiście skupia grupy żołnierzy, organizując przeciwnatarcie. Na jego rozkaz, przybywa grupa polskich czołgów lekkich, dowodzona przez por. Kraskowskiego. Polacy przechodzą do przeciwuderzenia, a zatrzymanie niemieckich uderzeń wzdłuż Grójeckiej i Żwirki i Wigury nie pozwala przeciwnikowi na dostanie odwodów. Czołgi niemieckie przechodzą do odwrotu, rażone ogniem ze wszystkich stron. Na widok polskich czołgów – niemieccy pancerniacy zawracają, najwyraźniej boją się walki, tylko w pobliżu kolejki EKD dochodzi do krótkiej potyczki pancernej. Oddziały niemieck-

kie w coraz większym nieładzie odchodzą do tyłu i wreszcie wydostają się z Ochoty. W szturmie pancernym tej dzielnicy brało udział 120 czołgów niemieckich: tylko 57 wraca na podstawy wyjściowe, 63 pozostały na placu boju...

Drugi szturm niemiecki tego dnia kieruje się na Wolę. Naciera tutaj 36 pułk czołgów i 33 pułk piechoty zmotoryzowanej. Bez rozpoznania pozycji polskiej Niemcy w długiej kolumnie pragną przez ulicę Wolską wtargnąć do środka miasta. Na wysokości ul. Redutowej, w oparciu o historyczną Redutę 56, której 6 września 1831 r. bohatersko bronił gen. Sowiński z płk. Wysockim, tuż obok pamiętnego tamtymi bojami kościółka, pozycje obronne zajmuje 8 kompania 40 p.p. por Pacak-Kuźmierskiego⁷⁰, wzmocniona 2 działkami ppanc. i 2 armatami ppor Jarosińskiego. Dzielny dowódca kompanii starannie przygotował się do obrony, m.in. kazał wylać przedpole znalezionymi w sąsiednimi fabryce 100 beczkami terpentyny. Przed godziną 8.30 do polskiej barykady zbliża się potężna kolumna czołgów i samochodów z piechotą, cała ulica aż po kraj widoczności wypełniona jest pojazdami. Por. Pacak spokojnie dopuszcza wroga pod samą barykadę i wtedy dopiero daje sygnał trębaczowi. Rozlega się głos trąbki – i zaraz potem na zaskoczonych Niemców spada nawała ogniowa. Zaczyna płonąć rozlana terpentyna. Kolumnę niemiecką ogarnia panika, żołnierze rzucają broń, czołgi wpadają na siebie... Walka, a raczej pogrom kolumny niemieckiej trwa blisko godzinę.

Wreszcie Niemcom udaje się uciec, nie ponawiają uderzenia.

W meldunku z tego dnia gen. Reinhardt podał straty, jakie 35 p. czołgów poniósł w boju o Ochotę. Straty poniesione na Woli dyskretnie przemilczał, tak jakby 36 p. czołgów w ogóle nie istniał...

Szturm pancerny załamał się, a 4 d. pancerna straciła około połowy tych czołgów, z którymi podeszła pod miasto, zaś w stosunku do pierwszego dnia wojny pozostała jej najwyżej 1/3 wozów bojowych. Gen. Reinhardt uważa, że jednostka jego nie nadaje się do dalszych działań zaczepnych, w każdym razie na tak silnie broniącego się przeciwnika. Na całym świecie jednak już ogłoszono, że Warszawa została wzięta – i naczelne dowództwo domaga się tego. Gen. Höpner nie przyjmuje do wiadomości zastrzeżeń Reinhardta, poleca mu ponowić szturm. Dywizja pancerna ma zostać wzmocniona. Całą mocą silników spieszy jej na pomoc SS Standarte „Adolf Hitler”. Doraźnie zorganizowane kolumny samochodowe mają dowieźć piechotę 31 dywizji gen. Kaempfe.

⁷⁰ Płk Zdzisław Pacak-Kuźmierski (zm. w 1981 r.) po Wrześniu trafił do Oflagu II C Woldenberg, z którego uciekł w sposób brawurowy wraz z trzema kolegami w 1942 r. Wstąpił do AK (m.in. z-cądcy i szefa operacyjnego KG AK „Osa-Kosa”, potem dca Partyzanckiej Dywizji Karpackiej Obszaru Lwowskiego AK). W 1945 r. aresztowany przez sowiecki kontrwywiad i więziony w Moskwie (Łubianka, Butyrki). Skazany na 3 lata. Po powrocie do Polski w 1950 r. ponownie aresztowany i skazany na 10 lat. Zwolniony w 1956 r. W serii „Tygrysy” wydał książkę *Reduta 56* (1966 r.). Oczywiście spora część jego biografii była niecenzuralna, ale wymienienie go w tekście przez Moczulskiego było nieprzypadkowe.

Organizacja transportu zawodzi jednak, mimo że są samochody, początkowo brakuje benzyny, gdy zaś ta zostaje pożyczona w sąsiedniej 1 dywizji pancерnej, kolumny niemieckie utykają na szosie wśród rozciągniętych i tarasujących sobie nawzajem drogę oddziałów tyłowych XVI korpusu.

Ostatecznie w niedzielę nad ranem 4 dywizja znów sama ma szturmować Warszawę. Tym razem jednak czyni to ostrożnie i ograniczonymi siłami: gen. Reinhardt nie chce wygubić całej swojej jednostki. W niedzielę o 3.45 grupa czołgów wsparta strzelcami zmotoryzowanymi, usiłuje przez zaskoczenie złamać polskie pozycje na Rakowieckiej, obsadzone przez IV batalion 21 p.p. „Dzieci Warszawy”, aby tędy przedostać się na Pole Mokotowskie i od tyłu zająć Ochotę. Atak nie udaje się, Polacy witają podchodzące czołgi ogniem, niszcząc trzy z nich. Reszta nie czeka, zawraca pośpiesznie na pozycje wyjściowe.

Wyższe dowództwo domaga się jednak ponowienia ataku. W niedzielę po południu, około 17.00, jeszcze jedna grupa czołgów usiłuje wdrzeć się do miasta wzdłuż ul. Górczewskiej. Tutaj czuwa jednak 7 kompania 40 p.p. ppor. Grabowskiego. Dwa czołgi niemieckie zostają zniszczone, reszta cofa się.

Na tym kończą się zaczepne działania 4 dywizji pancерnej przeciw Warszawie. Świat już wie, że miasto broni się. Dowództwa niemieckie dochodzą do jedynie słusznego wniosku, że dalsze ponawianie uderzeń pancерnych doprowadzić może do całkowitego wykruszenia się czołgów dywizji Reinhardta. Całość jej sił cofa się od Warszawy, skupiając w rejonie Raszyńska i Babic większość oddziałów, a część tylko trzymając na Okęciu. Nadchodzi wreszcie SS Standarte „Adolf Hitler” i czołowy batalion 31 dywizji. Na razie jednak nie myśli się o wznowieniu szturmów.

Straty niemieckie są dotkliwe nie tylko w czołgach. W sobotę i w niedzielę Warszawa jest przedmiotem ustawicznych bombardowań. Ponieważ nie ma już nad miastem polskich myśliwców, cały ciężar obrony spada na artylerię przeciwlotniczą, dowodzoną przez płk. Barana. Odpiera ona skutecznie ataki Luftwaffe, tak że wielokrotne bombardowania, w których za każdym razem bierze udział po kilkadziesiąt samolotów, nie dają większych wyników. W szczególności Niemcom nie udaje się zniszczyć mostów na Wiśle, mimo wielokrotnie ponawianych prób. Natomiast w niektórych dzielnicach mieszkaniowych, zwłaszcza na Pradze, Luftwaffe udaje się zapalić wiele domów. Straty niemieckie poniesione w tych dwudniowych bombardowaniach są wysokie: 20 samolotów zostaje zestrzelonych. Znacznie więcej jest uszkodzonych.

Kombinowane uderzenia niemieckie na ziemi i z powietrza nie dają przeciwnikowi nic – przynoszą poważne straty. Warszawa broni się. Rozpoczynające się oblężenie miasta przysporzy najeźdźcy wiele nowych trosk.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

Epos 28 dni

OBŁĘŻENIE WARSZAWY⁷¹

W pierwszych dziesięciu dniach wojny Niemcy wykonali dwa kolejne wielkie uderzenia na Warszawę. Od piątku 1 września do środy 6 września trwało uderzenie Luftwaffe na stolicę – z jednym tylko dniem przerwy. Polska brygada pościgowa rozpendziła jednak wszystkie kolejne rajdy bombowe, a jedynie pojedynczym samolotom, a następnie małym ich grupkom udało się przerwać nad stolicę, aby chaotycznie i w pośpiechu zrzucić bomby. W tym czasie polskie myśliwce i artyleria przeciwlotnicza zestrzeliwują nie mniej niż 60 samolotów wroga. Drugie uderzenie nastąpiło w dniach 8–10 września. Pod Warszawę podchodzi 4 dywizja pancerna gen. Reinharda i bezskutecznie szturmuje swymi czołgami przy silnym wsparciu lotniczym. Rezultat tego szturm pancernego jest dla wroga żałosny: Niemcy tracą blisko 100 czołgów i dalszych 20 samolotów, zestrzelonych przez polską artylerię – i zmuszeni są zaprzestać ataku na Warszawę. Na pomoc wykrwawionej 4 dywizji pancerniej przybywa SS-Standarte „Adolf Hitler” oraz pośpiesznie nadciąga 31 dywizja piechoty. Rozpoczyna się oblężenie Warszawy – na razie tylko od zachodu.

Na noc z niedzieli na poniedziałek 11 września główne siły niemieckie odchodzą nieco od Warszawy, skupiają się w rejonie Raszyna i Babic. Zgodnie z rozkazem dowództwa armii, 4 dywizja pancerna ma rozpoznać polskie pozycje, a w szczególności zbadać, jak daleko sięgają na północ. Późnym wieczorem w niedzielę z Babic wyrusza patrol pancerny i dociera aż do szosy Bielany–Młociny, nie napotykając na polskie oddziały. W drodze powrotnej czołgi przypadkiem natrafiają na grupę polskich żołnierzy z jednej z rozbitych jednostek armii „Łódź”, którzy chcieli przedostać się do Warszawy i biorą ich do niewoli. Ucieszeni tym sukcesem, czołgiści wracają przez Wawrzyszew do sił głównych dywizji.

W tym samym czasie z Marymontu rusza na rozpoznanie polska grupa, dowodzona przez kpt. Chotkowskiego: kompania zmotoryzowanej piechoty, działka przeciwpancerne, kompania czołgów lekkich. Noc jest ciemna, kolumna polska mija Wawrzyszew i tuż za nim, koło cmentarza, czołgi polskie wpadają niespodziewanie dla obu stron na wracający już do Babic pancerny patrol niemiecki. Polacy pierwsi orientują się w sytuacji, uderzając na wroga. Zaraz w pierwszym starciu ginie wprawdzie kpt. Chotkowski, ale patrol niemiecki zostaje rozbity. Niemcy tracą trzy czołgi i trzy samochody i wycofują się, a wzięci uprzednio do niewoli żołnierze polscy zostają uwolnieni. Nie jest to jeszcze koniec walki. Gdy czołgi polskie ruszają w pościg za Niemcami, w ciemnościach nocy wymijają się z czołgami niemieckimi, które spieszą na pomoc swoim – i napotykają na polską piechotę. Wywiązuje się chaotyczny, krwawy

⁷¹ „Stolica” z 1968 r., nr 36.

dla obydwu stron bój. Ostatecznie kończy się bez rozstrzygnięcia, czołgi wracają do Babic, a kolumna polska, którą dowodzą teraz rotmistrz Grąbczewski i por. Stopa – cofa się na Marymont.

Nocny bój, choć nie rozstrzygnięty, świadczy jednak wyraźnie, że Polacy nie zamierzają ograniczyć się do obrony, a szukają sami wroga.

W mieście następuje dalsze poważne umocnienie sił. Jeszcze 8 września przybył do Warszawy dowódca armii „Łódź” gen. Juliusz Rómmel. Szef sztabu generalnego, gen Stachiewicz (który opuścił stolicę dopiero w nocy z 8 na 9 września) poleca mu objąć dowództwo nad nowo utworzoną armią „Warszawa” W jej skład wchodzi obrona Warszawy, którą nadal kieruje gen. Czuma, obrona Modlina, resztki armii „Łódź”, cofające się pod dowództwem gen. Thommée przez lasy skierniewickie ku Warszawie, grupa gen. Zulaufa obsadzająca linie obronne na północny wschód od stolicy, silna grupa kawalerii gen. Andersa i różne mniejsze oddziały. W sumie są to dość poważne siły, niestety – jak zobaczymy – dowódca armii nie potrafi ich użyć do wspólnego, aktywnego i skoordynowanego działania⁷².

Wzrastają też bezpośrednie siły obrony Warszawy. Z nadwyżek mobilizacyjnych tworzy się dalsze jednostki i rozbudowuje istniejące.

Obok jednostek wojskowych zaczynają powstawać formacje ochotnicze. Od 9 września w lokalach organizacyjnych PPS przy ul. Wareckiej 7 i Długiej 21 zaczyna się werbunek do robotniczych batalionów. Do organizacji batalionów czynnie włączają się komuniści, wojskową stroną kieruje kpt. rezerwy Marian Koenig. Napływ ochotników jest olbrzymi ostatecznie napływa ich 6 tysięcy, tak że z batalionów tworzy się Robotniczą Brygadę Obrony Warszawy; ok. 1 000 ludzi z niej zostaje skierowane do poszczególnych oddziałów wojskowych, które cierpią na brak dobrze znających Warszawę żołnierzy. Z innych grup ochotników formuje się batalion im. Ordona, a także bataliony im. prezydenta Starzyńskiego.

Do 13 września Niemcy, mając lotnictwo zajęte na innych odcinkach, nie przeprowadzają większych bombardowań Warszawy. Miasto od czasu do czasu ostrzeliwane jest z artylerii. Życie w stolicy toczy się jednak nadal prawie normalnie. Czynne są sklepy i kawiarnie, a choć zniszczenia miasta są już widoczne, warszawiacy nie tracą nadziei ani otuchy. Na placu Saskim na widok publiczny wystawiono kilka z rozbitych na Ochocie czołgów niemieckich i przychodzą tutaj całe wycieczki, aby oglądać postrzelane wraki. Wśród tłumu uwija się amerykański fotoreporter Bryan, którego zdjęcia stanowić będą kronikę walki i życia Warszawy.

Stojący na przedpolu Niemcy nie zdradzają ochoty do wznowienia walki, ale oddziały polskie nie trwają biernie. Dowództwo Obrony Warszawy szykuje silny wypad

⁷² W powyższym tekście jest wiele krytycznych uwag pod adresem Rómmela, co było śladem polemiki toczonej w 2. połowie l. 60. na łamach „Wojskowego Przeglądu Historycznego” między generałami: Romanem Abrahamem i Juliuszem Rómmlem.

piechoty i czołgów. Ma go poprowadzić nowy dowódca odcinka „Południe”, ppłk Witalis Chmura. Planowany na noc z 11 na 12 września wypad ten rusza tego ostatniego dnia o świcie.

W tym samym czasie oddziały cofającej się na Warszawę armii „Łódź” dotarły już do Grodziska i Błonia, a gen. Thommée postanawia przebić się do Warszawy. Niestety, dowódca armii „Warszawa”, gen. Rómmel, który nie potrafił zapewnić sobie łączności z gen. Thommée – nic o tym nie wie, a działania polskie na Okęcie oraz ataki z południowego zachodu, choć następują w tym samym czasie, nie są skoordynowane. Szkoda, gdyby to bowiem nastąpiło, być może 4 dyw. pancerna zostałaby kompletnie zniszczona. Inna rzecz, że było już od tego niedaleko. Niemców uratował jedynie fakt, że w tym samym czasie siły 31 dywizji piechoty, gorączkowo ściganej od kilku dni, dochodzą wreszcie pod Warszawę.

W chwili, gdy rusza polski wypad na Okęcie, przybył tam właśnie batalion z 31 p.p., który ma złuzować batalion strzelców zmot.⁷³ z 4 d. panc.⁷⁴ Siły przeciwnika wzmocnione były ponadto czołgami. Ppłk Chmura, na czele IV batalionu 360 p.p. oraz dwu kompanii czołgów, dowodzonych przez rotmistrza Grąbczewskiego zaatakował wroga. Uderzenie polskie zaskoczyło przeciwnika, a czołgi rozbiły jego pierwszą linię. Zdobyto lotnisko na Okęcie i o mało co nie zniszczono lub wzięto do niewoli sztabu niemieckiego 82 pułku. Niemcy podciągnęli jednak odwody i zaczęli się bronić na skraju zabudowy Rakowa i w domach Okęcia. Ściągali zresztą wszelkie siły, jakie były pod ręką. Przeciwko kompanii czołgów kpt Michałkowskiego, która wyszła na tyły niemieckie i posuwała się w kierunku Piastowa – gen. Reinhardt rzucił dywizjon artylerii przeciwlotniczej, gdyż niczym innym już nie dysponował.

W tym samym bowiem czasie rozwijało się uderzenie gen. Thommée. Polski 36 p.p. Legii Akademickiej tuż po świcie zajął Brwinów, a o godz 9.30 rozpoczął wzdłuż toru kolejowego natarcie na Pruszków. Po stronie niemieckiej bronił się batalion pionierów. Około południa natarcie polskie wyparło wroga z Parzniewa i zaczęło zbliżać się do Pruszkowa. Natomiast od strony Błonia wzdłuż szosy warszawskiej 4 p.p. Legionów pokonał oddziały SS-Standart „Adolf Hitler” i zaczął zbliżać się do Ołtarzewa.

Przed południem sytuacja dla Niemców zaczęła stawać się krytyczna. Gdyby działania polskie były skoordynowane, gdyby gen. Rómmel zaangażował od strony Warszawy do boju więcej sił!

Niemcy powoli opanowali kryzys. Uderzenie ppłka Chmury zostało powstrzymane, a nacierający w pierwszym szeregu swych żołnierzy dowódca wypadu poległ na Okęciu. Około 11.00 IV batalion 360 pp (którego dowódca, mjr Łukowicz, został ranny) zaczął cofać się – i pod osłoną polskich czołgów powrócił na Okęcie. Wypad był zakończony.

⁷³ Strzelcy zmot. – strzelcy zmotoryzowani.

⁷⁴ 4 d. panc. – 4 Dywizja Pancerna

Zaraz potem 36 pułk, nacierający od Brwinowa, znalazł się w ciężkiej sytuacji. Od strony Nadarzynia zaatakowały go oddziały podchodzącej pod Warszawę 31 dywizji niemieckiej. Pułk polski poniósł straty i wycofany został w kierunku Błonia. Tylko natarcie 2 dywizji wzdłuż szosy sochaczewskiej rozwijało się nadal.

Mimo pomocy w czołgach i piechocie zmotoryzowanej SS-Standarte „Adolf Hitler” nie mogło wytrzymać polskiego naporu. W ciągu dnia Polacy zajęli Borzęcin i podeszli pod Ołtarzew.

Kryzys po stronie niemieckiej został jednak opanowany, a nadejście całej 31 dywizji uratowało 4 d. pancerną.

Oczywiście, w takich warunkach nie mogło być mowy o wznowieniu szturm niemieckiego na Warszawę. Pod stolicą nieprzyjaciół był stroną broniącą się, a nie atakującą. Zresztą wkrótce po stronie niemieckiej zapadły nowe decyzje, które dość istotnie zmieniały sytuację w rejonie Warszawy. W nocy z 9 na 10 września rozpoczęło się bowiem natarcie wojsk gen. Kutrzeby nad Bzurą, które przekreśliło plany niemieckie. Do tej nowej, potężnej bitwy niemieckie dowództwa musiały kierować coraz to nowe oddziały. Postanowiono też przeciwko gen. Kutrzebie wykorzystać XVI korpus panc., a w jego składzie – 4 d. panc. gen. Reinhardta. W nocy z 12 na 13 dostała ona rozkaz pośpiesznego marszu na Sochaczew i przebiwszy się przez szosę błońską (dywizje gen. Thommée otrzymały rozkaz odwrotu do Modlina) – odeszła spod Warszawy. Na zachód od stolicy pozostała tylko niemiecka 31 dywizja, zbyt słaba, aby atakować miasto.

Inne siły niemieckie podchodziły jednak od wschodu pod Warszawę. 3 armia niemiecka gen. v. Kücklera, która przeprawiła się przez dolny Bug w rejonie Wyszkowa i Broku i początkowo posuwała się w kierunku Siedlec i Mińska Mazowieckiego – rozkazami naczelnego dowództwa z 12 września skierowana została na zachód, aby zablokować od strony Pragi siły polskie w Warszawie. Jeszcze 13 września dywizje tej armii są kontratakowane przez Grupę Kawalerii gen. Andersa; na rozkaz marszałka Śmigłego uderzenie polskie zostaje przerwane, a kawaleria otrzymuje rozkaz odmarszu na Lubelszczyznę, gdzie gromadzą się główne siły polskie. Dywizje Kücklera, powstrzymane tylko przejściowo przez grupę operacyjną gen. Zulaufa – podchodzą do stolicy ze wschodu. 14 września wojska gen. Zulaufa, których trzon stanowi 20 dywizja piechoty i część sił 5 dywizji piechoty oraz różne mniejsze oddziały – cofają się na Pragę. W ślad za nimi pod miasto podchodzą Niemcy. Od 15 września Warszawa jest więc oblężona ze wschodu i zachodu, chociaż ten pierścień nie jest jeszcze szczelny.

Wewnątrz miasta następuje dalsza konsolidacja obrony. Rozbudowane zostają siły polskie w oparciu o znajdujące się w mieście zapasy uzbrojenia. Blisko 10 tysięcy cywilnych mężczyzn zgłasza się do ochotniczych oddziałów pomocniczych, zwłaszcza Robotniczej Brygady Obrony Warszawy; formacje te, poza uzupełnieniem jednostek bojowych grupami dobrze znającymi miasto, nie są użytkowane na froncie, gdyż sił regularnych jest dostateczna ilość, aby obsadzić trzy linie obronne i zachować jeszcze odwody.

OBŁĘŻENIE WARSZAWY

Następuje też umocnienie kierownictwa obrony. Gdy naczelne dowództwo, rząd i prezydent w nocy na 18 września ewakuują się do Rumunii⁷⁵, a kraj oraz front zostaje pozbawiony jakiegokolwiek kierownictwa, zaś zgrupowania operacyjne jedno po drugim są rozbijane przez Niemców – powstaje przelotnie w Warszawie koncepcja utworzenia nowego rządu polskiego. Zostaje ona jednak prawie od razu porzucona, przy dowództwie armii „Warszawa” organizuje się jedynie Komitet Obywatelski, jako naczelny organ cywilny miasta, spełniający funkcje doradcze przy dowódcy armii.

Na frontach Warszawy walka trwa bez przerwy. Na zachodnim jest nieco mniej intensywna,

Niemcy tutaj są bardzo ostrożni, ale patrole polskie raz po raz szukają wroga. Do poważniejszych walk dochodzi na wschodnich skrajach Warszawy, gdzie siły dwóch niemieckich korpusów napierają, choć też ostrożnie – na polską obronę. W trakcie tych walk pod Zaciszem od ognia polskiego karabinu maszynowego ginie gen. pułk v. Fritsch, naczelny dowódca armii lądowej w okresie 1933–38 i główny twórca rozbudowy Wehrmachtu. Odsunięty następnie przez Hitlera, przybywa teraz na front warszawski, aby inspekcjonować oddziały, a zwłaszcza 12 pułk artylerii, którego jest honorowym szefem. W trakcie inspekcjonowania oddziałów pierwszej linii, najstarszy rangą generał służby czynnej Wehrmachtu ginie; nawiasem mówiąc, jest to jedyny wypadek w całej drugiej wojnie światowej, aby na froncie poległ generał niemiecki tej rangi.

Na zachód od Warszawy, nad Bzurą, trwa jeszcze potężna bitwa. W ostatniej jej fazie oddziały polskie generałów Kutrzeby i Bortnowskiego przebijają się ku stolicy. W Dowództwie Obrony Warszawy panuje silna tendencja, aby im pomóc, wychodząc zaczepnie z miasta na zachód. Sił do takiego ataku jest dosyć, gen. Rómmel, dowódca armii, uważa jednak, że ponieważ głównym zadaniem jest obrona miasta, taki zwrot zaczepny na zachód zawiera zbyt duże ryzyko. Ostatecznie jednak, ulegając naciskom, dowódca armii godzi się na wypad.

Natarcie polskie ruszyło 18 września rano. Batalion stołeczny, dowodzony przez mjr. Józefa Spychalskiego w walce z Niemcami zajął Górcę i Bliznę, sąsiednie Groty zdobył I batalion 360 p.p. mjr. Mazurkiewicza. Na kierunku Włoch, gdzie opór

⁷⁵ Moczułski oczywiście nie mógł napisać o kluczowej dla losów Wojny Polskiej 1939 agresji sowieckiej 17 Września (po jej dokonaniu oczekiwana ofensywa francuska straciła wszelki sens, a polski plan obrony, zakładający wojnę koalicyjną i wykluczający walkę na dwa fronty, załamał się). Jedyne, co można było zrobić, to zaznaczyć, że władze polskie ewakuowały się do Rumunii w nocy na 18 IX 1939 r., a nie – jak pisała komunistyczna propaganda – 17 IX (co stwarzało wrażenie u niewyrobionego czytelnika, że władze polskie dokonały ewakuacji przed przekroczeniem granicy polsko-sowieckiej przez Armię Czerwoną, a nie kilkanaście godzin po). Na podkreślenie zasługuje użycie przez Autora wyrazu „ewakuacja”, a nie – jak pisano zwykle w PRL – „ucieczka”. Słowo „ewakuacja” jest właściwe, bowiem władze polskie planowały przez terytorium sojuszniczej Rumunii przedostać się do sojuszniczej Francji, aby stamtąd kierować dalszą walką. Z tych względów Polska nie podpisała kapitulacji wobec Niemiec w 1939 r., jak np. zrobiła to Francja w 1940 r.

niemiecki był najsilniejszy, IV batalion 360 p.p. mjr Piękosia opanował Jelonki, zaś na północnym skrzydle 3 batalion 26 p.p. mjr Decowskiego zajął Babice. W poniedziałek wieczorem natarcie zostało zatrzymane przez dowódcę armii, który nakazał, aby w zdobytych miejscowościach zająć pozycje obronne. W ten sposób na zachód od właściwej linii obrony Warszawy – powstała dodatkowa linia przesłaniająca, co było poważnym umocnieniem stolicy.

Już w poniedziałek 18 września czołowe rzuty przebijającej się przez Kampinos armii gen. Kutrzeby dotarły do rejonu Modlina. Ponieważ pomiędzy nimi, a Marymontem, gdzie znajdował się północny odcinek obrony Warszawy, byli już Niemcy, płk Porwit zarządził wypad w kierunku Młocin. W nocy z 19 na 20 września 1 batalion 30 p.p. mjr Kamińskiego, wsparty silnie artylerią, zaatakował znajdujących się tutaj Niemców i zmusił ich do odwrotu. Następnie batalion polski zajął pozycje obronne na wzgórzach między Młocinami a wsią Placówka, leżącą na skraju Puszczy Kampinoskiej.

W tym samym czasie do Warszawy zaczęły przebijać się pierwsze oddziały gen. Kutrzeby. Grupa operacyjna kawalerii gen. Abrahama, stanowiąca straż przednią armii „Poznań”, jeszcze 19 września wyparła Niemców z Sierakowa, w krwawym boju pod Laskami nie udało się jednak złamać oporu przeciwnika i przedostać do Warszawy. Dopiero następnego dnia, w środę 20 września, kawaleria gen. Abrahama, pomiędzy Wólką Węglową a Dąbrówą przedostała się na Bielany⁷⁶.

Przedzierające się do miasta siły polskie napotykały jednak na coraz silniejsze przeciwdziałanie niemieckie. Aby nie dopuścić do odwrotu wojsk gen. Kutrzeby do stolicy, dowództwa niemieckie skierowały do walk w Kampinosie i między Warszawą a Modlinem nowe siły, a wśród nich wzmocnioną czołgami 1 dywizję lekką (oficerem jej sztabu był ówczesny rotmistrz Schenk v. Stauffenberg, ten sam który 20 lipca 1944 r. dokonał nieudanego zamachu na Hitlera), 2 dywizję lekką oraz 29 dywizję zmotoryzowaną, wreszcie 18 i 19 dywizje piechoty.

Na północnych przedpolach Warszawy doszło do ciężkich walk. 21 września 1 Batalion 30 p.p., wysunięty pod Młociny niespełna półtorej doby wcześniej, ułatwiający przebiec się 25 dywizji do miasta, poniósł ciężkie straty koło wsi Placówka, a jego dowódca, mjr Kamiński poległ; dywizja polska przebiła się jednak do Warszawy. Po ciężkich walkach dotarła do Bielan również i 15 dywizja piechoty. Niemcom jednak udało się zająć rejon Młocin, a bardziej na północ przeciwnik podsunął się pod Kazuń i Palmiry. Stąd przebiegała się ku Warszawie grupa generała Bołtucia. 22 września o świcie zaatakowała ona pozycje obronne niemieckiej 18 dywizji pod Łomiankami

⁷⁶ W tekście Moczulskiego o obronie Warszawy w 1939 r. nie mogło zabraknąć osobnego akapitu nt. gen. Abrahama, z którym Moczulski był blisko związany. Dr Roman Abraham był jednym z liderów nieformanego nurtu niepodległościowego, który obejmował część środowiska kombatanckiego (głównie b. żołnierzy AK), funkcjonującego w PRL. W dalszej części niniejszego wyboru postać gen. Abrahama pojawi się jeszcze nieraz.

Górnymi; wróg został tutaj dosłownie rozniesiony na bagnietach. Przeciwnik podciąga jednak coraz to nowe siły, a natarcie polskie jest coraz trudniejsze. Mimo to oddziały gen. Bołtucia wdzierają się do Łomianek, dochodząc do kościoła. Tutaj jednak szturm zostaje zahamowany, choć niezwykle krwawa dla obu stron walka trwa nadal. Dysponujący ogromną przewagą przeciwnik podciąga nowe siły. Od zachodu, na tyły polskie, ruszają do ataku oddziały 29 dywizji zmotoryzowanej. Polacy zostają otoczeni, a w śmiertelnym boju toczonym aż do wieczora, zgrupowanie gen. Bołtucia rozbite. On sam ginie bohatersko w walce, z bagnietem w ręku atakując wroga⁷⁷. Nielicznym tylko grupom żołnierzy polskich udaje się przedostać do Warszawy.

Kończą się walki na przedpolach, jeszcze 19 września na rozkaz Hitlera gen. Blaskowicz, dca 8 armii niemieckiej, kieruje swe dywizje koncentrycznie na Warszawę. Kończy się czas oblężenia – zaczyna – okres generalnych szturmów na Warszawę.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

Epos 28 dni

SZTURM GENERALNY WARSZAWY I KAPITULACJA MIASTA⁷⁸

Spowite dymem pożarów miasto wiedziało, że jego los musi się dopełnić. W tę samą „czarną niedzielę” 17 września⁷⁹, kiedy pociski niemieckich armat zza Wisły zapaliły Zamek Królewski, rząd Składkowskiego nocą pośpiesznie ewakuował się do Rumunii, a następnego dnia przed świtem most na Czeremoszu przeszedł Śmigły-Rydz⁸⁰.

⁷⁷ W tekście Moczulskiego roi się od zapomnianych dzisiaj epizodów. A przecież bohaterska śmierć gen. Mikołaja Bołtucia na szaniecach Warszawy jest równie heroiczna, jak śmierć gen. Józefa Sowińskiego, upamiętniona w wierszu Słowackiego i na obrazie Kossaka. Cechą charakterystyczną wszystkich tekstów Moczulskiego opisujących kampanię wrześniową jest (prowadzona, oczywiście nie wprost, z przyczyn cenzuralnych) polemika z komunistyczną propagandą. Wedle tej propagandy Polacy w 1939 r. (a szczególnie kadra dowódcza) całkowicie zawiedli (co pośrednio miało usprawiedliwiać agresję sowiecką 17 Września i twierdzenie, że w tym czasie państwo polskie już nie istniało).

⁷⁸ „Stolica” z 1968 r., nr 37.

⁷⁹ „Czarna niedziela” 17 września – wyraźna aluzja do agresji sowieckiej, chociaż z przyczyn cenzuralnych nie można było o tym wprost napisać.

⁸⁰ Moczulski wyraźnie dystansuje się tu od komunistycznych kłamstw nt. rzekomej ucieczki polskich władz „zaleszczycką szosą”, zaznaczając zresztą, że ewakuacja odbyła się przez most w Kutach. W *Wojnie Polskiej 1939* (mówimy oczywiście o jej pierwszym, krajowym wydaniu z 1972 r.) Moczulski podaje (s. 456), że autorem terminu „szosa zaleszczycka” był jeden z przywódców narodowej demokracji Stanisław Stroński, który właśnie tą drogą opuścił Polskę i to już 14 IX 1939 r. *Tworząc ten termin Stroński podświadomie oparł się na własnym wspomnieniu: sam wyjechał z Polski przez Zaleszczyki i przypuszczał, że później inni uczynili to w tym samym miejscu.*

Kończyła się bitwa nad Bzurą i niemieckie dywizje mogły zawrócić ku Warszawie. 19 września gen. Blaskowitz, dowódca 8 armii, wydał rozkazy kierujące siły niemieckie na miasto: między linią kolejową na Włochy aż po Wisłę pod Młocinami miał zgrupować się do uderzenia XI korpus, posiadający w pierwszym rzucie trzy dywizje piechoty: 18 d.p. od strony Żoliborza, 19 d.p. od strony Woli i 24 d.p. ugrupowaną pomiędzy nimi. Na południe od linii kolejowej, aż za Wilanów, rozciągał się pas natarcia XIII korpusu; w pierwszym rzucie atakować miał on 31 d.p. na Ochotę, 10 d.p. na górnym Mokotowie i 46 d.p. na dolnym Mokotowie i Czerniakowie; tuż za dywizjami piechoty, po osi Puławskiej, miała posuwać się 3 dywizja lekka. Obok tych sił, w dalszych rzutach, skupiono na zachód od Warszawy 17 d.p., 1 d. lekką, 29 d. zmot. i 1 d. pancerną.

W sumie na zachodnim brzegu Wisły do akcji przeciwko Warszawie Niemcy przygotowali 7 dywizji piechoty, 1 dywizję zmotoryzowaną, dwie lekkie i jedną pancerną. Na wschodnim brzegu rzeki siły wroga były mniej imponujące, lecz również potężne. Działała tutaj 3 armia Kücklera. Jej II korpus, obsadził odcinek między Wisłą a linią kolejową do Radzimina, 31 d.p. miała uderzyć na Annopol i Pelcowiznę, zaś 217 d.p. przez Zacisze na Targówek. Natomiast I korpus otrzymał zadanie atakowania 61 d.p. pomiędzy liniami kolejowymi na Radzimin i Mińsk Mazowiecki, zaś 11 d.p. na Grochów i Saską Kępę. Szturm naziemny wspierano zmasowanymi uderzeniami praktycznie wszystkich sił Luftwaffe: 1 flota powietrzna otrzymała rozkaz zburzenia Pragi, 4 flota powietrzna – lewobrzeżnej Warszawy.

Obrona stolicy została też poważnie wzmocniona. Na Pragę przybyły, obsadzając pozycje obronne 8 i 20 dywizje, dowodzone przez gen. Zulaufą, który objął komendę nad całością sił w prawobrzeżnej Warszawie. Ponadto do miasta przybyły znad Bzury siły gen. Kutrzeby, który objął stanowisko zastępcy dowódcy armii „Warszawa”, gen. Rómmla. Siły te obejmowały dwie dywizje piechoty 15 i 25 d.p., oddziały z niektórych innych dywizji, wreszcie zgrupowanie kawalerii gen. Abrahama: Wielkopolską i Podolską brygadę kawalerii. Wzmocniono też stany walczących wcześniej w stolicy oddziałów, sformowano jednostki ochotnicze. W sumie garnizon stolicy posiadał ok. 160 tys. żołnierzy regularnych i ochotniczych oddziałów, przy czym stan jednostek bojowych był niższy, gdyż obejmował 120 tys. ludzi.

Miasto było spokojne i gotowe na ostatni bój. „Ludność Warszawy – ocenił Stefan Starzyński – przyzwyczała się do nalotów... bombardowanie wywołuje raczej zawziętość i chęć szybszego odwetu aniżeli załamanie duchowe. Straty zarówno materialne, jak i w ludziach są bardzo duże, a setki osób pozostaje bez dachu nad głową... Jednakowoż przyjmowane jest to jako konieczność wynikająca z akcji bojowej. Ludność gotowa jest ponieść dalsze ofiary, cierpliwie wyczekując zwycięstwa... Ludność nie myśli o działaniach ofensywnych na mniejszą czy większą skalę. Jednak takich, które by zaspokajały tkwiącą w odważnych duszach mieszkańców stolicy potrzebę akcji bojowej, a nie jedynie obronczej... Oczekuje na nią z utęsknieniem. Wstrząs, który przesłała Warszawa pod wpływem grozy i lęku, alarmów radiowych płk. Umiastowskiego, nie-

zwykle raptownej ewakuacji wszystkich urzędów oraz formy, w jakiej ta ewakuacja się odbywała, na szczęście nie pozostawił wśród ludności uczucia strachu. Wywołał natomiast rozgoryczenie trwające po dziś dzień, które zneutralizowane być może tylko najdalej idącym poświęceniem obecnych władz, które w ten sposób zatrzeć potrafią w umysłach obywateli uczucie pozostawienia ich bez opieki, na pastwę złego losu...”.

Jeszcze w trakcie skupiania się dywizji niemieckich pod Warszawą, Niemcy rozpoczęli huraganowym ogniem artylerii ostrzeliwać miasto i bombardować je z powietrza, aby w ten sposób złamać wolę obrony. 23 września pociski artyleryjskie i bomby zadały straszliwe straty na ulicach: Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście i pl. Trzech Krzyży. Uszkodzono kable elektryczne i w mieście zgasło światło, zbombardowane wodociągi przestały dostarczać wodę... To wszystko było jeszcze niczym w porównaniu z piekłem, które rozszalało się w poniedziałek 25 września, który do tradycji Warszawy przeszedł jako „lany poniedziałek”. Przez cały dzień 288 dział ze wschodniego i 675 dział z zachodniego brzegu Wisły huraganowym ogniem ostrzeliwały miasto, wszystkie dzielnice bez wyjątku, ulica po ulicy, kwartał po kwartale. Równocześnie wszystkie zdolne jeszcze do latania i zrzucania bomb samoloty Luftwaffe raz po raz nadlatywały falowo na miasto, aby po zrzuconiu śmiercionośnego ładunku zawrócić na pobliskie lotniska po nowe bomby – i tak wielokrotnie w ciągu dnia. Bombardowano dosłownie wszystko: domy i ulice, kościoły i muzea, oznaczone czerwonymi krzyżami szpitale... Było to pierwsze w historii świata bombardowanie dywanowe, którego celem było zniszczenie wszystkiego, co jeszcze żyje, zdruzgotanie wszystkich domów, rozbicie wszystkich ulic... Jeśli się to Niemcom nie udało, zasługa polskich armat przeciwlotniczych i karabinów maszynowych, które odganiały swym ogniem wraże samoloty; 10 z nich, trafionych celnymi pociskami, zapaliło się nad miastem.

W szalejącym piekle, wśród eksplodujących bez przerwy bomb i pocisków artyleryjskich, ludność stolicy nie pozostała bierna. Pod bombami odgrzebywano zasypanych, wraz ze strażą pożarną gaszono pożary, choć brakowało wody, zrzucano z dachów bomby zapalające, nim zdołały narobić szkody, ratowano rannych i kontuzjowanych. Lekarze sanitariuszki wydobywali z siebie wszystkie siły, ratując rannych, operując w szpitalach, na które sypały się bomby... Hart ludności miasta, jej poświęcenie sięgnął najwyższych granic, jakie tylko sobie można wyobrazić...

Równolegle trwały ataki niemieckie na obronne pozycje miasta. Jeszcze w nocy z niedzieli na poniedziałek oddziały 19 dywizji niemieckiej wsparte huraganowym ogniem artylerii, zaatakowały batalion 26 p.p. mjr. Decowskiego w Babicach (obecnie Bemowo). Przeważający wielokrotnie wróg wdarł się do środka osiedla, lecz przeciwnatarcie polskie zmusiło Niemców do odwrotu. Po krótkiej przerwie znów 19 dywizja ponowiła ataki. Dopiero w nocy z poniedziałku na wtorek, przeciwnik wyparł wreszcie, okupując to wysokimi stratami, batalion Decowskiego, zdobywając Babice.

Również przed poniedziałkowym świtem 18 dywizja niemiecka zaatakowała polskie linie na Bielanych, bronione przez 60 p.p. (z 25 d.p.) pod dowództwem płk. Mał-

ka oraz pozycje 3 p.p. (z 15 d.p.) płk Popka na Wawrzyszewie. Ataki wroga załamały się w celnym ogniu polskiej obrony. Wczesnym rankiem 31 d.p. niemiecka zaatakowała też rejon Dworca Zachodniego; broniący się tutaj II batalion 40 p.p., a zwłaszcza 6 kompania por. Ziemby, z trudem tylko odpierała ataki przeważających sił wroga. Wówczas na pomoc pośpieszył dowódca odcinka, mjr Kassian, kontratakując na czele 5 kompanii 40 p.p. por. Jelenia. Wróg został wyparty, lecz dzielny major Kassian, ciężko ranny, zmarł w szpitalu Ujazdowskim. Inny atak niemiecki na ul. Opaczewską załamał się w ogniu kompanii 41 p.p. kpt. Łodygowskiego, tej samej, która taką krwawą łaźnię sprawiła czołgom niemieckim 9 września. Na Mokotowie niemiecka 10 dywizja potężnym uderzeniem zdobyła Królikarnię. Dowódca pododcinka, ppłk Galiński, na czele żołnierzy z 27 d.p. (której resztki przebiły się do Warszawy) kontratakował; toczyły się niesłychanie zażarte walki, ppłk Galiński został ciężko ranny (zmarł następnie), lecz Królikarni nie dało się odbić. Powstrzymano jednak dalsze natarcie przeciwnika. Również załoga fortu mokotowskiego odrzuciła natarcia niemieckie. Poniżej skarpy bohatersko bronił się dowodzony przez por. Pietrzyka fort czerniakowski, obsadzony przez plutony batalionu ochotniczego im. Ordona, odpierając wszystkie ataki niemieckie, zaś kpt Zbijewski ze swym oddziałem partyzanckim (działającym poprzednio na tyłach niemieckich) odrzucił wszystkie uderzenia na Czerniaków.

Również na prawym brzegu Wisły ataki niemieckie nie miały powodzenia. Tylko na Saskiej Kępie i na Utracie oddziałom 1 i 61 dywizji udało się przejściowo wtargnąć do pozycji polskich, lecz żołnierze 336 pułku ppłk Kotowskiego i 26 pułku ppłk Węgrzyna natychmiast kontratakiem odrzucili wroga, zadając mu ciężkie straty.

Właściwy szturm generalny rozpoczął się we wtorek. Dywizje niemieckie o świcie uderzyły całością swych sił. Ich zadaniem było zdobycie miasta w ciągu jednego dnia; taki był rozkaz Hitlera, który w poniedziałek przybył pod Warszawę.

Głównym kierunkiem niemieckiego uderzenia była Ochota, gdzie Niemcy już w nocy rozpoczęli serię ataków. Dowódca obrony lewobrzeżnej Warszawy, płk Porwit, postanowił przeciwdziałać czynnie. Przed świtem I batalion 56 p.p. pod dowództwem mjra Legutki uderzył na Niemców wzdłuż linii kolejki EKD. W ciemnościach nocy – oświetlanych tylko feerią rakiet przeciwnika i podpalonymi przez Niemców domami – żołnierze polscy atakowali nieprzerwanie, na wysokości glinianek skierniewickich rozzerwali linię obronną wroga i dotarli aż do wsi Szczęśliwiec. Niemcy skupili przeciwko polskiemu batalionowi, wykrwawionemu już w bojach nad Bzurą i w Kampinosie, cały 82 pułk Piechoty; powstrzymał on natarcie polskie i mjr Legutko wycofał swych żołnierzy na ul. Szczęśliwicką. Polskie przeciwnatarcie opóźniło szturm wroga; dopiero o 9.00 rano 31 dywizja uderzyła na Ochotę. Po wielogodzinnej walce udało się Niemcom odnieść pewien sukces, zdobyli parowozownię przy Dworcu Zachodnim. Dowódca tego odcinka kpt. Neugebauer nie miał już odwodów, aby wyprzeć wroga. Wówczas dowódca 40 p.p. ppłk Kalandyk organizuje specjalny oddział szturmowy, którego dowództwo powierzą por. Pacak-Kuźmierskiemu. Oddział ten o zmierzchu

rusza na parowozownię, w pierwszym uderzeniu wdzierają się do środka, część Niemców wybija, innych rozprasza: utracony obiekt został odbity!

Innym szczególnie dramatycznym epizodem szturmów jest obrona fortu czerniakowskiego przez ochotnicze plutony batalionu im. Ordona. Najpierw odpierają one oddziały 46 sudeckiej dywizji na przedpolu fortu, potem bronią mostku i domu mieszkalnego tuż przy nim, a gdy przeważającym siłom przeciwnika udaje się wreszcie przedostać na staroświeckie forteczne wały, Polacy walczą wewnątrz kazamatów. Nie mogą zdobyć fortu, wróg wysadza go w powietrze wraz z częścią obrońców. Pada także punkt oporu na Czerniakowie, a dowodzący tutaj kapitan Zbijewski woli odebrać sobie życie, niż zejść z placówki. Pod skarpą, w kierunku Królikarni naciera spieszony dywizjon 2 pułku szwoleżerów; jego dowódca rotmistrz Wieniawski ginie bohatersko.

Na wszystkich innych odcinkach przebieg walki ma niemal ten sam charakter. Zmasowane ataki niemieckie, wsparte huraganowym ogniem artylerii i nieprzerwanymi uderzeniami bombowców, gesty tyraliery wroga, z działami nacierającymi w szwach piechoty, szturm rusza raz po raz – i załamuje się w ogniu polskiej obrony. Niemcy ponawiają natarcie – i znów zachłystują się ogniem polskie cekaemy, plują armaty przeciwpancerne i połowę... Wszystkie uderzenia wroga załamują się...

Noc mija spokojnie. Niemcy nie są zdolni do nieprzerwanego wysiłku, podciągają nowe zapasy amunicji, uzupełniają straty. W środę rano szturm generalny zostaje wznowiony. Już jednak impet niemiecki jest nieco mniejszy, wróg stracił wiele krwi i jeszcze więcej animuszu. Na Bielanach 18 dywizja piechoty zostaje powstrzymana przez polski 60 pułk, na Burakowie 59 pułk odrzuca wroga, który z wyraźnym respektem odnosi się do polskiej obrony. Mjr Józef Skwarnicki z batalionem 144 pułku trzyma dzielnie fort Bema, na wysuniętych pozycjach pod Bliznem i Chrzanowem, nie dopuszcza ogniem nieprzyjaciela, który nie może się zbliżyć nawet na odległość szturmową. Na Ochocie, po wieczornym i nocnym przeciwuderzeniu polskim, walki trwają nieprzerwanie aż do świtu, w kolejnym natarciu zmontowanym przez ppłk Kalandyka atakują Niemców na Szczęśliwickiej i Opaczewskiej bataliony 29 pułku majorów Kubosza i Wodeckiego. Rankiem walki trwają, lecz Niemcy nie są zdolni do podjęcia generalnego szturmów na dzielnicę, polskie kontrataki uniemożliwiają im planowe działanie. Również na Pradze nowy szturm niemiecki załamuje się...

Zbliża się południe tej krwawej środy 27 września. Wokół całej Warszawy, na wszystkich liniach obronnych, trwa mordercza walka. Impet niemiecki słabnie coraz bardziej, szturm wroga na Warszawę załamuje się...

Przed samym południem pod Sielcami rusza do kontrataku polski 62 pułk ppłk Heilman-Rawicza; akcją kieruje osobiście nowy dowódca obrony Mokotowa, ppłk Daniec. Na Belwederskiej dochodzi do morderczego starcia, sudecka 46 dywizja wytęży wszelkie siły, aby powstrzymać Polaków. Do ataku rusza batalion ppłk Smolarza z 145 p.p. W starciu na bagnety piechurzy rozbijają Niemców. W tym samym czasie na Grochowie ppłk Sosabowski podrywa do ataku swój 21 pułk „Dzieci Warszawy”.

Walka trwa – i nagle: cisza. 27 września o godz. 12.00, w samo południe milkną strzały. Nad miastem zalega – po raz pierwszy od ilu dni? – cisza. Przywykłym do nieustannego huku, kanonady artyleryjskiej, eksplozji bomb i granatów – ta cisza aż wierci bębni w uszach. Przez miasto rozchodzi się ponura wieść: kapitulacja...

Kapitulacja? Gdy został odparty niemiecki szturm, gdy wróg nie może zdobyć Warszawy? Żołnierze burzą się, odmawiają wykonania rozkazu, cywile protestują głośno, na Cytadeli dochodzi do formalnego buntu. Wszyscy chcą walczyć, nikt nie chce kapitulować...

Kapitulować jednak trzeba, dalszy opór stracił swój sens. Zniszczone są warszawskie filtry, brakuje wody, groźba epidemii zawisła nad miastem... Dalsza walka nie ma już celu, prowadzi tylko do nowych, strasliwszych zniszczeń Warszawy. Jeszcze we wtorek 26 września wieczorem zebrała się Rada Wojenna, w której obok generałów Rómmela, Kutrzeby i Czumy oraz prezydenta Starzyńskiego udział wzięli gen. gen. Tokarzewski, Knoll-Kownacki, Artur, Zulauf, pułkownicy Porwit, Lawicz, Tomaszewski, Pragłowski, ppłk Lipiński, a także Artur Śliwiński, Mieczysław Niedziałkowski, Zygmunt Zaremba, Andrzej Wierzbicki. Po dłuższej naradzie, w poczuciu pełnej odpowiedzialności za losy miasta – zapadła tragiczna decyzja: kapitulujemy...

Z propozycją zawieszenia broni udaje się na stronę niemiecką kpt. Wojciechowski. Następnie, rano 27 września, opuszcza Warszawę polska delegacja: gen. Kutrzeba i płk Pragłowski. Najpierw rozmawiają w Sulejówku z dowódcą I korpusu gen. Petzelem, następnie przez Górę Kalwarię jadą na Okęcie, gdzie z kurtuazją przyjmuje ich gen. Blaskowicz. Zostaje zawarte zawieszenie broni, aby umożliwić rokowania kapitulacyjne. Termin ich ustalono na czwartek: obok przedstawicieli wojska, w rozmowach mają brać udział przedstawiciele władz miejskich.

Prezydent Starzyński początkowo nie chciał uczestniczyć w negocjacjach; zamierzał natychmiast przejść do podziemia, aby organizować ruch oporu. Generał Rómmel, komendantem podziemnej organizacji o nazwie Służba Zwycięstwu Polski – mianował gen. Tokarzewskiego⁸¹. Prezydent Starzyński widzi dla siebie tutaj pole do działania.

⁸¹ Jest mi niezręcznie poprawiać Autora, jednak gwoili prawdy historycznej należy podkreślić, że przedstawione tutaj stwierdzenie, jakoby Rómmel mianował gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego komendantem głównym SZP (choć funkcjonuje do dzisiaj w wielu opracowaniach historycznych) jest co najmniej nieprecyzyjne. Sprawy te opisał szczegółowo płk Kazimierz Pluta-Czachowski, ale jego opracowanie na temat początków konspiracji zostało wydane dopiero w 1981 r. Wcześniej funkcjonowało w postaci maszynopisu, który był stale uzupełniany. Został ukończony dopiero w 1970 r. i złożony w redakcji „Małej Encyklopedii Wojskowej”. W 1968 r. był więc prawdopodobnie nieznany Moczulskiemu (który jednak w późniejszych o wiele lat rozmowach ze mną wielokrotnie przedstawiał te fakty zgodnie z tym, jak to opisał Pluta-Czachowski). Otóż prace nad utworzeniem konspiracji zostały rozpoczęte na spotkaniu u prezydenta Starzyńskiego 24 IX 1939 r. Gen. Tokarzewski przedstawił tam referat, który zakładał kontynuowanie walki i utworzenie konspiracji wzorowanej na POW. W myśl tej koncepcji Starzyński miał pozostać na stanowisku prezydenta miasta, zaś dowodzący obroną W-wy Rómmel miał pisemnie przekazać dalsze dowodzenie walką przywódcom konspiracji. Chodziło o to,

Dłatego nie chce uczestniczyć w rozmowach kapitulacyjnych, które ujawnią go przed Niemcami.

Na zmianę decyzji prezydenta wpływa gen. Kutrzeba. – „Ten burmistrz – mówi – który prowadził swoje miasto przez cały czas walki, ten burmistrz, który okazał się bohaterem i żołnierzem, nie może być nieobecny, gdy miasto jego przechodzi pod obcą władzę...”.

Starzyński odparł tylko jednym, krótkim słowem: „Zostaję”. Wiedział zapewne, że zostaje na śmierć.

W czwartek, 28 września o godz. 13.00 w fabryce Skoda na Rakowcu podpisany został przez generałów Kutrzebę i Blaskowitza akt honorowej kapitulacji Warszawy; wszyscy żołnierze mieli być puszczeni do domów, wszystkim oficerom pozostawiano szablę w dowód bohaterstwa, jakim była obrona Warszawy. Po rozbrojeniu garnizonu warszawskiego, Niemcy te swoje zobowiązania, gwarantowane honorem Wehrmachtu, potraktowali jak świstek papieru. Przez cztery dni, od 30 września do 3 października, oddziały polskie po złożeniu broni, długimi kolumnami opuszczały Warszawę. Zachował się niemiecki film propagandowy z tamtych dni. Widać opuszczające stolicę oddziały, maszerujące w ciemną, rozjaśnioną tylko płomieniami noc. Hitlerowski komentator z patosem rzuca słowa (które wiele lat później przy tym samym filmowym kadrze powtórzył jakże nieszczęśliwie polski publicysta). „Sto tysięcy walecznych opuszcza Warszawę!”.

aby akt kapitulacji miasta nie miał cech rezygnacji z walki, a jedynie oznaczał przymusową zmianę formy walki. Karaszewicz-Tokarzewski był naturalnym kandydatem na przywódcę tej konspiracji. 25 IX w podziemiach gmachu PKO w Warszawie powstał zawiązek pierwszej Komendy Głównej SZP. 26 IX na Polach Mokotowskich wylądował samolot wojskowy z mjr Edmundem Galinatem na pokładzie, który przyleciał z Czerniowiec w Rumunii. Przywiózł on m.in. tajną uchwałę rządu RP z 16 IX oraz zarządzenie wydane w zw. z tą uchwałą z 17 IX dot. utworzenia konspiracji w kraju. Jej dowódcę mieli wyznaczyć gen. Walerian Czumę (d-ca obrony miasta) oraz Starzyński (prezydent miasta) *spośród przebywających w Warszawie, a nadających się ku temu, najstarszych oficerów WP*. Galinat przekazał także rozkaz ustny, który otrzymał od Naczelnego Wodza Śmigłego-Rydza: *Zamelduje się pan u najstarszego rangą oficera legionowego. Przekaze mu pan mój rozkaz objęcia dowództwa nad tą organizacją, z tym, że gdyby się później znalazł inny, starszy oficer legionowy, ma mu on przekazać dowództwo*. Galinat przywiózł wreszcie formalny dokument nominacyjny podpisany *in blanco* przez Śmigłego, który został wypełniony na nazwisko Karaszewicza-Tokarzewskiego (b. żołnierz I Brygady Legionów). Zgodnie z postulatem Karaszewicza-Tokarzewskiego 27 IX Rómmel w obecności Starzyńskiego pisemnie przekazał mu dowództwo w kraju. Tajny dokument kontrasygnował także Starzyński (zob. M. Lewandowski, *Kazimierz Pluta-Czachowski, „Kucza”*. *Działalność od 1945 roku w świetle zachowanych materiałów SB*, Warszawa 2022, t. I, s. 308-319). Tak więc stwierdzenie, że to Rómmel wyznaczył Karaszewicza-Tokarzewskiego na komendanta głównego SZP nie odpowiada faktom. Decyzja ta zapadła poza Rómmlem, zaś formalna legitymacja Karaszewicza-Tokarzewskiego opierała się na uchwale rządu i na decyzjach Naczelnego Wodza. Pismo Rómmla zostało wydane w związku z aktem kapitulacji miasta, który podpisał 28 IX gen. Kutrzeba w imieniu gen. Rómmla. Pismo to podkreślało jedynie fakt, że podpisanie kapitulacji miasta nie oznacza zakończenia walki zbrojnej z Niemcami.

To nie było prawdą. Niemiec kłamał. Z Warszawy wyszła tylko część. Prawda jest inna: milion walecznych został w Warszawie, która nie zaprzestała ani na chwilę walki. Epopeja wrześniowa trwała 28 dni. Przed Warszawą było jeszcze 2 tysiące dni walki.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

OBRONA WARSZAWY⁸²

Te trzy tygodnie, gdy osaczana przez wroga Warszawa broniła się z bezprzykładną determinacją i bohaterstwem – słusznie urosły do rangi dramatycznej epopei. Zbyt często jednak patrzymy na obronę stolicy Polski jedynie przez pryzmat bezpośredniej walki, bezpośrednich dokonań, heroizmu i ofiar. Obrona miasta winna być rozpatrywana w innych, szerszych kategoriach: celowości i skuteczności wysiłku, jego wojennych, politycznych i moralnych rezultatów oraz konsekwencji.

1.

Oto kwestia pierwsza: jaką rolę odegrała Warszawa dla działań wojny polsko-niemieckiej z Września 1939 r.? Była to rola większa i mniejsza zarazem, niż sądzi się na ogół. Mniejsza – gdyż zasadnicze walki o Warszawę, absorbujące poważne siły niemieckie, trwały stosunkowo niedługo: tylko w dniach 9–10 oraz 25–27 września. Większa – gdyż obrona Warszawy systematycznie i zasadniczo oddziaływała na całość sytuacji operacyjnej w Polsce, zwłaszcza w przełomowym, węzłowym okresie kampanii, to znaczy w dniach 9 do 18 września⁸³. Po klęsce polskiej poniesionej na wysuniętych

⁸² „Stolica” z 1969 r., nr 35.

⁸³ Z *Wojny Polskiej 1939* (wydanie 2009 r.) wiemy, że Moczulski za przełomową datę uznaje 17 Września. Agresja sowiecka przekreśliła możliwość ofensywy Francji na Zachodzie, a tym samym przesądziła o losach wojny w momencie, gdy trwała jeszcze Bitwa nad Bzurą – „największa bitwa w dziejach świata” (określenie ówczesnej propagandy niemieckiej). Jednak data 17 Września w takim kontekście była niecenzuralna w 1969 r. W *Wojnie Polskiej* (wydanie z 1972 r.) Moczulski musiał kluczyć, aby rolę 17 Września uwypuklić. W rozdziale VIII (*Szosa zaleszczycka*) podkreśla, że z inicjatywą ewakuacji polskich władz do Francji jako pierwszy wystąpił ówczesny ambasador fransuski (9 IX), zaznacza, że Beck opieszale prowadził z Francją rozmowy na ten temat i kończy ten rozdział słowami: *Jest zastanawiające, że mimo ciężkiej sytuacji na froncie dyplomacja polska do dnia 16 września nie używała jeszcze oficjalnego uznania droit de residence od Francji i nie zdążyła nawet wystąpić do Rumunii o udzielenie jej droit de passage* (s. 456–457). Domyślny czytelnik mógł sobie sam odpowiedzieć na pytanie o przyczyny takiej postawy polskich władz. Kolejny podrozdział nosi tytuł *Decyzja radziecka*. Moczulski w ogóle nie komentuje w nim treści noty sowieckiej, jakoby państwo polskie przestało istnieć (s. 464), cytuje kuriozalne stwierdzenie Churchilla, jakoby 17 Września „powstał nowy, potężny front wschodni”, zaznaczając z sarkazmem, że stało się to dopiero 21 miesięcy później (gdy Niemcy napadły na Sowiety), stwierdza, że *wkroczenie armii radzieckiej wpłynęło bez wątpienia negatywnie na*

pozycjach i rozerwaniu frontu – co nastąpiło w pierwszym tygodniu walk – nowy plan polski przewidywał głęboki odskok sił głównych i wyrwanie się ich poza kleszcze rysującego się niemieckiego okrążenia, celem odtworzenia frontu i powstrzymania wroga na nowych, skróconych pozycjach. Manewr ten dokonany miał zostać głównie pod osłoną zwrotu zaczepnego armii poznańskiej i pomorskiej pod kierunkiem gen. Kutrzeby; to zgrupowanie powinno było ściągnąć na siebie i związać główne siły niemieckie, umożliwiając oderwanie się i uporządkowanie gros sił polskich. Otóż zamiar ten powiódł się w wyższym nawet niż liczone stopniu, a poważny udział w tym sukcesie miała obrona Warszawy. Zaczepne działania generała Kutrzeby doprowadziły do tego, że niemal całość głównych sił niemieckich posuwających się ku linii środkowej Wisły i szykującej, aby przez tę rzekę rozpocząć ostateczną ofensywę na wschód – została zawrócona na zachód, do bitwy nad Bzurą. Tocząc tę ogromną batalię, Niemcy posiadali na swych tyłach silny garnizon Warszawy, którego sama obecność ograniczała ich swobodę działania operacyjnego. Aby więc zabezpieczyć się, niemieckie naczelne dowództwo zostało zmuszone do skierowania przeciwko Warszawie, od strony Pragi, swe główne zgrupowanie frontu północnego – 3 armię gen. Küchlera. Konsekwencje tego manewru były nadzwyczaj doniosłe; tym samym Wehrmacht utracił możliwość skutecznego wykonania kolejnego niemieckiego planu działań, przewidującego otoczenie wojsk polskich na wschód od Wisły zbieżnymi działaniami z północy i południa: kleszcze północne zatrzymała Warszawa. Działania polskie w obszarze kutnowsko-warszawskim zadecydowały też, że w dniu 14 września Niemcy utracili przejściowo inicjatywę strategiczną, odzyskując ją dopiero po 3–4 dniach.

2.

Oto kwestia druga: jaką funkcję polityczną na arenie międzynarodowej odegrała obrona Warszawy? Jak wiadomo, w nocy z 17 na 18 września szosą wyżnicą biegnącą z Kut do Rumunii rząd gen. Sławoj-Składkowskiego opuścił terytorium Rzeczypospolitej; w ciągu następnych dni – już na terenie Rumunii – doszło do gorszących wydarzeń, do walki o władzę i rozgrywek pomiędzy endeckimi, chadeckimi i sanacyjnymi prominentami II Rzeczypospolitej⁸⁴. W rezultacie przejściowo doszło do tego, że walcząca

rozwój sytuacji wojennej w Polsce (zaznaczając, że jest to prawda wyłącznie emocjonalna, bowiem los Polski został przesądzony w momencie, gdy Francuzi i Brytyjczycy 12 IX w Abbeville podjęli decyzję o nierozpocznaniu ofensywy 15-tego dnia od wypowiedzenia wojny Niemcom) i podkreśla, że 17 IX opór polski jeszcze trwał i trwać będzie jeszcze dalszych 20 dni, do 6 października. W przypisie zaś cytuje odważne uwagi... Wojciecha Żukrowskiego nt. 17 Września, które już zostały wydrukowane w oficjalnym piśmie i cenzura nie mogła się do nich w książce Moczulskiego przyczepić (s. 465).

⁸⁴ Mamy tu wyraźne nawiązanie do intryg opozycji antysanacyjnej, które doprowadziły do interwencji polskiego kierownictwa państwowego w Rumunii i niedopuszczenia, aby przedostało się ono do Francji i kierowało dalszą walką. Osobistą odpowiedzialność za zamach stanu, do którego doszło we wrześniu 1939 r. w trakcie śmiertelnej wojny ponosił gen. Władysław Sikorski, który opuścił wal-

Polska pozbawiona została faktycznie władz państwowych. W ówczesnej sytuacji międzynarodowej narosła realna groźba, że mocarstwa zachodnie uznają się za zwolnione z politycznych zobowiązań sojuszniczych wobec Polski, że uznają fakt unicestwienia Rzeczypospolitej i przerwą wojnę z Niemcami. Otóż ani Paryż, ani Londyn – a także Berlin i inne stolice – nie były w stanie uznać, że Rzeczpospolita upadła ostatecznie, tak długo – jak długo broniła się Warszawa. Stolica, jej walka, jej głos na falach eteru stanowiły widomy dowód, że Polska, że państwo polskie istnieje, bo trwa i walczy⁸⁵.

Dni obrony Warszawy liczyły się za lata. Kapitulacja miasta nastąpiła już po przybyciu gen. Sikorskiego do Paryża i uznaniu w nim przez zachodnich aliantów szefa władzy państwowej Polski.

3.

Wreszcie kwestia trzecia: jakie znaczenie narodowe i moralne miała wrześniowa walka Warszawy? Już od pierwszej godziny wojny oczy całego narodu zwróciły się na stolicę. Komunikaty nadawane przez radiostację warszawską docierały wszędzie i stały się ważkim czynnikiem integracji społecznej. Gdy pod koniec pierwszego tygodnia kampanii, w przerażających dniach klęski 6–8 września łamały się nie tylko dywizje i fronty, lecz ludzkie serca i dusze, a wydawało się, że w dymie i ogniu pożarów zamierają resztki nadziei – głos i czyn Warszawy stał się moralnym czynnikiem przełomu. Odparcie czołgów niemieckich u bram miasta, klęska zadana niemieckiej dywizji pancerniej – wieść o tym, niczym błyskawica obiegła cały kraj. A więc wroga można powstrzymać, a więc nie wszystko stracone! Liczne wspomnienia i relacje ukazują, jak wieść o tym pierwszym sukcesie Warszawy wlewała nową krew w żyły, pobudzała do szybszego rytmu serca. Słabnące ręce znów mocniej chwyciły karabin, bo nie wszystko jeszcze zostało stracone. Zryw armii polskich z początku drugiej dekady września stanowił rezultat nie tylko nowych planów i rozkazów, lecz owego przełomu moralnego, dokonanego w znacznej mierze pod wpływem sukcesu obrony Warszawy.

Później przyszedł drugi kryzys, straszliwszy od poprzedniego⁸⁶. Wódz Naczelny i rząd opuścili kraj, sojusznicy zawiedli. Lecz Warszawa trwała i jej głos na falach eteru był sygnałem, że walka nie jest skończona. Jakby przyciągani jakimś magicznym magnesem, żołnierze zaczęli kierować swe kroki ku walczącej Warszawie. Tutaj przebiwały się dywizje pokonane nad Bzurą. Tutaj, znad dalekiej Prypeci ruszyło ostatnie polskie zgrupowanie

czący kraj w nocy z 17 na 18 IX (przez Kutry, mijając w drodze członków polskiego rządu), udał się do Rumunii, gdzie przebywał do 22 IX, intensywnie konferując z Francuzami oraz przedstawicielami opozycji antysanacyjnej, po czym – w towarzystwie francuskiego ambasadora – wyjechał do Paryża.

⁸⁵ Mam tu zawołowaną polemikę (polemika wprost była niemożliwa z powodów cenzuralnych) z tezami noty sowieckiego rządu, jaką 17 IX 1939 r. wręczono w Moskwie ambasadorowi Grzybowskiemu, jakoby państwo polskie w dniu 17 IX nie istniało.

⁸⁶ I znowu Autor nie mógł napisać wprost, co było głównym powodem drugiego, straszliwszego kryzysu Wojny Polskiej 1939, gdyż temat agresji sowieckiej stanowił w tym czasie tabu.

operacyjne tej kampanii, grupa operacyjna generała Kleeberga. Tutaj początkowo skierował się też pierwszy oddział partyzancki, zgrupowanie „Hubala” – Dobrzańskiego.

Obrona Warszawy, która przyniosła zniszczenia i ofiary, dała jednak społeczeństwu kapitalny ładunek siły. Warszawa upadła – po trzech tygodniach walki, po powstrzymaniu milionowej armii niemieckiej! Zanikł wprawdzie ów doraźny cel: śpieszyć na pomoc Warszawie, lecz pozostał przykład, a nawet coś więcej: nakaz, kategorię, imperatyw, jak należy walczyć z wrogiem.

U progu polskiego i ruchu oporu, tak potężnego i masowego, że nie ma on precedensu ani w innych epokach historycznych, ani w innych stronach świata – legła właśnie wrześniowa obrona Warszawy. Z jej ducha wywieść należy jeżeli nie wartości, to w znacznej części ową determinację i heroizm Polski Podziemnej i Polski Walczącej – na wszystkich możliwych frontach drugiej wojny światowej.

Są czynniki uchwytnie i kategorie nieuchwytnie. Są fakty materialne i są imponderabilia. W tym pierwszym zakresie rola Warszawy była ogromna. Bez porównania większa stała się ona w kategoriach nie nadających się do precyzyjnego zobrazowania. Imponderabilia warszawskiego września stały się swoistym akumulatorem, magazynującym napięcia duchowe narodu na potrzeby przeszłych lat wojny. Więcej – nabrały one charakteru jakiejś siły motorycznej. Raz jeszcze, pełniej niż poprzednio, sprawdzały się słowa poety – „Warszawa jedna twojej mocy się uraga...”.

Warszawski Wrzesień. Ileż siły czerpiemy z niego jeszcze dziś, ile czerpać będziemy jutro! W tym leży główny sukces heroicznej obrony, owych trzech tygodni – długich jak lata i starczających na lat dziesiątki.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

SEN NOCY WRZEŚNIOWEJ. *RELATIONES PRZYPKOWIENSIS*⁸⁷

Któż w Polsce nie słyszał o Tadeuszu Przypkowskim⁸⁸! *Persona grata et oblectata, directeur en chef*⁸⁹ ufundowanego przez siebie *Musaeum Publicum a nomine Familiae Przy-*

⁸⁷ „Stolica” z 1969 r., nr 48. Niecodzienna w formie i bardzo stanowcza krytyka twierdzeń Przypkowskiego ze strony Moczulskiego jest zrozumiała. Stefan Starzyński, żołnierz I Brygady, piłsudczyk, współzałożyciel SZP, bohaterski prezydent Warszawy w 1939 r., zamordowany następnie przez Niemców, był dla nn postacią bardzo ważną a jego symboliczny grób na Cmentarzu Powązkowskim był otoczony kultem w czasach PRL zarówno przez współpracowników sprzed wojny, jak i przez ludność miasta. Pewne, bliżej nieokreślone kontakty z nn miał jego zastępca Julian Kułski (zm. w 1976 r.). Atak na pamięć o Starzyńskim w 30. rocznicę Września został odebrany przez ludzi z nn-u b. osobiście.

⁸⁸ Tadeusz Przypkowski (1905-1977) – historyk sztuki, kolekcjoner, znawca zegarów słonecznych, pochodzący z Jędrzejowa.

⁸⁹ *Miła i sympatyczna osoba, dyrektor i szef* (łac.).

*pkowski vocatum*⁹⁰, Wielki Mistrz Zakonu Bibliofilskiego, Kanclerz Kapituły Orderu Białego Kruka, posiadacz kont otwartych w wielkich bankach Londynu, Paryża i Jędrzejowa (woj. kieleckie). Nikt nie wie, czy jest lepszym kucharzem czy smakoszem, czy większym facejonistą, czy też koloryzatorem. Ponadto człowiek absolutnie *bien*⁹¹.

Otóż ostatnio Tadeusz Przytkowski w całym blasku autorytetu swego naukowego tytułu docenta doktora hab. rzucił w Polskę swój najnowszy dowcip. *Ex ungue leonem* – poznać lwa po pazurach, a żart po autorze. W najnowszym numerze „Wojskowego Przeglądu Historycznego”, skądinąd jednego z najlepiej redagowanych pism w kraju, ukazały się skromne wspomnienia Tadeusza Przytkowskiego z września 1939 r., kiedy to nasz bohater pełnił urząd czegoś w rodzaju sekretarza d/s reprezentacji u Stefana Starzyńskiego. Skrzące się od dowcipu *relationes przytkoviensis*⁹² przez pomyłkę zapewne umieszczono w rubryce „materiały”, a nie „krotochwile”. Przedmiot facecji wydaje się wprawdzie być wybrany nie całkiem szczęśliwie, przynajmniej w opinii niżej podpisanego, lecz *de gustibus non est disputandum*⁹³.

*Revenons a nos mouton*⁹⁴. Tadeusz Przytkowski w swej *récit fantastique*⁹⁵ zamieszcza dramatyczny fragment, który zresztą – jak się jeszcze okaże – zrobił wkrótce prasową furorę. Rzecz dotyczy nocy wrześniowej, a rolę zasadniczą w całej fabule gra butelka wyśmienitego *Dimpley sec*⁹⁶, choć pewne znaczenie ma również sok pomidorowy z Pudliszek, sownie wzbogacony domieszką najzwyczajszego trójgwiazdkowego koniaku, całkiem *le plus ordinaire*⁹⁷. Nieuważny czytelnik, który przy lekturze wspomnień Przytkowskiego przeoczył te bachaliczne szczegóły, może mieć – o, *sancta simplicités!*⁹⁸ – pretensję do siebie samego.

Spróbujmy nieudolnym piórem streścić dramatyczne przeżycia wrześniowej nocy. Odstawiwszy Pudliszki, skłoniwszy głowę na pęku obić, którymi swego czasu przysstrajano apartamenty Ribbentropa, Tadeusz Przytkowski zasypia. I oto zaczynają działać się dziwy.

Gwałtownie obudzony, słonecznozegaroznawca zrywa się i patrzy na swój chronometr z breloczkiem z rogu dzika. Jest godzina 23.30, dzień 6 września 1939 zbliża się ku końcowi. Przytkowskiego wzywają do gabinetu szefa. Jest tam jakiś generał w rozchełstany mundurze. Krzyczy, domagając się, aby Starzyński wydał rozkaz.

⁹⁰ Muzeum Publiczne im. Rodziny Przytkowskich (łac.). Tadeusz Przytkowski był dyrektorem tego państwowego muzeum.

⁹¹ *Dobry* (łac.).

⁹² *Relacje Przytkowskiego* (łac.).

⁹³ *Nie ma potrzeby spierać się o gusta* (łac.).

⁹⁴ *Wróćmy do naszych owiec* (łac.).

⁹⁵ *Fantastycznej historii* (łac.).

⁹⁶ Rodzaj whisky.

⁹⁷ *Najzwyczajniejszy* (łac.).

⁹⁸ *O święta naiwności* (łac.).

Wojskowi mogą wydawać rozkazy tylko wojskowym, cywilami komenderują cywile. Generał żąda więc, aby Starzyński wydał rozkaz wszystkim mężczyznom w Warszawie do natychmiastowego opuszczenia miasta. Prezydent nie chce. Dramat narasta, lada chwila dojdzie do wybuchu. Zręcznie rzucone *bon mot*⁹⁹ Przypkowskiego rozładowuje sytuację. Starzyński ulega. Dla pośpiechu, aby nie tracić czasu na podejście do biurka, opierając jakiś karteluszek o ścianę, pisze składający się z kilkunastu słów rozkaz. Czarny charakter tej historii – generał w rozchełstany mundurze – zwyciężył. Prezydent Warszawy pod jego presją nakazuje mężczyznom opuścić stolicę.

Akcja zaczyna toczyć się coraz szybciej. Starzyński poleca Przypkowskiemu zawieźć kartkę z rozkazem natychmiast do Radia. Nasz relacjonista wbiega do sekretariatu. Urzędująca tam pani bez słów domyśla się, o co chodzi. Milczącym gestem wskazuje, że samochód, który ma umożliwić Przypkowskiemu realizację jego dramatycznej misji – już czeka pod parą.

Na mrocznym korytarzu sekretarz prezydenta odbywa berdyczowski pojedynek. Biję się z myślami: wypełnić polecenie i oddać rozkaz celem ogłoszenia w Radio, czy też zniszczyć karteluszek i wyjechać do Jędrzejowa? Trafnie przewidując przyszłość, Tadeusz Przypkowski dostrzega dalszy ciąg przyczynowy. Wie, że za lat parę będzie musiało dojść do Powstania Warszawskiego, a w jego następstwie do zagłady miasta. Czy zniszczenie karteluska z rozkazem nie przerwie tego ciągu przyczynowego? Niestety, niczym *deus ex machina* w ciemnej perspektywie korytarza ukazuje się osobisty szofer Starzyńskiego. Jest ubrany w uniform czołgisty. Ma więc przewagę nad Przypkowskim, który parę godzin wcześniej zdjął barwny mundur ochotniczej straży pożarnej i miedziany hełm. Szofer – oczywiście! – wie, o co chodzi. Z tajemniczych źródeł zna treść rozkazu. Zabiera Przypkowskiemu karteluszek, ratując napisany na nim rozkaz Starzyńskiego przed zniszczeniem. Nie zachowując prawideł etykiety, kierowca wsadza bohatera tej opowieści do samochodu. Przypkowski konstatuje jedynie, że znane mu doskonale auto nie wiedzieć czemu zmieniło całkowicie sylwetę.

W Radiu na Zielnej czeka już kilku panów ubranych w pumpy. Wzywają szefa propagandy naczelnego dowództwa płk. Romana Umiastowskiego. Oficer zjawia się z szybkością błyskawicy. Ubrany jest w pumpy. Czy ponadto nosi kurtkę mundurową, order, szablę i ostrogi – nie wiadomo. chwyta karteluszek i odczytuje rozkaz Starzyńskiego. Misja Przypkowskiego jest zakończona. Wraca do ratusza i butelki *Dimpley sec*.

W tym miejscu autor wspomnień zostaje obudzony. Być może, tym razem naprawdę, choć i to nie jest tak całkowicie pewne.

Sen nocy wrześniowej nie jest jedynym epizodem *plus authentique que le récit de baron Münchhausen*¹⁰⁰ we wspomnieniach Tadeusza Przypkowskiego. Polecamy ponadto

⁹⁹ *Dobre słowo* (łac.).

¹⁰⁰ *Bardziej anutentycznym niż przygody barona Münchhausena* (łac.). Münchhausen to niemiecki szlachcic z XVIII wieku, któremu przypisuje się w literaturze wymyślanie niestworzonych historii.

opis sceny, gdy Starzyński pragnie poddać Niemcom – znajdującym się w rzeczywistości o 120 kilometrów od stolicy! – Warszawę; w misji kapitulacyjnej główną rolę odegrać ma Przypkowski. Do jakiegoś drąga czy kija od szczotki relacjonista nasz przymocować ma prześcieradło, na którym swego czasu spał Ribbentrop i tak skonstruowaną białą flagą machać z balkonu warszawskiego ratusza. Albo sceną ucieczki Starzyńskiego ze stolicy i jego zatrzymania w Mińsku Mazowieckim słowami *Quo vadis, Domine?*¹⁰¹ Wreszcie najbardziej tragiczny ewenement, gdy opuszczający być może w nadmiernym pośpiechu Warszawę Tadeusz Przypkowski pozostawia swą jedyną przygotowaną walizkę, a w niej kilka fraków, tak niezbędnych na ewakuacyjnych trasach...

*Se non è vero è male trovato*¹⁰². Oczywiście kiepsko to wszystko wymyślone, lecz zapewne autorowi dowcipu nie chodziło wcale o to, aby ktokolwiek w jego facecję uwierzył. Powtórzmy: *chacun à son gout*¹⁰³, my osobiście nie gustujemy w żartach o takiej tematyce. Sam Przypkowski jednak musiał zdumieć się, gdy przekonał się, jakie echo przyniósł jego dowcip. Gdzie koń nie zdoła, tam osieł czasem pociągnie. Niektórzy uwierzyli i nawet zaczęli szukać rozchełstanego generała. Dobrze im tak. A Tadeusz Przypkowski w kułak się śmieje.

LESZEK MOCZULSKI

PS. Nie trzeba tym żartować, co szkodzi i co boli. Przypomnijmy to stare polskie przysłowie. Zaś aby w sprawie nie było nieдомówień – wyjaśnimy prawdziwy przebieg rzeczy, znany z dostatecznej ilości źródeł. W nocy z 6 na 7 września 1939 płk Roman Umiastowski z własnej inicjatywy i na własną odpowiedzialność wygłosił przemówienie radiowe z nikim nie skonsultowane. Nie było ono czytane, a mówione na żywo. Płk Umiastowski był w stanie bardzo silnego zdenerwowania. W swoim histerycznym, wewnętrznym sprzecznym przemówieniu wzywał m.in. mężczyzn do opuszczania Warszawy, lecz wzywał ich także do budowy barykad i obrony stolicy przed wrogiem. Przemówienie zostało przerwane, gdyż na interwencję prezydenta Stefana Starzyńskiego wyłączono mikrofony. O fakcie przemówienia zarówno Starzyński, jak też wojskowi przełożeni Umiastowskiego dowiedzieli się bądź w trakcie jego wygłaszania, bądź już po fakcie. Natychmiast zabroniono Umiastowskiemu występowania przed mikrofonem. Władze cywilne i wojskowe ogłosiły komunikaty, wzywające mężczyzn do pozostania na miejscu i usiłujące przeciwdziałać panice.

Nie było żadnego generała, który wydał rozkaz Starzyńskiemu. Poszukiwanie takiego generała dawno już przekroczyło granice żartu. Jeśli dziś nieodpowiedzialnie sugeruje się, że był nim gen. Mieczysław Trojanowski, to trzeba zaprotestować przeciwko krzywdzie, jaką czyni się zamordowanemu przez Niemców w Mauthausen dowódcy

¹⁰¹ *Dokąd idziesz, panie* (łac.).

¹⁰² *Jeśli to nieprawda, to jest to złe znalezisko* (wł.).

¹⁰³ *Każdy według własnego gustu* (fr.).

warszawskiego okręgu korpusu. Nie mówiąc o krzywdzie wyrządzonej pamięci rzekomego kapitulanta i uciekiniera Starzyńskiego.

L. M.

* * *

Jeszcze o „rewelacjach” p. Tadeusza Przytkowskiego

PRAWDA I TYLKO PRAWDA¹⁰⁴

Być może czytelnicy pamiętają jeszcze mój felieton „Sen nocy wrześnieowej” („Stolica” nr 48/69). Przykro mi, lecz w felietonie tym nie miałem racji, za co gorąco przepraszam. Nie miałem mianowicie racji, przypuszczając, że publikacja p. doc. dr. Tadeusza Przytkowskiego, zamieszczona w nrze 2/69 Wojskowego Przeglądu Historycznego i spopularyzowana następnie przez prasę codzienną – była jednym wielkim choć niesmacznym żartem. Otóż nie! Jak świadczy list p. Przytkowskiego, zatytułowany „Legenda i prawda” („Życie Warszawy”, 4 I 1969), „rewelacje” swe traktuje on najzupełniej poważnie i zapewnia, że są prawdziwe. Skoro więc nie było żadnego żartu, powróćmy do tematu z powagą, na jaką zasługuje.

W swej obszernej relacji w Wojskowym Przeglądzie Historycznym, szeroko, a w liście do „Życia” zwięźle p. Tadeusz Przytkowski twierdzi jakoby Warszawa miała być oddana początkowo bez walki. Rzekomo w dniu 5 września prezydent Stefan Starzyński informował, iż podjął taką decyzję i wszczął pierwsze kroki zmierzające do jej wykonania; rozpoczęto tworzyć mianowicie „kolegium starców” obarczone obowiązkiem poddania stolicy; sam Przytkowski w ceremonii kapitulacji odegrać miał rolę niemałą, a mianowicie wymachiwać z ratusza białą chorągwią; „przejdzie pan do historii” – zachęcał go rzekomo Starzyński. Dopiero jacyś anonimowi „wyżsi wojskowi, którzy po północy (z 6 na 7 września – dop. L.M.) do Warszawy z wojskiem przybyli, powołują odwołanie... jako pierwszą zapowiedź obrony miasta”.

Między decyzją z 5 września o kapitulacji Warszawy a jej odwołaniem 7 września dzieją się inne „rewelacje” podane przez T. Przytkowskiego. A mianowicie 6 września ok. godz. 23.30 jakiś generał „rozkraczony... w rozchełstany mundurze” wymógł na Starzyńskim wydanie „rozkazu” ewakuacji mężczyzn z Warszawy. W WPH p. Przytkowski nie potrafi podać jeszcze nazwiska tego generała, w liście do „Życia” stwierdza, że miał nim być gen. Mieczysław Trojanowski. „Rozkaz” Starzyńskiego zostaje odczytany przez radio przez płk. Romana Umiastowskiego, co wywołuje panikę i *exodus* mężczyzn z Warszawy. Tej nocy sam Starzyński również ucieka ze stolicy i wraca do niej dopiero po pewnym czasie.

¹⁰⁴ „Stolica” z 1970 r., nr 4.

Takie są generalne punkty „rewelacji” p. Tadeusza Przypkowskiego. Nie ma w nich ani słowa prawdy.

Przedstawmy rzeczywisty obraz wydarzeń.

Sprawa obrony Warszawy w wypadku podejścia do miasta sił niemieckich od pierwszego dnia wojny była poza dyskusją dla jednego kompetentnego organu, to znaczy Naczelnego Dowództwa.

Jeszcze w nocy z 1 na 2 września, wobec groźby przeniknięcia na tyły polskie czołgów niemieckich działających w rejonie Częstochowy, Naczelny Wódz poleca utworzenie osłaniającej Warszawy zapory wzdłuż dolnej Pilicy i uczuła na tę kwestię sztab armii „Prusy” (rozkaz Nacz. D-twa L. 2/5/III Op, podp. płk Jaklicz – arch. Inst. Hist. im. gen. Sikorskiego w Londynie¹⁰⁵). Gdy 3 września, wobec groźby rozerwania polskiego frontu w rejonie Częstochowa-Radomsko i konieczności odwrotu na linie środkowej Wisły wychodzi seria rozkazów wykonawczych dotyczących obrony Warszawy, Naczelny Wódz poleca min. Spraw Wojskowych gen. Tadeuszowi Kasprzyskiemu organizację obrony linii Wisły oraz „zorganizować obronę Warszawy” (rozkaz N.D.L. 3/16/III Op., podp. gen. Stachiewicz – arch. Inst. Hist. Londyn). Kasprzyski natychmiast wydaje dyrektywę przedwojennemu Dowódcy Okręgu Korpusu I, a obecnie Delegatowi kwaterymistrzowskiemu ND. dla armii „Modlin” i „Prusy” przystąpienia do organizacji obrony niektórych przepraw wiślanych oraz podporządkowuje mu „zestawione w dniu dzisiejszym” zgrupowanie gen. Czumy (Rozkaz Organizacyjny nr 1, II/18/3 k. 2 – 3 – Centralne Archiwum Wojskowe w Warszawie). Jeszcze ok. południa 3 września gen. Kasprzyski wydaje gen. Walerianowi Czumie początkowo ustny rozkaz, aby wraz ze swym sztabem objął kierownictwo Obrony Warszawy. 4 września wychodzą ostatnie rozkazy pisemne, dotyczące sformowania Obrony Warszawy. Kolejny rozkaz MSWojsk. dotyczy wzmocnienia sił podporządkowanych gen. Czumie i stwierdza: „kładę nacisk na pośpiech w przygotowaniu obrony Warszawy...” (Rozk. Org. nr 2, II/18/3 k. 20 – Centr. Arch. Wojsk.), a gen Trojanowski wydaje swój Rozkaz Operacyjny nr 1, normujący m.in. kwestie obrony Warszawy i formalnie mianuje gen. Czumę „komendantem garnizonu Warszawa” (II/18/3, k. 37/39 i k. 19 – Centr. Arch. Wojsk.).

Tak więc do 4 września zapadły wszystkie podstawowe decyzje dotyczące naziemnej obrony Warszawy. Już w nocy z 3 na 4 września pierwszy oddział polski obsadził pozycje na skraju miasta, a między 3 i 7 września sformowane zostało ostatecznie zgrupowanie gen. Czumy; trzon jego stanowiły jednostki czynne, skierowane do Warszawy przez Naczelne Dowództwo.

¹⁰⁵ Moczulski pierwszy raz w życiu wyjechał do Londynu dopiero na przełomie lat 1986 i 1987. Miał więc dostęp do źródeł w Londynie jedynie pośrednio, przez ludzi, którzy mogli względnie swobodnie podróżować za Żelazną Kurtynę. Takich kurierów nurt niepodległościowy miał kilku. Należeli do nich m.in. dziennikarze: Ryszard Zieliński i Stanisław Poznański oraz Zygmunt Augustowski. Zapewne któryś z nich przywiózł z Londynu wypisy z tamtejszych archiwów.

Począwszy od 5 września gen. Czuma taktycznie nie podlegał już gen. Trojanowskiemu i Dowództwo Obrony Warszawy podporządkowane było bezpośrednio Naczelnemu Dowództwu.

Ani przez chwilę kompetentne jedynie organa wojskowe nie rozważały kwestii ewentualnej kapitulacji stolicy. Było to niemożliwe chociażby ze względów operacyjnych: na Warszawę cofały się armie „Poznań” i „Pomorze”.

Wyjaśnienia wymaga rola Stefana Starzyńskiego w tym okresie. Możliwości jego działania były ograniczone. W kompetencjach prezydenta miasta znajdowała się tylko część zagadnień stołecznych. Szefem władzy cywilnej w Warszawie był Komisarz Rządu na miasto stołeczne Warszawę Włodzimierz Jaroszewicz, spełniający funkcję wojewody Warszawy. Prezydent podlegał mu bezpośrednio, zaś niektóre zakresy działania, jak koordynacja administracji państwowej czy sprawy bezpieczeństwa i porządku publicznego, podlegały nie Starzyńskiemu, a bezpośrednio Jaroszewiczowi. Dopiero po wyjeździe Jaroszewicza 5 września automatycznie wygasła zależność Starzyńskiego.

Od pierwszego dnia wojny prezydent energicznie wykonywał tylko te funkcje, które do niego należały, natomiast od 5 września zaczął przejmować również funkcje Jaroszewicza. Właśnie 5 września Starzyński przystąpił do organizacji Straży Obywatelskiej.

W pierwszych dniach organizacji Obrony Warszawy kontakty Stefana Starzyńskiego z władzami wojskowymi były luźne i nie orientował on się bliżej w planach Dowództwa Obrony Warszawy; dopiero 7 września została nawiązana ostatecznie bezpośrednia i bardzo owocna współpraca prezydenta z gen. Czumą.

Choćby Starzyński nawet chciał, nie był w stanie ani 5, ani 6 września podejmować decyzji o oddaniu Warszawy, gdyż nie od niego to zależało. Skądinąd wiemy, że Starzyński nie był zwolennikiem kapitulacji i czynił wszystko, aby pod względem cywilnym przygotować miasto do obrony. W dniu 5 września Starzyński nie zwoływał też żadnego „konwentu starców”, natomiast w szerszym gronie ustalał kwestię organizacji Straży Obywatelskiej, stanowiącej ważny instrument cywilnej obrony miasta.

Dochodzimy do dramatycznych wydarzeń nocy z 6 na 7 września.

Sytuacja w Warszawie w tym czasie była niedobra. Trwająca ewakuacja władz i urzędów państwowych, fale uciekinierów cywilnych przybywające do stolicy z zachodu, napływający coraz gęściej rozbitkowie z frontu, paniczne wieści, wreszcie bombardowania i pożary wywoływały stan ogólnego niepokoju.

W tych warunkach koło północy z 6 na 7 września wystąpił przez radio płk Umiaśtowski. Przemawiał przed mikrofonem w poprzednich dniach, komentując sytuację wojenną, tak że w fakcie jego wystąpienia nie było nic nadzwyczajnego. Niestety płk. Umiaśtowskiego, skądinąd uczciwego człowieka i patriotę, zawiodły nerwy, ogarnął go nastrój paniki. Jego długie przemówienie, którego treści nie uzgodnił z nikim, było histeryczne i wewnętrznie sprzeczne. Alarmistycznym tonem zapowiadał rychłe podejście czołgów niemieckich pod Warszawę, wzywał wszystkich do obrony miasta i bu-

dowy barykad, a równocześnie apelował do mężczyzn zdolnych do noszenia broni, a zbędnych dla obrony Warszawy, aby ewakuowali się na wschód.

Bardziej niż treść podziała na radiosłuchaczy histeryczny ton wystąpienia Umiaśtowskiego. Tysiące ludzi porzuciło swe mieszkania, ruszając przez mosty na wschód.

Wyjaśnić należy, że przemówienie Umiaśtowskiego nie było konsultowane z jego zwierzchnikami i zaskoczyło cywilnego prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego oraz Delegata kwatermistrzowskiego N.D. gen. Mieczysława Trojanowskiego. Gdyby nawet Umiaśtowski chciał z kimś uzgadniać swoje przemówienie, nie mógł tego uczynić z dwoma wskazanymi wyżej osobami. Nie pozostawał w stosunku do nich w żadnej zależności służbowej. Natomiast wystąpienie Umiaśtowskiego było sprzeczne z dążeniami i zamiarami jego zwierzchników. Zarówno Naczelny Wódz, jak i szef sztabu głównego wielokrotnie wydawali rozkazy nakazujące wstrzymanie żywiołowej ewakuacji cywilów i masy uciekinierów (por. chociażby rozkaz N.W. L1004/4/Kwat.-arch. Inst. Hist. w Londynie).

O fakcie wygłaszania przemówienia przez płk. Umiaśtowskiego prezydent Starzyński dowiedział się w jego trakcie i natychmiast interweniował w Radiu i u władz wojskowych. Również

Dowództwo Obrony Warszawy, któremu szef propagandy Naczelnego Dowództwa przecież nie podlegał – interweniowało u szefa sztabu głównego. W ciągu dwóch godzin sprawa została wyjaśniona, gen. Wacław Stachiewicz wyciągnął konsekwencje służbowe wobec płk. Umiaśtowskiego, a poczynając od godziny 3 w nocy radio wielokrotnie nadawało komunikaty władz wojskowych nawołujące wszystkich do pozostania w stolicy.

Niestety było już za późno. Potężniejąca fala uciekinierów opuszczała miasto, zalewając wszystkie szosy, tamując, a nawet paraliżując ruch oddziałów wojskowych. W czołe tej fali znalazł się zresztą sam p. Tadeusz Przypkowski, który opuścił miasto natychmiast po przemówieniu Umiaśtowskiego, w takim pośpiechu, że nie zdołał zabrać przygotowanej walizki z osobistymi rzeczami.

Pozostał natomiast w Warszawie Stefan Starzyński. Charakterystyczny jest fragment rozmowy przeprowadzony przez prezydenta miasta z dyr. Stanisławem Lorentzem¹⁰⁶ wkrótce po przemówieniu płk. Umiaśtowskiego. Starzyński pyta Lorentza, czy pozostaje w Warszawie. „Zostaję – odpowiada Lorentz. – A Pan?”. „Zostaję – stwierdza Starzyński. Wyjaśnia: – Telefonuję do wszystkich bliższych współpracowników, by upewnić się, na kogo liczyć”.

¹⁰⁶ Stanisław Lorentz (zm. w 1991 r.) – przed i po wojnie dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie. Współpracował z nn, wypożyczając np. kombatantom popiersie marszałka Piłsudskiego ze zbiorów Muzeum (lub ze swoich prywatnych zbiorów) na niezależne nabożeństwa patriotyczne w katedrze św. Jana organizowane w l. 70. przez nn. W dalszej części nin. tomu jest rozmowa Moczulskiego z Lorentzem.

Tak wygląda legenda w starciu z prawdą historyczną. Nie wiem, jakie intencje kierowały p. Tadeuszem Przytkowskim, gdy decydował się na publikację swych „rewelacji”. Nie interesują mnie te intencje. Gotów jestem zresztą uwierzyć, że były szlachetne, a p. Tadeusz Przytkowski zmierza jedynie do szerszego zainteresowania opinii publicznej osobą Stefana Starzyńskiego. Człowieka, który nie opuścił Warszawy w nocy z 6 na 7 września – jak to insynuuje p. Przytkowski – a znacznie później i pod eskortą gestapo.

Niezależnie od intencji ta legenda i nieprawda są szkodliwe. Zwłaszcza gdy – jak w tym przypadku – powielone są w setkach tysięcy egzemplarzy. I dlatego nie można zawiesić sprawy, przerywając dyskusję nad tą szkodliwą legendą. Co dedykuję nie tylko samemu Tadeuszowi Przytkowskiemu.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

PROFESORA WYKI IGRASZKI Z HISTORIĄ¹⁰⁷

Wprawdzie artykuł prof. dr. Kazimierza Wyki zamieszczony w „Życiu Warszawy” z 26–27 października br. i poświęcony czasowi trwania kampanii jesiennej 1939 wywołał już na łamach tego pisma obszerną i w zasadzie pozytywną polemikę, jednak zarówno temat, jak i płynące z niego konsekwencje, mają zbyt kapitalne znaczenie, aby pismo nasze mogło pozostać na uboczu tej dyskusji. Prof. Wyka stawia tezę, że kampania trwała dni 18¹⁰⁸, jego oponenci sprzeciwiają się, uważając, iż zakończona została w chwili kapitulacji Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga. Już samo takie ustawienie sporu budzi pewne wątpliwości.

1.

Prof. Wyka pisze: „Można napotkać dwa poglądy na czas trwania kampanii polsko-niemieckiej z września 1939. Jedni twierdzą, że trwała ta kampania od 1 do 18 IX 1939. Takie stanowisko można napotkać przede wszystkim w źródłach i wypowiedziach niemieckich. Ale tego samego zdania jest najwybitniejszy polski historyk tej kampanii płk Wincenty Iwanowski... Inni są zdania, że kampania wrześniowa trwała,

¹⁰⁷ „Stolica” z 1969 r., nr 47.

¹⁰⁸ Stwierdzenie Kazimierza Wyki było zgodne z tezą sowieckiej propagandy, wedle której 17 IX 1939 r. państwo polskie już nie istniało. To antypolskie kłamstwo sowieckiej, a obecnie rosyjskiej propagandy mocno utkwiło w głowach Polaków – 23 III 2025 r. w „Łoży Prasowej” w TVN24 red. Bartosz Wieliński stwierdził, że państwo polskie przestało istnieć we wrześniu 1939 roku po dwóch tygodniach. Gdy idzie o świadomość historyczną nasze elity tkwią niestety ciągle po same uszy w prłowskiej historiografii.

póki ze strony polskiej nie padł ostatni strzał, oddany przez zorganizowaną i umundurowaną jednostkę armii polskiej, sprzed Września 1939”.

Powyższe stwierdzenie jest absolutnie nieprawdziwe. W literaturze historycznej nie ma żadnego sporu co do terminu zakończenia kampanii jesiennej. Powołany przez prof. Wykę płk Iwanowski uważa – czemu dał zresztą dowód na łamach „Życia Warszawy”, że kampania zakończyła się wraz z kapitulacją grupy gen. Kleeberga. Identyczne zdania są wszyscy polscy, a także wszyscy niemieccy historycy. Niemiecki historyk kampanii gen. Nikolaus v. Vormann w swej skądinąd otwarcie antypolskiej pracy „Der Feldzug in Polen 1939” za końcowy akord kampanii uważa bitwę pod Kockiem. Podobnego zdania jest inny historyk zachodnioniemiecki – a zarazem generał Bundeswehry wysokiej rangi – gen. Burkhardt Müller-Hillebrand, wydawca i współautor kapitalnego dzieła „Deutsches Heer” – Wolf Keilig, czy prof. dr Hans Adolf Jacobsen. Dodać do tego należy, że w wewnętrznych opracowaniach Oberkommando der Wehrmacht, dokonywanych wkrótce po zakończeniu kampanii, za jej moment końcowy uznano bitwę pod Kockiem.

Nie ma sporu między historykami, bowiem fakty historyczne są bezsporne, a różnice zdań powstawać mogą dopiero przy ich interpretacji. Spór, na który powołuje się prof. Kazimierz Wyka, istnieje na innej płaszczyźnie. Historycy polscy czy niemieccy są zdania, że kampania zakończyła się wraz z kapitulacją grupy operacyjnej gen. Kleeberga, zaś dzień 18 września 1939 jako rzekomo kończący kampanię przyjęli tylko i wyłącznie propagandiści hitlerowscy z lat minionej wojny, zaś tezy ich podjęli i kontynuują dalej jedynie i wyłącznie propagandiści i publicyści wątpliwego autoramentu z Niemieckiej Republiki Federalnej, bądź też pracujący na mocy zlecenia ośrodków zachodnioniemieckich¹⁰⁹. Od czasu do czasu zdarza się wprawdzie naiwny, który bezkrytycznie powtarza te tezy.

2.

Wojna czy kampania? Używa się wymiennie obu określeń na wydarzenia 1939 roku. Otóż naszym zdaniem wojna obronna polsko-niemiecka rozpoczęła się 1 września 1939, a zakończyła 9 maja 1945. Stanowiła ona nierozzerwalną część całej drugiej wojny światowej. W ramach tej wojny przeprowadzono liczne kampanie. Pierwszą z nich była kampania jesienna 1939, charakteryzująca się tym, że Niemcy walczyli w niej tylko z jednym przeciwnikiem, to znaczy z Polską. Z naszego punktu widzenia była to jedyna kampania drugiej wojny światowej, w której Polacy walczyli sami, gdy w trakcie licznych innych kampanii oddziały polskie walczyły wspólnie z sojusznikami.

Kiedy zakończyła się dokładnie kampania jesienna 1939? Prof. Wyka powołuje się na definicję kampanii zawartą w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej. Wszyscy chyba

¹⁰⁹ Stwierdzenie, że tezę tę głosi sowiecka (a za nią prłowska) propaganda było w tym czasie oczywiście niecenzuralne.

się zgodzą, że jest to definicja co najmniej mało precyzyjna, przypadek zresztą nie tak wyjątkowy w WEP. Jeśli za zakończenie kampanii przyjąlibyśmy moment zaprzestania walk przez ostatnie umundurowane oddziały WP, to nastąpił on dopiero w maju 1940 r. wraz z likwidacją Oddziału Wydzielonego mjr. Hubal-Dobrzańskiego. Jeśli za punkt końcowy uznamy moment zakończenia ruchów wojsk, to dojdziemy do daty 15 października, zgodnie ze stwierdzającym to komunikatem OKW z dnia 16 X 1939. Powszechnie uważa się, że moment zakończenia kampanii następuje wówczas, gdy zaprzestają bądź przerywają walkę związki operacyjne obu stron i na danym teatrze wojennym rozpoczyna się okres zastoju operacyjnego. Otóż takim momentem w 1939 roku był dzień 6 października godzina 2.00, gdyż w tym momencie weszła w życie kapitulacja ostatniego polskiego związku operacyjnego 1939 r. – grupy gen. Kleeberga.

3.

Prof. Wyka pisze: „Prosiłbym, ażeby nie pokrzykiwano na mnie, że napisałem »niepatriotycznie«. Wydaje mi się, że wprost przeciwnie: napisałem »patriotycznie«. Sam pomyśl, aby uznać tezę prof. Wyki jakoby kampania zakończyła się 18 września za tezę »niepatriotyczną«, uważam za nonsensowny; jest to jedynie teza bałamutna. Z drugiej strony na podstawie wywodów prof. Wyki trudno uznać go za patriotę. Rzecz dotyczy bowiem absolutnie innych wymiarów. Czy dowodem patriotyzmu ma być uznanie oczywistych faktów historycznych bądź ich nieuznawanie?

Ocenę, czy dana pozycja została napisana z pozycji patriotycznych, czy też nihilistycznych, można przeprowadzić tylko i wyłącznie w oparciu o kierunek i sposób zaangażowania merytorycznego i ideowego autora. Nieznajomość faktów może świadczyć o ignorancji, lecz nie o nihilizmie czy patriotyzmie. Jeśli prof. Wyka uważa, że Powstanie Listopadowe zostało zakończone 5 października 1831, powołując się na świadectwo skądinąd wielce sympatycznego poety Wincentego Pola, to trudno mu na tej podstawie robić zarzut, że szkaluje bohaterów Nocy Listopadowej. Można jedynie stwierdzić, że prof. Wyka nie wie, że walka zbrojna w Powstaniu Listopadowym zakończona została wraz z kapitulacją Zamościa w dniu 21 października 1831 r.

Rzetelność historyczna jest warunkiem naukowym. Bez tej rzetelności nie ma nauki. Bez znajomości faktów nie można ich oceniać. Ignorancji nie należy zasłaniać dobrymi zamiarami.

Zaś dobre zamiary warto uzasadniać. Bo w całej tej sprawie jest jeszcze jedno pytanie. Jeśli wbrew faktom historycznym, wbrew zgodnym opiniom polskich i niemieckich historyków usiłuje się dokonać cięcia w fakturze historycznej, to zawsze rodzi się pytanie: *cui bono*¹¹⁰?

LESZEK MOCZULSKI

¹¹⁰ *Czyja korzyść* (łac.). Moczulski nie mógł oczywiście wprost napisać, że stwierdzenie Wyki było zgodne z tezą sowieckiej propagandy, ale pośrednio to zasugerował.

HARCERZE WE WRZEŚNIU¹¹¹

Odrębny rozdział w dziejach walki Polaków w drugiej wojnie światowej został zapisany przez harcerzy. Chłopcy w szarozielonych mundurkach z krzyżami ZHP na lewej piersi pojawili się u boku walczących wojsk już pierwszego dnia wojny – i uczestniczyli w bojach aż do ostatniego dnia wojny. Harcerze stali się też synonimem walczącej o wolność i niepodległość młodzieży. Odpowiedź, dlaczego tak się stało, jest bardzo prosta.

Postawa harcerzy we wrześniu i następnych ponad pięciu latach wojny była prostą konsekwencją wychowania młodzieży w szeregach ZHP. Ta masowa organizacja obejmowała praktycznie całą młodzież szkolną w wieku od 10 lat do matury, a także niemałą część młodzieży starszej, pracującej lub studiującej. Najważniejszą zasadą wychowawczą ZHP była miłość ojczyzny i gotowość ofiarnej dla niej służby. Wysoki stopień napięcia patriotycznego, ogarniający szeregi ZHP, stał się bezcennym kapitałem na czas wielkiej próby narodowej w latach 1939–45. I harcerstwo, współdziałając ze szkołą w patriotycznym wychowaniu młodzieży, określiło najgłębsze zaangażowanie tych roczników, które rodziły się i dorastały w niepodległej Polsce. Nie bez znaczenia były też doświadczenia zdobywane na licznych obozach, w podchodach i ćwiczeniach terenowych przy zdobywaniu najprzeróżniejszych sprawności, nabywaniu umiejętności radzenia sobie w najtrudniejszych nawet warunkach – w których harcerze nie tylko kształtowali sobie charakter, ale zdobywali umiejętności, jakie okazały się dla nich niezbędne w latach wojny.

Gdy więc 1 września o świcie padły pierwsze strzały, harcerze natychmiast znaleźli się na wyznaczonych im posterunkach. Oczywiście, ich zadaniem nie była bezpośrednia walka. Stanowili jednak ważną część służb pomocniczych. Pomagali w budowie umocnień i okopów, otaczali opieką żołnierzy i ewakuowaną ludność cywilną, pełnili służbę łączności, Czerwonego Krzyża itp.

Zasadą było, że harcerze mieli nie uczestniczyć w bezpośrednich walkach. Z reguły zasada ta była zachowywana. Niemniej zdarzały się liczne wyjątki. Liczni harcerze, powyżej 18 lat, przyjmowani byli przez niektórych dowódców liniowych jako ochotnicy do szeregów. W sporadycznych wypadkach ten udział harcerzy w bezpośrednich bojach był bardzo znaczny. Dotyczyło to zwłaszcza obrony Wybrzeża i obrony Górnego Śląska.

Siły polskie, broniące Wybrzeża w izolacji od reszty kraju w sposób improwizowany rozbudowywały się licznie już podczas działań wojennych. Wówczas to do szeregów oddziałów ochotniczych napłynęło wielu harcerzy. Stanowili oni m.in. poważną część oddziału Kosynierów, złożonego głównie z młodzieży robotniczej i starszych klas szkół średnich. W obronie Wybrzeża nie występowały jednak odrębne oddziały harcerskie. Inaczej było w przypadku Górnego Śląska. Tutaj powstała sytuacja szczególna. Wsku-

¹¹¹ „Stolica” z 1977 r., nr 13.

tek groźby otoczenia przez oddziały niemieckie, nacierające ze Słowacji przez Karpaty wprost na Kraków, a także rozerwania frontu pod Pszczyną i Częstochową, dowódca Armii „Kraków” gen. Szylling już 2 września uzyskał zgodę naczelnego wodza na głęboki odwrót, co równało się oddaniu bez walki górnośląskiego zagłębia przemysłowego. W nocy z 2 na 3 września 1939 r. oddziały polskie odeszły na wschodni brzeg rzeki Przemszy. Na terenie Górnego Śląska spontanicznie stanęły jednak do walki oddziały powstańców śląskich i młodzieży harcerskiej. W istocie był to głównie oddział generacyjny. Powstańcy śląscy – to byli ojcowie, którzy dwadzieścia lat wcześniej wywalczyli tę ziemię dla Polski, a harcerze – to ich synowie.

Trwałą kartę naszej historii stanowi obrona Chorzowa i Katowic w dniach 3 i 4 września. Gdy w niedzielę 3 września oddziały niemieckie zbliżały się do Chorzowa, w mieście nie było już regularnych oddziałów polskich, a tylko w dzielnicy Klimzowiec zgromadziły się grupy powstańców, do których dołączył chorzowski hufiec ZHP. Początkowo Niemcy, wspólnie z miejscową V kolumną, zajęli centrum miasta. Wtedy do akcji przystąpili Polacy. Grupy powstańców i harcerzy wyruszyły w samochodach z Klimzowca, odbiły ratusz i bardzo szybko oczyściły z wroga całe miasto. Dopiero w nocy wkroczyły do Chorzowa silniejsze oddziały niemieckie. Rano obsadziły one prawie całe miasto, lecz po południu znów rozpoczęła się kontrakcja polska. Niemcy ostatecznie schronili się w gmachu ratusza i bronili tam przez kilka godzin. Wreszcie z początkiem nocy nowe oddziały niemieckie, przerzucone tutaj pośpiesznie, w krwawej walce z powstańcami i harcerzami, zdobyły miasto.

Również w dniach 3 i 4 września trwały walki o Katowice. Powstańcy i harcerze obsadzili tutaj liczne wybrane punkty oporu. Do najważniejszych należała wieża spadochronowa u zachodniego wylotu miasta w parku Kościuszki, wieżowiec przy ul. Żwirki i Wigury, Dom Powstańca, Dyrekcja Kolei i in. Do pierwszych walk doszło 3 września w rejonie parku Kościuszki. Niemcy wprowadzili tutaj do boju oddziały 239 dywizji gen. Neulinga. Ponawiające się ataki wroga powstańcy i harcerze odparli jednak ogniem broni ręcznej i maszynowej. Gdy zapadł zmierzch, Niemcy wycofali się, ale o świcie 4 września znów wznowili działania bojowe. W poniedziałek 4 września atak na Katowice rozpoczął się z kilku stron. Jedna z kolumn niemieckich atakowała Dom Powstańca, oddziały bytomskiego SA po walkach w Załężu ruszyły w kierunku placu Wolności. Gdy wreszcie atakujący koncentrycznie wróg dotarł do Rynku, kontratak polski zmusił Niemców do przejściowego odwrotu i zadał im ciężkie straty.

W tym samym czasie ciężki bój toczył się o park Kościuszki. Przez kilka godzin harcerze bronili wieży spadochronowej. Niemcy opanowali ją dopiero po wprowadzeniu do akcji artylerii. Ze zdobytej wieży żołnierze niemieccy zrzucili zwłoki pięciu harcerów, które poległy w walce.

Długo bronili się harcerze w katowickim drapaczu chmur. Najkrwawsze walki stoczone jednak zostały o Dom Powstańca, gdzie wróg musiał zdobywać piętro po piętrze.

Około południa Niemcom udało się zdobyć Katowice. Ale walki nie zostały zakoń-

czone. Około 16.00 grupy powstańców i harcerzy w różnych punktach miasta znów podjęły bój. Walki przeciągnęły się do wieczora, zaś w następnych dniach raz po raz dochodziło jeszcze do sporadycznych potyczek.

Zwrócić trzeba uwagę, że powstańcy i harcerze śląscy, którzy w dniach 3 i 4 września stanęli w obronie swej ziemi (nie tylko Chorzowa i Katowic) wiedzieli doskonale, że oddziały wojskowe zmuszone są opuścić Śląsk, a więc samotny opór musi zakończyć się klęską wobec przeważających sił wroga. Nie naruszyło to w niczym ich hartu i mocy ducha. Stawali do walki z pełnym przeświadczeniem przegranej, ale także i ze zrozumieniem swego duchowego zwycięstwa. Chociaż krwawe boje, toczone przez śląskich harcerzy, stanowiły wyjątkowy epizod na tle całego września, symbolizował on postawę ogółu harcerstwa polskiego. Zarówno ci, którzy walczyli z bronią w ręku jak i ci, którzy pełnili służbę pomocniczą, gotowi byli wszystko oddać dla dobra ojczyzny.

l.m.

* * *

LISTY O KULISACH POCZĄTKÓW KONSPIRACJI¹¹²

Zgodnie z naszymi przewidywaniami artykuł A.Koreywy „Za kulisami początków konspiracji SZP-ZWZ („Stolica” numer 46 [z 1970 r.]) wywołał szybki odzew polemicz-

¹¹² „Stolica” z 1971 r., nr 9. Ten arcyciekawy tekst ma kilku autorów. To, co jest napisane normalną czcionką, to listy płk. Jana Rzepeckiego (1899-1983), b. legionisty (I Brygada), b. pilsudczyka, szefa BiP-u KG AK i pierwszego prezesa Zrzeszenia WiN (sądzony w pierwszym głośnym powojennym procesie politycznym, razem m.in. z Ludwikiem Muzyczką i Józefem Rybickim – późniejszymi liderami nn-u). Natomiast to, co napisano kursywą to uwagi i komentarze autorstwa Moczulskiego. Niektóre słowa w tekście Rzepeckiego napisane kursywą, to zapewne podkreślenia pochodzące od Moczulskiego. Rzepecki uchodził w środowisku pilsudczykowskim za człowieka b. inteligentnego, z zacięciem historycznym, ale jednocześnie za osobę nieuczciwą, intelektualnego kłamcę (a także za kolaboranta, który na procesie WiN-u poszedł na współpracę z komunistami). Tą krytyczną ocenę Rzepeckiego, która znalazła swój wyraz nie tylko w wielu wypowiedziach prywatnych, ale przede wszystkim w głośnym tekście Kazimierza Pluty-Czachowskiego i Ludwika Muzyczki *Prawda i nieprawda o Armii Krajowej. Polemika z Janem Rzepeckim* („Tygodnik Powszechny” z 1957 r., nr 24; artykuł ten – oraz jego druga, nieopublikowana część – znajduje się w książce M. Lewandowskiego, *Ludwik Muzyczka „Benedykt”*, s. 537 i nast.). Moczulski zdaje się podzielać tę krytyczną opinię o Rzepeckim, skoro pozwala sobie w „Stolicy” na obszerne komentarze i uwagi do listu Rzepeckiego oraz na podkreślenia fragmentów jego listu. Zamieszcza także (już bez uwag i komentarzy) list innego czytelnika, który prostuje kilka niescisłości zawartych w liście Rzepeckiego. Moczulski opowiadał mi, że Rzepecki w rozmowie z nim (pod koniec lat 70.) zgłaszał akces do opozycji niepodległościowej. Moczulski zapytał o to Plutę-Czachowskiego. Ten kategorycznie wykluczył taką możliwość. Pluta-Czachowski zajmował podobną postawę wobec gen. Stanisława Tatara (1896-1980), mimo, że opiekował się nim do swojej śmierci w 1979 r. Tym, co wykluczyło udział Tatara i Rzepeckiego w nn-ie i w jawnej opozycji niepodległościowej była zapewne ich fatalna postawa w procesach stalinowskich.

ny ze strony czytelników. Opatrując wspomnienia A. Korewy wstępem zastrzegaliśmy w nim wyraźnie, że pamiętnikarz przedstawia wydarzenia krajowe tak, jak to wyglądało ówczesnie w Paryżu w oczach niektórych działaczy politycznych na emigracji, zwłaszcza jak to wyglądało w kolportowanych opiniach francuskiego wywiadu. Otóż źródłem decyzji generała Sikorskiego była, podkreślmy to, nie rzeczywistość krajowa, a przedstawiane mu sprawozdania, które w wielu wypadkach nie odpowiadały prawdzie, czy też oparte były na przypuszczeniach. Poważne znaczenie miał ponadto fakt, że w kluczowych ogniwach rządu emigracyjnego RP we Francji znajdowali się funkcjonariusze francuskiego wywiadu. Władzom francuskim zależało zarówno na utrzymaniu uzależnionego od siebie rządu polskiego, jak też na uniemożliwieniu powrotu do władzy sanacji. Dodajmy, że liczni przedstawiciele stronnictw poprzednio opozycyjnych – o czym wyraźnie, zgodnie z rzeczywistością, pisze Korewo – za najważniejsze, nadrzędne zadanie nowych władz uważali likwidację swych dotychczasowych przeciwników politycznych, czy też ludzi za takich uważanych.

Oddajemy głos naszym korespondentom, przy czym wypowiedzi ich pozwolimy uzupełnić sobie niezbędnym komentarzem, ze względu na brak miejsca lakonicznym i dotyczącym tylko najważniejszych, a więc niektórych z godnych skomentowania zagadnień.

Płk. dypl. Jan Rzepecki, były członek Komendy Głównej ZWZ i AK, obecnie współpracownik Instytutu Historii PAN, pisze do nas na temat wspomnień A. Korewy:

Publikacja ta zawiera pewną ilość informacji prawdziwych i bardzo pożytecznych, ale tak przemieszczanych z domysłami i krążącymi wówczas plotkami, że całość nabrała posmaku sensacyjnych rewelacji, przez co potraktowana poważnie przez czytelnika poczytnego pisma staje się dezinformacją. W najwyższym stopniu dotyczy to wzajemnych stosunków między generałami Sikorskim, Tokarzewskim i Roweckim.

Tak się składa, że poruszone w tej publikacji zagadnienie stanowi część tematu, nad którym od dawna pracując, dotarłem do najbardziej miarodajnych dokumentów i publikacji w kraju i za granicą i do relacji osób blisko współpracujących z tymi generałami. W dokumentach znajdują też odbicie plotki hulające wówczas w Paryżu, zasilane obficie z kraju. Dlatego czuję się *zobowiązany* do zabrania głosu, by oddzielić ziarna prawdy od plotkarskich plew.

Sprawa zmiany rządu we wrześniu 1939 r. Czy to był spisek, zamach stanu? Przypominamy sprawę internowania ORP „Orzeł” w Tallinie pod naciskiem dyplomacji niemieckiej. O ileż silniejszy był nacisk niemiecki na Rumunię: chodziło przecież o *przerwanie istnienia naczelnych władz polskich*. Rząd rumuński nie odważył się internować rządu państwa będącego w wojnie z Niemcami. Znikome było znaczenie sugestii zamachowych nieodpowiedzialnych jednostek, natomiast jest zrozumiałe, że czynniki dyplomatyczne francuskie szybko zorientowały się, że internowanie nastąpi, i czyniły zabiegi, by następny rząd sprzymierzeńca powstał legalnie i był zdecydowany walczyć dalej u boku Francji. Jeśli spisek, był to spisek rumuńsko-francuski.

Przerwijmy tok wywodu płka Rzepeckiego. Otóż trzeba zwrócić uwagę, że Rumuni

zdecydowali się na sprzeczne z prawem międzynarodowym internowanie Rządu RP wcześniej, niż Niemcy zdążyli tego zażądać. Dodajmy, że poprzednie żądanie niemieckie o nieprzepuszczaniu przez terytorium rumuńskie dostaw sprzętu wojennego z Francji do Polski zostało przez Bukareszt stanowczo odrzucone. Oczywiście z własnej inicjatywy Rumuni nie zdecydowaliby się na internowanie rządu polskiego i ulegli presji, lecz wywierała ją sojusznicza wobec Polski Francja. Czy jednak mieliśmy do czynienia ze spiskiem wyłącznie francuskim? Jeśli nawet tak, to powodzenie jego zależało od uzyskania przez Paryż niektórych polskich osobistości politycznych, które zgodziłyby się zorganizować nowy, uległy wobec Paryża rząd. Wiemy jednak, że byli działacze polityczni – jak np. Stroński, Kot, którzy od dawna marzyli, że przy poparciu francuskim odzyskają władzę.

W dalszym ciągu płk Rzepecki pisze:

Polskie pozarządowe koła polityczne oczekiwały, że w obliczu grożącej wojny władze z własnej woli przeprowadzą zmiany w rządzie w duchu „jedności narodowej”. Gdy to się nie stało, politycy opozycyjni, którym dalszy los kraju nie był obojętny, analizowali przebieg wydarzeń, dzielili się wiadomościami i przewidywaniami. Jedną z takich rozmów odbyła się 3 września z udziałem b. marszałka Sejmu Rataja, gen. Sikorskiego i posła Al. Ładosia, który zdał z niej sprawę. Przewidywano klęskę wojсковą, upadek rządu i powstanie nowego bądź w Polsce, bądź na obczyźnie. Sikorski, wychowany w legalizmie galicyjskim, nie myślał o zamachu czy spisku. Wyraził pogląd, że na czele nowego rządu powinien stanąć Witos lub Rataj, ten zaś wskazywał na Sikorskiego. Tymczasem jednak Sikorski, który już 30 sierpnia zgłosił marsz. Rydzowi prośbę o przydział na froncie, po jego wyjeździe z Warszawy „w niewiadomym kierunku”, szukał go na próżno na kierunku Lublina i Lwowa (dotarł nawet na Wołyń). Ponawiając co dzień przez pośredników swoją prośbę, dotarł do Naczelnego Wodza za późno – dopiero 17 września, na kilka godzin przed przekroczeniem granicy. 24 września dojechał przez Bukareszt do Paryża.

Znów wtrącamy naszą uwagę. Otóż gen. Sikorski nie wyjechał do Paryża sam, a w towarzystwie ambasadora francuskiego Leona Noëla, jednego z głównych wykonawców zamachu stanu. Dodajmy, że od chwili przekroczenia granicy gen. Sikorski wielokrotnie kontaktował się z Noëlem, a dla ułatwienia wzajemnych kontaktów w Bukareszcie mieszkał w ambasadzie paryskiej. Tak więc nawet pozory nie bardzo zachowywano...

Odnosnie poniższego, kolejnego fragmentu listu płk. Rzepeckiego wyjaśnić należy, że ów anonimowy „ambasador polski w Paryżu” – to Juliusz Łukasiewicz, człowiek, który ponosi zasługę za rozgrywki o władzę nie doprowadziły do ostatecznej katastrofy sprawy polskiej. Potrafił on doprowadzić do znalezienia jakiegoś modus vivendi między zwalczającymi się ugrupowaniami, ostudzić francuskie zapędy rozstrzygania kto może, a kto nie może być Prezydentem RP.

25 września ambasador polski w Paryżu w imieniu prezydenta mianował Sikorskiego dowódcą wojska polskiego, tworzącego się już we Francji na podstawie przedwojennych planów. Na obczyźnie nie może walczącej Polski reprezentować jakiś samozwań-

czy „komitet”¹¹³, musi to być pełnowładny rząd, uznawany przez wszystkie państwa i wszystkich Polaków, powołany zgodnie z obowiązującą konstytucją: 30 września nowy Prezydent RP, Władysław Raczkiewicz, powołał na premiera rządu gen. Sikorskiego. Tworzy on rząd „jedności narodowej”: dobiera doń ludzi z 3 głównych przedwojennych stronnictw opozycyjnych i ze środowiska „sanacji”. Rząd ma do załatwienia tam we Francji mnóstwo pilnych spraw organizacyjnych i politycznych, ale żadnych jeszcze rzeczowych wiadomości o położeniu w kraju i o powstającym tam podziemiu politycznym i wojskowym, a premier, choć generał, nie ma prawa dowodzenia wojskami poza Francją, dopóki nie zostanie legalnie przeprowadzona zmiana na stanowisku Naczelnego Wodza. Staje się to dopiero 7 listopada przez podpisanie rezygnacji przez marsz. Rydza – Sikorski przejmuje jego uprawnienia.

Uchodźcy i wysłannicy z kraju przynosili wiadomości sprzeczne i plotki, z których trudno było szybko zorientować się, kto w kraju został, gdzie jest i jak działa. Przychodziły i donosy – świadczą o tym dokumenty paryskie.

13 listopada powołał premier Komitet Ministrów dla Spraw Kraju (KMSK), który 15 listopada, na swoim *pierwszym* posiedzeniu ukonstytuował się i m.in. postanowił opracować ogólną „Instrukcję nr 1 do wszystkich mężów zaufania” ogólne zasady postępowania, zasady organizowania się politycznego, zasady zorganizowania w kraju „organizacji wojskowej” jednej! W żadnym protokole KMSK nie ma wzmianki o tworzeniu innej, prócz tej jednej i jedynej.

Opracowany projekt został 23 listopada przedyskutowany i zatwierdzony *uchwałą rządu* i stał się podstawą do redagowania instrukcji osobistych dla poszczególnych osób. „Instrukcję nr 1” dla organizatorów podziemia wojskowego podpisywał gen. Sikorski jako Naczelnny Wódz i gen. Sosnkowski jako Komendant Główny ZWZ, zatem dwa podpisy. Nie wychodziły żadne „Instrukcje” dla jakiejś innej organizacji. Pierwsza była skierowana do gen. Januszajtisa we Lwowie, druga do płka Roweckiego, datowana 4 grudnia – doszła w końcu miesiąca.

Akcja gen. Tokarzewskiego. Gen. Tokarzewski był dość szeroko znany i lubiany, gdyż kontaktował się ze społeczeństwem tam, gdzie wypadło mu służyć. W młodości należał do PPS, a ostatnio zasłynął był z tego, że jako dowódca Okręgu Korpusu we Lwowie przysłał bukiet kwiatów na kongres opozycyjnego Stronnictwa Ludowego. Przeniesienie go na takie samo stanowisko do Torunia nie było degradacją – gdyby kampania wrześniowa przebiegała wolniej, to przewidziane dla niego stanowisko Komendanta Etapów Armii uwypukliłoby powagę powierzonego mu zadania, jego samego zdolności i energię.

Trudno uznać, że gdy dzielny, bojowy oficer przeniesiony zostaje od prac operacyjnych na stanowisko wyłącznie administracyjne, jakim była funkcja Dowódcy Okręgu Wojsko-

¹¹³ Jest to prawdopodobnie aluzja do „Komitetu Wolnej Francji” utworzonego w 1940 r. w Londynie przez Karola de Gaulle.

wego, ma w perspektywie stanowisko Komendanta Etapów jednej z armii – to mamy do czynienia z awansem. Powszechnie uznawane to było za koniec kariery.

Gdy w nocy 20/21 września Tokarzewski przedarł się do Warszawy, natychmiast spotkał się z prezydentem Starzyńskim, który był Komisarzem Cywilnym przy sztabie Rommła w myśl wydanego 1 września Dekretu Prez. RP – i do rana omawiali razem aktualne położenie, co doprowadzało do postanowienia przejścia do walki konspiracyjnej. Ponieważ jeszcze przed opuszczeniem Torunia zetknął się z nieznanym sobie zagadnieniem uruchamianej tam właśnie dywersji pozafrontowej, szukał w Warszawie jej śladów – na próżno, dlatego że:

– scentralizowane i silnie zakonspirowane w Sztabie Głównym jej kierownictwo opuściło miasto wraz ze sztabem.

– łączył ją błędnie z nazwiskiem mjra Galinata, który nie miał z nią nic wspólnego, choć w sztabie pracował.

Rano 21 września gen. Rómmel mianował go swoim zastępcą i przedstawicielem w Komitecie Obywatelskim Obrony Warszawy – co też ma swoją wymowę. Tokarzewski nawiązał od razu kontakt z M. Niedziałkowskim. Od Niedziałkowskiego uzyskał wiadomość, że w PPS już rozważano sprawę dalszej walki po ew. kapitulacji Warszawy. Ze Starzyńskim i Niedziałkowskim w ciągu następnych dni przedyskutował założenia, cele i formy działania i uzyskał aprobatę swego planu i obietnicę zorganizowania mu zaplecza administracyjnego i społecznego.

Gdy 25 września Komitet Obywatelski postanowił zgłosić Rommlowi wniosek o zaprzestanie walki, Tokarzewski przygotował swój wniosek i zaczął organizować związek swojego przyszłego sztabu.

Po południu 26 września, po odprawie wyższych dowódców, na której rozważano wniosek Komitetu, Tokarzewski poufnie zgłosił Rómmłowi swój projekt i prośbę o przelanie na niego posiadanego przez Rómmła pełnomocnictwa kierowania walką w kraju – chodziło o zachowanie ciągłości legalnej władzy. Tokarzewski – tak samo jak działacze na obczyźnie – uważał to za konieczne, nie chciał być uzurpatorem. Rómmel myśli aprobował, ale odłożył decyzję o kilka godzin na wiadomość, że wylądował samolot z emisariuszem Naczelnego Wodza. Jak wiadomo, był nim mjr Galinat. Przedstawił on Rommlowi rozkaz marsz. Rydza, w którym wyznaczał on Galinata na organizatora, kierownika i dowódcę tajnej organizacji do walki z Niemcami. Gen. Rómmel uznał, że zadanie to przerasta możliwości tak młodego oficera, i jako naczelny dowódca w kraju nadanie to powierzył Tokarzewskiemu. Stało się to nad ranem 27 września. Można nazwać to zamachem stanu – gen. Rómmła!

Noc 27/28 września spędził gen. Tokarzewski na omawianiu położenia i planu działania z działaczami PPS i SL, Niedziałkowskim, Zarembą i Korbońskim (z ramienia Rataja) oraz z płk Roweckim, świeżo przybyłym z zakończonej kapitulacją bitwy armii „Lublin” i „Kraków” pod Tomaszowem Lubelskim. Rozmowa odbyła się w Radości pod Warszawą, w mieszkaniu prywatnym, doraźnie na ten cel uzyskanym. Przed

domem czuwali przyjaciele: Leon Chrzanowski, który później wyjechał jako kurier do Paryża, i kuzynka Roweckiego Halina Królikowska, właścicielka leżącej o 6 km na wschód od Radości małej posiadłości Olszyny. Tam zatrzymał się Rowecki w oczekiwaniu na możliwość przejścia do Warszawy, a potem ukrywał się Tokarzewski¹¹⁴.

W początku października płk Rowecki został szefem sztabu i zastępcą gen. Tokarzewskiego jako komendanta SZP i jako pierwsze zadanie otrzymał zorganizowanie jego Sztabu. Harmonijna współpraca ich obu bez żadnych zgrzytów i zakłóceń trwała aż do wyjazdu Tokarzewskiego w początku marca 1940 r. I to Rowecki miał wysłać „por. D” z donosem na Tokarzewskiego! To zwykle kłamstwo „por. D” lub jego inspiratorów. Gdyby „por. D” oddał pismo z innym podpisem, nie dziwiłbym się, bo mógłbym sam wymienić kilku wyższych oficerów, którzy w tym czasie wysyłali do Paryża meldunki w tym duchu.

W czasie, gdy płk Rowecki organizował sztab Komendy Głównej SZP, gen. Tokarzewski zajmował się zapleczem politycznym. *Robił to w tym samym czasie, co gen. Sikorski w Paryżu i w tym samym duchu* – tworzył w kraju „front jedności”, zdobywał dla SZP poparcie głównych stronnictw przedwojennej opozycji i postępowych ludzi z sanacji. Nawiązał kontakt z mec. Leonem Nowodworskim i Al. Dębskim z SN, z marsz. Ratajem i z dr M. Michałowiczem z SD. Niedziałkowski został teraz przy nim Komisarzem Cywilnym. Z Niedziałkowskim i z Ratajem opracowano projekt programu społeczno-politycznego jako podstawy jedności działania i wychowania szeregow SZP. 10 października miała zebrać się i ukonstytuować Główna Rada Polityczna przy Komendzie SZP¹¹⁵. W przeddzień w gronie Tokarzewski, Starzyński, Niedziałkowski i Rowecki, przedyskutowano referat organizacyjny komendanta SZP. Do Rady Politycznej weszli sami przedstawiciele przedwojennej opozycji: przewodniczącym został Niedziałkowski, jego zastępcą Nowodworski, Korboński jako reprezentant Rataja, który był obserwowany przez gestapo, Pużak i Zaremba. Na Radzie przedyskutowano treść pierwszego raportu komendanta SZP do władz na obczyźnie. Zawierał on informację o położeniu w kraju, o powstaniu SZP, jej organizacji i planie działania oraz prośbę o aprobatę jej działalności.

¹¹⁴ W tymże dworku Haliny Królikowskiej Zamajdan-Olszyny (4 km od Wiązownej) odbyło się 7 XII 1976 r. jedno ze spotkań konspiracyjnego Konwentu (M. Lewandowski, *Kazimierz Pluta-Czachowski „Kuczaba”*, t. I, s. 319). Bezpieka zapisała w swoich papierach błędnie zarówno miejsce tego spotkania – Wiązowna, jak i nazwisko (nieżyjącej już wtedy) gospodyni – H. Królicka. Te błędy SB powieliли w swoich pracach historycy IPN-u: G. Waligóra, *Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela* (s. 53) oraz G. Wołk, *Szaleńcy niepodległości* (s. 39), przy czym ten ostatni zmienił nawet imię kuzynki Roweckiego, czyniąc z niej „Hannę Królicką”.

¹¹⁵ SZP, wzorowana na POW z czasów I wojny światowej, była – zgodnie z koncepcją piłsudczyków – organizacją polityczno-wojskową. W okresie gdy powstawała SZP (jesień 1939) nie było jeszcze w kraju cywilnych struktur politycznych, utworzonych później przez przedwojenną opozycję antysanacyjną.

Zaraz po podpisaniu tego raportu gen. Tokarzewski podjął ryzykowną podróż na południe kraju, by w miastach wojewódzkich nawiązać kontakty ze społeczeństwem, a przede wszystkim dotrzeć do Witosa, na którego udziale lub poparciu mu zależało (tak jak Sikorskiemu). Wyjechał 13 października przez Radom do Lublina, Kielc i Krakowa. Wszędzie znalazł poparcie i ustanowił usadowienie się komend SZP. Rozmawiał z kardynałem Sapiechą i uzyskał poparcie kleru. Z Krakowa udał się do Tarnowa, by spotkać się z Witosem. Ten był jednak w więzieniu, ale jego otoczenie przekazało mu relację Tokarzewskiego o SZP i po pewnym czasie przekazało mu zachętę do dalszej akcji i życzenia powodzenia. Przez Kraków, Kielce, Częstochowę (rozmowa z przeorem) i Piotrków powrócił do Warszawy 21 października¹¹⁶. I to miało być działanie w ramach „tajnej sanacyjnej organizacji K7” przeciw rządowi na obczyźnie i „w ścisłym kontakcie z Edwardem Rydzem” i na jego rozkazy, jak meldował Sikorskiemu pan Antoni Koreywo?!

Co do „Komitetu Siedmiu” (K-7), to przede wszystkim trzeba zaznaczyć, że nie miał on nic wspólnego z siatką „dywersji pozafrontowej” przygotowanej przez Sztab Główny i mającą działać poza frontem niemiecko-polskim. K-7 był organizacją czysto polityczną, tworzoną przez ludzi MSZ. Czas podjęcia tej akcji, pierwsze jej kroki i zakończenie żywota dość szczegółowo opisał Pobóg-Malinowski w swej książce i w artykułach w miesięczniku paryskim. Sam ochotczo zadeklarował swój udział tuż przed przekroczeniem granicy. K-7 wysłał z terenu Rumunii kilku emisariuszy do kraju z zadaniami czysto politycznymi. Afera została zakończona w grudniu 1939 r. Likwidacji dokonał komendant bukaresztańskiej bazy rządowej „Bolek” płk dypl. Stanisław Rostworowski, szef sztabu obrony Pragi we wrześniu, przyszedł gen. „Odra” w AK, bliski współpracownik Sikorskiego podczas pierwszej wojny światowej.

Wojna łamie wszelkie schematy, zaskakuje niespodziankami, drobne przypadki miewają poważne następstwa. Niektórzy ludzie, zaangażowani w „dywersji pozafrontowej”, gdy znaleźli się „poza frontem” – na południe od Karpat, mogli dać się wciągnąć do akcji K-7, zaś emisariusz K-7 mógł w kraju znaleźć się w ZWZ. Takie wyjątki nie mogą wypaczyć istoty rzeczy. Natomiast obfitą w następstwa niespodzianką były losy pierwszego raportu gen. Tokarzewskiego, o którym wyżej była mowa. Pierwszy jego egzemplarz podjął się przewieźć węgierski attaché w Polsce, który wracał do Budapesztu po zlikwidowaniu placówki w Warszawie. Wyjechał 14 października. Wiedzano tu z nasłuchu radiowego, że marsz. Rydz jest internowany i że Sikorski jest premierem i dowodzi wojskiem we Francji. Nie znano zakulisowego stanu spraw. Zaadresowano raport „Do Naczelnego Wodza”. Węgierski pośrednik też nie znał tych spraw zakulisowych i nie wczuwał się w subtelności stosunków personalnych we władzach polskich,

¹¹⁶ Szczegółowo opisując początki SZP, jak i wrześniowo-październikową podróż Karaszewicza-Tokarzewskiego, w oparciu o notatki Pluty-Czachowskiego, w pracy – M. Lewandowski, *Kazimierz Pluta-Czachowski „Kuczaba”*, t. I, s. 306-329.

powikłanych przez wojnę, i przekazał raport internowanemu, ale prawnie będącemu jeszcze na stanowisku marsz. Rydzowi, ten zaś zapewne przekazał go do Paryża po złożeniu swojej funkcji. Oczywiście pierwsze wrażenie musiało być silne i ujemne, choć następni kurierzy przywieźli ten sam raport wprost do Paryża. Ale uprzedzenie gen. Sikorskiego do Tokarzewskiego nie wygasło.

Natomiast ci, którzy ten raport wysłali, twierdzą, że nie był on adresowany na nazwisko marsz. Rydza i do Craiowej. Ten osobisty adres dorobiono za granicą.

Tyle płk Rzepecki. Równie obszerny i interesujący list nadesłał nam prof. dr Stanisław Urbańczyk z UJ.

Wstępny komentarz L. M-skiego słusznie nazywa wspomnienia Korewy lekturą przykrą, dowodem rozgrywek i walk o władzę po klęsce wrześniowej, rozgrywek nie rezygnujących z żadnego chwytu, jeśli rokował nadzieje na sukces. L. M-ski prostuje m.in. twierdzenie Korewy, jakoby organizator SZP, przekształconego następnie w ZWZ, a potem na AK, gen. Michał Tokarzewski, był człowiekiem sanacyjno-konspiracyjnej K-7, która to organizacja miała kierować oporem pod ewentualną okupacją niemiecką. Komórka K-7 w rzeczywistości nigdy nie zaczęła działać.

Korewo opowiada o swojej akcji, która skłoniła gen. Sikorskiego do usunięcia gen. Tokarzewskiego z dowództwa SZP 9 listopada 1939 r. Korewo złożył Sikorskiemu meldunek, jakoby Tokarzewski był wysunięty przez K-7, jakoby był wrogiem rządu Sikorskiego, a ślepyim narzędziem Śmigłego-Rydza. Tegoż dnia młody porucznik D. złożył Sikorskiemu rzekomy meldunek od Grota-Roweckiego o takiej samej treści. O skutkach tych meldunków używa Korewo charakterystycznych słów: „Na gen. Tokarzewskiego i jego SZP wyrok (!) został wydany”. O to oczywiście szło. Kto był w tym najbardziej zainteresowany i kto całą akcję spreprował, można się na razie domyślać.

Warto chyba w związku z wyznaniem Korewy podać informacje, które pochodzą od drugiej strony, od gen. Tokarzewskiego. Opowiada on*, jak podczas przedzierania się do oblężonej Warszawy, a potem w ostatnich dniach jej walki, postanowił zająć się organizacją cywilnego i wojskowego oporu, gdy Warszawa będzie się musiała poddać. Wiedział, że od kilku miesięcy były przygotowywane jakieś plany na ten wypadek, bardzo tajne, wiedział o udziale w opracowywaniu tych planów majora Galinata, jednakże w sztabie gen. Rómmła nie natrafił na ich ślad. Wobec tego zameldował się u gen. Rómmła już 25 września, proponując, aby mu przekazał pełnomocnictwa rządu i naczelnika państwa, jakie posiadał. Rómmel w zasadzie propozycję przyjął, lecz odłożył decyzję do zapoznania się z wiadomościami, które przywiózł kurier z Rumunii. Kurierem był mjr Galinat. Chociaż major został przez Rydza wysunięty na organizatora dywersji w kraju, Rómmel 27 września przekazał otrzymane pełnomocnictwa

* Michał Tokarzewski-Karaszewicz, „U podstaw tworzenia Armii Krajowej”. Odczyt wygłoszony w Montrealu w 1951 r., w Nowym Jorku w 1952 r., oraz w Londynie w Klubie Dyskusyjnym im. Gen. Grota-Roweckiego w 1953 r. Londyn 1962 (tekst powielony) [przypis oryginalny].

wojskowe Tokarzewskiemu, podporządkowując mu Galinata. Jak się wnet okazało, Galinatu nie udało się odszukać przygotowanych wcześniej ludzi. Kiedy w dodatku Tokarzewski nie skorzystał z wniosku Rómmła, aby Galinata mianować szefem sztabu podziemnej organizacji, major postanowił wyjechać do Rumunii, na co uzyskał zgodę. Natomiast Tokarzewski zatrzymał w Warszawie płk. Stefana Roweckiego, który chciał się przekraść do Francji. Mianował go swoim zastępcą i szefem sztabu SZP (w połowie października). EkspONENT K-7 nie tak byłby się zachował wobec Galinata!

Tokarzewski raz po raz wypowiada się o Roweckim z wielkim uznaniem i podkreśla serdeczne stosunki, jakie ich do końca łączyły*. W takiej sytuacji wydaje się wprost niemożliwe, aby Rowecki wysłał do Sikorskiego meldunek podający Tokarzewskiego za agenta K-7. Dodać jeszcze trzeba, że Rowecki uznawał uprawnienia Tokarzewskiego, skoro zgłosił się do niego z prośbą o zezwolenie na wyjazd do Francji i to w momencie, kiedy pozycja Tokarzewskiego jeszcze nie była ugruntowana. Rowecki mógł być sobie śmiało pozwolić na wyjazd do Sikorskiego, gdyby nie uznawał kompetencji Tokarzewskiego. Aż się samo prosi, aby „meldunek” Roweckiego uznać za grube fałszerstwo.

Jak wiadomo nie ma dymu bez ognia, więc i zarzuty utrzymywania związków z Rydзем miały podstawę, słabą, ale nadającą się do użycia po odpowiednim spreparowaniu. Koło 10 listopada Tokarzewski wysłał przez węgierskiego attaché wojskowego meldunek o sytuacji w kraju do Rydza. Twierdzi Tokarzewski, że nasłuch radiowy jeszcze pracował nieregularnie i nie wiadano o proklamowaniu nowego prezydenta i rządu 7 listopada we Francji. Twierdzi również, że prosił Węgry, aby doręczył meldunek aktualnemu naczelnemu wodzowi, sprawdzwszy pierwej, kto nim jest. Węgier przekazał meldunek do Rydza, a Rydz do nowych władz w Paryżu. Sikorski przyznał w rozmowie przeprowadzonej z Tokarzewskim w Tocku pod koniec 1941 r., że fakt ten uznał za dowód nielojalności; przyznał też, że ulegał naciskowi niektórych członków rządu, jak również naciskom ND, a przede wszystkim własnym stronnikom w kraju, którym przewodził prof. Świętochowski, a którzy nie mogli generałowi wybaczyć jego „lewicowości” (był kiedyś członkiem PPS). Późniejsze lojalne kroki Tokarzewskiego już nic nie pomogły.

W świetle dalszej opowieści Tokarzewskiego wydaje się, że Sikorski swoją zaciekłość posunął poza granice rozsądku. Otóż zakazał swojemu kurierowi „Konarskiemu” nawiązania kontaktu z Tokarzewskim, a przecież w ówczesnej sytuacji, w Warszawie kontakt taki był na pewno niezbędny i mógł być powstrzymać Sikorskiego przed błędnymi posunięciami. Błędem było m.in. zniesienie krajowego dowództwa nad ZWZ, które zorganizowano opierając się na SZP, podzielenie kraju na okręgi uzależnione bezpośrednio (ale z osobna!) od rządu i dowództwa we Francji. Z tej decyzji musiał się Sikorski rychno wycofać. Komendantem ZWZ został Rowecki.

* Według relacji Tokarzewskiego Rowecki był tak dalece lojalny wobec b. przełożonego, że objęcie dowództwa okręgu warszawskiego powierzonego mu przez władze polskie we Francji uzależniał od zgody Tokarzewskiego [przypis oryginalny].

Tak oto od strony gen. Tokarzewskiego wygląda to, co według A. Korewy, było „faktyczną likwidacją eksponenta piłsudczyków w Warszawie”. Powiązania Korewy, których nie taił, podejrzana szybkość, z jaką wiadomości szkodzące Tokarzewskiemu docierały do Sikorskiego, każą mniemać, że to, co się stało, było nie tylko dziełem partyjnych rozgrywek samych Polaków, ale i czynników obcych.

Parę słów należy się jeszcze osobie mjra Galinata. Otóż nie ma wiarygodnych potwierdzeń, jakoby jeszcze przed wybuchem wojny uczestniczył on w przygotowaniu „dywersji pozafrontowej”, jak to przypuszczał gen. Tokarzewski. Także wersja, jakoby Śmigły mianował Galinata komendantem organizacji podziemnej w kraju, nie jest prawdopodobna. Galinat był wyłącznie kurierem¹¹⁷, Śmigły z Craiowej nie był w stanie wyznaczyć dowódcy armii podziemnej, gdyż nie wiedział, co dzieje się z poszczególnymi generałami. Zresztą sam Galinat, przesłuchiwany następnie w tej sprawie w Londynie stwierdził, że nigdy takiego zadania nie otrzymał.

Otrzymaliśmy ponadto list od p. Izidora Kwiecińskiego, który prostuje błędne inicjały imion przywódcy Stronnictwa Pracy w kraju: był nim Franciszek Kwieciński.

L. M-ski

* * *

KRONIKA WARSZAWY 1939–1945¹¹⁸

¹¹⁷ Zob. przypis 81.

¹¹⁸ „Stolica” z 1968 r., nr 39. Adam Michnik zarzucił Moczulskiemu współautorstwo fragmentów publikowanej w „Stolicy” *Kroniki Warszawy 1939–1969*, które miały dotyczyć zająć w Warszawie w 1968 r. (Adam Michnik, *Reminiscencje niesentymentalne. Mirkowi Chojeckiemu z przyjaźnią*, „Krytyka” 1978 r., nr 1, s. 24–26). Problem polegał na tym, że nazwiskiem Moczulskiego podpisane były jedynie te fragmenty „Kroniki” publikowanej w „Stolicy”, które dotyczyły lat 1939–1945 i które przytaczamy w całości. Natomiast, gdy idzie o dalsze fragmenty „Kroniki” (obejmujące okres późniejszy), to teksty publikowane w „Stolicy” były niepodpisane. Moczulski zaprzeczył, jakoby był ich autorem i nie ma żadnego dowodu, aby to zaprzeczenie miało być niezgodne z faktami. W środowisku KOR-u zarzuty, jakoby Moczulski pisał w 1968 r. teksty antysemitckie rozpowszechniał na kilka lat przed powstaniem Ruchu Obrony Józef Lewandowski i to on wprowadził w błąd członków opozycji przedsierniowej, z których żadny nie sprawdził tych rewelacji w czytelni. Józef Lewandowski (który pierwotnie nazywał się Izaak Lipszyc) znalazł się na Zachodzie po 1968 r. i współpracował z paryską „Kulturą”. Z zarzutami wystąpił po ukazaniu się *Wojny Polskiej 1939* (zob. Józef Lewandowski, *O krytyce*, „Kultura” 1973, nr 7–8, s. 184–186; redakcja „Kultury” odmówiła wówczas publikacji listu Leszka Moczulskiego polemizującego z tym artykułem, o czym nie omieszczała jednak poinformować czytelników i bezpiekę – *Odpowiedź p. L. Moczulskiemu*, „Kultura” 1973, nr. 9, s. 159). Moczulski odniósł się do tych zarzutów w wyjaśnieniach przed sądem 19 VIII 1981 r.: *Długo przedtem, zanim powstała Konfederacja Polski Niepodległej, zanim powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, byłem przez paryską „Kulturę” atakowany, a – żeby było zabawniej – to na łamach „Kultury” atakowano mnie za książkę, którą kiedyś w Polsce wydałem i za którą pozbawiono mnie możliwości wydawania książek, aż do tego momentu, kiedy wpadłem na pomysł, żeby samemu wydawać. Była to książka pod tytułem „Wojna*

1 października 1939 r. oddziały Wehrmachtu zajęły Warszawę, a 17 stycznia 1945 r. stolica została wyzwolona przez oddziały armii Ludowego Wojska Polskiego. Między tymi dwoma datami zawarte jest 2095 dni – okres bez precedensu nie tylko w dziejach naszego miasta, lecz jakiegokolwiek innego miasta świata. Przez 1826 dni – do 1 sierpnia 1944 – trwa okupacja niemiecka z dnia na dzień coraz bardziej krwawa, pochłaniająca setki tysięcy ofiar.

Potem – do 2 października – trwa Powstanie, Warszawa wyzwała się w walce i broni napierano ze wszystkich stron przez oddziały wroga. Wreszcie ostatnie 106 dni – to wypędzenie z miasta mieszkańców i systematyczne, nieprzerwane burzenie stolicy Polski przez najeźdźców. Ten podział czasowy jest trochę inny dla Pragi; po 1826 dniach okupacji, przeżywa ona 10 dni, podczas których początkowo trwają próby powstańcze, zaś później Niemcy pozostawiają znaczne części dzielnic bezpańskie; potem dopiero następuje 34 dni ponownej okupacji a 14 września 1944 żołnierze radzieccy i polscy przynoszą Warszawie prawobrzeżnej wolność.

Niestety, nie ma do dziś dnia książki, która podjęłaby trud ukazania choćby w syntetycznym zarysie dziejów owych 2095 dni, wydarzeń zarówno cywilnych, jak militarnych, terroru i ruchu oporu, działalności Polski Podziemnej i władz okupanta, zbrodni i odwetu, pracy i dążeń. Niepřędko chyba podobna synteza powstanie¹¹⁹.

Publikowana niżej kronika nie jest nawet brulionowym konспекtem tak tej potrzebnej książki. Cele jej są jeszcze bardziej ograniczone i niepełne. Pragniemy jedynie ukazać zmienny w czasie nurt tamtych dni, przybliżyć go przypomnieniem nielicznych faktów spośród ich mrowia. Co najwyżej – wskazać na wewnętrzną logikę wydarzeń, uchwycić tętno pulsu ówczesnych dziejów.

27 września 1939 r. o godzinie 12.00 ustała walka o Warszawę, nastąpiło zawieszenie broni celem przeprowadzenia rokowań kapitulacyjnych. Tęgo samego dnia, gen. Rómmel, dowódca armii „Warszawa” polecił gen. Karaszewiczowi-Tokarzewskiemu utworzyć podziemną organizację wojskową z zadaniem kontynuowania walki z wrogiem; tegoż jeszcze dnia organizacja ta, pod nazwą Służba Zwycięstwu Polski SZP zo-

Polska”. Jerzy Sokół jest biegłym w sprawie tej książki i może wyjaśni, dlaczego jest to książka antyradycka i antykomunistyczna. Dziwiłem się, że za tę samą książkę zaatakowała mnie „Kultura” paryska piórem znanego mi osobiście człowieka. Nie wiem, czy to będzie przedstawiciel wrogiej organizacji... Osobiście żeśmy się spotkali parę razy w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk. Podawałem mu rękę tak długo, póki nie wiedziałem, kim on jest. Mianowicie jest on Józefem Lewandowskim. To on na łamach „Kultury” paryskiej, chyba w roku 1972, mnie zaatakował. Jest takim miłym człowiekiem, który przyjechał tutaj do Polski w mundurze innego kroju i koloru, z niebieskimi pagonami, jako spec w organach bezpieczeństwa. Potem zmienił mundur i awansował. Przez 10 lat służył w Zarządzie Głównym Informacji. Ta sala pamięta, co to był Zarząd Główny Informacji, bo tu były liczne wyroki śmierci. Ten pan ma dotąd [oskarżony] pokazuje na swój łokieć] ręce umazane polską krwią. Ten pan na łamach paryskiej „Kultury” był taskaw się ze mną się rozprawić, chyba nieskutecznie.

¹¹⁹ Książka taka powstała i została wydana 6 lat później. Jej autorem był pierwszy szef działu historycznego „Stolicy” – Władysław Bartoszewski (*1859 dni Warszawy*).

stała utworzona, a pierwsza grupa oficerów zaprzysiężona. Następnego dnia, 28 września, w fabryce Skoda na Rakowcu został podpisany układ o honorowej kapitulacji stolicy. Oddziały polskie zaczęły składać broń. W października oddziały Wehrmachtu obsadziły Warszawę.

Taki był prolog kroniki lat okupacji.

1939

Październik.

Niemcy przejmują pełnię władzy nad miastem: do 25 X sprawuje ją gen. por. v. Cochenhausen, przy pomocy szefa zarządu cywilnego SS Standarteführera v. Craushara oraz prezydenta policji SS-Oberführera Classena; w Warszawie instaluje się Einsatzgruppe IV, dowodzona przez SS-Bziganführera Beutela i SS Standartenführera Meisingera jako zasadnicza placówka policji bezpieczeństwa. Od 25 X zarząd wojskowy zostaje zastąpiony przez władze cywilne; gubernatorem dystryktu warszawskiego zostaje mianowany Ludwik Fischer. Niemcy przejmują kontrolę nad władzami miejskimi, zakazują polskiego życia publicznego, artystycznego i naukowego, zamykają szkoły wyższe i średnie oraz wydawnictwa prasowe, tworząc gadzinowy Nowy Kurier Warszawski, odbierają ludności aparaty radiowe. Rozpoczynają się aresztowania znanych działaczy politycznych i społecznych, m.in. uwięziony zostaje prezydent miasta Stefan Starzyński (27 X). Rozpoczynają się pierwsze egzekucje przeprowadzane przez Niemców przy ul. Stojanowskiej 12/14 na Targówku. Nowy Kurier Warszawski (NKW) publikuje pierwsze obwieszczenie o wyrokach śmierci, na ogół za przechowywanie broni.

Zrujnowane miasto próbuje zaleczyć najdotkliwsze rany; rusza elektrownia, wodociągi, dwie pierwsze linie tramwajowe, zaopatrzenie uzupełniane jest coraz silniej nielegalnym dowozem żywności. Rodzą się wstępne formy ruchu oporu: zrywane są niemieckie plakaty, dopisywane do nich patriotyczne hasła. Formują się pierwsze grupy ruchu oporu: SZP, KOP, odradzają w podziemiu partie i ugrupowania polityczne.

Listopad–grudzień.

Uciążliwa jesień przeradza się w wyjątkowo mroźną zimą, brakuje opału, znaczna część ludności nie może pozwolić sobie na kupno szyb do wybitych okien, zasłania je dyktą. Niewielka stosunkowo część mieszkańców znalazła zatrudnienie, lecz głodowe pensje nie zapewniają minimum egzystencji; znaczna część ludności żyje z wyprzedaży, w coraz większym stopniu ludzie zaczynają utrzymywać się z nielegalnych zarobków, głównie dzięki handlowi. Poczynają krzepnąć podziemne organizacje zbrojne i polityczne, żywiołowo i na poważną skalę rozwija się tajna oświata. Powtarzają się coraz liczniej wypadki tzw. „małego sabotażu”, tj. zrywania niemieckich flag i afiszów, wypisywania patriotycznych haseł.

Równolegle wzrasta terror niemiecki. 3 XI po raz pierwszy pojawia się plakat informujący o zgładzeniu Eugenii Włodarz i Elżbiety Zahorskiej za „zamach na żołnierza niemieckiego”, względnie sabotaż, tzn. zrywanie plakatów; natychmiast potem inny plakat powiadamia o skazaniu na śmierć Bronisława Stempnia. Od tej

pory obwieszczenia takie – czy to w formie plakatu, czy komunikatu opublikowanego w NKW, stają się coraz częstsze. Wzrasta ilość egzekucji, które przeprowadzane są w listopadzie jeszcze na Stojanowskiej, lecz od początków tego miesiąca ich głównym terenem stają się ogrody sejmowe. Po kilkutygodniowym przygotowywaniu terenu, 7 i 8 XII odbywają się pierwsze egzekucje na Palmirach, rozpoczynając krwawą i długą historię tego miejsca zbrodni. Dochodzi także do egzekucji, których ofiarą padają przypadkowi mieszkańcy Warszawy. Gdy 11 listopada pojawia się w Zielonce patriotyczny afisz, Niemcy chwytają 9 przypadkowych osób i mordują je w pobliskim lesie.

Dla masowych zbrodni wykorzystują każdy pretekst. Gdy 13 XI zawodowy kryminalista, zwolniony świeżo z więzienia zastrzelił przy ul. Nalewki 9 policjanta granatowego, Niemcy wykorzystali to do natychmiastowego aresztowania 53 mieszkańców tego domu i stracenia ich. Podobny pretekst miała egzekucja w Wawrze, w trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia, 27 grudnia, gdy dwu kryminalistów podczas próby legitymowania zastrzeliło dwóch żołnierzy niemieckich w restauracji w Wawrze, powieszono restauratora Antoniego Bartosza, a 107 mężczyzn, aresztowanych przypadkowo w domach, rozstrzelano. Zbrodnia wawerska odbiła się szerokim echem w kraju, stając się symbolem zbrodni niemieckich pierwszego okresu okupacji. (Później kryptonim „Wawer” przybrała harcerska organizacja małego sabotażu).

Zbrodniczą akcją hitlerowców w Warszawie kierował w tym czasie – od połowy listopada szef policji bezpieczeństwa (Sicherheitspolizei und Sicherheitsdienst) – Meisinger.

1940

Styczeń–Luty.

Wyjątkowo mroźna zima, brak opału, żywności, miasto nadal leczyło rany po zniszczeniach wrześniowych. Wzmaga się terror niemiecki. Na czele aparatu zbrodni w Warszawie staje SS Gruppenführer Paul Moder, któremu – jako dowódcy SS i policji na dystrykt warszawski podlega szef policji bezpieczeństwa, Meisinger. Niemcy kontynuują masowe egzekucje w Palmirach; mimo iż utrzymywane są one w tajemnicy, ruch oporu odkrywa je i ujawnia przed społeczeństwem; inne egzekucje odbywają się w Szwedzkich Górach w Puszczy Kampinoskiej, w lasach Kabackich, zaś w samym mieście w ogrodach sejmowych.

Marzec.

Fala terroru wzmaga się. Dochodzi w Warszawie do pierwszych akcji zbrojnych. W nocy z 28 na 29 III w bliżej nieznanych okolicznościach i miejscu zostali zastrzeleni dwaj patrolujący żołnierze Wehrmachtu. 29 marca nad ranem funkcjonariusze gestapo usiłują wtargnąć do mieszkania przy ul. Sosnowej 3, gdzie przebywają właśnie: dowódca Organizacji Wojskowej „Wilki” – Józef Brückner „Wilk” i jego adiutant Roman Kluzowski – „Halny”. Obaj Polacy ogniem z pistoletów zmusili Niemców do odwrotu i zbiegli przez dachy domów. W odwet gestapo aresztowało kilkudziesięciu mieszkańców domu Sosnowa 3 i sąsiedniego Złota 49; zostali oni następnie namordowani na Palmirach.

Kwiecień.

Trwają egzekucje na Palmirach więźniów przewożonych z Pawiaka oraz w ogrodach sejmowych. 2 IV wróg morduje grupę Polaków w egzekucji w Wawrze przy ul. Dębowej.

Maj.

Niemcy rozpoczynają akcję A–B, której celem jest eksterminacja inteligencji polskiej. W Warszawie przybierają na sile aresztowania według opracowanych przez gestapo list osób potencjalnie niebezpiecznych. 2 V wysłano z Warszawy pierwszy wielki transport do Sachsenhausen. 8 V ma miejsce w stolicy pierwsza łapanka uliczna. Zwycięstwa niemieckie na froncie zachodnim powodują nastroje przygnębienia wśród ludności Warszawy.

Czerwiec.

Pogłębienie się nastrojów przygnębienia na skutek klęski Francji. Gwałtowny wzrost terroru okupanta: nowa seria masowych egzekucji na Palmirach, której najkrwawsza miała miejsce 20–21 VI (358 ofiar).

Lipiec.

Nowa sytuacja wywołana klęską Francji aktywizuje działalność podziemnych organizacji politycznych, które przygotowują się do długotrwałej walki z wrogiem. Szczególnie poważnie aktywizuje się radykalna lewica społeczna, powstaje Związek Rad Robotniczo-Chłopskich, który później od nazwy swego pisma będzie powszechnie zwany „Młot i Sierp”, wokół pisma „Do zwycięstwa” zaczyna się krystalizować inna grupa komunistyczna, późniejsze Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR, wreszcie formuje się tzw. grupa studencka, zwana też grupą „Życia”¹²⁰.

Nieprzerwanie trwa terror niemiecki, obok aresztowań planowych, według list, w coraz większym stopniu chwytni są przypadkowi ludzie na ulicach.

Sierpień.

Trwa terror niemiecki, na Palmirach dokonywane są egzekucje na osobach aresztowanych przez Niemców w ramach akcji A–B. 12 sierpnia Warszawa przeżywa ogromną łapankę. Część ze schwytanych wraz z grupą więźniów z Pawiaka zostaje skierowana 14 sierpnia do Oświęcimia. Jest to pierwszy transport z Warszawy do tego obozu.

Wrzesień.

Dochodzi do kolejnego starcia zbrojnego z gestapo. 14 IX niemiecka policja bezpieczeństwa przybywa do domu przy ul. Lwowskiej gdzie znajdował się zakonspirowany lokal organizacji Komenda Obrońców Polski KOP. W lokalu znajdowało się małżeństwo Kołacińscy i Jan Bogobowicz; ten ostatni stawiał zbrojny opór, raniąc jednego Niemca. Trwają dalsze egzekucje na Palmirach. Skierowany zostaje do Oświęcimia (22

¹²⁰ Z tej „aktywizacji” „radykalnej lewicy społecznej” nic konkretnego nie wynikało. Wzmiankę o tym należy traktować jako daninę na rzecz cenzury.

IX) drugi transport z Warszawy, w skład którego wchodzi ofiary łapanek (największa: 19 IX) i więźniowie Pawiaka.

Październik.

Niemcy rozpoczynają akcję zagłady Żydów, tworzą getto w Warszawie (2 X), w którym zostaje stłoczona ludność żydowska stolicy, a także i spoza miasta, początkowo w liczbie ok. 400 tys. ludzi. W dalszym ciągu w całym mieście trwa terror i odbywają się łapanie.

Listopad.

Dalsze zaostrenie terroru niemieckiego. Do Oświęcimia zostaje skierowany trzeci wielki transport mieszkańców Warszawy (22 XI). Getto zostaje ogrodzone trzymetrowym murem i zamknięte (15 XI), zaś za opuszczenie jego terenu lub też udzielanie uciekinierom jakiegokolwiek pomocy grozi kara śmierci.

Grudzień.

Terror niemiecki nie słabnie, trwają egzekucje w Palmirach, getto zostaje skazane na śmierć głodową przez Niemców. Jedynym ratunkiem dla dzielnicy żydowskiej staje się pomoc polska; natychmiast po zamknięciu getta rozpoczynają się nielegalne dostawy żywności, a także surowców, umożliwiających działanie warsztatów i zakładów produkcyjnych. Przy pomocy polskiej zostaje też stworzona pierwsza organizacja zbrojnego ruchu oporu w getcie – Żydowski Związek Wojskowy.

Następuje dalsza konsolidacja państwa podziemnego. Przeprowadzane poprzednio w znacznej mierze żywiołowo i chaotycznie akcje tzw. małego sabotażu zostają skupione w rękach organizacji harcerskiej „Wawer”.

1941

Styczeń.

W ciągu miesiąca skierowano do Oświęcimia dwa kolejne transporty (6 i 31 I).

Luty–marzec.

Trwają egzekucje na Palmirach. Z Pawiaka zostaje skierowany wielki transport Więźniów do Buchenwaldu (23 III). Przybierają na sile akcje małego sabotażu, dochodzi do licznych wypadków sabotażu przemysłowych i komunikacyjnych. 7 marca grupa bojowa ZWZ wykonała wyrok śmierci na zdrajcy Igo Symie, współpracowniku gestapo i kierowniku teatru miejskiego w Warszawie.

Kwiecień–maj.

Szefem policji bezpieczeństwa w Warszawie na miejsce Meisingera zostaje mianowany SS-Obersturmbannführer Johannes Müller. Odbywają się dalsze masowe mordy w Palmirach. Wzmagają się aresztowania w Warszawie, szczególnie intensywne w końcu kwietnia i połowie maja. Do Oświęcimia zostają skierowane dwa dalsze transporty z Warszawy (5 IV i 23 IV). Powstaje organizacja Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR.

Czerwiec–lipiec.

Wydarzenia rozgrywają się pod ciężarem przygotowań i wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej oraz jej pierwszych skutków. W ostatnim tygodniu czerwca i w początku lip-

ca gestapo dokonuje masowych aresztowań wśród kierowniczego aktywu „Młota i Sierpa”. Trwają egzekucje na Palmirach (ostatnia znana: 17 VII); Niemcy zaprzestają jednak dokonywania zbrodni w tym miejscu, ponieważ podziemie ujawniło już prawdę o rejonie egzekucji. Do Oświęcimia zostaje skierowany kolejny transport z Warszawy (23 VII).

Tworzy się w Warszawie Związek Walki Wyzwoleńczej, szefem organizacji wojskowej zostaje Marian Spychalski.

Wrzesień–październik.

Na miejsce Müllera szefem policji bezpieczeństwa w Warszawie zostaje SS Obersturmbannführer dr Ludwik Hahn. Niemcy wymierzają cios lewicy rewolucyjnej: w toku masowych aresztowań zlikwidowane zostaje praktycznie całe kierownictwo organizacji Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR. Okupant dokonuje teraz kolejnych egzekucji w lasach Kabackich. Z Warszawy zostają skierowane do Oświęcimia trzy dalsze transporty (3 i 11 IX, 15 X) oraz pierwszy wielki transport kobiet do Ravensbrück (22 IX).

Listopad–Grudzień.

Mnożą się akty dywersji, małego i wielkiego sabotażu, a równolegle wzrasta terror okupanta. Dowódcą SS i policji w dystrykcie warszawskim zostaje mianowany na miejsce Modera – SS Standarteführer Arpad Wigand. Do Oświęcimia zostaje skierowany kolejny transport (19 XI). W więzieniu przy ul. Gęsiej 24 Niemcy dokonują dwu masowych egzekucji.

28 grudnia w Wiązowni k. Warszawy ląduje na spadochronach Grupa Inicjatywna komunistów polskich z ZSRR z Marcelim Nowotką i Pawłem Finderem na czele, przystępując natychmiast do pracy nad stworzeniem partii.

1942

Styczeń.

5 I powstaje w Warszawie Polska Partia Robotnicza, na której czele staje Marceli Nowotko. Przy PPR tworzy się Gwardia Ludowa, której pierwszym szefem sztabu jest Marian Spychalski.

W rezultacie akcji dywersyjnej ZWZ spalone zostają magazyny niemieckie na ul. Jagiellońskiej (19 I). W drugiej połowie miesiąca wzmagają się aresztowania niemieckie, w więzieniu mokotowskim dochodzi do masowej egzekucji (27 I). Do Oświęcimia zostają skierowane dwa dalsze transporty (8 i 15 I).

Luty.

W Aninie dochodzi do starcia zbrojnego przy ul. Poprzecznej, gdy policja niemiecka usiłuje dokonać aresztowań w lokalu konspiracyjnym ZWZ. Ginie jeden Niemiec, kilku jest rannych, w walce poległ członek ZWZ Leszek Kopaliński, zaś jego matka została zamordowana. Do Oświęcimia skierowane zostają dwa następne transporty (11 i 23 II).

Marzec.

Gwałtowny wzrost terroru niemieckiego. W nieustalonym dotychczas miejscu Niemcy rozstrzelują 100 więźniów Pawiaka, o czym powiadamiają plakatami. Inna masowa egzekucja ma miejsce w więzieniu przy ul. Gęsiej. Do Oświęcimia skierowane

zostały dwa dalsze transporty (6 i 12 III). Dowódcą SS i Policji w dystrykcie warszawskim zostaje SS Oberführer v. Sammern-Frankennegg.

Kwiecień.

Wzrasta się fala aresztowań oraz rozpoczyna nowy okres masowych łapanek na ulicach Warszawy. Do Oświęcimia odchodzą dwa transporty (17 i 20 IV). Dochodzi do masowych egzekucji w Aninie (29 IV), w więzieniu przy ul. Gęsiej. Na terenie getta dochodzi po raz pierwszy do masowych morderstw na ulicach (noc z 17 na 18 kwietnia).

Maj.

Wyrusza z Warszawy pierwszy oddział partyzancki GL, dowodzony przez Małego Franka – Zubrzyckiego (10 V). Niemcy dokonali masowej egzekucji więźniów z Pawiaka w lesie pod Magdalenką (28 V). Do Ravensbrück skierowano kolejny transport więźniarek (30 V) W niemieckim kasynie gry przy al. Szucha wybucha bomba zegarowa podłożona przez bojowców z Socjalistycznej Organizacji Bojowej.

Czerwiec.

Wyrusza z Warszawy drugi oddział partyzancki GL, dowodzony przez Stacha – Augusta Langego. Niemcy przeprowadzają nadal masowe egzekucje więźniów, m.in. w lasach Kabackich (4 VI). W drugiej połowie miesiąca przybiera na sile fala aresztowań. Do Oświęcimia odchodzi kolejny transport (25 VI). Przy ul. Przemysłowej 28/38 dochodzi do zbrojnej obrony drukarni pisma „Szaniec”. W siedzibie niemieckiej Kriminalpolizei wybucha bomba podłożona przez grupę AK (25 VI).

Lipiec.

Szczególnie znaczne nasilenie aresztowań w II dekadzie miesiąca. Niemcy dokonują masowych egzekucji w rej. Dąbrówki, a także na ulicach getta, gdzie przywożą i mordują więźniów polskich. Do Oświęcimia odchodzi kolejny transport (15 VII). 22 lipca Niemcy przystępują do wysiedlania ludności żydowskiej z getta, kierując ją transportami kolejowymi do Treblinki, gdzie ofiary ponoszą śmierć w komorach gazowych. Grupy dywersyjne AK podpalają olbrzymie składy paliw płynnych Wehrmachtu przy ul. Podskarbińskiej (5 VII) i niszczą kilkanaście samochodów wojskowych przy ul. Jagiellońskiej (24 VII).

Sierpień.

Nieprzerwanie trwa – średnio po 6 tys. osób dziennie – wywożenie Żydów z getta do komór gazowych Treblinki. Dalsze masowe egzekucje niemieckie, m.in. na Okęciu. Do Oświęcimia skierowano dwa transporty (18 i 25 VIII). Lotnictwo radzieckie bombarduje niemieckie obiekty w Warszawie (20/21 VIII).

Wrzesień.

Wielka akcja zagłady Żydów warszawskich trwa, do 12 IX codziennie odchodzą transporty do Treblinki. Ogółem od 22 VII wywieziono do Treblinki ok. 310 tys. osób, zaś w trakcie ewakuacji na ulicach getta zamordowano ok. 6 tysięcy ludzi. W Warszawie rozpoczął działalność Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom, dysponujący poważnymi funduszami na pomoc i ukrywanie ludności żydowskiej. Aby zastraszyć społeczeństwo

KRONIKA WARSZAWY 1939–1945 (DOKOŃCZENIE)

polskie, czynnie wspomagające swych żydowskich współrodaków, aresztowano burmistrza i pracowników Zarządu Miejskiego oraz proboszcza we Włochach – jako miejscowości, której mieszkańcy udzielają pomocy Żydom. Po wielkiej akcji wysiedleńczej w getcie pozostało już tylko ok. 65 tys. ludzi.

W połowie miesiąca doszło do olbrzymich łapanek w całym mieście, pod koniec miesiąca, do masowych aresztowań, które m.in. dotkliwie dotknęły PPR. Oddział dywersyjny AK wywołał pożar w fabryce śmigieł lotniczych na Bielanach (30 IX); inne pożary, w liczbie kilkudziesięciu, wywołano w kinach. Lotnictwo radzieckie dwukrotnie bombarduje obiekty niemieckie w Warszawie (1/2 i 13 IX).

Październik.

W nocy z 7 na 8 X siedem zespołów dywersyjnych AK, dowodzonych przez kpt Lewandowskiego, wysadza w powietrze tory równocześnie na wszystkich trasach wylotowych z Warszawy. Akcja ta, opatrzona kryptonimem „Wieniec”, paraliżuje węzeł warszawski – najważniejszy ze wszystkich węzłów kolejowych na zapleczu frontu wschodniego; akcja ta odbywa się w kulminacyjnej fazie bitwy pod Stalingradem. W odwecie Niemcy dokonują masowych egzekucji: na wydmy Łuże w Puszczy Kampinoskiej (15 X) oraz w pięciu punktach (Szczęśliwiec, Rembertów, Pelcowizna, Wola, Marki) wieszają 50 więźniów, głównie członków PPR (16 X).

W odwet za zbrodnię niemiecką grupy bojowe GL dokonały zamachów bombowych na lokale niemieckie Café Club i Mitropa oraz drukarnię NKW (24 X). Grupy małego sabotażu „Wawer” dokonał; masowej akcji oblewania na ulicach Niemców kwasami żrącymi. Z kolei Niemcy nałożyli na Warszawę kontrybucję w wysokości 1 000 000 zł.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

KRONIKA WARSZAWY 1939–1945 (DOKOŃCZENIE)¹²¹

1942

Listopad.

Grupy bojowe AK z Warszawy w odwet za 50 powieszonych wykoleiły na różnych trasach 5 pociągów Wehrmachtu, zniszczyły jeden most, a inny uszkodziły (16/17 XI). Wzmogły się do niebywałych rozmiarów aresztowania niemieckie oraz uliczne łapanki. Do Oświęcimia skierowano 7 transportów (13, 17, 18, 19, 20, 21, 27 XI). Niemcy ściągnęli z miasta kontrybucję miliona zł, lecz kwota ta została im odebrana w brawurowej akcji GL na bank KKO przy ul. Traugutta (30 XI). Po śmierci Marcele-

¹²¹ „Stolica” z 1968 r., nr 40.

go Nowotki, zamordowanego skrytobójczo (28 XI)¹²², I Sekretarzem KC PPR zostaje Paweł Finder.

Grudzień.

Niemcy dokonują dwu egzekucji masowych, jednej w pobliżu Pawiaka, drugiej w miejscu do dziś nie ustalonym. Liczne obławy uliczne. Do Oświęcimia skierowano jeden transport więźniów (20 XII) z Warszawy zostaje skierowana kompania partyzancka AK, tzw. kompania warszawska, do walk na Zamojszczyźnie.

1943

Styczeń.

Do Warszawy przybywają transporty dzieci polskich z Zamojszczyzny (pierwszy: 7 I). Część dzieci zmarła w trakcie transportu z zimna i głodu. Ocalałe wykupywane są przez ludność od Niemców i przechowywane w domach prywatnych, później także w sierocińcach i ochronkach, m.in. przy ul. Krochmalnej. Nowa wielka fala aresztowań oraz ulicznych łapanek. W łapanekach 15–17 I Niemcy schwytali kilkanaście tysięcy osób. Z Warszawy skierowany zostaje pierwszy transport więźniów na Majdanek (17 I). 18 stycznia Niemcy usiłują zlikwidować do reszty getto, jednak stanowczy opór zbrojny, stawiony przez grupy Żydowskiej Organizacji Bojowej i Żydowskiego Związku Wojskowego, uzbrojone dzięki pomocy polskiej, zmusza ich do zaprzestania tych planów: do Trebłinki okupantowi udało się wywieźć tylko ok. 6 000 osób.

Luty.

Niemcy dokonują egzekucji w lasach Chojnowskich. W domu przy ul. Długiej 44/46 doszło do zbrojnego starcia w obronie konspiracyjnej drukarni pisma „Szaniec”. Grupa bojowa AK wykonała wyrok śmierci na oficerze policji granatowej Świącickim, który współdziałał w organizacji niemieckich łapanek (15 II). Grupy ŻOB i ŻZW zastrzeliły w getcie agentów gestapo – Żydów (22, 26 i 28 II). Oddział GL wykonał akcję na PWPW (28 II).

Marzec.

Niemcy dokonują kilku masowych egzekucji w pobliżu Pawiaka i na terenie getta. Trwają łapanek i aresztowania. Odchodzą kolejne transporty więźniów do Oświęcimia (8 III) i Majdanka (15 i 25 III). W pierwszych dniach marca eksplodowały bomby, zainstalowane przez grupy dywersyjne AK w pałacu Brühla – siedzibie gubernatora Fischera, pałacu Blanka – siedzibie Stadthauptmanna i w dyrekcji Arbeitsamtu przy ul. Długiej. Na terenie getta doszło do starcia ŻOB z niemieckimi Werkschutzami (13 III), w odwet Niemcy dokonali karnej ekspedycji, mordując ok. 200 osób. W star-

¹²² Moczulski nie mógł napisać w „Stolicy” (z przyczyn oczywistych), że Nowotkę zamordowali bracia Mołojcowie z PPR. Zaznaczenie, że był to „mord skrytobójczy”, było jednak czytelną aluzją dla osób, które znały prawdziwe okoliczności śmierci Nowotki. Prawdopodobnie pierwotna wersja opisu śmierci Nowotki spowodowała, że ostatnie dwa miesiące 1942 r. zostały opublikowane w drugiej części „Kroniki Warszawy 1939-1946”.

ciu zbrojnym na ul. Mostowej zginął wybitny dowódca warszawskiej GL „Wiktor” – Jan Strzeszewski, a ciężko ranna przewodnicząca ZWM, Hanka Szapiro-Sawicka, została aresztowana (18 III).

Oddział harcerski dowodzony przez „Orszę” – Broniewskiego w brawurowej akcji, zadając poważne straty Niemcom, odbił na ul. Długiej pod Arsenalem karetkę więzienną, przewożącą więźniów z Szucha na Pawiak. Była to największa ze wszystkich dotychczasowych akcji zbrojnych w Warszawie, która otworzyła nowy etap walki. Obok tego grupy bojowe AK dokonały serii zamachów na zbrodniarzy niemieckich; w cukierni Europejskiej (Marszałkowska róg Wilczej) zabito dwóch oficerów niemieckich.

Kwiecień.

Niemcy dokonują 5 masowych egzekucji więźniów Pawiaka w ruinach getta. Do Oświęcimia zostaje skierowany kolejny transport (28 IV). Grupy bojowe AK przeprowadzają szereg udanych zamachów: na szefa Arbeitsamtu Kurta Hoffmanna (9 IV) i urzędnika Arbeitsamtu Dietza (13 IV) oraz komisarza Ubezpieczalni Społecznej Kurtha (16 IV); spalono też baraki Arbeitamtu (4/5 IV). Dowódcą SS i Policji w dystrykcie warszawskim na miejsce v. Sammerna zostaje SS Brigadeführer Jürgen Stroop.

16 kwietnia Niemcy wkraczają do getta, aby ostatecznie wymordować lub wysłać do komór gazowych ludność tej dzielnicy. Zbrojny opór stawiają grupy bojowe ŻOB i ŻZW spiesząc im na pomoc oddziały polskie, niektóre z nich biorą udział w walkach wewnątrz getta (oddział OW KB mjra Iwańskiego na pl. Muranowskim), inne grupy GL i AK szturmują pozycje niemieckie przy murach getta z zewnątrz, aby otworzyć drogę ocalenia otoczonemu Żydom.

Maj.

Walki w getcie trwają do połowy maja, resztki bojowców ŻOB i ŻZW bronią się w podziemnych bunkrach. Niemcy dokonują kilkunastu masowych egzekucji na więźniach, głównie na terenie ruin getta oraz w lasach Kabackich, których ofiarą padło 1/4 ogółu ówczesnych więźniów Pawiaka. Trwają aresztowania i łapanie. Do Oświęcimia zostaje skierowany kolejny transport (12 V). Ruch oporu wykonuje serię zamachów na niemieckich zbrodniarzy, pracowników gestapo: Schultza (na ul. Mokotowskiej 6 V) i Langego (na pl. Trzech Krzyży – 22 V), trzech oficerów SS w Café Adria (22 V), jednego z szefów Arbeitsamtu, Geista (na ul. Mazowieckiej, 10 V). Grupy bojowe AK dokonały zamachu bombowego na Bar Podlaski i wykonały wyrok na Niemcu Medko.

Czerwiec.

Niemcy dokonują licznych egzekucji masowych na terenie ruin getta. Trwają łapanie i aresztowania: w kościele św. Aleksandra Niemcy aresztują cały orszak ślubny, a w jego składzie grupę żołnierzy dyspozycyjnego oddziału KG AK – „OSA KOSA” (5 VI). W domu przy ul. Spiskiej 14 aresztowany zostaje gen. Grot-Rowecki, komendant główny AK (30 VI). W początkach miesiąca, na wieść o majowych masakrach więźniów Pawiaka, grupy małego sabotażu „Wawer” rozlepiają na mieście 40 000 ulotek i pokrywają mury i chodniki napisami „Pawiak pomścimy”.

Lipiec.

Trwają masowe egzekucje na terenie getta. Do Oświęcimia zostały skierowane dwa transporty (5 i 15 VII). Trwają aresztowania i łapanki uliczne, na które odpowiedzią są coraz liczniejsze akcje ruchu oporu. Grupy bojowe GL dokonują ponownego zamachu bombowego na Café Club (11 VII) i na maszerującą al. Ujazdowskimi kolumnę SA (15 VII). Grupa bojowa Kedywu KG AK podpala wielkie magazyny materiałów pędnych Wehrmachtu przy ul. Gniewkowskiej (31 VII).

Sierpień.

Prawie codziennie odbywają się masowe egzekucje więźniów Pawiaka w ruinach getta, a także w lesie koło wsi Bukowiec. Główne nasilenie łapanek ulicznych przypada na początek i połowę miesiąca, akcje aresztowań trwają nieprzerwanie. Do Oświęcimia skierowano dwa transporty (5 i 25 VIII).

Wrzesień.

W dalszym ciągu odbywają się prawie codziennie egzekucje w ruinach getta. Do Oświęcimia skierowany został jeden transport (13 IX). Aresztowania i łapanki trwały głównie na Żoliborzu, Pradze i w rej. pl. Napoleona. Zginął przewodniczący ZWM, Jan Krasicki, na ul. Jasnej (2 IX).

Seria polskich akcji odwetowych doprowadziła do likwidacji katów niemieckich z Pawiaka: Bürckla (7 IX), Kretschmanna (24 X).

Październik.

Nowym dowódcą SS i Policji w dystrykcie warszawskim został mianowany na miejsce Stroopa – SS Brigadenführer Franz Kutschera. Wkrótce potem została wprowadzona nowa forma terroru. Od 13 X rozpoczęły się łapanki uliczne na niespotykaną dotychczas skalę, a 15 X po raz pierwszy podano nazwiska 7 osób spośród schwytanych w łapankach, rozstrzelanych przez Niemców (egzekucja miała miejsce na terenie getta). Od tej pory podawano przez megafony, a później plakatami, nazwiska osób przewidzianych do rozstrzelania i już rozstrzelanych. Od 16 X obok egzekucji w getcie przeprowadzane były także egzekucje na ulicach miasta, publicznie. Do końca miesiąca Niemcy przeprowadzili 8 egzekucji w getcie i 7 egzekucji ulicznych w al. Niepodległości (16 X), ul. Piusa 11 (11 X), na nasypie przy Dw. Gdańskim (20 X), na ul. Młynarskiej 2 (22 X), na Wale Miedzeszyńskim (23 X), na ul. Leszno 3 (26 X), na ul. Towarowej (30 X). Mimo wzmagania się terroru okupanta, akcje zbrojne podziemia przybierają na sile. Mnożą się akcje kolejowe, sabotaże i dywersja, szczególnie głośne są jednak akcje przeciwko niemieckim zbrodniarzom. Grupy bojowe Kedywu KG AK wykonują wyrok, na kacie Pawiaka Weffelsie (1 X), szefie placówki w warszawskim gestapo, do spraw zwalczania zbrojnego ruchu oporu – Lechnerze (2 X). Obok tego miały miejsce akcje odwetowe będące odpowiedzią na egzekucje: na Nowym Świecie i na Targowej grupy AK zaatakowali niemieckie samochody policyjne, patrolujące miasto (22 X), wykolejono też kilka pociągów niemieckich na różnych trasach wylotowych z Warszawy (23/24 X). Zespoły bojowe GL wykonały akcję odwetową przeciwko nie-

mieckiemu Barowi Podlaskiemu (24 X) wysadziły parokroć pociągi (na Bródnie – 9 X, pod Płudami – 20 X, pod Celestynowem – 21 X).

Listopad.

Trwają w dalszym ciągu ogromne łapanki, masowe egzekucje w ruinach getta oraz egzekucje uliczne, na ul. Grójeckiej (9 XI), ul. Płockiej (9 XI), ul. Nowy Świat (12 XI), ul. Kępczej (12 XI), wale kolejowym przy Dw. Zachodnim (17 XI), ul. Białoleńskiej – (17 XI), ul. Nabelaka (24 XI), ul. Radzymińskiej – (24 XI), ul. Solec (30 XI). Do Oświęcimia wysłano transport więźniów (25 XI). W odwet organizacje polskie podjęły liczne akcje odwetowe: oddziały GL i AK wykonały pewną ilość akcji kolejowych oraz wysadziły kilka pociągów, zaś grupy Kedywu KG AK zaatakowały na Nowym Świecie i moście Poniatowskiego niemieckie samochody policyjne, uczestniczące w łapankach (26 XI).

Aresztowany został Paweł Finder. I sekretarzem KC PPR został Władysław Gomułka (27 XI).

Grudzień.

Dalszy ciąg terroru niemieckiego: masowe łapanki, egzekucje w getcie i na ulicach miasta: na Nowym Świecie (2 XII), ul. Puławskiej (3 XII), ul. Leszno (11 XII), ul. Wierzbowej (14 XII), ul. Wolskiej (18 XII), ul. Górczewskiej (23 XII), ul. Towarowej (31 XII). Do Oświęcimia skierowano dalsze transporty (7 i 9 XII). Równocześnie rozpalą się coraz bardziej walka, a zbrojne uderzenia grup AK i GL, na ulicach miasta oraz na trasach kolejowym wokół Warszawy stają się zjawiskiem codziennym. W brawurowym uderzeniu oddział Kedywu wykonuje wyrok na szefie Wohnungsamtu – Braunie.

1944

Styczeń.

Nadal przybiera na sile terror niemiecki, nieprzerwanie trwają aresztowania, egzekucje w getcie oraz na ulicach miasta: na ul. Górczewskiej (13 I), ul. Kilińskiego (24 I), w al. Jerozolimskich (28 I). Mnożą się uderzenia dywersyjne i odwetowe AK i AL; m.in. dochodzi do nieudanej akcji na gubernatora Fischera w Miłosnie (8 I).

W nocy na 1 stycznia w mieszkaniu przy ul. Twardej powstaje Krajowa Rada Narodowa. Dekretem KRN powołana zostaje do życia Armia Ludowa.

Luty.

Oddział Kedywu wykonuje w al. Ujazdowskich wyrok śmierci na dowódcy SS i policji dystryktu warszawskiego, Franzu Kutscherze, odpowiedzialnym za masowe egzekucje uliczne (1 II). Śmierć Kutschery wywołuje popłoch u wroga. Niemcy wykonują jeszcze kilka egzekucji ulicznych (al. Ujazdowskie – 2 II, ul. Barska – 10 II, ul. Wolska – 10 II, ul. Leszno – przez powieszenie – 11 II, ul. Senatorska – 15 II) – jednak ostatecznie, w rezultacie polskiego oporu zbrojnego – decydują się wstrzymać tę formę egzekucji. Trwają natomiast nieprzerwanie egzekucje w getcie. Dowódcą SS i Policji zostaje SS Oberführer Böttcher.

Marzec.

Okupant przeprowadza systematycznie aresztowania, łapanki i masowe egzekucje w getcie. Dowódcą SS i policji w dystrykcie warszawskim zostaje SS Brigadeführer Geibel. Codzienne uderzenia oddziałów bojowych AK i AL zadają poważne straty wrogowi, dezorganizują pracę linii kolejowych i węzła warszawskiego.

Kwiecień.

Trwają masowe łapanki i egzekucje w getcie, w połowie miesiąca dochodzi do kolejnej masakry więźniów Pawiaka. Do Ravensbrück zostają skierowane dwa transporty kobiet (5 i 21 IV). Nieprzerwane akcje odwetowe i dywersyjne AK i AL.

Maj.

Terror niemiecki przybiera na sile, trwają masowe łapanki, coraz liczniejsze są strzelaniny uliczne. Niemcy bez żadnego pretekstu otwierają ogień do przechodniów, plakaty powiadamiają o ofiarach coraz to nowych egzekucji, dokonywanych w getcie. Odchodzą transporty więźniów do Stutthofu (24 V) i Ravensbrück (25 V). Mnożą się uderzenia polskich oddziałów dywersyjnych i bojowych AK i AL.

Czerwiec.

Nieprzerwane łapanki, strzelaniny uliczne, egzekucje więźniów w ruinach getta; Niemcy, wobec oporu polskiego i nieskuteczności plakatowania nazwisk ofiar, po raz ostatni podają nazwiska straconych 22 czerwca. Egzekucje jednak nie ustają. Odchodzi kolejny transport do Ravensbrück (8 VI). Wzmaga się ilość akcji dywersyjnych i odwetowych, statystyki policji niemieckiej wykazują ich nawet po kilkadziesiąt w ciągu jednego dnia.

Lipiec.

W związku ze zbliżaniem się frontu, Niemcy gorączkowo oczyszczają więzienie na Pawiaku, w masowych egzekucjach na terenie getta, mordując część ofiar, zaś inne wywożąc do obozów. Odchodzą transporty do Gross Rosen (4 VII, 13 VII, 30 VII) i Ravensbrück (7 VII, 20 VII, 30 VII). Akcje zbrojne AK i AL nadal przybierają na sile. Pod koniec miesiąca Warszawę ogarnia fala ucieczki Niemców, od wschodu słychać huk dział.

Sierpień – wrzesień.

1 sierpnia, o godzinie 17 wybucha i trwa Powstanie Warszawskie. Oddziały polskie i radzieckie wyzwalają Pragę (14 IX), nie udaje im się jednak sforsować Wisły.

Październik–grudzień.

2 X kapituluje Warszawa. Niemcy zajmują miasto, wypędzają wszystkich mieszkańców i przystępują do systematycznego niszczenia stolicy Polski.

1945

Styczeń.

W toku wielkiej ofensywy zimowej, oddziały polskie i radzieckie wyzwalały ruiny Warszawy. Do miasta wracają pierwsi mieszkańcy.

LESZEK MOCZULSKI

POWRÓT¹²³

Zapadł już zmrok, gdy z podmoskiewskiego lotniska wystartował samolot. Był dzień 27 grudnia 1941 r. Pilot otrzymał rozkaz, aby nad frontem i okupowanymi terenami dotrzeć do Polski, do rejonu tuż na wschód od Warszawy. Sześciu pasażerów ze spadochronami to była Grupa Inicjatywna polskich komunistów w ZSRR, która otrzymała zadanie odlotu do kraju, aby na bazie istniejących organizacji i ugrupowań powołać do życia Polską Partię Robotniczą. Na czele stał Marcele Nowotko, wybitny działacz KPP w okresie międzywojennym, desygnowany teraz na I sekretarza KC PPR.

Data odlotu nie była przypadkowa. Wprawdzie Grupa Inicjatywna miała wylecieć do Polski wcześniej, ale zmieniające się warunki wojenne pokrzyżowały plany. Wkrótce po napaści Niemców na ZSRR, a także po zawarciu układu Sikorski–Majski z 30 lipca 1941 r., Grupa Inicjatywna została sformowana. Opiekował się nią Komitet Wykonawczy Międzynarodówki Komunistycznej, a zwłaszcza osobiście Georgi Dymitrow.

Pierwsze miesiące działalności grupy poświęcone były pracom przygotowawczym do przyszłej działalności w kraju. Podstawowym zadaniem stało się stworzenie programu przyszłej partii, w pełni odpowiadającego nowym, skomplikowanym warunkom politycznym i wojennym.

Przyjęto uzasadnioną szeroko przez Marcelego Nowotkę zasadę, że jednym z zasadniczych celów partii musi być walka o utworzenie w Polsce szerokiego frontu narodowego walki przeciwko niemieckim najeźdźcom; w trakcie tej walki, jak twierdził Nowotko, zbudowana zostanie monolityczna jedność społeczeństwa, co z kolei będzie bazą do późniejszych demokratycznych i socjalistycznych przekształceń ustrojowych. Rozmiar walki miał ważne znaczenie z punktu widzenia całej wojny: zaś w szczególności odciągał siły niemieckie z frontu wschodniego, pomagając w ten sposób krwawiącej Armii Radzieckiej.

W toku dyskusji Grupa Inicjatywna opracowała ważny dokument: tekst odezwy programowej przyszłej partii (odezwa z drobnym zmianami została wydana w Warszawie przez nowo powstałą PPR w styczniu 1942 r.).

We wrześniu 1941 r. Grupa Inicjatywna zakończyła prace przygotowawcze i była gotowa do odlotu do Polski.

¹²³ „Stolica” z 1973 r., nr 32. Tekst o przerzuceniu Nowotki z Moskwy do okupowanej Polski można by było dzisiaj napisać w konwencji filmów o Gangu Olsena, tyle dziwnych wydarzeń towarzyszyło temu wydarzeniu: katastrofa pierwszego samolotu i śmierć Turlejskiego, złamana noga Nowotki, zgubienie radiostacji, kąpiel Findera w lodowatej wodzie i zapalenie płuc... Wtedy jednak była cenzura. Moczulski opisał te wszystkie kompromitujące dla komunistów wypadki z kamienną twarzą. I, o dziwo, cenzura to puściła!

Pierwszy start zakończył się fiaskiem. Wkrótce po oderwaniu się od Ziemi, samolot wiozący Grupę Inicjatywną uległ katastrofie i spadł na ziemię. Pięciu działaczy odniosło ciężkie rany; jeden z nich, Jan Turlejski, zmarł w drodze do szpitala. Marceli Nowotko był jedynie potłuczony. Katastrofa samolotu spowodowała odłożenie lotu do kraju. Wkrótce jednak losy wojny jeszcze bardziej pokrzyżowały plany, Niemcy rozpoczęli kolejną ofensywę na Moskwę, zajęli Wiaźmę i podeszli pod bramy stolicy ZSRR. Inicjatywna została ewakuowana najpierw do Moskwy, następnie aż do Ufy wreszcie do Kusznenrenkowa. Nowotko z towarzyszami przebywał tam aż do początków grudnia.

Tymczasem losy gigantycznej bitwy o Moskwę uległy gwałtownej zmianie. Armia Radziecka zatrzymała wroga dosłownie kilka kilometrów przed stolicą, a następnie przeszła do zakończonej sukcesem kontrofensywy. Front został odepchnięty na zachód. Na nowo powstała możliwość lotu do okupowanej Polski.

W połowie grudnia Marceli Nowotko z towarzyszami przybyli do Moskwy. 10 dni zajęły im ostatnie przygotowania. I wreszcie wieczorem 27 grudnia samolot wystartował.

Był już 28 grudnia, godzina pierwsza w nocy. Radziecki samolot znajdował się w rejonie Wiązowny, na wschód od Warszawy. Kolejno sześciu członków Grupy Inicjatywnej podchodziło do otwartych drzwi i skakało w ciemność.

Marceli Nowotko wylądował tak nieszczęśliwie, że złamał nogę. Takie było jego spotkanie z ziemią polską, którą opuścił przed niespełna dwoma laty.

Mimo bólu złamanej nogi Nowotko bardziej kłopotał się o to, że nie można było odszukać spadochronu, na którym zrzucono nadawczo-odbiorczą stację radiową. Była to strata wielka, bowiem natychmiast po wylądowaniu Grupa Inicjatywna straciła środek łączności.

Przez całą noc Nowotko mimo złamanej nogi włókł się aż do Radości pod Warszawą, gdzie mieszkała jego bratowa. Torujący drogę Paweł Finder wpadł nieszczęśliwie do lodowatej wody i już w drodze ogarnęła go silna gorączka. Ileż trzeba było hartu, aby idąc prawie na ślepo, przemierzyć dobre 20 kilometrów i dotrzeć do celu. Szczęśliwie bratowa Nowotki nadal mieszkała w Radości, gdyż inaczej sytuacja mogłaby stać się tragiczna.

Pierwszy, nieudolny opatrunek założono Nowotce dopiero w Radości. Niezbędna była jednak pomoc lekarza. Względny konspiracyjny uniemożliwiał szukanie pierwszego z brzegu lekarza. Dopiero 31 grudnia udało się nawiązać kontakt z zaufanym lekarzem dr. Janem Rutkiewiczem. Udzielił on 1 stycznia 1942 r. pomocy Nowotce. Był jednak internistą, a nie chirurgiem. Dopiero 2 stycznia dr Rutkiewicz ściągnął do Nowotki chirurga, dr. Andrzeja Trojanowskiego. Ten złożył złamaną nogę i unieruchomił ją w gipsie.

W trzy dni po założeniu gipsu, 5 stycznia 1942 r. Marceli Nowotko przewodniczył na konspiracyjnym zebraniu zwołanym w mieszkaniu Juliusza Rydygiera przy ul.

KRWAWY ROK 1943

Kraśńskiego na Żoliborzu. Na tym zebraniu utworzono Polską Partię Robotniczą, zaś Marceli Nowotko został jej I sekretarzem.

Tak przedstawiał się ostatni, najważniejszy i najbardziej intensywny okres w życiu człowieka, który był Pierwszym Sekretarzem KC PPR. Okres ten trwał dokładnie 11 miesięcy – aż do dnia 28 listopada 1942, gdy Marceli Nowotko zginął od kul z pistoletu, na ulicy Przyokopowej.

L. M.

* * *

KRWAWY ROK 1943¹²⁴

W okupacyjnych dziejach Warszawy rok 1943 zajmuje szczególne miejsce. Terror hitlerowski wzmaga się do niebywałych rozmiarów. Na mocy rozkazu Himmlera z 11 stycznia 1943 (nr Geh/55/8) niemieckie władze policyjne w Warszawie rozpoczęły serię masowych łapanek. Poza celem ogólnym, przyświecającym wszystkim działaniom niemieckim, jakim była eksterminacja Polaków, szczególnym celem tej akcji łapanek i wywożenia masowego ludzi do Oświęcimia, Majdanka, a także na roboty do Rzeszy – było złamanie woli oporu społeczeństwa polskiego oraz rozbicie kadr organizacji podziemnej przez chwywanie młodych mężczyzn.

Działania niemieckie wywołały natychmiastową reakcję polskich organizacji zbrojnych. W prowadzonej wówczas samoobronie i odwecie poczesne miejsce zajęły działania Gwardii Ludowej, mimo iż GL była wówczas jeszcze stosunkowo nieliczna i słabo uzbrojona. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż GL powstała stosunkowo niedawno, z początkiem 1942 r. Już jednak w ciągu tego ostatniego roku przeprowadziła wiele udanych akcji, wyrabiając sobie autorytet bojowy.

W odpowiedzi na masowe łapanki Sztab Główny GL zlecił podporządkowanej mu bezpośrednio tzw. grupie specjalnej (nazywanej popularnie Specgrupą) przeprowadzenie akcji odwetowych. Wykonane zostały 17 stycznia. Celem uderzeń były kina i lokale przeznaczone tylko dla Niemców. Sukcesem zakończyły się akcje przeciwko niemieckiemu „Kammerlichtspieltheater”, przy ul. Marszałkowskiej 8 i niemieckiej restauracji na Dworcu Głównym. Natomiast rzucona do kina „Helgoland” na ul. Złotej bomba nie wybuchła. Tragicznie zakończyła się akcja w kinie „Apollo” na placu Trzech Krzyży. Osaczony tam został przez żandarmów jeden organizatorów warszawskiego GL Ładysław Buczyński „Kazik” i w walce z nimi poległ¹²⁵.

¹²⁴ „Stolica” z 1970 r., nr 39.

¹²⁵ Charakterystycznym dla Moczulskiego sposobem pisania o akcjach zbrojnych GL/AL w czasie II wojny światowej, było podawanie wielu szczegółów. Równie szczegółowo opisywał on akcje AK. Każdy myślący czytelnik porównując skalę tych akcji musiał dojść do wniosku, że skala działań

Przeprowadzone w połowie stycznia akcje odwetowe organizacji podziemnych oddziaływały silnie na Niemców w Warszawie. Do miasta przybył wyższy dowódca SS i policji na obszar Generalnego Gubernatorstwa, generał SS i policji Krüger. Wkrótce potem przybył też do Warszawy tzw. rząd GG pod przewodnictwem Hansa Franka, aby na miejscu rozważyć problem bezpieczeństwa w stolicy Polski. Rezultatem tych narad było pewne przejściowe zresztą złagodzenie terroru.

Po udanych akcjach styczniowych GL w Warszawie przeprowadziła dalsze działania zbrojne. 28 lutego 30-osobowa grupa gwardzystów dowodzona przez Jana Strzeszewskiego „Wiktora” i Franciszka Bartosza „Jacka” opanowała gmach Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. Celem akcji była konfiskata nowej emisji banknotów wartości nominalnej 400 milionów złotych. Niestety przypadkowa nieobecność jednego z inspektorów Wytwórni, który miał przy sobie klucze do skarbcza, udaremniła ekspropriację. Zdobyto natomiast nieco broni i zlikwidowano dwu niemieckich komisarzy.

Wkrótce potem doszło do tragicznego wydarzenia. 18 marca dowódca Specgrupy Strzeszewski miał na Starym Mieście serię konspiracyjnych spotkań. Między innymi na ul. Mostowej czekali na niego Hanka Sawicka i Tadeusz Olszewski. Gwardziści natknęli się na agentów gestapo. Wywiązał się krótki bój. Strzeszewski i Sawicka, śmiertelnie ranni, zostali ujęci przez Niemców, zaś Olszewski zginął na miejscu.

Nowym dowódcą Specgrupy został Franciszek Bartoszek „Jacek”.

19 kwietnia 1943 r. rozpoczęło się powstanie w getcie. Gwardia Ludowa pospieszyła natychmiast na pomoc żołnierzom ZOB i ŻZW. Przeprowadzono liczne akcje, które jednak stanowią odrębny temat.

W maju, po upadku powstania w getcie Specgrupa GL podejmuje nowe akcje zbrojne. 14 maja dochodzi do ataku na bank „Społem” przy Krakowskim Przedmieściu 16/18. Doszło do krwawego starcia z policją niemiecką, w walce zginęło kilku gwardzystów, a wśród nich Bartoszek. Nowym dowódcą Specgrupy został Antoni Grabowski „Czarny Antek”. Na jego rozkaz gwardziści w czerwcu i lipcu zlikwidowali dwu agentów gestapo: na Saskiej Kępie i na ul. Siennej. Niestety, siły Specgrupy wykruszały się, Niemcom udało się aresztować kilku jej członków. W lipcu zginął w walce Grabowski. Specgrupa istniała wprawdzie nadal, nie była już jednak w stanie przeprowadzać intensywniejszych działań.

Na wiosnę 1943 r. utworzona została druga Specgrupa, tym razem podległa bezpośrednio dowództwu okręgu GL w Warszawie. Na czele jej stanął Henryk Sternhel „Gu-

podziemia niepodległościowego wielokrotnie przewyższała skalę działań podziemia komunistycznego. Taki sposób narracji był w zasadzie jedynym możliwym. Jeśli „Stolica” opisywała akcje zbrojne w czasie II wojny światowej, to szef jej działu historycznego nie mógł koncentrować się wyłącznie na działaniach Armii Krajowej. W tamtych czasach byłoby to nie do pomyslenia. Mógł natomiast opisywać wiernie akcje jednych i drugich, a wnioski pozostawić czytelnikom.

staw”. Na przełomie kwietnia i maja Specgrupa przeprowadziła udaną akcję na „Bar Podlaski”, przy ul. Nowogrodzkiej, przeznaczony wyłącznie dla Niemców. Drugą głośną akcję przeprowadziła Specgrupa 15 lipca. Gwardziści obrzucili wówczas granatami na placu Żelaznej Bramy tramwaj linii „0” przeznaczony wyłącznie dla Niemców. Tego samego dnia inny zespół bojowy Specgrupy, dowodzony osobiście przez Sternhela, zaatakował granatami w al. Ujazdowskich przy ul. Wilczej maszerującą kolumnę SA.

Niestety, wkrótce później w rezultacie aresztowań siły Specgrupy wykruszyły się, część gwardzistów zdekonspirowana w Warszawie, wyjechała do oddziałów partyzantycznych. Wszystko to spowodowało, że oddział nie mógł kontynuować intensywnej działalności¹²⁶.

Na polu walki pojawiło się jednak nowe zgrupowanie GL. Były to grupy bojowe Związku Walki Młodych. Pierwsza wielka akcja ZWM wykonana została 11 lipca. Pod kierunkiem Mirosława Krajewskiego – „Pietrka” zespół zetwumowców przeprowadził akcję na Café Club. Dwaj gwardziści Lech Kobyliński „Konrad” i Ryszard Lenkiewicz „Rysiek” obrzucili siedzących w lokalu Niemców granatami.

Warszawskie grupy ZWM znacznie zintensyfikowały działania zbrojne i dywersyjne. We wrześniu jedna z grup bojowych zlikwidowała na Starym Mieście agenta gestapo. Inne grupy wysadziły w powietrze tory kolejowe na Powązkach, zniszczyły pociąg towarowy w Zalesiu oraz rozbiły niemiecki warsztat samochodowy.

W październiku akcje kolejowe kontynuowane były nadal. 9 października wysadzono w powietrze parowóz na Bródnie. 20 października – pociąg wiozący na urlop żołnierzy Wehrmachtu, 21 października – pociąg jadący z Berlina do Kowla. 9 listopada zetwumowcy zniszczyli bądź uszkodzili 18 samochodów w niemieckich warsztatach przy ul. Czerniakowskiej¹²⁷, zaś 7 grudnia wysadzili w powietrze niemiecki pociąg wojskowy koło Międzyzylesia¹²⁷.

Z grup zetwumowskich oraz innych grup młodzieżowych powstał jesienią 1943 r. pluton GL im. Czwartaków, przekształcony wkrótce w kompanię, a następnie w batalion. Pierwszą akcją Czwartaków było uderzenie na „Bar Podlaski”, przy ul. No-

¹²⁶ Charakterystyczne jest, że Autor nie podaje, czy te wszystkie napady bojówek GL na niemieckie bary, kina, czy tramwaje powodowały jakieś realne straty wśród Niemców. Zapewne tak, ale byli to przypadkowi ludzie. A tego typu akcje powodowały odwet niemiecki na ludności cywilnej... Napady rabunkowe GL w części także kończyły się niepowodzeniem, a przy tym powodowały duże straty własne. Zwróćmy też uwagę na szybkie wykрусzenie się Specgrupy, po zaledwie kilku miesiącach od jej powstania. Oczywiście brakuje tu komentarza autora, choć wnioski nasuwają się same.

¹²⁷ Bilans grup bojowych ZWM w drugiej połowie 1943 r. był, w porównaniu do efektów działań Specgrupy niewiele lepszy: obrzucenie granatami niemieckiej kawalerii, wysadzenie torów kolejowych, likwidacja jednego agenta, obrzucenie niemieckich pociągów granatami, zniszczenie kilkunastu niemieckich samochodów w warsztatach i wysadzenie niemieckiego pociągu. Dwie ostatnie akcje wyglądają poważnie, ale zastanawiający jest tu brak szczegółów. Jaka była skala zniszczeń tych samochodów i tego pociągu?

wogrodzkiej, wykonane 23 października. Zespół bojowy dowodzony przez Lecha Kobylńskiego „Konrada” zaatakował granatami Niemców, zadając im ciężkie straty. Inną poważną akcją Czwartaków było wykoślenie pociągu towarowego 15 grudnia w pobliżu Zalesia. Trzy dni później grupa bojowców opanowała wartownię fabryki „Błasanka” na Bielanych, zdobywając pewną ilość broni. 22 grudnia oddział Czwartaków opanował fabrykę na ul. Madalińskiego. Podczas odwrotu, na ul. Boboli przy Rakowieckiej doszło do starcia z Niemcami. Polegli wówczas Antoni Szulc „Antek” i Ryszard Lenkiewicz „Rysiek”¹²⁸.

Taki był bilans walk warszawskiej Gwardii Ludowej w 1943 roku. Bilans poważny. Z miesiąca na miesiąc wzrastała ilość akcji, mimo ciężkich strat gwardziści raz po raz atakowali wroga.

(L. M.)

* * *

Z dziejów warszawskiej GL

BOMBONIERKA DLA „MITROPY”¹²⁹

Jego odwaga budziła powszechny podziw. Wydawało się, że „Wiktor” – Jan Strzeszewski – pozbawiony jest uczucia strachu. Z prawie że widocznym pistoletem odwiedzał kawiarnie, do których uczęszczali Niemcy; bez zmruczenia oka siedł naprzeciw żandarmskich „sztrajf”; w akcjach bojowych nigdy nie tracił zimnej krwi. Podziwiane też były ogólnie jego zdolności aktorskie. Nie tyle przebierał się, co przekształcał w coraz to inne postacie. Równie naturalnie wyglądał jako bogaty ziemianin w drogim futrze, meloniku i z parasolem, co obdarty śmieciarz, żebrak. To latach towarzysze walki wspominają, jak to „Wiktor” potrafił sobie zakpić i przebrany nie do poznania rozmawiał z najbliższymi kolegami niczym z obcymi osobami.

Jan Strzeszewski, niegdyś zawodowy oficer kawalerii, przez jakiś czas służył w Szwadronie Przybocznym Prezydenta RP przed 1926 r. – zerwał z karierą wojskową i poświęcił się pracy rewolucyjnej w szeregach KPP. Gdy z początkiem 1942 r. powstała Polska Partia Robotnicza i Gwardia Ludowa, „Wiktor” aktywnie włączył się do pracy.

¹²⁸ Równie skromny jest bilans działania Czwartaków jesienią 1943 r.: obrzucenie granatami niemieckiego baru, wykoślenie pociągu towarowego i dwa napady na fabryki (drugi okupiony śmiercią dwóch ludzi). Szczegółowe opisywanie akcji zbrojnych GL było śmiertelne dla komunistycznej propagandy, która usiłowała przedstawić wysiłek zbrojny GL jako porównywalny, a nawet przewyższający akcje KeDywu AK. Charakterystyczne jest, że Autor wysiłek zbrojny GL w 1943 r. określa słowem „poważny”, który to przymiotnik należy potraktować jako eufemizm.

¹²⁹ „Stolica” z 1974 r., nr 14-15, s. 19. Artykuł ten stanowi pewne uzupełnienie tekstu poprzedniego, ale ograniczony jest jedynie do działań Specgrupy.

W październiku 1942 r. Sztab Główny Gwardii Ludowej, kładący poprzednio nacisk na formowanie oddziałów partyzanckich na prowincji, postanowił stworzyć również partyzantkę miejską. Zdecydowano się stworzyć zespół uderzeniowy, nazwany Grupą Specjalną Sztabu Głównego GL, zaś popularnie określanej jako Specgrupa. Jednostka ta miała podlegać bezpośrednio Sztabowi Głównemu i na jego polecenie przeprowadzać akcje bojowe na terenie Warszawy. Dowództwo Specgrupy powierzono „Wiktorowi” – Janowi Strzeszewskiemu¹³⁰; jego zastępcami zostali „Kazik Dębiak” – Ładysław Buczyński oraz „Jacek” – Franciszek Bartoszek. W skład Specgrupy wchodziło ok. dziesięciu gwardzistów.

Pierwsza akcja bojowa Specgrupy przeprowadzona została jeszcze w październiku 1942 r. 16 października u pięciu punktach Warszawy, przy liniach kolejowych, Niemcy powiesili 50 więźniów Pawiaka, pragnąc w ten sposób zastraszyć społeczeństwo stolicy. Sztab Główny GL zarządził akcję odwetową, którą miała wykonać Specgrupa. Ustalono, że zostaną wykonane trzy uderzenia: na lokale dla Niemców w restauracji „Mitropa” na Dworcu Głównym, w „Cafe Clubie” oraz na drukarnię „Nowego Kuriera Warszawskiego”. Całością dowodził „Wiktor”, on też osobiście stanął na czele zespołu, który miał dokonać zamachu na restaurację „Mitropa”. Trzeba podkreślić, że ten właśnie zamach był najbardziej ryzykowny. Uderzenia na „Cafe Club” i drukarnię przeprowadzone były niejako z ulicy, gwardziści mieli warunki szybkiego opuszczenia miejsca akcji i względnie bezpiecznego odskoku¹³¹. Zamach na terenie Dworca Głównego, obsadzonego przez Niemców i starannie pilnowanego, był o wiele bardziej ryzykowny.

Tej niedzieli 24 października o godzinie 6 po południu niemiecka kawiarnia „Mitropa” pełna była rozbawionych hitlerowców. Tuż po szóstej, do oszklonych drzwi kawiarni zbliżył się elegancki mężczyzna, w binoklach, w średnim wieku, ubrany w czarne palto z futrzanym kołnierzem. Był to „Wiktor”. Niósł paczuszkę wyglądającą na pudełko ciastek. Mężczyzna otworzył pierwsze oszklone drzwi, które przytrzymał idący za nim dwaj młodzi ludzie, następnie zatrzymał się na progu drugich drzwi kawiarni

¹³⁰ Strzeszewski był bokserem, w czasie I wojny światowej należał do POW. Zginął w 1943 r.

¹³¹ Mamy tu dyskretny (jawny był niemożliwy z uwagi na cenzurę) dystans wobec nagłaśnianie przez komunistyczną propagandę akcji na „Cafe Club”. Stefan Korboński (ale na emigracji, a więc poza zasięgiem cenzury) ocenił tę akcję w sposób następujący: *Wystarczy powiedzieć, że PPR uznała za swój główny uczyn bojowy w ciągu całej okupacji rzucenie granatu z ulicy, ze spacerującego tłumu, przez okno do kawiarni Cafe Club w Warszawie na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich – w której siedzieli żołnierze niemieccy nad szklankami piwa i kawy. Naturalnie, rzucający granat nic więcej nie ryzykował niż dziesiątki przechodniów, wśród których zresztą natychmiast się ukrył bezpiecznie. Nie znam takiej akcji AK, która byłaby zaplanowana w ten sposób, że całe jej ryzyko spadnie na przechodniów. Tymczasem akcja na Cafe Club była i jest gloryfikowana przez komunistów do tego stopnia, że zrobiono z niej coś w rodzaju symbolu odwagi i bohaterstwa, podczas gdy w rzeczywistości była przedmiotem kpín podziemnej Warszawy* (S. Korboński, *W imieniu Rzeczypospolitej*, Warszawa 1991 – wydanie I krajowe – s. 230).

i rzucił paczkę i sam środek sali. Paczuska upadła na jakiś stolik, rozbijając naczynia, po czym stoczyła się na podłogę. W chwilę później rozległ się potężny huk. Wypadły szyby w kawiarni, rozległy się jęki i krzyki, zapanowała nieopisana panika. Część Niemców rzuciła się do drzwi schronu, sądząc, że rozpoczął się atak lotniczy. Paczka, którą rzucił „Wiktor”, zawierała pięć polskich granatów obronnych Jan Strzeszewski spokojnie oddał się w stronę ulicy Marszałkowskiej i znikł w tłumie. Wycofała się również niepostrzeżenie obstawa pięciu gwardzistów. Wybuch granatów w kawiarni dworcowej zabił i zranił kilkunastu hitlerowców.

Straty niemieckie w efekcie wszystkich trzech uderzeń, według ustaleń wywiadu GL, wyniosły 34 zabitych i rannych. Moralne znaczenie tych brawurowych zamachów było bardzo duże. Niemcy nałożyli w odwet kontrybucję na Warszawę w wysokości miliona złotych. Ledwie kontrybucja ta została zebrana, gdy Gwardia Ludowa postanowiła ją odebrać. Wedle posiadanej informacji, pieniądze z kontrybucji przechowywane były w banku KKO przy ulicy Czackiego róg Traugutta. 30 listopada 1942 r. bank ten stał się celem ataku Gwardii Ludowej. Akcję przeprowadziła Specgrupa wzmocniona gwardzistami przydzielonymi; razem było około 20 ludzi. Ekspropriacja przeprowadzona została precyzyjnie wedle przygotowanego planu. Gwardziści skonfiskowali ponad milion złotych, a więc nawet więcej niż wyniosła kontrybucja nałożona przez Niemców.

Kolejna akcja Specgrupy przeprowadzona została w styczniu 1943 r. W połowie tego miesiąca Niemcy zaczęli przeprowadzać masowe łapanki i aresztowania w domach. Zapanowała niemal powszechna atmosfera grozy. Gwardia Ludowa postanowiła terrorem odpowiedzieć na terror. Tym razem celem ataku stały się kina przeznaczone wyłącznie dla Niemców.

Całością znów kierował „Wiktor”. Ustalono, że uderzenia zostaną wykonane na kino „Helgoland” przy ul. Złotej, na kino „Apollo” przy placu Trzech Krzyży oraz na Kammerlichtspieltheater przy ul. Marszałkowskiej 8; ponadto postanowiono znów zaatakować restaurację „Mitropa” na Dworcu Głównym.

Z czterech – dwie akcje powiodły się całkowicie. Wieczorem 17 stycznia 1943 r. eksplodowały bomby wrzucone przez gwardzistów do kino-teatru przy ul. Marszałkowskiej 8 i do „Mitropy”. W kinie „Helgoland” z przyczyn technicznych materiał wybuchowy nie eksplodował. Dramatycznie zakończyła się akcja w kinie „Apollo”. Zastępca „Wiktora” – „Kazik Dębiak” został tutaj osaczany przez Niemców i poległ w walce.

Pięć tygodni później Specgrupa wykonała kolejne uderzenie. Tym razem celem ataku była Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych. Wedle uzyskanych informacji Niemcy przechowywali tutaj nową emisję banknotów wartości 400 mln złotych. Celem akcji było skonfiskowanie tych pieniędzy.

Kierowana osobiście przez „Wiktora” Specgrupa opanowała Wytwórnię. Ułatwił to fakt, że zastępca „Wiktora” – „Jacek” – przebrany był w mundur niemiecki. Zli-

kwidowano dwóch Niemców, pełniących w PWPW funkcję komisarzy i nadzorców z ramienia władz okupacyjnych. Niestety, konfiskata się nie powiodła, a to dlatego, że trzeci komisarz niemiecki posiadający klucze od skarbca przypadkowo był nieobecny. Zdobyto natomiast kilkanaście karabinów i pistoletów oraz dwie skrzynki granatów.

„Wiktor” pracował nad dalszym rozwojem Specgrupy, przygotowywał plany nowych uderzeń na wroga. Niestety, wszystkie te zamiary zostały raptownie przecięte.

18 marca 1943 i. „Wiktor” spotkał się na ul. Mostowej z dowódcą GL w Warszawie – „Jankiem” Bolesławem Kowalskim. Zaraz potem miał rozmowę z przewodniczącą ZWM Hanką Szapiro – „Sawicką” i dowódcą GL na Bródnie „Zawiszą” – Tadeuszem Kowalskim; czekali już oni na dowódcę Specgrupy na rogu ul. Bugaj. Niestety, Niemcy z nieznanych dotychczas jeszcze źródeł

dowiedzieli się o tym konspiracyjnym spotkaniu i przygotowali zasadzkę. Najwyraźniej celem akcji gestapo był „Wiktor”. Dowódca Specgrupy zorientował się w pewnym momencie, że wokół są Niemcy, przerwał rozmowę z „Jankiem” i usiłował wydostać się z kotła. Niestety, agenci ruszyli w pościg. Po krótkiej walce „Wiktor” zginął od niemieckiej kuli. Polegli bądź zostali śmiertelnie ranni „Sawicka” i „Zawisza”.

Z osobą „Wiktora” wiąże się nierozdzielnie pierwszy okres działalności Specgrupy Sztabu Głównego GL, okres najbardziej dynamiczny i owocny. Sam zaś „Wiktor” na trwałe wszedł do historii okupacyjnej walki Warszawy.

L. M.

* * *

DWADZIEŚCIA PIĘĆ MINUT¹³²

Tytuł ten nie jest oryginalny. W numerze 21 podziemnego Biuletynu Informacyjnego z 27 V 1943 ukazał się reportaż bojowy zatytułowany „Dwadzieścia pięć minut” i przedstawiający, jak „odbito więźniów katowni w X. pewnego dnia styczniowego 1943 roku o godzinie 17–17.25”. Względy konspiracyjne nie pozwalały wówczas i ujawnić właściwej miejscowości, w której wykonana została śmiała akcja bojowników podziemia; po wojnie, poza kilkoma wzmiankami w czasopiśmie specjalistycznych i szerszą rozprawą Cezarego Chlebowskiego, sprawa tej jednej z najbardziej śmiałych akcji nie była przypominana.

Z początkiem grudnia 1942 r. nadszedł do Komendy Głównej AK raport, że 20 listopada podczas akcji dywersyjnej w okolicach Dawidgródka aresztowany został kpt. „Wania” (dr Alfred Paczkowski) dowódca III odcinka specjalnej akcji dywersyjnej „Wachlarz”, a zaraz potem jego zastępcą „Ryś” (por. Czarnecki) oraz „Bocian” (por. Mieczysław Eckhardt). Aresztowanych przewieziono do więzienia w Pińsku. Ze wzglę-

¹³² „Stolica” z 1968 r., nr 2.

du na rolę aresztowanych oficerów w „Wachlarzu” sprawą zainteresował się komendant główny AK gen Grot-Rowecki i podjął decyzję, że aresztowanych należy odbić.

Zadanie było bardzo trudne. Odcinek III „Wachlarza”, działający na Polesiu, wskutek aresztowań kierownictwa nie był w stanie własnymi siłami zorganizować akcji, podobnie jak inne miejscowe komórki AK. Stąd też powstała konieczność zorganizowania grupy uderzeniowej w Warszawie; grupa ta, przy współpracy bojowców z Polesia miała wykonać całą akcję. Dowódcą grupy został mianowany kpt. Jan Piwnik – „Ponury”, zaś jego zastępcą ppor. Jan Rogowski – „Czarka”, obaj – podobnie jak „Wania” i „Bocian” skoczkiem spadochronowi, zrzućeni w kraju. W stosunkowo krótkim czasie zorganizowali oni grupę bojową, składającą się z 16 ludzi. 8 z nich stanowiło tzw. grupę warszawską, skompletowaną w Warszawie; pozostali służyli w AK na terenie Polesia, choć kilku z nich było też warszawiakami.

Warunki odbicia więźniów były bardzo trudne. Grupa miała wyruszyć z Warszawy, uzupełnić się na Polesiu, rozbić więzienie i wraz z uwolnionymi oficerami wrócić do stolicy. Już to planowanie akcji na odległość dwustu kilkudziesięciu kilometrów nastroczało wiele kłopotów. „Ponury” i jego towarzysze poradzili jednak sobie z nimi znakomicie. Mimo iż Pińsk od Warszawy oddzielała pilnie strzeżona granica GG, ekipa „Ponurego” przerzuciła przez nią potrzebną broń, rozpoznała teren, ustaliła meliny i zasady współdziałania z miejscową organizacją.

Więzienie w Pińsku, gdzie trzymano aresztowanych, strzeżone było pilnie i za każdym razem znajdowało się tam od 7 do 10 uzbrojonych wartowników, nie licząc personelu komendy. Więzienie było połączone bezpośrednią linią telefoniczną z miejscowym gestapo, w pobliżu znajdowały się koszary niemieckie; garnizon wroga w Pińsku liczył w sumie ok. 3,5 tys. ludzi, m.in. w skład jego wchodziła specjalna pościgowa zmotoryzowana grupa Schutzpolizei. Każde drobne chociażby potknięcie w akcji odbicia więzienia uruchomiłoby te siły niemieckie i uniemożliwiło grupie „Ponurego” odwrót z miasta.

Rozpoznanie sytuacji w więzieniu przeprowadzone zostało pod kierunkiem por. Michała Fijałka „Kawa”, przybyłego z Warszawy; ogromne usługi oddał należący do AK strażnik więzienny o pseudonimie „Jelina”.

Gdy wszystko było przygotowane, grupa „Ponurego” przerzucona została dwoma samochodami do Pińska, gdzie dopiero uczestników poinformowano o celu i miejscu akcji oraz ostatecznie ustalono jej plan.

18 stycznia 1943 o godz. 16.55 niewielki opel o barwach ochronnych zatrzymał się przy fabryce zapalek w pobliżu więzienia w Pińsku. W wozie siedziało trzech ludzi: za kierownicą Władysław Hackiewicz – „MSZ”, tuż obok ubrany w mundur podoficera SS – Zygmunt Sulima – „SS” oraz Jerzy Wojnowski – „Motor”^{*}. Do wozu wsiadł

^{*} W 1943 r. „Motor” po aresztowaniu matki został zwerbowany na agenta przez gestapo. Po ujawnieniu tego, w styczniu 1944 został rozstrzelany [przypis oryginalny].

kpt. „Ponury”, po czym opel podjechał pod bramę więzienia. Ruch był dość duży, a przy odległych o około 50 m koszarach kręcili się żołnierze Wehrmachtu. „SS” otworzył drzwi samochodu i zaczął głośno nawoływać strażnika. Gdy ten na jego rozkaz uchylił bramę, wóz wjechał do środka więzienia. Wewnątrz „Motor” rozkazał wartownikowi otworzyć następną bramę. Strażnik jednak zorientował się w podstępie i chwycił za karabin. Celny pocisk z „Colta”, zagłuszony silnikiem samochodu, zlikwidował przeszkodę. W chwilę później przez niedomkniętą bramę do więzienia wtargnęło jeszcze dwu żołnierzy dywersji „Jastrząb” i „Wrona”, którzy natychmiast zajęli posterunek w budce strażniczej.

Mimo iż grupa „Ponurego” w ciągu minuty wdarła się do więzienia, w akcji nastąpił pewien kryzys. Przewidywano, że strażnik nie spostrzeże podstępu i otworzy drugą bramę, którą do więzienia miała się dostać druga grupa. „Ponury” błyskawicznie podjął decyzję. Poleciał „MSZ” wyjechać z powrotem wozem i podjechać pod drugą bramę, gdzie udał się ten sam podstęp; tym razem strażnika obezwładniono i związano.

W tym samym czasie do akcji weszły dwie następne ekipy. Jedna z nich, kierowana przez „Czarke” sforsowała parkan więzienny, druga zaś, dowodzona przez „Kawę” przedostała się drabiną przez płot i dostała do budynku administracyjnego. „Kawa” wraz z „Kmicicem” i „Ryksem” weszli do kancelarii, gdzie znajdował się komendant więzienia Hellinger i jego zastępca Zelner. Obaj Niemcy zostali wezwani do podniesienia rąk i do wydania kluczy z wewnętrznego dziedzińca do właściwego więzienia. Wykorzystując chwilę nieuwagi, Zelner wyciągnął jednak pistolet i strzelił, raniąc w rękę „Kawę”. Ranny oficer odpowiedział ogniem ze stena: Niemiec zginął na miejscu. Hellinger, który rzucił się do ucieczki, zginął w sąsiednim pokoju od strzału „Kmicica”.

Więzienie było zdobyte, choć w wysoko umieszczonych wartowniach znajdowali się jeszcze nieświadomi niczego strażnicy. Ściągnięto ich (poza jednym, który do końca nie zauważył, co się dzieje w więzieniu i został też niezauważony przez bojowców) i zamknięto w jednej z cel. Bojowcy uwolnili więźniów, a wśród nich oficerów „Wachlarza”: „Wanieg”, „Rysia” i „Azora” („Bocian” został wcześniej zamordowany przez Niemców), siedmiu partyzantów radzieckich i wielu innych.

Teraz nastąpił ostatni etap: odwrót.

Dokładnie o godzinie 17.10 kilkanaście metrów od bramy więziennej zatrzymał się prowadzony przez „Motora” samochód ford. Kierowca zaczął grzebać w silniku pod pozorem naprawy. Zainteresowany tym patrol żandarmerii niemieckiej podszedł do samochodu i Niemcy zaczęli radzić „Motorowi”, aby się udał do pobliskich warsztatów, wojskowych, gdzie mu usuną defekt. Starając się pozbyć niepotrzebnych doradców, „Motor” z niepokojem obserwował, że do bramy więzienia wchodzi przybyli na nową zmianę strażnicy. Szczęśliwie, udało się ich w więzieniu sterroryzować bez wystrzału.

Wreszcie żandarmi odeszli. Brama więzienna otwarła się i wyjechał z niej opel wiozący uwolnionych oficerów. W kilka chwil później z więzienia wyspało się pozostałych kilkunastu bojowców, którzy pośpiesznie rozmieścili się na platformie forda. Samochód ruszył...

Po kilkunastu minutach z rozbitego więzienia wyszli pozostali uwolnieni więźniowie, aby rozproszyć się po melinach. Przed bramą, tam i z powrotem przeszedł patrol niemieckich żandarmów...

Gdy Niemcy ujawnili rozbitcie więzienia, grupa „Ponurego” była już daleko. Pościg za nią nastroczał wiele kłopotów: bojowcy przerwali całą sieć łączności Pińska z innymi miejscowościami.

Taki przebieg miała jedna z najbardziej śmiałych akcji podziemia, która – choć rozegrana daleko od Warszawy – powstawała w bezpośrednim związku z naszym miastem¹³³.

L. M.

* * *

ARSENAŁ¹³⁴

Mijają lata, żywe sprawy nowych pokoleń przysyłają wydarzenia, tętniące kiedyś gorącą krwią. Młodzi chłopcy, którzy dzisiaj mają tyle lat, ile Janek Bytnar w chwili swojej śmierci – urodzili się wiele lat po tym marcowym wieczorze pod Arsenalem, gdy głośna strzelanina ogłosiła Warszawie początek nowego etapu jej historii walki. Czego nie potrafimy osiągnąć własną pamięcią, staje się zamkniętym rozdziałem dziejów; między bojowcami Wielkiej Dywersji, tymi roku 1905 i tymi z 1863 w każdym pod-ręczniku jest odległość tylko kilku stron. Pokolenia zmieniają się, lecz te minione zlewają się z sobą, tworzą jakiś wielki ciąg, nieprzerwany – aż do nadejścia pokolenia naszego. Każda generacja ma do spełnienia własne zadania; dla każdej kwestii, które musi rozwiązać, są najważniejsze i najtrudniejsze. Inne, albo pozornie inne problemy stały przed pokoleniem Janka Bytnara i Ładysława Buczyńskiego, inne stoją przed pokoleniem, które teraz wchodzi w życie; czy jednak różnica jest aż tak wielka? Może polega tylko na tym, że zmieniły się warunki czasu?¹³⁵

Przedwiośnie roku 1943 zapowiadało nowe, wielkie wydarzenia, choć kometa nie jaśniała nad miastem. Po krwawej jesieni 1942 r., gdy w pięciu miejscach Warszawy zawisli na szubienicach skazańcy, po odwetowych uderzeniach GL i AK – zimą, groza padła na miasto. Rozkazem GehJ55/8 z 11.01.43 Heinrich Himmler, szef niemieckiego terroru, zarządził masowe aresztowania i łapanie ludzi; wróg pragnął w ten sposób zlikwidować społeczną bazę podziemia, złamać moralnie opór polski, wpoić powszech-

¹³³ Ta jedna brawurowa i zakończona sukcesem akcja AK ze stycznia 1943 r. w zasadzie „przykrywa czapką” cały „poważny” wysiłek zbrojny GL w 1943 r. A że nie ma komentarza od Autora? No, nie ma, bo nie mogło być, gdyż był nieczczeniwalny.

¹³⁴ „Stolica” z 1973, nr 17.

¹³⁵ Mamy tutaj kolejne nawiązanie do wykładu wygłoszonego przez Leszka Moczulskiego w mieszkaniu matki Restytuta Staniewicza w Poznaniu 11 XI 1973 r. pt. *Obowiązek naszego pokolenia*.

nie przekonanie, że jakikolwiek sprzeciw pozbawiony jest celu. Oddziały niemieckie obstawiały ulice, domy, całe dzielnice nawet; chwymano przechodniów, pasażerów w tramwajach, klientów w sklepach; nocami zabierano z domów, klatka schodowa po klatce, mieszkanie po mieszkaniu; tylko w dniach 15–17 stycznia okupant uwięził kilkanaście tysięcy ludzi. Szły transporty do Oświęcimia i Majdanka, a także Trebłinki; trwały egzekucje w lasach Chojnowskich, w ruinach getta, na Pawiaku ginęli ludzie na ulicach.

Trzy wydarzenia przedwiośnia poruszyły Warszawę. 28 lutego specgrupa Sztabu Głównego GL zaatakowała PWPW, 18 marca na ulicach Mostowej, Freta i Bugaj zginął w walce dowódca GL na Bródnie, Tadeusz Olszewski – Zawisza, zaś przewodniczącą ZWM Hanka Szapiro-Sawicka i komendant specgrupy GL Jan Strzeszewski – Wiktor, zostali śmiertelnie ranni; 26 marca oddział Grup Szturmowych, późniejszego trzonu Kedywu AK, na ul. Długiej, pod Arsenalem rozbił niemiecki konwój policyjny, wyzwalaając grupę więźniów przewożonych z Szucha na Pawiak, wśród nich swego kolegę, Janka Bytnara, umierającego już po torturach zadanych w śledztwie¹³⁶.

Te trzy wydarzenia stanowiły początek. Bo zaraz potem: zlikwidowano dwu oficerów gestapo w kawiarni Europejskiej (30 marca), spalono baraki Arbeitsamtu przy Dworcu Gdańskim (noc na 5 kwietnia), wykonano wyrok śmierci na szefie Arbeitsamtu Kurcie Hoffmannie w jego własnym gabinecie (9 kwietnia), zastrzelono Hugo Dietza, urzędnika Arbeitsamtu na ul. Rysiej (13 kwietnia) oraz na Wybrzeżu Kościuszkowskim Bruno Kurtha, komisarza ZUS (16 kwietnia).

Z wszystkich tych wydarzeń najgłośniejsza była akcja pod Arsenalem. „Sensacją Warszawy był dokonany wczoraj wieczorem, na krótko przed nadejściem godziny policyjnej, napad na transport więźniów z Pawiaka” – pisał w swym dzienniku okupacyjnym 27 marca Ludwik Landau. Na ulicy stoczony został niemal regularny bój – pierwszy taki bój w okupowanej Warszawie. Tamten marcowy dzień zapisany jest w pamięci tych, którzy żyją i w społecznej pamięci pokoleń zarówno tamtego, jak naszego czasu. Czy jednak jest to tylko wyblakła fotografia z albumu wspomnień?

Odpoczną i wstaną.

Ta stara zapowiedź przypomniana została niedawno i jej słowa ryje się w marmurze na pomnikach cmentarzy wojennych. Polegli bowiem nie odchodzą w przeszłość zamkniętą i skończoną; to, co było w nich najważniejsze, zawsze będzie żyć wśród nas. Wiemy dokładnie, co każda akcja zbrojna oznaczała w latach okupacji, jakie przyniosła wyniki, konsekwencje. Te bezpośrednie efekty walki są już zamknięte w historii; ich walor liczył się w tamtym czasie. Ale – czy tylko? Jakie wartości dzisiaj czerpiemy,

¹³⁶ Zestawienie obok siebie tych trzech marcowych akcji w Warszawie: dwóch GL (nieudanego napadu na PWPW oraz ulicznej strzelaniny, w której GL straciła trzy ważne osoby) i jednek AK (akcja pod Arsenalem) wypada zdecydowanie na niekorzyść GL (zwłaszcza, że za akcją pod Arsenalem poszły kolejne udane zamachy AK na przełomie marca i kwietnia 1943 r.).

czy też powinniśmy czerpać, z dawnych, historycznych już dokonań? Nikt chyba nie wątpi, jaka na postawione pytanie jest odpowiedź. Oczywiście, z minionych walk czerpiemy siłę i wzorzec moralny; uczymy się tej samej jednolitej przecież postawy wobec różnych i rozlicznych zadań, jakie mają do spełnienia kolejne pokolenia.

Bezustannie zmieniają się warunki czasu. Trzydzieści lat temu walka prowadzona była o istnienie narodu i państwa. Dzisiaj celem naszym jest dźwiganie Polski wzwyż. Każda walka o istnienie jest jednak dźwiganie wzwyż, a dźwiganie wzwyż – walką o istnienie. Inne są warunki czasu – na tym polega istotna różnica.

Ci, co kiedyś padli w walce, zostawili kapitał moralny następnym pokoleniom. Nie wolno z niego uronić, ani żdźbła. To nasz największy narodowy spadek.

Przedwiośnie sprzed trzydziestu lat zapowiadało nowe, wielkie wydarzenia. Dziś też kometa nie świeci nad miastem, choć wiemy jaki ogrom zadań i dokonań jest jeszcze przed nami. Hasłem czasu jest dźwiganie Polski wzwyż – pod każdym względem; widzimy przecież, że dźwigamy ją coraz mocniej i wyżej. Dobrze jest wiedzieć, że jeśli przeszłość sprowadzać będziemy jedynie do wspomnień – zamierzone dzieła przyszłości staną się trudniejsze do osiągnięcia¹³⁷.

L. M.

* * *

DRAMATYCZNA AKCJA „MADRYT”¹³⁸

Ta akcja od początku odbywała się pod złymi auspicjami. Na przełomie 1942–43 kierownictwo KEDYW-u KG AK podjęło decyzję wysadzenia mostu na rzece Wolborce pod Czarnocinem na trasie kolejowej Piotrków–Koluszki. Trwała właśnie gigantyczna batalia pod Stalingradem i znaczna część niemieckiego zaopatrzenia płynęła na front wschodni właśnie tędy. Przerwanie tego potoku zaopatrzenia i sprzętu choćby na jeden dzień miało ogromne znaczenie. Zadanie wykonania uderzenia zlecono zespołowi harcerskiemu, a kierownictwo nad akcją objął Henryk Ostrowski „Henio”. Most postanowiono wysadzić pod koniec 1942 r. i określonego dnia „Henio” z jeszcze jednym bojowcem przybyli pociągiem na miejsce, zaś reszta zespołu uderzeniowego z materiałami wybuchowymi i bronią nadjechać miała z Warszawy samochodem. Niestety kłopoty z taborem spowodowały, że grupa uderzeniowa nie mogła przybyć. Termin akcji – opatrzonej kryptonimem „Madryt” – przesunięto. Wkrótce potem, w marcu

¹³⁷ Cenzura mogła zrozumieć te słowa opacznie (i zapewne opacznie je rozumiała). Ci, którzy znali treść poznańskiego wykładu Moczulskiego (*Obowiązek naszego pokolenia*) wiedziała jednak, co Moczulski miał tutaj na myśli. Po upływie kilku zaledwie lat od publikacji tego tekstu stało się to dla wszystkich oczywiste.

¹³⁸ „Stolica” z 1970 r., nr 12-13.

1943 r., konfident wydał w ręce gestapo „Henia”. Wrócił on właśnie do Warszawy z dywersyjnego rozpoznania szlaku kolejowego Przeworsk–Jarosław i w chwili aresztowania nie zdążył zniszczyć notesu, w którym zapisał dane dotyczące miejsc dogodnych dla wykonania kolejówek, a wśród nich Czarnocina. Wkrótce, w sławnej akcji pod Arsenalem 26 marca 1943 r., wraz z Janem Bytnarem „Rudym” odbity został i „Henio”. Niemcy byli jednak już zaalarmowani. Na moście pod Czarnocinem ustawiono stały posterunek niemiecki i nawet rozpoznanie saperskie stało się praktycznie niemożliwe.

Wiosną 1943 r. grupy harcercskie KEDYW-u dwoiły się i troiły, przeprowadzając wiele udanych akcji, a most pod Czarnocinem przestał być aktualny. Nie zapomniano jednak o nim, nie chciano się pogodzić z tym, że Niemcy uprzedzili zamiar polski. W maju sprawa Czarnocina znów stanęła na porządku dziennym. Nad Wolbórkę wyruszyły z Warszawy dwa czy trzy patrole z zadaniem saperskiego rozpoznania mostu. Wrócili z niczym. Posterunek niemiecki uniemożliwiał minerski zwiad. Wtedy ppor. Maciej Bittner „Maciek” postanowił sam rozpracować most. Uczynił to w dość dramatycznych okolicznościach. W momencie kiedy na most wjeżdżały dwa pociągi, pomiędzy nimi przedostał się do pilnowanego obiektu. O mało co nie zginął pod kołami pociągu. Dokonał jednak rozpoznania konstrukcji mostu, pomiarów jego dźwigarów nośnych i sposobu ich budowy. Przygotowania do akcji ruszyły teraz pełną parą. Termin jej wyznaczono na 6 czerwca, kierownictwo akcji z polecenia ppor. Tadeusza Zawadzkiego „Zośki” objął „Maciek”. Wytypowano 8-osobowy zespół bojowy, przy którym miał dodatkowo znajdować się kapitan Borys „Pług” jako obserwator z ramienia dowódcy „Motor 30” – bez prawa wydawania rozkazów. Zespół miał wyruszyć dwoma samochodami ze skwerku przy ul. Filtrowej w pobliżu gimnazjum im. Słowackiego. Zebrany już zespół bezskutecznie wyczekiwał jednak na samochody. Wreszcie „Maciek” odwołał akcję. Okazało się, że na Bielanych, skąd wyruszał jeden z samochodów, doszło do przypadkowej strzelaniny, w której utracono samochód i zginął m.in. wyznaczony do akcji kierowca Jerzy Pełowski „Jurek TK”. Nowy termin uderzenia ustalono na noc z 5 na 6 czerwca 1943 r. Tym razem wszystko odbyło się zgodnie z planem. Ekipa bojowa, kierowana przez ppor. „Zośkę”, w składzie ppor. „Maciek”, podchorążowie Mirosław Cieplak „Giewont”, Włodzimierz Chrobak „Dziotek”, Feliks Pendelski „Felek”, Ryszard Wesoły „Rysiek”, Andrzej Zawadowski „Gruby” i „Antek” oraz kpt. „Pług” wyruszyli w przewidzianym terminie. Na całej trasie przejazdu przez Warszawę aż po Okęcie rozmieszczone zostały patrole chłopców z Bojowych Szkół BS, ubezpieczające ekipę uderzeniową przed przypadkową kontrolą czy zaskoczeniem.

Podróż przebiegała pomyślnie, jeśli nie liczyć jednego przypadkowego zmylenia drogi i konieczności objazdu. Z początkiem nocy grupa bojowa dotarła na miejsce. Tutaj czekała przyjemna niespodzianka. Okazało się, że posterunek niemiecki na moście został zdjęty. Być może Niemcy zrezygnowali już z kontroli, być może tej właśnie nocy żołnierze potrzebni im byli gdzie indziej. W każdym razie odpadło najtrudniejsze zadanie: likwidacja bądź obezwładnienie wroga.

Samochody ukryto w lasku koło folwarku Remiszowice i na straży pozostał przy nich „Rysiek”. Reszta ekipy udała się na miejsce akcji i zgodnie z opracowanym planem przystąpiła do minowania mostu. Pakietowanie trwało stosunkowo szybko, choć musiało być przerwane, gdyż nadjechał pociąg. Gdy oddalił się, minowanie zakończono już szybko, niestety pakietowanie min na poduszkach mostu wykonane zostało wadliwie. Około pierwszej robota była skończona. W tym czasie ze strony północnej nadeszło dwóch cywilnych strażników kolejowych. „Dziotek” zatrzymał ich swoim stenem i zmusił do położenia się na ziemi. „Zośka” jeszcze wyczekiwał, aby nadjechał niemiecki transport wojskowy. Około 3 nad ranem zdecydował się jednak odpalić miny. „Giewont” przeciął druty telegraficzne i telefoniczne, wszyscy oddalili się i padli na ziemię, po czym „Zośka” przerwał ciszę nocy. Gdy rozwiął się dym, okazało się, że most stoi. Nie było czasu na dodatkowe minowanie. Ekipa wycofała się do samochodów. Znajdujący się tam „Rysiek” wcześniej jeszcze sterroryzował stenem dwóch strażników, którzy przypadkowo nadeszli oraz przeciął linię telefoniczną. Bojowcy wsiedli do samochodów. Rozpoczął się odwrót.

Jeszcze w Warszawie, gdy omawiano plan akcji, „Maciek” proponował natychmiastowy, szybki odskok samochodami do Warszawy, co popierał „Zośka”. Dowódca „Motoru 30” mjr „Kalinowski” był temu przeciwny, uważając, że taki odwrót jest ryzykowny i lepiej wycofać się na pobliskie meliny AK i przeczekać tam czas jakiś. Wybranie tych melin musiało potrwać czas jakiś i dlatego „Zośka” parł do szybszego przeprowadzenia akcji. Ostatecznie mjr „Kalinowski” ustąpił.

Wkrótce po 3.00 dwa samochody z bojowcami na zgaszonych światłach ruszyły w kierunku do Warszawy. „Zośka”, który prowadził pierwszy wóz, znów w ciemnościach zmylił trasę i utraciono trochę czasu. Wreszcie wozy znalazły się na trasie Tomaszów–Warszawa i z szybkością 100 km na godzinę ruszyły ku stolicy.

W tym samym czasie rozpoczął się pościg niemiecki. Szef policji i SD w Tomaszowie Mazowieckim, któremu podlegał m.in. teren Czarnocina, meldunek o akcji na most otrzymał o godz. 3.55 i natychmiast zarządził przeciwdziałanie. Kilka minut później identyczna wiadomość dotarła do gestapo w Piotrkowie. W tym samym mniej więcej czasie z tego ostatniego miasta wyruszyła niemiecka ekipa pościgowa, kierowana przez por. Düpowa, szefa piotrkowskiej żandarmerii. Po przybyciu do Czarnocina Düpow ustalił, że zamachowcy najprawdopodobniej odjechali dwoma samochodami w kierunku Warszawy i ruszył w ślad za nimi. Na miejsce zamachu przybył szef piotrkowskiego gestapo wraz z por. żandarmerii Hartwigiem i ekipą śledczą. Niemcy byli niemal pewni, że bojowcy wycofują się do Warszawy i z Tomaszowa została stawiona na nogi sieć posterunków i patroli. Równocześnie na miejscu trwało śledztwo. Niemcy ustalili, że wszystkie dźwigary mostu zostały przecięte przez miny, podobnie jak kratownice. Nie eksplodowały natomiast miny umieszczone na poduszkach z obu stron mostu. Wskutek tego most nie zawalił się, na czas dłuższy jednak nie nadawał się do użytku. Linia kolejowa została więc przecięta! W kierunku Czarnocina ruszyły dwa

pociągi ratunkowe. Skład idący z Piotrkowa wpadł na założoną przez Polaków minę-pułapkę i wykołcił się. Idący z Koluszek pociąg ratunkowy spóźnił się i to go ocaliło, gdyż Niemcy rozpoznali drugą minę. W tym czasie bojowcy z maksymalną szybkością jechali do Warszawy. Prowadzący pierwszy samochód „Zośka” systematycznie przyspieszał i kierowca drugiego, „Rysiek” z trudem za nim nadążał. Na ostrych za krętach koło Chrzczonowic wóz wypadł z szosy. Katastrofa okazała się w skutkach tragiczna. „Rysiek” był nieprzytomny, z nosa sączyła mu się krew. Silnik samochodu został rozbity. Pozostali pasażerowie nie odnieśli większych obrażeń. „Zośka” zawrócił, przez czas jakiś starano się doprowadzić „Ryska” do przytomności. Było już jasno, zbliżała się 4.30. Ostatecznie „Zośka” postanowił, że pierwszy wóz wraz z ciężko rannym „Ryskiem” wyruszy natychmiast do Warszawy, a pozostali bojowcy pojedynczo lub małymi grupami dostaną się tam własnym przemysłem.

Do Warszawy dojechano bez przeszkód. Dopiero na punkcie kontrolnym na Okęciu posterunek niemiecki zagroził drogę. „Zośka” zwolnił i podjechał do żandarmów, a wtedy kpt. „Pług” wystawił przez okno lufę stena. Niemcy zareagowali błyskawicznie: rzucili broń i podnieśli ręce do góry. Na pełnym gazie bojowcy wjechali do Warszawy. Natychmiast zorganizowano opiekę lekarską dla „Ryska”, a następnie przewieziono go do szpitala Przemienienia Pańskiego. Tam zmarł. Lekarze stwierdzili pęknięcie podstawy czaszki.

Reszta grupy bojowej pozostała na szosie. „Giewont”, który miał kontuzjowaną nogę i z trudem chodził, pierwszy wyruszył do pobliskiego Grójca, skąd kolejką bez przeszkód dojechał do Warszawy. „Antek” i „Dziotek” skierowali się do Żyrardowa i równie spokojnie wrócili pociągiem do stolicy. Reszta, z „Maćkiem” na czele, po zniszczeniu samochodu udała się na pobliskie gospodarstwo, gdzie chłopcy umyli się pod studnią. Po ich wyjściu z zagrody, 17-letni syn gospodarza wymknął się opłotkami, wsiadł na konia i pojechał do pobliskiej Woli Pękoszewskiej, gdzie złożył donos na miejscowym posterunku żandarmerii.

„Maciek”, „Gruby” i „Felek” szli spokojnie szosą. W pewnej chwili dogonił ich i minął samochód niemiecki. Jechał nim por. Düpow ze swoją ekipą pościgową. Znalazł on wrak rozbitego samochodu i upewnił się, że ściga we właściwym kierunku. Trzech napotkanych mężczyzn nie wzbudziło w nim jednak podejrzeń. Gdy Düpow dojechał jednak do skrzyżowania dróg w Woli Pękoszewskiej, napotkał tam kilku żandarmów wraz z młodym zdrajcą, który prowadził ich celem wskazania podejrzanych mężczyzn. Düpow wziął zdrajcę do swego samochodu i zawrócił. Kilkaset metrów dalej spotkali zamachowców. Niemcy gwałtownie zahamowali, wyskakując z wozu. Polacy byli szybsi. Mimo że mieli tylko pistolety (steny zabrał z sobą „Zośka”), otwarli skuteczny ogień. Padł śmiertelnie ranny Düpow i poważnie ranny wachmistrz żandarmerii Loss.

Niemcy strzelali z pistoletów maszynowych i ich strzały też były skuteczne. Ranni „Gruby” i „Felek” wycofali się w pole, a „Maciek”, któremu zaciął się na dobitkę pi-

stolet, przez łan żyta przedostał się do polnej drogi, zabrał jakimś mężczyźnie rower i bocznymi ścieżkami odjechał.

Jak się zdaje, ciężko ranny „Gruby” szybko stracił przytomność. „Felek” mógł jeszcze walczyć i strzały z jego pistoletu trzymały Niemców w bezpiecznej odległości. Czas, który mu jeszcze pozostał, „Felek” poświęcił na zniszczenie papierów, kenkarty i wszystkiego, co mogłoby posłużyć identyfikacji.

Niemcy pośpiesznie ściągnęli posiłki i lekarza dla umierającego Düpowa. Zbadał go mieszkający w pobliżu dr Stanisławski. Wykorzystując pewne zamieszanie u Niemców, którzy pilnowali jedynie, aby nikt nie wymknął się z łanu żyta, dzielny lekarz i oficer rezerwy przedostał się tam, szukając zamachowców. Chciał im udzielić pomocy, chociażby tylko lekarskiej. Niestety, na wołania Stanisławskiego bojownicy nie odpowiadali.

Przybyła nowa ekipa żandarmów, dowodzona przez ppor. Böhma. Niemcy obrzucili kilkudziesięcioma granatami zboże i dopiero potem odważyli się zbliżyć do łanu. Powitały ich strzały „Felka”, padł ranny żandarm Schultz. Niemcy znów cofnęli się, rozpoczęli gorączkową strzelaninę, rzucili granaty. Gdy wreszcie nikt im już nie odpowiadał, weszli do łanu. „Felek” jeszcze żył. Dr Stanisławski chciał mu udzielić pomocy, lecz ppor. Böhme odepchnął lekarza, dobił rannego, a potem kopał zwłoki. „Gruby” nie żył.

Düpow zmarł. Zdrajca został stracony na mocy wyroku sądu podziemnego. Przez most na Wolborce pod Czarnocinem przerwany został ruch pociągów. Krążyła korespondencja między wysokimi funkcjonariuszami gestapo, nie wyłączając samego szefa policji bezpieczeństwa III Rzeszy Obergruppenführera SS Müllera. Śledztwo ostatecznie nie dało wyników, choć Niemcy byli już bardzo bliscy rozwiązania.

Oto historia jednej tylko akcji z tych lat, gdy tory i mosty kolejowe, parowozy i wyładowane czołgami wagony wylatywały w powietrze codziennie.

L. M.

* * *

LOSY WARSZAWSKIEGO GETTA¹³⁹

¹³⁹ „Stolica” z 1968 r., nr 16. Moczulski w polemice z Adamem Michnikiem (Leszek Moczulski, *Michnikowi w odpowiedzi*, „Droga” 1978 r., nr 3, s. 38-41) napisał tak:

Falszywy zarzut rzekomych moich publikacji wymierzonych między innymi przeciwko ruchowi studenckiemu rozsiewany jest nie od dzisiaj w anonimowych plotkach. W ciągu paru lat poszukiwań i weryfikowania roczników „Stolicy” nie udało się jednak nikomu znaleźć jakiegokolwiek publikacji Leszka Moczulskiego potwierdzającej te pogłoski. Obecnie poszukiwania objęły te pozycje, które Leszek Moczulski ewentualnie mógł napisać potajemnie. Poszukiwacze, jak z tego widać, postanowili zdemaskować Leszka Moczulskiego nie tymi poglądami, które głosił, lecz tymi, których wprowadzić nie głosił, lecz mógł ukrywać. Aby ułatwić te detektywistyczne poczynania pozwolę sobie przypomnieć że:

Kampania prasowa 1968 (jak i inne) kierowana była przez Biuro Prasy KC PZPR i nadzorowana przez cenzurę. Wszystkie pisma przeznaczone dla tak zwanego masowego odbiorcy obowiązywały by za-

mieścić publikacje potępiające „wydarzenia i ich sprawców”. Pismo, które nie wykonałoby tej dyrektywy, nie mogło się ukazywać. Wszystkie czasopisma, chętnie lub nie, instrukcje te musiały wykonywać. Taką jest bowiem rola i sytuacja prasy cenzurowanej. Niektóre czasopisma – należały do nich „Prawo i Życie” czy „Życie Warszawy” – z własnej inicjatywy poszły znacznie dalej od minimum nakazanego dyrektywami tak w zakresie tonu artykułów, jak ich ilości, publikując dziesiątki tekstów „potępiających i demaskujących”. W tych warunkach i na tym tle akurat „Stolica” zachowała umiar. Nie byłem jej redaktorem naczelnym, nie decydowałem o linii pisma (przeciwnie, zawsze byłem w redakcji uważany za „politycznie niepewnego” czy wręcz „podejrzanego” – co potwierdzała najwyższa ilość interwencji cenzury w moich tekstach), a więc za zachowanie się „Stolicy” w 1968 ani nie ponoszę odpowiedzialności, ani nie szukam zasług, lecz zwykłe poszanowanie prawdy wymaga stwierdzenia, że w chorze delegowanych przez Biuro Polityczne czasopism „Stolicy” udało się zachować głos powściągliwy i mało słyszalny. W piśmie, na przestrzeni dwóch miesięcy, ukazały się 4 czy 5 publikacji związanych bezpośrednio czy pośrednio z wydarzeniami marcowymi: w jednym numerze „Prawa i Życia” naliczyć było można więcej. Wszystkie te artykuły napisali redaktor naczelny Leszek Wyszacki i jego zastępca Edmund Grzybowski. Nie zawierały one ataków na spontaniczny ruch studencki, a wymierzone były przeciwko środowiskom PZPR obciążonym odpowiedzialnością za tak zwane błędy i wypaczenia przed 1956, którym ponadto postawiono zarzut manipulowania patriotycznymi uczuciami młodzieży. Nie miałem nic wspólnego z tymi publikacjami i czytałem je dopiero po wydrukowaniu. Wprawdzie próbowałem ogłosić i własne teksty, aby przekazać coś, choćby między wierszami, ale nie udało mi się. Ostrożność wobec mojej osoby była tak dalece posunięta, że odebrano mi stałą rubrykę, którą reago-wałem („Z otwartych szkatuł”) w obawie, abym nie zamieścił tam jakichś tekstów aluzyjnych. Nazajutrz po 8 marca (rozbić wiecu na UW) napisałem notatkę informacyjną, ale redaktor naczelny odrzucił ją, jako niecenzuralne i przekazał innej osobie do przerobienia; dokonane to zostało tak, że z moich też nic nie pozostało. Tekst ten następnie przeredagował jeszcze redaktor naczelny i jego zastępca, a dalsze zmiany wniosła cenzura – w następstwie czego osoba, która przerobiła mój tekst również wycofała swój podpis. W taki sposób stworzona, nie podpisana przez nikogo notatka informacyjna ukazała się w numerze 11 pt. „O zająciach w Warszawie”.

Z kolei w „The Economist” [Leszek Moczulski, *Poland and the Jews (Polska i Żydzi)*; tłumaczenie artykułu zamieszczonego w tygodniku „The Economist” (10-17 lutego 1979 r.), BU 01322/2586, SOR „Oszust”, t. IV, s. 1615-1618] Moczulski opublikował list, którego treść była następująca:

Sir. Nie byłem autorem dwóch antysemickich artykułów w „Stolicy” z 1968 i 1969, jak to Wasz specjalny korespondent sugeruje (Listy, listopad 11) opierając się na artykule pana Michnika w „Krytyce”. Szkoda, że Wasz korespondent nie czytał mojej odpowiedzi panu Michnikowi, zamieszczonej w „Drodze” w październiku 1978. Mogę dodać, że te dwa artykuły nie były krytykowane przez pana Michnika, jako antysemickie, ale jako skierowane przeciwko protestom studenckim z 1968. W pierwszym z tych artykułów nie znajdziecie, jak to twierdzi Wasz korespondent, „pewna liczba młodych mężczyzn i kobiet (prawie wszyscy Żydzi)” ale „prawie wszyscy – dzieci wysoko postawionych urzędników partyjnych i rządowych”. W drugim artykule nie znajdzie pan nic na temat syjonistów lub też Żydów.

Wasz korespondent mówi także (Listy, październik 7) o mojej „niesmacznej przeszłości” i „kilku grubiańskich artykułach” opublikowanych w „Stolicy”, ale nie może wskazać na chociażby jeden artykuł o Żydach. Pomogę więc mu. W kwietniu 1968, kiedy antysemicka kampania PZPR osiągnęła szczyty, opublikowałem w „Stolicy” artykuł zatytułowany „Przeznaczenie Getta Warszawskiego”, który rozpoczynał się następująco: „Rasizm, przekonanie, że rasy nie są równe, nie były podstawą ideologii Hitlera ... według tych szaleniczych pomysłów Herrenvolk dążył do eksterminacji Żydów lub – jak kto woli – według specyficznej terminologii niemieckiej dokonać ostatecznego rozwiązania problemu żydowskiego”. Publikowałem wiele podobnych artykułów dotyczących antysemityzmu i przestępstw dokonywanych na Żydach.

W pogodne dni kwietnia 1943 r. nad umęczoną – przez blisko już trzy i pół roku okupacji – Warszawą wzniosł się wysoko słup dymu. Po ulicach miasta krążyły patrole w złowrogich mundurach feldgrau z bronią gotową do strzału. Gęste kordony niemieckie otaczały jedną z dzielnic, odgradzoną od innych trzymetrowym murem. Zza muru dobiegała strzelanina, odgłosy detonacji: dopełniał się los tych, którzy woleli zginąć w beznadziejnej walce, niż czekać biernie na śmierć w komorach gazowych Treblinki... To powstanie wstrząsnęło Warszawą. Było kolejnym aktem dramatu miasta; obawiano się powszechnie, że nie ostatnim. Obawy te miały się niestety spełnić: zagłada miasta rozpoczęta we wrześniu 1939 r., kontynuowana w kwietniu 1943 r., dokończona być miała w 1944 r.

Rasizm, a więc przekonanie o rzekomej nierównej wartości ras ludzkich, był jednym z fundamentów ideologii hitleryzmu. Bezpośrednią jego konsekwencją była – jakże użyteczna dla ekspansjonistycznej polityki niemieckiej – koncepcja „Herrenvolku”, „narodu wybranego”, jakoby predestynowanego do rozstrzygania o życiu i śmierci innych, „niższych” ras i narodów. W myśl tych obłądnych idei do „ras niższych” hitlerowcy zaliczyli m.in. Słowian, którzy mieli stać się niewolnikami „Wielkiej Rzeszy”, planowo eksploatowanymi i stopniowo trzebionymi aż do całkowitej w przyszłości zagłady. „Naród panów” miał też dokonać eksterminacji Żydów – tj. według specyficznej terminologii niemieckiej, „ostatecznego rozwiązania (Endlösung) kwestii żydowskiej”.

Te założenia, przypominane tu skrótowno, determinowały politykę niemiecką wobec krajów okupowanych. Dotyczyło to zwłaszcza Polski, w której od pierwszych dni swego panowania hitlerowcy wprowadzili szczególnie brutalny terror. Pierwsze akcje eksterminacyjne wymierzone były przeciwko obywatelom polskim bez względu na ich pochodzenie; z czasem jednak przy równoczesnym wzmacnianiu prześladowań uderzających w całe społeczeństwo, szereg zarządzeń okupanta zaczyna wyraźnie zmierzać do wydzielenia spośród polskich „podludzi” Żydów jako kategorii odrębnej. Zarządzenia te, których pierwszą fazę zamyka akcja przymusowego osiedlania Żydów w tworzonych w polskich miastach gettach dotyczą także Polaków nie związanych z żydowską

Antysemityzm jako pewnego rodzaju socjalne zjawisko nie istnieje w obecnej Polsce. Jednym z powodów jest wyćpienie przynajmniej 3 milionów polskich Żydów dokonane na oczach bezwolnych Polaków, którzy stracili ponad 6 mln osób. W każdym społeczeństwie istnieją patologiczni indywidualiści i antysemitów można spotkać i u nas, ale jest ich tylko kilku. Problem jest inny. Propaganda sowiecka starała się wywołać wrażenie, że antysemityzm istnieje w Polsce. To nieprawda. Celem takiej akcji jest odebranie Polakom sympatii opinii publicznej w państwach demokratycznych, a co pozwoliłoby ZSRR nadal dominować nad Polską. Ci Polacy, którzy pozwalają sobie na poczynania, mające stworzyć Polskę niezależną od ZSRR i którzy chcą zastąpić system totalitarny demokratycznym, nazywani są nacjonalistami. W okresie 1944-56 Rosjanie przeszli do Polski wielu swych funkcjonariuszy pochodzenia żydowskiego, którzy stali się dominującą grupą w tajnej policji UB. Ta grupa wprowadziła terror stalinowski w Polsce. Wiele tysięcy Polaków, w tym i Żydów, stało się ofiarami tego terroru. Moralne potępienie takich przestępców, jak Berman, Fejgin, czy Różański nie ma żadnego związku z ich pochodzeniem żydowskim, a tylko z przestępstwami jakich dokonywali.

narodowością czy religią, lecz uznanych za Żydów w myśl hitlerowskiego ustawodawstwa rasowego.

Getto w Warszawie utworzone zostało zarządzeniem gubernatora tzw. dystryktu warszawskiego Fischera, z 2 X 1940 r. W izolowanej z czasem dzielnicy znalazło się ok. 300 tys. osób, później, w wyniku deportacji Żydów z innych miejscowości, liczba ta wzrosła do ok. 450 tys. Większość Żydów warszawskich podporządkowała się zarządzeniu, część jednak zdecydowała się na ryzyko pozostania poza obrębem getta i ukrywania się z pomocą „aryjskich” współobywateli.

Na czele getta Niemcy postawili tzw. Judenrat, będący formą całkowicie posłusznego okupantowi żydowskiego samorządu. Funkcje policyjne na obszarze dzielnicy spełniała żydowska ochotnicza Służba Porządkowa (*Ordnungsdienst*). Poza tym działała w getcie ekspozytura gestapo, której funkcjonariuszami byli zdrajcy Żydzi, z czasem zaś utworzono zakonspirowaną organizację „Żagiew” kierowaną także przez niemiecką policję bezpieczeństwa i również składającą się z Żydów. Wykorzystując te swoje agentury sami Niemcy w wewnętrzne sprawy getta bezpośrednio prawie nie ingerowali.

Izolując getto, hitlerowcy dążyli do wyniszczenia i w rezultacie biologicznej zagłady jego ludności. Przydziały żywności w getcie wynosiły w drugiej połowie 1941 r. dziennie 184 kalorie na osobę. Stanowiło to nie więcej niż minimum absolutnej egzystencji. Ponadto Niemcy zezwalali na sprowadzanie do getta towarów wolnorynkowych wartości 13 groszy dziennie na osobę. Na wolnym rynku 1 kg chleba kosztował wówczas w Warszawie 8–12 zł, a 1 kg tłuszczu nie mniej niż 250 zł. Aby jeszcze bardziej przyspieszyć proces wymierania tłoczonej w getcie ludności, zdecydowaną jej większość pozostawili Niemcy bez pracy, a więc bez zarobków umożliwiających wykupienie nawet głodowych przydziałów. Jak oceniały polskie organizacje podziemne, prowadzące badania sytuacji w getcie zarówno celem opracowania najskuteczniejszej pomocy, jak też dla alarmowania rządów i społeczeństw alianckich – około 50 proc. mieszkańców dzielnicy dosłownie umierało z głodu, ok. 30 proc. głodowało, ok. 15 proc. było niedożywione, a tylko ok. 5 proc. żyło w dostatku, w tym kilkudziesięcna grupa w luksusie. Ocena ta znajdowała potwierdzenie w liczbach zgonów: o ile przed wojną przeciętna śmiertelność w grupach i środowiskach żydowskich w Warszawie wynosiła 370–450 osób miesięcznie (najwyżej 1,5 promille ogółu), to w getcie, w pierwszym półroczu 1942 r. – 4 500–5 500 osób miesięcznie (więcej niż 12 promille). Przyczyną przytłaczającej większości tych zgonów był głód, żniwo śmierci zbierały również epidemie – głównie duru brzuszego i płamistego.

Jakby nie były przerażające te statystyki, liczby nich zawarte z pewnością nie spełniały założeń okupanta. Mimo że warunki stworzone w getcie przez Niemców powinny były doprowadzić do zagłady zamkniętej w nim ludności w ciągu niewielu miesięcy, mimo licznych ofiar tego na zimno zaplanowanego i realizowanego ludobójstwa – getto zdołało przetrwać blisko 2,5 roku, a ostatecznej eksterminacji dokonali hitlerowcy innymi środkami. Późniejsze wydarzenia jakby przysłoniły w oczach autorów wielu

publikacji długotrwałą, zaciętą walkę o przetrwanie do tego czasu paruset tysięcy ludzi; w pewnym zresztą stopniu o stosunkowo niewielkim spopularyzowaniu tej problematyki decydować musiały inne względy, niewiele mające wspólnego z dążeniem do ustalenia prawdy historycznej. A przecież ogromne znaczenie tej walki wielokrotnie podkreślali zarówno historycy getta, jak i bezpośredni świadkowie wydarzeń. I tak dr Emmanuel Ringelblum, kierujący zespołem podziemnego archiwum getta, w swoich notatkach (których tendencyjnie dobrane, jeśli wręcz nie sfałszowane fragmenty posłużyły zresztą niedawno za „dowód” w niewybrednej oszczerczej kampanii przeciwko Polsce i Polakom, prowadzonej przez kręgi syjonistyczne w zachodniej Europie, zwłaszcza w NRF, w Izraelu i USA) stwierdzał wręcz, że niemiecki plan wygłodzenia i ekonomicznego wyniszczenia getta spalił na panewce.

„Dzięki pomysłowości obu stron (producentów żydowskich i odbiorców polskich ze strony »aryjskiej«) – cytuje słowa Ringelbluma historyk prof. Bernard Mark – niecnny plan komisarza na dzielnicę żydowską Auerswalda (...) już w pierwszej chwili nie wytrzymał próby życia i prysnął jak bańska mydlana”.

Dzięki pomysłowości obu stron... To hitlerowcy wprowadzili podział na „strony”, lecz wbrew ich wysiłkom podział ten był wielokrotnie i skutecznie niweczony. Nie zważając na karę śmierci grożącą za pomaganie Żydom i za kontakty z gettem, społeczeństwo Warszawy początkowo spontanicznie, a później w sposób coraz bardziej zorganizowany takie masowe kontakty nawiązuje i podtrzymuje. Miejscem spotkań staje się przede wszystkim gmach Sądów na Lesznie. Wkrótce tony towarów, głównie żywności docierają za mur. Trudno obliczyć, ile tej żywności dostarczono łącznie, ostrożne szacunki wskazują jednak, że ilość dostarczona nielegalnie była kilkadziesiąt razy większa od dostarczonej legalnie.

Pomoc ta tylko w części mogła mieć charakter charytatywny, nieodpłatny i taką świadczyło wiele osób indywidualnie, jak też wiele organizacji (m.in. OW-KB, PCK, Straż Pożarna) czy partii politycznych (zwłaszcza PPS i PPR – ta ostatnia jednak powstawszy w styczniu 1942 r. mogła praktycznie podjąć tę akcję dopiero w ostatnim roku istnienia getta). Od schyłku 1945 r. rozpoczęła swą działalność Rada Pomocy Żydom „Żegota” opierająca się o liczny społeczny aktyw i współpracująca ze wszystkimi niemal organami Polski Podziemnej. Żegota stała się organem skupiającym i kontynuującym wszystkie powstałe wcześniej na skalę masową formy pomocy i przeznaczała na działalność charytatywną poważne sumy – rzędu kilku milionów zł w samej Warszawie, ponieważ jednak gros jej mającej ogromne znaczenie pracy przypada na okres już po likwidacji getta, środki te szły przede wszystkim na utrzymanie Żydów ukrywających się, co nie wchodzi już w zakres niniejszego artykułu. Wewnątrz getta podziałem środków uzyskiwanych w rezultacie pomocy charytatywnej zajmowało się zwłaszcza Żydowskie Towarzystwo Opieki Społecznej. Poważne znaczenie miała także praca organizacji pomocy dzieciom Centos, na której czele stał członek PPR Józef Gitler-Barski.

Dławiona przez okupanta głodująca Warszawa (przydział żywności dla Polaków na „stronie aryjskiej” wynosił w drugiej połowie 1941 r. wprawdzie więcej niż w getcie, to „aż” 634 kal. na osobę dziennie, stanowiło to jednak 1/3 minimum egzystencji; zaopatrzenie miasta opierało się na szmuglu) nie miała niestety możliwości finansowania pomocy dla getta. Problem rozwiązano w sposób, o którym wspomniał w cytowanej wyżej opinii dr Ringelblum. Było to swego rodzaju majstersztykiem konspiracyjnej organizacji walki cywilnej. Zorganizowano mianowicie aktywizację gospodarczą i zawodową licznych grup rzemieślników żydowskich, zapewniając im zarobek. Firmy „aryjskie” lokowały nielegalne zamówienia w getcie, dostarczając zarazem surowiec. Drobną, a z czasem jednoczącą się w zespoły branżowe żydowscy producenci wytwarzali potrzebne towary, zwłaszcza z branży metalowej, skórzaną i in. Do połowy 1942 r. uzyskali w ten sposób zatrudnienie i zarobek wszyscy Żydzi mający odpowiednie kwalifikacje lub ci – np. spośród inteligencji – którzy zdobyli takie kwalifikacje. Surowce i towary, jak i większość żywności, na ogół były przerzucane przez mur, dostarczano je też (drobniejsze przedmioty) podczas kontaktów w Sądach. Większe partie przemycano wozami przez bramy getta, przekupując żandarmów i żydowską czy granatową policję; przechodziły też przez I i IV Oddziały Straży Pożarnej (mające tyły zabudowań w getcie) czy przez „szafy w ścianach” podobnie usytuowanych kamienic. Mleko dostarczano za pomocą rurociągów.

Na początku 1942 r. przywódcy III Rzeszy zrozumieli ostatecznie, że ich pierwotny plan zagłady społeczności żydowskiej przez osadzenie w zamkniętych gettach i skazywanie na śmierć głodową zawiodł, wskutek skutecznego przeciwdziałania Polaków i Żydów. Postanowili więc sięgnąć do środków ostatecznych – tym bardziej, że przestały mieć znaczenie powody, które do pewnego stopnia oddziaływały hamująco na ich ludobójczą politykę wobec Żydów. Otóż do 8 grudnia 1941 r. Stany Zjednoczone zachowywały neutralność wobec toczącej się w Europie wojny, hitlerowcy zaś uznawali, że wpływ i aktywność środowisk żydowskich w tym kraju są bardzo silne, i – nie chcąc dostarczać USA powodów do zbrojnego wystąpienia – wstrzymywali się, do czasu, z otwartym masowym mordowaniem Żydów europejskich, choć z pewnością mogła ich do tego ośmielać dotychczasowa nikła w praktyce reakcja Zachodu na ich rasistowskie poczynania, a zwłaszcza tragedię gett. Już jednak w kilka tygodni po japońskim ataku na Pearl Harbour Heinrich Himmler na konferencji w Gross-Wannsee ujawnił we wtajemniczonym gronie konkretny plan ostatecznej zagłady fizycznej całej społeczności żydowskiej.

Ruch podziemny w getcie rozwijał się początkowo w ograniczonym stopniu – jako kontynuacja przedwojennego układu żydowskich ugrupowań i partii politycznych. Tak więc zorganizowały się grupy Poalej-Syjon Lewicy i Prawicy, Haszomei Hacair, Dror, Syjonistów-Socjalistów. Najsilniejszym może ugrupowaniem stał się Bund. Dotkliwą luką, jaką po rozwiązaniu w r. 1938 KPP (której ofiarnymi członkami było wielu Żydów) stanowił brak w tym układzie grupy komunistycznej, dopiero wiosną 1942 r. wypełnić miały organizacje PPR.

Żadne z tych ugrupowań nie utworzyło przez czas dłuższy organizacji zbrojnej, natomiast niezależnie od nich już wkrótce po utworzeniu getta zorganizował się Żydowski Związek Wojskowy, skupiający byłych żołnierzy i oficerów Wojska Polskiego¹⁴⁰. ŻZW związany był i współdziałał ściśle z działającą po stronie „aryjskiej” organizacją podziemną Korpus Bezpieczeństwa, która dostarczyła mu broni i innych materiałów¹⁴¹.

Wkrótce po wspomnianym wystąpieniu Himmlera na konferencji w Gross-Wansee, wiosną

1942 r., wywiad Armii Krajowej oraz agendy Delegatury Rządu na Kraj ustaliły, że Niemcy podjęły nie mającą precedensu w dziejach decyzję planowego i całkowitego wymordowania społeczności żydowskiej. Postanowiono przeciwdziałać ze wszystkich sił. Zaalarmowano rząd emigracyjny, który zresztą już wcześniej, na podstawie raportów z kraju, nieraz usiłował bezskutecznie poruszyć przywódców alianckich i opinię publiczną Zachodu tragicznym losem Żydów polskich. 9 czerwca 1942 r. gen. Sikorski wygłosił przez radio apel do rządów i narodów świata, odsłaniając niemieckie plany bezpośredniej fizycznej zagłady Żydów i wzywając do ich ratowania. Niestety apel ten w praktyce nie spotkał się z żadnym odzewem. Zbagatelizowały go kręgi syjonistyczne.

W getcie tymczasem świadomość zagrożenia zaczynała narastać. W marcu 1942 r. większość wymienionych wyżej grup politycznych utworzyła wspólny Blok Antyfaszystowski, w skład którego weszły Haszomer Hacair, Poalej-Syjon Lewica i Prawica, Hachaluc, Dror i organizacja PPR w getcie. Blok za naczelne zadanie uznał przełamanie dotychczasowej bierności. Zapoczątkowano tworzenie grup bojowych. Tak rozpoczyna się organizacja bezpośredniej samoobrony w getcie, lecz już na wstępie spada na nią pierwszy cios.

W nocy z 17 na 18 kwietnia do getta wtargnęła niemiecka żandarmeria i przy współudziale żydowskiej Ordnungsdienst aresztowała 52 działaczy podziemia, których na miejscu zamordowano. Była to w zasadzie pierwsza akcja policyjna Niemców w getcie. Wśród ofiar znalazł się m.in. działacz PPR Traube. W następnych tygodniach akcje

¹⁴⁰ Moczulski już w 1968 r. pisał o roli ŻZW, co należy podkreślić, bowiem ta organizacja, związana w pewien sposób z pilsudczykami (poprzez fakt, że wielu jej przywódców było oficerami WP) została po wojnie na kilkadziesiąt lat niemal zupełnie zapomniana. Zdecydowana większość uwagi skupiona była na lewicowej ŻOB i jej przywódcy – Marku Edelmanie. Jednym z powodów przemilczania dorobku ŻZW po wojnie był fakt, iż niemal całe kierownictwo tej organizacji zginęło w Powstaniu w Getcie w 1943 r. Główna różnica między ŻZW a ŻOB polegała na tym, że ta pierwsza organizacja powstała na bazie zawodowych wojskowych, natomiast ta druga była złożona w większości z młodzieży robotniczej o socjalistycznych poglądach.

¹⁴¹ KB, czy też OW KB (Organizacja Wojskowa Korpus Bepiecieństwa), myłona nieraz z PKB (Państwowy Korpus Bezpieczeństwa), od 1942 r. była strukturą autonomiczną funkcjonującą w ramach AK i podlegała ppłk. Ludwikowi Muzyczce (który po 1956 r. był jednym z liderów nn-u). Gdy bezpośredni świadkowie umarli, po 1989 r. powstał w polskiej historiografii nurt negujący związki KB z ŻZW. Szerzej na ten temat – M. Lewandowski, *Ludwik Muzyczka „Benedykt. Działalność polityczna od 1956 r. w świetle zachowanych materiałów SB*, Warszawa 2019, s. 87-117.

te zaczęły się powtarzać; podobnie jak pozostałe dzielnice Warszawy, także i getto stało się miejscem krwawych zbrodni gestapo.

Nie była to jednak jeszcze akcja ostatecznej zagłady. Ta zaczęła się trzy miesiące później – 22 lipca. Władze niemieckie zażądały od Judenratu, aby własnymi środkami dostarczał codziennie 6 000 osób na plac przeładunków (Umschlagplatz) przy ul. Stawki, skąd zostaną wywiezieni – rzekomo do pracy poza Warszawą, w rzeczywistości do obozu w Treblince, gdzie przygotowano już komory gazowe i krematoria.

Żądanie to zaskoczyło Judenrat, który parę tygodni przedtem odrzucił informację polskich organizacji podziemnych o grożącej eksterminacji nie mniej niż 300 tys. Żydów, nazywając te wiadomości „szkodliwymi i niedorzecznymi”. 18 czerwca inż. Adam Czerniaków stanowczo zdementował „wieści o przesiedleniu”. 24 lipca tenże przewodniczący Judenratu po podpisaniu pierwszej listy 6 000 „przesiedlonych” popełnił samobójstwo. W ślad jego poszło 8 żydowskich policjantów. Pozostali członkowie Judenratu i funkcjonariusze Ordnungsdienst nadal jednak posłusznie wykonywali rozkazy niemieckie, kontynuując akcję „wysiedlania” – także i wtedy, gdy po dziesięciu dniach od jej rozpoczęcia relacje pierwszych zbiegów z Treblinki nie powinny były pozostawić wątpliwości co do tego, że transporty idą na śmierć. Jak stwierdza w swym pamiętniku, cytowanym przez prof. Marka, naoczny świadek wydarzeń Edmund Korczyński, „kierownicy Judenratu zadali kłam pełnym grozy informacjom o Treblince, osławiony oficer Służby Porządkowej, Lejkin, podniósł krzyk, że to prowokacja”.

Dzień w dzień, aż do 13 września 1942 r. trwała akcja likwidacji getta. Żądane przez Niemców kontyngenty skazanych na śmierć były dostarczane. Żydowska policja często siłą włókła nieszczęśliwych do transportów. Inni szli dobrowolnie, skuszeni obietnicą otrzymania żywności. Łącznie wywieziono z Warszawy na śmierć lub zamordowano w trakcie ewakuacji ok. 300 tys. mieszkańców getta. Podczas tej wielkiej akcji likwidacyjnej poważne ofiary ponieśli także i Polacy, pomagający w ucieczce tym wszystkim Żydom, którzy się na to zdecydowali, ukrywający ich i udzielający wszelkiej innej pomocy. Akcji likwidacji getta towarzyszyło zresztą nasilenie łapanek po stronie „aryjskiej”.

Nie będąc w stanie przeciwstawić się zbrojnie i w sposób masowy mordowaniu setek tysięcy Żydów, Polska Podziemna poza udzielaniem maksymalnej pomocy nadal alarmowała świat – poprzez rząd emigracyjny w Londynie, który domagał się od aliantów zdecydowanej akcji odwetowej. Obszerna dokumentacja zbrodni, przesłana z kraju, została w Londynie opublikowana jako tzw. Czarna Księga. Wskutek polskich starań 17 grudnia 1942 r. ogłoszona została deklaracja sprzymierzonych, która potępiała ludobójstwo popełnione na Żydach i zapowiadała ukaranie sprawców po wojnie. Nie uwzględniony został, niestety, postulat Polski, by zapowiedziano – i realizowano – odwet jeszcze podczas wojny i przed dokonaniem ostatecznej zagłady Żydów.

Po straszliwej akcji zagłady pozostało jesienią 1942 r. w getcie warszawskim zaledwie kilkadziesiąt tysięcy osób. W społeczności tej przełamane zostały nastroje dawnej

bierności i coraz bardziej zaczęło zwyciężać hasło walki zbrojnej w obronie własnego życia i honoru. W okresie październik–grudzień 1942 roku powstaje – obok istniejącego i zwiększającego swoje siły ŻZW kierowanego przez por. Apfelbauma i Frenkla – Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB) dowodzona przez Mordechaja Anielewicza. Obie te organizacje gotowe były stawić zbrojny upór każdej dalszej akcji likwidacji resztek getta. Prawie całe uzbrojenie dla tych wyraźnie w nowych warunkach rosnących w siłę i znaczenie organizacji pochodziła zza muru – przekazane zostało przez polskie organizacje podziemne, częściowo bezpłatnie. (Warto tu przypomnieć, że zdobycie materialnych środków walki przez cały okres okupacji stanowiło jeden z najtrudniejszych do rozwiązania problemów, z jakimi borykały się wszystkie odłamy ruchu oporu w okupowanej Polsce. Zwłaszcza biedniejsze organizacje lewicy, jak choćby Gwardia Ludowa – nie otrzymująca znikąd dotacji ni zrzutów i tracąca najwartościowszą kadrę w akcjach przeprowadzanych dla zdobycia broni bądź pieniędzy na jej zakup.)

Obok bezpośrednich przygotowań do zbrojnej samoobrony ważnym elementem narastającej walki żydowskiego ruchu oporu z okupantem były próby nawiązania łączności z Zachodem dla uzyskania stamtąd pomocy. Za pośrednictwem aparatu łączności AK i Delegatury Rządu żydowskie organizacje podziemne wysyłały szereg alarmujących radiogramów do przedstawicieli społeczności żydowskich w krajach sprzymierzonych i głównie do organizacji syjonistycznych w USA. Tak więc w depe-szy nr 15, skierowanej do przewodniczącego Amerykańskiego Kongresu Żydowskiego Stephena Wise i przewodniczącego Światowego Kongresu Żydowskiego Nachuma Goldmana donoszono o straszliwych zbrodniach niemieckich, domagano się odwetu oraz przesłania kwoty 500 tys. dolarów na cele samoobrony oraz pomocy dla ukrywających się Żydów. Niestety apele te pozostały bez odpowiedzi: przywódcy syjonistyczni – w imię egoistycznych interesów klasowych międzynarodowej finansjery, której narzędziem, a wbrew głoszonym przez siebie hasłom solidarności Żydów ze wszystkich krajów świata – nie podjęli żadnej zdecydowanej akcji. Čwierć wieku później dr Goldman przyznał, że „nie uczyniono wszystkiego”, tłumacząc tę postawę brakiem wiarygodnych informacji o zbrodniach niemieckich.

Równoległe z apelami Żydów próbował kolejnych interwencji na Zachodzie także rząd emigracyjny. W grudniu 1942 r. dotarł do Londynu specjalny emisariusz z kraju – Jan Koziński – „Karski”. Nawet jednak relacje i apele bezpośredniego świadka (przed wyjazdem z Warszawy „Karskiego” specjalnie wprowadzono do getta, gdzie mógł naocznie zapoznać się z sytuacją i odbyć konferencje z przedstawicielami żydowskiego podziemia) nie odniosły skutku. W rozmowie z „Karskim”, gdy ten apelował o pomoc dla polskich Żydów, prezydent USA nagle zmienił temat i zapytał o hodowlę trzody chlewnej w Polsce. W tych warunkach całe brzemie obrony i ratunku resztek ludności getta warszawskiego spadło na te skąpe wobec potrzeb fundusze, jakie mógł na ten cel przeznaczyć i ekspediować do kraju rząd gen. Sikorskiego, na siły Polski Podziemnej i poddanej też przecież masowej eksterminacji społeczności polskiej, wreszcie

na nieliczną choć zdeterminowaną grupę bojowców ŻOB i ŻZW i współdziałających z nimi specjalnych komórek i oddziałów polskich organizacji zbrojnych.

Tymczasem, po przeszło 5 miesiącach przerwy w akcji masowej eksterminacji ludności warszawskiego getta, Niemcy postanowili wymordować również pozostałą jeszcze przy życiu resztę jego mieszkańców. 18 stycznia 1943 r. do getta weszły oddziały niemieckiej żandarmerii i SS, by dokonać tego krwawego dzieła bądź na miejscu, bądź przez wysyłkę do Treblinki. Spotkały się jednak z oporem. Zbrojne grupy ŻOB i ŻZW powitały Niemców strzałami do walki zaczęła się również spontanicznie włączać niezorganizowana ludność, uzbrojona w drągi i kamienie. W ciągu czterech dni udało się Niemcom wymordować i wywieźć tylko stosunkowo niewielką liczbę Żydów – w sumie mniej niż 10 tys. – przy własnych stratach w zabitych obliczanych na kilkudziesięciu żandarmów i esesowców oraz kilkudziesięciu policjantów żydowskich. Nierówna ta walka zakończyła się jednak sukcesem żydowskich bojowców – wobec zbrojnego oporu Niemcy zmuszeni zostali przerwać akcję i wycofać się.

Niespełna dwa miesiące później, w tzw. krwawą sobotę 18 marca, Niemcy znów wtargnęli do getta, lecz po jednodniowej walce z ŻOB i ŻZW znów zostali zmuszeni do rezygnacji z kontynuowania swej akcji. Do czasu: termin ostatecznej zagłady getta warszawskiego wyznaczony został na drugą połowę kwietnia. Tym razem Niemcy skoncentrowali poważniejsze siły, przeznaczając do przeprowadzenia tej operacji oddziały SS, żandarmerii i formacji pomocniczych w sile ok. 3 000 ludzi, którymi kierować mieli osobiście dowódca SS i policji w Warszawie Sammern oraz sprowadzony specjalnie generał SS Jurgen Stroop. W getcie również przygotowywano się do ostatecznej walki – liczba żołnierzy ŻOB i ŻZW, dozbrojonych znacznie przy pomocy polskich organizacji podziemnych, przekroczyła 1 000 osób; opracowano też plany współdziałania z oddziałami AK, OW-KB, GL.

19 IV 1943 r. o świcie dowodzone bezpośrednio przez Sammerna kolumny niemieckie weszły na teren getta. Powitał je ogień broni ręcznej i maszynowej z przygotowanych zazwyczaj stanowisk powstańczych, nad którymi wywieszone były sztandary biało-czerwone, czerwone i biało-niebieskie. Doszło do dwu zażartych bojów na rogu Nalewek i Gęsiej oraz Zamenhofa i Miłej. „Przy pierwszym wtargnięciu do getta udało się Żydom i polskim bandytom przez przygotowany napad z bronią w rękę odeprzeć nasze atakujące siły wraz z czołgami i wozami pancernymi” – raportował gen. Stroop. Powstańcom udało się zadać Niemcom poważne straty, zniszczyli m.in. jeden czołg.

Tak rozpoczęła się ostatnia walka getta, w której obok bojowców ŻOB i ŻZW walczyli żołnierze polskich organizacji podziemnych – czy to wewnątrz getta, czy też śpiesząc mu raz po raz z pomocą z zewnątrz. Z tych ostatnich akcji wspomnieć należy zwłaszcza o dokonanej przez żołnierzy AK próbie rozbicia muru przy ul. Bonifraterskiej i drugiej podobnej próbie przy ul. Pawiej (19 i 23 IV), o zaatakowaniu przez grupę specjalną GL niemieckiego cekaemu przy ul. Nowowiniarskiej i akcji innej grupy

GL na biorący udział w akcji przeciw gettu niemiecki samochód policyjny na ul. Freta (20 i 23 IV).

Niemożliwe było w ówczesnych warunkach porwanie całej Warszawy do walki w obro- nie getta, gdyż walka taka nie miała żadnych szans powodzenia – tak jak w przeszło rok później nie miało szans zwycięstwa, w jakże korzystniejszej sytuacji polityczno-militarnej, Powstanie Warszawskie. Mimo to zbrojnie i nie tylko zbrojnie Warszawa udzieliła mak- symalnej pomocy tej części swych mieszkańców, którzy znajdowali się w getcie. Ratunek mógł przyjść jednak tylko ze strony mocarstw sprzymierzonych. Rozpaczliwie domagają się go ostatnie depesze walczących, przesyłane na Zachód. „Natychmiastowej, skutecznej pomocy może teraz udzielić potęga aliantów – czytamy w jednej z nich, datowanej 28 IV 1943 r. – Imieniem milionów już pomordowanych Żydów, imieniem obecnie palonych i masakrowanych, imieniem heroicznie walczących i nas wszystkich na śmierć skazanych wołamy wobec całego świata: Niech się już teraz, a nie w mrokach przyszłości, dokona potężny odwet aliantów na krwiożerczym wrogu – w sposób powszechnie jako rewanż zrozumiały... Niech bohaterski, wyjątkowy w dziejach zryw straceńców getta pobudzi wreszcie świat do czynów na miarę wielkości chwili”.

Nie ustają również starania o pomoc ze strony polskiej. W liście do Georgi Dymi- trowa, przedstawiającym sytuację w okupowanej Polsce i zwłaszcza w Warszawie ów- czesny sekretarz KC PPR Paweł Finder wspomina o wezwaniach, by „tysiące alianckich samolotów przyleciało nad zamęczone polskie ziemie, paraliżując komunikację kolejow- ą i zmuszając Niemców do zajęcia się obroną, a nie zabijaniem bezbronnych ludzi”.

Z licznych flot powietrznych lotnictwa strategicznego aliantów zachodnich nie pojawił się nad Warszawą ani jeden samolot. Nie uległy nawet nasileniu naloty RAF i USAF na Niemcy.

Po niepowodzeniu pierwszego szturm 19 kwietnia Stroop odsunął Sammerna i sam objął dowództwo. Po ciężkich walkach, łamiąc opór bojowców żydowskich na Muranowskiej, Świętojskiej, Kurzej, Miłej, Lesznie, Nowolipiu, Smoczej i w innych miejscach, udało się Niemcom zająć mocne pozycje w getcie. Między 21 a 26 kwietniu trwa bój w całym płonącym getcie. W walce obok uzbrojonych żołnierzy ŻOB i ŻZW bierze udział ok. 5 000 nieuzbrojonych Żydów, ponadto z pozostałych jeszcze w getcie mieszkańców co najmniej 20 000 stawia bierny opór wywóźce. 27 kwietnia jest kulmi- nacyjnym dniem powstania. Dochodzi do wielkiej bitwy na pl. Muranowskim, gdzie przez cały dzień oddziały ŻZW, ŻOB i przybyły do getta oddział OW-KB kpt. Iwań- skiego bronią pozycji oznaczonych biało-niebieskimi i biało-czerwonymi sztandarami.

Bohaterski opór getta nie ma jednakże szans zwycięstwa. W ostatnich dniach kwietnia i pierwszych dniach maja Niemcy rozbijają główne zgrupowania powstań- ców, odpierają polskie ataki z zewnątrz, likwidują jeden po drugim bunkry obrońców. 8 maja na ul. Miłej 18 zostaje otoczony i następnie zniszczony bunkier dowództwa powstania; ginie tu jego przywódca Mordechaj Anielewicz.

Do 16 maja trwają jeszcze walki z ostatnimi bunkrami powstańców, a równocze-

śnie niemal nieprzerwanie przy polskiej pomocy przebijają się bądź wydostają poza getto coraz to nowe grupy powstańców i ludności. Getto już jednak dogorywa: „Epopėja... bohaterstwa – głosi ostatnia z przekazanych za pośrednictwem aparatu łączności Delegatury Rządu depesz przywódców żydowskiego podziemia – zbliża się ku końcowi... A świat wolności i sprawiedliwości milczy beczynny. Zdumiewające!”.

W drugiej połowie maja i w czerwcu w gruzach getta ukrywają się już tylko nieliczne uzbrojone grupy, stopniowo osaczane i mordowane przez Niemców. Ratują się tylko ci, którym udaje się prześliznąć przez kordon. Na tym kończą się tragiczne dzieje getta w Warszawie.

Około 280 tys. żydowskich obywateli Warszawy zginęło w getcie i w obozach; do tego doszły jeszcze straty wśród Żydów deportowanych wcześniej do getta warszawskiego. W ogólnej liczbie ok. 850 tys. osób, które w minionej wojnie straciła Warszawa, straty ludności żydowskiej stanowią jedną trzecią.

KRZYSZTOF KULICZ¹⁴², LESZEK MOCZULSKI

* * *

BUNKIER PRZY ULICY MIŁEJ¹⁴³

Na długo jeszcze przed wybuchem powstania w getcie, zapewne na przełomie 1940 i 1941 r., w podziemiach obskurnej czynszówki przy ul. Miłej 18, niedaleko

¹⁴² Kulicz to pseudonim Krzysztofa Naumienki, który w 1968 r. przejął od Moczulskiego prowadzenia cotygodniowego cyklu „Z otwartych szkatuł”. Fakt, że był on współautorem tekstu o warszawskim getcie (podobnie, jak i cyklu tekstów Z ostatnich lat II Rzeczypospolitej) może wskazywać, że „poprawiał” on tekst napisany pierwotnie przez Moczulskiego. To, dlaczego konieczne były te poprawki, możemy się dzisiaj tylko domyślać. Fragmenty dopisane przez Naumienkę są dość łatwe do zidentyfikowania i koncentrują się one zapewne na zaznaczeniu udziału GL i PPR w walce Żydów o godność w warszawskim Getcie. Należy jednak podkreślić, że tekst nie ma w żadnym razie charakteru antysemitckiego, chyba, że za akcenty antysemitckie uznamy wzmianki o kolaboracji niektórych Żydów z Niemcami na terenie getta, informację o podziałach społecznych wewnątrz środowiska żydowskiego w getcie, czy też mocno podkreślony fakt bierności środowisk żydowskich w USA w obliczu Holocaustu (a także sformułowane bardzo wyraźnie oskarżenie rządów państw zachodnich, w szczególności administracji USA, o bierną postawę w obliczu zagłady Żydów; podobne oskarżenia znajdziemy też np. w filmie Romana Polańskiego *Pianista*, czy też w relacji Hannah Arendt z procesu Eichmanna w Jerozolimie, *Eichmann w Jerozolimie – rzecz o banalności zła*, Warszawa 1987). Tekst natomiast bardzo silnie podkreśla polskie zaangażowanie w pomoc dla Żydów z getta i rolę struktur AK w tej pomocy. Jeżeli weźmiemy do ręki II wydanie, poszerzone, opracowania Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewinówny (*Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945*, Warszawa 1969) to informacje nt. polskiej pomocy Żydom podane we wcześniejszym tekście w „Stolicy” znajdują tam pełne potwierdzenie i rozwinięcie.

¹⁴³ „Stolica” z 1969 r., nr 17.

pl. Muranowskiego, przystąpiono w tajemnicy do budowy zakonspirowanego schronu. W nomenklaturze getta schrony takie nosiły nazwę „bunkrów”. Kryjówka przy Miłej 18 służyć miała dość specyficznym celom. Wybudowała ją grupa handlarzy i szmuklerzów, kierowana przez Sruła Isera i Mojżesza Kulasa. Bunkier na Miłej położony niezbyt daleko od muru otaczającego getto (biegł on od Stawek ul. Niską, okrążał pl. Muranowski i dochodził do Bonifraterskiej), a także od ramp i magazynów kolejowych przy dworcu Gdańskim, był dogodnym miejscem dla składowania przerzucanych do dzielnicy towarów. Szmuklerzy z czasem rozbudowali go bardzo, m.in. do schronu prowadziło pięć ukrytych wejść. Powierzchnia bunkra była duża, zapewniono też dopływ świeżego powietrza. Sruł Iser i Mojżesz Kulas, znani doskonale w getcie, bywalcy najdroższych restauracji i popularne postacie półświatka – potrafili przez długi czas utrzymać istnienie bunkra w tajemnicy. Nie przed wszystkimi jednak.

Jeszcze przed wybuchem powstania w getcie o położeniu schronu i wejściach do niego dowiedzieli się tragarze żydowscy, zapewne przenosili tam oni towary. Środowisko tragarzy uczyło się w zamkniętej społeczności żydowskiej. W okresie międzywojennym z tej grupy wywodziło się wielu działaczy i sympatyków KPP. Podczas okupacji, na przełomie 1942 i 1943 r., dwaj byli członkowie KPP, tragarze Dawid Malowańczyk i Mojżesz Czompel zorganizowali z tragarzy grupę bojową ŻOB. Część jej walczyła z Niemcami już w styczniu 1943 r. podczas pierwszej próby niemieckiej likwidacji getta. Gdy wybuchło powstanie kwietniowe, grupa tragarzy dowodzona przez Malowańczyka walczyła na pl. Muranowskim.

Walki w tym rejonie rozpoczęły się już pierwszego dnia powstania, 19 kwietnia 1943 r. Niemcy przypisywali duże znaczenie zdobyciu pl. Muranowskiego, zaś bojowcy ŻOB i ŻZW czynili wszystko, aby plac utrzymać w swym ręku. 20 kwietnia, gdy walki w tym rejonie rozpały się z całą mocą, powstańcy bronili się w budynkach, na których wywieszono flagi. W kamienicy na rogu Muranowskiej i Nalewek bojowcy wywiesili sztandary polski – biało-czerwony oraz żydowski – biało-niebieski. Na Miłej natomiast umieszczono na dachu jednego z domów sztandar czerwony. We wtorek, 20 kwietnia po południu, Niemcom udało się od strony pl. Muranowskiego wdrzeć na Miłą. Wokół domu z czerwoną flagą wywiązał się krwawy bój, ostatecznie Niemcy zdobyli tę kamienicę. Najbardziej dramatyczne sceny rozgrywały się przy domu Miła 5. Niemcy otoczyli w nim grupę powstańców i cywilnej ludności, po czym podpalili kamienicę. Mimo ognia i pocisków wroga powstańcy przebili się i – prowadząc z sobą grupę cywilów – przedostali w głąb ulicy Miłej.

W tym właśnie czasie grupa tragarzy dowodzona przez Malowańczyka i Czompla zajęła bunkier przy ul. Miłej. Był on bardzo obszerny i znakomicie zamaskowany. Tragarze nawiązali kontakt z kierownictwem PPR w getcie, donosząc o posiadaniu doskonałego schronu. Wkrótce potem kierownictwo PPR w getcie z Edwardem (Efraimem) Fondamińskim przeniosło się na Miłą 18. W dawnym bunkrze szmuklerów rozpoczęła pracę ekipa PPR.

Dowództwo ŻOB wraz z komendantem mjr. Mordechajem Anielewiczem w pierwszych dniach powstania w getcie zainstalowało się również na Miłej, w domu nr 29. Tutaj jeszcze 18 kwietnia Anielewicz wydał dowódcom oddziałów ostatnie dyspozycje co do rozpoczynającej się walki.

W ciągu pierwszych dni powstania walki ogarnęły całą ulicę Miłą, a prawie wszystkie przygotowane wcześniej na niej schrony ŻOB zostały zagrożone. Kolejno trzeba było przystępować do ich ewakuacji. 24 kwietnia bojowcy i znajdujące się pod ich ochroną grupy ludności cywilnej opuściły budynek przy ul. Miłej 29. Pod osłoną grup bojowych Arona Bryskina i Lutka Rotblata, wszyscy przenieśli się do schronu przy ul. Miłej 9. Trzy dni później do sąsiedniego budynku przy ul. Miłej 7 ewakuowano pod osłoną grup bojowych Lewi Gruzalca i Dawida Hochberga licznych cywilów chroniących się w kamienicy Miła 37.

Oba budynki: Miła 7 i 9, nie były jednak miejscami bezpiecznymi. Tuż obok trwał ciężki bój. Kulminacyjnym jego momentem jest bitwa na pl. Muranowskim z 27 kwietnia. Obok bojowców ŻZW brał w niej udział również polski oddział, przybyły do getta z zewnątrz, dowodzony przez kpt. Iwańskiego – „Bystrego”. Po kilkugodzinnej walce obrońcy zostali wyparci ostatecznie z placu, zaś Niemcy zajęli m.in. wylot ul. Miłej.

Zapewne tego samego dnia komendant powstania w getcie mjr Mordechaj Anielewicz przyjął propozycję złożoną mu przez Efraima Fondamińskiego, aby sztab ŻOB przenieść do bunkra na ul. Miłą 18. Tak też i stało się. Wraz z dowódcami powstania, do schronu przeniosła się liczna grupa cywilnej ludności. W ciągu następnych dni do schronu przy ul. Miłej 18 przybywali dowódcy niektórych rozbitych już oddziałów, wyparci z pozycji bojowcy i cywile. W sumie w bunkrze znalazło się około 300 osób, z czego 80 dowódców i żołnierzy powstania. Obszerne pomieszczenia schronu podzielono na części, z których każda otrzymała nazwę upamiętniającą jedno z miejsc martyrologii Żydów. Była więc „Treblinka”, „Poniatów”, „Piaski”, „Trawniki”, a nawet „Getto”.

Wśród ukrywających się w bunkrze znajdowali się czołowi przywódcy organizacji PPR, Haszomer, Hacair, Bundu oraz dowódcy ŻOB. Obok Mordechaja Anielewicza, komendanta ŻOB i wybitnego działacza Haszomer Hacair, w schronie przebywała jego żona Mira Fuchrer i najbliżsi towarzysze walki: Tosia Altman, Rywka Pasmanik, Jehuda Węgrower, Jurek Wilner, członek sztabu ŻOB Michał Rojzenfeld, dowódcy oddziałów i grup bojowych Ber Braudo, Lewi Gruzalc, Lutek Rotblat wraz z matką Marią Rotblat. Ponadto w bunkrze zainstalowali się Tosia i Franka Bermanówny, Sara Żagiel oraz Chaim Ankierman, Szyja Szpanser, Necha Cukier, Perelman, Halzband, Chaim Frymer, Cywia Lubetkin i wielu innych.

Bunkier na Miłej 18 stał się centralą powstania. Stąd wyruszali i tutaj przybywali łącznicy do oddziałów walczących oraz na stronę „aryjską” w celu uzgodnienia wspólnych akcji polskich i żydowskich. W miarę upływu dni łączników było coraz

mniej, powstańcze punkty oporu padały jeden za drugim i niemal nie było już czym dowodzić. Mimo tragicznych wieści z zewnątrz, duch w bunkrze nie załamał się. Całymi dniami dyskutowano na tematy polityczne, śpiewano pieśni. Liczni członkowie PPR intonowali pieśni rewolucyjne, obok nich bojowcy śpiewali dramatyczną pieśń „Es brent” („Gore”), stanowiącą niepisany hymn walczącego i ginącego getta.

Znajdujący się w schronie sztab ŻOB postanowił dokonać w dniu 1 maja wypadu na pobliskie pozycje niemieckie. Zadanie to powierzono grupie bojowej dowodzonej przez Mordechaja Growasa. Przed południem powstańcy skrycie wydostali się z bunkra i przez ruiny i zgłiszcza dotarli do budynku przy ul. Nalewki 43. Znajdowała się tutaj placówka niemiecka. Oddział ŻOB zaatakował ją przez zaskoczenie; trzech Niemców poległo, inni uciekli w popłochu. Strzały zaalarmowały jednak wroga, który ruszył do kontrataku na kamienicę. Przez pewien czas bojowcy stawiali opór, przy czym wyróżnił się szczególnie kpr. WP Izaak Sukiennik, znany pod pseudonimem „Kozą”. Wobec przewagi wroga oddział ostatecznie wycofał się i przedostał bez strat do schronu na ul. Miłej 18.

Niestety, losy przebywającego tam kierownictwa ŻOB były już przesądzone. Wśród ukrywających się na Miłej 18 ludzi, znalazł się jakiś zdrajca, który przeszedł do Niemców i powiadomił ich o miejscu schronu oraz podał dane pozwalające odnaleźć wszystkie pięć wejść do środka. 7 maja 1943 r. Stroop raportował, że znając miejsce ukrycia dowództwa ŻOB, zamierza następnego dnia zdobyć centralny bunkier.

Na Miłej 18 nie wiadomo o tym, że schron jest już znany Niemcom. Jeszcze 7 maja mjr Mordechaj Anielewicz wysłał z bunkra grupę zwiadowczą z zadaniem nawiązania zerwanego kontaktu ze stroną „aryjską”. Niestety zespół bojowców natknął się na oddział SS i w walce z nimi został rozbity; poległ wówczas m.in. kapr. Izaak Sukiennik i łączniczka Lilka Zimak.

8 maja silny oddział niemiecki otoczył ruiny domu Miła 18 i sąsiednich kamienic. Niemcy bezbłędnie odszukali wszystkie pięć wejść do bunkra i wezwali znajdujących się tam ludzi do wyjścia na ulicę. Sytuacja była beznadziejna, znajdujący się w schronie cywile prawie w całości wyszli i oddali się w ręce wroga. W bunkrze pozostali gotowi na wszystko bojowcy. Gdy Niemcy chcieli dostać się do środka, powstańcy powitali ich strzałami. Wróg cofnął się, lecz nie na długo. Przygotowanymi uprzednio granatami gazowymi Niemcy obrzucili wnętrze bunkra, a następnie przez wszystkie pięć otworów prowadzących na zewnątrz poczęli wpuszczać do schronu gaz. Znajdujący się wewnątrz bojowcy nie mieli czym oddychać, poczęli się dusić. Dalsza obrona była niemożliwa. Zapadła zgodna decyzja: nie damy wrogowi wziąć się żywcem, wszyscy popełnią samobójstwo. Jako pierwszy Lutek Rotblat po podaniu trucizny matce zastrzelił się. W jego ślady poszli inni. Nie wszyscy jednak, niektórzy bowiem stracili od gazu przytomność.

Bunkier padł. Na miejsce walki i zagłady dowództwa ŻOB przybył osobiście dowódca SS i policji dystryktu warszawskiego, gen Jürgen Stroop. Uważnie obejrzał wy-

pełniające schron zwłoki. „Ludzie, których chętnie przesłuchałbym – stwierdził później – byli martwi”.

W tym samym czasie, gdy dokonywała się tragedia dowództwa powstania w bunkrze przy ul. Miłej 18 – do getta wyruszyła właśnie ekspedycja ratownicza, zorganizowana przez Gwardię Ludową: zadaniem jej było m.in. dotarcie do schronu przy ul. Miłej 18 i wyprowadzenie poza getto przywódców ŻOB. Z ramienia Sztabu Głównego GL akcją tą kierował Józef Małecki – „Sęk”. Bezpośrednio grupą wypadową dowodził Władysław Gaik – „Krzaczek”. Droga do getta wiodła kanałami. Prowadzili przez nie przewodnicy Wacław Śledziwski i Czesław Wojciechowski oraz członek ŻOB Symcha Ratajzer „Kazik”.

Niestety, ekspedycja ratunkowa przyszła za późno. Ratajzer, który pierwszy wyszedł z wjazdu kanałów i podczołgał się pod bunkier, stwierdził, że w schronie znajdują się – jak się zdawało – same zwłoki.

Ekspedycji ratowniczej GL udało się natomiast za pośrednictwem łączników Cywii Lubetkin (początkowo przebywała ona na Miłej 18, lecz w chwili otoczenia bunkra była poza nim) i Izraela Kanała nawiązać kontakt z inną grupą bojowców, chroniącą się w wybudowanym poprzednio przez śmieciarzy bunkrze przy ul. Franciszkańskiej 22. Grupa ta wiedziała już o tragedii na Miłej 18 i pragnęła wydostać się poza getto.

Przed odejściem oddziału GL i bojowców ŻOB, raz jeszcze sprawdzono, czy w schronie przy Miłej 18 ktoś czasem nie ocalał. Poszukiwania te uwieńczone zostały powodzeniem. Okazało się, że wśród zwłok znajduje się czworo nieprzytomnych, lecz żywych jeszcze ludzi. Byli to Tosia Altman, Michał Rojzenfeld, Jehuda Węgrower i Menecham Bejgelman. Udzielono im pierwszej pomocy i wniesiono do kanałów.

Przemarsz wśród podziemnych ścieków trwał trzydzieści godzin. Ludzie padali z nóg, wlekli się ostatkiem siły. Wreszcie straszliwa droga skończyła się. 10 maja o godz. 10-tej rano bojowcy wydostali się przez wjazd przy ul. Prostej. Setki osób obserwowało z podziwem żołnierzy GL, wyprowadzających z kanałów obrońców getta. Czekał już na nich samochód, kierowany przez Stanisława Tarnowskiego. Bojowcy ŻOB zostali wywiezieni nim do Łomianek, a następnie skierowani do leśnych oddziałów partyzanckich.

Na ul. Miłej 18 pozostał zrujnowany dom i schron wypełniony zwłokami. Później Niemcy zniwelowali ten teren całkowicie.

L. M.

* * *

INŻ. CZERNIAKÓW I MJR ANIELEWICZ¹⁴⁴

Często stawia się ich po przeciwnej stronie barykady. Czy jest to jednak w pełni uzasadnione? Adama Czerniakowa, prezesa Gminy Żydowskiej w Warszawie od

¹⁴⁴ „Stolica” z 1973, nr 14.

23 września 1939 r., zmarłego w wieku 62 lat, oraz Mordechaja Anielewicza, majora polskich sił zbrojnych i komendanta Żydowskiej Organizacji Bojowej zmarłego w wieku 24 lat – dzielił rzeczywiście krańcowo odmienny program działania. Obaj polegli na posterunku, choć całkiem innym; Adam Czerniaków popełnił samobójstwo 23 lipca 1942 r. w swym gabinecie na pierwszym piętrze gmachu Gminy Żydowskiej w Warszawie przy ul. Grzybowkiej 26, Mordechaj Anielewicz zginął 8 maja 1943 r. po wyczerpaniu ostatnich możliwości walki w podziemnym bunkrze przy ul. Miłej 18.

Program Czerniakowa załamał się 22 lipca 1942 r., gdy Niemcy przystąpili do masowej likwidacji getta w Warszawie, tysiące Żydów dziennie kierując do komór gazowych Treblinki. Program Anielewicza zwyciężył 19 kwietnia 1943 r., gdy spowite dymem pożarów getto powstało do walki; w każdym razie zwyciężył moralnie oraz w dalszych konsekwencjach, gdyż zagłada warszawskich Żydów przez Niemców i tak została dokonana.

Kwiecień 1943 r. był jednym z najbardziej tragicznych i najbardziej mrocznych miesięcy okupacji; także jednym z najbardziej pouczających, odsłaniających zamiary naszych wrogów. Nie tylko dym płonącego getta unosił się ponad miastem. Zza ściany ognia i walących się murów dobiegały strzały. Była to jakby wielka lekcja pogładowa. Tego kwietnia tysiące rodzin w całej Polsce opłakiwały swych bliskich. Ostatecznie chyba wtedy Polacy i Żydzi zrozumieli, że bierność nie ratuje przed zagładą. Zaś zagłada, masowe mordy i egzekucje – to jeszcze zbyt mało, aby poruszyć sumienie świata. Z goryczą pisze w swym notatniku Ludwik Landau, że jeszcze w dwa tygodnie po wybuchu powstania w warszawskim getcie – radio brytyjskie nie skwitowało tego faktu nawet jednym słowem. Gdy protestując przeciw bezczynności mocarstw członek polskiej emigracyjnej Rady Narodowej Samuel Zygelbojm popełnił samobójstwo – krok ten próbowano interpretować przyczynami osobistymi, śmiercią żony i dzieci, wstydliwie dodając, że zginęły one gdzieś tam w jakimś getcie.

Kwietniowe powstanie nie miało szansy bezpośredniego sukcesu. Było dowodem krańcowej determinacji ludzi już skazanych na śmierć. Czy jednak tylko? Program, który symbolizuje postać Mordechaja Anielewicza, lecz który przecież głosiło i realizowało tak wielu jego współbojowników – miał również cele pozytywne, wypływał nie tylko z rozpacz, nie tylko chęci, aby jeśli ginąć – to w walce. Dostrzegał ten program dalsze i głębsze konsekwencje, płynące z podjęcia nierównego boju, opierał się też na doświadczeniach historycznych oraz konkretnej tradycji. Nawiązywano zresztą do niej bezpośrednio, czy to wynosząc ponad dachy domów białe-czerwone chorągwie, czy też głosząc stare hasło: „Za wolność Waszą i naszą”. W tym kraju, wiemy to dobrze, zalano krwią nie jedno powstanie, lecz każde z nich osiągnęło jakieś cele pozytywne, odniosło zwycięstwo zza grobu, choćby przez to, że stanowiło kolejne przeszło mostu nad przepaścią.

Takim przesłem było również powstanie w getcie. Mimo klęski, przyniosło ono wiele skutków pozytywnych bliższej i dalszej przyszłości, zarówno dla Żydów, jak Po-

laków. Ograniczamy się tylko do najbliższego. Powstanie kwietniowe stanowiło bardzo ważny i twórczy etap w rozwoju moralnym społeczeństwa polskiego. W latach minionej wojny, wpłynęło pobudzająco na rozwój ruchu oporu i dynamizowanie bezpośredniej walki. Jego wpływ na cały okupowany kraj był ogromny. Choćby tylko dlatego, że stanowiło w długiej wojnie światowej pierwsze masowe wystąpienie zbrojnego ruchu oporu w wielkim mieście.

Dziewięć miesięcy przed wybuchem powstania w getcie zginął Adam Czerniaków. Były to bardzo ważne miesiące dające tak wiele zrozumienia, a wykluczenie ich z rachunku nie pozwala spojrzeć obiektywnie na prawdę tamtego czasu. Czerniaków – i nie tylko Czerniaków – realizowali inny program. Wiemy, że był to program błędny; wszyscy wiemy to dzisiaj, a Adam Czerniaków wiedział o tym 23 lipca 1942 r. Zgodzić się jednak można, że do pewnego czasu program ten – przetrwać choćby za cenę największych poniżeń, kosztem bierności i ofiar uratować resztę – mógł niektórym wydawać się jakoś uzasadniony. Kłam zadała mu dopiero historia.

Zupełnie świeżo, dzięki wysiłkom Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, udostępniony został w języku oryginału, a więc po polsku – Dziennik Adama Czerniakowa. Poprzednio wydany on był (w 1968 r. w Jerozolimie) tylko w tłumaczeniu na hebrajski. Wstrząsająca to lektura, te codzienne zapiski człowieka, spełniającego najtrudniejszy z możliwych obowiązków. Powołany podczas oblężenia Warszawy we Wrześniu przez prezydenta Starzyńskiego na prezesa Gminy Żydowskiej, pozostał inż. Czerniaków na swoim stanowisku aż do śmierci. Postawiony w nieznośnie dwuznacznej moralnie sytuacji, zmuszany raz po raz do kompromisów z własną godnością, przekonaniami a nawet sumieniem – trwał Czerniaków na swym posterunku tak długo, jak długo istniał jeszcze w jego mniemaniu cień nadziei. Początkowo w głowie tego inteligentnego i kulturalnego człowieka, wybitnego ekonomisty o duszy poety – mieścić się nie mogło, że w połowie XX stulecia możliwa jest w ogóle eksterminacja całych narodów. Później prawda ta docierała do niego coraz silniej – ale jakby nie chciał przyjąć jej do wiadomości, ciągle mamił się nadzieją. Czynił co mógł i jak potrafił, aby choć ulżyć doli zamkniętym wraz z nim w getcie ludziom; wykształcił w sobie ogromne poczucie odpowiedzialności za los tych, których jeszcze w wolnej, broniącej się Warszawie powierzył mu nie tylko Starzyński przecież, lecz Rzeczpospolita. Traktował to jako posłannictwo; trudne i bolesne, lecz konieczne.

Pod datą 26 czerwca 1942 r. znajduje się w Dzienniku Czerniakowa zapis o wizycie w samopomocy słuchaczy Pedagogium. „Przemawiałem – zapisał krótko. – W replice (drowi Szyperowi) wspominałem o jeleniu”. W podtekście tych słów – Czerniaków musiał pisać powściągliwie. Niemcy zabrali już jeden z zeszytów jego Dziennika, mogli przejść wszystkie – jest treść żywa i gorąca. Chodzi o przywódców różnych ugrupowań żydowskich, którzy w początkowym okresie wojny opuścili kraj, a więc zdaniem Czerniakowa byli dezterami, gdyż osobiste bezpieczeństwo cenili bardziej od obowiązków wobec tych, którym przewodzili. Wiemy oczywiście, że przez Czerniakowa

przemawiała gorycz, a potępienie tych, którzy wyjechali, aby kontynuować walkę poza Polską, jest krzywdzące. Ten ustęp tłumaczy jednak dobrze, jak Czerniaków pojmował swoje zadania i swoją misję.

Zadumać by się można, czy gdyby nie różne, często przypadkowe okoliczności, Adam Czerniaków nie stałby się rzecznikiem wręcz przeciwnego programu od tego, jaki ostatecznie realizował. Funkcja, którą pełnił określiła bowiem jego możliwości, podobnie jak wąski wycinek w którym mógł działać. Pamiętamy jednak dobrze, że kiedy indziej Adam Czerniaków czynnie, opowiedział się za odmiennym programem; w roku 1909 został nawet aresztowany przez władze carskie za udział w polskim ruchu niepodległościowym. Trudno pominąć też charakterystyczne szczegóły. Prof. Hirsfeld opisuje w swych wspomnieniach ostatnie posiedzenie Rady Gminy Żydowskiej; bardzo zwięźle wydarzenie to odnotowuje 28 czerwca 1942 roku i Czerniaków w swym Dzienniku. Na sali obrad znajdowali się Niemcy, „poszczególni referenci zdawali sprawę z prac dzielnic...”. Mówiono, że 80 tysięcy ludzi pracuje i że być może ich praca opłaci prawo do życia. Prezes wygłosił przemówienie, odczytując ustępy swego Pamiętnika. Były wstrząsające przez swoją lakoniczność: „tego a tego dnia rozstrzelano tylu a tylu...” W rzeczywistości są bardziej wstrząsające. Czerniaków nie pisze o „rozstrzelanych” lecz najczęściej o „zmarłych”. „Wczoraj w nocy – zapisał 9 czerwca 1942 roku – zmarło kilkanaście osób”. Wszystkich zamordowali Niemcy. „Wczoraj po obiedzie – to zapis z 10 czerwca – zastrzelono kilka osób... Poruszyłem w gestapo sprawę Frankensteina (tak nazywano jednego ze szczególnie okrutnych żandarmów niemieckich), który codziennie strzela do ludzi...”

Podczas przerwy w obradach tego ostatniego posiedzenia Rady – relacjonuje prof. Hirsfeld – „była to niezapomniana chwila, rozległa się muzyka fortepianowa, wiązanka preludium Chopina przeplatana akordami «Jeszcze Polska nie zginęła»... Na tym ostatnim posiedzeniu Gminy grano, «Jeszcze Polska nie zginęła». Za tę pieśń i artysta, i prezes, i większość obecnych mogła iść do obozu koncentracyjnego. Ale mogę zapewnić, że u nikogo z obecnych nie wyczytałem w oczach obawy – przeciwnie pieśń ta była wyrazem nadziei i wdzięczności”. Tenże profesor Hirsfeld przypomina, co zresztą potwierdzają zachowane fotografie, że wśród licznych obrazów znajdujących się na ścianach gabinetu Czerniakowa widniał również „symbol ówczesnej państwowości polskiej”.

Program Czerniakowa – przy całej swej błędności – był jasny: społeczność musi przeżyć, za największą nawet cenę, kosztem ofiar i poniżenia. Wyżej wskazane fakty stanowią rysę na tej jasnej i prostej koncepcji. Czyżby jednak ów Chopin i Mazurek Dąbrowskiego, owe symbole polskiej państwowości – były tylko gestami? Nie sądzę; chyba odśpiewały one jakąś prawdę głębszą.

Czerniaków przegrał, bo musiał przegrać. Niemieckim celem od początku była eksterminacja; nadzieja, że padaniem na kolana uda się coś ocalić nie miała podstaw. 22 lipca 1942 roku rozpoczęła się masowa wywózka z getta, już nazajutrz wiadome było,

że jest to droga do męczeńskiej śmierci w komorach gazowych. 23 lipca ok. godziny dwudziestej Czerniaków napisał dwa krótkie listy, a potem zażył truciznę. Ginąc na swym straconym od samego początku posterunku, taki oto zostawił testament.

List do żony: „Żądają ode mnie, abym własnymi rękami zabijał dzieci mego narodu. Dłużej nie mogę tego znieść. Nie pozostaje mi nic innego jak umrzeć”.

List do współpracowników: „Jestem bezsilny. Boleść i litość przepełniają moje serce. Dłużej nie mogę tego znieść. Mój czyn wskaże każdemu, co należy robić”.

Kwiecień roku 1943, podobnie jak lipiec 1942 – były kolejnymi dowodami, że każdy program, każda koncepcja najpełniej poddana zostaje egzaminowi słuszności dopiero w krańcowych sytuacjach. One pozwalają wyciągnąć właściwe wnioski.

Może dlatego właśnie w walce warszawskiego getta widzę tak twórczy element z naszej najnowszej historii.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

WŁADYSŁAW SIKORSKI I STEFAN ROWECKI. W 25 ROCZNICĘ PODWÓJNEJ TRAGEDII¹⁴⁵

Ćwierć wieku temu, 30 czerwca 1943 r. w domu przy u. Spiskiej 14 został aresztowany przez gestapo Komendant Główny Armii Krajowej – gen. „Grot” Stefan Rowecki. Cztery dni później, 4 lipca, w tajemniczej katastrofie lotniczej w Gibraltarze zginął szef polskiego rządu emigracyjnego i Naczelnny Wódz – gen. Władysław Sikorski. Wśród licznych ciężkich doświadczeń tej ponurej wiosny i lata 1943 r. ten zbieg wydarzeń, eliminujący z walki jej dwie tak ważne postacie, nabierał szczególnej wymowy.

Trudno na szczupłych łamach tygodnika ilustrowanego podjąć głębszą próbę charakterystyki i oceny tych dwóch ludzi, których rola dla pierwszego okresu minionej wojny była tak bardzo istotna. Czas chyba najwyższy, aby Sikorski i Rowecki doczekali się obszernych, poważnych i rzetelnych monografii¹⁴⁶. Uwikłani w skomplikowane uwarunkowania czasu i miejsca działania, ograniczeni i związani klasowymi więziami i celami, decydujący o tak wielu podstawowych sprawach, Sikorski i Rowecki zasługują na pełne przedstawienie ich czynów i należyta, choć nieprosta zgoła ocena.

Dzisiaj, gdy mija dwudziesta piąta rocznica aresztowania generała Grota i zgonu generała Sikorskiego, przypominamy ich sylwetki ze wzruszeniem i podziwem. Bez zgłębiania się w cały gąszcz tak skomplikowanej ówczesnej sytuacji, tak skomplikowo-

¹⁴⁵ „Stolica” z 1968 r., nr 28.

¹⁴⁶ Monografia nt. Stefana Roweckiego nie została napisana do dziś. Jej surogatem jest jedynie zbiór tekstów wielu autorów (pod red. Tomasza Szaroty) *Stefan Rowecki w relacjach*, Warszawa 1988, ze znakomitym tekstem Ludwika Muzyczki nt. „Grot”.

wanej i w kraju, i poza jego granicami – wybić i wyróżnić należy ich patriotyzm. Sikorski i Rowecki działali dla zwycięstwa, obaj polegli w połowie drogi. W tej śmierci w Gibraltarze, tym aresztowaniu na Spiskiej i opóźnionej o 14 miesięcy śmierci w katorżni Sachsenhausen, kryje się olbrzymia tragedia – nie tylko ich dwóch, poległych tak daleko od świtu.

L. M.

* * *

BOJE NA ULICACH MIASTA¹⁴⁷

Coraz głośniejsze i częściej słychać było wystrzały na ulicach miasta. Strzelali Niemcy, ale strzelali i Polacy. „Wulkan, na którym życie nasze się teraz odgrywa – zapisał w swym dzienniku u progu lata 1943 Ludwik Landau – nie przestaje działać”. A zaraz potem, w jednym zdaniu, jednym tchem kronikarz wylicza: „wczorajsza strzelanina na Miodowej... jakieś akcje na Saskiej Kępie, na Rondzie, potem w parku Skaryszewskim... znów obstawiona Ogrodowa... komunikaty Kierownictwa Walki Konspiracyjnej wymieniały szereg działań z różnych punktów... w gazecie nekrolog wyższego urzędnika urzędu pracy Geista, obok – jakiegoś kolejarza z Dworca Wileńskiego...”.

Latem 1943 roku walka podziemna w Warszawie znalazła się w nowym stadium. Nie brakowało wcześniej akcji zbrojnych w stolicy, lecz aż do 1943 roku miały one inny charakter: obronny – wobec akcji policji niemieckiej, ochronny – osłaniający własne działania dywersyjne bądź inne, których celem nie było stoczenie bezpośredniego boju. Teraz – początkiem stał się marcowy bój pod Arsenalem – coraz częściej dochodziło do otwartych starć. Zespoły uderzeniowe AK, GL i innych mniejszych organizacji stawały do otwartej walki, tocząc bój z wrogiem na ulicach Warszawy.

Do niektórych z tych bojów dochodziło jeszcze przypadkowo. Taki charakter miało starcie zbrojne 14 maja na Krakowskim Przedmieściu w wyniku nieudanej akcji ekspropriacyjnej Specgrupy Sztabu Głównego GL w banku Społem. W walce zginęło wówczas kilku gwardzistów, a wśród nich dowódca Specgrupy Franciszek Bartoszek – „Jacek”. Była to ostatnia z większych akcji Specgrupy, której większa część ludzi zginęła w nieprzerwanej walce. Na jej miejsce powstawała już jednak Specgrupa Okręgu Warszawa Miasto GL oraz grupy bojowe ZWM, z których z czasem wykształcił się batalion Czwartaków.

W ciągu lata przekształcały się też oddziały dyspozycyjne Kierownictwa Dywersji – Kedywu AK. Szczególną ich część stanowiły grupy harcerskie, które do sierpnia 1943 r. zorganizowane były w jednolitą formację Grupy Szturmowe Wisła, zgodnie z harcerskim obyczajem podzieloną na hufce, drużyny i zastępy. Dowódca Gieesów

¹⁴⁷ „Stolica” z 1973 r., nr 28.

Tadeusz Zawadzki „Zośka” poległ w sierpniu w potyczce pod Sieczychami. Wkrótce potem Grupy Szturmowe zostały zreorganizowane: stworzono z nich batalion Wielkiej Dywersji „Zośka” oraz samodzielną kompanię do zadań specjalnych – walki z gestapo, początkowo o kryptonimach „Agat” i „Pegaz” (anty-gestapo, przeciw-gestapo), z której później wyrósł batalion „Parasol”.

Zmiany organizacyjne, formowanie i rozbudowa oddziałów dyspozycyjnych odbywały się równolegle z rozwijaniem koncepcji walki zbrojnej przez kierownicze ośrodki podziemia. Pod kierunkiem Franciszka Jóźwiaka „Witolda”, szefa sztabu głównego GL od jesieni 1942 r. sprecyzowano koncepcję nieprzerwanego poszerzania i rozwijania walki zbrojnej. Gwardia Ludowa, mająca nadal charakter raczej kadrowy, zamierzała systematycznie wzmagać walkę bezpośrednią, równocześnie rosnąc w siłę liczebną, tak aby przejść do powstania wówczas, gdy będzie już dysponować odpowiednią mocą¹⁴⁸.

Letnia ofensywa, której strzały prawie codziennie słychać było na warszawskich ulicach, zmierzała do osiągnięcia poważnych celów bezpośrednich. Od wielu już miesięcy trwały systematycznie niemieckie egzekucje na więźniach Pawiaka, dokonywane w ruinach getta, w lasach chojnowskich, kabackich, w Bukowcu. Terror niemiecki wzmagał się systematycznie i wyraźny już stał się jego zasadniczy cel: zagłada biologiczna narodu polskiego; obok tego Niemcy realizowali cel doraźny: zduszenie, zalenie krwią oporu, co w nowych warunkach, gdy po klęskach pod Stalingradem (luty) i Kurskiem (lipiec) oraz po wylądowaniu aliantów we Włoszech (lipiec) Wehrmacht na wszystkich frontach przeszedł do obrony – stało się pierwszoplanowym zadaniem strategicznym, niezbędnym do stworzenia rzeczywistej tak zwanej Festung Europa.

W obliczu tego strasznego terroru konieczne było przeciwdziałanie. Między innymi po to, aby nie dopuścić do moralnego załamania się społeczeństwa.

Przeciwko zbrodniom niemieckim postanowiono wystąpić zbrojnie. Jeszcze w czerwcu 1943 r. młodzi chłopcy z Małej Dywersji pokryli miasto napisami, rozrzucili 40 tysięcy ulotek z jedną tylko zapowiedzią: „Pawiak pomścimy”. Po tym ostrzeżeniu przyszły czyny. Sypnęły się uderzenia i akcje bojowe.

Czynny udział wzięła w nich warszawska GL. W lipcu dokonała ona głośnych uderzeń odwetowych. 11 lipca grupa bojowa ZWM, dowodzona przez Lecha Kobylńskiego „Konrada”, zaatakowała ponownie niemiecki lokal Cafe Club, u zbiegu Alej i Nowego Światu. Parę dni później, 15 lipca, w rocznicę bitwy grunwaldzkiej, o tej samej 13.00 godzinie, Specgrupa okręgu warszawskiego GL przeprowadziła dwie udane akcje. Pierwszą z nich był zakończony powodzeniem napad na przeznaczony dla Niemców wagon linii „O”, na pl. Żelaznej Bramy. W tym samym czasie inny zespół kierowany osobiście przez dowódcę Specgrupy Henryka Sternhela „Gustawa” zaatakował maszerującą Alejami Ujazdowskimi kolumnę Sturm Abteilungen. Bój rozegrał się

¹⁴⁸ Mamy tu dyskretnie podkreślenie słabości formacji wojskowych GL. Bardziej wyraźnie nie można było tego napisać, gdyż byłoby to niecenzuralne.

w pobliżu rogu ul. Wilczej. Niemcy zostali obrzuceni granatami, doszło do gwałtownej strzelaniny, wedle relacji uczestników około 30 wrogów poległo; po stronie polskiej śmiertelnie ranny został Leon Rycharski – „Leon”. Był to pierwszy bój uliczny na taką skalę, stoczony w dzień, na jednej z głównych ulic miasta.

Wkrótce potem doszło do walki szczególnie głośnej. 12 sierpnia na ul. Senatorskiej tuż przy pl. Zamkowym został zaatakowany transport, zdobyto 109 milionów zł (akcja Góral). Uderzenie wykonały improwizowane zespoły z różnych oddziałów Kedywu, pod dowództwem Jerzego Kleczkowskiego – „Jurek” z oddziału „Osa-Kosa”.

Obok najbardziej głośnych akcji odbywały się i drobniejsze, przykładowo wskazyemy na zdobycie i zniszczenie przez grupy AK magazynów przy ul. Żelaznej i Gniewkowskiej, na udaną akcję kolejową Gwardii Ludowej na Powązkach, wreszcie rozbrojenie grupy żandarmów przez Oddział Szturmowy Związku Syndykalistów. Gorące lato 1943 r. rozpałało się coraz bardziej.

L. M-ski.

* * *

STRZAŁY NA MARSZAŁKOWSKIEJ¹⁴⁹

Młody chłopak o pyzatej, z wyrażście zarysowanymi brwiami twarzy, który spokojnie stał przy słupie ogłoszeniowym ze skrzypcami w futerale pod pachą – nagle gwałtownie zbiega na środek chodnika, rozrywa taśmki zamykające pudło i wydobywa z niego pistolet maszynowy sten. Jest to tak zaskakujące, że idący naprzeciwko starszy mężczyzna wypuszcza z rąk laskę... Już zewsząd rozlegają się wystrzały, na skąpanej w przedpołudniowym, wrześnieym słońcu Marszałkowskiej rozpoczyna się walka. Starcie zbrojne na ul. Marszałkowskiej róg Litewskiej, znane powszechnie jako zamach na Bürckla – 7 września 1943 roku – trwało zaledwie 90 sekund, lecz był to tylko końcowy, ostatni fragment starannie przygotowanej akcji. Zbrodnie niemieckie w więzieniu na Pawiaku wymagały kary. Napisy, jakie od wiosny 1943 r. pokrywały warszawskie mury: „Pawiak pomścimy” nie były groźbami bez pokrycia. W stosunku do najbardziej okrutnych i krwiożerczych katów niemieckich z Pawiaka uprawnione władze Polski Podziemnej poleciły zastosować karę śmierci. Wydano wyrok m.in. na zastępcę komendanta Pawiaka, SS-Oberscharführera Franza Bürckla. Ten zbrodniarz, poza uczestnictwem w organizacji i kierowaniu katownią przy ul. Dzielnej 24/26 dopuścił się licznych morderstw indywidualnie. Często Bürckl wchodził po prostu do którejś z cel, wybierał sobie ofiarę i mordował ją na korytarzu lub na schodach.

Zadanie wykonania zamachu na Bürckla otrzymał w sierpniu 1943 r. wchodzący w skład Kedywu KG AK oddział o kryptonimie AGAT – 90 (późniejszy sławny bata-

¹⁴⁹ „Stolica” z 1968 r., nr 52.

lion „Parasol”). Rozpoznanie przed akcją przeprowadził Aleksander Kunicki „Rayski” wspólnie z „Żarem” (Bogusławem Ustaborowiczem) i „Ewą”. Było ono bardzo trudne, początkowo nawet nie znano rysopisu Bürckla, wiadano tylko, że chodzi o psa wilczurem. Ostatecznie udało się ustalić, że Bürckl mieszka przy ul. Polnej 22 róg Oleandrów (obecnie: Partyzantów), a co drugi dzień ok. godz. 10.00 idzie pieszo do gmachów gestapo przy al. Szucha, skąd – wraz z kompanami z tej samej więziennej zmiany, jeździ samochodem na Pawiak.

Na miejsce akcji wybrano narożnik ul. Marszałkowskiej i Litewskiej. Wprawdzie w pobliskich domach na ogół mieszkali Niemcy, pełno ich kręciło się po ulicy, w pobliżu była centrala warszawskiego gestapo, krążyły uzbrojone patrole – inne miejsca były jednak jeszcze bardziej niebezpieczne. Zamach przeprowadzić miała grupa bojowa z I plutonu. Dowódcą akcji, a zarazem pierwszym wykonawcą wyroku, został „Jeremi” – Jerzy Zborowski. Poza nim w skład grupy bojowej weszli: drugi wykonawca wyroku – „Lot” – Bronisław Pietraszkiewicz oraz jako ubezpieczenie: „Dietrich” – Eugeniusz Schielberg i „Kędzior” – Henryk Migdański. Samochodem, który wywiózł uczestników po akcji, kierował „Konrad” (z oddziału „Zośka”).

Zamach na Bürckla miał odbyć się 5 września, Niemiec jednak nie opuścił tego dnia domu. Następny termin akcji wyznaczono na piątek, 7 września. Zgodnie z opracowanym wcześniej drobiazgowo i przećwiczonym wielokrotnie planem zjawiają się uczestnicy akcji pojedynczo, w określonych punktach przekazują łączniczkom dokumenty własne, a odbierają fałszywe oraz broń i zajmują wyznaczone miejsca. Jest godz. 9.40. Niestety nie nadjeżdża samochód BMW, którym zamachowcy mieli wycofać się po akcji; „Jeremi” udaje się spieszenie na róg Emilii Plater i Wspólnej, gdzie czeka samochód zapasowy Opel-Olimpia. Przybywa z nim w ostatniej dosłownie chwili i zajmuje miejsce po nieparzystej stronie Marszałkowskiej, na rogu ul. Oleandrów kręci się już tam wywiadowca „Żar”.

O godz. 9.58 z domu przy ul. Polnej 22 wychodzi Franz Bürckl. Nie spiesząc się, idzie wzdłuż ul. Oleandrów, aby Litewską dostać się w aleję Szucha.

Gdy „Żar” wskazuje dyskretnie „Jeremiemu” zbliżającego się Niemca, dowódca akcji wolnym krokiem przechodzi na nieparzystą stronę Marszałkowskiej, zatrzymując się przy słupie ogłoszeniowym. Jest to sygnał do rozpoczęcia akcji. „Lot” znajdujący się na przeciwnej stronie Litewskiej (tam, gdzie dziś apteka), również przechodzi na przeciwny chodnik. Bürckl jest już na jezdni ul. Marszałkowskiej, wchodzi na chodnik, mija „Jeremiego” i „Lota”, rusza w Litewską w kierunku wejścia do szpitala dziecięcego.

Niemców wokół pełno. Na przystanku tramwajowym na ul. Marszałkowskiej róg Litewskiej jest kilkunastoosobowy patrol policji niemieckiej oraz kilku pojedynczych, uzbrojonych Niemców. Od strony pl. Unii nadjechał właśnie tramwaj; na przedniej platformie widać mundury Wehrmachtu... Z przeciwnej strony, od pl. Zbawiciela, jedzie inny tramwaj, tam też widać Niemców. Przed antykwariatem na Marszałkowskiej przy rogu ul. Piłsudskiego (obecnie: Armii Ludowej) zatrzymał się uzbrojony patrol

niemiecki: dwa motocykle, 6 żandarmów. Jacyś ss-mani idą ku Marszałkowskiej ulicą Litewską...

Bürckl mija „Jeremiego” i „Lota”, a w chwilę potem, zgodnie z planem, obaj zamachowcy strzelają do Niemca z pistoletów. Zbrodniarz pada na ziemię.

Niemcy z przystanku tramwajowego, z zatrzymanych tramwajów, spod antykwariatu i z ulicy Litewskiej otwierają ogień do zamachowców. Wtedy do akcji wkracza polskie ubezpieczenie. „Kędzior”, który dotychczas znajdował się w bramie domu przy ul. Marszałkowskiej (mniej więcej tam, gdzie dziś jest apteka), wybiega na ulicę. Tuż przed nim znajdują się Niemcy, strzelający z przystanku tramwajowego. Kędzior” kieruje tutaj kilka celnych serii dwu czy trzech Niemców pada, inni kryją się. „Dietrich”, znajdujący się na przeciwległym narożniku Litewskiej, przy słupie ogłoszeniowym, na odgłos pierwszych strzałów odrzuca zbyteczny futerał na skrzypce i celnym ogniem razii nieprzyjaciela na pomostach tramwajów oraz między wagonami. „Jeremi” strzela na przemian w głąb Litewskiej i na przystanek tramwajowy. „Lot” natychmiast po wykonaniu wyroku nachyla się nad zabitym mordercą, sprawdza, czy Bürckl rzeczywiście nie żyje i zabiera mu dokumenty.

Teraz odwrót. „Dietrich” rzuca filipinkę w grupę Niemców strzelających zza tramwaju, a pod osłoną wybuchu czterej chłopcy cofają się do czekającego samochodu. W ostatniej dosłownie chwili z ul. Litewskiej wybiega jakiś ss-man, ale celny strzał „Jeremiego” kładzie go trupem. „Opel-Olimpia” odjeżdża. Jeszcze na rogu. ul. Piłsudskiego, gdzie samochód skręca ku Polnej, następuje krytyczny moment: pociski żandarmów spod antykwariatu dziurawią karoserię, przebijają przednią oponę... Ogień polskich trzech pistoletów maszynowych przydusza żandarmów do ziemi i samochód szczęśliwie odjeżdża. Zamachowcy wysiadają na ul. Emilii Plater...

Nikt nie jest nawet ranny. Zadanie wykonane: Bürckl nie żyje, ponadto zginęło w walce 7 czy 8 Niemców, a wielu zostało rannych. Akcja – dokonana w tak ruchliwym punkcie Warszawy, pod nosem gestapo i w obecności żandarmeryjnych patroli – wywołuje bardzo silne wrażenie w całym mieście. Napisy na murach „Pawiak pomścimy” nabierają nowego znaczenia...

L. M.

* * *

STRZAŁY NA NOWYM ŚWIECIE¹⁵⁰

Oczekiwanie dłużyło się. Zespół bojowców oddziału Kolegium B od dobrej pół godziny trwał na stanowiskach na Nowym Świecie, a samochodu z żandarmami nadal nie było widać. Ppor. „Boruta” – Henryk Witkowski, dowódca jednej z sekcji dywer-

¹⁵⁰ „Stolica” z 1974 r., nr 7.

syjno-bojowych, udając spokojnego przechodnia, wdał się w rozmowę z rykszarzem, stojącym przy swym wehikule na postoju przy Ordynackiej. W pewnej chwili kierowca rikszy wskazał „Borucie” jego kolegę z dywersji i dowódcę akcji – sierż „Kreta” – Zbigniewa Młynarskiego.

– „Panie, widzi pan tego typu? On tu kręcił się przed miesiącem, a lepiej nie mówić, co się potem działo. Dobrze radzę, niech pan stąd zwiewa!” – i po chwili wszyscy rykszarze błyskawicznie opuścili postój.

Miesiąc wcześniej, a dokładnie 22 października 1943 r., na tym właśnie odcinku między Ordynacką a Świętokrzyską zespół uderzeniowy Kolegium B, dowodzony wówczas przez ppor. „Borutę”, zaatakował niemiecką „budę” policyjną; samochód został zniszczony, kilku Niemców poległo, inni odnieśli rany. Uderzenie to było jedną z licznych akcji odwetowych, zarządzonych przez Kierownictwo Walki Podziemnej. Zaczęło się od tego, że 10 października 1943 r. Niemcy ogłosili przez uliczne megafony o wprowadzeniu Sądów Doraźnych Policji Bezpieczeństwa, a trzy dni później rozpoczęły się masowe łapanki przypadkowych ludzi na ulicach, w tramwajach, sklepach, nawet kawiarniach. Schwytanych umieszczano na Pawiaku, skąd skazane na śmierć osoby wieziono wprost na miejsce egzekucji. 15 października po raz pierwszy Niemcy ogłosili wiadomość o rozstrzelaniu pierwszej grupy i podali nazwiska dalszych zakładników przewidzianych do zgładzenia. Nazajutrz, 16 października, na ul. Madalińskiego przy al. Niepodległości miała miejsce pierwsza egzekucja publiczna. Nazwiska ofiar okupant ogłaszał początkowo przez megafony, lecz począwszy od egzekucji 9 listopada przy ul. Wawelskiej – publikował na plakatach drukowanych na brudnoczerwonym papierze.

Ta szczególnie drastyczna forma masowych morderstw na przypadkowych ludziach, dokonywanych publicznie na ulicach miasta – w zamiarze swym miała doprowadzić m.in. do sparaliżowania podziemia zbrojnego.

Przeciwdziałanie polskie w pierwszym etapie zwróciło się przeciwko niemieckim żandarmom dokonującym łapanek i chwytającym nawet pojedynczych przechodniów, a poruszającym się po mieście samochodami policyjnymi, tzw. budami. Jedno z takich uderzeń miało właśnie miejsce 22 października na Nowym Świecie. Miesiąc później, 26 listopada, kolejne uderzenie postanowiono dokonać identycznie w tym samym miejscu. Gdy pierwszą akcją – w październiku – dowodził ppor. „Boruta”, a sierż „Kret” był uczestnikiem, teraz – zgodnie z zasadą rotacji dowódców sekcji dywersyjno-bojowych – role się zmieniły.

Rejon Nowego Świata wyglądał wówczas nieco inaczej niż obecnie. Świętokrzyska, o więcej niż połowę węższa niż obecnie, dochodziła tylko do Nowego Światu. Na tyłach tej ostatniej ulicy, ale jeszcze przed ul. Kopernika, naprzeciw wylotu Tamki, znajdował się bazar. Nowy Świat został poważnie zniszczony; wszystkie praktycznie domy po stronie parzystej, od Ordynackiej po Pałac Staszica, znajdowały się w ruinie. Między kikutami wypalonych budynków i przez podwórka można było dostać się z Nowego Świata na teren bazaru.

26 listopada ok. 8.30 rano w ruinach oraz na ulicy zajęli stanowiska bojowe żołnierze z oddziału Kolegium B, wchodzącego w skład Kedywu Okręgu Warszawskiego AK. Jedna grupa bojowców znajdowała się na rogu Ordynackiej, druga ukryta została w ruinach domów przy Nowym Świecie, trzecia wreszcie – w bramie zrujnowanego domu, przez którą było przejście na bazar. Żołnierze wtopili się w dość gęsty tutaj tłum przechodniów, ale – jak pisaliśmy na wstępie – doświadczony warszawski rykszarz dostrzegł co się święci – i wraz z kolegami szybko znikł, aby nie paść ofiarą zabłąkanej kuli w walce, która wkrótce się zacznie.

Padał drobniutki, zimny deszcz z rodzaju tych, które obecnie meteorologowie nazywają mżawką. Oczekiwanie dłużyło się. Nagle, w głębi Nowego Świata, na wysokości ul. Chmielnej, przechodnie zaczęli uciekać i chować się po bramach. Był to nieomylny znak: nadjeżdża żandarmka buda. Rzeczywiście, niemal natychmiast w polu widzenia pojawił się policyjny samochód, pomalowany na charakterystyczny zielonkawy kolor, z karabinem maszynowym umieszczonym na lawecie.

Dalsze wydarzenia rozegrały się błyskawicznie. „Boruta” daje umówiony znak „Kretowi”, że Niemcy nadjeżdżają – i przechodzi na południową stronę Ordynackiej, tam gdzie obecnie jest apteka (Nowy Świat 60). Rozpina płaszcz, wyciąga ukrytego Stena. W tym samym momencie – była mniej więcej godzina 9.10 – zrównuje się z nim jadący od strony Chmielnej samochód niemiecki. „Boruta” obraca się gwałtownie i długą serią z pistoletu maszynowego ciągnie po wypełniających budę żandarmach. Niemal w tym samym czasie „Jasny” – Jerzy Postek rzuca w samochód filipinkę. Postrzelany wóz niemiecki przejechał zygzakiem jeszcze kilkadziesiąt metrów, zatrzymując się naprzeciw bramy Nowy Świat 66. W tej właśnie bramie znajdował się „Kret” ze swoimi ludźmi. Nim żandarmi zdążyli wyskoczyć, znaleźli się w gęstym ogniu pistoletów maszynowych, wśród rozrywających się filipinek.

W tym czasie, gdy „Boruta” rozpoczął akcję, osłaniający go z południowego narożnika Ordynackiej sierż. „Kruk” – Zygmunt Malinowski dostrzegł, że w ślad za pierwszym samochodem, w odległości kilkudziesięciu metrów, jedzie następna buda. Bojowiec wyczekał spokojnie, aż Niemcy podjechali do jego stanowiska, a potem krótkimi seriami stena rozpoczął ostrzał. Wóz policyjny przedarł się przez skrzyżowanie i wyhamował niezbyt daleko za pierwszym; dokładnie w tym miejscu, aby znajdujący się tutaj „Miś” – Eugeniusz Domański, „Bończa” – Stanisław Ajdas i „Kamień” – Zbigniew Mirgałowski mogli go obrzucić granatami.

W ślad za drugą budą jechał jednak jeszcze trzeci samochód niemiecki – niewielki terenowy łazik. Wyhamował on już u wylotu Wareckiej, żandarmi wyskoczyli i kryjąc się za swym samochodem, otworzyli ogień.

Upłynęła może minuta od początku akcji. Sytuacja jest następująca: na jezdni Nowego Świata stoją dwa postrzelane samochody, a „żandarmi wyskakowali w panice ze swych wozów i kryjąc się za nimi lub we wnękach bram, starali się odgryzać... Świsł kul mieszał się z wybuchami granatów, w powietrzu snuły się pasma gryzącego dymu,

na jezdni rozpływała się strugami benzyna z rozbitych butelek zapalających”. Inaczej przedstawiała się sytuacja na rogu Wareckiej, gdzie grupa dobrze uzbrojonych Niemców miała przewagę ogniową.

Cel akcji został już jednak osiągnięty; zespół bojowy rozpoczyna odskok, gdyż za chwilę na polu walki i mogą pojawić się dosłownie setki żandarmów. Tuż obok, na Świętokrzyskiej, mieści się policyjny park samochodowy, do którego właśnie jechały zaatakowane budy; nieco dalej, naprzeciwko Pałacu Staszica, znajduje się główna komenda policji.

Odskok bojowców z Ordynackiej jest trudny. Niemcy zza łożnika nie żałują ognia. Jeden z bojowców – kpr. „Jarząbek” – Tadeusz Zieliński zostaje poważnie ranny w nogę, a osłaniającemu odwrót ppor. „Borucie” przy zmianie magazynka zaczyna się sten. Niemcy korzystając z tego, wzmagają ogień. Wówczas zawraca „Jasny”, biegnie na sam róg Ordynackiej i Nowego Świata, nie bacząc na pociski sypiące się zza odległego o kilka metrów łożnika, przykłęka i regulaminowym, wprost szkoleniowym rzutem ciska ostatnią filipinkę między żandarmów. Zaraz po nim zawraca „Kruk”, wbiega na środek jezdni ul. Ordynackiej i krótkimi seriami strzela do Niemców, uniemożliwiając im przynajmniej celne strzały do cofających się bojowców. Za tę interwencję z narażeniem życia „Kruk” i „Jasny” otrzymali później Krzyże Walecznych.

Wszystkie grupy bojowców łączą się u zbiegu Tamki i Kopernika. Szczęśliwie galopuje tędy jakaś dorożka. Ppor. „Oliwa” – Czesław Młynarski chwytą za uzdę konia i zatrzymuje pojazd. Tym improwizowanym pojazdem można odwieźć na Powiśle ранego „Jarząbka”, a wkrótce wszyscy bojowcy poukrywali się w przygotowanych melinach w tej dzielnicy.

W uderzeniu zespołu Kolegium B na Nowym Świecie poległo 12 żandarmów, a kilkunastu innych odniosło ciężkie rany. Efekt był tym większy, że dosłownie w pięć minut później, o 9.15 na wiadukcie mostu Poniatowskiego, przy ul. Solec, inny zespół bojowy Kedywu Okręgu Warszawskiego, dowodzony przez ppor. „Żbika” – Zdzisława Zajdlera rozbił kilka bud żandarmskich, uwalniając dopiero co schwytanych Polaków.

Opis powyższej akcji zaczerpnęliśmy z książki Henryka i Ludwika Witkowskich pt. „Kedywiacy”, która właśnie ukazała się na półkach wydawniczych (Instytut Wydawniczy „Pax”). Ludwik Witkowski – „Kosa”, cichociemny, był dowódcą Kolegium B, zaś jego starszy brat Henryk – „Boruta” – oficerem tego oddziału. Bogato ilustrowana dokumentalnymi zdjęciami praca wszystkie swoje 350 stron wypełnia dramatycznymi, wiernymi i bardzo szczegółowymi opisami akcji, z których jedną tylko zrelacjonowaliśmy powyżej. Jest to nie tylko historia okupacyjnych walk oddziału Kolegium B, ale w znacznej mierze całego Kedywu Okręgu Warszawskiego, a zarazem ważny przyczynek do dziejów okupowanej Warszawy od jesieni 1939 po 1 sierpnia 1944 r. Książkę czyta się dosłownie jednym tchem, a za staranne wydanie oraz stosunkowo niską cenę szczególne słowa uznania należą się Wydawnictwu.

L. M-ski

KIM BYŁ FRIEDRICH PABST¹⁵¹

W wyniku badań archiwalnych, na podstawie dokumentów niemieckich przechowywanych w Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, udało się ustalić, że w trakcie zamachu na szefa niemieckiego urzędu kwaterunkowego w Warszawie zginął również Friedrich Pabst. Szczegóły relacjonuje zamieszczony wyżej artykuł J. Adamskiej, która odnalazła wyjaśniające całą kwestię dokumenty.

Warto jednak przypomnieć bliżej, kim był nadradca budowlany, architekt Pabst, gdyż nazwisko jego związane zostało na stałe z hitlerowskim planem doszczętnego zburzenia Warszawy i wzniesienia na jej ruinach niemieckiego miasta.

Wkrótce po zakończeniu Kampanii Jesiennej 1939 r. i utworzeniu tzw. Generalnego Gubernatorstwa, najpóźniej 20 listopada 1939 r. Hitler podjął zasadniczą decyzję dotyczącą Warszawy. W zapisie Rudolfa Hessa brzmiała ona następująco: „Führer zaaprobował decyzję ministra Rzeszy dr. Franka nieodbudowywania Warszawy”. W oparciu o tę decyzję, przystąpiono do opracowywania dokładnych planów zburzenia stolicy i wzniesienia na jej miejscu zupełnie innego miasta, przeznaczonego dla Niemców. Jeszcze jesienią 1939 r. pierwszy taki plan opracował niemiecki architekt Gross. Plan ten jednak uznano najwyraźniej za niezbyt dobry, zapewne z tego względu, iż przewidywał budowę na miejscu Warszawy miasta zbyt wielkiego, obliczonego na 200 tys. mieszkańców. Postanowiono więc kontynuować prace. Szczegóły tych prac nie są do dzisiaj w pełni znane.

Po wyzwoleniu Krakowa, w czasowej siedzibie generalnego gubernatora Franka na Wawelu znaleziono tekę z planami architektonicznymi przyszłej niemieckiej Warszawy, którą wróg zamierzał zbudować na miejscu zburzonej stolicy. Jedna z plansz, zatytułowana „Die neue deutsche Stadt Warschau”, wyraźnie wskazywała na autorstwo, gdyż miała nazwę: Plan Pabsta. Stąd (wszystkie te projekty, stanowiące zresztą całość, nazwano wspólnym mianem planu Pabsta).

Plan ten przewidywał, że po zburzeniu Warszawy wzniesione zostanie na jej miejscu zupełnie inne miasto, obliczone na 100–130 tys. mieszkańców. Ta „die neue deutsche Stadt Warschau” miała zostać sprowadzona do roli miasteczka powiatowego. Inna plansza, zatytułowana „Der Abbau der Polenstadt und dei Aufbau der deutschen Stadt” (zburzenie polskiego miasta i wzniesienie niemieckiego), wskazywała na kolejność, w jakiej zamierzano burzyć stolicę. Przewidywano likwidację m.in. zabytków z Zamkiem na czele, radykalnie zmieniano bieg ulic. Miasto miało uzyskać jednolity charakter urbanistyczny w stylu niemieckiego późnośredniowiecznego gotyku.

¹⁵¹ „Stolica” z 1973 r., nr 45.

Taki plan opracował właśnie Pabst. Dziś wiemy, że przybył on do Warszawy w kwietniu 1942 r. i tutaj prowadził prace nad swym planem.

Przewidywane zburzenie miasta wymagało wysiedlenia jego mieszkańców. Jesienią 1943 r. wywiad AK ustalił, że szef niemieckiego urzędu kwaterunkowego Wohnungsamst Braun opracowuje plan wysiedlenia wszystkich mieszkańców z Warszawy. Dzisiaj możemy się domyślać że ten plan przygotowywano w koordynacji z planem Pabsta, zaś obaj funkcjonariusze niemieccy współdziałali ze sobą jak najściślej.

Aby sparaliżować w zarodku niemieckie plany wysiedleńcze, Kierownictwo Walki Podziemnej podjęło decyzję likwidacji Brauna (o Pabście nie wiadano nic). Zadanie to zlecono oddziałowi dyspozycyjnemu Kedywu KG AK o kryptonimie Agat (był to skrót od antygestapo; później kryptonim oddziału zmieniono na Pegaz – przeciwgestapo, wreszcie rozbudowano go do siły batalionu o nazwie Parasol).

Oddział dyspozycyjny Agat składał się z harcerzy z Szarych Szeregów. Zadanie likwidacji Brauna zlecono II plutonowi, który wywodził się z drużyny Szarych Szeregów „Sad 100”. Dowodzić akcją miał „Orkan” – Kazimierz Kardaś, zaś wspólnie z nim w zamachu uczestniczyło siedmiu bojowców (dwu wykonawców zamachu, trzech ubezpieczenia, dwu kierowców samochodów) oraz osiem dziewcząt – łączniczek.

Po dokładnym rozpoznaniu Brauna, ustaleniu jego miejsca pracy i zamieszkania przez grupę wywiadowczą „Rayskiego” – Kunickiego, ustalono dokładny plan akcji. Warunki przeprowadzenia zamachu były trudne. Braun obawiał się wymierzonej przeciwko niemu akcji i zachowywał szczególne względy bezpieczeństwa. Miał do dyspozycji trzy samochody o numerach rejestracyjnych 8601, 8605 i 8606, które zmieniał: ustalono, że w tym samym czasie jechały dwa z tych samochodów – jeden pusty, drugi z Braunem. Miało to zmylić zamachowców.

Szczególne trudności nastręczało miejsce akcji. Braun mieszkał przy ul. Górnośląskiej 33, róg Wrońskiego, tuż obok stacjonował oddział żandarmerii. Ten rejon był zamieszkały wyłącznie przez Niemców. Mały ruch uniemożliwiał koncentrację grupy uderzeniowej na ulicy. Pozostawała jedyna możliwość: likwidacja Brauna przed jego urzędem przy ul. Daniłowiczowskiej 1/3 (obecnie ten odcinek ulicy nosi nazwę Nowy Przejazd i łączy plac Teatralny z Trasą W-Z). Rzecz jednak w tym, że przy wąskiej Daniłowiczowskiej znajdowały się silnie strzeżone urzędy niemieckie. Na rogu pl. Teatralnego, w pałacu Blanka, urządował niemiecki burmistrz Warszawy; po drugiej stronie domu nr 1/3 rozciągało się obsadzone przez Niemców więzienie policyjne. Wszędzie znajdowały się silne posterunki żandarmerii, w oknach na parterach zajmowanych przez wroga budynków ustawione były lekkie karabiny maszynowe. Wszędzie kręciło się wielu uzbrojonych Niemców.

Mimo tych niesprzyjających warunków, zamach postanowiono wykonać właśnie tutaj.

Akcja została przeprowadzona 13 grudnia 1943 r., precyzyjnie według sekundowo opracowanego planu. Przyjazdu Brauna spodziewano się między godziną 7.55 a 8.05.

Dokładnie o godz. 7.40 łączniczki „Kama”, „Scarlet” i „Tina” przekazały bojowcom broń w bramach domów przy ul. Senatorskiej 8 i 10; w tym samym czasie dwa samochody osobowe, kierowane przez „Niemirę” – Tadeusza Kostrzewskiego i „Bruno” – Bolesława Hellwiga zaparkowały przy skwerze przed Pałacem Prymasowskim (obecnie agendy Ministerstwa Kultury). Tuż przed godz. 7.55 dwu wykonawców zamachu i trzech ubezpieczających zajęło wyznaczone stanowiska bojowe na Daniłowiczowskiej przy rogu Senatorskiej.

W tym samym czasie 14-letnia łączniczka „Dewajtis” – Elżbieta Dziembowska stwierdza, że Braun wyszedł z domu i wsiadł do samochodu Adler-Diplomat nr rej. OST 8605. Dziewczyna podaje ten numer natychmiast łączniczce „Zojdzie”, która ze sklepiu przy ul. Górnośląskiej 16 przekazuje go telefonicznie szefem łączniczce „Mai”, oczekującej na wiadomość w domu przy ul. Focha 10 (*vis a vis* gmachu Teatru Wielkiego). Informację tę łączniczka „Kaja” dostarcza łączniczce „Hance”, oczekującej na pl. Teatralnym w pobliżu rogu Senatorskiej i Daniłowiczowskiej.

Teraz zaczyna się oczekiwanie. O godz. 8.04 „Hanka” dostrzega jadący od strony Wierzbowej wóz, którego używa Braun, ale o innym numerze rejestracyjnym. Po chwili okazuje się, że w samochodzie poza kierowcą nie ma nikogo. Łączniczka czeka nadal. Dopiero o 8.13, później niż oczekiwano (Braun spóźnił się zapewne, bo po drodze pojechał po Pabsta), pojawia się Adler o numerze rejestracyjnym 8605. „Hanka” wyjętą z mufki chusteczką daje znak dowódcy akcji „Orkanowi”. Ten przekazuje go bojowcom.

Akcja rozpoczyna się. „Adler” zatrzymuje się przed wejściem do domu przy ul. Daniłowiczowskiej 1/3. W tej samej chwili I wykonawca zamachu „Kastor” – Jerzy Kozłowski oraz II wykonawca „Polluks” – Jerzy Sarnowski biegną do samochodu. Niespodziewanie jakiś tajniak, widząc co się święci, wyciąga pistolet i rzuca się za zamachowcami. Ubezpieczenie II „Cyklon” – Zbigniew Dąbrowski interweniuje natychmiast, terroryzując tajniaka pistoletem. Prerażony mężczyzna klęka na ziemi i błaga, aby mu darować życie, bo ma żonę i dzieci. „Cyklon” odbiera mu pistolet i każe uciekać, a dowódca akcji „Orkan” wzywa przechodniów, aby natychmiast oddalili się z miejsca zamachu.

W tym samym czasie Braun wysiadł z samochodu i żegna się z siedzącą w nim kobietą. Razem z szefem Wohnungsamtu wóz opuścił jeszcze jeden mężczyzna w cywilnym ubraniu. Dzisiaj wiemy, że był nim Pabst. „Polluks” pierwszy dobiega do Brauna i strzela do niego z pistoletu Colt. Niemiec uchyla się od pocisków, a w tej chwili jego towarzysz, czyli Pabst wydobyty pistoletem strzela niecelnie do „Kastora”. Z bezpośredniej bliskości pociski z Colta „Polluksa” dosięgają Brauna; pierwszy w brzuch, dwa następne w głowę. Martwy Niemiec pada na ziemię. Chwilę później pada na niego Pabst, zabity przez „Kastora” serią ze Stena.

„Polluks” zabiera jeszcze teczkę, którą ma przy sobie Braun. „Kastor” osłania go, strzelając kolejno do granatowego policjanta, który próbuje interweniować, później do

kobiety, która wybiegła z wozu, wreszcie do okien niemieckiej wartowni. Obaj zamachowcy biegiem wycofują się ku Senatorskiej.

Cała ta błyskawiczna akcja osłaniana jest przez trzech ludzi ubezpieczenia. „Cyklon” ostrzeliwuje nieprzerwanie posterunki niemieckie w oknach domu Daniłowiczowska 1/3, nie pozwalając im otworzyć ognia z karabinów maszynowych. „Orkan” przegania z rogu Senatorskiej granatowego policjanta i rzuca granat na posterunek niemiecki u wejścia do pałacu Blanka, a później trzyma bramę pod ogniem; gdy wybiegają z niej żandarmi, drugim rzuconym granatem zmusza ich do ucieczki. W tym samym czasie trzeci członek ubezpieczenia „Daniel” ostrzeliwuje okna pałacu Blanka i zmusza do ucieczki Niemca, który z balkonu chciał rzucić na zamachowców granat.

Odskok bojowców przebiega sprawnie. Najpierw wycofują się dwaj wykonawcy, osłaniani ogniem kolegów. W ślad za nimi cofa się „Cyklon”, który kolejno rzuca dwa granaty w wybiegających z domu Daniłowiczowska 1/3 Niemców. Gdy trzech bojowców dociera do samochodów, zatrzymują się i osłaniają z kolei ogniem dwu pozostałych kolegów. „Daniel” i „Orkan” dobiegają do wozów, wszyscy wsiadają i auta błyskawicznie odjeżdżają Senatorską do Miodowej. Przy pl. Krasińskich bez zatrzymania mijają dr. „Maksa” – Zygmunta Dworaka, oczekującego na ewentualnych rannych. Akcję przeprowadzono jednak bez strat. Samochody jadą Nowiniarską i Świętojerską na Freta. Tam zamachowcy oddają broń łączniczkom i wszyscy rozchodzą się.

Właściwa akcja – od pierwszych strzałów do odjazdu samochodów – trwała czterdzieści sekund.

Tak zginął Braun i – jak już dziś wiemy – również Pabst.

L. M.

* * *

STRZĘP EPOPEI¹⁵²

Zachowała się taka fotografia: płaskie, szare wzgórza, piętrzące się coraz wyżej; niskie, bure niebo jeszcze bardziej ograniczające horyzont; kręte, spływające w dół jary; rozmiękła, wilgotna glina; rząd żołnierzy, niknący gdzieś w załomie parowu; pochylone żołnierskie głowy w kopulastych hełmach; widoczne z tyłu, przygięte lekko plecy; żołnierskie sylwetki, przecięte na krzyż pasami chlebaków, owinięte na ukos zrolowanymi kocami, dźwigające plecaki; długie karabiny na parcianych pasach przewieszone przez prawe ramiona; wąż ludzki, ginący nie w oddali, lecz wśród błota i cienia wąwozu; wąż ludzki, spływający tym parowem w dół. Twarzy tylko nie widać. Zachowała się ta fotografia, zrobiona zapewne 10 października 1943 r.

¹⁵² „Stolica” z 1973 r., nr 41.

1.

Dwa tysiące osmuset pięćdziesięciu dziewięciu żołnierzy polskich poległo pod Lenino, zostało rannych, bądź zaginęło bez wieści. Z dwunastu tysięcy, którzy stanęli do boju. Jeden na pięciu! – hekatomba krwi. To była cena bitwy, jednej z krwawszych batalii w naszych dziejach¹⁵³. Wcześniej, 15 lipca, na obszernym błoniu między lasem („szumi dokoła las”) a leniwą rzeką („płynie, płynie Oka, jak Wisła szeroka”) kilkanaście tysięcy ludzi ustawiło się w potężny czworobok. Dziennikarz brytyjski Aleksander Werth tak to zobaczył i opisał w książce „Russia at War 1941–1945”: „W samym sercu Wielkiej Rosji dziwny był widok żołnierzy w polskich mundurach z kwadratowymi konfederatkami... Najważniejszym wydarzeniem dnia była defilada, poprzedzona złożeniem przysięgi i przekazaniem dywizji sztandaru z Białym polskim Orłem, na czerwono-białym tle, z napisem »Honor i Ojczyzna« z jednej strony i z portretem Kościuszki z drugiej”. Oto rota przysięgi: „Skladam uroczystą przysięgę ziemi polskiej, broczącej we krwi, narodowi polskiemu umęczonemu w niemieckim jarzmie, że nie skałam imienia Polaka, że wiernie będę służył Ojczyźnie. Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu rzetelnie pełnić obowiązki żołnierza w obozie, w pochodzie, w boju, w każdej chwili i na każdym miejscu, strzec wojskowej tajemnicy, wypełniać wiernie rozkazy oficerów i dowódców. Przysięgam dochować wierności sojuszniczej Związkowi Radzieckiemu, który mi dał do ręki broń do walki ze wspólnym wrogiem, przysięgam dochować braterstwa broni sojuszniczej Czerwonej Armii. Przysięgam wierność sztandarowi mojej dywizji i hasłu ojców naszych, które na nim widnieje: za naszą wolność i waszą. Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu, że do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu... walczyć będę o wyzwolenie Ojczyzny, abym mógł żyć i umierać jako prawy i uczciwy żołnierz polski”¹⁵⁴.

Z czapkami w lewej ręce, uniesionymi do góry dwoma palcami prawej ręki, żołnierze powtarzają słowa przysięgi. Dokładnie w pięćset trzydziestą trzecią rocznicę bitwy grunwaldzkiej – 15 lipca 1410 – każdy z żołnierzy w sieleckim obozie składał swoją własną przysięgę. Pamięć tamtej wielkiej wiktarii była symbolem nie tylko przyszłego zwycięstwa nad Niemcami. Oznaczała coś więcej: przywoziła obraz dziedzictwa historii, ożywała dumę dawnej narodowej świetności, która jeśli nie dziś czy jutro – kiedyś będzie przywrócona. Budziła nieśmiało jeszcze poczucie własnej mocy. To poczucie, które przyszli synowie i wnukowie tych żołnierzy będą mogli rozwinąć – w nowym,

¹⁵³ Niewiele osób ma do dzisiaj świadomość, jak wielkie były straty polskie w bitwie pod Lenino. Przypomnienie tego faktu nie było wygodne dla sowieckiej propagandy, stawiało bowiem pod znakiem zapytania jakość dowodzenia.

¹⁵⁴ W rocie przysięgi „berlingowców” pominięto (pod koniec) fragment: „do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu nienawidzić będę wroga, który zniszczył Polskę – Niemca”, a także (na końcu) „Tak mi dopomóż Bóg!”. Nie wiemy, czyja to była decyzja, ale gdybyśmy musieli zgadywać, to decyzję o pominięciu pierwszego fragmentu podjął Autor, który zaznaczył ingerencję wielokropkiem, natomiast decyzję o pominięciu drugiego fragmentu – cenzura.

nadchodzącym czasie. Powtarzana chórem rota wojskowej przysięgi odbijała się echem od ściany sieleckiego lasu. Trzydzieści tygodni później odbije się ona od stromych zboczy białoruskich wzgórz, pod Lenino.

2.

Krótką to rzeczka – Miereja. Ledwie czterdzieści kilometrów długości, nim połączy się z Dnieprem. Mała rzeczka, nie oznaczona na większych mapach. Ale ważna, trwale zapisana w historii. Wzdłuż jej nurtu przez stulecia biegła wschodnia granica Białorusi. Ni to wieś, ni miasteczko położone na zachodnim brzegu Mierei nosiło nazwę Romanówka, nim przybrało imię zwycięskiego wodza rewolucji – Lenino.

Więc Miereja. Piaszczyste, żółte brzegi, szeroki pas bagien i podmokłych łąk. Zachodni brzeg wysoki, gliniaste urwiska wypiętrzające się w szczyty płaskich wzgórz. Te bezimienne pagórki na wojskowych mapach oznaczone zostały cyframi, wskazującymi ich wysokość ponad poziom morza: kota 215,5 kota 217,6.

Marszałek polny Günther von Kluge, dowódca Grupy Armii „Mitte” długo zastanawiał się, nim wybrał miejsce na pozycje obronne. Wiedział, jaką zagradza drogę. Od Smoleńska wiodła ona na Mińsk, Warszawę i Berlin: najkrótszy szlak do serca Trzeciej Rzeszy. Kluge, odkąd jako kadet wstąpił w szeregi 46 pułku artylerii pieszej Jego Cesarskiej Mości Wilhelma II, przez 43 lata nie zdejmował niemieckiego mundur. Był jednym z tych generałów, którzy na najwyższym szczeblu rozpoczęli II wojnę światową. We Wrześniu dowodził armią niemiecką, która zaatakowała polskie Pomorze, a potem od północnego zachodu szła na Warszawę. Następnie komenderował armiami walczącymi w Belgii, Francji i Związku Radzieckim, zaś od prawie dwóch lat dowodził centralnym odcinkiem całego frontu wschodniego. Miał przed sobą jeszcze kilka miesięcy życia – do samobójczej śmierci w końcu lipca 1944 r.

To Kluge wybrał tę pozycję, przebiegającą na wschód od Dniepru, właśnie wzdłuż rzeki Mierei. Od dawna rozbudowywano ją z niemiecką skrupulatnością. Na tej pozycji Kluge postanowił ostatecznie zatrzymać radziecką ofensywę. Nazwał ją „linią ostatniej obrony” i podległym wojskom – na tym odcinku 4 armii polowej, tej samej armii na czele której Kluge rozpoczął wojnę – wydał stanowczy rozkaz: „teraz – ani kroku w tył”. W końcu września pod Lenino podeszły oddziały radzieckie, ale zagon korpusu kawalerskiego, ścigającego wroga od Smoleńska, zatrzymany został krwawo nad Miereją.

Teraz bitwa miała zostać wznowiona na dobre. Radziecka 33 armia gen. Gordowa szykowała się do uderzenia. Na pomoc śpieszyła jej 1 dywizja im. Tadeusza Kościuszki.

Wyładowani z eszelonów kolejowych w Siemlewie pod Wiazmą, szosą z dawien dawna zwaną warszawską¹⁵⁵ Polacy maszerowali śpiesznie na zachód. Od Smoleńska

¹⁵⁵ Autor dyskretnie sygnalizuje, że ziemie te (podobnie, jak i Smoleńsk) leżały kiedyś w granicach Rzeczypospolitej. Napisanie tego wprost byłoby nieuczciwe. Podobnie, jak nieuczciwe byłoby wymienienie nazwy niedalekiej miejscowości – Katyń.

znaleźli się w strefie przyfrontowej. Pod tym historycznym grodem Polacy przeprawiali się przez Dniepr. Obok zburzonego na połę miasta, nad które wznosiły się kopuły starych soborów, radzieccy saperzy wybudowali pontonowy most. Przechodzące tędy oddziały polskie słyszały kanonadę artyleryjską; od frontu dzieliło kilkadziesiąt kilometrów.

Wkrótce po minięciu Smoleńska dowódca 1 dywizji, gen. Berling otrzymał od dowódcy 33 armii, gen. Gordowa, zadanie bojowe. Współ z radzieckimi dywizjami 42 i 290 Polacy mieli sforsować Miereję, rozerwać linie obronne wroga i dotrzeć do Dniepru na południe od Orszy. Pas natarcia, szeroki na dwa kilometry, obejmował teren od Lenino do wsi Sysojewo. Obie na zachodnim, białoruskim brzegu Mierei.

Maszerujące oddziały wiedziały, że idą do bitwy. Polacy szli przez rejon, na którym Żeromski umieścił akcję ostatniej sceny „Popiołów”¹⁵⁶. Mało kto o tym pamiętał. Wszyscy wiedzieli, że ich epopeja tutaj weźmie swój początek.

3.

Noc przed bitwą. Żołnierze drzemą w okopach i ziemiankach, mało kto może zasnąć. Rozdano już amunicję i granaty, oficerowie odebrali ostatnie rozkazy.

12 i 13 października 1943 r. pod wsią Lenino dwanaście tysięcy ludzi, na pozycjach, oczekiwało na świt.

I oto świt. Gdzieś z tyłu, za plecami wstaje blade, zimne, jesienne słońce. Z przodu – mgła. Gęste kłęby szarej, ponurej mgły. Widać ledwo na kilkanaście kroków. W tej mgle spowite jest wszystko. Miereja, bagna po jej obu brzegach, zbocza tamtych wzgórz, niemieckie pozycje. Ta mgła zakrywa przyszłość.

Godzina szósta. Wybija ją huk dział polskich baterii. Pięć minut trwa ześrodkowanie ogniowe, pociski rażą w stanowiska wroga. A potem rusza piechota. Oficerowie wybiegają do przodu, krzycząc: – „Naprzód!”, za nimi zrywają się gęste tyraliery strzeleckie. To jeszcze nie jest właściwy atak. Do przodu rzuca się na razie 1 batalion 1 pułku piechoty. Zadanie: rozpoznać walką przeciwnika, wgryźć się w jego pozycje. Strzelcy dobiegają do Mierei, przebywają ją w bród, pną się już po stoku gliniastego wzgórza. 215,5. Jest jeszcze cisza, jakby w tej mgle spowijającej wszystko nie było nikogo. Nagle – „narusz rozszczękały się cekaemy, automaty, trzasnęły działa, zawarczały sześciolufowe – «krowy»». Wzięli nas na celowniki faszystowscy Scharfschütze (zapisał żołnierz 1 kompanii, Rudnicki). Wydawało się, że nikt nie przejdzie przez ten mur oporowego ognia. Bliziotko słysząc gardłowy, pełen trwogi bełkot niemczyzny, ktoś władczo wrzeszczy „Feuer! Feuer!”. Przez megafony wołają: „Poloki, chodźta tutaj”.

Polacy szli. W to piekło szalejące na ziemi przykrytej szarą, a teraz już i czerwoną mgłą.

¹⁵⁶ Dyskretne nawiązanie do wyprawy Napoleona na Moskwę (z udziałem wojsk polskich, które wtedy szły w odwrotnym kierunku niż Berlin w 1943 r.).

Stromym zboczem piechurzy dopadają do niemieckich okopów. Już są w środku. Mgłę – i ciała – tną ostre błyski bagnatów.

Był to 1 503 dzień wojny, rozpoczętej również mglistym świtem na Westerplatte, pod Tczewem, Mławą, Wieluniem. W ogniu stała cała Europa. Niemcy, zahamowani już w swym ofensywnym rozpędzie, od miesiący przeszli do rozpaczliwej obrony. Odpadł im najważniejszy sojusznik – Włochy. Bici na wschodzie i południu, oczekiwali kolejnego ciosu z zachodu.

Od tego właśnie dnia, już na wszystkich frontach walczyli Polacy. Okręt podwodny Dzik zatopił właśnie pod Korsyką pięć statków niemieckich, okręt podwodny „Sokół” dwa dalsze u bram twierdzy Pula. Noc w noc nad miasta Rzeszy nadlatywały Polskie samoloty bombowe dywizjonów 300, 301, 304, 305, w ciągu tego miesiąca dokonując blisko 200 lotów bojowych i zrzucając 200 tysięcy ton min i bomb. Oddziały II Korpusu – późniejsi zwycięzcy spod Monte Cassino, dywizji pancerniej, jednostki toczące boje od 1 września 1939, wreszcie 1 brygady spadochronowej – szykują się do nowego etapu walk, tym razem zaczepnych, w różnych stronach Europy¹⁵⁷. Nieprzerwanie trwała walka partyzancka w kraju. Właśnie 12 października oddział GL stoczył i lasach chroborskich krwawy bój. Przed paru dniami przy al. Szucha w Warszawie, w samym środku niemieckiej dzielnicy policyjnej grupa bojowa Kedywu KG AK zlikwidowała jednego z szefów gestapo, SS-Hauptsturmführera Lechnera.

Od 1 503 dni krwawił naród Polski. Przeciętne straty dzienne – 2 500 ludzi. Umierali, zamordowano już miliony, a każdy dzień przynosił coraz straszliwsze ofiary. Właśnie 13 października rozpoczęła się nowa, ogromna fala łapanek w Warszawie, zaś 16 października Niemcy zastosowali najnowszą formę terroru: tego dnia przy Al. Niepodległości 141 odbyła się pierwsza egzekucja publiczna. Zaś do końca wojny było jeszcze 575 dni.

Taki był wojenny horyzont w momencie, gdy żołnierze I batalionu wdarli się do niemieckich okopów na stoku wzgórza 215,5, na południe od wsi Lenino. Błysł ich bagnatów trzeba dojrzeć w większej niż bitewna perspektywie. Musimy go widzieć w pryzmacie całej sprawy polskiej.

¹⁵⁷ Publicystyka historyczna Moczulskiego w „Stolicy” nie obejmowała Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Pisał głównie o walce, która miała miejsce w kraju oraz o Armii Berlinga. Jednym z powodów był zapewne fakt, że głównym tematem tej publicystyki była Warszawa, co obejmowało „berlingowców”, którzy w 1944 r. brali udział w walkach o Warszawę, a w 1945 r. wkroczyli do ruin miasta. Innym powodem były realia polityczne w jakich funkcjonowała „Stolica” i sam Moczulski w PRL – uniemożliwiały one pominięcie tematów związanych z ludowym Wojskiem Polskim. Kolejny powód, to fakt, iż oficerem LWP, który przeszedł niemal cały szlak bojowy od Lenino do Berlina był przyjaciel Moczulskiego – ppłk Zbigniew Żałuski. Wszystko to powodowało, że jednym z tematów artykułów historycznych Moczulskiego w „Stolicy” było ludowe Wojsko Polskie. Zauważmy jednak, że w artykule na temat bitwy pod Lenino wspomniał on także żołnierzy polskich walczących w tym czasie w PSZ na Zachodzie.

4.

Walka wewnątrz niemieckich okopów. Dotarła tutaj garstka piechurów. Inni pozostali z tyłu, liczni – na zawsze. Niemców coraz więcej, atakują ze wszystkich stron. Kapral Faryzela, weteran Września, ostatni pocisk kieruje w siebie. Inni cofają się. Niedaleko kilkadziesiąt metrów do tyłu. Tutaj zalegają na gliniastym zboczu. Walka uspokaja się, zamiera...

Przypomnijmy: to jest rozpoznanie walki¹⁵⁸. Niemcy ujawnili już swe stanowiska ogniowe. Batalion wrył się w stok wzgórza 215,5 – po zachodniej stronie Mierei. Granica rzeki została przekroczona.

Bitwa jeszcze nie zaczęła się naprawdę. Mgła nadal przykrywała całe pole walki. Początek właściwego uderzenia, zaplanowany na 8.20, trzeba było przesunąć. Dopiero około dziewiątej gęsty tuman począł ustępować. Zza szarej zasłony zaczęły wyzierać kontury wzgórza 215,5, zarysowały się niemieckie transzeje, jamy przed nimi, w których trwali żołnierze 1 batalionu. O 9.20 zaczęły strzelać wszystkie działa. O 10.30 ruszyła piechota. „Poszliśmy tyralierą, wyprostowani, przez sady, ogrody, przez pola kapusty, obok stanowisk dział 76 mm wysuniętych do strzelania na wprost (relacjonuje Edmund Dobrowolski). Pamiętam, jak artylerzyści krzyczeli: *Pochylcie głowy, bo chcemy strzelać!*”. Żołnierze doszli do Mierei, rzeką płynęła krew. Dowodzący w tym czasie jednym z radzieckich korpusów gen. Stanisław Popławski¹⁵⁹ tak wspomina, co wówczas zobaczył:

„Nagle mgła zrzędła. Przed nami ukazała się cała miejscowość i doskonale widać było lewe skrzydło dywizji im. T. Kościuszki. Zabrzmiał sygnał do ataku. To był niezapomniany widok. Za wałem ogniowym polskie pułki lawiną ruszyły na wroga. Żołnierze szli wyprostowani. Nad ich głowami powiewały pułkowi sztandary. Na przodzie, z uniesionymi do góry pistoletami maszynowymi i rewolwerami szli oficerowie¹⁶⁰. ...Radzieccy artylerzyści głośno chwalili męstwo Polaków. Słyszeliśmy, jak z okopów padały okrzyki: *Zuchy Polacy! Niech żyje Polska!* Atakujący szli naprzód, nie zważając na to, że hitlerowcy otworzyli skrzydłowy ogień z karabinów maszynowych i moździerzy. Pierwsze krople polskiej krwi wsiąkały w ziemię radziecką. To tu, to tam trafieni pociskami żołnierze padali na ziemię. Z atakujących szeregów niesło się potężne hurra!... Weszliśmy do schronu, komentując wspomniały atak Polaków”.

„Tak to byt jakby psychiczny atak (wspomina Edmund Dobrowolski). Nie zalegaliśmy, choć padali wśród nas zabici, choć padł ranny dowódca plutonu – sierżant Kowalczyk, potem mój drużynowy – kapral Nowak, następnie łącznik drużynowy i zastępca

¹⁵⁸ Rozpoznanie bojem, stosowane nagminie przez dowódców sowieckich, było jedną z przyczyn olbrzymich strat ludzkich w szeregach Armii Czerwonej.

¹⁵⁹ Mamy tu dyskretne i – co tu dużo mówić – złośliwe zaznaczenie, że późniejszy kat Poznania (w czerwcu 1956 r.) gen. Stanisław Popławski był Sowietem, a nie Polakiem.

¹⁶⁰ Sowiecka armia atakowała zwykle w innym porządku – oficerowie Smierszy (wojskowej bezpieki) szli z pistoletami maszynowymi i rewolwerami z tyłu i strzelali do własnych żołnierzy, którzy nie chcieli wykonywać samobójczych rozkazów.

dowódcy. Gdy dotarłem do rzeczki Mierei, wykruszyli się dalsi fizylierzy: Piwowarczyk, Zawryk i inni. Woda w rzece już poróżwiała od krwi. Na drugim brzegu okazało się, że nie ma komu nami dowodzić: z podoficerów został tylko kapral Moszkowicz. Ale idziemy sami, z przygotowanymi do walki wręcz finkami i granatami, wpadamy do niemieckich okopów. Swój pistolet maszynowy zarzuciłem na plecy, podniosłem czyjś porzucony karabin z bagnetem. Jestem lekko ranny w pierś, ale mam jeszcze siły do walki”.

Trwa bój. Piechota naciera nieustępliwie, żołnierze jakby szukali śmierci. Jakby chcieli pokazać wszystkim – całemu światu, że oto gotowi są zginąć, aby Polska żyła.

5.

Uderzenie polskie rozrywa linie niemieckie. Dwa dni trwa morderczy bój. Gdy okazuje się jednak, że natarcia innych dywizji 33 armii radzieckiej nie dały spodziewanego sukcesu, oddziały polskie zostają wycofane do tyłu. Na pozycje wyjściowe, na wschodnim brzegu Mierei. W kategoriach taktyki, Polacy uzyskali sukces: wdarli się w pozycje niemieckie, odparli kontrataki wroga. Bitwa nie doprowadziła jedni do zwycięstwa, trzeba było opuścić zdobyte wzgórza¹⁶¹. W tych kategoriach tej bitwy rozpatrywać jednak nie sposób. Celem polskiego natarcia była Polska. Wtedy właśnie otwarta została droga do kraju. Trudna droga. Dymy pożarów zasnuły Warszawę, a Wisła była czerwona od ognia i krwi.

Doszli jednak. To była jedyna droga, którą mogli dojść¹⁶². Zdążyli na czas, aby Polska pozostała Polską.

Inna historia: to rok czterdziesty czwarty, gdy Powstanie ogarnia kraj, a żołnierze dywizji Kościuszki, Dąbrowskiego, Traugutta, Kilińskiego docierają do ojczyzny; rok czterdziesty piąty, gdy znaczą granice na Odrze i Bałtyku. Inna historia: trudna, dramatyczna, tragiczna nawet – ale już kontynuacja. To, co zadecydowało, rozegrało się nad brzegami Mierei.

6.

Tak minęło trzydzieści lat. Urodziło się nowe pokolenie, dorosło i wychowuje już swoje dzieci. Dźwigamy Polskę wzwyż, wydzwigniemy tak wysoko, jak tego pragniemy. Żyjemy w innych, nowych czasach. Stoimy przed innymi, nowymi problemami¹⁶³.

¹⁶¹ Mamy tutaj jasne stwierdzenie, że polska ofiara krwi pod Lenino była bezsensowna. To, o czym Autor pisze dalej, jest już tylko mydleniem oczu cenzurze.

¹⁶² Autor usprawiedliwia „berlingowców” – po opuszczeniu Sowietów przez Armię Andersa w 1942 r. jedynym sposobem wydostania się z nieludzkiej ziemi dla dziesiątków tysięcy Polaków znajdujących się na terytorium ZSRR, było wstąpienie do Armii Berlinga. „To była jedyna droga, którą mogli dojść”.

¹⁶³ Mamy tutaj, jak w kilku innych tekstach Moczulskiego w „Stolicy” z 1973 r., kolejne echo jego wykładu w mieszkaniu matki Restytuta Staniewicza w Poznaniu 11 XI 1973 r. pt. *Obowiązek naszego pokolenia*.

Minęło trzydzieści lat. Okrągła rocznica. Warczą werble nad grobami poległych, prezentują broń kompanie honorowe.

Bagniste brzegi Mierci, gęste zwały mgły nad polami Lenino. Widzimy ich, jak biegną, wyprostowani, pod biało-czerwonymi sztandarami, każdy krok znacząc własną krwią. Widzimy ich, jak giną aby Polska była Polską, jak umierają – mając w oczach nadzieję¹⁶⁴.

L. M.

* * *

RZECZ O PERSPEKTYWIE. NA MARGINESIE NAJNOWSZEJ KSIĄŻKI ZBIGNIEWA ZAŁUSKIEGO¹⁶⁵

Świtać już zaczynało, ostatnia noc 1944 roku dobiegała kresu, gdy w lasach gdzieś nad Odrą, kilkadziesiąt kilometrów do Berlina grupa zwiadowców – spadochroniarzy polskich i radzieckich przemykała się czujnie koło wsi nazywającej się wówczas Dühringshof. „A tu będzie Polska – powtórzył skoczek z uporem – przecież gdzieś musi być?”.

Tą sceną kończy się najnowsza książka Zbigniewa Załuskiego¹⁶⁶. Słowa spadochro-

¹⁶⁴ Powyższy tekst Moczulskiego jest napisany z pozycji, którą wyraża trafne określenie, odnoszące się do Armii Berlinga – „To nie było wojsko polskie [z uwagi na uzależnienie od Sowietów], ale to byli polscy żołnierze”. Moczulski w powyższym tekście skupił się na bohaterstwie, poświęceniu i patriotyzmie żołnierzy I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, zaś polsko-sowieckie „braterstwo” pojawia się w tekście jedynie jako cytat z roty przysięgi, jaką składali ci żołnierze.

¹⁶⁵ „Stolica” z 1968 r., nr 29. Kluczem do zrozumienia tego tekstu jest zauważenie, że jest to streszczenie poglądów Załuskiego, a nie prezentacja przez Moczulskiego jego własnych poglądów. Zaznaczono to w tytule artykułu – to nie jest perspektywa Moczulskiego. To jest pokazanie perspektywy Załuskiego – „berlingowca”, oficera LWP, zastępcy członka KC PZPR. Gołym okiem widać, że jest to perspektywa odmienna od tej, którą prezentował Moczulski na łamach „Stolicy”. Główny zarzut, który możemy mu postawić po lekturze tego tekstu, dotyczy tego, że nie chciał, zaznaczyć swojego dystansu do tej perspektywy, którą tutaj tak obszernie przytoczył. Ten tekst, jeśli rozumieć go jako prezentację własnych poglądów, mógł później służyć do ataków na Moczulskiego.

¹⁶⁶ *Załuski był postacią tragiczną. Budził go często ten sam sen: rok 1940, wywożą ich z Kiwerc zaplombowanymi wagonami, pociąg rusza – i wtedy wszyscy głośno zaczynają śpiewać „Polonię” i „Rotę”. Dopiero w latach siedemdziesiątych udało mu się dostać na teren dawnego łagru gdzieś pod jednym z wielkich miast Azji Środkowej; płacząc, opowiadał mi jak całą noc, w deszczu, chodził po rozmiętym klepisku, gdzie – wdeptane w ziemię przed trzydziestu laty – spoczywały zwłoki jego Matki. Całym sercem był z nami – ale tylko sercem, bo rozum, często tak niebezpieczny w chwili najważniejszego wyboru, przypominał o potęgze wroga – rzeczywistej potęgze, przed którą drżał przecież cały świat. Konrad walczył z Kordianem, Kordian przegrał sam z sobą. Odwołanie do naszych romantycznych sporów jednak nie wystarcza, los umieścił go w antycznej, greckiej tragedii – jak Antygone, postawioną przed nieubłaganą, niemożliwą do spełnienia koniecznością wyboru pomiędzy dwoma odpowiedzialnościami i dwoma sprzecznymi systemami wartości. Nie dał się zmiażdżyć – i spotkało go to szczęście, że nie dożył stanu wojennego – ostatecznej*

niarza, które padają na ostatniej stronie, w istocie są mottem książki. Polska gdzieś musi być. Owo pytanie „gdzieś?” i owo przesądzenie „musi” stanowią główny klucz do zrozumienia roku czterdziestego czwartego i nie tylko.

Rok 1944 ma już olbrzymią literaturę. Różną literaturę. Do obszernej jej części pasuje ten znany dowcip: to jest prawda, ale niezupełnie. Żaluzki nie zamierzał i nie był w stanie wyczerpać tematu, lecz do jego książki nie przylega ów przysłówek „niezupełnie”. Cały zamiar autorski wymierzony jest właśnie przeciwko takim „niezupełnie”. I w tej uczciwości stawiania spraw, często tak skomplikowanych, w ambitnej próbie wywyższenia się ponad dawne emocje – leży może główny walor książki. Skłania ona do myślenia, do rozrachunków z problemami i uwarunkowaniami naszego czasu – stąd też biorą się poniższe, niepełne uwagi na marginesie książki.

Rok 1944 trwa, wrażony mocno w pamięć społeczną naszego narodu. Rok końca i początku. Śmierci i narodzin.

Druga Rzeczpospolita, ów niedoskonały twór powstały przed półwieczem, w 1939 roku nie upadła jeszcze. Najeźdźcy okupowali kraj – przeżywał on ogromny kryzys, zewnętrzny i wewnętrzny. Lecz II Rzeczpospolita, a więc układ klasowy stanowiący jego społeczną treść, świadomość, która liczne grupy społeczne wiązała z takim właśnie kształtem państwa, instytucje działające nadal czy to w podziemiu, czy na emigracji, koncepcje polityczne, związki międzynarodowe – to wszystko przetrwało katastrofę wrześnieowego huraganu. Po roku 1939 II Rzeczpospolita żyła tak w kraju, jak na emigracji. Kres jej coraz bardziej stawał się zdeterminowany, lecz warunkowały go inne czynniki. Dożywającej swych dni II Rzeczpospolitej nie brakowało ani licznych zwolenników, ani sojuszników, nie dostało jej jedynie perspektywy – a więc realnego widzenia teraźniejszości i przyszłości, precyzyjnego określenia celów i dróg ich osiągania, wreszcie warunków umożliwiających spełnienie tychże celów.

W śmiertelnych, wojennych zmaganiach rodził się nowy czas i nowy układ świata, wizja ludzi, którzy chcieli powrotu do niesprecyzowanej bliżej „przedwojny” odstawała od niego coraz bardziej. Zdeterminowana rozlicznymi, głównie klasowymi, imperatywami – II Rzeczpospolita nie była w stanie dorównać tempu wydarzeń. Istotą historii jest to, że się nieprzerwanie rozwija. Jeśli coś nie ma perspektywy, a więc nie ma możliwości rozwoju – musi pozostać przy drodze.

W „18 brumaire’a Ludwika Bonaparte’go” Marks przypomina określenie Hegla, że historia powtarza się: za pierwszym razem jako dramat, za drugim jako komedia. Gdy prawie u samego progu wojennych zapasów zabrakło, bo zabraknąć musiało, perspektywy, zastąpionej przez nadzieje na przyszłość – historię spróbowano powtarzać. Te powtórki wynikały z jednego: braku perspektywy. Nie było jej w polityce zagranicznej ani wewnętrznej, nie było w rozumieniu problemu potrzeby głębokich zmian społecznych,

próby pokolenia, z którą nie wszyscy uczciwi ludzie potrafili sobie poradzić. L. Moczulski, *Lustracja. Rzecz o teraźniejszości i przeszłości*, Warszawa 2001, s. 236.

nie było przy odpowiedzi na pytanie: jaka ta Polski ma być. II Rzeczpospolita, której centralny ośrodek dyspozycyjny znalazł się nad Tamizą, nieuchronnie przekształcała się w „londyńską Polskę”, nieuchronnie pędziła ku kresowi istnienia.

Rok 1944 stał się datą śmierci tego kształtu państwowego Polski, który wytworzył się ćwierć wieku wcześniej, a także datą graniczną dla jego treści społecznych.

Data zgonu była też datą narodzin. Niedługo przed świtem pierwszego dnia tego roku powstała w Warszawie Krajowa Rada Narodowa, w jego połowie w Chełmie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, w dniu ostatnim – Rząd Tymczasowy w Lublinie. W ciągu tych dwunastu miesięcy powstała Polska Rzeczpospolita Ludowa – choć oficjalna nazwa PRL jest o osiem lat późniejsza. Narodził się nowy, odmienny, przeciwny nawet – ale przecież w rozwoju historycznym kolejny, a więc w sensie narodowym i państwowym kontynuujący kształt państwowości polskiej. Wynikał on z warunków i układów nowych czasów, tych samych, w których nie mógł zmieścić się kształt poprzedni.

Jeśli „Polska londyńska,” mogła tylko powtarzać coś, co już minęło, a komedie potwórek prowadziły do autentycznych tragedii – to nowa Polska, Rzeczpospolita z przymiotnikiem Ludowa – musiała wszystko inicjować, wszystko tworzyć od nowa. Jej zadaniem było znalezienie miejsca dla państwa w Europie, odpowiedź na owe pytanie, „gdzie jesteśmy”, a także „gdzie być możemy”. Nie tylko w sensie geograficznym, lecz przede wszystkim w sensie politycznym. Odpowiedź, która wyznaczyła kierunek polityczny PRL, realizowany do dziś dnia – padła w roku 1944; i był to fakt dokonany, a nie postulat. Wtedy nie był znany jeszcze termin „światowy obóz socjalistyczny”, lecz właśnie w 1944 r. Polska znalazła się w jego obrębie. Wcześniej, przed rokiem 1944 można było proponować przyszły kształt społeczny Polski można było walczyć o jego realizację. Zyniono to. koncepcja Polski Ludowej sformułowana została przez PPR w roku czterdziestym drugim. Czterdziesty czwarty stał się inicjacją tego nowego kształtu, początkiem wprowadzania tej koncepcji w życie. Rozpoczął ukierunkowany rozwój społeczny, który trwa – do dziś.

Przekształcenie śmierci w narodziny stanowi najbardziej znamieny oznacznik roku 1944. Kres państwowości, której zabrakło perspektywy, a więc możliwości istnienia – łączy się z początkiem państwowości, która miała przed sobą perspektywę: jaką i jak wielką, ukazuje ostatnich blisko 25 lat.

Jest jednak dla roku 1944 jeszcze inny wyróżnik. To wtedy właśnie mamy do czynienia z największym – od września 1939 r. – nasileniem walki zbrojnej Polaków z najeźdźcą. Dziesiątki tysięcy polskich żołnierzy walczy w tym roku na każdym z frontów, na tym najważniejszym, wschodnim, który przetacza się przez kraj, i na tych ubocznych, zachodnim i południowym, które tak samo są drogą do zwycięstwa. Setki tysięcy walczy w kraju: w lasach, nad kolejowymi szlakami, w Warszawie. Turia, Puławy, Studzianki, Praga, Czerniaków. Monte Cassino, Ancona, Falaise, Breda, Arnheim. Przede wszystkim: lasy janowskie i świętokrzyskie, Rąblów i Kampinos, lasy szackie i Świnia Góra, Puszcza Rudnicka i Puszcza Jodłowa, pińczowskie i koneckie – i Warszawa.

Potężna panorama ogólnonarodowej walki, z niemieckim najeźdźcą dawała jednak obraz wewnętrznie niejednolity. Stąd też coraz wyraźniejsza dwoistość działań wyzwolńczych: walka narodowa, ogarniająca masy, splatała się z przedsięwzięciami politycznymi, wyznaczonymi nieraz przez nielicznych, a nieznanymi czy niezrozumiałymi dla ogromnej większości szeregowych uczestników akcji zbrojnych. Zjawisko to występujące i wcześniej, w 1944 r., urosło do olbrzymich rozmiarów. Akcja „Burza” stanowiła działanie zbrojne wymierzone przeciwko Niemcom i rozpalające w walkę w całym kraju – a zarazem było to działanie polityczne ugrupowania „londyńskiego” mające na celu przechwycenie w oparciu o siłę walczących mas władzy nad krajem. Powstanie Warszawskie stanowiło wspaniały, powszechny zryw ludu stolicy przeciwko okupantowi, ale w zamiarze jego głównych organizatorów miało być polityczną ripostą na utworzenie PKWN. Zdobycie Monte Cassino otworzyło drogę aliantom do Rzymu, a w zamierzeniach politycznych miało przyczynić się do otwarcia drogi z emigracyjnego Londynu do Warszawy. Ogień polskich działań nad Turią miażdżył pozycję wroga – ale politycznym rezultatem stało się wkroczenie I Armii na Lubelszczyznę, a więc Chełm i ogłoszenie Manifestu Lipcowego.

Walcząc z wrogiem, walczono o to samo – ocalenie i wyzwolenie narodu, państwa – lecz poszczególne kierunki tej walki zmierzały do czego innego. Ta dwoistość funkcji walki stanowiła zresztą największą tragedię narodową, w dodatku tragedią w ówczesnym układzie sił społecznych kraju i sytuacji międzynarodowej nieusuwalną. Cały spłot uwarunkowań klasowych, politycznych, świadomościowych, narosłe lalami animozje, obawy, nadzieje – wszystko to formowała i formować musiało linię podziału. Choć – najczęściej – po obu stronach tej linii byli tacy sami w swojej masie ludzie.

Tak niejednolita, tak sprzeczna wewnętrznie potężna fala wojny narodowej, mimo wszystko jednym biegła korytem. Walka, jej zwycięstwa i największe klęski, każda rozlana krew była wówczas – takie są warunki czasu – argumentem dla sprawy Polski. I stąd jednakowy walor wszystkich pól walki, wszystkich batalii i wszystkich walczących. Nawet tam, gdzie wynikało to z wewnętrznych rachub politycznych, miecz polski padał za każdym razem na szalę dziejów i w jakimś stopniu uchylał jej ramię swoim ciężarem. W ten sposób dawano najbardziej autorytatywną odpowiedź na pytanie: czy Polska „musi być”. Być musiała, bo była, bo krwawiła, bo nie pozwalała się zamordować. W czasie pierwszej wojny światowej dyskutowano: czy Polska może stać się niepodległym państwem? W czasie drugiej takiego pytania nie mógł postawić nikt. Istniała alternatywa: albo zastaną starte, unicestwione wszystkie składniki stanowiące materialną i moralną treść pojęcia Polska – albo musi być polskie państwo niepodległe. Rozbicie III Rzeszy i wyzwolenie przez Armię Radziecką ziem polskich spełniło podstawowy warunek rozwiązania tego dylematu, warunek konieczny, ale bez jednolitej postawy całego narodu, bez nieprzerwanej walki samosojusznicze zwycięstwo nie mogłoby jeszcze zapewnić Polsce trwałych podstaw państwowego bytu.

Prawda: był to także rok straszliwych klęsk. Samo powstanie w Warszawie rozmia-

rem narodowej katastrofy przewyższyło klęski Września. Był to rok tragedii; Polacy strzelali do Polaków. Rok 1944 stanowił przede wszystkim czas zwycięstwa – choć tak wielu tego wówczas nie dostrzegło. Nie chodzi nam głównie o zwycięstwo wojenne, bo to ostatecznie spełniło się nieco później w śródmieściu płonącego Berlina. Najważniejsze zwycięstwo nastąpiło nad Wisłą, w ogniu pożarów i kurzu krwi. Tutaj rozstrzygnięta została polska alternatywa. Walka ogólnonarodowa zadecydowała, że „Polska być musi”, a koncepcja Polski Ludowej otworzyła przed ową niezniszczalną, wieczną Polską perspektywę dalszego istnienia.

I oto minęło blisko ćwierć wieku. Sięgamy pamięcią własną i stołeczną do tamtych dni początku, do czasu, kiedy coś musiało umrzeć, aby coś mogło żyć. W zobiektywizowanym sformułowaniu historii brzmi to zimno: kształt państwowości, który nie miał perspektywy, zastąpiony został przez kształt, który miał perspektywę. Jest to prawda ale – niezupełnie. Niezupełnie, bo żywych pulsujących krwią wydarzeń nie zamknie się w werbalne formuły. Niezupełnie, bo dla nas ten rok jest nie tylko przykładem węzłowego momentu ewolucji dziejów, w której stare zawsze ustępuje nowemu i zawsze będzie ustępować. Musi. Czterdziesty czwarty nadal przyśpiesza bicie serca. Jesteśmy już innym, silniejszym – biologicznie, strukturą społeczną, psychiczną – narodem. Główna część naszego społeczeństwa urodziła się po tamtych dniach. Ta główna część – to ludzie wyżsi średnio o 8 centymetrów od ojców, mających przed sobą średnio 6 lat dłużej życia, ludzie bardziej wyprostowani i z uniesioną wyżej głową.

Wyprostowany kark, uniesiona głowa pozwalają dalej spojrzeć, więcej zobaczyć, dają perspektywę. Rok 1944 jest dla nas nie tylko czasem początku epoki, w której żyjemy. Jest czasem trudnej lecz olśniewającej nauki. Skoczek spadochronowy z ostatniej strony książki Żałuskiego był pochylony, gdy przemykał się obok wówczas niemieckiej wsi. Dziś, powtarzając jego słowa: Polska musi być! – ma wysoko uniesioną głowę. Zapłacona w czas wojny cena krwi i goryczy daje odbudowanemu społeczeństwu nową siłę.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

Dzień „W”

SYTUACJA MILITARNA¹⁶⁷

Gdy w ostatniej dekadzie lipca zapadły decyzje o wystąpieniu zbrojnym w Warszawie, sytuacja militarna tylko w małym stopniu rokowała powodzenie polskich działań powstańczych. Głównym plusem był rozwój sytuacji na froncie wschodnim. Trwająca od końca czerwca ofensywa na Białorusi i rozpoczęta w połowie lipca ofen-

¹⁶⁷ „Stolica” z 1975 r., nr 31.

sywa nad górnym Bugiem szybko doprowadziła do druzgocących zwycięstw Armii Radzieckiej.

Poza tym generalnym czynnikiem wynikającym z sytuacji ogólnej, wszystkie inne przesłanki militarne i materialne działały na niekorzyść Polaków. W Warszawie istniała znaczna dysproporcja sił między armią podziemną a zgrupowaniem niemieckiego wojska i policji obsadzających stolicę.

Okręg warszawski Armii Krajowej, dowodzony przez płk Antoniego Chruściela – „Montera” składał się z pięciu obwodów na terenie lewobrzeżnej Warszawy (Śródmieście, Żoliborz, Wola, Ochota i Mokotów), Obwodu VI obejmującego Pragę, Obwodu VII obejmującego powiat warszawski po obu stronach Wisły oraz Samodzielnego Rejonu VIII – Okęcia. Ponadto znajdowały się oddziały podporządkowane bezpośrednio Komendzie Okręgu oraz przydzielone jej zgrupowanie KEDYW KG AK. Liczebny stan zaprzysiężonych żołnierzy wynosił w pięciu obwodach lewobrzeżnej Warszawy ok. 13 tysięcy ludzi, w Obwodzie Praskim 6 tysięcy ludzi, w Obwodzie VII i Rejonie VIII niespełna 12 tysięcy ludzi. Wraz z oddziałami podporządkowanymi bezpośrednio Komendzie Okręgu oraz Wojskową Służbą Kobiet stan liczebny zaprzysiężonych wynosił ok. 49 tysięcy ludzi. Do tego dochodził jeszcze pułk „Baszta” podporządkowany KG AK, liczący ok. 2 200 ludzi oraz przybyły do Puszczy Kampinoskiej oddział cichociemnego ppor. Adolfa Pilcha – „Doliny” liczący ok. 800 ludzi. W sumie dawało to ponad 50 tysięcy żołnierzy, zorganizowanych (poza pułkiem „Baszta” i oddziałem „Doliny”) w 647 pełnych plutonów i 153 plutonów niepełnych.

Dodać do tego należy znajdujących się w Warszawie, zaprzysiężonych żołnierzy należących do innych organizacji, z których największe były Armia Ludowa i Korpus Bezpieczeństwa. Wszystkie te organizacje, w tym niektóre bardzo nieliczne – jak np. PAL – dysponowały ok. 2–3 tysiącami zaprzysiężonych ludzi¹⁶⁸.

Liczebność sił polskich była więc znaczna. Znacznie gorzej przedstawiało się uzbrojenie. W chwili podjęcia decyzji o wybuchu Powstania, wszystkie oddziały AK znajdujące się na terenie okręgu dysponowały 2 629 karabinami, 145 ręcznymi karabinami maszynowymi, 47 lekkimi i ciężkimi karabinami maszynowymi, 657 pistoletami maszynowymi, 29 karabinami i rusznicami przeciwpancernymi, 6 moździerzami, 10 granatnikami, 2 działkami przeciwpancernymi, 30 miotaczami ognia, 3 846 pistoletami, ok. 44 tysiącami granatów, 400 granatami przeciwpancernymi i ok. 12 tysiącami butelek zapalających. Wystarczało to na wyposażenia w podstawowe uzbrojenie piechoty ok. 3 500 osób. Drugie tyle uzbrojone było w zwykłe pistolety. Dla całej reszty starczało jedynie po jednym do dwóch granatów lub butelce zapalającej. Wsparcie bronią ciężką było minimalne.

Jakkolwiek osłabiony w ostatnich tygodniach przed wybuchem Powstania, garnizon niemiecki w Warszawie był znacznie silniejszy. Choć nasycenie bronią i sprzętem

¹⁶⁸ Autor wyraźnie zaznaczył dysproporcję sił między AK a AL (razem z KB i PAL) – 25:1.

było niższe od etatowego wyposażenia frontowego, Niemcy w porównaniu z powstańcami uzbrojeni byli bardzo dobrze. Nie brakowało ani uzbrojenia indywidualnego, ani też wsparcia bronią ciężką łącznie z artylerią, samochodami pancernymi i czołgami, a także samolotami. Ponadto oddziały niemieckie obsadzały starannie przygotowane do długiej obrony kompleksy gmachów.

Opracowując plan zduszenia Powstania w Warszawie, w tym celu jeszcze z końcem czerwca 1944 r. Niemcy przewidywali użycie ok. 15 tysięcy żołnierzy i wojsk lądowych, ok. 13 tysięcy żołnierzy lądowych formacji Luftwaffe, ok. 4 tysiące Waffen SS oraz ok. 4 tysiące policji; do tego dochodziło kilka batalionów SA, skupiających cywilnych pracowników niemieckich, liczących ok. 4 tysiące osób. W sumie stanowiło to ok. 45 tysięcy ludzi, dysponujących kilkudziesięcioma bojowymi wozami pancernymi i stosunkowo liczną artylerią.

Wyliczone wyżej dyspozytywy obu stron były jednak tylko zaplanowane. W rzeczywistości siły polskie i niemieckie w chwili wybuchu Powstania przedstawiały się inaczej. Na terenie całego okręgu warszawskiego w trakcie mobilizacji powstańczej stanęło do boju ok. 36 tysięcy ludzi. Wskutek błyskawicznej koncentracji – od chwili wyekspediowania pierwszych rozkazów mobilizacyjnych do godziny „W” upłynęło tylko 10 godzin – do wielu ludzi rozkazy nie zdołały dotrzeć, a inni przed rozpoczęciem walki nie mogli stawić się na miejscach zbiórek. Uwzględniając niesłychanie ciężkie warunki mobilizacji w okupowanej i obsadzonej silnie przez Niemców Warszawie, uzyskane efekty, to jest zebranie w wyznaczonych punktach dwóch trzecich zaprzysiężonych było wyczynem nie lada. Z tej ogólnej ilości na właściwym polu bitwy – w pięciu obwodach lewobrzeżnej Warszawy stało się ok. 21 tysięcy ludzi.

Wybuchem Powstania Niemcy zostali zaskoczeni o tyle, że dopiero w ostatnim momencie zdołali dostrzec przygotowania polskie i ledwo starczyło im czasu na ogłoszenie stanu alarmu.

O godzinie „W” oddziały wojsk lądowych i Luftwaffe na terenie Warszawy zamiast planowanych 28 tysięcy liczyły ledwie 11 tysięcy. Obok nich wystąpiły jednostki policji i SS liczące niespełna 6 tysięcy ludzi oraz formacje pomocnicze obejmujące ok. 3 500 ludzi. Większość SA-manów, z których planowano sformować kilka batalionów, uciekła – tak że z resztki pozostałych stworzono tylko jeden oddział. W sumie dawało to około 21 tysięcy dobrze uzbrojonych ludzi.

Nie stanowiło to jednak całości sił niemieckich, które można było użyć do walki. W ostatnich dniach i nawet godzinach lipca w rejonie Warszawy trwała koncentracja niemieckiej grupy pancernej. Pancerna dywizja SS „Totenkopf”, walcząca pod Radzyminem, pozostawiła na Pradze część sił. Walcząca razem z nią pancerna dywizja SS część sił, w tym kompanie ciężkich czołgów, w chwili wybuchu Powstania miała jeszcze w Warszawie lewobrzeżnej. Na zachodnich skrajach Woli i koło Piastowa koncentrowała się przybyła z Włoch dywizja pancernej „Hermann Goering” i przybyła z frontu 19 dywizja pancernej. Na terenie miasta znajdowały się też oddziały pobitych przez

Armię Radziecką 37 dywizji i 1032 brygady Wehrmachtu. Łącznie, na terenie okręgu warszawskiego jednostki te posiadały ok. 10 tysięcy żołnierzy, kilkadziesiąt czołgów i tyleż lekkich i ciężkich dział – nie licząc oddziałów bezpośrednio zaangażowanych w walkach z radziecką 2 Armią Pancerną Gwardii.

Oceniając generalnie, przy zbliżonej ilości ludzi, Niemcy dysponowali miażdżącą przewagą w sprzęcie, wystarczającą aby zalać krwią Warszawę i zdusić Powstanie w przeciągu kilku godzin. Oczywiście, pod warunkiem, że zestawiamy tylko siły materialne. Olbrzymia moralna przewaga Polaków spowodowała, że wydarzenia potoczyły się zupełnie inaczej.

Niemcy dysponowali planem zdławienia rozpoczynających się działań powstańczych, był on opracowany mało konkretnie, a wskutek zaskoczenia osiągniętego przez Polaków nie nadawał się on do zastosowania. Zamiast tego przystąpiono do improwizowanej obrony posiadanych obiektów i rozpaczliwego wzywania pomocy z zewnątrz.

Plan polskich działań powstańczych, przygotowywany przez kilka lat był bardzo precyzyjny. Niestety, dysproporcja sił nie pozwoliła wykonać go w całości i w większości silnie umocnionych punktów oporu Niemcom udało się odeprzeć polskie ataki. Nie przeszkodziło to faktowi, że generalne założenie planu, a mianowicie wyzwolenie miasta w jednym uderzeniu powiodło się w zasadzie. Wedle niemieckich ocen sztabowych z pierwszych dni Powstania, działania polskie jakkolwiek przeprowadzane „masą ludzi źle uzbrojonych, ale dobrze zorganizowanych”, o wyszkoleniu „bardzo dobrym w walce ulicznej, budowie barykad itp., pierwszorzędni strzelcy wyborowi” – doprowadziły do zadania „wyjątkowo poważnych” strat „całkowitego osaczenia” garnizonu niemieckiego i postawienia go w sytuacji „rozpaczliwej”. Tylko nadejście poważnych sił odsieczy dawało broniącym się w stolicy oddziałom niemieckim szansę ocalenia.

Odsiecz tę już 1 sierpnia wieczorem zaczęli montować zarówno Hitler, jak Reichsführer SS Himmler oraz szef sztabu gen. Guderian. Przez cały okres Powstania siły niemieckie walczące w Warszawie systematycznie powiększały się i to było podstawową przyczyną, która doprowadziła wreszcie do kapitulacji Powstania.

W okresie Powstania stan sił polskich ulegał zmianom. Po wybuchu powiększał się systematycznie, w drugiej połowie sierpnia osiągając liczebność ok. 43 tysięcy żołnierzy; z tego w grupie Śródmieście znajdowało się ok. 23 tysiące ludzi, w grupie północ (Stare Miasto i Żoliborz) – 14 tysięcy ludzi i w grupie południe (Mokotów) 5 tysięcy ludzi oraz dodatkowo w różnych dzielnicach ok. tysiąca ludzi należących do różnych formacji bojowych, głównie Armii Ludowej i Korpusu Bezpieczeństwa. Ponadto na terenie Puszczy Kampinoskiej i w Lasach Chojnowskich znajdowało się ok. 4 tysięcy żołnierzy podporządkowanych komendzie Okręgu Warszawskiego AK. Począwszy od końca sierpnia, wskutek wysokich strat bojowych, liczebność sił polskich zaczęła się zmniejszać i ok 1 września zorganizowane one były w 137 kompanii, 6 szwadronów i 106 plutonów; z jednostek tych sformowano następnie Korpus Warszawski w składzie trzech dywizji. W chwili kapitulacji w szeregach było 12 tysięcy powstańców,

zaś dalsze co najmniej 10 tysięcy znajdowało się w szpitalach bądź wśród cywilnych mieszkańców opuściło miasto.

Sił odsieczy niemieckiej zaczęło przybywać, począwszy od 4 sierpnia. Najpierw skierowano do walki zgrupowanie dywizyjne gen. Reinefartha i brygadę RONA Kamińskiego. Następnie sformowana została grupa korpusna gen. von dem Bacha. W sierpniu 1944 składała się ona z dwóch zgrupowań – Reinefartha i Rohra oraz pierwotnego garnizonu warszawskiego. Grupa ta była wzmocniona jednostkami artyleryjskimi, czołgów, dział szturmowych itp. Przez cały okres otrzymywała ona poważne wzmocnienia, wystarczające nie tylko dla uzupełnienia strat, ale dla zwiększenia liczebności. Wskutek bardzo wysokich strat, w większości jednostek niemieckich stan osobowy całkowicie wymieniany był trzykrotnie. Ponadto w pewnych okresach grupa korpusna von dem Bacha była wspierana przez oddziały frontowe: część III Korpusu Pancernego SS, dywizję pancerną 19, 25, Totenkopf, Viking, Hermann Goering, 73 dywizję piechoty, wschodniopruską brygadę grenadierów i liczne inne jednostki. W istocie to te jednostki frontowe, przydzielane grupie korpusnej, ostatecznie rozstrzygnęły o losie Powstania. Przykładem może być szturm Żoliborza, przeprowadzony przez wyborową 19 dywizję pancerną, wspomaganą tylko przez oddziały von dem Bacha. Dysproporcja sił, którą Niemcy mogli w każdej chwili dowolnie powiększyć, wykorzystując oddziały zdejmowane z frontu – ostatecznie zadecydowała o militarnych losach Powstania.

Leszek Moczulski

* * *

W OSACZONEJ FABRYCE KAMLERA...¹⁶⁹

Na parę godzin przed wybuchem Powstania, około południa, 1 sierpnia 1944 r., w fabryce mebli Jerzego Kamlera przy ul. Dzielnej 72 zaczęli zbierać się ziomkowie Komendy Głównej AK z komendantem głównym gen. „Borem” na czele. Pomieszczenia fabryki miały stanowić pierwsze powstańcze stanowisko dowodzenia Komendy Głównej, począwszy od godziny „W”.

Wcześniej, planując przyszłe działania zaczepne przeciwko okupantom niemieckim, zamierzano wyznaczyć stanowisko dowodzenia Komendy Głównej na Mokotowie. Lokalizacja ta została uznana za nie najlepszą i na wniosek szefa Oddziału III Operacyjnego płk. „Filipa” – Józefa Szostaka zadecydowano jej zmianę i przeniesienie na Wolę.

„Wcale nie uważałem Woli za najspokojniejszą część miasta – wyjaśnia źródła swej inicjatywy płk Szostak. – Oceniałem natomiast, że przy pierwszym uderzeniu powstańczym, żadna część miasta nie będzie spokojna i bezpieczna. Wniosek zmiany stanowiska

¹⁶⁹ „Stolica” z 1970 r., nr 35.

dowodzenia KG postawiłem ze względu na zbyt peryferyjne położenie pierwotnie wybranego miejsca na Mokotowie. Miejsce to mogło być odpowiednie przy powstaniu powszechnym, lecz nie odpowiadało warunkom Powstania tylko w Warszawie. Wniosek mój uznano za słuszny, nie przypominam sobie, by ktoś zgłaszał sprzeciw. Otrzymałem rozkaz znalezienia innego miejsca postoju. Nie było to zadanie łatwe. Konspiracyjne zgromadzenie dość licznej grupy osób nie może odbyć się w takim miejscu, w jakim mógłby zwrócić uwagę osób postronnych. Ponadto nowe miejsce postoju musiało nadawać się do zainstalowania radiostacji nadawczej. Wydawało mi się, że warunkom tym odpowiada fabryka Jerzego Kamlera przy ul. Dzielnej, zwłaszcza że personel fabryki był pewny i wypróbowany. Po uzyskaniu zgody właściciela, przedstawiłem tę propozycję na odprawie. Wybór nowego stanowiska dowodzenia został zaakceptowany przez szefa Sztabu KG gen. »Grzegorza« i zatwierdzony przez gen. »Bora« – mimo że Wola nie była uważana za najspokojniejszą dzielnicę miasta. Nowe miejsce postoju było projektowane tylko na okres pierwszego uderzenia. Po opanowaniu Warszawy przewidziane było przeniesienie dowództwa do innego, dogodniejszego lokalu¹⁷⁰.

Okolo godziny 15.00 dnia 1 sierpnia 1944 r. członkowie Komendy Głównej zbrali się już w fabryce. Osłonę KG zapewniał dowodzony przez por. »Stolarza« – Jerzego Kamlera (właściciela fabryki) pluton ze ugrupowania »Jeleń«. Pluton ten liczył 33 żołnierzy, prawie wyłącznie pracowników fabryki. Uzbrojeni oni byli w jeden erkaem, jeden pistolet maszynowy, osiem karabinów zwykłych i 40 granatów. Ponadto na terenie fabryki znajdował się duży skład butelek zapalających, materiałów wybuchowych i »filipinek«.

Zupełnie przypadkowo i w sposób nie do przewidzenia koncentracja powstańcza w fabryce przy ul. Dzielnej 72 została odkryta przez Niemców. O godzinie 16.10 pod fabrykę podjechał samochód z żołnierzami Wehrmachtu, którzy przybyli odebrać złożony tutaj wcześniej przez Niemców transport mundurów. Obsadzający bramę żołnierze por. »Stolarza«, nie znając celu pojawienia się Niemców, powitali ich strzałami. Wywiązała się walka. Włączyli się do niej natychmiast Niemcy, którzy w ilości 50 żołnierzy obsadzali fabrykę Monopolu Tytoniowego przy ul. Dzielnej 52.

W pobliżu koncentrowały się oddziały zgrupowania KEDYW-u ppłk. »Radosława«. Nieszczęśliwym zbiegiem wypadków, o tej samej mniej więcej porze, w rejonie skrzyżowania ul. Okopowej i Mireckiego wywiązała się walka między plutonem batalionu »Zośka« a Niemcami. Strzelanina na Dzielnej i Okopowej zaalarmowała wroga i w rejon ten natychmiast przybyło zmotoryzowane pogotowie policji niemieckiej, uzbrojone w broń maszynową.

Komenda Główna została osaczona. Gdyby Niemcy zorientowali się, kto jest w fabryce przy ul. Dzielnej – zapewne udałoby im się zlikwidować czy schwytać KG. Konsekwencje tego byłyby nieobliczalne.

¹⁷⁰ Por. Józef Szostak, *Moja służba niepodległej*, Warszawa 2019 (wyd. IHOO), s. 292–293.

Żołnierze por. „Stolarza” stawili twardy opór przeważającym liczebnie i uzbrojeniem Niemcom. To chyba zadecydowało o wszystkim. Mimo iż wróg napierał bardzo mocno, szturmował fabrykę z zewnątrz i starał się przedostać do jej wnętrza przez dachy – powstańcy z determinacją odpierali przeciwnika. Pełne wyjaśnienie sytuacji mogła jednak dać tylko pomoc z zewnątrz.

Dowódca zgrupowania KEDYW-u, ppłk „Radosław”, powiadomiony o osaczeniu Komendy Głównej na Dzielnej, początkowo nie był w stanie zorganizować pomocy, gdyż wszystkie jego oddziały były uwikłane w walce. Dopiero przed wieczorem udało się zorganizować odsiecz. Siły jej są trudne do ustalenia, ponieważ ppłk „Radosław” skierował na Dzielną niezależnie od siebie kilka drużyn z batalionów „Zośka”, „Parasol” i „Miotła”, tak jak pozwalała na to sytuacja.

W skład jednego z tych oddziałów wchodził podchorąży Florian Mirek – Grąbczewski ze zgrupowania „Broda”. Oto fragmenty jego relacji:

„Przed wieczorem wydzielono nas do zadania specjalnego. Poderwał nas głos »Marka«. Ustawiliśmy się wzdłuż ściany budynku i zaraz wyszedł z bramy jakiś pan w mundurze, furazerce, z peleryną na ramionach. To był legendarny dowódca dywersji – »Radosław«. Przedstawił nam zadanie: dojść do fabryki mebli na Dzielnej; ulicami posuwać się nie można, bo silny ostrzał, sprawa pilna – dotrzeć należy najspieszniej, najkrótszą drogą. Przebiegliśmy na drugą stronę Okopowej, wchodząc do jakiegoś sklepiku, dalej przez sklepik na podwórze, polem przez jakiś parkan, a następnie jakieś mieszkania, schody, a nawet i dachy. Posuwaliśmy się przy życzliwej pomocy mieszkańców, którzy niewiele pytali, a starali się odgadywać nasze życzenia. Znaleźli łom do przebicia jakiegoś miejsca, radzili, którędy posuwać się najłatwiej. Im bliżej celu, ludzie byli coraz bardziej wystraszeni, gdyż po drugiej stronie ulicy znajdowali się Niemcy. Nasz wygląd też zapewne nie był imponujący: te kapelusiki, mokasyny, płaszcze gabardynowe, a w rękach steny, mauzery, visy, erkaem. »Marek« i »Piskle« w hełmach, zdobytych parę godzin temu na Niemcach na Okopowej. Rozpoczęliśmy marsz od dachów, dochodzimy do celu piwnicami. Przez jakieś podwórze wychodzimy na ulicę i zaraz skręcamy do bramy fabryki. Zatrzymuje nas tutaj powstańcza warta. Jest już noc. Obok bramy leży dwóch zabitych Niemców. Widzimy, że była tu jakaś walka, ale Niemcy zostali widocznie odparci. Kierują nas schodami na górę, gdzie zostajemy zakwaterowani. Już na miejscu, po kolacji, dowiedzieliśmy się celu naszej eskapady. Otóż Komenda Główna AK, zakonspirowana zakładach stolarskich por. »Stolarza« (miły, równy chłop), została odizolowana od większych zgrupowań przypadkową akcją niemiecką. Naszym zdaniem było wzmocnienie stosunkowo słabej osłony”.

Przybycie grup bojowych KEDYW-u na Dzielną zlikwidowało ostatecznie dramatyczny incydent.

L. M.

* * *

BÓJ O ZAMEK¹⁷¹

Obszar położony wokół Zamku Królewskiego, rozciągający się od Nowego Zjazdu i wlotu Krakowskiego Przedmieścia w plac Zamkowy przez Kanonię, Świętojańską, Piwną oraz Jezuicką ku Rynkowi, był terenem jednej z najdłuższych i najkrwawszych walk podczas Powstania Warszawskiego 1944 r. Bój wokół Zamku rozgorzał 1 sierpnia 1944 roku po południu i trwał niemal bez przerwy do rana 2 września, to znaczy do chwili opuszczenia Starego Miasta przez oddziały powstańcze.

Przed Powstaniem właściwy gmach zamkowy bardzo poważnie zrujnowany, był całkowicie niezamieszkały i częściowo tylko służył za pomieszczenia magazynowe, m.in. dla potrzeb Rady Głównej Opiekuńczej (RGO). Jedynie na terenie tzw. kuchni królewskich, a więc w skrzydle od strony ul. Kanonia, mieszkało parę osób. Teren Zamku był zamknięty, ale nie obsadzony przez Niemców. Natomiast poniżej skarpy zamkowej, na tzw. podzamczu znajdowała się stała pozycja niemieckiej artylerii przeciwlotniczej; okopana tutaj bateria miała zapewnić obronę mostu Kierbedzia przed nalotami. Kilka dni przed wybuchem Powstania w tzw. Domu Schichta, obok mostu nad samą Wisłostradą, rozkwaterowały się dwie kompanie Wehrmachtu dowodzone przez kpt. Tennera. Koncentracja powstańcza przeprowadzona na tym obszarze odbyła się bez dramatycznych wydarzeń, ale tylko część żołnierzy zdołała na czas stawić się na wyznaczone punkty, a i tak dla większości z nich nie było broni. Dowódca Rejonu I mjr Róg – Stanisław Błaszczyk (Rejon I obejmował Stare i Nowe Miasto, okolice Krakowskiego Przedmieścia i Powiśle aż po most Poniatowskiego) w chwili wybuchu Powstania został odcięty w rejonie pl. Żelaznej Bramy i dopiero trzeciego dnia dotarł do swych oddziałów. Brak dowódcy całości nie wpłynął zresztą na walkę powstańczą: pierwsze uderzenie poszczególnych zgrupowań wykonane zostało zgodnie z ustalonymi poprzednio planami, a następnie dowódcy zgrupowań wykazali należytą inicjatywę; mjr Róg przybył na miejsce już po opanowaniu Starego Miasta w całości i na rozkaz dowódcy Grupy „Północ” płka Wachnowskiego – Karola Ziemskiego (grupa ta obejmowała poza Starym Miastem również Żoliborz i oddziały w Kampinosie) objął dowództwo południowo-wschodniego odcinka staromiejskiego frontu.

Bój w rejonie Zamku rozpoczął się dokładnie o godzinie V. Kompanie ppor. Wilka i por. Zawiny ze zgrupowania rtm. „Bończy” – Sobieckiego uderzyły od strony pl. Zamkowego przez Nowy Zjazd w kierunku Mostu Kierbedzia. Niemcy nie dali się zaskoczyć, kompanie kpt. Tennera i obsługa baterii przeciwlotniczej wsparte kilkoma czołgami, powitały powstańców ogniem. Atak załamał się krwawo, poległo około 40 powstańców. Oddziały polskie zmuszone były opuścić plac Zamkowy, obsadzając wyloty staromiejskich ulic: Podwała, Piwnej, Świętojańskiej i Kanonii, wysuwając cza-

¹⁷¹ „Stolica” z 1971 r., nr 31.

ty w ruiny Zamku. Niemcy natomiast obsadzili Krakowskie Przedmieście i Wisłostradę, pierwszej powstańczej nocy podpalając Mariensztat.

Pozycje te utrwaliły się na całą pierwszą połowę sierpnia. Niemcy w tym czasie nie byli w stanie podjąć uderzenia na Stare Miasto i jedynie pragnęli utrzymać w swym ręku arterię przelotową od mostu Kierbedzia przez Nowy Zjazd i Krakowskie Przedmieście w kierunku Królewskiej i pl. Saskiego. Powstańcy natomiast byli zbyt słabi, aby pokusić się o jej zdobycie; oddziały polskie ograniczały się więc do wykonywania napadów ogniowych na wroga i na utrzymaniu własnych, niewygodnych dla przeciwnika pozycji. Walki, na ogół intensywne, trwały przez cały ten czas pierwszych dwu tygodni Powstania, gdy niemal całe Stare Miasto było jeszcze dzielnicą stosunkowo spokojną.

Przez pierwsze dni Powstania siły polskie znajdujące się w rejonie Zamku krzepły i krystalizowały swą obronę. W walkach brały udział oddziały z batalionu „Wigry”, 104 kompanii syndykalistów, zgrupowania rtm. Bończy, OWPPS, a po 4 sierpnia także AL. Ponieważ właściwy front obrony biegł skrajem Starego Miasta, Zamek formalnie pozostawał strefą niczyją. Dzień w dzień zapuszczały się jednak w jego ruiny patrole polskie, rażąc ogniem wroga znajdującego się na Nowym Zjeździe. Niemcy w tym czasie nie próbowali obsadzić Zamku, ostrzeliwali jednak intensywnie jego ruiny. Już w pierwszych dniach Powstania ogniem dział czołgowych zdruzgotali Wieżę Grodzką.

Pierwsze większe natarcie niemieckie na rejon Zamku i pl. Zamkowego miało miejsce dopiero 8 sierpnia. Po obsadzeniu ul. Koziej, nieprzyjaciół próbował w nocy przedrzeć się na tyły polskich barykad, zamykających od strony Krakowskiego Przedmieścia i pl. Zamkowego ulice: Miodową i Piwną. Doszło do dramatycznej walki. Powstańcy z batalionu „Gustaw” pokonali jednak napierającego wroga; na ul. Piwnej walczył pluton ppor. Smagi – Feliksa Murawy ze 104 kompanii; zginął tutaj dzielny kpr. pchor. Wicher – Henryk Weiss.

Trzy dni później, 11 sierpnia, Niemcy ponowili zdecydowane uderzenie. Silny oddział piechoty niemieckiej, wsparty dwoma czołgami, atakował od strony Mariensztatu i Wisłostrady przez plac Zamkowy, przez ruiny Zamku, wprost spod skarpy na domy przy ul. Kanonia. Na terenie samego Zamku doszło do boju, wróg wdarł się na Kanonnię. Powstańcy z batalionu „Wigry” i kompanii szturmowej ppor. Smagi powstrzymali przeciwnika, a następnie przeciwnatarciem odrzucili Niemców poniżej skarpy. Następnego dnia, 12 sierpnia, wróg wznowił atak o samym świcie. Ogniem dział czołgowych rozbita została barykada zamykająca ulicę Świętojańską, a piechurzy niemieccy wtargnęli do Zamku. Dalszy atak wroga został jednak powstrzymany, a gdy patrol polski, który przedostał się do Zamku, obrzucił granatami Niemców w bramie zamkowej, wycofali się oni pospiesznie. Nie opuścili jednak całkowicie ruin Zamku, otrzymując w swych rękach południowe skrzydło. Równocześnie powstańcy kontrolowali teren zamkowy od strony Kanonii. Zamek przedzielony został w ten sposób linią frontu.

13 sierpnia wróg próbował szczęścia dwukrotnie. Rano i przed południem Niemcy atakowali, ostatecznie bez powodzenia, wyloty Podwała i Piwnej – gdzie walczyli

żołnierze batalionu „Gustaw” i batalionu AL kpt. Hiszpana oraz batalionu „Wigry”. Po raz drugi tego dnia, przed wieczorem wróg wykonał nagle uderzenie czołgami; i ono zostało odparte, trzy wozy bojowe wroga wycofały się, jeden, niewielki czołg typu PzKw I, został zdobyty przez powstańców. Był to ten sam czołg, który wprowadzony na Stare Miasto, eksplodował na ul. Kilińskiego, zabijając 300 osób.

Począwszy od 14 sierpnia, gen. von dem Bach rozpoczął bezpośredni szturm na Stare Miasto. Od tej pory przez dwa i pół tygodnia trwać będzie walny bój o tę dzielnicę. Siły polskie, dowodzone przez płka Wachnowskiego, liczą około 7 000 ludzi (stan wyjściowy), w części tylko uzbrojonych. Przeciwnik angażuje w walkę około 10 tys. ludzi, uzbrojonych po zęby, i w przeciwieństwie do Polaków, mających pod dostatkiem amunicji. W rejonie Zamku nacierać ma w kierunku Rynku zgrupowanie dowodzone przez gen. Dirlewangera.

Główny atak wroga na Stare Miasto kieruje się od zachodu, ale również na południowym froncie, w rejonie placu Zamkowego, walki intensyfikują się. Czołgi niemieckie wjeżdżają na plac, ogniem swych dział próbując rozbić barykady powstańcze. Por. Żarłok – Ryszard Suski dowódca jednego z dwu walczących tutaj oddziałów AL, ginie od serii karabinu maszynowego. Rozpoczęty wkrótce potem atak niemiecki na Kanonię załamuje się w ogniu kompanii szturmowej batalionu „Wigry”.

15 sierpnia wyczerpany dotychczasowymi walkami Niemcy tracą wyraźnie na aktywności, lecz już następnego dnia wznawiają szturm. Przed samym wieczorem pozycje polskie w rejonie Zamku znalazły się pod huraganowym ogniem wroga. Tuż przed zmierzchem ruszył kolejny strum wroga na barykady Świętojańskiej, Piwnej i Podwała. Po dramatycznym boju wróg musiał się jednak cofnąć. Cały następny dzień pozycje polskie w tym rejonie były intensywnie bombardowane. Niemcy zastosowali nową taktykę, rozpoczynając atak dopiero po zmierzchu; sądzili zapewne, że całodzienny ostrzał wyczerpał siły polskie. Jednemu z oddziałów wroga, nacierających przez Zamek, udało się wdrzeć na Kanonię. Walka toczyła się w niesamowitej scenerii płonącej katedry. Ostatecznie grupy powstańców z batalionu „Wigry”, zgrupowania Bończy i 104 kompanii pokonały przeciwnika, zmuszając go do ucieczki. Następnego dnia, 18 sierpnia, wróg atakował jednak bezustannie. Od ciągłego ognia armat czołgowych i moździerzy niemieckich rozbite zostały wszystkie kamieniczki staromiejskie przy placu Zamkowym, a także zachodnie skrzydło Zamku z Wieżą Zygmuntowską, którego zrujnowany korpus stał dotąd. Falowe ataki niemieckie kierują się na katedrę, przy czym do najbardziej dramatycznej walki dochodzi na Kanonii. Zażarte walki toczą się również na Świętojańskiej, Piwnej, Podwału i Miodowej. Mimo iż powstańcom udało się zniszczyć jeden czołg na placu Zamkowym, a drugi uszkodzić oraz zatrzymać natarcie niemieckiej piechoty – nie są oni w stanie wyprzeć wroga całkowicie.

Rejon katedry stał się jednym z najkrwawszych i najważniejszych punktów toczącej się bitwy o Stare Miasto. Niemcom udało się wdrzeć do środka katedry, ale nie potrafili wyprzeć z niej Polaków. Tego samego dnia 19 sierpnia wróg rozbił niektóre polskie

punkty oporu na skraju placu Zamkowego, a nazajutrz zmusił oddziały powstańcze do opuszczenia zrujnowanych już domów u zbiegu Podwała i Senatorskiej. Obronę trzeba było oprzeć o drugą barykadę, zamykającą Podwałę. Wytrzymała ona podejmowane w ciągu dnia szturm, podobnie jak utrzymane zostały barykady przegradzające Piwną i Świętojańską. Nieprzerwanie trwała walka o katedrę. Wdarł się tam nowy oddział niemiecki, nacierający od strony Kanonii. Wewnątrz gmachu doszło do morderczej walki i ostatecznie grupę niemiecką zniszczono granatami i miotaczami płomieni.

21 sierpnia walka o katedrę weszła w swe apogeum. Niemcy nacierali od strony Zamku. W południe czołg niemiecki ustawiony w bramie łączącej podwórzec główny z kuchennym rozbił ogniem swego działu barykadę na Kanonii. Samobieżna mina Goliat rozbiła ścianę południowej nawy świątyni. Przez ten wyłom do wnętrza katedry wdarł się czołg osłaniający grenadierów pancernych. Podjęte natychmiast przez żołnierzy z batalionu „Wigry” natarcie nie tylko powstrzymało wroga, lecz zmusiło go do ucieczki. Ponieważ czołg nie mógł się wydostać z katedry, załoga opuściła go i zbiegła. Niemcy zamknęli jednak ogniem broni maszynowej wszystkie dojścia do czołgu, tak że nie można go było zniszczyć. Wieczorem Niemcy ponowili atak, wdarli się znów do nawy, lecz musieli się wycofać. Jedyńm ich zyskiem pozostało wycofanie czołgu.

Natarcie polskie na Dworzec Gdański, podjęte w nocy z 21 na 22 sierpnia, choć nie dało powodzenia, osłabiło jednak intensywność ataków niemieckich. Polskie działania ze Śródmieścia, które przyniosły zdobycie kościoła Świętego Krzyża i gmachu MSW oraz zadały straty niemieckiej załodze uniwersytetu, spowodowały, że zgrupowanie Dirlwengera nie mogło angażować się całością sił przeciwko Staremu Miastu. Trwały jednak walki, zwłaszcza przy katedrze. Dopiero jednak po południu 23 sierpnia wróg przeprowadził silniejszy atak, zdobywając dwa domy na Podwalu, na rogu pl. Zamkowego i Senatorskiej. Przed zmierzchem przeciwnik opuścił je jednak.

Rozpoczął się ostatni etap boju o Stare Miasto. Wyczerpane oddziały powstańcze, borykające się z niedostatkiem amunicji, nie miały już szans, aby złamać szturm wroga. Broniły się jednak z determinacją. Walka w rejonie katedry trwała niemal bez przerwy. 26 sierpnia reduta ta o mało nie padła. Broniący jej oddział ppor. Korwina z batalionu „Wigry” po nieprzerwanej czterodniowej walce, wykrwawiony i dysponujący resztkami amunicji, wycofał się. Rychło jednak na rozkaz mjr. Roga został zawrócony, a na pomoc pospieszyły mu grupy powstańców ze 101 kompanii. Polacy ponownie obsadzili zakrystę, później zdobyli zbudowaną przez Niemców barykadę w wielkiej nawie i kaplicę Baryczków; nie udało się jednak wyprzeć wroga z katedry. Polska barykada na Kanonii, zamykająca drogę do ul. Jezuickiej, broniła się wytrwale, resztkami sił.

Następny dzień przyniósł jeszcze dramatyczniejsze wydarzenia. Już wczesnym rankiem Niemcy zyskali pewne postępy w katedrze, a wkrótce potem zdobyli kaplicę Baryczków. Przed południem przeciwnatarcie polskie wyparło wroga z nawy głównej, ale Niemcom przysły w sukurs posiłki. Ciężki czołg znów wdarł się do środka, a grenadierzy pancerni zdobyli prawie cały gmach. Przeciwnatarcie dowodzone rzez

rtm. Bończę przyniosło początkowo powodzenie, ale ostatecznie załamało się w nawie głównej. Padł ciężko ranny Bończa.

Równocześnie inny oddział niemiecki wdarł się Piwną do kościoła Św. Marcina i ruin paru domów na Podwalu. Ataki polskie zmusiły wroga ostatecznie do wycofania się z tych pozycji. W nocy na 28 sierpnia ostatnią próbę odbicia całej katedry podjął osobiście major Róg. Na czele dwu plutonów z 101 i 1112 kompanii ruszył do ataku. Nacierające oddziały polskie nie uzyskały jednak powodzenia. Po wielogodzinnym boju katedrę trzeba było opuścić. W ten sposób Niemcy otwarli sobie drogę do Rynku.

Nie była to jednak droga łatwa. Wyloty ulic na Rynek były obsadzone przez powstańców przeciwnatarcie 104 kompanii na kościół Jezuitów (stojący przy katedrze) przyniosło powodzenie.

Ogólna sytuacja była już beznadziejna. W tym samym czasie, gdy oddziały mjr Roga powstrzymywały natarcia niemieckie od katedry w stronę Rynku, podjęta została wielka próba rozerwania obręczy niemieckiej wokół Starego Miasta i otwarcia drogi do Śródmieścia. Próba ta nie powiodła się. Płk Ziemiński postanowił więc przeprowadzić ewakuację kanałami. Rozpoczęła się ona 1 września.

Tego dnia oddziały mjr. Roga stoczyły swój ostatni większy bój. Około południa siły gen. Dirlwängera rozpoczęły natarcie wzdłuż Piwnej, Świętojańskiej i Jezuickiej, aby przebić się na Rynek. Atak ten został powstrzymany. Po południu jednak gdy część oddziałów zesła już ze stanowisk, w związku z wyznaczoną ewakuacją Niemcy ponowili natarcie. Udało im się wdrzeć na Rynek. Tutaj jednak w ogniu dwu polskich karabinów maszynowych ponieśli wysokie straty i rzucili się do ucieczki. Zarządzone natychmiast przeciwnatarcie polskie wyparło wroga ponownie na Świętojańską i Jezuicką.

Ostatnie strzały w tym rejonie padły 2 września przed świtem, po czym oddziały polskie wycofały się. Tej nocy Niemcy obalili Kolumnę Zygmunta. Bryła Zamku zrujnowana już była w połowie: skrzydło zachodnie prawie że nie istniało. Pozostał jednak jeszcze Dwór Większy i Wieża Władysławowska oraz części innych skrzydeł.

Te ostatnie pozostałości Zamku zastały przez Niemców wysadzone w powietrze na przełomie listopada i grudnia.

Leszek Moczulski

* * *

ETAPY BURZENIA ZAMKU¹⁷²

W chwili wybuchu Powstania Zamek Królewski był poważnie zrujnowany, ale bryła jego pozostała nienaruszona. Gmach był częściowo wypalony, pozbawiony okien, a na-

¹⁷² „Stolica” z 1971 r., nr 31.

wet futryn, wnętrza zostały niemal całkowicie zrujnowane, niektóre stropy zawaliły się, dach ocalał tylko częściowo – ale sam korpus pozostał w zasadzie cały.

Najnowsze ustalenia prowadzą do wniosku, że burzenie Zamku przez Niemców odbyło się w kilku etapach. Podważa to dość popularny pogląd, że bryła Zamku wysadzona została przez Niemców jednorazowo. Data tego wysadzenia jest zresztą sporna. Na ogół twierdzi się, że nastąpiło to w pierwszych dniach grudnia 1944 r., przy czym najczęściej konkretyzuje się datę na 3 lub 6 grudnia. Równolegle wysuwana jest teza, że wysadzenie w powietrze korpusu Zamku nastąpiło już w końcu listopada, zapewne 27 XI 1944 r.

Analiza zdjęć fotograficznych dokonywanych podczas Powstania uzupełniona krytycznym zbadaniem relacji skłania nas do wysunięcia tezy, że bryła Zamku została zniszczona w co najmniej

dwu, a nawet trzech fazach. Jeszcze w sierpniu 1944 r., podczas walk o Stare Miasto, Niemcy zadali poważne straty korpusowi Zamku. Jako jedna z pierwszych została prawie całkowicie zburzona Wieża Grodzka, a wkrótce potem rozbito skrzydło południowe – od strony obecnej Trasy W-Z. Nie później niż do początków września zburzona została prawie całkowicie północna część skrzydła frontowego – od Wieży Zygmuntowskiej w kierunku Starego Miasta. W tym samym mniej więcej czasie zburzono skrzydło północno-wschodnie od strony Wisły o rokokowej elewacji. Wszystkie te zniszczenia dokonane wskutek bombardowań, ostrzału dział czołgowych i moździerzy nie były spowodowane potrzebami wojskowymi. Zamieszczony na str. 4 niniejszego numeru artykuł wyjaśnia, że Zamek nie stanowił reduty obronnej powstańców i na jego terenie doszło tylko do mniejszych starć. Niemcy burzyli Zamek z przyczyn pozawojskowych.

Po tej pierwszej fazie burzenia Zamku, trwającej jeszcze podczas walk o Stare Miasto, w następnym okresie, ale przed końcem września Niemcy praktycznie zrównali z ziemią ocalałe części skrzydła frontowego wraz z pozostałą jeszcze resztą Wieży Zygmuntowskiej. W tym samym czasie zburzono skrzydła południowe, północno-wschodnie i północne.

Po upadku Powstania, z początkiem października, w stosunkowo dobrym stanie zachował się korpus Dworu Więszego (skrzydło południowo-wschodnie) wraz z Wieżą Władysławowską oraz Biblioteka Stanisławowska. Ostateczne wysadzenie w powietrze resztek Zamku miało miejsce na przełomie listopada i grudnia. Trudno uznać którąkolwiek z wymienianych dat za ustaloną ostatecznie i niewątpliwie.

Zamek został zrównany z ziemią przez Niemców nie jednorazowo, proces ten trwał dłużej, od pierwszej połowy sierpnia do początków grudnia 1944 r. Względy wojskowe nie wymagały burzenia Zamku, zniszczenia w lwiej części nie były też następstwem toczonych walk.

Niemcy po prostu realizowali jedynie decyzję zagłady Zamku, zapadłą jeszcze w 1939 r.

Data zburzenia kolumny Zygmunta nie jest również ostatecznie ustalona. Według niektórych źródeł miało to nastąpić pod koniec sierpnia. Według innych później, nawet w połowie września. Najbardziej wiarygodna wydaje się informacja podana współcześnie przez prasę powstańczą, że obalenie i zniszczenie Kolumny miało miejsce w nocy z 1 na 2 września 1944 r. Natomiast prawie wszystkie relacje zgodne są co do tego, że zburzenie Kolumny Zygmunta nastąpiło w rezultacie celowego ostrzeliwania jej przez działą z czołgu. I ten barbarzyński czyn nie miał żadnego uzasadnienia wojakowego, a nawet wręcz przeciwnie – zniszczona Kolumna utrudniała ruch niemiecki na placu Zamkowym.

L. M-ski

* * *

WYZWALANIE WARSZAWY¹⁷³

Króregoś z ostatnich dni lipca 1944 r. na placu Grzybowskim rozegrała się następująca scena: samochodem osobowym DKW podjechał jakiś folksdojcz na zakupy; gdy odezwał się niegrzecznie do sprzedawczyni, wokół zebrał się tłumek ludzi, rzucających niepochlebne uwagi o przedstawicielu „rasy panów”. W pewnym momencie do środka przycisnęło się trzech młodych mężczyzn. Jeden odsłonił marynarkę, pokazując pistolet, zaś folksdojcz piskliwym głosem zaczął błagać o litość. Tuż obok koncertowała właśnie uliczna orkiestra. Wezwano grajków. Orkiestra odegrała „Jeszcze Polska”, tłum stał na baczność, a folksdojcz klęcząc bił czołem o płyty chodnika. Potem wydano mu pokwitowanie rekwizycyjne samochodu i kazano piechotą uciekać do Rzeszy. Przez Warszawę cofała się rozbita armia niemiecka. Brudni, nieogoleni żołnierze. Całe rzędy zaprzęgów konnych, biednych chłopskich furek.

Od czasu do czasu pojawiały się nawet wielbłądy, z radością witane przez warszawiaków. W tych kolumnach rzadko można było zobaczyć samochód, a jeśli już, to napędzany hulegą. Żołnierze niemieccy ponuro i jakby ze strachem spozierali na wypełniający chodniki tłum widzów. Może byli wśród nich tacy, którzy 5 października 1939 roku uczestniczyli w niemieckiej „paradzie zwycięstwa” w Alejach Ujazdowskich? Teraz wlekli za sobą nogi, idąc w niemieckiej paradzie ucieczki i klęski Alejami Jerozolimskimi.

Taka była sceneria prologu do wielkiego i trudnego wydarzenia historycznego, jakim stało się wyzwolenie Warszawy.

1

Warszawa nie została wyzwolona od jednego razu, był to proces długi i dramatyczny. Kres okupacji najpierw przeżyli mieszkańcy południowej części obecnej dzielnicy

¹⁷³ „Stolica” z 1974 r., nr 31.

Praga Południe. W dniach 30 i 31 lipca od południa nadeszły tutaj czołgi radzieckiego 16 korpusu pancernego gwardii. Osiągnęły one linię przebiegającą przez osiedla Międzyzylesie, Żerzeń i Zbytki. 1 sierpnia o godzinie 5 rano dalsze natarcie tego korpusu zostało zatrzymane rozkazem dowódcy 2 armii pancernej; ustalił to polski historyk wojskowości płk Wołoszyn na podstawie dokumentów udostępnionych mu w centralnym archiwum Ministerstwa Obrony ZSSR. Powstrzymanie natarcia radzieckiego w kierunku Grochowa i Saskiej Kępy (gdzie już docierały patrole rozpoznawcze, podobnie jak na Żerań) spowodowane zostało bardzo trudną sytuacją 3 korpusu pancernego gwardii, z trudem odpierającego koncentryczne ataki niemieckie pod Radzyminem¹⁷⁴.

Tak wyglądał pierwszy, najkrótszy i najmniej dramatyczny etap wyzwalań Warszawy. W końcu lipca obszerny szmat miasta w jego obecnych granicach rozciągający się od Falenicy i Błot aż po przedpola Anina i Goławia stał wolny od niemieckiej okupacji.

2

Godzina „W” – czyli godzina 17.00 dnia 1 sierpnia 1944 r. rozpoczyna drugi, najdłuższy i najkrwawszy, tragiczny przez swój epilog etap wyzwalań Warszawy. Strzały, które tego sierpniowego popołudnia rozniosły się nad całym miastem, pożary, które od pierwszej powstańczej nocy oświeślały całe miasto, głosiły całemu światu: Warszawa wolna. Wiemy, rzecz to odrębna, że rząd emigracyjny w Londynie i jego krajowe ekspozytury z zarządzeniem akcji „Burza” w Warszawie wiązał określone plany polityczne. Zepchnięte one jednak zostały na margines historii¹⁷⁵. Akcja „Burza” w Warszawie już w pierwszej swojej godzinie przekształciła się w powszechne powstanie ludowe.

Pierwszy szturm powstańczy na obsadzone przez Niemców obiekty powiódł się tylko w niewielkim stopniu. Garnizon okupanta w Warszawie potężniejszy od sił powstańczych, obronił się i nie dał zniszczyć. To prawda. Ale prawdą również jest, że już 1 sierpnia wieczorem Warszawa jako całość – w granicach swej zwartej zabudowy – była wolna. Symbolizowała to biało-czerwona flaga, powiewająca na szczycie Prudentialu – i tysiące takich samych flag wywieszonych na tysiącach domów. Wewnątrz tego zwolonego miasta broniły się niemieckie punkty oporu.

¹⁷⁴ W tym czasie uważano, że skoro ofensywę sowiecką zatrzymano o 5-tej rano w dniu 1 VIII 1944 r. (a więc przed wybuchem Powstania), to przyczyną tej decyzji nie mogło być Powstanie (coś, co nastąpiło później nie mogło być przecież przyczyną tego, co nastąpiło wcześniej). Uważano więc, że powodem były niepowodzenia Armii Czerwonej pod Radzyminem. Było to jednak błędne rozumowanie, o czym dalej.

¹⁷⁵ Moczulski podkreślał, że decyzję o rozpoczęciu walki w Warszawie podjęły władze cywilne, nie wojskowe i były to władze w Londynie, nie w Warszawie. Komendant Główny AK w porozumieniu z Delegatem Rządu ustalił jedynie dzień i godzinę rozpoczęcia walki (zob. M. Furdyna, M. Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego*, s. 282-283). Stwierdzenie w tekście o „zepchnięciu na margines historii” dotyczyło władz cywilnych w kraju i na emigracji, zdominowanych przez przedwojenne stronnictwa opozycyjne.

W tych pierwszych dniach sierpnia stolica była wolna po obu stronach Wisły. Niemcom udało się jednak utrzymać w swych rękach mosty. Rozdzieliło to silne oddziały powstańcze na lewym brzegu od słabych na prawym. Powstanie na Pradze trwało krótko. Już pierwszego i drugiego dnia Niemcy uzyskują kontrolę nad kluczowymi rejonami i arteriami na Pradze centralnej.

Nieco inaczej rozgrywa się sytuacja na peryferiach. W niektórych osiedlach nie ma Niemców, lecz nie ma również powstańców. W innych grupy powstańcze zachowują się równie biernie, jak znajdujący się w pobliżu Niemcy: tak jest na przykład na Bródnie. Z czasem jednak Niemcy obsadzają całą Warszawę prawobrzeżną, a ostatnie grupy powstańcze przechodzą do konspiracji. Następuje to do 10 sierpnia: począwszy od tego dnia, cała Praga znów jest w rękach Niemców.

Inaczej rozgrywa się sytuacja w lewobrzeżnej Warszawie. Do 4 sierpnia inicjatywa jest w rękach powstańczych i jedna po drugiej padają okrążone pozycje niemieckie. Niestety, nie w całej Warszawie. Żoliborz zostaje przejściowo opuszczony przez prawie całość sił powstańczych, które dopiero po dwu dniach wracają z Kampinosu, obsadzając znów dzielnicę. Na Ochocie szturm powstańczy załamuje się i oddziały polskie odchodzą do Lasów Kabackich; tylko dwie izolowane grupy długo się będą jeszcze bronić. Stare Miasto, Śródmieście, Wola, Mokotów, a także i Żoliborz w swojej przeważającej części zostają wyzwolone.

5 sierpnia Niemcy rozpoczynają szturm Warszawy. Kieruje się on na dwie dzielnice: Wolę i Ochotę. Uderzenie na Ochotę wymierzone jest nie tyle przeciwko powstańcom, ile cywilnej ludności; próby ataków z Ochoty do Śródmieścia zostają zatrzymane przez polską obronę.

Główny bój toczy się na Woli. Niemcy usiłują przebić sobie tędy drogę do Wisły, ku mostowi Kierbedzia. Oddziały powstańcze zarówno wolskiego obwodu AK, jak Armii Ludowej i skierowanego tutaj zgrupowania Kedywu KG AK, toczą trudny bój. 11 sierpnia zostaje on zakończony, polskie oddziały cofają się ku Staremu Miastu. Później rozpoczyna się bój walny o Stare Miasto. Próby odsieczy podejmowane ze strony Żoliborza, po części przez oddziały przybyłe z Puszczy Kampinoskiej – nie dają sukcesu. Stare Miasto trwa jednak, bronione przez żołnierzy AK i AL waz innych mniejszych formacji. Wraz z upływem dni sytuacja staje się beznadziejna. Ostatecznie żołnierze powstańczy, po nieudanej próbie przebicia się do Śródmieścia (przedostał się tylko jeden oddział), przechodzą kanałami do innych rejonów miasta, zaś 2 września Niemcy zajmują dzielnicę.

Zaraz potem rozpoczyna się krótkotrwały, ale krwawy bój o Powiśle. Niemcy zdobywają jego część centralną i odcinają oddziały powstańcze na Czerniakowie od Śródmieścia.

Tak kończy się drugi etap wyzwalań Warszawy. Po początkowym sukcesie, wobec naporu przeważających sił wroga, powstańcy zmuszeni są oddać pokaźny szmat miasta: całą część prawobrzeżną oraz Wolę, Ochotę i Stare Miasto. Nadal jednak większa część

centralnych rejonów Warszawy pozostaje w rękach polskich. Tyle że sytuacja Powstania jest już prawie beznadziejna: Komenda Główna AK prawie że zdecydowana jest już na zaprzestanie walki i kapitulację.

3

Huk dział, który o świcie 10 września nadbiega ze wschodu, ogłasza trzeci etap wyzwolenia Warszawy. W kierunku Pragi rusza ofensywa dwóch armii radzieckich: 47 i 70 armii polowej. U ich boku walczy 1 dywizja im. Tadeusza Kościuszki wślawniona pod Lenino, Dęblinem i Puławami, na Przyczółku Magnuszewskim. W ciągu czterech dni oddziały radzieckie i polskie łamią opór wroga. 14 września walki przenoszą się do centrum Pragi i tego samego dnia front wschodni dociera do warszawskiego brzegu Wisły.

W tych bojach ważną rolę spełnia polska dywizja. Najpierw walczy ona na skrajach Grochowa, później na wschodnich przedpolach Pragi, wreszcie przez sam środek dzielnicy dociera do Wisły.

14 września prawie cała Praga – poza swoim północnym skrajem – jest już wolna. Taki efekt przynoszą działania radzieckie i polskie w trzecim etapie wyzwolenia Warszawy.

4

15 września, gdy na lewym brzegu Wisły ląduje pierwsza ekipa zwiadowców z 1 dywizji ludowego WP, rozpoczyna się kolejny, czwarty etap wyzwolenia Warszawy. Może najbardziej dramatyczny. Spiesznymi marszami docierają do Pragi dywizje 1 armii ludowego Wojska Polskiego. Podjęta zostaje decyzja natychmiastowego forsowania rzeki z marszu. Do tych działań zostają skierowane dwie polskie dywizje i brygada kawalerii.

2 dywizja zdobywa niewielki przyczółek na Kępie Potockiej, ale nie udaje jej się nawiązać łączności z siłami powstańczymi na Żoliborzu. Główne walki prowadzone są na Przyczółku Czerniakowskim, obsadzonym przez siły powstańcze. W kilku rzutach lądują tutaj oddziały 3 dywizji. Niemcy koncentrują tu jednak wszystkie siły. Próba forsowania rzeki między mostami Poniatowskiego i Średnicowym, mimo początkowego powodzenia, kończy się masakrą oddziałów polskich przeprawionych na zachodni brzeg rzeki.

Blisko dwa tygodnie toczą się zażarte walki o przyczółki. Tuż obok siebie odpierają uderzenia niemieckie żołnierze 1 armii i powstańcy warszawscy. Niestety, mimo uporczywie ponawianych wysiłków odsieczy dla Warszawy, sukces osiągają Niemcy. 22 września zapada decyzja przerwania operacji desantowej. Zdziesiątkowane oddziały 1 armii i siły powstańcze ewakuują się z wielkimi stratami na prawy brzeg Wisły albo kanałami na Mokotów. Niemcy zdobywają przyczółki.

5

Piąty etap tej wielomiesięcznej heroicznej bitwy o Warszawę to uporczywe trwanie sił powstańczych w Śródmieściu, na Żoliborzu i Mokotowie, a następnie kolejne upadki tych dzielnic. Niemcy ściągają nowe siły, w tym dywizję pancerną. Najpierw zaczyna się szturm Mokotowa. Po dwudniowym krwawym boju dzielnica pada, a rozbite siły powstańcze kanałami przedostają się do Śródmieścia.

Teraz uderzenie niemieckie kieruje się na Żoliborz. Znowu dochodzi do wyjątkowo krwawego boju. W sytuacji, gdy dzielnica jest już prawie w całości opanowana przez wroga, Komenda Główna AK decyduje się na ogólną kapitulację. Pierwszym etapem tej kapitulacji jest oddanie Żoliborza. Niewielka część powstańców dzięki zorganizowanej przez Armię Ludową akcji przebija się jednak do Wisły i przedostaje na Pragę.

2 października, po 63 dniach walk powstańczych, w Ożarowie podpisana zostaje kapitulacja całej lewobrzeżnej Warszawy. Tak kończy się piąty etap bitwy o Warszawę.

6

Front stanął na Wiśle, ale nie stanął w Warszawie. W październiku oddziały radzieckie i polskie znowu wznowiają natarcie, tym razem na północ. W ciągu kilku dni bojów, do 27 października Niemcy zostają wyparci z północnych rejonów Pragi. Od tej chwili cała prawobrzeżna Warszawa jest wolna. Te działania stanowią szósty etap wyzwalań Warszawy.

Z końcem jesieni 1944 r. sytuacja jest następująca: cała Warszawa na wschód od Wisły jest wolna. Mimo niemieckiego ostrzału, organizuje się tutaj normalne życie działają władze i urzędy, ukazuje się codzienna gazeta – „Życie Warszawy”. Obsadzając linię Wisły żołnierze polscy przygotowują się do nowej ofensywy. W tym samym czasie na zachód od rzeki dopełniona zostaje tragedia Warszawy. Zajawszy miasto Niemcy wypędzają z niego wszystkich bez wyjątku mieszkańców, część kierując do obozów koncentracyjnych i pracy przymusowej, zaś resztę pozostawiając na łasce losu. Zaraz potem rozpoczyna się wyburzanie Warszawy. Spośród wszystkich budynków zburzonych w stolicy w latach wojny, 12 procent padło ofiarą we wrześniu 1939, 15 procent w efekcie zagłady getta, a 25 procent podczas walk w sierpniu i wrześniu 1944 r. Pozostałe 50 procent Niemcy wyburzają i wysadzają w powietrze między październikiem 1944 a styczniem 1945.

7

16 stycznia 1945 roku 1 Armia Ludowego Wojska Polskiego przechodzi do ofensywy, która ma przynieść ostateczne wyzwolenie całej Warszawy. Ten siódmy etap wielkiej batalii rozpoczynają jednostki radzieckie: 2 armia pancerna gwardii, która jako pierwsza wdiera się na tyły niemieckiego zgrupowania warszawskiego oraz 61 i 47

armie polowe, oskrzydłające wroga. W ślad za żołnierzami radzieckimi ruszają polscy, mając jedno tylko zadanie: wyzwolić Warszawę. Już 16 stycznia Polacy forsują Wisłę na południe i północ od stolicy. Następnego dnia, 17 stycznia, rozpoczyna się bój o samo miasto. Od północy atakuje 2 dywizja ludowego Wojska Polskiego, od wschodu i południa – 6 dywizja, a na samym lewym skrzydle – 1 brygada kawalerii.

Niemcy bronią się rozpaczliwie, ale pod polskimi ciosami ich opór łamie się. 17 stycznia w samo południe na ruinach dworca Głównego w Alejach Jerozolimskich, nad zburzoną Warszawą wywieszona zostaje biało-czerwona flaga. W ciągu najbliższych godzin cała stolica jest już wolna.

Tak zakończyła się półroczna bitwa o wyzwolenie Warszawy.

Leszek Moczulski

* * *

BITWA O PRAGĘ I WISŁĘ¹⁷⁶

Od początków sierpnia 1944 r., kiedy po wygranej przez Niemców bitwie pancernej pod Radzyminem przeciwnikowi udało się zatrzymać radziecką ofensywę na wschodnich przedpolach Warszawy¹⁷⁷ – sztaby Wermachtu szczególnie troskliwie umacniały front tzw. przyczółka praskiego. Linia bojowa przebiegała tuż na południe od Saskiej Kępy i obchodziła Grochów – biegnąc przez Międzyzlesie i Starą Miłosnę, a następnie skręcając na północ do Bugu. Przez cały sierpień Niemcy starannie rozbudowali pozycje obronne, obsadzając je poważnymi siłami. Południowy odcinek przyczółka zajmowała niemiecka 73 dywizja wsparta 1131 brygadą, zaś jego środkową i północną część zajmowały dwie dywizje Pancerne SS. Niemcy pragnęli za wszelką cenę utrzymać w swych rękach Pragę i nie dopuścić do tego, aby oddziały radzieckie i polskie nawiązały łączność z Powstaniem.

W sierpniu oddziały radzieckie toczyły krwawe walki na północny wschód od

¹⁷⁶ „Stolica” z 1970 r., nr 37.

¹⁷⁷ Dzisiaj uznajemy, że to Stalin zatrzymał sowiecką ofensywę przed Warszawą, aby umożliwić Niemcom stłumienie Powstania. Leszek Moczulski jest autorem tekstu, z którego wynika, że Mikołajczyk po przylocie do Moskwy 31 VII 1944 r. wygadał się już pierwszego dnia przed Molotowem, że powstanie w Warszawie wybuchnie, ten przekazał to Stalinowi i Stalin 1 VIII 1944 r. w nocy i wczesnym rankiem (a więc przed godziną „W”) wydał rozkazy o zatrzymaniu sowieckiej ofensywy przed Warszawą. Była to pułapka zastawiona na powstańców. Stalin, tak samo, jak my dzisiaj, zdawał sobie sprawę z dysproporcji sił między powstańcami a Niemcami i wiedział, że zatrzymując ofensywę wydaje wyrok śmierci na powstańców. Nie przewidział tylko, że powstanie potrwa ponad dwa miesiące i zatrzymanie ofensywy uniemożliwi mu zdobycie Berlina przed końcem 1944 r. (co byłoby realne, gdyby Sowietzi zajęli Warszawę w sierpniu 1944 r.). Zob. Marcin Furdyna, Marek Rodzik, *Czytaliśmy Piłsudskiego. Rozmowy z Leszkiem Moczulskim*. Warszawa 2016, s. 255-320). Napisanie tego wszystkiego w 1970 r. było oczywiście niemożliwe, gdyż było to niecenzuralne.

Warszawy. Prawe skrzydło I Frontu Białoruskiego pokonało zgrupowanie niemieckie znajdujące się jeszcze na południowym brzegu Bugu, zdobyło Wyszków i z początkiem września podeszło do Narwi, uzyskując na zachodnim brzegu rzeki przyczółki. Front został w ten sposób wyrównany i dosłownie po pięciodniowej przerwie siły radzieckie mogły rozpocząć 10 września 1944 r. kolejną operację, tym razem zmierzającą do wyzwolenia Pragi.

Niemcy z niepokojem obserwowali rozpoczęte jeszcze w sierpniu przygotowania do tej nowej ofensywy. Dowódca walczącej na odcinku od Buga-Narwi aż po Puław niemieckiej 9 armii gen. Vormann systematycznie wzmacniał przyczółek praski i przyspieszał działania gen. von dem Bacha w Warszawie. Dowódca niemiecki bał się, aby oddziały polskie i radzieckie nie połączyły się z siłami powstańczymi, co było równoznaczne z przełamaniem linii Wisły. Natychmiast po zajęciu Starego Miasta oddziały niemieckie walczące w Warszawie otrzymały rozkaz zdobycia przede wszystkim dzielnic nadbrzeżnych. Również dowództwo powstańcze zdawało sobie sprawę z wagi utrzymania się przy zachodnim brzegu Wisły i skierowało tam najsilniejsze zgrupowania, które wydostały się ze Starówki. Niemcy, dysponując przytłaczającą przewagą sił, zaatakowali Powiśle, a mimo wzmocnienia oddziałów polskich na tym odcinku zgrupowaniem „Róg”, w ciągu kilku dni zdobyli tę dzielnicę.

Mimo dość silnego wzmocnienia przyczółka praskiego – w ostatniej chwili Niemcy przerzucili tutaj jeszcze 19 dywizję pancerną – 10 września rozpoczęło się uderzenie radzieckie. Okupując każdy krok ciężkimi stratami, żołnierze radzieccy 47 i 70 armii wdzierali się w szeroko rozbudowane, osłonięte polami minowymi i zasiekami pozycje niemieckie.

Wprost na Pragę od południa nacierał radziecki 125 korpus dowodzony przez gen. Kuźmina. W składzie tego korpusu walczyła polska 1 dywizja piechoty dowodzona przez płk. Bewziuka. Już w pierwszym dniu operacji żołnierze polscy i radzieccy przełamali pierwsze linie wroga. Następnego dnia, 11 września, dywizje 125 korpusu podeszły na przedpole Kawęczyna i Grochowa. Rozpoczął się bezpośredni bój o Pragę.

Już w początkowej fazie bitwy polscy i radzieccy żołnierze rozbili broniącą się zaciekle niemiecką 73 dywizję. Na jej miejsce wróg rzucił do boju 19 dywizję pancerną. Była to doborowa jednostka Wehrmachtu, która już w 1939 r., jeszcze jako dywizja piechoty, krwawo się zapisała w dziejach Warszawy. Czołgi niemieckie przechodzą do przeciwnatarcia, atakując przede wszystkim dywizję im. Tadeusza Kościuszki. Polacy odpierają ataki wroga i sami przechodzą do przeciwuuderzenia. 13 września dywizja polska wdziera się na Pragę od wschodu, zdobywa ulicę Targową i prze ku Wiśle. Równocześnie dwie dywizje radzieckie, 143 i 175, wyzwoliły Grochów i rozpoczęły bój o Saską Kępę, a 76 dywizja radziecka zaatakowała Targówek.

Przez całą noc z 13 na 14 września na ulicach Pragi toczył się bój. Niemcy stawiali ostatni, rozpaczliwy opór. Został on złamany przez polskich i radzieckich żołnierzy.

14 września Niemcy zostali ostatecznie rozbici i nacierające dywizje dotarły do linii Wisły. Praga była wolna, lecz na drugim brzegu płonęła Warszawa¹⁷⁸.

Okupione ciężkimi stratami zdobycie Pragi było poważnym sukcesem. „Wszystkie natarcia od 12.9. do 15.9. przyniosły nieprzyjacielowi wielkie powodzenie – raportował gen. Vormann. – Przez opanowanie Pragi udało mu się nawiązać styczność z rejonem powstańczym Warszawa. Nieprzyjaciel dąży do utworzenia działaniem z Pragi przedmościa Warszawa, które to przedmoście, biorąc pod uwagę ciągle jeszcze nie zwalczone wyspy oporu w mieście, istnieje już w praktyce”.

Obawy niemieckie były słuszne, gdyż natychmiast po zajęciu Pragi oddziały polskie znajdujące się na wschodnim brzegu Wisły rozpoczęły operację forsowania rzeki. Już w nocy z 14 na 15 września pierwsze grupy zwiadowców z dywizji im. Tadeusza Kościuszki wylądowały na Czerniakowie, nawiązując łączność z powstańcami. Następnej nocy z 15 na 16 września na przyczółek czerniakowski przybyły pierwsze oddziały 9 pułku 3 dywizji piechoty. W ciągu dwóch następnych nocy oddziały te powiększyły się do siły dwóch batalionów.

Jeszcze 16 września sztab 1 armii, która pośpiesznymi marszami przybyła na Pragę, opracował plan forsowania Wisły i wyzwolenia Warszawy¹⁷⁹. Główne siły miano przeprowadzić na Czerniaków, gdy w kierunku Żoliborza postanowiono wykonać pomocnicze uderzenie. Plan przewidywał, że w toku kolejnych etapów operacji do świtu 21 września główne siły armii znajdą się na zachodnim brzegu Wisły i wyprą nieprzyjaciela, osiagając rubież prowadzącą od pl. Zawiszy przez Pole Mokotowskie i al. Niepodległości, a dalej od Królikarni przez Sielce do Wisły.

Niemcy również przygotowywali się do działań mających na celu niedopuszczenie do sforsowania Wisły przez oddziały polskie i radzieckie. Do Warszawy zostały skierowane grupy bojowe z 25 i 19 dywizji pancernych. Wróg zaatakował i zdobył Marymont oraz uzyskał połączenie ze swym zgrupowaniem w Cytadeli – oddzielając pancernym rygłem Żoliborz od Wisły. Inne oddziały niemieckie koncentrycznie atakowały Czerniaków.

Mimo coraz silniejszego oporu wroga, forsowanie Wisły trwało w dalszym ciągu. Nad ranem 18 września na Kępę Potocką przeprawia się polska kompania, a następnej nocy reszta 2 batalionu 6 pułku piechoty z 2 dywizji.

Bitwa o Wisłę wchodzi w stadium decydujące. Niemcy ściągają wszystkie pozo-

¹⁷⁸ Zajęcie Pragi przez wojska sowieckie 4 dnia od rozpoczęcia uderzenia dowodzi, jak duża była przewaga Armii Czerwonej w tym regionie.

¹⁷⁹ W 1969 r. nie można było napisać wprost, że o ile w ataku na Pragę decydującą rolę odegrały wojska sowieckie (udział 1 AWP była w tej operacji mniej istotny), o tyle w próbie sforsowania Wisły i wsparcia Powstania uczestniczyły już tylko wojska polskie. Z tekstu Moczulskiego w „Stolicy” taki wniosek jednak jasno wynika. I każdy czytelnik mógł sobie postawić pytanie – dlaczego Sowieci 14 IX 1944 r. ponownie wstrzymali swoją ofensywę i zatrzymali wojska na linii Wisły? Dlaczego 1 armii WP samotnie próbowała wtedy sforsować Wisłę?

BITWA O PRAGĘ I WISŁĘ

stające w dyspozycji siły, aby zniszczyć przyczółki polskie. Zaporowy ogień artylerii wstrzelanej w Wisłę uniemożliwia dalsze przeprawy przez rzekę. W ten sposób Niemcy odcinają ogniem główny polski przyczółek na Czerniakowie. Jest on już otoczony, bowiem natarcia powstańcze ze Śródmieścia w rejonie ul. Książęcej, zmierzające do przyjsia z pomocą walczącym nad samą Wisłą powstańcom zgrupowań „Radosław” i „Kryśka” oraz żołnierzom 9 pułku – załamują się jeszcze 17 września.

Dowódca 1 armii gen. Berling postanawia poszerzyć front forsowania Wisły. Po południu 19 września pod huraganowym ogniem artylerii niemieckiej dwa bataliony 8 pułku przeprawiają się na lewy brzeg między mostami Poniatowskiego i Średnicowym. Rejon lądowania wybrany został niefortunnie, a w przygotowaniu akcji znać było pośpiech. Żołnierze polscy zdobyli wprawdzie przyczółek i dotarli do ul. Solec, a nawet jeszcze dalej w kierunku skarpy – lecz było to powodzenie przejściowe. Niemcy podciągnęli odwody, odcięli oba bataliony od Wisły, otoczyli je i w krwawym boju do rana 20 września zniszczyli.

Niepowodzenie tej operacji przesądziło losy bitwy o Wisłę. Analiza sytuacji przeprowadzona w sztabie 1 armii wykazała, że wróg jest zbyt silny, aby bez dłuższych przygotowań można było sforsować rzekę. Zapada decyzja ewakuacji przyczółków. 20 września w trakcie wycofywania polskiego batalionu z Kępy Potockiej wróg atakuje go i niszczy prawie całkowicie. Na Czerniakowie żołnierze i powstańcy częściowo ewakuują się za Wisłę lub kanałami na Mokotów, a reszta broni się heroicznie do 23 września.

Bitwa jest zakończona. W pierwszej swojej fazie przyniosła wielkie powodzenie, jakim było wyzwolenie Pragi, w drugiej fazie zakończyła się ciężką porażką. Oddziały polskie i radzieckie nie żałowały krwi, aby przyspieszyć chwilę wyzwolenia Pragi i sforsować Wisłę w Warszawie. Dywizje radzieckie 70 i 47 armii, które po wyzwoleniu Pragi nacierały nadal na północ ku Nowemu Dworowi, osłaniając od północy 1 armię polską forsującą Wisłę – w trakcie całej operacji utraciły blisko 20 tysięcy ludzi. Groby żołnierzy radzieckich poległych w tej bitwie częściowo znajdują się na wielkim cmentarzu-mauzoleum przy ul. Żwirki i Wigury; spoczywają tutaj ci, którzy życiem własnym zapłacili za wolność naszego miasta. Danina krwi 1 armii była bardzo wysoka. W bojach o wyzwolenie Pragi i forsowanie Wisły armia straciła 5 515 żołnierzy i oficerów, z czego podczas przeprawy przez Wisłę i na przyczółkach na zachodnim brzegu rzeki zginęło 3 764 ludzi. Oddziały Ludowego Wojska Polskiego w walkach o Warszawę we wrześniu 1944 r. straciły więcej ludzi, niż kosztowało Polaków tak przecież krwawe zdobycie Monte Cassino: wówczas straty wyniosły 3 783 ludzi. Monte Cassino 1 armii ludowego WP było nad Wisłą.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

KOŚCIÓŁ ŚW. WOJCIECHA¹⁸⁰

Znajdujący się przy ul. Sokołowskiej na Woli kościół św. Wojciecha był w okresie Powstania jednym z głównych miejsc martyrologii mieszkańców Warszawy. Przez jego nawy – stanowiące zorganizowany przez Niemców tzw. obóz przejściowy (Dülag) przeszły setki tysięcy warszawiaków.

Przez prawie cały czas okupacji niemieckiej większą część zabudowań plebanii przy ul. Sokołowskiej 4 zajmowały oddziały inżynieryjne Wehrmachtu. 2 sierpnia na plebanię przybył oddział policji (żandarmerii) z Poznania, wchodzący w skład grupy bojowej Reinefartha. Najpóźniej 5–6 sierpnia w plebanii zainstalowała się placówka gestapo i SD, kierowana przez Hauptsturmführera Spielkera, jednego z szefów niemieckiej policji bezpieczeństwa w okupowanej Warszawie, paroletniego kierownika placówki SD w stolicy. Zastępcą Spielkera na Sokołowskiej był Vogt. Placówka na Sokołowskiej spełniała w czasie powstania funkcję centralnego ośrodka policji bezpieczeństwa i SD w Warszawie, kierującego i koordynującego całością pracy w tym zakresie. Formalnie Spielker podlegał dowódcy SS i Policji okręgu warszawskiego Geiblowi, a także sztabowi najpierw grupy bojowej Reinefartha, a następnie grupy korpusnej v. dem Bacha lecz w rzeczywistości był całkowicie samodzielny.

Przy placówce gestapo i SD zorganizowane zostały: więzienie śledcze w domu przy ul. Sokołowskiej 5, naprzeciw plebanii oraz obóz przejściowy w kościele św. Wojciecha.

Pierwsze grupy wypędzonych nadeszły pod eskortą żandarmów do kościoła już 2 sierpnia, dalsze 3 i 4 sierpnia. Już wtedy w nawach kościoła zostało stłoczone pięć tysięcy ludzi. Pod groźbą śmierci nie mogli oni opuszczać budynku, nawet w celu załatwienia potrzeb naturalnych. Nie było żywności, napojów, środków sanitarnych, lekarstw. W strasliwym tłoku i zaduchu przebywali zmaltretowani często ranni ludzie, w prezbiterium rodziły położnice, zmarłych praktycznie nie można było wynosić.

Tak zaczęła się gehenna w kościele św. Wojciecha. W miarę postępów niemieckich, kolejno z prawie wszystkich opanowanych dzielnic ta część ludności, która nie zginęła w masowych egzekucjach, wypędzona była z domów i kierowana do kościoła św. Wojciecha. W pierwszej dekadzie sierpnia spędzono tutaj ludność z Woli i rejonu Chłodnej – Elektoralnej. Następnie ze Starówki, Powiśla, rejonów Śródmieścia przy Krakowskim i Nowym Świecie, z Czerniakowa, częściowo z Mokotowa, następnie Żoliborza i Śródmieścia. Ogólna liczba osób, które przeszły przez kościół św. Wojciecha nie jest do ustalenia; zapewne przekroczyła ona granicę 200 tysięcy. Były dni, gdy spędzano tutaj po kilka tysięcy osób. Funkcjonariusze gestapo i SD dokonywali najpierw wstępnej selekcji: kobiety, dzieci, starcy kierowani byli do zatłoczonego kościoła, tam też umieszczano rannych. Mężczyźni łącznie z lżej rannymi pozostawiali na dziedzińcu

¹⁸⁰ „Stolica” z 1968 r., nr 31.

przed kościołem lub w jego podziemiach. Już podczas wstępnej selekcji wybierano niektórych i kierowano do więzienia na Sokołowską 5. Następnie funkcjonariusze SD bez przerwy weszli w kościele i na dziedzińcu, zatrzymując podejrzane z jakichś względów osoby. Selekcje te połączone były rzeczą jasną z biciem i katowaniem ludzi.

Niemcy nie dostarczali żadnych środków sanitarnych czy żywności, od początku września zezwolili jednak stłoczonym tutaj warszawiakom na organizację pewnych form opieki. Przybyły ze Starówki (gdzie był lekarzem w szpitalu AK) dr Edward Kowalski zorganizował prymitywne ambulatorium. Wypędzeni zbudowali prymitywne kuchenki ceglane przed kościołem, gdzie ze zbieranej żywności próbowano gotować codziennie zupę.

Warunki bytowania były jednak straszliwe. „Kościół brudny i zanieczyszczony, tłok i zaduch straszliwy, ranni razem z dziećmi i starcami, ludzie wyczerpani fizycznie i psychicznie do ostatka. Ogólna panika i przerażenie, co z nami będzie. Wśród tego bezradnego wynędzniałego tłumu uwijał się SS-man krzychał przeraźliwie, próbując przekrzyczeć lament i płacz, jęki i wołania dzieci, bił szpicrutą bezmyślnie gdzie popadnie” (relacja E. Kowalskiego). Obok oficjalnej niejako selekcji i wybierania spośród tłumu ofiar, bez przerwy trwało porywanie ludzi, zwłaszcza młodych kobiet, przez poszczególnych Niemców czy też przedstawicieli oddziałów lub instytucji niemieckich, policji, Wehrmachtu etc. Większa część tych nieszczęśników nie wracała już zamordowana, odnajdywali się tylko niektórzy, krańcowo zmaltretowani, kobiety często z pomieszkanymi zmysłami.

Wraz ze spędzeniem coraz to nowych dziesiątków tysięcy ludzi, Niemcy organizowali systematycznie transporty wypędzonych do obozu przejściowego w Pruszkowie, albo też wprost na roboty itp.

Równolegle z Dulagiem pracowała katownia przy ul. Sokołowskiej 5. Część ofiar Niemcy po przesłuchaniach mordowali na miejscu, część wywożono i rozstrzelano w masowych egzekucjach. Pierwsza z nich odbyła się już 3 sierpnia.

Obóz przejściowy w kościele św. Wojciecha Niemcy zlikwidowali w pierwszej dekadzie października, katownię przy ul. Sokołowskiej 5 nieco później.

(Im)

* * *

ZBRODNIENIE NA LUDNOŚCI WARSZAWY¹⁸¹

W sierpniu i wrześniu 1944 r. Niemcy wymordowali w Warszawie 200 tysięcy ludności. Decyzja o zagładzie ludności miasta podjęta została na najwyższych szczeblach, przez Hitlera i Himmlera, jej wykonaniem kierowali ludzie w generalskich mundurach

¹⁸¹ „Stolica” z 1968 r., nr 31.

Wehrmachtu, SS i policji: dowódca grupy armii Reinhard, dowódcy armii Vormann i v. Lüttwitz, dowódcy szczebla taktycznego v. d. Bach, Stahel, Geibel, Köllner, Rode, Renefarth, Rohr, Dirlewanger. Wykonawcami zbrodni, tymi, którzy za każdym razem, wielokroć w ciągu dnia, podejmowali decyzję mordu, tymi, którzy ją realizowali – były nie jednostki, lecz wiele tysięcy ludzi, Niemców: żołnierzy, żandarmów, policjantów, SS-manów, członków formacji pomocniczych i roboczych, a także cywilów. Były ich tysiące mordujących bezpośrednio, tysiące uczestniczących w tym pośrednio. Amunicji nieraz brakowało, aby rozstrzelać wszystkich przeznaczonych na śmierć Polaków. Nie brakło nigdy tych, którzy naciskali spusty. Zbrodnię popełniono na zbiorowości i wykonawcy stanowili zbiorowość.

Ogrom zbrodni przeraża i do dziś nie znamy jej w pełni. Brakuje niestety nadal jeszcze pracy źródłowej, która pokusiłaby się o objęcie całości mordu na 200 tysiącach. Jest trochę przyczynków, częściowych opracowań, zbiorów relacji i dokumentów, które rysują obraz nieco bardziej całościowy. Czas chyba najwyższy, aby zbrodnia na ludności Warszawy doczekała się pełnego opracowania. Aby została przypomniana współczesnym Polakom, a ukazana także poza granicami kraju.

Wdzierając się do miasta w toku walk powstańczych, ale już po zakończeniu na danym odcinku boju, oddziały niemieckie rozpoczynały tzw. pacyfikację opanowanego terenu. Polegała ona na dokonywaniu bestialskich mordów, gwałtów, wypędzaniu oraz rabowaniu mienia znajdującej się tam cywilnej ludności. Te zbrodnicze akty w niektórych wypadkach zaczęły się jeszcze przed wybuchem powstania.

Na Woli, przy ul. Wolskiej obok Redutowej, 1 sierpnia o godz. 15.15 grupa esesmanów przejeżdżających samochodem, pod pozorem że do nich strzelano, wdarła się do przypadkowego domu, zamordowała 6 mężczyzn i podpaliła budynek. Począwszy od tego momentu podobne wydarzenia zaczęły się mnożyć. „Niemcy wyprowadzają ludność w kierunku fabryki przy ul. Dworskiej, mordując i grabiąc – przedstawiał tak pierwsze dni sierpnia świadek W. Piórkowski – a domy podpalają... Widziałem, iż domy przy ul. Kazimierza płoną... Niemcy wymordowali mieszkańców z domu ul. Wolska 100, nr 112 z fabryki »Moc«, ul. Wolska 121... wymordowali mieszkańców domów Kamińskiego (Wolska 151), Hankiewicza (Wolska 129) i z domów przy ul. Elekcyjnej... wysadzili w powietrze narożny dom przy rogu ulicy Wolskiej i ulicy Gizów, mieszczący szkołę, gdzie częściowo ukryli się mieszkańcy...”. Ta fala mordów, pożogi i zniszczenia, która początkowo sięgała tylko skrajów dzielnicy w dniach 5–7 sierpnia, wraz z uderzeniem Reinefartha na Wolę, wlała się do jej środka. „Na teren naszej posesji – zeznał K. Szajewski, zamieszkały w 1944 r. przy ul. Zawszy 43 – wtargnęli Niemcy... Ja stałem w tym momencie w grupie 18 mężczyzn i 10 kobiet na klatce schodowej. Niemcy kazali nam wyjść na podwórze wszystkim... Następnie na rozkaz Niemca jeden z Ukraińców rzucił na nas kolejno dwa granaty. Po pierwszym granacie padliśmy wszyscy na ziemię, usłyszałem rżenie leżących obok mnie. Po drugim wszystko ucichło... Ja się wtedy podniosłem, zobaczyłem, że wszyscy moi towa-

rzysze leżą zabici; przeważnie wszyscy mieli pozrywane czaszki i wypłynięty mózg...”. Podobne sceny powtarzały się praktycznie w każdym domu. „Wpadł do naszego domu oddział... żołnierzy niemieckich rzucając granaty do mieszkań i wołając, by mieszkańcy wychodzili (raus) – zeznała świadek J. J. Mamontowicz. – Wyszedłem, prowadząc swoich dwóch synków, Zygmunta lat 9 i Tadeusza lat 6, razem z rodzicami i siostrą... Na podwórzu znalazłam się w grupę mieszkańców naszego domu liczącej około 70 osób. Żołnierze wpędzili naszą grupę między mieszkanie dozorczy a trzepak, otaczając ją dookoła, ograbili nas z kosztowności. Na środku podwórka ustawili karabin maszynowy, dali do nas salwę... Upadłam, nie będąc ranną. Gdy strzały seryjne umilkły, posłyszałam pojedyncze strzały z pistoletu. Zobaczyłam, iż żołnierze chodzą pomiędzy zwłokami, dobijając z pistoletu lub kolbą karabinu żyjących jeszcze... Mój syn Zygmunt... żołnierz niemiecki strzelił mu dwa razy w skroń, po czym mój syn zmarł. Żołnierze granatami podpalili nasz dom, a także mieszkanie dozorczy i odeszli. Dom... palił się, a ogień przenosił się na zwłoki, których ubranie zaczęło się palić...”. Sceny takie powtarzały się w bardzo licznych domach. Terror nie ominął nawet szpitali. W szpitalu św. Łazarza Niemcy dokonali masakry prawie wszystkich chorych, przy czym mordowano osoby leżące na łóżkach a nawet stołach operacyjnych... „Następnie udaliśmy się do szpitala św. Łazarza – zeznał świadek Fr. Zasada – i tam... z łóżek i nawet ze stołów operacyjnych, zebraliśmy około 5 000 zwłok...”.

Podobne sceny odbywały się w tym samym czasie na Ochocie. „Żołnierze z Wehrmachtu wpadli do domów, brutalnie wyrzucając ludność cywilną, grabiąc, wywalając drzwi kolbami – zeznała świadek I. Rzepecka. – W ten sposób wyrzucono mnie, ojca... Na skwerku przy ul. Filtrowej Niemcy z Filtrów strzelali w tłum, prawdopodobnie dla zabawy...”. A oto fragment innego zeznania, relacjonuje świadek Weronika Rybczyk: „Żołnierze byli rozwścieczeni małą ilością zebranych kosztowności, poza tym prawie wszyscy byli pijani. Po wyprowadzeniu nas do klatki schodowej... oficer wydał rozkaz ponownej rewizji, która nie dała pożądanego rezultatu, tj. kosztowności. Wtedy oficer wydał rozkaz rozstrzelania nas. Usłyszałam odgłosy karabinu maszynowego, ustawionego przed nami na schodach. Upadłam, straciłam przytomność, po pewnym czasie, gdy oprzytomniałam... wszyscy leżeli pokotem na schodach, słychać było głosy rannych. Wreszcie powtórzyły się strzały, tym razem już pojedyncze, jeden z nich ugodził moją wychowankę w głowę, zabijając na miejscu, w czasie tego dobijania. Wybito przeważnie dzieci, gdyż pierwsza seria strzałów dzieci nie osiągnęła. Straciłam przytomność...”.

Po zajęciu Woli i Ochoty, przychodzi kolej na Stare Miasto. Fala gwałtów i mordów jest tu równie potworna, jak w tamtych dzielnicach. Przy ul. Zakroczymskiej 1 mieścił się zakład dla starców, w którym z początkiem powstania przebywało ok. 250 staruszek. 31 sierpnia rejon ten zesał zajęty przez Niemców – a jak następnie wyglądał dom starców, zeznał zakonnik J. Murlinkiewicz: „Leżały (zwłoki staruszek) w różnych pozycjach na łóżkach, część z nich była na wpół zwleczone z łóżek. Piwnice były spalone, a zwłoki znajdowały się w stanie rozkładu, częściowo były zwięzłe. Nie

mogłem stwierdzić, czy zwłoki posiadały ślady postrzałów...”. Przy ul. Długiej 7 mieścił się improwizowany szpital. Po opuszczeniu Starego Miasta przez oddziały powstańcze, w dniu 2 września, zajęli go Niemcy. Oto co o losach szpitala zeznała Halina Kłosowicz: „Na środku podwórza stało (wypędzonych z pomieszczeń) ok. 40 czy 50 osób spośród lżej rannych. Kilku rannych w bramie głównej od strony ul. Długiej leżało na noszach. W bramie stała grupa SS-manów, którzy z karabinów i rewolwerów zaczęli strzelać do rannych stojących na środku podwórza... leżących na noszach. Jednocześnie było słychać strzały z I piętra i parteru... Widziałam, jak SS-mani z butelek oblewali benzyną tych rannych, co padli po strzale i podpalali. Widziałam także, jak do Bobika (ranny na noszach), który jeszcze nie był zastrzelony, zbliżył się SS-man, chlusnął na niego benzynę z butelki i żywcem podпалиł... Na oślep wbiegłam na I piętro do sali nr 7 i krzyknęłam: »kto może się ratować, niech ucieka...«. Wszyscy ranni leżeli na podłodze na noszach. Za mną wpadła żona rannego, w białym fartuchu sanitariuszki, która mam także pomagała, nazwiskiem Różalska Janina, by ratować swego rannego męża... W tym momencie wpadł na salę SS-man... Różalski, który nie mógł się podnieść, powiedział po niemiecku do niego: »proszę strzelać« – na co gestapowiec go zastrzelił. Różalska w tym momencie podbiegła do SS-mana i coś mu powiedziała, po czym on ją zastrzelił... Na schodach stali SS-mani i z góry strzelali do rannych, leżących na parterowej sali...”. O masakrze w tym samym szpitalu zeznała świadek Janina Gawrońska: „W momencie, gdy opuszczałam salę, rozstrzeliwanie chorych (leżących na noszach) trwało. Schodząc klatką schodową widziałam, jak żołnierze przy pomocy szmat podpalili gmach. Przechodząc przez bramę, widziałam, jak żołnierze niemieccy wrzucali granaty przez okna do piwnic, gdzie leżeli ranni...”.

A oto fragmenty zeznań, dotyczących Śródmieścia. „Okolo godziny 6 rano wkroczyły (na Focha) oddziały SS – zeznał Dominik Balias. – Z domu przy ul. Koziej wyrzucali ludność na podwórze. Kobiety i dzieci przeprowadzono rzez Operę na plac Teatralny, gdzie były użyte jako osłony czołgów. Widzieliśmy to naocznie... Mężczyzn zaś ustawili w trójszereg pod murem oficyny domu przy ul. Koziej nr 5. Byli to mieszkańcy domów z ulicy Focha nr 1, 6, 8 i 10, z ul. Koziej nr 5 i 3, w sumie ok. 1 000 osób, w tym około 300 mężczyzn. SS-mani kazali mężczyznom i podnieść ręce do góry i dokonali rewizji, zabierając kosztowności... Komendant oddziału SS odliczył z grupy mężczyzn stojących pod murem 10 mężczyzn... Na trzecim i ostatnim piętrze rozstrzelali ich. Dalsze dziesiątki mężczyzn rozstrzeliwano w dwóch sieniach od ulicy Koziej i w sąsiednich mieszkaniach... Znalazłem się w ostatniej dziesiątce. Zaprowadzono nas do pierwszej sieni od strony ul. Koziej. Otrzymałem postrzał między 6 a 7 żebrem i upadłem. Na mnie upadł zabity aptekarz Munduk. Kiedy egzekucja została zakończona, żołnierze dobijali jeszcze żyjących... Następnie zwłoki po egzekucji zostały podpalone przez żołnierzy... Kiedy się uciszyło, wyczołgałem się z płonącego domu...”. Podobne sceny rozgrywały się w tej dzielnicy od początku sierpnia – jak na Koziej – aż po koniec września. Oto zeznanie świadka K. Belina-Brzozowskiego. Mieszkał on w domu przy ul. Brackiej 20. 10 wrze-

śnia budynek ten zajęli Niemcy. „W piwnicy znajdowało się ok. 50 osób. Niemcy kazali opuścić piwnicę. Kazali zostawić wszystkie rzeczy... reszta ludności została przeprowadzona do winiarni »Bułgaria« przy pasażu łączącym Chmielną z Nowym Światem... Przez całą noc w »Bułgarii« Niemcy wyciągali młode kobiety i gwałcili je. Przez całą noc jeden z nich szukał mojej siostry, która ukryła się pod pakunkami z moją matką. Nad ranem wyprowadzono całą grupę w kierunku Nowego Świata. Wówczas Niemiec spostrzegł moją siostrę i wciągnął ją do sąsiednich ruin. Na ratunek pospieszyła moja matka i stara wychowawczyni, Eleonora Szymańska... Z relacji mojej siostry ciotecznej... dowiedziałem się tych szczegółów, jak i tego, że odchodząc, słyszała krzyk wychodzący z ruin, krzyk mojej matki... 3 listopada udało się mojemu ojcu odnaleźć miejsce zbrodni... na terenie ruin odnalazł on zwłoki mojej matki, siostry i wychowawczyni...”.

Niemieccy zbrodniarze i mordercy szaleli w całym mieście. Oto Żoliborz. Oto fragment zeznania W. Gąsiorowicza, dotyczący zbrodni przy ul. Marii Kazimierzy 21 w dniu 14 września. „Około godz. 14.00... znajdowałem się w piwnicy domu razem ze 150 osobami, w tym kobiety, dzieci, lokatorzy domów sąsiednich, zapalonych pociskami. Do piwnicy tej zostały najpierw wrzucone granaty, które poraniły wiele osób i spowodowały zawalenie się schodów. Następnie usłyszeliśmy rozkaz wychodzenia... Po wyjściu... zobaczyłem, iż od strony ul. Marii Kazimierzy stoją żołnierze w mundurach niemieckich... Od strony ul. Dembińskiego stał karabin maszynowy... zobaczyłem leżące zwłoki. Kiedy zrobiliśmy parę kroków, padła na nas salwa z karabinu maszynowego ustawionego za rogiem domu...”.

Oto Mokotów: „2 sierpnia między godziną 10 a 11 rano wkroczyła na teren naszego domu przy ul. Rakowieckiej nr 61 grupa uzbrojonych żołnierzy niemieckich – zeznał ksiądz Aleksander Kisiel. – Dowódca grupy SS-manów dał rozkaz, by wszyscy obecni zeszli do suterenu... Po zejściu się wszystkich, około 50 osób... SS-mani zamknęli drzwi i po kilku minutach otworzyli drzwi gwałtownie, wrzucając dwa granaty na środek pokoju... Utworzył się zwal z leżących ludzi kilkuwarstwowy, ponieważ pokój był nieduży; rozległy się jęki. Stojący przy drzwiach SS-man otworzyli ogień z broni automatycznej. Strzelał do leżących ludzi, celując specjalnie tam, gdzie się rozlegały jęki. Zrobiło się cicho... SS-man oddalił się od drzwi. Wtedy... Jan Gruba i Bronisław Dynak wyszli z pokoju celem ucieczki, wpadli do przeciwległego pokoju, gdzie ich zastrzelił stojący opodal SS-man... Otworzył on ponownie ogień z rozpylacza, rozpoczynając od pierwszych szeregów, tj. od kobiet. Strzelał tak długo, aż znowu wszystko ucichło. Zginął wtedy leżący przede mną brat furtian Czesław Świącicki i leżący obok mnie 10-letni chłopiec Zbigniew Mikołajczyk. Egzekucja rozpoczęła się około 12, trwała chyba do godziny 16–17”.

Z podobnych relacji i zeznań można by ułożyć niejeden gruby tom. Lecz to był dopiero początek, pierwsze kroki niemieckich zbrodniarzy. Tuż po improwizowanych niejako mordach w domach dopiero co zajętych, zaczynała się druga fala masakr, tym razem organizowanych już z niemieckim porządkiem i skrupulatnością.

Na opanowanych terenach, w zajętych już przez Niemców dzielnicach Warszawy, gdy opadła pierwsza fala gwałtów i morderstw, pozostali przy życiu mieszkańcy byli wypędzeni z domów. Początkowo prawie wszystkich, później tylko część selekcjonowano – albo i nie – kierując na miejsca masowych egzekucji. Miały one miejsce w całej Warszawie, lecz szczególne ich skupienie nastąpiło na Woli w dniach 5 i 6 września. Inne masowe egzekucje prawie nieprzerwanie trwały przez cały czas powstania na terenie gmachów b. GISZ pomiędzy al. Ujazdowskimi a Bagatelą jeszcze inne – na Starym Mieście po jego upadku na Marymoncie, Mokotowie, Czerniakowie, Powiślu... Ześpoły morderców w całym mieście masowo mordowały spędzonych ludzi.

Ks. Bernard Filipiuk, chory ze szpitala wojskiego, wraz z innymi grupami cywilów z różnych domów na terenie Woli został pod eskortą niemiecką zaprowadzony na posesję przy ul. Górczewskiej, tuż obok toru kolejowego. „Cała ta trasa (do miejsca egzekucji) z jednej i drugiej strony obstawiona była żołnierzami stojącymi w odstępach mniej więcej 10 metrów z karabinami skierowanymi w naszą stronę... Ponadto każda dwunastka ludzi była obstawiona gestapowcami z rewolwerami w ręku... Gdy nas przyprowadzono na to podwórko, stało jeszcze przede mną kilka dwunastek ludzi... oczekujących na swoją śmierć... Po dwunastu ludzi bez przerwy podprowadzano i rozstrzeliwano. Rozkaz strzelania wydawał gestapowiec. Trzech żołnierzy stało na początku podwórza po lewej stronie z bronią maszynową (rozpylacze) i oni na rozkaz – salwą rozstrzeliwali... Stałem na tym podwórku może 15–20 minut i widziałem dokładnie, jak każdą dwunastkę ludzi rozstrzeliwano, strzelając w plecy. Widziałem też, że po salwie gestapowiec dobijał jeszcze rannych z rewolweru, celując w głowę. Trupami było już założone jakieś 3/4 podwórka, niektóre z nich bliżej płonących domów paliły się... Jedna chwilka, a usłyszałem po niemiecku »ognia«! Padła salwa, a ja przewróciłem się razem z ks. Żychoniem, który mnie słabego po operacji trzymał cały czas pod rękę – on mnie też za sobą pociągnął... Potem stale rozstrzeliwali następne dwunastki. Z jednej dwunastki kobieta padła... na moje stopy. I po rozstrzelaniu jeszcze kilku dwunastek ona zaczęła wołać głośno, że żyje i nie jest ranna. Wówczas podbiegł jeden z tych żołnierzy, którzy rozstrzeliwali i całą serią strzelił do niej z rozpylacza. W mojej dwunastce razem ze mną była kobieta. Na rękę trzymała dziecko małe, które mogło mieć rok... Prosiła gestapowca, aby najpierw zabił dziecko, a potem ją. Uśmiechnął się tylko i nic nie odrzekł. Dziecko to długi czas po rozstrzelaniu kwiliło i płakało, słyszałem to, a jego kwilenie krew mi w żyłach mroziło...”

A oto opis egzekucji w Parku Sowińskiego: „Odlączono mężczyzn od kobiet oraz oddzielono od matek chłopców w wieku około lat 14, ustawiono nas przy siatce Parku Sowińskiego, zaczynając od bramy Parku w kierunku ul. Elekcyjnej... Przy bramie aż do siódmego słupa ogrodzenia... stanęły kobiety z małymi dziećmi. Z karabinów maszynowych żołnierze niemieccy dali do nas salwę... Upadłam na ziemię... na moje nogi padały zwłoki. Żyła jeszcze leżąca przy mnie moja najmłodsza córka Alina. Leżąc widziałam i słyszałam, jak żołnierze niemieccy chodzili pomiędzy leżącymi, kopali ich,

sprawdzając, kto jeszcze żyje. Żyjących dobijali pojedynczymi strzałami z rewolweru... Widziałam... jak żołnierz niemiecki kopnął leżącą przy mnie kobietę, która jeszcze żyła, i następnie zastrzelił ją. Następnie widziałam, jak żołnierz podszedł do wózka, w którym leżały kilkumiesięczne bliźnięta mej sąsiadki Jakubczyk i zastrzelił je. Przez cały czas słyszałam jęki konających. Po obiedzie, godziny nie umiem określić, Niemiec dobił mą córkę Alinę...”.

Egzekucja na podwórzu kuźni przy ul. Wolskiej 124. „...Wszyscy zostali spędzeni na plac, obok kuźni – zeznał J. Grabowski. – Ja wyszedłem razem z żoną... córką Ireną lat 4 i synem Zdzisławem Jerzym 5 miesięcy. Na placu przed kuźnią padł rozkaz, aby wszyscy położyli się na ziemi. Z naszego domu grupa zawierała około 500 ludzi. W chwili, gdy ja z rodziną dobiegałem przed Kuźnię, na placu już leżeli ludzie... W pewnej chwili Niemcy zaczęli strzelać z karabinu maszynowego i z karabinów ręcznych, a także rzucać granaty w tłum leżących ludzi. Po jakimś niedługim czasie strzelanina ustała, Niemcy przypędzili nową grupę ludzi... Ludzie ci położyli się na placu i na nowo rozpoczęła się strzelanina, która trwała z przerwami na dobijanie poruszających się, co najmniej 6 godzin. Po mnie żandarm trzy razy przeszedł butami, sam ranny nie byłem, ale żona i dzieci zostały zamordowane. Słyszałem, jak żandarm mówił, by dobić mego 5-miesięcznego synka, który płakał, po czym posłyszałem strzał, i dziecko uciхло...”.

Egzekucja w fabryce „Ursus” przy ul. Wolskiej 55. „Przed bramą fabryki czekałiśmy około godziny – zeznała świadek Wanda Lurie. – Z podwórza fabryki słysząc było strzały, błagania i jęki. Do wnętrza fabryki Niemcy... wpychali przez bramę od ul. Wolskiej po sto osób. Chłopiec około lat 12, zobaczywszy przez uchyloną bramę zabitych swych rodziców i brata, dostał wprost szału, zaczął krzyczeć, wzywając matkę i ojca... Ja trzymałam się z tyłu, stale się wycofując, w nadziei, że kobiety w ciąży przecież nie zabijają. Zostałam wprowadzona w ostatniej grupie. Na podwórzu fabryki zobaczyłam zwały trupów do wysokości jednego metra... Ustawili nas czwórkami... W grupie prowadzonej było około 20 osób, w tym dużo dzieci lat 10–12 często bez rodziców. Jedną bezwładną staruszkę przez całą drogę niósł na plecach zięć, obok szła jej córka z dwojgiem dzieci 4 i 7 lat. Trupy leżały na prawo i na lewo, w różnych pozycjach... Zaczęłam go błagać (oficera niemieckiego) o życie dzieci i moje, mówiłam coś o honorze oficera. Odepchnął mnie jednak, tak że się przewróciłam. Uderzył też i pchnął mojego starszego synka, wołając „prędzej, prędzej, ty polski bandyto”. W międzyczasie wprowadzono nową partię Polaków. Podeszłam więc w ostatniej czwórce razem z trojgiem dzieci do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą – rączkę starszego synka. Dzieci szły płacząc i modląc się. Starszy, widząc zabitych, wołał, że i nas zabijają. W pewnym momencie Ukrainiec, stojący za nami strzelił najstarszemu synkowi w tył głowy, następne strzały ugodziły młodsze dzieci i mnie. Przewróciłam się... strzał oddany do mnie nie był śmiertelny... Dostałam krwotok ciążowy... Byłam jednak przytomna... obserwowałam dalsze egzekucje.

Wprowadzono nową partię mężczyzn, których trupy padały i na mnie. Przywały mi około 4 trupy. Wprowadzono dalszą partię kobiet i dzieci – i tak grupa za grupą rozstrzeliwano aż do późnego wieczoru...”.

Egzekucja w zajezdni tramwajowej przy ul. Młynarskiej: „Razem z dziećmi znalazłam się w zajezdni w tłumie około 200 osób, przeważnie kobiet i dzieci oraz kobiet ciężarnych... W jakimś miejscu stał karabin maszynowy, miejsca jednak nie umiem określić z powodu zbyt silnych wrażeń, jakie wtedy przeżywałam. Z karabinu maszynowego Niemcy otworzyli ogień do naszej stłoczonej grupy. Po pierwszej salwie ze stłoczonego tłumu zaczęli podnosić się ranni, a wówczas Niemcy rzucili w tłum granaty ręczne. Widziałam, jak z kobiety ciężarnej, rannej w brzuch, wypłynęło dziecko i jak Niemiec podszedł wziął żyjące dziecko, położył na jakimś żelazie i kłuł drutami. ...Synek mój został ciężko ranny po pierwszej salwie w tył głowy. Ja zostałam ranna granatem w obie nogi i brzuch. Od granatu została ranna w nogi, czaszkę, brzuch, piersi, moja córka. Gdy wszyscy z grupy padli, Niemcy, stojąc poza naszą grupą, strzelali do rannych, którzy się podnosili lub poruszali. Aż do zmroku podchodzili do leżących Niemcy, celując do poruszających się równocześnie z żartami śmiechami, zwłaszcza gdy ranny został trafiony...”.

Wszystkie powyższe egzekucje odbyły się na Woli; stanowią one tylko część ogółu egzekucji przeprowadzonych na terenie na terenie tej dzielnicy. Choć z nieco mniejszym nasileniem masowe egzekucje spędzanych Warszawiaków odbywały się we wszystkich dzielnicach. Jednym z miejsc, gdzie zamordowano największą może liczbę ofiar – były tereny na tyłach gmachów b. GISZ w alejach Ujazdowskich. Tutaj egzekucje były przeprowadzane w sposób szczególnie metodyczny. Oto jedne z pierwszych egzekucji na tym terenie, widziane przez świadka Józefę Marian, 2 i 3 sierpnia z domu przy ul. Bagatela 10, gdzie się ukrywała. Widziała ona egzekucję w ogródku jordanowskim, stanowiącym część kompleksu GISZ. „Widziałam, jak na terenie ogródka jacyś żołnierze... zabijali kobiety. Kobiety te leżały nago na trawie ogródka... Między rzędami chodzili 2 żołnierze z rewolwerami i strzelali do tych kobiet w tył głowy... Widziałam, że ubrania, prawdopodobnie tych kobiet, leżały zgromadzone na jednym miejscu. Naliczyłam wówczas w trzech rzędach około 100 kobiet. Byłam w odległości od nich prawie 200 metrów... Widziałam jeszcze raz moment, kiedy tłum kobiet rozbiegał się na tym placu. Musiało tam być paręset kobiet. Tym razem widziałam także, że kobiety te ułożyły się w rzędach. Widziałam znowu, jak pomiędzy rzędami chodziło dwu żołnierzy zabijali strzałami z rewolweru. Widziałam także wielokrotnie w ciągu tych dni, w tymże ogródku moment układania ciał na stos, względnie palenie zwłok na tymże placu... Widziałam także pod ścianą... stos nagich ciał, sięgających do pół piętra; byli to sami mężczyźni... Śwąd palonych ciał stale... dochodził do naszych mieszkań...”.

Egzekucja w gmachu Teatru Wielkiego. „Naszą grupę przeprowadzono do piwnic przy ul. Focha 2. W piwnicy pomieszczono tylko mężczyzn; grupa kobiet i dzieci po-

została na podwórzu. Słyszałem krzyki kobiet i dzieci, a następnie kazano nam opuścić piwnice. Po krótkim postoju przeprowadzono nas... na teren Opery, a tu piwnicami, korytarzem i schodami na prawą stronę widowni. Po drodze w piwnicach Opery widziałem kilka zwłok mężczyzn, ze śladami postrzałów.. Nam kazano iść jeden za drugim schodami na korytarz, po prawej stronie widowni na I piętro, skąd prowadziły drzwi na balkony. Od razu po trzech zaczęto wpuszczać na balkon. Słyszałem strzały – zorientowałem się, że odbywa się egzekucja... Przede mną weszło ok. 60 mężczyzn m.in. mój ojciec. Sala widowni jest spalona, balkony zerwane, a korytarzyk przy wejściu na balkon stanowi linię pochyłą. Ze wszystkich otworów wiodących na widownię wyglądali SS-mani. Zobaczyłem, że na korytarzu stoi 3 SS-manów... Zaraz po wejściu widziałem spadających z pochyłości balkonu mego ojca i 2 innych mężczyzn po otrzymaniu postrzału w tył głowy. Stałem na równi – SS-man kazał mi przejść na pochyłość, chcąc mieć wygodniejszą pozycję do strzału. Kiedy znalazłem się na pochyłości, odruchowo skoczyłem w dół – kula przeszła nad moją głową. Skoczyłem na zwłoki zastrzelonych przede mną, zerwałem się mając ręce we krwi i zacząłem uciekać w kierunku estrady...”.

Rozstrzeliwani byli nie tylko cywile. Jako zasadę aż do drugiej połowy września Niemcy przyjęli mordowanie wszystkich wziętych do niewoli powstańców. Oto co na temat jednej z takich egzekucji zeznał świadek S. R. Czugajewski: „...przez okienko zobaczyłem wychodzącą z ul. Zagórnej grupkę około 100 mężczyzn konwojowanych przez SS-manów pod bronią... Zobaczyłem w grupie 10 czy 12 żołnierzy z armii Berlinga, kilkunastu żołnierzy z odznaką AL i nieco mniejszą grupę z odznakami AK, resztę stanowili mężczyźni ubrani po cywilnemu... Przy placu położonym po stronie numerów parzystych, naprzeciwko numeru 185... grupę zatrzymano, po czym usłyszałem salwy i zobaczyłem, iż mężczyźni padają. Strzały padały od strony placu... strzelających sam nie widziałem. Słuchając, odniosłem wrażenie, iż strzały pochodziły z karabinów ręcznych. Rozstrzeliwano małymi grupkami doprowadzonych bliżej placu. Obserwowałem egzekucję ok. pół godziny, potem odszedłem od okienka, strzały słyszałem w ciągu godziny...”.

Jako zasadę, zresztą tylko do pewnego stopnia stosowaną, Niemcy uznali palenie zwłok zamordowanych. W tym celu z niektórych schwytanych cywilnych Polaków utworzone zostały tzw. Verbrennungskommando; które pod eskortą niemiecką paliły pomordowanych. Świadek Zasada, pracując w jednej z Verbrennungskommando, zeznał, iż uczestniczył przy paleniu następujących ilości zwłok:

Wolska 91, podwórze – 100 mężczyzn rozstrzelanych; Wolska 85, skład narzędzi – 300 zwłok w sutannach, ok. 80 cywilów; Wolska 83 – 50 zwłok mężczyzn; Wolska 60, fabryka makaronu – stos zwłok długości 20 m, szerokości 15 m, wysokości ok. 2 m, naliczono w nim ponad

2 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci; fabryka Ursus przy ul. Wolskiej – ok. 5 000 zwłok mężczyzn, kobiet i dzieci; Wolska 47 – 100 zwłok; Wolska 49 i 54 – mniejsze ilości

zwłok; fabryka Franaszka – 6 tysięcy zwłok; warsztaty MZK – 300 zwłok; Wolska 29 – 600 zwłok, kobiet, dzieci, starców i księży; Wolska 24 – 1 000 zwłok mężczyzn, kobiet, dzieci; szpital św. Łazarza, podwórko, sale szpitalne i operacyjne – 5 tys. zwłok; Karolkowa róg Leszna fabryka – ponad 40 zwłok; cmentarz ewangelicki – bardzo wiele zwłok; Wolska 6, fabryka pasów – 500 zwłok; Wolska za wiaduktem, strona parzysta – na każdym podwórzu wiele zwłok; park Sowińskiego – 6 tys. zwłok w stosie długim na 25 m, szerokim na 25 m, wysokim na 1,4 m; Ogrodowa, Leszno, Solna – na każdym podwórku po 20–30 do 50 zwłok; Elektoralna 18 – 18 zwłok; Ogrodowa 58 – 40 zwłok; Leszno 20 – 100 zwłok; Ogrodowa 5 lub 7 – 30 zwłok kobiet i dzieci; Górczewska 25 – 200 zwłok; Szpital Wolski – 200 zwłok; piwnice Hali Mirowskiej – 150 zwłok; ul Wolska od nr 102 do Elekcyjnej – z każdego domu po kilkanaście zwłok. Wykaz ten nie jest kompletny.

Świadek M. Miniewski, pracujący w innym Verbrennungskommando, odrębnym od poprzedniego, w swoim zeznaniu wylicza 26 rejonów, z których każdy obejmuje nieraz wiele domów, w których uczestniczył w paleniu zwłok. Według ostrożnych obliczeń, grupa w której pracował, spaliła łącznie nie mniej niż 10 000 zamordowanych. Włączony do jeszcze innego zespołu spalania zwłok świadek St. Kubiak brał udział w tym, w co najmniej kilkudziesięciu miejscach, ilość zwłok, przy paleniu których uczestniczył, jest trudna do obliczenia, w każdym razie idzie w tysiące. W podobnym zakresie uczestniczył w Verbrennungskommando świadek W. Dziewulski. Wszyscy oni mieli do czynienia jedynie z częścią palonych zwłok.

Pewne dane dotyczące masowości ofiar wynikają z wyników ekshumacji prochów w niektórych miejscach masowych egzekucji. Ekshumację tę przeprowadził po wojnie Miejski Zakład Pogrzebowy. Z terenu fabryki Franaszka, gdzie Niemcy wymordowali około 6 000 osób, zebrano 600 kg prochów ludzkich, z parku Sowińskiego – 1 120 kg, z ul. Wolskiej 60 – 1 029 kg, z terenów b. GISZ – aż 5 578 kg.

Ci, którzy nie zostali zamordowani przez hitlerowców we własnych mieszkaniach czy domach natychmiast po wkroczeniu wroga, którzy uniknęli śmierci w masowych egzekucjach – bez wyjątku zostali wypędzeni z miasta. 250 tys. spośród wypędzonych rozwieziono do różnych miejscowości na terenie Generalnej Guberni, pozostawiając ich tam bez środków do życia, na opiece miejscowego społeczeństwa, zaś 150 tys. skierowano do pracy niewolniczej w Rzeszy lub osadzono w obozach koncentracyjnych i zagłady.

O tym, jak odbywało się wypędzanie mieszkańców Warszawy – zeznają świadkowie: „...zabroniono wnosić rannych oraz chorą staruszkę... Zepchnął z deski w płomienie (inną) staruszkę, mającą sparaliżowane nogi – zeznaje świadek W. Lachertowa. – W ten sam sposób zginął staruszek Niewiadomski. Żołdacy utworzyli kordon dookoła wyprowadzanych, grabili ich rzeczy oraz bili po wyjściu z bloku przy ul. Pługa... Pewne osoby wydające się im podejrzanе czy to z powodu wyglądu, czy z powodu posiadanej rany, obalali na ziemię i rozstrzeliwali... Około 50–60 osób odniosło od razu kolbami ciężkie i lekkie obrażenia ciała... W czasie gdy w bloku mordowano chorych, mnie

w grupie ok. 20 mieszkańców domu... wypędzili na róg Uniwersyteckiej i Kaszyńskiej. Tu ustawiono koło nas karabin maszynowy, przy czym oficer SS badał, czy grupa znajduje się w zasięgu strzału... Rozkazał odłączyć grupę mężczyzn i patrzył, jak bezkarnie grabili wyprowadzoną ludność, zabierając wszystkie lepsze rzeczy, płaszcze, biżuterię. Grabili nas również SS-mani. Mnie rewidował dokładnie właśnie SS-man, szukając kosztowności w moim ubraniu. Oficer wydał rozkaz odprowadzenia grupy na Zieleniak, dokąd szliśmy, mając około 20 minut podniesione w górę ręce. W ten sposób nikt nie mógł prześlizgnąć się z walizką lub tłumoczką... Na Zieleniaku prócz naszej grupy znajdowało się już kilka tysięcy osób przeważnie z Kolonii Lubeckiego, Staszica oraz trochę z Mokotowa. Niektórzy przebywali tu już od kilku dni. Starsza kobieta... wołała rozpaczliwie, by oddano jej dwie córki, uprowadzone przed trzema dniami...".

Gdy wypędzenie części ludności Warszawy, głównie z Ochoty, wiodło przez Zieleniak, z północnej części Śródmieścia i Starego Miasta droga prowadziła przez Kościół św. Wojciecha. Zeznała świadek Helena Biske: „Niemcy kazali opuścić nam dom. Wyszliśmy na ulicę. Niemcy – Wehrmacht – poprowadzili nas przez Nowy Świat do Ordynackiej. Na rogu ulicy Kopernika Niemcy wyłączyli z grup młode kobiety i mężczyzn... Co się stało z młodymi.. nie wiadomo. Z mojej rodziny zabrany był wówczas brat mój, Władysław... i siostra Zofia... Dowiedzieliśmy się, że brat został rozstrzelany... Z uniwersytetu Niemcy wieczorem wyciągali młode kobiety, które gwałcili. Te wracały rano do nas. Następnie poprowadzono nas przez plac Teatralny ulicami... do kościoła na Woli (kościół św. Stanisława)... W drodze do kościoła na Woli wyciągali młode kobiety, które gwałcili...”.

Dalsza droga, tak z Zieleniaka, jak z kościoła św. Wojciecha (o którym piszemy w tym numerze oddzielnie), czy z innych miejsc zbórnych wypędzanych – prowadziła do obozu przejściowego w Warsztatach Kolejowych w Pruszkowie. „Pierwszy transport wysiedlonych przybył do Pruszkowa w dniu 7 sierpnia – zeznał świadek W. Mazurek – pędzony pieszo około 15 km. Liczył on kilka tysięcy mieszkańców Woli, którzy po przybyciu do Pruszkowa byli w stanie kompletnego wyczerpania zarówno fizycznego, jak i nerwowego. Transport składał się z kobiet i dzieci, mężczyzn w sile wieku nie było w nim prawie wcale. Ludzie byli strasznie wygłodzeni, wielu z nich od kilku dni nie miało nic w ustach... Wiele kobiet i dziewcząt zgwałconych w Warszawie zgłaszało się o pomoc lekarską... Kiedy za pierwszym transportem zaczęły napływać następne i zrozpaczone tłum rannych, poparzonych i chorych wysiedleńców rósł coraz potężniej, stało się jasne, że (Niemcy) nie byli przygotowani do prowadzenia takiego obozu... Niemcy mieli bowiem tylko jeden argument w stosunku do Polaków – strzał – i jedną tylko nazwę – »bandyci«. Toteż strzały padały co chwila i co chwila przynoszono rannych do opatrunku... Gdy nadeszły pierwsze pociągi towarowe wywożące wysiedlaną ludność na dalszą tułaczkę, ładowano ją bez żadnej segregacji, zarówno chorych, rannych jak i konających, wypychając jeden transport za drugim w nieznane. Czasem zanim taki transport odszedł, trzeba było usuwać zwłoki zmarłych już w wagonach. Po odejściu

pierwszych transportów zaczęły się najstraszliwsze przeżycia wysiedlonych – segregacja i rozrywanie rodzin. Czynności tej dokonywali żandarmi wraz z funkcjonariuszami Arbeitsamtu wśród ryków, bicia i kopania... Śmiertelność w obozie wzrastała w miarę przybywania transportów ludności, która im dłużej przebywała wśród walk i pożarów... bez żywności i wody – tym słabsza fizycznie napływała do obozu... a tymczasem trafiali oni do pruszkowskiego obozu, w którym warunki sanitarne i higieniczne mogły dobić nie tylko chorego, ale i zdrowego człowieka. Stąd też był duży procent zgonów...”. Pruszków był przedostatnim etapem. Po nim – już wagony bydłce, wypełnione do ostatecznych granic, wywożące w nieznane...

*

Tak oto dokonywała się zbrodnia na mieszkańcach Warszawy, rozłożona na etapy, z których każdy był bardziej morderczy od poprzedniego. Przez dwa miesiące nieprzerwanie i równolegle obracało się straszliwe koło zbrodni: morderstwa i gwałty w chwili obsadzania poszczególnych rejonów, ulic czy domów; masowe egzekucje o niespotykanym ogromie ofiar; gwałty i mordy podczas wypędzania pozostałych jeszcze przy życiu mieszkańców. Przed Powstaniem Warszawa lewobrzeżna, nie licząc kilku peryferyjnych rejonów, liczyła około 650 tys. mieszkańców; około 50 tys. z nich zginęło w trakcie walk, tak w boju, jak głównie wskutek bestialskiego bombardowania i ognia artylerii; z pozostałych 600 tysięcy jedna trzecia została bestialsko zamordowana, reszta wypędzona z miasta i w znacznej mierze skierowana do pracy niewolniczej. Taki był bilans zbrodni niemieckiej. „Czy to żołnierz, czy SS-man, czy policjant, czy członek służby bezpieczeństwa, czy członek pogotowia technicznego, czy członek NSKK – wszyscy oni starali się o to, aby metropolia Polski... została ostatecznie usunięta” – napisał w miesiąc po upadku Powstania jeden z jego katów, Reinefarth, na łamach »Ostdeutscher Beobachter«. – Polacy ściągnęli do Warszawy swój najmłodszy i najlepszy materiał ludzki... myśmy i tego wroga pokonali i zadali mu straty w ludziach wynoszące około 1/4 miliona”.

Każdy skrawek warszawskiej ziemi przesiąknięty jest krwią. Nie zapomnimy nigdy ofiar; nie zapomnimy morderców.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

800 000¹⁸²

W latach 1939–45 zginęło w Warszawie 300 do 850 tys. jej mieszkańców. Liczba ta jest znana. Dziś podjęliśmy próbę dokładniejszego określenia jak i kiedy, okres po okresie, realizował wróg swą politykę zagłady wobec naszego miasta. Zarys odpowiedzi zawiera poniższy artykuł.

¹⁸² „Stolica” z 1968 r., nr 3.

Straty wojenne Warszawy, wyniosły w minionej wojnie więcej niż ofiary poniesione przez większość państw uczestniczących w światowym konflikcie 1939–1945. W stolicy Polski, Niemcy w ciągu ponad 5 lat wymordowali 800–850 tys. mieszkańców. W tej samej wojnie Stany Zjednoczone utraciły ogółem 181 tys. ludzi – a więc ok. 23 proc., tego co Warszawa. Wielka Brytania, zaangażowana nie tylko na licznych frontach, lecz przez długi czas intensywnie bombardowana przez Niemców, 368 tys. zabitych – mniej niż połowę tego, co Warszawa. W Warszawie w latach 1939–45 Niemcy wymordowali o 40 proc. więcej ludzi niż straciły Stany Zjednoczone we wszystkich swoich wojnach, począwszy od 1775 r. aż do 1945 r.

Straszliwe straty Warszawy są dowodem planów zagłady biologicznej narodu polskiego: Niemcy zamierzali wymordować trzon naszej społeczności, resztę wynarodowić bądź wypędzić z ojczyzny. Zbrodnie, których zdążyli dokonać, były bez precedensu w dziejach.

Znaczenie, jakie Niemcy przywiązywali do zniszczenia naszego miasta i wymordowania jego mieszkańców, było wyjątkowe. Przyczynę tego może najjaśniej ujawnił Heinrich Himmler we wrześniu 1944 r., gdy mówił o losie stolicy po zdławieniu Powstania: „Warszawa, stolica, głowa, kwiat inteligencji tego byłego 16–17-milionowego na rodu Polaków będzie starta, tego narodu, który od 700 lat blokuje nam wschód i od czasów pierwszej bitwy koło Tannenbergu stale nam leży na drodze. I wówczas polski problem historycznie dla naszych dzieci i dla wszystkich, którzy po nas przyjdą, ba! nawet dla nas samych nie będzie więcej żadnym problemem...”.

Eksterminacja ludności Warszawy i barbarzyńskie zniszczenie miasta zostały zapoczątkowane już 1 września 1939 roku, gdy nad stolicę Polski wyruszyły zespoły bombowców niemieckich. Pierwszego dnia wojny giną na peryferiach stolicy od bomb kobiety i dzieci. Ponawiane przez pierwszy tydzień wojny niemieckie uderzenia powietrzne nie przynoszą jednak zamierzonych przez wroga rezultatów: polskie myśliwce rozpraszają większość niemieckich eskadr bombowych wcześniej, niż udaje im się dotrzeć nad Warszawę. Gdy w bezpośrednie pobliże Warszawy podchodzą oddziały Wehrmachtu, niebo nad Warszawa opanowane zostaje przez wroga, zaś uderzenia z powietrza zadające miastu wielkie straty połączone zostają z uderzeniami naziemnymi.

Od samego początku bezpośrednich walk o Warszawę Niemcy zmierzają do zadania strat ludności cywilnej. W trakcie szturmów pancernych Warszawy 9 i 10 września czołgiści niemieccy w licznych wypadkach dopuszczają się mordów na cywilach. Później, gdy w rezultacie polskiego oporu i braku dostatecznych sił dla jego przełamania szturm zostaje odłożony, wzrasta się terrorystyczny ostrzał artyleryjski stolicy. Na zajętych peryferiach miasta Niemcy w licznych wypadkach mordują cywilów. Na ogół mamy tu do czynienia z rozstrzeliwaniami pojedynczych osób czy niewielkich grup; obok tego jednak (jak świadczą zachowane zdjęcia niemieckie) Wehrmacht dokonuje także egzekucji przez powieszenie.

Po 22 wrześniu Niemcy rozpoczynają ostatnie uderzenie na miasto. Najpierw rusza do akcji Luftwaffe. Na rozkaz Hitlera nad Warszawę zostają ściągnięte wszystkie bombowce, jakimi mogło wówczas dysponować niemieckie dowództwo. 25 września, blisko tysiąc samolotów atakuje miasto. W sumie, dodając kolejne fale, na Warszawę spada ładunek niesiony przez 4–5 tysięcy bombowców.

Jest to pierwsze w dziejach ludzkości bombardowanie dywanowe, totalne. Niezależnie od uderzenia z powietrza strzela na miasto huraganowym ogniem blisko tysiąc dział. Skutki są straszne: jednocześnie szaleje w mieście ok. 20 pożarów, przy czym liczne – obejmują całe ulice. Udzielające pomocy ekipy ratownicze, lekarskie, straży pożarnej ostrzeliwane są przez niemieckie myśliwce z karabinów maszynowych. Płoną szpitale. W jednym tylko płonącym skrzydle szpitala św. Ducha przy ul. Elektoralfiej ginie blisko 700 chorych i rannych.

Osiem niemieckich dywizji piechoty szturmują miasto. Nacierające oddziały Wehrmachtu w licznych wypadkach – na Grochowie, Saskiej Kępie, Pradze Północ, Mokotowie, Ochocie i Woli – dopuszczają się w trakcie walki mordów na cywilach, którzy nie zdołali uciec.

Zbrodnia na warszawiakach dokonana została nie tylko w obrębie murów stolicy. Krwawy jej rozdział zapisany został poza Warszawą, na szosach, którymi dążą na południowy wschód tłumy uciekinierów. Od samego początku kampanii Niemcy atakują ewakuującą się ludność. Na drogach ucieczki przez Mińsk Mazowiecki, Siedlce, Garwolin, Lublin, Dęblin, ginie wiele tysięcy cywilnych mieszkańców Warszawy.

Bilans strat miasta we wrześniu 1939 r. jest olbrzymi. Lista ofiar wśród ludności cywilnej przekracza w samej Warszawie 10 tys. Kilka tysięcy warszawiaków zamordowano poza miastem, głównie w rezultacie ataków Luftwaffe na przepełnione przez uciekinierów szosy. Straty warszawiaków poniesione w samej walce są stosunkowo mniejsze: w toku całej kampanii ginie na terenie Polski 1 000 do 2 000 oficerów i żołnierzy z pochodzenia warszawiaków. W sumie straty w ludności naszego miasta w 1939 r. są dwukrotnie większe niż ogół ofiar Norwegii i Danii, poniesionych przez cały okres wojny.

Wkraczając do Warszawy po kapitulacji, Niemcy rozpoczynają nowy etap swej polityki eksterminacyjnej. Już w pierwszych tygodniach wróg dokonuje egzekucji na cywilnych mieszkańcach Warszawy. Pierwsza z nich, o której Niemcy powiadomili publicznie, została dokonana w listopadzie 1939 r. na Eugenii Włodarz i Elżbiecie Zahorskiej. Nie była to jednak pierwsza wykonana egzekucja. Przez październik i listopad trwają zabójstwa chwytych według specjalnego klucza mieszkańców Warszawy, przede wszystkim przedstawicieli najbardziej aktywnych i świadomych środowisk stolicy – inteligencji, działaczy społecznych i gospodarczych. Egzekucje te przeprowadzane są głównie w zamkniętym terenie przy ul. Stojanowskiej. Od listopada głównym miejscem zbrodni w Warszawie stają się ogrody sejmowe, gdzie zamordowano znacznie ponad 1 000 ludzi. Zbrodni tych dokonuje głównie 301 batalion Schutzpolizei.

Od połowy grudnia 1939 r. egzekucje warszawiaków przeprowadzane są głównie poza miastem. Terenem najbardziej masowych mordów staje się skraj Puszczy Kampinoskiej w pobliżu Palmir. Tak np. 20 i 21 czerwca 1940 r. w Palmirach rozstrzelano 378 osób (wśród nich Mieczysława Niedziałkowskiego, Macieja Rataja, Janusza Kusińskiego, wiceprezidenta Warszawy Jana Pohoskiego). Dokładnej ilości ofiar egzekucji w Palmirach nie udało się ustalić. Po wojnie ekshumowano ponad 1 700 zwłok.

Na nieco mniejszą skalę niż w Palmirach przeprowadzane były egzekucje w innych miejscowościach w pobliżu Warszawy: w lasach Sękocińskich koło wsi Magdalenka, w Lasach Kabackich, pod Pyrami, a także w licznych innych rejonach. Łączna liczba ofiar nie jest do ustalenia, ale z pewnością w latach 1939-41 wymordowano tu kilka tysięcy mieszkańców Warszawy.

Egzekucje, dokonywane na podstawie zbrodniczych werdyktów tzw. niemieckich sądów doraźnych, stanowiły tylko część morderstw popełnianych na warszawiakach. Działające od samego początku katownie niemieckie ze słynną al. Szucha na czele, więzienia i areszty śledcze z Pawiakiem i Serbią przede wszystkim – stały się miejscem licznych zabójstw.

W pierwszym okresie okupacji, w latach 1939–1941, Niemcy zamierzali przede wszystkim wymordować polską inteligencję, uważając, że w ten sposób ułatwią sobie, przewidzianą w planach

całkowitą zagładę Polaków. Jeszcze w 1940 r. okupant przystąpił do obejmującej cały kraj tzw. „Akcji A–B”. W jej trakcie Niemcy dokonali masowych aresztowań według ściśle ustalonych list. Schwytyanych osadzano w obozach, znaczna ich część została zamordowana czy to w masowych egzekucjach czy też indywidualnie w niemieckich katowniach. Straty Warszawy, głównego centrum inteligencji polskiej, poniesione w trakcie „Akcji A–B” były szczególnie wysokie.

W pierwszym okresie okupacji, Niemcy jeszcze unikali afiszowania się swą zbrodniczą działalnością. Miały jednak miejsce również mordy i egzekucje dokonywane jawnie, mające na celu zastraszenie społeczeństwa polskiego. Na terenie Warszawy pierwszy wielki, dokonany publicznie mord miał miejsce w nocy z 26 na 27 grudnia 1939 r. w podmiejskim Wawrze. Niemcy wywiekli wówczas z domów 106 całkowicie przypadkowych mężczyzn, których natychmiast rozstrzelali, zaś dodatkowo jednego człowieka powiesili. Tylko 7 schwytyanych zdołało się uratować.

Najbardziej masową formą eksterminacji i narodu polskiego stały się obozy koncentracyjne.

Od czerwca 1940 r. działa obóz w Oświęcimiu i już w tym miesiącu osadzeni tam zostają pierwsi Warszawiacy. W sierpniu 1940 r. Niemcy urządzają olbrzymią łapankę w Warszawie, zaś miesiąc później uzupełniają ją masowym zabieraniem mężczyzn z domów. Część schwytyanych osadza się w więzieniach, w aresztach bądź morduje; reszta – około 4 500 mężczyzn zostaje wywieziona do Oświęcimia. Od tego czasu wysyłki warszawiaków do tego i innych obozów trwają nieprzerwanie.

W 1941 r. terror hitlerowski w Warszawie wzmaga się. Z początkiem roku dochodzi do zbiorowych egzekucji 210 więźniów z Pawiaka. Trwają ustawicznie mordy w ogrodach sejmowych, w Palmirach, Magdalence, Stefanowie, lasach Kabackich.

Ocenę polityki zagłady, stosowanej przez Niemców już w pierwszym okresie okupacji, jeszcze przed zarządzeniem „Akcji A–B”, dał generalny gubernator Hans Frank. W wywiadzie udzielonym 6 lutego 1940 r. dziennikarzowi „Völkischer Beobachter”, Kleissowi, na pytanie, jaka jest różnica w traktowaniu protektoratu Czech i Moraw i Generalnej Guberni oświadczył: „Mogę panu przedstawić różnicę w sposób obrazowy. W Pradze na przykład rozlepiono wielkie czerwone plakaty... że... rozstrzelano 7 Czechów. Wtedy powiedziałem sobie: gdybym chciał kazać wywieszać plakat o rozstrzeliwaniu każdego 7 Polaków, wówczas nie starczyłoby lat w Polsce do wyprodukowania papieru na takie plakaty”¹⁸³.

Kolejny etap zagłady ludności Warszawy to masowa eksterminacja osób pochodzenia żydowskiego, która trwa przez lata 1942–1943. W Warszawie przed wojną mieszkało ponad 300 tys. obywateli pochodzenia żydowskiego. Tę część społeczności stolicy w 1940 r. Niemcy spędzali do getta, a z czasem zaczęto w nim osadzać Żydów z całego niemal okręgu warszawskiego. Od chwili zamknięcia getta każdy Żyd, który z niego wydostał się i został schwytany, był w zasadzie mordowany przez Niemców. Natomiast aż do 1942 r. Niemcy wstrzymali się ze stosowaniem bezpośredniej eksterminacji w getcie. Zamknąwszy szczelnie getto, dopuszczając do niego niewystarczające ilości żywności, Niemcy świadomie i celowo dążyli do tego, aby Żydzi marli wskutek głodu, wyczerpania i chorób. W ten sposób Niemcy spowodowali śmierć kilkudziesięciu tysięcy Żydów, zarówno warszawskich, jak przywiezionych z prowincji, a zmierzali do tego, aby cała ludność getta zginęła z głodu i chorób w możliwie krótkim czasie. Udałoby się to, gdyby nie pomoc mieszkańców Warszawy. Globalna ilość żywności dostarczonej tajnie i z narażeniem życia była wielokrotnie większa od ilości, którą dostarczono gettu legalnie.

Na przełomie 1941–1942 r., w Berlinie podjęto decyzję wymordowania ogółu Żydów. Zbrodni tej miano dokonać przede wszystkim w obozach koncentracyjnych, w komorach gazowych. Dla warszawskich Żydów wyznaczono pobliski obóz w Treblince, wybudowany pośpiesznie i przygotowany w pierwszej połowie 1942 roku.

Ostateczna zagłada Żydów warszawskich rozpoczęła się 22 lipca 1942 r. Począwszy od tego dnia aż do 2 października tegoż roku, dzień w dzień odchodziły z Warszawy transporty z wyznaczonymi na śmierć. Niemcy nie prowadzili tutaj, zresztą żadnej po-

¹⁸³ Dokładnie ten sam fragment tego wywiadu znajduje się w zdjętym przez cenzurę tekście Ludwika Muzyczki i Kazimierza Pluty-Czachowskiego (w czasie wojny byli oni szefami oddziałów KG AK, po 1956 r. – liderami nn-u) pt. *Prawda i nieprawda o Armii Krajowej* (cz. 2). Tekst ten został opublikowany jako załącznik nr 2 w książce M. Lewandowskiego, *Ludwik Muzyczka „Benedykt”*, s. 559–577). Moczulski musiał znać ten artykuł Pluty-Czachowskiego i Muzyczki.

lityki wyboru. Domagali się jedynie od władz żydowskich w getcie z tzw. Judenratem na czele, aby określone ilości dzienne mieszkańców getta były dostarczane do transportów. W sumie w trakcie całej tej ponad dwumiesięcznej akcji wywieziono z Warszawy i następnie zamordowano 310 tys. Żydów. Część z nich tylko stanowili Żydzi warszawscy; co najmniej połowę – przywiezieni uprzednio do getta warszawskiego z innych miejscowości.

W getcie pozostało jeszcze ok. 60 tys. ludzi. 18 stycznia 1943 r. Niemcy przystąpili do ostatecznej zagłady żydowskiej dzielnicy w Warszawie. Tym razem jednak ich plany spaliły na panewce. Nie powtórzyła się sytuacja sprzed kilku miesięcy, gdy bez większych trudności tysiące ludzi dziennie odstawiane były do transportów do Treblinki. Teraz przeciwko Niemcom wystąpiły nieliczne wprawdzie, lecz zdecydowane na wszystko żydowskie grupy podziemne: Żydowska Organizacja Bojowa i Żydowski Związek Wojskowy. Przy pomocy polskiego ruchu oporu żydowscy bojownicy zmusili Niemców do zaprzestania akcji; w jej trakcie udało się wywieźć z getta tylko ok. 6 500 Żydów.

19 kwietnia 1943 r. silne ekipy niemieckie wtargnęły do getta. Napotkały zdecydowany opór bojowców żydowskich; wraz z nimi na terenie getta walczyli także polscy żołnierze podziemia. Inne grupy AK, GL uderzały z wewnątrz na wdzierających się do getta Niemców. Ta walka nie miała jednak szans zwycięstwa. Powstanie w getcie zostało zdławione, a jego ludność wymordowana na miejscu bądź w Treblince. W sumie w tym ostatnim okresie Niemcy schwytali i zgładzili ok. 56 tys. Żydów.

Łącznie zginęło nie mniej niż 280 tys. warszawskich Żydów. Tylko powyżej 10 proc. Żydów warszawskich, którzy z początkiem okupacji byli w mieście, udało się ukryć i przeżyć dzięki polskiej pomocy.

Zagłada getta pociągnęła za sobą również poważne ofiary wśród innych środowisk Warszawy. Liczni warszawiacy zginęli w trakcie dostarczania żywności, lekarstw, broni itd. do dzielnicy żydowskiej, inni polegli, walcząc w powstaniu w getcie lub śpiesząc mu z pomocą. Gros ofiar związane jednak było przede wszystkim z ukrywaniem Żydów przez ludność polską. W zasadzie w wypadku schwytania ukrywającego się Żyda ginął nie tylko on, lecz mordowano na miejscu ukrywającą go polską rodzinę. Straty z tego powodu obliczać należy w tysiącach.

W okresie 1942–1943, kiedy dokonywała się ostateczna zagłada ludności żydowskiej w Warszawie Niemcy wzmogli jeszcze bardziej politykę eksterminacji Polaków. Nie przyniosła ona jednak jeszcze założonych przez Niemców celów. Wynikało to z wielu przyczyn. Tocząc trudną wojnę, Niemcy nie byli w stanie skierować do eksterminacji Polaków dostatecznie wielkich sił. O wiele większe znaczenie miał jednak opór polski. Społeczeństwo nie poddawało się biernie okupantowi, nie pozwalało się bezkarnie prowadzić na rzeź. Ruch oporu raz po raz dokonywał odwetowych uderzeń.

Terror hitlerowski przybierał jednak – mimo wszystko – na sile. Trwały nadal masowe mordy, coraz większe transporty warszawiaków wysyłano do Oświęcimia. W paź-

dzienniku 1942 w kilku peryferyjnych dzielnicach Warszawy zawisło na szubienicach 50 więźniów, zaś kilkudziesięciu dalszych rozstrzelano na wydmie Łuże w Kampinosie. Niemcy ogłosili, że egzekucja 50 powieszonych była odpowiedzią na akcję „Wieniec” – sparaliżowania przez AK węzła warszawskiego. To wystawienie na widok publiczny powieszonych ofiar miało zastraszyć Warszawę – lecz nie zastraszyło. Niemal natychmiast nastąpił polski odwet: Gwardia Ludowa dokonała zamachów na Café Club, Mitropę i drukarnię „Nowego Kuriera Warszawskiego”. Niemcy odpowiedzieli nałożeniem kontrybucji na Warszawę. Została ona odebrana w akcji GL na KKO.

Ten rozwój sytuacji, gdy zbrodnie wroga spotkał natychmiastowy, dotkliwy odwet – zakłócił realizację planów zagłady. Ale nie wstrzymał. Z początkiem 1943 r. do Warszawy przybywa Himmler i zarządza wzmożenie akcji eksterminacyjnej Polaków. Ilość egzekucji wzrasta. Tym razem ofiary nie są już wywożone poza miasto – lecz mordowane w Warszawie, w ruinach getta, przy ul. Dzielnej i Nowolipie, w pobliżu Gęsiówki i Pawiaka, a także w innych miejscach. Wzrasta gwałtownie ilość Polaków mordowanych w gestapo na Szucha.

Na jesieni 1943 r. Niemcy postanawiają przejść do kolejnej fazy zagłady narodu polskiego. 2 października 1943 r. generalny gubernator Frank wydaje zarządzenie udzielające niemieckim władzom policyjnym i innym, nadzwyczajnych pełnomocnictw. Namiestnik Hitlera stwierdza, że organa te mają prowadzić politykę zagłady Polaków „odsunąwszy na bok wszelkie hamujące obiekcje natury formalnej”. Na podstawie tego zarządzenia Niemcy mają m.in. prawo strzelać do każdego Polaka bez ostrzeżenia, jeśli jego osoba bądź zachowanie wyda się podejrzane.

Władze niemieckie zaczynają przeprowadzać systematyczne, niemal codzienne obławę w Warszawie. Policja i wojsko obstawia wybrane ulice, a nawet całe dzielnice, zatrzymując wszystkich mężczyzn. Wyciąga się też ludzi z domów, ze sklepów, z tramwajów. Przewożono ich głównie na Pawiak, stąd część schwytanych kierowano do obozów, głównie do Oświęcimia i niewolniczej pracy w Niemczech, inną część mordowano na miejscu bądź rozstrzeliwano. Aby zastraszyć ludność, zostają zarządzane egzekucje uliczne oraz podawanie do wiadomości publicznej nazwisk ofiar. Pierwsza z egzekucji tej serii ma miejsce 15 października 1943 r. w ruinach getta: zamordowano wówczas 35 Polaków, choć nazwiska tylko 7 z nich podano do publicznej wiadomości. Od tej pory niemal codziennie megafony bądź rozplakatowane obwieszczenia podają nazwiska coraz to nowych ofiar. Począwszy od 16 października 1943 r., odbywają się egzekucje na ulicach miasta.

Warszawa nie dała się zastraszyć, w odwet za zbrodnie niemieckie ruch oporu za daje okupantowi ciężkie straty. Gdy wreszcie z wyroku sądu podziemnego ginie dowódca SS i policji :kręgu warszawskiego Kutschera – Niemcy zmuszeni są zaprzestać egzekucji ulicznych.

Terror jednak trwa nieprzerwanie aż do chwili wybuchu Powstania. W sumie w okresie całej okupacji Niemcy wymordowali w stolicy, pod Warszawą, wreszcie

w obozach koncentracyjnych ok. 500 tys. mieszkańców Warszawy: ok. 280 tys. z nich stanowiły osoby pochodzenia żydowskiego.

Wybuch Powstania Warszawskiego otwiera nową kartę w dziejach miasta. Od 5 sierpnia siły niemieckie skupione pod Warszawą, dowodzone najpierw przez Reinefartha, a następnie przez von dem Bacha uderzają od zachodu na miasto. Na pierwszy plan idzie Wola i Ochota. Natychmiast po zajęciu tych zachodnich dzielnic stolicy Niemcy przystępują do masowego mordu całej ludności polskiej, nie tylko mężczyzn, lecz także kobiet i dzieci. Już w ciągu pierwszego dnia masakry Woli – według raportu Reinefartha złożonego dowódcy niemieckiej 9 armii gen. Vormannowi – zostaje zamordowanych 10 tys. cywilów. Następnego dnia mordy przybierają na sile: w sumie w ciągu kilku dni w masowych egzekucjach na Woli zostaje wymordowanych ok. 58 tys. Polaków.

Niemcy muszą jednak z rezygnować z zasady mordowania wszystkich bez wyjątku Polaków na zdobytym terenie. Ich zamiary natychmiastowego wymordowania ludności łamię opór polski. Gdyby udało się Powstanie zdławić w ciągu kilku dni, masakra dokonana na Woli powtórzona byłaby w innych dzielnicach Warszawy. Taka była decyzja niemiecka. Jednak von dem Bach, mimo iż przybył z zadaniem dokonania ostatecznej zagłady miasta i jego mieszkańców – musi ustąpić przed siłą faktów i uchylić poprzednią praktykę Reinefartha rozstrzeliwania wszystkich. Niemcy zdają sobie sprawę, że mordując, nie zdołają złamać Powstania Warszawskiego. A jest to konieczne ze względu na ogólną sytuację operacyjną na froncie, który dotarł do linii środkowej Wisły. Stąd też masowość egzekucji zostaje ograniczona. Nie morduje się wszystkich, a tylko część ludności, przede wszystkim mężczyzn. Jednak aż do końca Powstania trwają mordy, nieraz masowe, popełniane także na kobietach, dzieciach i starcach.

W wielu wypadkach – jak na przykład na Marymoncie – zostaje wymordowana ludność prawie całej dzielnicy. Szczególnie bestialskie egzekucje mają miejsce na Starym Mieście. Prerażające w swym okrucieństwie zbrodnie mają miejsce w tzw. niemieckiej dzielnicy policyjnej, obsadzonej przez okupanta przez cały czas trwania Powstania. Zwłaszcza na dziedzińcach gmachów przedwojennego GISZ przy al. Ujazdowskich dochodzi do licznych masowych egzekucji. Niemcy używają też schwytyanych kobiet jako osłony dla atakujących czołgów.

Obok tych organizowanych masowych zbrodni i egzekucji trwają nieprzerwanie zbrodnie dokonywane indywidualnie i z własnej inicjatywy przez pojedynczych żołnierzy niemieckich. Po zajęciu poszczególnych domów czy ulic rabują oni najpierw mieszkańców i gwałcą kobiety, a następnie mordują swe ofiary. Już po zaprzestaniu masowych egzekucji, gdy pozostałych przy życiu wypędza się z miasta pod konwojem, niektórzy żołnierze niemieccy dla „rozrywki” strzelają do wysiedlanych. Morduje się ich także w obozie w Pruszkowie.

W sumie bilans strat Warszawy okresu Powstania jest przerażający. W ciągu dwóch miesięcy zostaje wymordowanych w mieście ok. 200 tys. Polaków. Obok tego ginie ok.

20 tys. żołnierzy Powstania, z czego tylko część w walce, a reszta – są to na ogół ranni – jest wymordowana po wzięciu do niewoli przez Niemców.

Długotrwałość i determinacja oporu Powstania zmusza jednak Niemców do rezygnacji z wymordowania ogółu pozostałej jeszcze przy życiu ludności Warszawy. Dlatego też po kapitulacji Warszawy wypędzają oni jedynie resztę społeczności warszawskiej z miasta. Rezygnując z bezpośredniej eksterminacji, Niemcy nie rezygnują z niej w ogóle. Część wypędzonych warszawiaków zostaje skierowana do obozów i przeznaczona na zagładę w kacetach, inni zostają wywiezieni do Niemiec i skierowani do pracy niewolniczej. Wreszcie część mieszkańców Warszawy wywozi się do rozmaitych miejscowości Generalnej Guberni i pozostawia tam bez środków do życia.

Gdy 17 stycznia oddziały 2 i 6 dywizji polskiej wyzwalają ruiny Warszawy – bilans strat biologicznych jej mieszkańców jest olbrzymi. 800 do 850 tys. osób zginęło lub zostało zamordowanych przez Niemców. Z tej globalnej sumy ok. 40 – 50 tys. poległo lub zginęło w wyniku działań wojennych: podczas obrony Warszawy w 1939 roku, w walce podziemnej, w szeregach żołnierzy Powstania, wreszcie na wszystkich frontach walki w kraju i za granicami. Cała reszta – co najmniej 95 proc, strat Warszawy – to rezultat celowej i świadomej niemieckiej polityki zagłady.

*

Obok ofiar – zawsze występują kaci. To nie pojedynczy Niemcy, to nie Hitler i Himmler dokonali zagłady 800 – 850 tys. mieszkańców Warszawy i zburzenia miasta. Ilość zbrodniarzy idzie w tysiące. Zbrodnia była popełniana nie tylko na rozkaz, lecz także często – z morderczej ochoty.

Z wielu tysięcy niemieckich katów Warszawy główna część żyje do dzisiaj. Sąd i kara dosięgły tylko niektórych. Szefowie ekip morderców na ogół uniknęły sprawiedliwości. Wymordowanie 200 tys. warszawiaków w okresie Powstania odbyło się pod nadzorem i ogólnym kierownictwem dowodzących na tym odcinku generałów: Vormanna i Lüttwitza; pierwszy z nich zmarł w NRF przed kilku laty jako zasłużony i pobierający wysoką emeryturę generał i historyk, otoczony szacunkiem środowiska. Drugi był jednym z głównych organizatorów Bundeswehry, dowódcą jej 3 korpusu armijnego; przeniesiony w stan spoczynku, uświetniał swą osobą uroczystości i akademie ku czci „niemieckich bohaterów minionej wojny”. Reinefarth, który na samej Woli wymordował 58 tys. ludzi, został przez sąd zachodnioniemiecki uwolniony od winy i kary: ten „kryształowy człowiek” niemieckiej najnowszej historii otrzymał ostatnio odszkodowanie za straty poniesione wskutek oskarżania. Gen. Reinehardt, którego czołgiści 9–11 września 1939 dopuścili się licznych zbrodni na Ochocie, Okęciu i Woli – zmarł jako przewodniczący Towarzystwa Wiedzy Wojskowej, a dziś jego życiorys – „życiorys jednego z najdzielniejszych bohaterów Wehrmachtu, znakomitego dowódcy broni pancerniej” – wkuwają na pamięć poborowi Bundeswehry. Jego zwierzchnik gen. Höpner, krwawy rzeźnik i masowy morderca – jest w NRF „świetlanym przykładem”

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA WARSZAWĘ

antyhitlerowca (Hitler skazał go na śmierć za udział w spisku 20 lipca 1944), a jego imieniem nazwano koszary armii zachodnioniemieckiej.

Żaden sąd nie postawił tych zbrodniarzy, ani tysięcy innych w stan oskarżenia. Żaden sąd, żaden trybunał międzynarodowy, nie rozpatrzył jeszcze zbrodni, która została dokonana na Warszawie. Dlaczego? – naszym obowiązkiem jest postawić to pytanie!

LESZEK MOCZULSKI

* * *

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA WARSZAWĘ¹⁸⁴

[...]

W latach minionej wojny wiele miast zostało poważnie, prawie doszczętnie zniszczonych. Znamy ich nazwy. To Coventry, Rotterdam, Stalingrad. To Hiroszima, Drezno, Hamburg. Pierwsze z tych miast były ofiarą brutalnych ataków czy terenem długotrwałych walk. Drugie stały się ofiarą metod prowadzenia wojny, które narzucili światu także ich mieszkańcy. Zniszczenie Warszawy mieści się w innych kategoriach. Było to celowe, starannie zaplanowane i długofalowo realizowane działanie, będące jednym z najważniejszych elementów przygotowywanej przez Niemców całkowitej eksterminacji narodu polskiego.

Po trzydziestu latach, znając wszystkie fakty, wracając do zburzenia Warszawy, zadawać musimy przede wszystkim jedno pytanie. Jest to pytanie o odpowiedzialność.

Na wieść o wybuchu II wojny światowej prezydent Roosevelt wystosował do stron wojennych apel o wstrzymanie się od bombardowania z powietrza cywilnej ludności. Zarówno Polacy, jak i Niemcy ogłosili, że do tego apelu zastosują się. My zastosowaliśmy się. Pierwsze bomby niemieckie, które rankiem 1 września 1939 r. padły na peryferiach Warszawy, nie były wymierzone w cele wojskowe, zaś ich ofiarą stały się kobiety i dzieci. Od tej chwili, codziennie aż do dnia wyzwolenia ginęli ludzie cywilni w Warszawie.

Pierwszym etapem zburzenia Warszawy był wrzesień 1939 r. Warszawa była wówczas przedmiotem nieprzerwanych ataków z powietrza, w tym pierwszego w dziejach świata nalotu dywanowego 25 września oraz od 8 września systematycznego ostrzału artyleryjskiego. W ciągu trzech tygodni 10 procent domów w Warszawie zostało zburzone, a wiele tysięcy ludzi poniosło śmierć. Straty poniesione przez miasto były tak wielkie, że przerażony świat uznał je za bez precedensu w dziejach. Tymczasem było to dopiero preludium.

¹⁸⁴ „Stolica” z 1975 r., nr 17. Pominęto pierwszy akapit, dot. „planu Pabsta”, gdyż temat ten został omówiony bardziej szczegółowo w zamieszczonym wcześniej tekście *Kim był Friedrich Pabst?*

Zajęcie stolicy przez Niemców rozpoczyna nowy etap burzenia miasta. Tym razem odbywa się to planowo. Likwidacja Warszawy, skonkretyzowana już zupełnie na planach i planszach urbanistów, takich jak Gross czy Pabst, przebiega głównie na drodze zakazu odbudowy i remontu zniszczonych domów. Równocześnie przygotowuje się zagładę obiektów uznanych przez Niemców za szczególnie szkodliwe: już na jesieni 1939 r. rozpoczynają się prace nad przygotowaniem wysadzenia w powietrze Zamku Warszawskiego.

Równolegle trwa eksterminacja mieszkańców. Już od jesieni 1939 r. rozpoczynają się coraz bardziej masowe egzekucje aresztowanych. Latem 1940 r. nasila się tzw. akcja AB, zmierzająca do fizycznej likwidacji środowisk aktywnych społecznie, a przede wszystkim inteligencji. Na podstawie przygotowanych list wszyscy uznani za potencjalnie niebezpiecznych chwytni są przez Niemców i mordowani w masowych egzekucjach, zwłaszcza w Palmirach, bądź też wysyłani do obozów masowej zagłady, w pierwszym rzędzie Oświęcimia.

Eksterminacja ludności żydowskiej przybiera inne formy. Niemcy nie stosują masowych egzekucji; w 1940 r. Żydzi warszawscy zamknięci zostają w getcie w założeniu, że zginą tam sami z głodu i epidemii.

Ofiary cywilnej ludności Warszawy w okresie 1939–1942 przekroczyły liczbę 100 tysięcy osób; były więc dwukrotnie wyższe od liczby ofiar, które Belgia poniosła przez cały czas wojny.

Dzień 22 lipca 1942 r. jest jedną z najtragiczniejszych dat okupacyjnej historii Warszawy. Widząc fiasko swego planu biologicznego zniszczenia Żydów, który załamał się dzięki pomocy ludności polskiej dla mieszkańców getta, Niemcy decydują się na bezpośrednią eksterminację. Począwszy od 22 lipca 1942 r. ludność getta wywożona jest masowo do Trebinki i tam mordowana w komorach gazowych. Od 13 września 1942 r. ginie w ten sposób ok. 300 tysięcy mieszkańców getta: Żydów warszawskich, bądź przywiezionych tutaj z innych rejonów Polski.

18 kwietnia 1943 r., gdy Niemcy przystępują do likwidacji resztek getta, wybucha w nim powstanie. Niemcy zalewają ten zbrojny opór krwią, mordują pozostałych jeszcze przy życiu Żydów. Natomiast po zduszeniu powstania rozpoczyna się wyburzanie obszernego fragmentu miasta, który uprzednio zajmowała dzielnica żydowska. „Ogółem należy zburzyć budynki o kubaturze 12 mln m³. Dotychczas zburzono i wysadzono w powietrze 6 730 tysięcy m³” – czytamy w sprawozdaniu SS Gruppenführera Kamlera.

Równolegle z całkowitą eksterminacją Żydów, potęgują się działania ludobójcze wobec Polaków. Są one dla Niemców trudniejsze, ponieważ Polaków jest znacznie więcej, a ponadto stawiają oni nieprzerwany opór. Tym niemniej niemiecka machina śmierci toczy się coraz szybciej. Ulicami miasta nieprzerwanie jeżdżą hitlerowskie samochody, porywając przechodniów z ulicy, niemal codziennie organizowane są masowe łapanie, ogarniające nieraz całe dzielnice.

Nowym zjawiskiem stały się masowe egzekucje uliczne. Obok nich gwałtownie wzrasta ilość egzekucji niejawnych przeprowadzanych teraz głównie w ruinach getta, coraz bardziej masowe staje się wywożenie ludności do obozów zagłady i pracy niewolniczej na terenie Rzeszy.

Bilans tego okresu był straszliwy. Obok zniszczenia dalszych 15 proc. zabudowy Warszawy, ilość ofiar w ludziach przekroczyła 400 tys., a więc była znacznie wyższa od ogółu strat ludzkich w Wielkiej Brytanii podczas całej II wojny światowej.

Wybuch Powstania Warszawskiego rozpoczyna nowy etap wojennych dziejów stolicy. Przez 63 dni i noce na ulicach miasta toczono mordereckie walki. Niemcy wydają ostateczny wyrok śmierci na Warszawę. Generalny Gubernator Hans Frank 5 sierpnia 1944 r. zanotował w swym dzienniku: „Po tym Powstaniu i jego zdławieniu Warszawę spotka zasłużony los – zupełne zniszczenie”.

Atakując powstańczą stolicę, Niemcy od pierwszego dnia zastosowali najbardziej zbrodnicze metody eksterminacji ludności i burzenia miasta. Pierwszy atak niemiecki kieruje się na Wolę. W ciągu trzech dni – od 5 do 8 sierpnia – Niemcy mordują ponad 50 tys. cywilnych mieszkańców dzielnicy, głównie kobiet, starców i dzieci oraz podpalając prawie wszystkie domy. Zachował się telefonogram niemieckiego dowódcy dowodzącego na Woli, gen. Reinefartha do jego przełożonego dowódcy 9 Armii gen. v. Vormanna, w którym skarży się, że brakuje mu amunicji w ilości potrzebnej do rozstrzelania wszystkich mieszkańców. Po masakrze ludności Woli Niemcy przeprowadzają krwawą rozprawę, mordując mieszkańców Starego Miasta, później Powiśla i Czerniakowa, następnie Mokotowa, Żoliborza i Śródmieścia. Łącznie podczas Powstania wymordowano ok. 250 tys. cywilnej ludności, co jest liczbą o połowę wyższą od ogółu strat w ludziach, jakie poniosły Stany Zjednoczone w toku całej II wojny światowej. Równocześnie Niemcy zburzyli dalsze 25 proc. zabudowy Warszawy tak, że z początkiem października 1944 r. około połowy ogółu budynków w stolicy leżało w gruzach.

Z upadkiem Powstania rozpoczyna się końcowy etap wojennej historii Warszawy. Niemcy wypędzają ze stolicy resztę pozostałych przy życiu mieszkańców. Wszyscy silni i zdrowi, zarówno kobiety jak i mężczyźni kierowani są do obozów zagłady bądź do pracy niewolniczej, reszta natomiast zostaje wywieziona do rozmaitych miejscowości Generalnej Guberni i tam pozostawiona na łasce losu.

Pozbawione ludności miasto przekazane zostaje dowództwu niemieckiej 9 armii generała Smilo v. Lüttwitza. Rozpoczyna się totalna zagłada Warszawy. Ulica po ulicy dom po domu są palone albo wysadzane w powietrze. W ciągu trzech miesięcy, od połowy października do połowy stycznia 1945 r. kompletnej zagładzie ulega dalsze 30 proc. zabudowy. Szczególnie systematycznie Niemcy burzą gmachy zabytkowe. Wysadzone zostają w powietrze: Zamek Królewski, Pałac Saski, Pałac Brühla, Katedra, kościoły Jezuitów, Augustianów, Św. Barbary i wiele innych. W zburzonej doszczętnie 15 października Biblioteka Kasińskich spalono ponad 50 tys. inkunabułów i rękopi-

pisów i ponad 100 tys. starodruków. Jeszcze w przeddzień wyzwolenia 16 stycznia w gmachu Biblioteki Publicznej Niemcy spalili 300 tys. książek.

Całkowitej zagładzie uległ przemysł warszawski, urządzenia użyteczności publicznej, gmachy państwowe i placówki naukowe. Rzeczywiście, zgodnie z planami niemieckimi. Warszawa stała się tylko punktem na mapie. 17 stycznia 1945 r. wyzwolona stolica była tylko olbrzymim stosem gruzów o kubaturze ok. 20 mln m³, pod którym leżało ćwierć miliona wymordowanych mieszkańców.

Co było przyczyną, że już w chwili wybuchu wojny wydany został na Warszawę wyrok śmierci, wykonany w ciągu następnych pięciu lat? Dostatecznie klarownie wyjaśnił to we wrześniu 1944 r. Reichsführer SS Heinrich Himmler, przemawiając na naradzie dowódców okręgów i szkół wojskowych. Powiedział on: „wówczas (tj. po zdławieniu Powstania) Warszawa, stolica, jądro, kwiat inteligencji tego 16–17 milionowego narodu Polaków zostanie zlikwidowana, tego narodu, który od 700 lat blokuje nam Wschód i który od pierwszej bitwy pod Tannenbergiem (tj. pod Grunwaldem) stoi nam ciągle na drodze. Wtedy problem Polski nie będzie już więcej problemem historycznym dla naszych dzieci i dla tych wszystkich, którzy po nas przyjdą, a nawet i dla nas samych”.

Sprawa była jasna. Imperialistyczne niemieckie parcie na Wschód wymagało unicestwienia tamy, jaką dla tego parcia stanowili Polacy. Pierwsze koncepcje wyniszczenia narodu polskiego celem otwarcia drogi na Wschód sięgają głębokiego średniowiecza, zaś wyraz w konkretnych decyzjach politycznych znalazły one zarówno w czasach Fryderyka II, jak też kanclerza Bismarcka. Hitler i hitleryzm nie wymyślili koncepcji eksterminacji Polaków, byli tylko kontynuatorami, którzy ludobójstwo na tak masową skalę potrafili zastosować w praktyce – ponad 6 mln Polaków, 222 na każdy tysiąc.

Doceniając szczególną rolę jaką spełniała Warszawa jako przede wszystkim duchowa stolica narodu polskiego, w jej zniszczeniu i wymordowaniu ogółu jej mieszkańców, Niemcy widzieli warunek podstawowy, umożliwiający eksterminację całego narodu polskiego. Stąd ich zjadłość, stąd planowe i systematyczne unicestwianie Warszawy.

Bilans strat Warszawy był straszliwy. Z 1 300 tysięcy jej przedwojennych mieszkańców ok. 800 tysięcy zostało zamordowanych bądź na miejscu, bądź w obozach masowej zagłady, a dalsze 150 tysięcy trwale utraciło zdrowie. Z tej ogólnej ilości strat tylko około 50 tys. osób poległo, walcząc jako żołnierze formacji regularnych bądź w ruchu oporu. Ogromna większość – ponad trzy czwarte miliona ludzi – została bestialsko zamordowana. Cała reszta ludności lewobrzeżnej Warszawy oraz częściowo prawobrzeżnej – została wysłana do obozów, do pracy niewolniczej bądź wypędzona z rodzinnego miasta. Ocalało tylko ok. 160 tysięcy mieszkańców Pragi, których przed straszliwym losem uchroniło wyzwolenie tej dzielnicy przez oddziały radzieckie i polskie 10 września 1944 r. Sama Warszawa poniosła ofiary w ludziach

równe całości strat Francji, Belgii i Holandii albo USA, Wielkiej Brytanii i Czechosłowacji.

Równie olbrzymie były straty materialne. Tylko straty poniesione w zniszczonych budynkach (nie licząc ich wyposażenia i zawartości) przekroczyły wartość co najmniej 28 600 000 uncji złota, co stanowi obecnie równowartość 3 432 000 000 dolarów (przyjmując za podstawę cenę 120 dol. za uncję, tak jak to uzgodniono w ub. roku z okazji udzielenia przez Republikę Federalną pożyczki w zlocie Włochom; dodajmy, że obecnie cena giełdowa złota wynosi o połowę więcej, bo ok. 180 dolarów za uncję). Niemożliwe do oszacowania są straty poniesione przez kulturę polską wskutek niemal całkowitego zniszczenia zbiorów archiwalnych, starodruków, książek i dzieł sztuki, a także zabytków i pamiątek narodowych. Przemysł unicestwiono w 90 proc., placówki naukowe i oświatowe w 75 proc.

Jedno z największych miast kontynentu europejskiego zostało prawie całkowicie unicestwione. Nie nastąpiło to w wyniku działań wojennych, ale pod ich osłoną, planowo i na zimno. Warszawa została zburzona, a jej ludność wymordowana i wypędzona, bo Warszawę chciano zburzyć, a jej ludność wymordować. Taka jest prawda. Pytanie o odpowiedzialność. Czy można odpowiedzieć, że za zburzenie Warszawy odpowiedzialni są Hitler i Himmler, gdyż oni podjęli zasadnicze decyzje o likwidacji miasta i jego mieszkańców. Tak, na pewno odpowiedzialni są Hitler i Himmler. Ale byli oni tylko ogniwem w łańcuchu imperializmu niemieckiego, który do takiego „ostatecznego rozwiązania kwestii polskiej i kwestii Warszawy” zmierzał. Stali się realizatorami koncepcji, którą wcześniej stworzyli i uzasadnili inni.

Czy można odpowiedzieć, że Warszawę zburzyli hitlerowcy? Tak, na pewno. Ale Warszawę burzyli również ludzie, którzy przeciwko Hitlerowi i hitleryzmowi występowali. Współodpowiedzialny za zburzenie Warszawy w 1939 r. gen. Höpner został za pucz antyhitlerowski na rozkaz Hitlera stracony i powieszony na świńskim haku. Współodpowiedzialny za burzenie Warszawy zimą 1944–1945 r. gen. Lüttwitz, również nie hitlerowiec, zrobił karierę dopiero po wojnie, osiągając jedno z najwyższych stanowisk dowódczych w Bundeswehrze. Przykłady podobne można mnożyć.

Odpowiedzialność za zburzenie Warszawy ponosi więc nie tylko Hitler i nie tylko hitlerowcy. Warszawę zburzono, 800 tysięcy ludności wymordowano. Odpowiedzialność za to ponoszą Niemcy – Trzecia Rzesza. Trzecia Rzesza nie istnieje, przepadła na śmietniku historii, ale są jej oficjalni spadkobiercy. Piszemy to nie po to, aby szukać rozrachunku. Trzeba sobie zdawać sprawę jasno, kto za zburzenie Warszawy ponosi odpowiedzialność. I trzeba pamiętać, że ta odpowiedzialność, w jej najważniejszym aspekcie moralnym, nie może być przez nic zatarta. Także przez czas.

Leszek Moczulski

* * *

PRZEZ WARSZAWĘ BIEGŁA DROGA DO BERLINA¹⁸⁵

Mróż trwał tęgi, głębokie śniegi pokryły pola, chmury wisiały nisko, ponure i ciemne. W podwójnych okowach zimy i wrogiej okupacji Polska trwała, czekając wiosny wolności. Krwawiła coraz obficie: w pierwszej połowie stycznia 1945 r. na obszarach zajętych przez Niemców najeźdźca mordował średnio dziennie 4 do 5 tysięcy ludzi. Walczyła, mimo iż zima i mróz zmusiły do demobilizacji wielkie oddziały partyzanckie, małe grupy szturmowe i dywersyjne nieprzerwanie atakowały komunikację, łączność, mniejsze garnizony wroga. Czas wojny zbliżał się ku końcowi, lecz tysiące Polaków miały nie doczekać chwili ostatecznego rozgromienia Niemiec.

12 stycznia 1945 roku nad skutą ludem Wisłą rozległa się kanonada artyleryjska, biły pociski katusz, armat i haubic, rozrywały się bomby lotnicze. Zwiastowały kres okupacji niemieckiej. Oczy wszystkich zwracały się ma wschód. Wygnani ze swego miasta Warszawiacy – rozsiani od Mazowsza po Karpaty – mieszkańcy wszystkich miast, wsi i osiedli wyżej podnosili głowy, grupy partyzanckie bardziej zjadle atakowały wroga. Rozpoczynała się ogromna batalia: ostateczna bitwa o Polskę.

1.

Nim odpaliło pierwsze radzieckie działo na przyczółku baranowskim, dokonana została wielka praca przygotowawcza, która rozstrzygnęła losy potężnej bitwy. Jeszcze pod koniec 1944 r. radzieckie naczelne dowództwo opracowało plany gigantycznej operacji. Cele, które postawiono przed wojskami radzieckimi i walczącymi u ich boku polskimi były kapitalne. Chodziło o doszczętne złamanie niemieckiego frontu wschodniego i zadanie Niemcom klęski, która by wielokroć przewyższała katastrofę stalingradzką. Chodziło o wyzwolenie centralnych i zachodnich rejonów Polski; otwarcie drogi do Berlina, a więc do zagłady niemieckiej III Rzeszy.

Długie tygodnie gromadzono wojska, sprzęt, amunicję i zaopatrzenie. Na wschodnim brzegu

środkowej Wisły skupiły się dwa fronty radzieckie, I Białoruski i I Ukraiński, obarczone zadaniem rozerwania centrum pozycji niemieckiej i poprowadzenia ofensywy aż do Warty, a nawet Odry. Posiadały one 16 armii polowych o 134 dywizjach piechoty, 4 armie pancerne, 2 armie lotnicze, 6 samodzielnych korpusów pancernych i zmechanizowanych, 74 samodzielne brygady i pułki pancerne, 3 korpusy kawalerii, 4 korpusy i 12 dywizji artylerii przełamania, 99 brygad artylerii; stanowiło to łącznie 2250 tys. ludzi, 36 500 dział i moździerzy, 6 500 czołgów i dział pancernych, 4 800 samolotów.

Niemcy bardzo długo nie zdawali sobie sprawy z narastającej śmiertelnej groźby. Jeszcze w połowie grudnia 1944 r. sztaby Wehrmachtu przypuszczały, że kolejne działa-

¹⁸⁵ „Stolica” z 1970 r., nr 3.

nia radzieckie zostaną skierowane przeciwko skrzydłom frontu wschodniego i główne boje toczyć się będą o Prusy Wschodnie i na południe od Karpat, zaś nad Wisłą panować będzie spokój. Dopiero 24 grudnia gen. Guderian, szef sztabu Oberkommando des Heeres i faktyczny naczelny dowódca frontu wschodniego przedstawił Hitlerowi obszerny i sowiecie udokumentowany referat sporządzony przez gen. Reinharda Gehlena*, a wskazujący, że w połowie stycznia armie radzieckie rozpoczną ofensywę na całym froncie od Bałtyku do Karpat. Hitler tezy referatu uznał jednak za „największy bluff od czasów Dżyngischana” i odmówił – co podtrzymał następnie zarówno 31 grudnia, jak i 9 stycznia na kolejnych odprawach – wzmocnienia armii niemieckich w Polsce. W pierwszej połowie stycznia naprzeciwko radzieckich frontów I Ukraińskiego i I Białoruskiego broniły się odpowiednio 4 armia pancerna i 9 armia, wchodzące w skład Grupy Armii „A”; posiadały one łącznie 24 dywizje piechoty, 6 dywizji pancernych i zmechanizowanych i liczyły ok. 400 tys. ludzi, 4100 dział i moździerzy, 1 270 czołgów i dział pancernych, wspierało je zaś 1 330 samolotów.

Plan operacji radzieckiej opracowano z rozmachem. Dowodzony przez marszałka Żukowa I Front Białoruski, nacierając głównymi siłami z przyczółka warecko-magnuszewskiego w widłach Wisły i Pilicy, otrzymał zadanie zgromienia 9 armii niemieckiej i dotarcia do rejonu Poznania, a ewentualnie jeszcze dalej. Armie I Frontu Ukraińskiego, dowodzonego przez marszałka Koniewa, miały nacierać z przyczółka baranowsko-sandomierskiego, rozbić 4 armię pancerną, opanować górnośląski rejon przemysłowy i osiągnąć linię Warty od Raciborza aż po Wrocław. Te dwa wielkie uderzenia radzieckie w zamyśle naczelnego dowództwa musiały doprowadzić do zgromienia głównych sił niemieckiej Grupy Armii „A”, wybicia szerokiej na blisko 500 km wyrwy we froncie wroga i otwarcia drogi na Berlin; natarcie na stolicę Rzeszy zamierzano przeprowadzić w następnej fazie, wkrótce po zakończeniu operacji rozpoczętych nad Wisłą.

Równocześnie z tą gigantyczną operacją miały być wykonane inne miażdżące uderzenia II i III Fronty Białoruskie marsz. Rokossowskiego i gen. Czerniachowskiego – posiadające 15 armii polowych o 125 dywizjach piechoty, 1 armię i 6 samodzielnych korpusów pancernych i zmechanizowanych, korpus kawalerii i liczące 1 600 tys. ludzi, 30 tys. dział i moździerzy, blisko 3 tys. czołgów i 3 100 samolotów – otrzymały zadanie zdobycia Prus Wschodnich, sforsowania dolnej Wisły oraz wyzwolenia Pomorza aż po Odrę. Stosunek sił na tym odcinku był jednak mniej korzystny niż nad środkową Wisłą; Prus Wschodnich broniła niemiecka Grupa Armii „Środek” składająca się z 3 armii pancernych oraz 2 i 4 armii polowych: dysponowały one łącznie 35 dywizjami piechoty, 7 dywizjami pancernymi i zmotoryzowanymi i 3 brygadami kawalerii i kolarzy, licząc ok. 600 tys. ludzi, 750 czołgów oraz 400 samolotów.

* Tego samego, który do niedawna jeszcze (nim przeszedł na emeryturę), był szefem zachodnioniemieckiego wywiadu Bundesnachrichtendienst [przypis oryginalny].

Wreszcie na południowym odcinku, na podgórzu Karpackim, w związku z ofensywą I Frontu Ukraińskiego, nacierać miały 1 gwardyjska i 28 armia radziecka (z IV Frontu Ukraińskiego) przeciwko lewemu skrzydłu niemieckiej 17 armii.

W tych zapasach poważną rolę odegrać miały oddziały polskie. Nigdy jeszcze, począwszy od chwili zakończenia Kampanii Jesiennej 1939 r. na jednym odcinku frontu, nie były zaangażowane tak poważne siły polskie, jak w styczniu 1945 r.

Wchodząca w skład I Frontu Białoruskiego 1 armia WP posiadała 5 dywizji piechoty, brygadę pancerną, brygadę kawalerii, 5 brygad artylerii i liczyła 99 994 ludzi, 157 czołgów, dział pancernych i samochodów pancernych oraz 1 486 dział i moździerzy. W odwodzie pozostawały natomiast kończąca organizację 2 armia WP oraz 1 korpus pancerny. Tak wyglądały obustronne siły, gdy 12 stycznia 1945 r. nad skutą lodem Wisłą rozpoczęła się ofensywa.

2.

Cios padał za ciosem. 12 stycznia rozpoczął natarcie 1 Front Ukraiński; 13 stycznia Prusy Wschodnie zaatakował od wschodu III Front Białoruski; 14 stycznia ruszyły do uderzenia armie I Frontu Białoruskiego znad Wisły i II Frontu Białoruskiego znad Narwi; 15 stycznia ofensywę w Karpatach rozpoczął IV Front Ukraiński. W ciągu czterech dni gigantyczny bój rozgorzał na ponad 1 000 kilometrowym odcinku od Bałtyku po Słowację. W zmasowanym ogniu radzieckich dział skruszone zostały pierwsze pozycje niemieckie. Do szturmów ruszyły dywizje piechoty, przerywając front wroga. W wyłomy wlewały się armie i korpusy pancerne, ruszały one gwałtownie na zachód i północ, kawałkując nieprzyjacielskie linie oporu. Naprzeciw nacierającym coraz szybciej kolumnom radzieckim wychodziły polskie oddziały partyzanckie; atakowały cofających się Niemców, zdobywały przeprawy i mosty, broniąc ich aż do nadejścia oddziałów radzieckich, wraz z nimi wyzwały liczne osiedla i miejscowości, tocząc nieraz kilkudniowe nawet bitwy. W walkach tych szczególnymi sukcesami zapisały się: oddziały AL im. Waryńskiego i im. J. Dąbrowskiego, zgrupowania „Za wolną Ojczyznę” i „Awangarda”, jednostki dowodzone przez „Wicka” – Szlachcica, „Muszkę” – Bednarowicza, „Lolka” – Czarnieckiego, „Żelaznego” – Ziemieckiego. „Władka” – Rypińskiego; oddziały AK „Lamparta” – Zapalę, „Andrzeja” – Lipczewskiego. „Tatara” – Zubka, „Wilka” – Martyny, „Hardego” – Woźnicy, „Henryka” – Furmańczyka, „Skali”, „Boruty” i „Twardego”: oddziały BCh. „Kosy” – Jańczyka, „Juhasa” – Cholewy „Potoka” – Krzyżaka, „Tomasza” – Abramczuka, „Droзда”.

Bitwa rozpaliała się wszędzie i w głąb. Kolejno jedna po drugiej rozgrywały się kolejne operacje. Pierwsza z nich miała miejsce między Łysogórami a górną Wisłą. Armie marszałka Koniewa rozgromiły siły główne niemieckiej 4 armii pancernej gen. Graesera, otwierając drogę na przygotowywany pośpiesznie do obrony przez wroga Kraków i w kierunku Górnego Śląska. Choć nieco później rozpoczęła się, rozstrzygnięta została równolegle pierwsza operacja I Frontu Białoruskiego marsz. Żukowa:

zniszczone zostało niemieckie zgrupowanie w rejonie Radom–Grójec i czołgi radzieckie ruszyły w kierunku Łodzi i Kutna. Na wschodniej granicy Prus armie gen. Czerniachowskiego złamały pozycje obronne niemieckiej 3 armii pancernej i ruszyły wzdłuż Pregoby na Królewiec; II Front Białoruski marszałka Rokossowskiego rozbił niemiecką 2 armię nad Narwią i otworzył drogę dla swych czołgów w kierunku Mławy, Olsztyna i Elbląga. W ten sposób na zasadniczych kierunkach uderzenia dokonane zastało przełamanie głównej strefy obrony niemieckiej. Nacierające oddziały radzieckie między 13 a 16 stycznia wyzwoliły wiele miejscowości. Żołnierze 32 korpusu gwardii gen. Rodimcewa – wstawionego w walkach o Stalingrad – wyzwolili Pińczów; 52 armia gen. Korotiejewa przyniosła wolność Jędrzejowowi; piechota 3 armii gwardii gen. Gordowa i 13 armii gen. Puchowa oraz czołgiści gen. Leluszhenko oswobodzili Kielce. W pasie działania I Frontu Białoruskiego 77 dywizja gen. Askaliewa zdobyła Zwoleń, a 69 armia gen. Kołpakczy wraz z czołgistami gen. Rudnika – Radom; Żyrardów i Sochaczew opanowały kolumny pancerne gen. Bogdanowa. Na północnym Mazowszu, gdzie nacierał II front Białoruski, armia gen. Fiedunskiego opanowała Pułtusk, Korpus gen. Aleksiejewa – Nasielsk. Przeciwnatarcia niemieckich oddwodów zostały odrzucone, a biorące w nich udział oddziały zniszczone lub zmuszone do odwrotu.

Tak zarysował się wielki sukces na skalę strategiczną. Szalejąca na nadwiślańskich i nadnarwiańskich polach bitwa czekała na swe ukoronowanie.

Stała się nią operacja warszawska. 1 armia WP wkroczyła do akcji 16 stycznia. W sytuacji, jaka wytworzyła się 16 stycznia na froncie, lewe skrzydło niemieckiej 9 armii, zgrupowane w rejonie ruin stolicy stanowiło jedno z silniejszych nienaruszonych zgrupowań wroga, zaś jego uporczywe trzymanie się brzegu Wisły i ruin Warszawy miało ogromne znaczenie polityczne i militarne.

Niedługo jednak Niemcy pozostali na ruinach stolicy Polski. Już w nocy z 16 na 17 stycznia armia pancerna gen. Bogdanowa wdarła się na głębokie tyły armii gen. Smilo v. Lüttwitza, rozpoczynając bój o Sochaczew i przeprawy na dolnej Bzurze. Tegoż samego dnia dwie armie radzieckie – od południa 61 armia gen. Bielowa i od północy 47 armia gen. Perchorowicza – oskrzydliły dwustronnie warszawskie zgrupowanie wroga, a polskie dywizje przeszły do natarcia. Stalowe obcęgę zaczęły się zaciskać, a przerażony wróg, wbrew wyraźnym rozkazom Hitlera, polecającym bronić „Festung Warschau” do ostatniego żołnierza – postanowił jak najszybciej uciec z miasta i południowym brzegiem Wisły przecisnąć się jeszcze w kierunku Płocka. Zamiar ten spełniono tylko częściowo. Nim Niemcy zdążyli ewakuować stolicę, już w nocy z 16 na 17 stycznia wdarły się do miasta, i w kilka godzin rozbiły wroga oddziały polskich 6 dywizji płk. Szejpaka, 2 dywizji gen. Rotkiewicza i 1 brygady kawalerii płk Radziwonowicza. „Warszawa najważniejszy strategiczny węzeł obrony niemieckiej na Wiśle – jak stwierdzał komunikat radzieckiego biura informacyjnego – była wolna. Katastrofa niemiecka została ukoronowana faktem dokonany.

3.

Wieść o wyzwoleniu Warszawy wywołała szok w niemieckim naczelnym dowództwie i niczym niepohamowany wybuch furii samego Hitlera. Pisałem o tym szerzej przed kilku laty w „Stolicy”¹⁸⁶. Tutaj tylko przypomnijmy, że na rozkaz Hitlera aresztowany został szef oddziału operacyjnego sztabu generalnego płk Bonin i jego najbliżsi współpracownicy, zdjęty ze stanowiska dowódca 9 armii gen. Lüttwitz*, a ponieważ wobec niemieckiego komendanta Warszawy gen. Webera, który w tym czasie przeżył się przez Puszcę Kampinoską – nie można było zastosować represji, jego żona i córka zostały osadzone w obozie koncentracyjnym. Hitler szalał, szukając winnych klęski warszawskiej, sparaliżował niemal zupełnie pracę pionu operacyjnego naczelnego dowództwa.

Żelazny potok czołgów, dział, samochodów i ludzi niepowstrzymanie sunął na zachód, łamiąc wszystkie próby stawiania oporu. Żołnierze gen. Popowa wyzwolili Modlin, gen. Batowa – Płońsk, gen. Wolskiego – Mławę i Działdowo, gen. Gorbatawa – Przasnysz. Na centralnym odcinku czołgi gen. Bogdanowa zdobyły Gostynin i Kutno, a czołgi gen. Katukowa – Łęczycę. Dywizje piechoty generałów Czujkowa i Kołpakczy przyniosły wolność Łodzi. Do Częstochowy jako pierwsi wdarli się żołnierze płk. Dudnika. Kraków został zdobyty wspólnym działaniem armii generałów Korownikowa i Kuroczkina.

Wszystkie te działania wykonano do 19 stycznia włącznie. Front wschodni – rozumiany jako strefa stawiania zorganizowanego oporu przez Niemców – faktycznie przestał istnieć. 9 armia niemiecka, osłaniająca na kierunku Poznań–Berlin, była rozbita. Podobnie rozgromiono 4 armię pancerną, walczącą na kierunku śląskim. Jedyne wewnętrzne skrzydła obu tych armii skupione wokół XXIV Korpusu pancernego gen. Nehringa, otworzyły „ruchomy kocioł” cofający się w kierunku Kalisza i Głogowa: nawiasem mówiąc, było to jedyne zgrupowanie niemieckie, które mimo beznadziejnej sytuacji, faktycznie już osaczone, cofało się sprawnie i w porządku. Inne zgrupowania zamieniały się w bezkształtny tłum, ogarniętych paniką ludzi. „Przez tę lukę (pomiędzy Włocławkiem a Łodzią) płynęły na zachód w nieopisanym chaosie, po mrozie i po śniegu, resztki oddziałów wojsk walczących, tyły, oddziały pomocnicze, ewakuujące się urzędy i władze administracji wojskowej i cywilnej, przeważnie bez dowództwa i bez broni, przemieszane z długimi kolumnami uciekinierów. Z wyjątkiem twierdzy – Poznań Rosjanie nie napotkali tu żadnego oporu godnego wzmianki” – wspomina nowy dowódca 9 armii gen. Busse sytuację na podległym mu odcinku. Sytuacja na sąsiednim

¹⁸⁶ „Stolica” z 1967 r., nr 3 (Leszek Moczulski, *Niemiecka echa wyzwolenia Warszawy*).

* Ta niełaska ostatecznie dla obu dowódców stała się szczęśliwa, gdyż po wojnie mogli chodzić w glorii prześladowanych przez Hitlera: zarówno Bonin, jak i Lüttwitz stali się współorganizatorami Bundeswehry, a ten ostatni osiągnął b. wysokie stanowisko dowódcy jednego z trzech korpusów sił zbrojnych NRF [przypis oryginalny].

odcinku 4 armii pancernej nie była wcale lepsza. Od Śląska po dolną Wisłę powstała olbrzymia, szeroka na ponad 300 kilometrów luka. Sunęły nią radzieckie cztery armie pancerne i piętnaście polowych oraz 1 armia WP.

Katastrofa niemiecka nastąpiła nie tylko w wielkim luku Wisły. Druga katastrofa zarysowała się w Prusach Wschodnich i na północnym Mazowszu. Niemiecka 2 armia, rozbita i rozkawałkowana nad dolną Narwią, w nieładzie i panice spływała na północ ku Mazurom i na zachód, na Grudziądz pośrodku radziecka 5 armia pancerna gen Wolskiego, a w ślad za nią armie polowe potężnym klinem wdzierały się w kierunku Grunwaldu, zmierzając ku Bałtykowi, aby odciąć siły niemieckie w Prusach Wschodnich. Również natarcie na Prusy od wschodu, wykonywane przez III Front Białoruski, osiągnęło olśniewające powodzenie.

Przeciwdziałania niemieckie w tym pierwszym okresie ofensywy były na ogół chaotyczne i nieskoordynowane. Ograniczono się do pośpiesznego przerzucania skąpych zresztą sił, które można było zdjąć z niektórych pobliskich odcinków frontu, celem zatkania luk we froncie. Działania te zamiast poprawić sytuację, pogłębiały jeszcze katastrofę sił niemieckich. Przykładowo Korpus Pancerny Großdeutschland przerzucony z Prus Wschodnich, aby osłonić kierunek wyprowadzający na Poznań, wyladowany został częściami z transportów i rozgromiony wcześniej, nim zdążył się skupić do boju.

Niektórzy sztabowcy niemieccy poczęli opracowywać środki zaradcze. 19 stycznia gen. Winter, zastępca szefa sztabu operacyjnego naczelnego dowództwa sił zbrojnych OKW przedłożył gen. Jodliwi raport sugerujący przyszłe działania Wehrmachtu. „Kosztom pozostałych teatrów wojny – stwierdzał dokument – podejmując świadomie związane z tym ryzyko, (należy) skupić maksimum sił do wielkiej bitwy rozstrzygającej na wschodzie. (Trzeba) podporządkować tej koncepcji sposób prowadzenia wojny na pozostałych teatrach. Natychmiast (należy) dokonać niezbędnych przegrupowań na wschód jak największych sił zaczepnych”. Miały być one wykorzystane do potężnych przeciwnatarć, przy czym gen. Winter zwracał uwagę, że najkorzystniejszym rejonem pozwalającym na zaatakowanie odsłoniętego skrzydła głównych sił radzieckich prących na zachód – jest Pomorze Zachodnie.

Z raportem tym gen. Jodl jeszcze w nocy 20 stycznia zameldował się u Hitlera. Kanclerz nie był jednak zdolny do podjęcia zasadniczych decyzji, decyzje zapadły dopiero 21–22 stycznia. Zgodnie z radami generałów Hitler postanawia kierowanymi na front nowymi siłami stoczyć wielką bitwę rozstrzygającą jeszcze na wschód od Odry. Armie niemieckie mają utrzymać Prusy Wschodnie i nie dopuścić do ich odcięcia, całe Pomorze od dolnej Wisły po dolną Odrę, obszary na zachód od Poznania i Śląsk po lewej stronie Odry. Zgromadzone na Pomorzu potężne zgromadzenie uderzeniowe, pospiesznie tam skoncentrowane w terminie 12 do 15 lutego, miało przejść do przeciwnatarcia i zaatakować od północy, a następnie rozgromić siły marszałka Żukowa, działające na kierunku berlińskim. Dziś, kiedy znamy szczegółowo ilość dywizji radzieckich zaangażowanych w walkach oraz ilość dywizji, które Niemcy mogli

w najlepszym wypadku skierować do przeciwnatarcia – wiemy, że zamiar Hitlera nie miał szans realizacji, choć przejściowo mógł wywołać dość poważne kłopoty dowództw radzieckich.

Hitler dokonuje równocześnie reorganizacji dowodzenia. Dowództwo broniącej Prus Wschodnich grupy armii „Środek” – przemianowanej teraz na g. a. „Północ” na miejsce gen. Reinhardta* objął Austriak gen. Rendulic; w dowodzeniu grupą armii „A”, teraz przemianowaną na „Środek” gen. Harpe’a zastąpił feldmarszałek Schörner. Między tymi dwoma grupami armii, na obszarze Pomorza i Wielkopolski utworzona została nowa grupa armii „Wisła” pod dowództwem szefa SS. Himmlera, w skład której weszły rozbite poprzednio 9 armia działająca na kierunku poznańskim, 2 armia, której resztki wycofywały się na linię dolnej Wisły i pośpiesznie przerzucana 11 armia.

Zmiany na stanowiskach dowódców dokonane zostały natychmiast, gorzej było z reorganizacją poszczególnych zgrupowań. Dokonana być ona mogła głównie w oparciu o siły dowożone na pole bitwy z innych frontów i z głębi Niemiec, a to wymagało czasu.

Zaś czasu tego nie było. Ofensywa radziecka rozwijała się lawinowo. Na południu armie marszałka Koniewa podeszły pod górnośląski okręg przemysłowy i zaczęły obchodzić go od północy, w centrum klin marszałka Żukowa dotarł 22 stycznia do bronionego przez Niemców Poznania, na północy kolumny marszałka Rokossowskiego były już w Ostródzie i Olsztynie, a gen. Czerniachowskiego zbliżały się do Królewca.

Ofensywa rozwijała się tak szybko i z takim powodzeniem, że nie tylko wyprzedziła opracowane wcześniej plany, lecz jej tempo w pewnym stopniu zaskoczyło dowództwo radzieckie. Z początkiem trzeciej dekady stycznia w sztabach radzieckich wyższego szczebla daje się zauważyć pewien niepokój. Armie posunęły się daleko na zachód odcinając od swych tyłów i baz zaopatrzenia, a co gorsza zwarte poprzednio ugrupowania rozciągnęły się w przestrzeni: czołowe kolumny pancerne nawet o parę dni marszu wyprzedziły maszerujące w dalszych rzutach dywizje piechoty. Zła pogoda i brak dostatecznej ilości lotnisk utrudniały rozpoznanie lotnicze, w sztabach radzieckich nie wiadomo, jaka jest sytuacja nieprzyjaciela: czy czasem na wschód od Odry nie zostały już skoncentrowane poważniejsze siły niemieckie, których kontrofensywa mogła zadać poważne straty zaangażowanym najbardziej na przodzie armiom radzieckim?

Ta mylna ocena sytuacji staje się powodem rozkazów, które wstrzymują tempo posuwania się armii czołowych. „Nie zdążyliśmy jeszcze zaplanować następnej operacji – wspomina dowódca 8 armii gwardii, Czujkow – gdy wpłynęła już nowa dyrektywa sztabu Frontu... W związku z dużym rozciągnięciem się szyków bojowych i tyłów –

* I ta nielaska była dla generała szczęśliwa; po wojnie jako Przewodniczący Towarzystwa Wiedzy Wojskowej w NRF Reinhardt został niemal powszechnie uznany za czołowego stratega, w ten sposób nieudolne dowodzenie na froncie służyło po kilku latach za doskonałą odskocznicę dla dalszej kariery generałów rzekomo „represjonowanych” przez Hitlera [przypis oryginalny].

wprowadzić do planów dalszego natarcia korektury z takim wyliczeniem, by po przekroczeniu Warty następne marszruty skrócić, doprowadzając tempo natarcia do 5–8 km dziennie... To zdziwiło nas, było niezrozumiałe – z irytacją wspomina Czujkow.

– Wydawało się, że przeciwnie, należy działać w miarę możliwości jak najenergiczniej, wykorzystać rozciągnięcie się frontu nieprzyjaciela i – potęgując tempo, nacierać bez przerwy aż do samego Berlina. Aby nie mylić wojsk, nie wprowadziliśmy poprawek do poprzednich kalkulacji utrzymaliśmy poprzednie tempo natarcia. 23 stycznia wojska armii posunęły się o 30–35 km, wyprzedzając dyrektywę frontu o dwie doby... Rozkaz (dowódcy frontu marsz. Żukowa) świadczył o tym, że dowództwo i sztab Frontu zupełnie nie znały sytuacji...”. Osąd ten jest zapewne zbyt ostry, bo ostatecznie energiczny ruch naprzód armii tak dynamicznych dowódców, jak wsławiony obroną Stalingradu Czujkow doprowadził do zmiany stanowiska wyższych sztabów. Zwłaszcza że trzecia dekada stycznia była pasmem niekończących się sukcesów. Oskrzydlone od północy i zaatakowane od zachodu przez 3 armię pancerną gen. Rybalki oraz atakowane koncentrycznie przez armie generałów Gusiewa, Korownikowa i Kuroczkina górnośląskie zagłębie przemysłowe zostało bez większych zniszczeń wyzwolone do 28–29 stycznia. W tym samym czasie prawe skrzydło I Frontu Ukraińskiego podeszło pod Wrocław. Na zachód i północny zachód od Poznania czołowe rzuty I Frontu Białoruskiego przekroczyły przedwojenną granicę Polski, forsując m.in. Noteć na wschód od Gorzowa. Te sukcesy i zdecydowanie większości dowódców armii pierwszego rzutu, aby kontynuować operacje jak najenergiczniej i coraz szybciej – oddziaływały na wyższe dowództwa. 27 i 28 stycznia sztaby Frontów I Ukraińskiego i I Białoruskiego występują niezależnie od siebie do naczelnego dowództwa z wnioskiem o przedłużenie ofensywy bez jej przerywania za Odrę i Nysę Łużycką tak, aby w terminie do 25 lutego osiągnąć linię Łaby i zdobyć Berlin.

Projekt ten jednak upadł natychmiast w związku z przejściowo niepomyślną sytuacją, jaka wydarzyła się w Prusach Wschodnich. Pierwotne plany przewidywały zdobycie tego niemieckiego bastionu siłami II i III Frontu Białoruskiego, przy czym armie marszałka Rokossowskiego, nie przerywając operacji, miały natychmiast przenieść ofensywę na Pomorze i nacierać ku dolnej Odrze; ruch ten osłaniał od północy siły marszałka Żukowa, działające na kierunku berlińskim.

Działania w Prusach Wschodnich do 26 stycznia rozgrywały się zgodnie z przewidywaniami. Tęgoż właśnie dnia siły główne 5 armii pancernej gen. Wolskiego oparowały Tolkmicko; dotarcie czołgów radzieckich do zalewu Wiślanego oznaczało odcięcie Prus Wschodnich. Wydawało się, że doszczętne rozbicie wschodniopruskiego zgrupowania Wehrmachtu jest kwestią dni; ogarnięte paniką oddziały niemieckie cofały się w coraz większym chaosie. 4 armia niemiecka nieudolnie dowodzona przez gen. Hossbacha obsadzała nieatakowany dotychczas odcinek frontu, lecz wobec groźby odcięcia rozpoczęła samowolny odwrót, oddając bez walki rejony umocnione Giżycka i jezior mazurskich. Wbrew rozkazom gen. Hossbach postanowił przebić się choćby

z częścią sił, resztę poświęcając, na zachodni brzeg dolnej Wisły. Marsz odwrotowy odbywał się w sposób prawie nie zorganizowany. Alarmował o tym Hitlera gauleiter Koch. „4 armia ucieka do Rzeszy – depeszował. – Pragnął tylko przebić się na zachód. Pozostaje, aby bronić Prus na czele Volkssturmu!”. Wściekły Hitler zdjął natychmiast gen. Hossbacha, na jego miejsce mianując gen. Müllera, lecz rozpaczliwego odwrotu 4 armii nie można było już powstrzymać. Drogę Niemcom zagradzał jednak klin radziecki, który sięgnął zalewu wiślanego.

Niestety dowództwo 11 Frontu Białoruskiego dopuściło do zbyt dużego rozprzestrzenienia się wojsk i całkowicie zbagatelizowało możliwość jakiegokolwiek przeciwdziałania niemieckiego. W tych warunkach, gdy 26 stycznia idący na czele 4 armii niemieckiej IV korpus gen. Grossmanna przeszedł do ataku, zaskoczenie było poważne. Niemcom udało się przejściowo uzyskać pewne sukcesy, zdobyli Ornętę i Młynary, wdarli się do Pasłęki i już tylko 20 km dzieliło ich od pozostającego w rękach Wehrmachtu po drugiej stronie klina radzieckiego Elbląga. Gdyby sztaby grupy armii „Północ” i 4 armii potrafiły zorganizować natarcie całością sił 4 armii – klin radziecki zostałby bez wątpienia przerwany, a zaangażowana do przodu radziecka 5 armia pancerna zniszczona. Niemcy ogarnięci psychozą ucieczki nie potrafili jednak wykorzystać dogodnej sytuacji. Do końca stycznia uderzenia niemieckie zostały odparte, a walki na tym odcinku ustały, przy obu stronach bardzo wysokich stratach.

Nieudana próba przebicia się Niemców przez Pasłękę i Młynary pociągnęła za sobą konsekwencje znacznie wykraczające poza wagę tego obustronnie chaotycznego boju. Przez kilka dni główny wysiłek II Frontu Białoruskiego musiał być skierowany do tego rejonu, co pozwoliło gen. Renoulicowi, dowódcy grupy armii, na pewne uporządkowanie sił. Dalsze działania w Prusach Wschodnich toczyły się już stosunkowo wolno, tak że dopiero w kwietniu padł Królewiec, a resztki sił niemieckich na Żuławach dotrwały aż do 9 maja. Oznaczało to związanie poważnych sił radzieckich w tym rejonie i przekreśliło pierwotny plan skierowania ich wprost na Pomorze; ostatecznie do działań w kierunku zachodnim użyto czterech armii polowych, gdy dziesięć pozostało związane w Prusach Wsch.; jedna armia odeszła do dyspozycji naczelnego dowództwa, a armia pancerna została rozwiązana.

Może poważniejszym jeszcze skutkiem epizodu z próbą przeciwwuderzenia 4 armii niemieckiej było wyraźne wyczulenie dowództw radzieckich na groźbę ataków skrzydłowych przeciwnika: odbiło się to dość wyraźnie na późniejszym stylu i metodzie prowadzenia operacji.

Wydarzenia w Prusach Wschodnich unaoczniające zagrożenie z północy przekreśliły wspomniane wyżej projekty kontynuowania nieprzerwanej ofensywy aż po Berlin. Duży wpływ na to miały również poważne straty, jakie poniosły armie radzieckie podczas wyzwalań zachodnich i centralnych rejonów Polski. Wystarczy tylko wskazać, że między 12 stycznia a 15 lutego straciły w zabitych i rannych ponad 175 tys. ludzi, a więc blisko 1/4 stanu swych oddziałów bojowych. W tym samym czasie ze 3 648

czołgów i dział pancernych pozostało zdalnych do użytku 1 389 wozów, a więc ledwie 1/3. Podobnie wielkie straty poniosły i inne fronty radzieckie. Wszystko to skłaniało do zaprzestania ofensywy i odłożenia bezpośredniego ataku na Berlin na późniejszy okres; początkowo przesadnie optymistycznie przypuszczano, że ta nowa ofensywa rozpocznie się jeszcze pod koniec lutego.

4.

W tym samym czasie, gdy wysokie sztaby obu stron analizowały sytuację i opracowywały warianty przyszłych operacji – działania wojenne toczyły się nieprzerwanie. Ofensywa radziecka na głównym kierunku berlińskim rozwijała się niepowstrzymanie. Posuwająca się najszybciej armia pancerna gen. Bogdanowa przeprawiła się na północ na brzeg Noteci i ruszyła ku Odrze. 31 stycznia 219 brygada pancerna płk. Wajnruha dotarła do rzeki i jeszcze tego samego dnia jeden z jej batalionów przeprawił się na zachodni brzeg; wojna została przeniesiona na terytorium Niemiec! W ciągu następnego tygodnia siły główne Frontów I Ukraińskiego i I Białoruskiego osiągnęły linię Odry niemal na całej jej długości od Raciborza aż po Chojnę – 50 km na południe od Szczecina.

Zarys frontu nie był jednak dogodny. Począwszy od Chojny, skręcał on ostro na wschód i biegł od Odry aż po dolną Wisłę równoległe do Noteci, tyle że ok. 50 km bardziej na północ. Niemcy trzymali się mocno na ufortyfikowanym Pomorzu. Koncentrowała się tutaj grupa armii Himmlera, przeznaczona do wykonania natarcia na południe.

Jeszcze pod koniec stycznia radzieckie sztaby uważały, że wystarczy osłonić się jedynie od północy, główne siły pozostawiając na kierunku berlińskim. Marszałek Żukow stworzył zgrupowanie w składzie trzech armii, w tym 1 armii WP, które zostało rozmieszczone w rejonie Bydgoszczy i na północ od Noteci. Miało ono osłaniać siły główne od północy.

Kwestia wznowienia dalszej ofensywy na zachód, ku Berlinowi, nie była jeszcze rozstrzygnięta. Kipiący energią Czujkow uważał, że własna inicjatywa zaczepna sparaliżuje próby działania przeciwnika. Trzeba zmasowanymi siłami nacierać na Berlin, wykorzystując to, że drogę do stolicy III Rzeszy zasłania słabiutki, rozbita, łatwo wpadająca w panikę niemiecka 9 armia. Marszałek Żukow był odmiennego zdania: uważał, że nie wolno ryzykować dalszego marszu na zachód przed pokonaniem sił niemieckich na Pomorzu. Pogląd ten podzielało naczelne dowództwo. Dzisiaj, z perspektywy ćwierćwiecza, trwa dyskusja, kto miał rację. Nigdy się jednak już się nie dowiemy, czy Berlin rzeczywiście mógł zostać zdobyty jeszcze w lutym 1945 r.

Po osiągnięciu linii Odry radzieckie naczelne dowództwo postanowiło wstrzymać zaczepne operacje na zachód. Chciano je wznowić pod koniec lutego. Himmlerowi udało się jednak skoncentrować dość poważne siły na Pomorzu Zachodnim i w połowie lutego przeszedł do ofensywy; załamała się ona wprawdzie szybko, lecz spowodowała, że dowództwo radzieckie postanowiło uderzyć najpierw na północ i znisz-

czyć Niemców między Odrą, Wisłą i Bałtykiem. Dopiero po wyzwoleniu Pomorza, w czym chlubny i ważny udział wzięły oddziały polskie, natarcie na Berlin rozpoczęło 16 kwietnia.

Nad Odrą zakończyła się wielka ofensywa styczniowa, najbardziej gigantyczna operacja II wojny światowej. W ciągu kilku tygodni siły niemieckie w Polsce poniosły kompletną klęskę. Rzucając broń, ogarnięte paniką resztki dywizji niemieckich uciekały na zachód. Na mocy drastycznych rozkazów władz hitlerowskich niemiecka ludność cywilna ogarnięta została falą ewakuacji. 28 stycznia ilość uciekinierów wynosiła już 3,5 miliona ludzi, a w połowie lutego wzrosła do ponad 8 milionów. Straty poniesione przez Wehrmacht w tym okresie są znacznie mniejsze od ofiar wśród cywilnych Niemców, rozkazem władz rzuconych na szlaki ewakuacyjne. W trakcie szalejącej bitwy w mrozie i śniegu, a podczas chwilowych odwilży tonąc w błocie, miliony Niemców uciekały za Odrę. Dochodziło do scen strasznych, gdy ogarnięte paniką oddziały czołgów niemieckich rozjeżdżały kolumny uciekinierów, własna artyleria masakrowała ich, biorąc za radzieckie czołwki. W bagnach i mokradłach nad Notecią wielotysięczne tłumy uciekinierów zaskoczyła odwilż i ludzie masowo tonęli w błocie; inne kolumny utonęły, gdy pękły lody Zalewu Wiślanego. Jeśli dziś rewizjonistyczni przywódcy ziomkostw „Weichsel-Warthe” i „Westpreussen” – skupiających Volksdeutschen zamieszkałych na obszarze przedwojennej Polski oraz „Pommern” „Schlesien” skwapliwie liczą ofiary i próbują obciążać winą za nie m.in. Polaków – to powinni oni poszukać przede wszystkim odpowiedzialnych za rozkazy ewakuacyjne i ich wykonanie niemieckich władz cywilnych i wojskowych.

5.

Pod koniec stycznia nadeszła odwilż, pękać zaczęły lody. Na ruinach Warszawy pierwsi mieszkańcy organizowali nowe życie. Polska, wyzwolona już niemal w całości, odradzała się w pracy i walce. Nie zakończyła się jeszcze wielka ofensywa styczniowa, gdy kraj wrócił do życia.

Wojna nie została jeszcze zakończona, lecz odchodziła już z ziem polskich. Nad Wisłą zaczynał się pokój.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

LUDNOŚĆ WARSZAWY W STYCZNIU 1945 ROKU¹⁸⁷

Gdy o godzinie 12.00 dnia 17 stycznia 1945 r. biało-czerwona chorągiew wzniosła się nad ruiny Dworca Głównego w Alejach – gdzie znajdowali się, co robili, o czym

¹⁸⁷ „Stolica” z 1977 r., nr 3.

marzyli Warszawiacy? Niestety, ciągle jeszcze wielce niepełną odpowiedź można dać na to pytanie.

Wojnę przeżyło może 600, może 800 tysięcy mieszkańców Warszawy. W chwili wyzwolenia

miasta¹⁸⁸ nieco ponad sto tysięcy znajdowało się na Pradze. To byli ci, których wrześnie uwalnienie tej dzielnicy od Niemców przez oddziały polskie i radzieckie ocaliło od śmierci czy wypędzenia. Przez cztery miesiące żyli oni we frontowym mieście. Codziennie na Pragę padały pociski z niemieckich dział, bomby z samolotów. Niektórymi ulicami nie można było się poruszać, gdyż niemieckie karabiny maszynowe i strzelcy wyborowi trzymali je pod ostrzałem. Dla tych stu tysięcy warszawiaków z prawego brzegu Wisły dzień 17 stycznia oznaczał koniec wojennego zagrożenia.

Na lewym brzegu, wśród gruzów, przez całą zimę ukrywało się tylko parę niewielkich grupek czy też pojedynczych osób. Ale w ciągu 17 stycznia grono to zostało szybko powiększone. Nie skończyły się jeszcze walki, gdy warszawiacy chroniący się w podstołecznych miejscowościach zaczęli wracać. Tak było np. na ul. Poznańskiej, gdy zaś żołnierze 6 dywizji zawieszali biało-czerwoną flagę na dworcu, zebrała się już grupa cywilów. Wcześniej więc, nim Warszawa została w pełni wyzwolona, pierwsi mieszkańcy zaczęli wracać do swego miasta. Przybyło ich tego dnia co najmniej tysiąc – choć tylko część z nich zdecydowała się nocować. Dla innych był to rekonesans przed właściwym powrotem.

Kilkadziesiąt tysięcy Warszawiaków wyzwolenie zastało w osiedlach podstołecznych. Tutaj

ulokowali się ci, którym udało się zbiec z formowanych przez Niemców transportów czy też wydostać z obozu w Pruszkowie. Później doszły do nich niektóre grupy, wywiezione przez Niemców w głąb Generalnej Guberni, które postanowiły przeczekać ostatnie miesiące przed wyzwoleniem jak najbliżej swego miasta. Słowo „przeczekać” nie jest zresztą odpowiadające rzeczywistości. Do osiedli podstołecznych wraz z warszawiakami przeniosło się ze stolicy ich życie i walka. W tym czasie, a jeszcze jakiś czas po wyzwoleniu, Podkowa Leśna urosła do rangi małej Warszawy. Podobnie było w Milanówku, Grodzisku, Brwinowie, Pruszkowie, a także Konstancinie, Zalesiu, pod Grójcem i z przyfrontową Górą Kalwarią. Tutaj znalazły się warszawskie kawiarnie – ale i liczne ośrodki dyspozycyjne i komórki funkcjonalne Polski Podziemnej. To na linii EKD zaczął wznawiać pracę konspiracyjny Uniwersytet Warszawski oraz Instytut Zachodni, pracowały komisje ustalające polskie nazwy miejscowości na Ziemiach Odzyskanych, które były jeszcze Ziemią Postulowanymi. Historycy gromadzili doku-

¹⁸⁸ Wyzwolenie spod okupacji niemieckiej przez Armię Czerwoną było równocześnie początkiem nowej okupacji i nowych zbrodni. Z przyczyn cenzuralnych o tej nowej okupacji i nowych zbrodniach nie można było pisać w prasie oficjalnej. Podobnie, jak nie było możliwe, aby nazywać procesu wkroczenia Sowietów na ziemie polskie innym słowem niż „wyzwolenie”.

mentację do dziejów Powstania Warszawskiego, ale i pracowali nad analizą węzłowych problemów Polski Piastów. Organizowano i prowadzono walkę zbrojną, urządzano wieczory autorskie i kameralne koncerty.

Trzecia grupa Warszawiaków, wypędzona ze swego miasta, znalazła schronienie na terenie Generalnej Guberni. Niektóre miejscowości nabrały warszawskiego charakteru, takie zwłaszcza jak Częstochowa czy Zakopane. W Częstochowie odtworzona została Komenda Główna AK. Zakopane gromadziło przedstawicieli sfer intelektualnych i artystycznych. Podobnie Kraków. Natomiast swój „Traktat o dobrej robocie” filozof – prof. Kotarbiński pisał w Radomiu. Choć oderwani od swego miasta, wypędzeni, pozostawiani bez środków do życia (lecz ofiarność całego społeczeństwa nie zawiodła) – Warszawiacy w miejscach swego tymczasowego pobytu podejmowali te same działania, co w stolicy.

W nieporównywalnie cięższych warunkach znaleźli się ci, których wywieziono do Reichu. Mniejsza ich część trafiła do pracy niewolniczej w niemieckich przedsiębiorstwach mieszczących się na terenach polskich, tyle że w czasie okupacji przyłączonych do Rzeszy. Tym było mimo wszystko źlej. Inni zostali wywiezieni niezbyt daleko – na obszary położone na wschód od Odry i Nysy. Głównie na Dolny Śląsk, choć także na Pomorze. O wyzwoleniu Warszawy dowiadawali się z niemieckich gazet. Na własne wyzwolenie musieli jeszcze czekać, niektórzy trzy miesiące. Wreszcie ostatnia, najliczniejsza grupa cywilnych mieszkańców Warszawy znalazła się na terenie właściwych Niemiec, w fabrykach czy u bauerów, zmuszona do pracy niewolniczej.

Najtragiczniejszy był los tych, którzy wprost z Warszawy trafili do obozów koncentracyjnych. Większa ich część nie przeżyła wojny.

Wreszcie, w obozach jenieckich rozsianych po całej Rzeszy, znajdowało się kilkadziesiąt tysięcy powstańców, głównie młodych chłopców.

*

Pamiętam rozmowę, chyba z 18 stycznia, której jako młody chłopiec byłem niemyłym świadkiem¹⁸⁹. Rzecz działa się w małej kieleckiej miejscowości, przez którą właśnie przetaczał się front. Z okien widać było dom naprzeciwko, a raczej kupę dogasających popiołów. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że została wyzwolona Warszawa, mieliśmy tego dowiedzieć się dopiero nazajutrz. Spierano się nawet: czy już jest wolna, czy jeszcze nie. Ktoś szykował się do drogi, twierdząc, że to sto sześćdziesiąt kilometrów na piechotę robi w trzy–cztery dni. Lecz właściwa rozmowa, bardzo burzliwa chwilami, dotyczyła czegoś innego. Jedni byli zdania, że całą Warszawę należy dokładnie odbudować, taką samą, jak była. Inni proponowali na jej miejscu zbudować w pełni nowoczesne, funkcjonalne miasto. Ani w mieszkaniu, w którym trwała rozmowa, ani w całym miasteczku, nie było ani jednego architekta czy urbanisty. Ale do tej roli przymierzali się zwyczajni Warszawiacy. Pamiętam starszego już mężczyznę, bodajże księgarza z za-

¹⁸⁹ Leszek Moczulski w styczniu 1945 r. miał skończone 14 lat.

PIERWSZE KROKI

wodu, który prezentował już wyrysowany na szkolnym kartonie model odbudowanej Warszawy. Śródmieście mieściło się wewnątrz wielkiego kręgu i złożone było z siatki ulic przecinających się wyłącznie pod kątem prostym. Równolegle do tego kręgu, na zewnątrz, coraz większymi kołami przebiegały otaczające centrum ulice, przecinane promieniście rozchodzącymi się alejami. Ten model u jednych budził zachwyt, u innych sprzeciw.

Jedno tylko umknęło uwadze dyskutantów. Nikt w ogóle nie wątpił w to, że Warszawa będzie odbudowana. Nikomu nie wpadł nawet taki pomysł do głowy, że ktokolwiek mógłby się nad tym zastanawiać¹⁹⁰.

Wtedy, w styczniu 1945 r., byłem pewien, że wspólnym dążeniem wszystkich Warszawianków, ba – całego narodu – jest jak najszybsza odbudowa Warszawy, miasta, które ani na chwilę nie przestało być stolicą.

Wtedy byłem pewien – bo taka była ogólna atmosfera. Dzisiaj, gdy dysponować można tomami pamiętników, wielkimi zespołami akt, gdy w sposób udokumentowany zaglądać można w twarz przeszłości – wiem, że tak było.

Wszędzie tam, w kraju i na obczyźnie, gdzie tylko znaleźli się Warszawianie.

L. M.

* * *

PIERWSZE KROKI¹⁹¹

Trwa wielki powrót. Do Warszawy zdążają mieszkańcy miasta. Na lewym brzegu Wisły w styczniu 1945 r. ludzi można było policzyć na palcach. Teraz jest lato, stolica już niedługo osiągnie 400 tys. ludności. Większość mieszka na Pradze oraz w mniej zniszczonych osiedlach otaczających miasto, od Wilanowa i Powsina przez Okęcie po Młociny.

Cofamy zegar o 25 lat. Mieszkamy się z tłumem wracających do swego miasta. Chcemy spojrzeć na Warszawę latem 1945 r. ich oczami. Będzie to spojrzenie odmienne od dzisiejszego. Chcemy przywołać z pamięci minione. Po części przywołały fakty znane albo takie, które przypominają się same. Ale tylko dla niektórych jest to kwestia pamięci. Więcej niż połowa współczesnych warszawiaków roku 1945 pamiętać nie może.

Różne drogi prowadzą do stolicy. Pociągiem jedzie się na Dworzec Zachodni, a dalej furmanką do Śródmieścia. Z Pragi trzeba przedostać się przez Wisłę. Wysokowodny most umieszczony u wylotu Karowej przepuszcza na zmianę ludzi i pojazdy to w jedną, to w drugą stronę. Przed wejściem na most trzeba długo czekać, aby wreszcie wraz

¹⁹⁰ Mamy tu zawołowaną krytykę pomysłów części polskich komunistów (m.in. Bolesława Bieruta – ówczesnego przewodniczącego KRN), którzy proponowali, aby miasta nie odbudowywać, a stolicę Polski ulokować w robotniczej Łodzi.

¹⁹¹ „Stolica” z 1970 r., nr 29.

z tłumem przejść te kilkaset metrów tuż nad nurtem Wisły. Komu się bardziej śpieszy i ma pieniądze, korzysta z tramwaju wodnego. Tym mianem określamy kryptę, własność warszawskich przewoźników. Są to różne łodzie. Największe z nich mają nominalną ładowność 75 osób, co oznacza, że w każdy kurs zabierają 150 pasażerów. Trzeba czekać, aż zbierze się komplet. Taryfa – 10 zł od osoby. Z początkiem lata wodna komunikacja została udoskonalona. Spod porwanych przeseł mostu Poniatowskiego co 20 minut odpływają łodzie pośpieszne, zabierające tylko 50 pasażerów. Obok wiosel napęd dają żagle: najczęściej trójkątne łacińskie czy też lugry, rzadziej skośne bermuda. Cena przejazdu tym pośpiesznym stateczkiem wynosi 15 złotych.

Co oznacza ta kwota? Czy to dużo, czy mało? Dokonana pod koniec zimy reforma walutowa przewidywała, że każdy może wymienić 500 zł (okupacyjnych). Zarobki są niewysokie. Pensje kształtują się od 3 000 do 8 000 złotych, na ogół nie przekraczają 5 000 zł. Są to jednak dane teoretyczne. Znaczna część warszawiaków zatrudnionych w biurach i przedsiębiorstwach państwowych czy spółdzielczych pobiera pensje w formie deputatów żywnościowych. Ceny towarów na wolnym rynku są znacznie wyższe od oficjalnych. Kilogram chleba na kartki – osobom pracującym przydziela się miesięcznie w zasadzie 6 kg chleba – kosztował złotówkę, a pod koniec maja wzrósł do 1,50 zł. Na wolnym rynku 1 kg chleba kosztuje około 40 złotych.

Pośpieszną żagłówką płyniemy na lewy brzeg. Panorama Warszawy. Znamy ją z zachowanych zdjęć, możemy chyba pominąć opis kikutów domów, ruin, poskręcanych i wyrzuconych ku niebu szyn tramwajowych. Mdły, lekko słodkawy zapach unosi się nad miastem. Do 10 maja przeprowadzono w Warszawie ekshumację zwłok. Wydobyto i przeniesiono na miejsca wiecznego spoczynku 27 tys. poległych i zamordowanych, pochowanych najpłycej: na skwerkach, podwórkach, ulicach. Pod gruzami miasta leży jeszcze może 150 tys. ludzi, może nawet ćwierć miliona? Ruiny miasta grzebią więcej warszawiaków, niż mieszka ich w lewobrzeżnej Warszawie.

Idziemy Powiślem. Dawne peryferie Śródmieścia teraz są do niego bramą. Krajobraz tej dzielnicy składa się z samych kontrastów. Dwie pnące się pod górę ulice kanalizują niemal cały ruch: Karowa z ocalałym ślimakiem i Tamka. Tętni tutaj życie. Domy są wprawdzie wypalone i zrujnowane, lecz partery prowizorycznie wyremontowano. Wzdłuż całej Tamki prawie dom przy domu, wszędzie tam, gdzie było to możliwe, powstały różne sklepiki. Wchodzimy, aby napić się kwasu. Oficjalna cena wynosi 3 złote za szklankę, lecz my płacimy 5; to i tak tanio, sklepikarze potrafią za szklankę kwasu zaśpiewać i 15 złotych. W innym sklepie formuje się kolejka: chłop właśnie dowiózł masło. Cena – 280 złotych za kilogram. Bardziej przewidujący zatrzymują furmanki po drodze, wówczas od gospodarzy można kupić masło po 250 złotych. Omijamy kawiarnie, których na Tamce nigdy wcześniej i nigdy później tyle nie było. Zaglądamy w przecznice. Ulica Dobra zasypana zwałami gruzów, resztkami barykad. Tylko w pobliżu rogu Tamki czynne są już sklepiki. 200 metrów dalej zaczyna się kamienna pustynia.

Inny obraz na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Trwają prace przy odbudowie elektrowni. Do środka wjeżdżają i wyjeżdżają ładowne ciężarówki, robotnicy pracują na rusztowaniach, żołnierze oczyszczają jezdnię. Ruch, gwar, hałas.

Te wyspy życia otoczone są pustką. Wystarczy odejść kilkadziesiąt metrów od elektrowni, z Tamki czy Karowej skrócić w którąś przecznicę, aby wkroczyć w księżycowy krajobraz z koszmarnego snu, gdzie panuje cisza, nie widać ludzi i nie ma nic poza ruinami i zgłiszczami. Ruiny Warszawy zaczyna porastać trawa, a nawet krzaki. Czy to miasto zniknie w pyłe historii? Pytanie takie zadają sobie wszyscy. Wystarczy wrócić na Tamkę, na Karową, do oaz życia – aby odpowiedź stała się oczywista. To miasto już żyje, Warszawa nie zginie. Tamką pod górę suną tłumy ludzi, z góry zjeżdżają furmanki wiozące gruz na wysypisko nad Wisłą. W pobliżu kamiennej skarpy pałacu Ostrogskich, przy na wpół wypalonym budynku z transparentem głoszącym: „PPS – dzielnica Powiśle”, zbiera się gromada ludzi z łopatami. Wyruszą zaraz do pracy ochotniczej.

Inny kontrastowy obraz: tuż przy Kopernika gromada ludzi. Otaczają mężczyznę, który swoje przedsiębiorstwo umieścił na wyszabrowanym z gruzów stoliku: trzy karty, czarna przegrywa, czerwona wygrywa. W tłumku zebrali się nie tylko miłośnicy hazardu. Jacyś panowie omawiają grubszy interes: amerykańskie mundury z demobilu; może być cała ciężarówka. Dostawa we wskazane miejsce. Płatne w dolarach; mogą być też ruble, oczywiście złote...

Koło cokołu, na którym stał pomnik Kopernika, dochodzimy do Krakowskiego Przedmieścia. Naprzeciwko ruiny kościoła Świętego Krzyża i obalony posąg Chrystusa. Naprzeciwko Uniwersytetu oczyszczone z gruzu chodniki. Zasiedzieli już Warszawiaczy, którzy są w mieście co najmniej od kilku tygodni, dobrze znają adres Krakowskie Przedmieście 66. Mieści się tam uruchomiona przez spółdzielnię IF pijalnia bulionu. Cena rewelacyjna: po 2 złote szklanka gorącego, odżywczego napoju. Ten sam napój w innych sklepikach kosztuje nawet 20 złotych. IF jest spółdzielnią pełną inicjatywy. Obok pijalni bulionu, uruchomionej jeszcze w lutym, w czerwcu otwarła w tym samym domu duży sklep. Można tu dostać chemikalia, wyroby szklane, różne urządzenia rzemieślnicze i przemysłowe, kosmetyki, koncentraty spożywcze.

W drogę do centrum miasta możemy wyruszyć furmanką za 30 złotych. Właśnie przy Karowej furman głośnym krzykiem zwołuje ostatnich pasażerów. Decydujemy się na pieszy marsz. Łuk Nowego Świata zarysowują kikuty domów. Ruch jest spory. W pobliżu Wareckiej długa kolejka tłoczy się u wejścia do sklepu o nazwie „Gastronomia”. Czego tu nie można dostać! Nawet kawior! Pęta kielbasy, półcie słoniny w cenie 280 zł za kilogram. Bułeczki pszenne staniały. Kosztują już nie 10, a 7 złotych.

Skręcamy w Chmielną. Dom w dom, okno w okno – rząd sklepików, nad którymi wiszą wypalone puste ściany. Najprzeróżniejsze towary. Tłok. Zupełnie jawnie odbywa się handel walutami i złotem, ktoś zamienia zdjętą z pleców jesionkę, mało przydatną w upalne lato – na prawie nowe buty, targuje tylko dopłatę – 10 jajek, to za mało, przecież jak można dostać za 6 złotych.

Centrum Warszawy mieści się u zbiegu alei i Marszałkowskiej. Tuż obok znajdują się śródmiejskie władze. Przy Marszałkowskiej 95 pracuje Starostwo Warszawa-Śródmieście, w al. Jerozolimskich 43 placówka milicji obywatelskiej. Na rogu Poznańskiej rozmieściło się wielkie targowisko. Gdy miesza się w tłum, raz po raz zaczepiają nas pytaniem: „Przenocować? Tuż obok mam jeszcze jeden wolny siennik...”.

Na placu Trzech Krzyży otwarto nową, „elegancką” kawiarnię. Pora na małą czar-ną. Gdy płacimy kelnerce, mina nam rzędzie. 70 złotych za filiżankę kawy, 35 złotych za ciastko. A tymczasem w „Ksantypie” przy ul. Zgoda kawa kosztuje 40 złotych, zaś w małej cukierce na Puławskiej ciastko dostać można za 18 złotych.

Znów jesteśmy na ulicy. Patrząc w górę, widzimy wypalone okna zburzonego mia-sta. Patrząc na wysokości parterów – widzimy kontrasty życia, które pleni się tak buj-nie. Pierwszy krok w miasto. Jego obraz najbardziej zewnętrzny. Śpieszący się ludzie, którzy tutaj żyją. Jak żyją, co robią, co zamierzają?

LESZEK MOCZULSKI

* * *

TAK ZGINĄŁ HITLER¹⁹²

Publikowany niżej tekst stanowi poważnie skrócony fragment jednego z rozdziałów więk-szej pracy, zatytułowanej „Upadek Trzeciej Rzeszy” i poświęconej wydarzeniom ostatnich czterech miesięcy minionej wojny, (red.)

Wysłanie w świat kurierów, marszałka Rittersa v. Greima i szeregowca Josefa Brichzie nie zakończyło wydarzeń w Kancelarii Rzeszy w nocy z 28 na 29 kwietnia 1945 roku. Uczyniwszy wszystko, jak sądził, aby spowodować nadejście odsiecz, Hitler bardziej realnie spojrzął na najbliższe perspektywy. Nie było pewności, że kurierzy wydostaną się żywi z Berlina. Jeśli nawet, pomoc nie musiała nadejść. Mogła zresztą przybyć zbyt późno, Hitler zdawał sobie sprawę, że jego życie liczy się już na godziny. Postanowił uporządkować ostatnie sprawy. Najpierw zajął się swoimi psami. Wielekroć mówił o tym, że nigdy nie ścierpiałby, gdyby jego psy dostały się w ręce wroga. Było ich dwa: suka i młody szczeniak po niej, Wolf – czarne niemieckie owczarki.

Otto Günsche, który był świadkiem uśmiercenia psów, tak zeznał w niewoli ra-dzieckiej:

„W korytarzu schronu stali profesor Haase i feldfebel Tornow, opiekun psów Hi-mlera. Haase miał w ręku ampułkę z cyjankiem potasu i szczypce; otrzymał od Hitlera rozkaz otrucia Blondi. Hitler chciał wypróbować na Blondi działanie trucizny. Około północy otruto Blondi w ubikacji. Tornow otworzył psu pysk, a Haase szczypcami roz-gniótł mu w pysku ampułkę z trucizną. Trucizna poskutkowała natychmiast. Wkrótce

¹⁹² „Stolica” z 1973 r., nr 18.

potem Hitler wszedł do ubikacji, by przekonać się, czy psa rzeczywiście otruto. Nie powiedział ani słowa. Wyraz twarzy miał nieprzenikniony. Po chwili wrócił do swego gabinetu”.

Wkrótce rozpoczął się kolejny akt nocnych wydarzeń: ślub Hitlera z Ewą Braun. Ogłoszono o tym niespodziewanie w schronie już po północy, w każdym razie po odjeździe Greima i Hanny Reitsch. Goebbels zadbał o sprawy formalne. Sprowadzono do schronu niejakiego Waltera Wagnera, który wprawdzie nie był urzędnikiem stanu cywilnego, a inspektorem w zarządzie miasta Berlina; wiedział też z grubsza, jak przeprowadzić ceremonię ślubu. Odbyla się ona nie wcześniej niż o 1.00, ale nie później niż o 3.00 w nocy, w pokoju map, obok apartamentu kanclerza. Wagner przybył w brązowym mundurze partyjnym NSDAP z opaską Volksstürmu na ramieniu. Państwo młodzi nie przebrali się do ceremonii, poza nimi obecni byli tylko dwaj świadkowie, wymagani przez prawo: rolę tę spełniali Josef Goebbels i Martin Bormann. Na pytanie Wagnera, najpierw Hitler, a potem Ewa Braun oświadczyli pod odpowiedzialnością prawną, że są aryjskiego pochodzenia, że żadne nie cierpi na dziedziczną chorobę i że spełniają wszystkie warunki, przewidziane przez odpowiednie przepisy. Wagner zastosował bardzo skrócony tryb postępowania: zapytał obojga narzeczonych, czy pragną zawrzeć związek małżeński, a gdy padła dwukrotna odpowiedź, tak, przystąpił do spisania aktu. Hitler podpisał go nieczytelnym zygzakiem, świeżo poślubiona małżonka zaczęła już pisać Ewa Braun, ale zauważyła pomyłkę, skreśliła literę B i poprawiła na Ewa Hitler z domu Braun.

Zaraz po zakończeniu ceremonii państwo Hitler udali się do sąsiedniej sali konferencyjnej, gdzie oczekiwało ich kilka osób z najbliższego otoczenia. W milczeniu przyjęli gratulacyjne uściski dłoni i przeszli do swego apartamentu, gdzie już czekało ślubne śniadanie. Zaproszono Goebbelsów, Martina Bormanna i obie sekretarki: Christian-Daranowską i Junge. Podano szampana i przy kielichach potoczyła się lekka, niekrępująca rozmowa. Mówiono głównie o przeszłości: przypomniano, jak wyglądał ślub Goebbelsa, wspomniano dawnych towarzyszy, na ogół tych, którzy już nie żyli, inni bowiem byli ujawnionymi bądź potencjalnymi zdrajcami. Hitler nie mógł jednak oderwać się od rzeczywistości, mimo wysiłków współbiesiadników. Zaczął mówić o swym bliskim samobójstwie. „Narodowy socjalizm skończył się, oświadczył, i nigdy już nie będzie wskrzeszony. Śmierć będzie dla niego (Hitlera) wyzwoleniem po doznanych zdradach ze strony najbliższych przyjaciół”.

W niedzielę, 29 kwietnia Bormann dokonał zapisu w swym dzienniku najwyraźniej bardzo wcześnie. Pisał:

„Już drugi dzień rozpoczyna się huraganowym ogniem. W nocy z 28 na 29 kwietnia radio zagraniczne doniosło o wysuniętej przez Himmlera propozycji kapitulacji. Ślub Adolfa Hitlera i Ewy Braun. Führer dyktuje swój testament polityczny i osobisty. Zdraycy Jodl, Himmler i generałowie pozostawiają nas na pastwę bolszewików! Znów huraganowy ogień! Według komunikatu nieprzyjaciela, Amerykanie wdarli się do Monachium”.

Oddziały radzieckie wdarły się głęboko wewnątrz centrum Berlina. Bezpośredni bój toczył się o dostęp do Reichstagu. W pobliskim ministerstwie spraw zagranicznych, gdzie jako pierwszy wdarł się batalion kpt. Dawydowa. Niesamowicie zaciepły bój trwał przez cały dzień. Inne boje toczyły się w rejonie Charlottenburger Schloss, w szpitalu La Charité, przy Alexanderplatz, Spittelmark. Nollendorfplatz, Anhalter Bahnhof.

W pewnym momencie do kancelarii Rzeszy nadeszła wiadomość, że oddziały radzieckie łamią ostatni krąg obrony centrum. „Po przerwaniu przez rosyjskie jednostki zmotoryzowane linii niemieckich w rejonie dworca Anhalt i Koenigsplatz – zeznał później Günsche – Führer zaczął się niepokoić o to, aby nie stracić odpowiedniego momentu do samobójstwa”. Wkrótce potem jednak sytuacja się nieco uspokoiła, choć olbrzymi bój trwał nadal.

Dociera do kancelarii Rzeszy uzyskana z nasłuchu radiowego wiadomość o śmierci Benito Mussoliniego. Rozstrzelany został w Dongo w północnych Włoszech przez partyzantów, zwłoki przewieziono do Mediolanu, gdzie na placu Loretto rzucono na bruk, wystawiając na widok publiczny. Komunikat radiowy na ten temat Gertruda Junge przepisała na maszynie o wielkich literach dla Hitlera. Tekst ten parę dni później odnaleźli żołnierze radzieccy. Na maszynopisie były dwa podkreślenia Hitlera, dokonane ołówkiem. Dotyczyły one słów: „Mussolini” oraz „powieszeni głową w dół”.

Dzień 29 kwietnia upłynął – mimo nasilenia się ewakuacji i trzech kolejnych niełatwych narad – spokojnie. Słowo to jest o tyle nie na miejscu, że nieprzerwanie trwał ostrzał artyleryjski kancelarii Rzeszy, oddziały radzieckie były coraz bliżej; ustawicznie napływały meldunki, wydawane były rozkazy: Goebbels dwoił się i troił.

Ewa Braun, a raczej już Ewa Hitler, nie szukała zajęć. Był to pierwszy dzień w jej życiu, spędzany w stanie małżeńskim. Wieczorem opuściła schron Hitlera i przeszła do innego schronu, leżącego wyżej, gdzie znajdowało się kasyno. Zastała tam obie sekretarki kanclerza, panie Christian i Junge, siedzące w towarzystwie lekarzy, prof. Haase i dentysty Kunza. Całą czwórkę zaprosiła na kawę. Pani Hitler opowiadała profesorowi Haase, że gdy rano witały się z nią dzieci Goebbelsa, powiedziały jak zazwyczaj: „Dzień dobry, ciociu Braun”. Wówczas Ewa poprawiła je: „od dziś należy mówić ciociu Hitler”.

Był już poniedziałek. 30 kwietnia, ale w podziemnym schronie nadal jeszcze trwała niedziela. Kolacja, która rozpoczęła się tuż po północy, minęła szybko, ale nikt nie szedł spać. Zresztą któryś z SS-mannów z przybocznej straży Hitlera poinformował, że Führer prosi, aby na niego zaczekano, gdyż zamierza pożegnać się. Oczekiwanie to trwało jakiś czas. Dopiero około 2.30 nad ranem mieszkańcy schronu wezwani zostali na najniższą kondygnację, do sali jadalnej. Nie przestrzegano już dawnych, tak rygorystycznych środków czujności, skoro między wezwanymi przybyła również osoba obca, znajdująca się przypadkowo w schronie, niejaka baronowa v. Varo. W sumie zgromadziło się około dwudziestu osób.

Wkrótce z drugiej części schronu wyszedł kanclerz w towarzystwie Bormanna. Nic nie mówiąc, w absolutnym milczeniu obszedł salkę, ściskając dłoń każdemu z obecnych. Oczy miał jakby nie widzące, czy też roztargnione. Parę osób powiedziało do niego jakieś słowa pożegnania, ale nie odpowiadał. Po krótkiej chwili, równie milcząco wyszedł – jak się pojawił.

Od tej pory wydarzenia w schronie zaczynają się toczyć niejako po dwóch torach. Jeden tor, to przeżycia mieszkańców schronu, drugi dotyczy wyłącznie Hitlera. Przy kanclerzu nieprzerwanie w tym czasie przebywa tylko dwu ludzi: Sturmbannführer Otto Günsche i Sturmbannführer Linge. Inni o tym, co działo się i stało z kanclerzem, wiedzieli od tych koronnych świadków, a co najwyżej

z własnych fragmentarycznych obserwacji niektórych epizodów.

Wyjście Hitlera z sali jadalnej po scenie pożegnania przerwało poprzednią ciszę. Wszyscy zaczęli dyskutować w ożywieniu, godząc się ostatecznie w opinii, że lada chwila Hitler odbierze sobie życie. Wtedy atmosfera natychmiast się zmieniła. Jakby zginął jakiś straszny koszmar, jakby wizja bliskiej śmierci odeszła, okazała się marą senną. W Rzeszy obowiązywał zakaz tańczenia. W kantynie podziemnej zebrali się jednak żołnierze, jakieś dziewczęta z personelu, sanitariuszki i sekretarki. Przybyli także ci, którzy przed chwilą żegnali się z Hitlerem. Zaczęły się tańce, tym głośniejsze i bardziej radosne, im bardziej szedł do głowy alkohol, którego nie brakowało. W coraz bardziej wesołej zabawie uczestniczyli wszyscy, załamała się dawna hierarchia służbowa, krawiec Müller jak równy z równym rozmawiał z brigadeführerem Rattenhuberem. Wszyscy zebrani wiedzieli, że Hitler pożegnał się już i może właśnie na niższej kondygnacji schronu popełnia samobójstwo. Nikt nie zwracał na to uwagi: ani cieszą się, ani smucą, fakt traktowano po prostu obojętnie. Odgłosy coraz bardziej głośniejszej zabawy docierały do właściwego schronu Hitlera i nawet ktoś przyniósł stamtąd rozkaz, aby przywrócić ciszę. Nikt nie zareagował, z dźwiękami muzyki zaczęły mieszać się coraz głośniejsze pokrzykiwania tancerzy, piski rozbawionych dziewcząt, głośny tupot stopowania.

Hitler zaś, opuściwszy salę jadalną, wrócił do swoich apartamentów. Co tam czynił? Tego nie wyjaśnia żadne ze znanych źródeł. Czy poszedł spać? Jest to mało prawdopodobne. Pomijając nawet stan psychiczny, w którym się znajdował, godzina była za wczesna, aby udać się do łóżka. Zresztą nie dalej jak parę dni wcześniej skarżył się, że nie może zasnąć, a gdy wreszcie zmęczonego natłokiem myśli dopada sen, jest już świt i zaczyna grzmieć radziecka artyleria. Bardzo mało prawdopodobne jest, aby Führer zasnął tej nocy.

Rano do schronu przybywają generałowie. Nie mówią nic o przebijaniu się ani o kapitulacji. Hitler wie, że czekają z tym na jego śmierć. Na razie jakieś nieistotne przecieczki: walki na dworcu Śląskim, jakieś przeciwnatarcie, gdzie indziej utrata pozycji... Kanclerz słuchał, prawie nie zabierając głosu. Ostatnie obowiązki, które trzeba wypełnić. Z siły przyzwyczajenia, która tak długo spajała Trzecią Rzeszę,

pozostała już tylko siła przyzwyczajenia jej Führera i grabarza. Potem jakieś godziny przerwy, ściany bunkra wstrząsane są głuchymi eksplozjami radzieckich pocisków. Kolejna narada, południowa. Znow te same twarze, patrzące z niemym pytaniem: jeszcze żyjesz? Bormann i Goebbels, jeszcze wierni, którzy już jutro – a nawet dziś! – zdradzą, złamią jego rozkazy. Jakies tam meldunki: Rosjanie ileś tam metrów od kancelarii Rzeszy, trzysta czy osiemset. Co za różnica? Wróg na placu Poczdamskim.

Wreszcie godzina 14.00. Obiad. Ewa Hitler pozostała w swojej klitce, kanclerzowi towarzyszą panie Christian, Junge i panna Mazially. Nieobowiązująca rozmowa. Nic o teraźniejszości. Nic o najbliższej przyszłości.

Na powierzchni ziemi, koło zapasowego wyjścia ze schronu czterech ludzi przyniosło kanistry z benzyną, dostarczone przez Schneidera. Wartownik pyta, co zamierzają z tym robić. Tłumaczą, jak im powiedziano: to dla napędu wentylatora. SS-mann śmieje się: niemożliwe, wentylator napędzany jest ropą. Pojawia się sturmbannführer Heinz Linge, odprawia wartownika i tragarzy. Benzyna ma czekać.

Mija godzina 15.00. Adolf Hitler z żoną wychodzi ze swych pomieszczeń. Czekają na niego Bormann, Goebbels, Burgdorf, Krebs, Hevel, Neumann, Voss, panie Junge i Christian, panny Kruger i Mazially. Znow milczące uściśnięcie rąk. Zaraz potem wszyscy zostają odprawieni. Pozostaje tylko dwu – Heinz Linge i Otto Günsche. Hitler z Ewą wracają do pokoju.

Dalszy przebieg wydarzeń jest w szczegółach niejasny. Relacje dwu ludzi, którzy do końca byli świadkami, są częściowo z sobą sprzeczne. Ich własne zeznania w zależności od czasu i miejsca złożenia, też nie pokrywają się całkowicie z sobą. Relacje innych, którzy znają wydarzenia z drugich ust, są tym bardziej gmatwujące.

Gdy Hitler z Ewą wrócił do swego pokoju, w gabinecie konferencyjnym pozostali Linge i Günsche. Była mniej więcej godzina 15.00. W tym momencie Linge załamał się nerwowo. Zaczął uciekać, schodami wiodącymi do zapasowego wejścia, mało co nie wydostał się na powierzchnię. Huk kanonady artyleryjskiej otrzeźwił go. Wrócił więc do schronu. Stał przy drzwiach do apartamentu Hitlera, a uchyliwszy je nieco, poczuł zapach prochu. Pobiegł więc do ogólnej poczekalni, gdzie znajdował się Bormann. Wraz z nim przeszli do pokoju Hitlera. Kanclerz siedział po prawej stronie kanapki, w lewej skroni widoczny był wlot od kuli, czysta rana, bez kropli krwi. Z lewej strony siedziała Ewa Hitler. Obok Führera znajdował się jeden pistolet, u jego stóp leżał drugi. Później Linge wniósł istotną poprawkę; otóż Hitler strzelał nie w lewą, a w prawą skroń.

Wersje Günschego są o wiele bardziej lakoniczne. Jego zeznania w niewoli radzieckiej musiały być tak bardzo skąpe, że przesłuchujący doszli do przekonania, iż adiutant Hitlera coś ważnego ukrywa. Wiemy tylko, że w zeznaniu z 1950 r. Günsche wyjaśnił, że Hitler strzelał w prawą skroń i on, i Ewa siedzieli na kanapie. Indagowany po powrocie do NRF, w 1960 r. podał nieco inną wersję: Hitler siedział w jednym fotelu, Ewa leżała na drugim. Hitler zastrzelił się, jego żona zażyła truciznę.

Jeszcze 30 kwietnia zarówno Günsche, jak Linge opowiadali przebieg wydarzeń kilku osobom, w tym paniom Junge i Christian oraz pannie Krüger. Mieli wówczas twierdzić, że Hitler strzelił sobie w usta. Zwłoki obojga znajdowały się na tapczanie.

Dysponujemy jednak jeszcze jednym świadectwem pośrednim. Są to fragmenty dwu ujawnionych relacji Rattenhubera. Pierwsza z nich sporządzona została w Moskwie już 20 maja 1945 roku, druga jest zapewne o parę lat późniejsza.

Po nocnej zabawie, w której Rattenhuber brał bardzo żywy udział, brigadeführer spał długo, bo do 13.00. Po wstaniu sprawdził posterunki wokół kancelarii Rzeszy i dopiero około czwartej zszedł do schronu; w drugiej relacji, późniejszej, czas ten określa trochę inaczej: o trzeciej lub czwartej. Na dole napotkał Lingego, „który zakomunikował mi, że Führer popełnił samobójstwo i że jemu, Lingemu, przypadło w udziale wykonanie najtrudniejszego rozkazu Führera – zeznał Rattenhuber 20 maja 1945. I dalej: – Wiedziałem od Stumpfeggera, że miał on zaopatrzyć Führera i jego żonę w cyjanek potasu. Byłem wstrząśnięty informacją Lingego, mimo że wczoraj byłem obecny przy pożegnaniu z Hitlerem. Usiadłem na krześle. Linge powiedział mi, że zwłoki zawinięte w prześcieradła zostały spalone przy zapasowym wyjściu do ogrodu. Następnie powiedział, że na kanapie pozostał krwawy ślad: gdy spojrzałem na niego zdumiony, bo wiedziałem, że Hitler miał cyjanek potasu, Linge powiedział, że Hitler rozkazał mu opuścić pokój, a po upływie dziesięciu minut, jeżeli z pokoju nic nie będzie słychać, wejść i wykonać jego rozkaz. I kiedy Linge położył na stole pistolet Hitlera, zrozumiałem, co to było, ten najtrudniejszy rozkaz Hitlera”.

W późniejszej relacji Rattenhuber przebieg wydarzeń przedstawia nieco inaczej. Po zejściu na dół, zeznał, poczułem zapach gorzkich migdałów. Mój zastępca Högl powiedział mi z przejęciem, że przed chwilą Führer popełnił samobójstwo. W tym momencie podszedł do niego Linge. Potwierdził informację o śmierci Hitlera, oświadczając przy tym, że przypadło mu w udziale wykonanie najtrudniejszego w życiu rozkazu Hitlera. Spojrzałem na Lingego ze zdziwieniem. Wyjaśnił mi, że Hitler kazał mu przed śmiercią wyjść na dziesięć minut z pokoju i następnie wejść z powrotem. Odczekać w nim jeszcze dziesięć minut i wykonać rozkaz. Mówiąc to Linge wszedł szybko do pokoju Hitlera i wrócił z pistoletem Waltera, który położył przede mną na stole. Po charakterystycznych ozdobach zewnętrznych poznałem, że to jest osobisty pistolet Führera. Zrozumiałem wtedy, na czym polegał rozkaz Hitlera. Mając widocznie wątpliwości co do działania trucizny w związku z wieloma zastrzykami, jakie robiono mu codziennie od dłuższego czasu, Hitler rozkazał Lingemu, aby dobił go po zażyciu trucizny... Obecny przy naszej rozmowie Reichsführer młodzieży, Axmann, wziął pistolet Hitlera i powiedział, że przechowa go do lepszych czasów...”.

Ta pewność Rattenhubera, oparta raczej na poszlakach, niż przyznaniu się Lingego do czynu, budzi jednak poważne wątpliwości. Mieli je również radzieccy oficerowie śledczy, przynajmniej niektórzy, odrzucając wersję jakoby to Linge dobił Hitlera. Zakładając, że dobiecie to miało miejsce, podejrzewali oni, iż uczynił to Günsche. Zresztą,

tylko jeden z nich wchodził w rachubę. Ale jeżeli rzeczywiście któryś z tych sturmbannführerów strzelał do Hitlera, czemu nie zostało to przez nich stwierdzone? Zrozumieć by można, że ten, który strzelał, nie chciał się do tego przyznać, choć bardziej normalne byłoby, aby potwierdził ten fakt. Nie można jednak zrozumieć, dlaczego ten, który nie strzelał, nie wskazał na kolegę?

Badania sądowo-lekarskie odnalezionych zwłok Hitlera rzucają interesujące światło na kwestię. Otóż sekcja i analiza pobranych treści wykazała obecność śmiertelnej dawki związków cyjanku. Hitler więc otrul się. Równocześnie jednak brak było części czerepu, i to tylnej, zniesionej wystrzałem. Zresztą relacje osób wynoszących zwłoki Hitlera ze schronu potwierdzają, że miał zmiażdżoną czaszkę.

Natomiast co do Ewy Hitler, nie ma żadnych wątpliwości. Otruła się cyjankiem. Wprawdzie późniejsze badania lekarskie zwłok odkryły u niej rany na klatce piersiowej i znaleziono sześć odłamków, uraz ten nastąpił jednak już po zgonie, a mianowicie w tym czasie, gdy zwłoki pani Hitler leżały już na zewnątrz bunkra, obok zapasowego wyjścia; pamiętajmy, że rejon kancelarii Rzeszy znajdował się pod nieprzerwanym ostrzałem.

Natychmiast po samobójstwie w sali konferencyjnej zgromadziło się kilka osób. Wszyscy kolejno przyglądali się zwłokom. Teraz nadszedł czas na ceremonię pogrzebową.

Linge i jeszcze jakiś SS-mann owinęli ciało Hitlera w koc, przykrywając roztrzaskaną głowę, po czym przenieśli do sali konferencyjnej. Skądś wziął się tam ten nieznany z nazwiska, tajemniczy niski palacz, który rozpoznał ciało Hitlera po charakterystycznych, czarnych spodniach, o czym już parę dni później bardzo szeroko opowiadał pracownikom radzieckiego kontrwywiadu. Teraz zwłoki wzięło dwu innych SS-mannów i schodami zaczęło wynosić do zapasowego wyjścia. Bormann wrócił po zwłoki Ewy Hitler i dał je do niesienia Kempce, a ten nieco później przekazał je jakiemuś SS-mannowi. Jakby z tego wynikało, w ceremonii pogrzebu brało udział trzech nieznanych z nazwiska SS-mannów, należących do ochrony schronu. Poza nimi kondukt żałobny stanowili Goebbels, Bormann, Burgdorf, Günse, Linge, Kempka, a zapewne także i Axmann. Świadców tego pogrzebu było jednak więcej.

Schwytany przez wojska radzieckie Harry Mengershausen, SS-mann ze straży bunkra, w pierwszych dniach maja złożył dość wyczerpujące zeznania. „30 kwietnia pełniłem służbę w kancelarii Rzeszy patrolując korytarz prowadzący do kuchni i zielonej jadalni – relacjonował wydarzenia. Ponadto obserwowałem park, ponieważ w odległości 80 m od zielonej jadalni znajdował się schron przeciwlotniczy Führera. Patrolując korytarz zbliżyłem się do kuchni i spotkałem idącego do kuchni znajomego – ordynansa Führera, Bauera. Powiedział mi on, że Hitler zastrzelił się w swoim bunkrze. Zapytałem, gdzie jest żona Hitlera. Bauer odpowiedział, że ona również leży martwa w bunkrze, ale on nie wie, czy otrula się, czy też zastrzeliła. Rozmawiałem z Bauerem zaledwie kilka minut, gdyż spieszył się do kuchni. W kuchni tej przygotowywano po-

żywienie dla świty Hitlera. Wkrótce Bauer wrócił do bunkra. Nie uwierzyłem w informację Bauera o śmierci Hitlera i jego żony, i nadal patrolowałem swój odcinek. Od spotkania z Bauerem upłynęła najwyżej godzina, gdy wyszedłszy na taras znajdujący się w odległości 60–80 m od bunkra, zobaczyłem nagle, jak osobisty adiutant Führera Sturmbannführer Günsche i służący Hitlera, strumbannführer Linge wynieśli zapasowym wyjściem z bunkra ciało Hitlera i położyli je w odległości dwóch metrów od wyjścia. Następnie wrócili i po kilku minutach wynieśli martwą Ewę Braun, którą położyli obok. W pewnej odległości od zwłok stały dwie dwudziestolitrowe bańki z benzyną. Günsche i Linge zaczęli oblewać zwłoki benzyną i podpalać je”.

Tę samą scenę widział inny jeszcze wartownik. Erich Mansfeld, pełniący służbę w wieży obserwacyjnej znajdującej się w rogu schronu. Ujrzał on w pewnym momencie niecodzienny ruch przy zapasowym wyjściu i udał się tam natychmiast, aby sprawdzić co się dzieje. Zobaczył, że dwu oficerów SS wynosi zwłoki mężczyzny, ubranego w czarne spodnie i owiniętego kocem; tuż zaraz trzeci oficer niósł odkryte ciało Ewy Braun. Dalej dostrzegł Goebbelsa, Bormanna, Günsche, Lingego, Burgdorfa i Kempkę. Günsche polecił Mansfeldowi natychmiast wrócić na posterunek, co też ten uczynił.

Trzecim przypadkowym świadkiem wynoszenia zwłok był strażnik SS. Hermann Karnau. Chciał on po coś wejść do schronu przez wejście zapasowe, a mijając wieżę, w której znajdował się Mansfeld, zobaczył, że obok drzwi leżą dwa ciała. W chwili, gdy je ujrzał, nagle zaczęły się palić. Przez chwilę przyglądał się, bez trudu poznając Ewę Braun, a także Hitlera. Koc zapewne zwęglił się bardzo szybko, tak że Karnau mógł stwierdzić, że czaszka kanclerza jest strzaskana. Ludzi, którzy podpalili zwłoki, SS-mann nie zobaczył, byli bowiem zasłonięci ścianą schronu.

„Po tym, jak oblane benzyną ciała zostały podpalone, zamknięto natychmiast, z powodu silnego ognia i dymu, drzwi prowadzące do schronu. Wszyscy weszliśmy do przedpokoju” – zeznał jeszcze w maju 1945 Günsche przed oficerami radzieckimi.

Karnau chwilę przyglądał się palącym zwłokom, po czym zapasowymi drzwiami zszedł do schronu. W tym samym mniej więcej czasie Mansfeld obserwował wydarzenia ze schronu. Widział, jak paliły się zwłoki. Później jacyś wartownicy SS wychodzili ze schronu, polewali ciała benzyną, aby podtrzymać ogień. Po jakiejś godzinie na wieżę przybył Karnau, aby zluźować Mansfelda. Obaj podeszli do zwłok: dolna część ciała Hitlera była już spalona.

Inny wartownik. Hans Hofbeck. wiedząc co dzieje się na powierzchni, wyszedł ze schronu i chwilę obserwował płonące zwłoki. Stwierdził później, że zapach „był nie do zniesienia”.

Rattenhuber, jak już wiemy, przybył do schronu najpóźniej o godzinie 16.00. Jakiś czas przebywał w bunkrze, po czym udał się na górę, aby zobaczyć płonące zwłoki. „Ciała Hitlera i Ewy Braun paliły się źle – zeznał następnie – i zszedłem (ponownie) na dół, aby wydać polecenie w sprawie dostarczenia większej ilości benzyny. Po powrocie

na górę zastałem trupy przysypane już trochę ziemią. Wartownik Mengershausen zameldował mi, że z powodu nieznosnej woni nie można było wytrwać na posterunku i że na polecenie Günschego zepchnął wraz z innymi SS-mannami zwłoki do dołu, w którym leżał otruty pies Hitlera”.

Ponieważ zwłoki były przysypane bardzo niedbale, Rattenhuber udał się do wartowni bunkra i polecił kilku SS-mannom zakopać dokładnie zwłoki. Nastąpiło to już wieczorem. W każdym razie, gdy około północy Mansfeld znów znalazł się na dyżurze w wieży, zauważył w blasku pożarów i radzieckich rakiet oświetlających, że dół ze zwłokami Hitlera i jego żony był już bardzo dokładnie zasypany.

Dzień 30 kwietnia Martin Bormann skwitował w swym osobistym dzienniku bardzo lakonicznie. Pełny zapis brzmi:

„Adolf Hitler †

Ewa H. †”.

Zaiste, było to chyba najbardziej wstrzemięźliwe ze wszystkich możliwych epitafium!

Leszek Moczulski

* * *

ŚLEDZTWO W SPRAWIE ŚMIERCI HITLERA¹⁹³

Na prośbę p. Marii Niecikiewicz i innych naszych Czytelników publikujemy opracowanie L. Moczulskiego dotyczące śledztwa w sprawie śmierci Hitlera (fragment większej całości pt. „Upadek Trzeciej Rzeszy”). Redakcja.

Już 2 maja 1945 r. teren Kancelarii Rzeszy stał się śledztwa prowadzonego przez oddział kontrwywiadu radzieckiego 79 korpusu pod kierunkiem ppłka Iwana Klimienko. Tego dnia po południu kontrwywiadowcy radzieccy odnaleźli zwłoki Goebbelsa i jego żony, a następnego dnia ich dzieci. Początkowo na trop Hitlera nie udało się trafić, choć z licznych zeznań jeńców wynikało, że popełnił samobójstwo.

4 maja koło południa Klimienko wraz grupą swoich ludzi ponownie badał teren, na którym znaleziono zwłoki Goebbelsa.

„W tym czasie żołnierz Iwan Czurakow wlaźł do sąsiedniego leja, w którym widać było jakieś spalone papiery – relacjonuje Klimienko. Zauważyłem sterczący w leju panzerfaust i krzyknąłem do Czurakowa: – Wyłaź stamtąd, bo wylecisz w powietrze! – Na to Czurakow odpowiedział: Towarzyszu pułkowniku, tu jakieś nogi wystają. – Zaczęliśmy rozkopywać ziemię i wydobyliśmy dwa trupy – mężczyzny i kobiety, oba mocno nadpalone. Ale nawet mi jeszcze na myśl nie przeszło, że mogą to być zwłoki Hitlera i Ewy Braun; przypuszczałem, że zwłoki Hitlera leżą już w gmachu kancelarii

¹⁹³ „Stolica” z 1973 r., nr 26.

Rzeszy i trzeba je tylko zidentyfikować. Dlatego kazałem ciała zawinąć w leżące obok prześcieradła i ponownie zakopać. A w gmachu trwał proces identyfikacji”. Chodziło o inne zwłoki, przejrzano, iż to Hitler. Ostatecznie wykluczono tę możliwość.

Gdy poszukiwania stanęły w martwym punkcie, Klimienko postanowił zainteresować się zwłokami znalezionymi przez Czurakowa. 5 maja rano pułkownik wraz z ekipą dochodzeniową wrócił do kancelarii Rzeszy i odkopał znalezione poprzedniego dnia zwłoki. Z czynności tej sporządzono następujący protokół:

„M. Berlin. Armia czynna. 1945 roku, miesiąca maja, dnia 5. Ja, porucznik gwardii Pansow Aleksiej Aleksandrowicz oraz szeregowcy Czurakow Iwan Dmitrijewicz, Olejnik Jewgienij Stiepanowicz i Sierouch Ilja Jefomowicz odnaleźliśmy i skonfiskowaliśmy w m. Berlinie w rejonie kancelarii Rzeszy Hitlera, w pobliżu miejsca znalezienia trupów Goebbelsa i jego żony, obok osobistego schronu Hitlera, dwa spalone trupy, jeden kobiety, drugi mężczyzny. Trupy były dobrze nadpalone i niemożliwe do rozpoznania bez dodatkowych danych. Trupy znajdowały się w leju od bomby, w odległości 3 metrów Od wejścia do schronu Hitlera, i przysypane były warstwą ziemi. Trupy są w przechowaniu przy oddziale kontrwywiadu Smiersz 79 korpusu piechoty”.

Po wydobyciu zwłok, poczęto nadal kopać w zasypnym leju. Rychło znaleziono tam dwa zakopane psy.

Zwłoki nieznanymi mężczyzny i kobiety, psów oraz znalezione przedmioty zawinięto w prześcieradła, włożono do drewnianych skrzyń i przewieziono najpierw do oddziału kontrwywiadu 3 armii uderzeniowej, gdzie przejął je płk Gorbuszyn. Następnie ciała przetransportowano do niewielkiej willi, znajdującej się gdzieś w dzielnicy Berlina – osiedlu Buch. Dostarczono tutaj również zwłoki Goebbelsa z żoną.

Po przewiezieniu znalezionych w leju zwłok mężczyzny i kobiety do kontrwywiadu 3 armii, ppłk Klimienko przekazał całą sprawę płk. Gorbuszynowi. Od tej pory dalsze śledztwo prowadziła nieliczna ekipa kierowana przez płk. Gorbuszyną, w skład której ponadto wchodził mjr Bystrow i tłumaczka Rżewska.

Główne zadanie w tej fazie śledztwa przypadło lekarzowi. Jeszcze w pierwszych dniach maja, wykonując polecenie przekazane telefonicznie z Moskwy, członek Rady Wojennej I Frontu Białoruskiego, gen. Konstantin Tielegin polecił ppłk. dr. Faustowi Szkarawskiemu przeprowadzenie ekspertyzy sądowo-medycznej znalezionych zwłok przywódców III „W owym czasie nie wiedzieliśmy jeszcze – wspomina Tielegin – czyje zwłoki odnajdziemy. Rozkaz zatem dotyczył wszystkich, których się znajdzie”.

Celem przeprowadzenia sekcji powołana została komisja, na której czele stanął dr Szkarawski. Poza nim w skład jej weszli ppłk. dr Nikołaj Krajewski, naczelny anatomopatolog Armii Radzieckiej, mjr dr Anna Maranc, p.o. naczelnego anatomopatologa Frontu Białoruskiego, mjr dr Bogusławski, rzeczoznawca sądowomedyczny 3 armii uderzeniowej oraz mjr dr Julij Guliewicz, naczelny anatomopatolog 3 armii uderzeniowej. Samą sekcję przeprowadzała dr Maranc. Przy ekspertyzie był obecny w charakterze obserwatora prof. dr Graszchenko.

Sekcji zwłok dokonano jednak dopiero 8 maja, a więc w trzy dni po oddaniu zwłok dr. Szkarawskiemu. W sumie wykonano badania pięciu osób dorosłych, w tym dwóch kobiet, sześciorga dzieci oraz dwóch psów.

Badanie wszystkich zwłok wykazało, że bez wyjątku śmierć nastąpiła wskutek zatrucia związkami cyjanku. Stwierdzono to na podstawie zapachu gorzkich migdałów z płuc i mózgu, jaki zauważono u dzieci Goebbelsów oraz gen. Krebsa; ze zwłok pozostałych zapach ten nie wydzieliał się, ale były one spalone. Lekarze zastosowali tutaj metodę *per analogiam*, zakładając, że śmierć wszystkich poddawanych ekspertyzie osób nastąpiła z podobnych przyczyn i w podobnych okolicznościach, przyjmując, że wszystkie one, bez względu na to, czy udało się rozpoznać zapach gorzkich migdałów, czy też znaleźć resztki ampulki – zginęły wskutek otrucia związkami cyjanku.

Protokół nr 12 sekcji spalonych w poważnej części zwłok mężczyzny wykazał m.in. zniesienie górnej części czaszki. W zasadzie, biorąc uwagę sam opis sądowo-medyczny zwłok, wydawać by się mogło, iż brak czerepu narzuci domniemaną przyczynę zgonu. Komisja oparła się jednak o resztki ampulki znalezione w jamie ustnej, stwierdzając, że *per analogiam* należy uznać, iż śmierć nastąpiła wskutek zatrucia związkami cyjanku. Ponadto dokonane analizy chemiczne wykazały obecność związków cyjanku.

Protokół nr 13, będący wynikiem sekcji kobiety znalezionej w leju, ustalał ponad wszelką wątpliwość, że śmierć nastąpiła w wyniku zatrucia związkami cyjanku.

Dysponując zębami domniemanego Hitlera, należało teraz odszukać dentystów, którzy mogliby je zidentyfikować. W tym celu 9 maja rano szef kontrwywiadu 3 armii uderzeniowej płk Miroszniczenko, Gorbuszyn i Helena Rżewska udali się do kliniki Charité, gdzie ustalili, iż nadwornym dentystą Hitlera był prof. dr Blaschke, którego asystentka dr Kithe Heusemann znajduje się w Berlinie. Rzeczywiście asystentkę udało się odnaleźć: przyznała ona, że uczestniczyła w leczeniu zębów Hitlera. Gorbuszyn zażądał okazania karty choroby Hitlera. Zdenerwowana Heusemann zaczęła przerzucać kartotekę, lecz początkowo karty nie mogła znaleźć.

Wreszcie karta choroby się znalazła. „Zapisy świadczyły, że Führer miał dość zepsute, wielokrotnie leczone zęby – relacjonuje płk Gorbuszyn. – Potrzebowaliśmy jeszcze zdjęć rentgenowskich. Na moje pytanie, gdzie je znaleźć, Käthe Heusemann odpowiedziała, że zapewne są przechowywane w gabinecie prof. Blachkego w gmachu kancelarii Rzeszy”. Ekipa śledcza odnalazła je tam bez większego trudu.

Znamy fragment przesłuchania Käthe Heusemann w dniu 9 maja, który jest dokumentem o zasadniczo wadze dowodowej. Przesłuchiwał płk Gorbuszyn, tłumaczyła Helena Rżewska.

„Pytanie: Czy może pani na podstawie mostków zębowych stwierdzić, że należą one do Hitlera?

Odpowiedź: Tak, niewątpliwie.

Pytanie: Pokazuję pani mostek zębowy górnej szczęki oraz dolną szczękę z zębami. Czy nie wie pani, do kogo należą te zęby?

Odpowiedź: Okazane mi zęby należą do kanclerza Rzeszy Niemieckiej Adolfa Hitlera”.

Dla pewności, Heusemann przesłuchiwali także lekarze.

Oto relacja dr. Szkarawskiego:

„11 maja 1945 roku dostarczono mi do tegoż chirurgicznego szpitala polowego nr 496 w Buch historię choroby Hitlera. Przywieziono także Käthe Heusemann, asystentkę stomatologa Hitlera, profesora Blaschkego. Jako specjalista stomatolog uczestniczyła ona w protezowaniu zębów Hitlera. Pamiętam, jakby to było dziś, jej strach podczas przesłuchania. Ale przesłuchanie było całkiem pokojowe, zwykła lekarska rozmowa. Ja, lekarz radziecki, rozmawiałem z lekarzem niemieckim. W czasie rozmowy, która trwała dwie, trzy godziny. Heusemann szybko otrząsnęła się ze strachu i chętnie jadła nasze cukierki. Dokładnie opisywała specyfikę protezy zębów Hitlera, sama ją narysowała. Po zakończeniu teoretycznej części naszej rozmowy przeszliśmy do praktycznej, to znaczy chciałem sprawdzić prawidłowość jej zeznań na samych protezach schowanych w moim biurku. Wyjąłem je z i pokazałem. Heusemann powtórzyła wszystko jeszcze raz szczegółowo, stwierdzając autorytatywnie, że okazana jej proteza jest rzeczywiście protezą zębów Hitlera. Obraz był absolutnie jasny – dla niej i dla mnie, rzeczoznawcy sądowo-lekarskiego”.

Kontrwywiad radziecki zdobył więc wszystkie możliwe dowody śmierci Hitlera, odnaleziono też i zbadano jego ciało. W rękach radzieckich był podpisany przez Goebbelsa i Bormanna, a zaadresowany do marszałka Stalina list, donoszący o śmierci Hitlera. Rosjanie odnaleźli ciało Hitlera i dzięki zachowanym szczątkom mogli go zidentyfikować. Mieli w niewoli obydwu ludzi, którzy byli bezpośrednimi świadkami śmierci Hitlera, a mianowicie Lingego i Günschego oraz kilku świadków pośrednich, odnaleziono wreszcie świadka pochowania zwłok – Mengershausena.

Po identyfikacji zwłok, ekipa Gorbuszyna przestała się tą sprawą zajmować. Wszystkie odnalezione i poddane badaniom zwłoki zostały spalone, a prochy rozsiane. Zameldował o tym naczelnemu dowództwu 3 czerwca 1945 r. szef kontrwywiadu I Frontu Białoruskiego, gen. Wadis.

Wiadomość ta nie wpłynęła w najmniejszym stopniu na dochodzenie, które jeszcze z początkiem maja zaczęto prowadzić w Moskwie. W ręce radzieckie dostało się sporo osób, które ostatnie dni przed kapitulacją Berlina spędziły w bunkrze. W wyniku żmudnych i długotrwałych badań, które przeciągnęły się na lata (daty poszczególnych przesłuchań sięgają od maja 1945 r. do 1955 r.) nie udało się jednak ostatecznie ustalić, w jaki sposób Hitler popełnił samobójstwo.

Ekspertyza lekarska za przyczynę zgonu uznała zatrucie związkami cyjanu. Skrupulatnie prowadzone śledztwo doszło do przekonania, że przyczyny zgonu mogły być dwie: zatrucie związkami cyjanu albo też strzał w głowę. W oparciu o protokoły badań lekarskich oraz zeznania świadków stwierdzono, że obie te formy: otrucie i strzał miały miejsce. Pytanie sprowadzało się do jednego: co nastąpiło najpierw. Jeśli Hitler

najpierw zażył truciznę, strzelać do zwłok musiał ktoś inny. Jeśli natomiast Hitler strzelał sam do siebie, mało prawdopodobne było, aby ktoś mu następnie podał doustnie truciznę.

Najtrudniejszy punkt długoletniego śledztwa sprowadzał się do odpowiedzi na pytanie: jeśli Hitler nie zastrzelił się, gdyż ekspertyza stwierdziła śmierć wskutek zatrucia, to kto później do niego strzelał, gdyż sam fakt strzału nie budzi wątpliwości?

Podejrzanych o ten czyn początkowo było czterech: Günsche, Linge, Rattenhuber, Baur, a może ktoś jeszcze. W trakcie śledztwa wykluczono jednak podejrzenia w stosunku do wszystkich, poza Günschem i Lingem. Żaden z nich jednak ani nie przyznał się, ani nie wskazał na drugiego.

W sumie więc tajemnica śmierci Hitlera nie została wyjaśniona. Zarówno śmiertelny strzał w głowę, jak zażycie śmiertelnej dawki cyjanku potasu zostało stwierdzone. Nie ma jednak dowodów, które oba te niewątpliwe fakty w sposób bezsporny połączyły w jedną całość.

Cóż pozostało z tego Attylli dwudziestego wieku? Gdzieś w radzieckim archiwum zakurzone pudełko, a w nim zęby, z których zresztą większość okazała się sztuczna.

* * *

WARSZAWSKIE DOŚWIADCZENIA OKUPACYJNE – WZORCEM DLA POLICJI NRF¹⁹⁴

Wielki zachodnioniemiecki tygodnik „Die Zeit”, ukazujący się w Hamburgu, w artykule napisanym przez Seppa Bindera ujawnił treść tajnego memoriału opracowanego przez pewnego wyższego funkcjonariusza policji NRF o niepodanym nazwisku. Memoriał zawiera wskazówki i zasady szkoleniowe dla policji, zmierzające do ustalenia jednolitych metod w wypadku akcji przeciwko „wewnętrznym wicherzycielom”. Autor memoriału służy w policji NRF, lecz jego staż w organach bezpieczeństwa jest znacznie dłuższy. Jak podaje Binder, podczas okupacji oficer ten był komendantem specjalnej szkoły policyjnej szkolącej specjalistów od walk ulicznych, a mieszczącej się w Warszawie na Mokotowie. Memoriał oparty jest o doświadczenia warszawskie autora z lat II wojny światowej. Nie znamy pełnej treści memoriału zawierającego zasady szkolenia zachodnioniemieckich policjantów. Chyba jednak tutaj w Warszawie nie trzeba czytać uważnie takiego memoriału, aby poznać jego treść. Wyrzyła się ona zbyt dobrze w pamięci mieszkańców naszego miasta – tych, którzy owe metody przeżyli.

Wskazany tylko na niektóre, najbardziej podstawowe z jakże licznych zasad działania stosowanych przez niemieckie władze bezpieczeństwa w Warszawie 1939–1945.

1. Strzelanie do podejrzanych na ulicy bez ostrzeżenia. W oparciu o specjalne po-

¹⁹⁴ „Stolica” z 1969 r., nr 4.

stanowienie generalnego gubernatora Hansa Franka niemiecka policja w Warszawie (jak zresztą w całej okupowanej Polsce) otrzymała prawo strzelania i zabicia każdej osoby na ulicy, która funkcjonariuszowi może wydać się z jakichś względów podejrzana. Przed otwarciem ognia policjant nie musiał wezwać ofiary do zatrzymania się i sprawdzenia dokumentów czy też ostrzec ją w jakikolwiek inny sposób. Pojęcie „osoby podejranej” interpretowano możliwie szeroko: w zasadzie podejrzany był każdy, kto z obojętnych względów nie podobał się niemieckiemu policjantowi. Tak więc przykładowo „podejrzanyimi osobami” były staruszki, które 16 lutego 1944 r. klęczały na chodniku ul. Senatorskiej, modląc się na miejscu dokonanej tam wcześniej egzekucji. Policjanci niemieccy otworzyli do nich ogień bez ostrzeżenia z samochodów, zabijając lub ciężko raniąc kilka kobiet.

2. Aresztowanie potencjalnych podejrzanych. Podstawą aresztowania nie musiał być wcale dokonany wcześniej czy choćby zamierzony czyn przeciwko władzom okupacyjnym. Wystarczającym powodem do schwytania i osadzenia w areszcie policyjnym było nawet niczym nie umotywowane przekonanie funkcjonariusza policyjnego, że dana osoba może być kiedyś niebezpieczna. Na podstawie takich dowolnych przekonań sporządzano listy osób, które aresztowano w domach i osadzano w aresztach śledczych bądź kierowano do obozów koncentracyjnych. Wystarczało także przekonanie niemieckiego policjanta, że napotkany na ulicy Polak może być potencjalnie niebezpieczny, aby aresztować go i osadzić w więzieniu policyjnym. Za politycznie podejrzanych, godnych aresztowania uznano też ludzi należących do określonych środowisk, nazywanych przez Niemców „przywódczymi”. Chodziło tu zwłaszcza o inteligencję polską.

3. Morderstwa i znęcanie się nad zatrzymanymi. Dla ułatwienia sobie pracy policja niemiecka przyjęła zasadę, że sam fakt aresztowania kogoś stanowi dostateczny dowód, iż dopuścił się zbrodni zasługujących na najwyższy wymiar kary. W zasadzie nie robiono większej różnicy między osobami zatrzymanymi z konkretnego powodu lub też w ogóle bez powodu. Funkcjonariusze policyjni byli w prawie zamordować każdego zatrzymanego, czy to podczas śledztwa, czy też w więzieniu, nawet jeszcze przed pierwszym przesłuchaniem. Za podstawową metodę śledztwa uznano wyrafinowane tortury fizyczne i moralne.

4. Stosowanie zbiorowej odpowiedzialności. Jedną z podstawowych zasad działania policji niemieckiej było karanie za wymierzony przeciwko Niemcom czyn osób, które ani nie miały, ani nie mogły z nim mieć nic wspólnego. (Tak więc na przykład, gdy w Wawrze dwu kryminalistów zastrzeliło dwu żołnierzy niemieckich, formacja policyjna trzeciego dnia świąt Bożego Narodzenia 1939 schwytała w domach ponad 100 osób i natychmiast rozstrzelała je).

5. Zbiorowe mordy w więzieniach. Ponieważ nieprzerwane tysięczne aresztowania powodowały przepełnienie więzień i brak miejsca, by osadzać ofiary kolejnych akcji policyjnych, część więźniów mordowano. Masowe egzekucje dokonywane były w Pal-

mirach, w lasach sękocińskich i chojnowskich na wyburzonym terenie getta i w innych miejscach. W ten sposób „oczyszczano” więzienia.

6. Egzekucje publiczne i uliczne. Dla sterroryzowania społeczeństwa Warszawy niemieckie władze policyjne dokonywały egzekucji publicznych i ulicznych. Jedną z najbardziej znanych egzekucji publicznych było powieszenie 50 więźniów w 5 punktach peryferyjnych Warszawy przy wylotowych trasach kolejowych w nocy 15 października 1942 r., czy też powieszenie skazańców na balkonie domu *vis a vis* gmachu Sądów na Lesznie. Egzekucje uliczne miały miejsce od października 1943 do lutego 1944. Dokonywane były w różnych punktach miasta. Część ulicy otaczał kordon policyjny, następnie dowożono skazańców i rozstrzeliwano ich, po czym usuwano ciała.

7. Chwywanie i mordowanie zakładników. Początkowo policja niemiecka aresztowała wybrane osoby jako zakładników, potem porywano przypadkowych ludzi z ulicy. Przez megafony bądź też przez specjalne plakaty podawano do wiadomości publicznej nazwiska części zakładników z zapowiedzią ich rozstrzelania. Ogłaszano w ten sam sposób publicznie cześć nazwisk spośród zamordowanych już zakładników.

8. Stosowanie kary śmierci za wszelkie przewinienia. Wyłącznie od uznania władz i sądów policyjnych zależało, czy za dokonane przewinienie zostanie zastosowany najwyższy wymiar kary. Kara śmierci stosowana była powszechnie tak za zbrojną akcję przeciwko władzom okupacyjnym, jak i też za nielegalne przewożenie żywności.

9. Łamanie zbrojnego oporu pod osłoną ludności cywilnej. Forma ta stosowana była podczas Powstania Warszawskiego, chociaż w sporadycznych wypadkach występowała również w trakcie okupacji. Podczas Powstania, aby dotrzeć z możliwie minimalnymi stratami do pozycji polskich, formowano ze schwytanych kobiet kordony ochronne przed czołgami. W ten sposób chroniono się przed ogniem powstańców. Podobna metoda była stosowana wielokrotnie. Także w latach okupacji w niektórych wypadkach funkcjonariusze policji niemieckiej usiłujący zatrzymać broniących się członków ruchu oporu, osłaniali się schwytanymi przypadkowo cywilami, na ogół kobietami, przed ogniem broni palnej.

10. Masowe egzekucje jako formy policyjnego „oczyszczenia terenu”. Metoda ta, która w sposób najbardziej masowy została zastosowana podczas Powstania, była w użyciu również w latach okupacji. Nie będąc w stanie ustalić z braku czasu osób, które w danym rejonie mogłyby być kiedykolwiek niebezpieczne – stosowano masowe mordy wszystkich bez wyjątku mieszkańców, także niemowląt i starców. Metoda ta m.in. została zastosowana 5 i 6 sierpnia 1944 r. na Woli, kiedy to rozstrzelano około 50 tys. ludzi.

Wyliczać metody policji niemieckiej z lat okupacji można by jeszcze długo. Nie wątpimy, że w opracowanym obecnie dla potrzeb zachodnioniemieckiej policji memoriale wskazane powyżej metody (a także wszystkie pozostałe), przedstawione są w sposób obszerny i precyzyjny.

L. M.

KWIATY DLA DOKTORA HAHNA¹⁹⁵

Tak oto dobiegł końca pierwszy z przeprowadzonych w NRF procesów o zbrodnie dokonane na ludności Warszawy: 4 czerwca 1973 r. sąd przysięgłych w Hamburgu skazał Ludwiga Hahna, b. komendanta policji bezpieczeństwa i SS w okręgu warszawskim, szefa Alei Szucha na dwanaście lat więzienia; sędziowie uniewinnili oskarżonego z 9 na 10 stawianych zarzutów, uznali jedynie jego odpowiedzialność za udzielanie pomocy innym przy popełnianiu zbrodni.

Proces Ludwiga Hahna rozpoczął się w maju 1972 r., w dwadzieścia siedem lat po zakończeniu wojny. Przewód sądowy był długi i żmudny. Sąd rozpatrywał szczegółowo każdy z przedstawionych w akcie oskarżenia zarzutów, badał dowody. Czyniono to skrupulatnie, każde ustalenie musiało być nie do zbicia. Badano świadków; badano nie tylko to, co wiedzieli o zbrodniach Hahna, ale dlaczego wiedzieli, dlaczego pamiętali i zapamiętali, dlaczego nie zawiodła ich pamięć. Tłumaczono: rozpatrując wydarzenia, które działy się trzydzieści lat wcześniej, sąd otrzymał wyjątkowo trudne zadanie; jak po trzydziestu latach dociec prawdy, jak uwierzyć świadkom, skoro oni, jako ofiary Hahna, nie mogą składać relacji bezstronnych?

Proces rozpoczął się 27 lat po wojnie, ale Hahn na wniosek Polski w rok po wojnie został wpisany na międzynarodową listę zbrodniarzy wojennych; w pięć lat po wojnie rozpoczęły pracę prokuratury i sądy NRF, w dziesięć lat po wojnie Hahn wyszedł z niezbyt sekretne go ukrycia i ujawnił się pod własnym nazwiskiem, w piętnaście lat po wojnie prokuratura hamburska rozpoczęła śledztwo w jego sprawie. My nie możemy przyjąć do wiadomości stwierdzenia, że sąd hamburski stanął przed trudnym zadaniem, gdyż po trzydziestu latach niełatwo ustalić fakty; to nie my zwlekaliśmy przez te dziesięciolecia, a odpowiedzialność za zwłokę ponoszą ci, którym ćwierć wieku nie starczyło, aby kata Warszawy postawić przed sądem. Próbę usprawiedliwiania czegokolwiek upływem czasu potraktować możemy jedynie jako cyniczny wykręt.

Zarzuty wysunięte pod adresem Hahna przez prokuraturę nie obejmują wszystkich czynów, jakich ten SS-mann i gestapowiec dopuścił się w Warszawie, nawet jeśli pamiętamy, że zbrodnie podczas eksterminacji getta i Powstania Warszawskiego wyłączono do odrębnego śledztwa. Zarzuty te dlatego nie obejmują wszystkich jego czynów, że znaczna część przestępstw wojennych nie jest już w NRF ścigana na mocy ustawy o przedawnieniu. Ustawa ta pozostaje w rażącej sprzeczności z konwencją ONZ o nieprzedawnieniu zbrodni wojennych (Konwencje ONZ w chwili, gdy Republika Federalna ubiega się o członkostwo tej organizacji, powinny chyba coś dla niej znaczyć).

¹⁹⁵ „Stolica” z 1973 r., nr 27.

Ustawa o przedawnieniu jest sprzeczna z obowiązkami, jakie spoczywają na NRF z tytułu bezwarunkowej kapitulacji Niemiec 8 maja 1945 r.

Prokurator nie podtrzymał ostatecznie pierwotnego oskarżenia Hahna o zbrodnie na Pawiaku oraz uliczne egzekucje na ulicach Warszawy. Wprawdzie przedłożono sądowi plakaty z listami zamordowanych osób, podpisane przez Hahna, ale nie okazało się to żadnym dowodem. Hahn oświadczył, że jego podpis znalazł się wbrew jego wiedzy i woli. Rzeczywiście, zbrodniarz z Alei Szucha nie spacerował po warszawskich ulicach i nie czytał wywieszonych tam plakatów. To, że nic nie wiedział, zaręczył własnym słowem. Sąd ma prawo do swobodnej oceny wiarygodności zeznań: dano wiarę słowom oskarżonego, tak jak nie dano jej słowom świadków. Zezwała na to prawo.

Hahn został skazany nie za zbrodnie, a za pomoc w zbrodniach innych. Orzeczono 12 lat więzienia. W praktyce oznacza to, że Hahn ma obowiązek dwa razy na tydzień meldować się na policji, a poza tym może robić, co mu się żywnie podoba. Nikt nie zamierza osadzić Hahna w więzieniu, gdyż byłoby to niehumanitarne wobec 65-letniego człowieka, który, być może, w procesie rewizyjnym zostanie uwolniony od winy i kary.

Proces Hahna jest pierwszym w NRF, w którym zbrodniarz odpowiada za masowe zbrodnie dokonywane na ludności Warszawy. Nie jest to jednak pierwszy proces wytoczony katowi Warszawy. Przed kilku laty przed sądem NRF stanął były generał SS Erich von dem Bach, człowiek odpowiedzialny za zburzenie Warszawy i wymordowanie setek tysięcy jej mieszkańców. Sąd rozpatrywał jednak wyłącznie morderstwo na jednym Niemcu dokonane przez Bacha w czerwcu 1933 roku, podczas tzw. nocy długich noży. Mimo iż czyn ten miał miejsce dziesięć lat wcześniej niż zbrodnie Hahna w Warszawie, prawdę materialną udało się ustalić bez trudu i nikt nie miał zastrzeżeń do obiektywności i pamięci świadków. Von dem Bach został skazany na dożywotnie więzienie – najwyższy w NRF wymiar kary.

Trudno powstrzymać się od wrażenia, że dla sądownictwa NRF istnieją jakieś dwie taryfy przy ocenie winy i kary. Biorą one pod uwagę nie zbrodniarzy, lecz ich ofiary.

Przed rokiem na tych łamach zwracaliśmy uwagę, że nie można rozpatrywać procesu Hahna jedynie w kategoriach jednostkowej winy i kary, w oderwaniu od współczesnego życia; w Niemczech Zachodnich ukuto termin „nieprzezwycięzalna przeszłość”, a przezwycięzenie tej przeszłości wymaga, aby dokonać z nią pełnego rozrachunku. Pisaliśmy, że jest to potrzebne nawet nie nam, ale samym Niemcom. Dziś powtórzyć należy to samo.

Dlatego wyrok w sprawie Ludwiga Hahna z naszego punktu widzenia wybiega poza same kategorie prawno-sądowe. Kata Warszawy osądził sąd złożony z przysięgłych reprezentujących typowe środowiska Hamburga czy też NRF. Sędziowie pochodzili z różnych pokoleń, od współczesnego Hahnowi – do tego, które zakończenie wojny przeżyło jako dzieci.

Nie łudźmy się. Istnieją siły, którym zależy, aby zbrodnie wojenne dokonywane na Polakach – zostały zapomniane. Istnieją siły, które chciałyby, aby najnowsza historia,

WYROK W II PROCESIE HAHNA

która w równej mierze jest historią naszą, jak Europy i świata, poszła w niepamięć. Są tacy, którzy boją się historii. Dlatego, że boją się współczesności – albo też ich współczesne zamiary nie są czyste. Wiemy o tym dobrze.

Proces Hahna, który słuszniej jest nazywać pierwszym procesem o zbrodnię dokonaną na Warszawie, dość lakonicznie i wstydliwie odnotowywany był na łamach prasy NRF. Pamiętamy, że gdy Albert Speer, straszliwy technokrata zbrodni, który kosztem życia i zdrowia milionów niewolników z całej Europy utrzymywał w ruchu hitlerowską maszynę wojenną, opuścił więzienie w Spandau, pewien wybitny działacz polityczny CDU wysłał z tej okazji kwiaty dla jego córki.

Mamy prawo zadać pytanie: który z nich tym razem z okazji tak łagodnego i nie wykonywanego wyroku prześle kwiaty Ludwigowi Hahnowi?

L. M.

* * *

WYROK W II PROCESIE HAHNA¹⁹⁶

Sąd przysięgłych w Hamburgu skazał b. szefa Policji Bezpieczeństwa w Warszawie dr Ludwiga Hahna na najwyższy wymiar kary – dożywotnie więzienie (w RFN nie istnieje kara śmierci) za zbrodnie dokonane na Żydach warszawskich podczas ich wywożenia z getta warszawskiego do obozu zagłady w Treblince, zresztą również podległej Hahnowi. W czasie tej akcji aparat policyjny podległy Hahnowi oraz podporządkowany mu personel obozu w Treblince wymordował co najmniej 200 tysięcy ludzi.

Ostatni wyrok sądu hamburskiego kończy już drugą sprawę, którą prokuratura hamburska wytoczyła b. wszechwładnemu szefowi gestapo w Warszawie. Poprzedni proces, trwający znacznie dłużej i nie pozbawiony dramatycznych momentów, gdy odmawiano wiary świadkom oskarżenia, gdyż „z racji zastosowanych wobec nich represji przez niemieckie władze policyjne – nie mogli zeznawać obiektywnie i bezstronnie” – obejmował całość działalności Hahna w Warszawie z wyłączeniem zbrodni popełnianych na Żydach. Zakończył się on dla zbrodniarza znacznie lepiej, gdyż ostatecznie wyrok opiewał tylko na dwanaście lat więzienia.

Dzielenie oskarżenia przeciwko Hahnowi przez prokuraturę hamburską na dwie odrębne części i rozpatrywanie jego zbrodni w dwu odrębnych procesach, może wydać się trochę dziwne; jak zapewniali przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości RFN, było to konieczne ze względu na ogrom materiału dowodowego, przez wiele (zbyt wiele chyba?) lat gromadzonego przez zachodnioniemieckie organa śledcze. O ile ostatni wyrok, orzekający najwyższy wymiar kary, nie może budzić wątpliwości, o tyle wyrok w poprzednim procesie był bardzo kontrowersyjny. Sąd uznał za udowodnione tylko

¹⁹⁶ „Stolica” z 1975 r., nr 29.

pojedyncze, w istocie drobne czyny zbrodnicze Hahna, dopatrując się jego współodpowiedzialności za niektóre morderstwa dokonane na terenie więzienia na Pawiaku. Główne zbrodnie Hahna, w tym zarządzane przez niego masowe egzekucje uliczne, zbrodnie dokonywane w alei Szucha, akcje eksterminacyjne i straszliwy terror, a także masowe mordy dokonywane przez jego ludzi i na podległym mu terenie podczas Powstania Warszawskiego – sąd hamburski uznał za niedostatecznie udowodnione, a opierając się na słusznej zasadzie, że wszystkie wątpliwości należy interpretować na korzyść oskarżonego – uwolnił go w tym zakresie od winy i kary. Rzecz tylko w tym, że nie ma i nie mogło być wątpliwości co do masowych mordów Hahna i zaprowadzonego przez niego systemu strasznego terroru. Luki dowodowe, polegające na tym, że sąd albo nie dawał całkowitej wiary świadkom, podejrzewając (!) ich stronnictwo, albo domagał się udowadniania oczywistości, posłużyły obronie zbrodniarza za dogodną furtkę, zaś głęboko humanitarną zasadę rozstrzygania wątpliwości na korzyść oskarżonego wykorzystano w sposób formalistyczny.

Formalnie sprawiedliwości stało się zadość: w II procesie kat Warszawy został skazany na dożywotnie więzienie. Rzecz jednak nie polega tylko na tym, aby zbrodniarz za swe czyny poniósł zasłużoną karę. Znacznie ważniejsze jest wskazanie i potępienie czynów, których się dopuścił; to pełne potępienie – a nie kara – mogłoby być dowodem zwycięstwa sprawiedliwości i stanowiło satysfakcję moralną wobec pamięci setek tysięcy ofiar. Niestety, do tego zwycięstwa sprawiedliwości nie doszło, tej satysfakcji moralnej nie udzielono, a być może kiedyś znajdzie się historyk, który na podstawie akt procesu zada pytanie, czy w ogóle w Warszawie były jakieś masowe egzekucje uliczne, skoro ich organizator został z tego zarzutu uniewinniony?

LM

* * *

MORDERCA PIĘĆDZIESIĘCIU TYSIĘCY¹⁹⁷

¹⁹⁷ „Stolica” z 1977 r., nr 16. Tekst jest niepodpisany, ale autorstwo Moczulskiego wynika z jego zeznań na procesie w 1981 roku, a także z wypowiedzi Jerzego Grena na konferencji prasowej KPN w 1980 r. (*Informacja operacyjna*, źródło: „Marek Wałicki”, 26 I 1980 r. BU 01322/2586, SOR „Oszust” [t. IX], k. 2627-2628). Był to ostatni tekst Moczulskiego, jaki ukazał się w tygodniku „Stolica” (z datą 17 IV 1977 r.). Po konferencji prasowej 26 III 1977 r., na której Moczulski ogłosił powstanie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela dostał on trzymiesięczne wypowiedzenie pracy w „Stolicy”. Na procesie Moczulski mówił o tym tekście tak: *W roku 1975, kiedy Edward Gierek ze swoim podobno przyjacielem, kanclerzem Niemieckiej Republiki Federalnej Schmidtem zawierał jakiś układ, który Niemcom miał dać bardzo wysokie profity (a co miał dać PRL-owi to ja nie wiem), to w tej niesprzyjającej sytuacji napisałem artykuł o kacie Powstania Warszawskiego – Reinefahrcie, który jest odpowiedzialny za rzeź 50 tysięcy mieszkańców Woli w ciągu 3 dni. I ten artykuł mnie zdjął cenzura!* (Wyjaśnienia Leszka Moczulskiego na rozprawie 31 VII 1981 r. Akta śledztwa przeciwko L. Moczulskiemu, R. Szeremietiewowi, T. Stańskiemu oraz T. Jandzszakowi, t. XXI (BU 1357/81, s. 126-138). Wcześ-

Warszawski epizod w życiu tego siedemdziesięcioletniego człowieka zajął ledwie dwa miesiące. Punktem kulminacyjnym tych dwu miesięcy były dwa dni. I to wystarczyło, aby Heinz Reinefarth stał się katem Warszawy i zbrodniarzem na skalę nie spotykaną w historii. Ten jeden człowiek winien jest śmierci 50 tysięcy ludzi, wymordowanych bestialsko w czasie krótszym niż 40 godzin.

Można powiedzieć, że Heinz Reinefarth trafił do Warszawy 3 sierpnia 1944 r. przypadkowo; ale można też powiedzieć, że nie był to przypadek. Przypadkowo bowiem na wieść o wybuchu Powstania Warszawskiego, wypełniając i rozwijając wolę Hitlera, szef terroru Trzeciej Rzeszy Heinrich Himmler zlecił zadanie zburzenia Warszawy i wymordowania jej mieszkańców temu, kto był najbliższy. Zaś najbliższy – spośród plejady czołowych führungów SS – był wyższy dowódca SS i policji w tzw. Kraju Warty – właśnie Reinefarth. Przypadek więc sprawił, że to on – najbliższy z będących pod ręką – 3 sierpnia 1944 r. wyjechał z Poznania do Warszawy z zadaniem dokonania zbrodni na mieście.

Ale był to tylko przypadek pozorny. Cała wcześniejsza droga życiowa Reinefartha wiodła go bowiem ku tej zbrodni. Prowincjonalny adwokat z Chocieburza (Cottbus) na Łużycach, w młodości członek nacjonalistycznego i militarystycznego Freikorpsu jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy wstąpił do NSDAP (nr leg. 1 268 933) i do SS (nr leg. 56 634) Hitlerowską karierę zaczął od obrony i pochwały zbrodni: jako partyjny adwokat występował przed sądami w obronie hitlerowskich bojówkarzy dowodząc, że ich krwawe ekscesy nie są przestępstwem, a powodem do dumy. Od 1933 r. gdy Hitler stanął na czele Rzeszy, Reinefarth jako szef oddziału prawnego w dowództwie XII okręgu SS legalizował zbrodnie, szukał dla niej prawnego uzasadnienia. Po siedmiu latach pracy w aparacie SS, już w randze Hauptsturmführera (kapitana) zmobilizowany został do Wehrmachtu w swym wojskowym stopniu sierżanta. Kampanię polską przebył w szeregach 337 pułku i odznaczony został Żelaznym Krzyżem II klasy. Za kampanię francuską otrzymał Żelazny Krzyż I klasy, a po jej zakończeniu, awansowany do rangi podporucznika Wehrmachtu, jako pierwszy SS-man otrzymał Krzyż Rycerski. W 1941 r. przez parę miesięcy walczył na froncie wschodnim, po czym odwołany został przez Himmlera do Berlina, aby objąć kierownictwo wydziału w głównej komendzie policji. Od połowy 1943 r. w randze SS Brigadeführera i generała-majora policji, odbył krótki staż najpierw w okupowanych Czechach, a później w Krakowie. Od stycznia 1944 r. został wyższym dowódcą SS i policji oraz komendantem okręgu

niej Moczulski pisał w „Stolicy” o zbrodniach Reinefartha trzykrotnie: *Exodus* („Stolica” z 1965 r., nr 39), *Kwiaty dla Reinefartha* („Stolica” z 1966 r., nr 50) oraz *Piekło Woli. Czego nie powiedział generał Reinefarth* (Stolica” z 1973 r., nr 31). Z żądaniem ukarania Reinefartha wypowiadali się równoległe liderzy nurtu niepodległościowego i Powstańcy Warszawscy: Kazimierz Pluta-Czachowski (*Zgłaszam protest! „Za i Przeciwnie”*, 1967 r., nr 31) oraz Ludwik Muzyczka, który 26 XII 1973 r. opracował opinię dla Głównej Komisji do Badań Zbrodni Hitlerowskich (FGEZ w Toruniu, Arch. Ludwika Muzyczki, M-100/709 Pom,teczka nr 6).

SS w Kraju Warty. Urodzony w Gnieźnie w rodzinie skierowanej tutaj, aby z Wielkopolski wypłenić polskość, po latach wrócił kontynuować dzieło ojca „Nazwisko SS Gruppenführera Reinefartha kojarzyło się w pamięci każdego Niemca z pełną sukcesów germanizacją Kraju Warty” – napisano słusznie w dzienniku „Ostdeutscher Beobachter” (nr 264 z 1944). Wśród tych sukcesów germanizacyjnych wyliczyć należy zbrodnicze wypędzanie i kierowanie do obozów zagłady Polaków z Wielkopolski, ostateczną likwidację getta łódzkiego, masową eksterminację w obozie w Chełmie nad Nerem, masowe zbrodnie w obozach Żabikowo i Radogoszcz.

30 lipca Reinefarth mianowany zostaje Gruppenführerem SS i generałem porucznikiem policji (odpowiednik generała dywizji), a 2 sierpnia otrzymuje od Himmlera nowe zadanie: udać się do Warszawy, zburzyć miasto i wymordować jego mieszkańców. Nazajutrz wieczorem jest już w sztabie 9 armii gen Nicolausa v. Vormanna pod Warszawą, czwartego sierpnia organizuje z różnych oddziałów, głównie SS i policji, swoją Kampfgruppe (a raczej Mordgruppe), piątego rozpoczyna szturm Woli – a zaraz potem, na opanowanym obszarze, masowe mordy całej bez wyjątku cywilnej ludności.

„Jest ustalone, że 5 i 6 sierpnia 1944 r. zdarzyły się różne rzeczy, o których ja nie wiedziałem – powiedział Heinz Reinefarth w dwadzieścia dziewięć lat później polskiemu pisarzowi, Krzysztofowi Kąkolewskiemu. – Przestępstwa wojenne zostały dokonane, to jest ustalone...”

Przestępstwa wojenne. W ustach Reinefartha słowa te brzmią bardzo łagodnie. Lecz cóż to były za przestępstwa? Przez dwa dni specjalnie odkomenderowane do tego celu oddziały siepaczy spędzały całą bez wyjątku ludność Woli na miejsca masowych straceń i tam mordowały. Świat do dziś przeżywa śmierć tysięcy ofiar Hiroszimy. Zginęły one w ułamku sekundy, w jednym Wielkim Błysku. Ofiarom Reinefartha nic nie zostało oszczędzone. Ludzi powoli, bez zbędnego pośpiechu, prowadzono na miejsca kaźni, później godzinami czekali na śmierć, słuchając salw kierowanych do tysięcy ofiar. Widzieli, jak coraz wyżej wznoszą się sterty zwłok. Mieli czas, aby pojąć, że umierają i jak umierają. Matki najpierw widziały, jak morduje się ich dzieci, trzeba było patrzeć, jak morduje się starych ojców, dziadków... Może straszliwszy od samej śmierci był ten powolny, rytualny niemalże ceremoniał mordu.

Nie wiedział? Jak może twierdzić to Heinz Reinefarth, który przybył przecież do Warszawy z rozkazem Himmlera: zburzyć miasto, wymordować mieszkańców. Który ten rozkaz przekazał siepaczom. A ze swego stanowiska dowodzenia w wozie tramwajowym na ul. Wolskiej, nie opodal wiaduktu, widział doskonale te tłumy wypędzone z okolicznych domów, prowadzone pod konwojem z Sokołowskiej, Płockiej, Działdowskiej na miejsca straceń w fabryce Franaszka, zakładach „Ursus” czy wprost na ulicy... 5 sierpnia wieczorem dowódca Kampfgruppe Reinefarth melduje się telefonicznie w sztabie swego przełożonego, gen. Vormanna. Dyżurny oficer notuje w Dzienniku Działań Bojowych 9 AOK treść rozmowy. Reinefarth mówi: „Straty nieprzyjaciela, wraz z ludnością cywilną, około dziesięciu tysięcy, ale brakuje amunicji i nie można

zglądzić więcej”. Jeśli teraz tłumaczy się, że nie wiedział, to trzeba uzupełnić; nie wiedział dokładnie, ilu mieszkańców Woli na jego rozkaz, za jego wiedzą, na jego oczach zostało zamordowanych. Posługiwał się tylko liczbami przybliżonymi. Jak w napisanym przez siebie artykule, opublikowanym 5 listopada 1944 r. w „Ostdeutscher Beobachter”, gdy oświadczył z dumą: Polacy ponieśli „straty w wysokości 1/4 miliona ludzi”.

Płonne były Reinefarthowe obawy z wieczora 5 sierpnia: amunicji nie zabrakło. Następnego dnia od świtu znów rozpoczęły się masowe egzekucje. 50 tysięcy pocisków, a nawet więcej, gdyż do niektórych ofiar strzelano parokrotnie, zużyto w ciągu tych dwu dni. Mord na cywilnej ludności, który w takiej skali i w tak krótkim czasie nie zdarzył się wcześniej w dziejach świata.

Od popołudnia 3 sierpnia, już pod rozkazami Obergruppenführera SS i generała pułkownika policji Ericha von dem Bacha, aż do kapitulacji Powstania 3 października, każdy dzień swego pobytu w Warszawie znaczył Reinefarth krwawo. Otrzymał za to Liście Dębowe do Krzyża Rycerskiego. Później, po krótkim pobycie w Poznaniu, u boku Himmlera, dowodzi korpusem SS na froncie zachodnim, nad Renem. W styczniu 1945 znów jest w Poznaniu, przygotowuje policyjnie miasto do obrony. Potem obejmuje obronę twierdzy Kostrzyn nad Odrą. Gdy wszystko się wali, ucieka w Alpy i tam dostaje się do niewoli amerykańskiej. Uduje zwykłego żołnierza, ale rozpoznany jako Gruppenführer SS, podejmuje wielką grę uchylania się od odpowiedzialności za Warszawę – grę, którą prowadzi do dzisiaj. Początkowo stara się nie pamiętać warszawskiego epizodu swego żywota. W kwestionariuszu, napisanym 20 sierpnia 1945 dla władz amerykańskich, podobnie jak w życiorysie z 8 września, zataja po prostu fakt swej obecności w Warszawie, stwierdzając jedynie, że w sierpniu–wrześniu 1944 walczył na froncie wschodnim.

Gdy ujawniony został fakt schwywania Reinefartha przez Amerykanów, strona polska dwukrotnie, w lipcu 1946 i we wrześniu 1947 zażądała jego ekstradycji. Odpowiedź była odmowna: Reinefarth potrzebny był władzom amerykańskim w związku z innymi sprawami – na czas nieokreślony. Nie był to zresztą czas długi, skoro kat Woli przekazany został Brytyjczykom, a przez tych następnie zwolniony 24 czerwca 1948 r. Kolejny polski wniosek ekstradycyjny z 10 lutego 1949 został – z datą 24 lipca 1950 – załatwiony odmownie. Trwała zimna wojna, dwa lata minęły od początku pierwszego kryzysu berlińskiego, w Bonn Urząd Błanka przygotowywał remilitaryzację Niemiec Zachodnich...

Sam Reinefarth nie tylko morderca, ale i prawnik, adwokat wyspecjalizowany w procesach karnych, zadbał o oczyszczenie się z winy. W 1949 r. zarzuty przeciwko niemu zbadał niemiecki sąd przysięgłych w Hamburgu-Bergedorfie – i uniewinnił. Następnie w 1950 r. w wyniku procesu we Flensburgu, były Gruppenführer SS został zdenazyfikowany, tj. uwolniony od zarzutu, że uczestniczył w działaniach hitlerowskiego państwa bezprawia.

Nienazista Reinefarth wznawia karierę adwokata i rozpoczyna polityczną. Osiada w dawnym własnym domu we wczasowej miejscowości Westerland na wyspie Sylt, staje się działaczem partii BHE – Bloku Wygnanych z Ojczyzny i Wydziedziczonych. Występuje w szatach wygnańca. Nie bardzo wiadomo skąd. Z Gniezna, gdzie się urodził? Sam je opuścił jeszcze w czasie I wojny światowej. Z Poznania, gdzie pełnił urząd? Przeniosła go stamtąd hitlerowska władza. Z Chocieburza? Sam przecież nie chciał mieszkać na terenie NRD.

Nienazista Reinefarth szybko staje się demokratą i jako taki zostaje wybranym burmistrzem Westerland. Nieco później, we wrześniu 1953 r. zostaje posłem do sejmiku krajowego – Landtagu – prowincji Szlezwik-Holsztyn. Jest już nie tylko demokratą: prasa pisze o nim, jako o „bojowniku antyhitlerowskiego ruchu oporu”, a także „czciwym żołnierzu i wzorze młodzieży niemieckiej”. Sam Reinefarth odrzuca jednak zbyt jednostronny wizerunek „demokraty” i „antyhitlerowskiego bojownika”. Chce łączyć w sobie najlepsze tradycje współczesności i przeszłości i swą demokratyczną oraz pacyfistyczną twarz ozdabia także wawrzynem wojennym. „Mój pułk idzie za mną” – oto tytuł jego wspomnienia, opublikowanego w 1958 r. w zbiorze „Ludzie i ich czyny, opowiadania nosicieli Krzyża Rycerskiego” (wydawnictwo Lehmanns Verlag, Monachium).

Nie wszystkim się jednak podoba, aby ten burmistrz, poseł, mecenas, literat i żołnierz, rzeczywiście stał się „wzorem młodzieży niemieckiej”. Profesor uniwersytetu we Fryburgu, dr Hans Thieme, spotkał był w sierpniu 1944 r. w Warszawie Reinefartha; Thieme, oficer 9 AOK pamiętał jego telefoniczny meldunek o 10 tysiącach rozstrzelanych i kłopotach z brakiem amunicji na dalsze egzekucje. Napisał więc oburzony list do tygodnika „Der Spiegel”. Bomba wybuchła i trzeba było coś z tym zrobić. Prokuratura we Flensburgu rozpoczęła śledztwo przeciwko Reinefarthowi. Władze krajowe udzieliły burmistrzowi 3-miesięcznego urlopu, bo nawet zdaniem Rady Miejskiej Westerland, która interweniowała o przyspieszenie śledztwa, jest to czas wystarczający, aby wyjaśnić i odrzucić zarzuty. Przewodniczący krajowej organizacji BHE minister Hans Adolf Ansbach (poprzednio, w latach wojny, hitlerowski Kreishauptmann w Janowie Lubelskim i Brzeżanach) stwierdził, że oskarżenie jest próbą „niesłychanego oczerniania przeszłości niemieckiej na podstawie odpowiedzialności zbiorowej i anonimowych podejrzeń”.

Śledztwo nie trwało długo i już w październiku 1958 r. zostało umorzone. „Reinefarth starał się w Warszawie zachowywać poprawnie” – uzasadnił decyzję władz śledczych radca ministerialny Dohle. Władze prokuratorskie uzupełniły, że Reinefarth dbał o „wzorowe zachowanie się wobec ludności oraz wziętych do niewoli przeciwników”. No cóż, zależy, co dla kogo może być wzorem. Uwolniony od podejrzeń, demokratą i antyhitlerowcem Reinefarth pospieszył z dalszymi wyjaśnieniami. W wypowiedziach dla prasy wyjaśnił, że nigdy „nie był zawodowo członkiem SS”, że nawet nie był SS-manem, oraz że „ryzykując osobistą wolność i życie zwalczał bezsensowny i zbrodniczy system (hitlerowski) gdzie tylko mógł!”.

Tutaj znów b. Gruppenführer przesadził, gdyż nie wytrzymał tym razem dr G. Schulz z Wolnego Uniwersytetu z Berlinie Zachodnim i na podstawie zachowanych dokumentów dowiódł, że Reinefarth był zawodowym SS-Führerem, a ze zwalczaniem hitleryzmu miał tyle wspólnego, że ścigał osoby podejrzane o opozycję wobec Hitlera. Zarzut ten spotkał się z polemiką ze strony wysoko postawionej osoby: Kai-Uve v. Hassela, wówczas szefa rządu krajowego Szlezwiku-Holsztyna, wkrótce ministra obrony w rządzie federalnym i szefa frakcji CDU w Bundestagu. 16 stycznia 1961 r. powiedział on (co opublikował „Der Spiegel” w nr. 39 z 1961 r.), że „śledztwo nie doprowadziło do uzasadnionego podejrzenia, jakoby podejrzany brał udział, polecał czy tolerował zbrodnie wojenne”, a ponadto „jest faktem dowiedzionym, iż w pierwszych czterech dniach Powstania nie było go w ogóle jeszcze w Warszawie, a 5 sierpnia 1944 r. nie miał on możliwości wpływania na przebieg walki”.

Kai-Uve v. Hassel pospieszył się jednak z tą deklaracją, bo nie zdążyły umilknąć jej echa, gdy w Bundesarchiv-Militärarchiv znalazł się Dziennik Działań Bojowych 9 armii, a w nim notatka z 5 sierpnia o rozmowie telefonicznej w sprawie 10 tysięcy rozstrzelanych. W tej sytuacji nadprokurator Erich Biermann z Flensburga wznowił śledztwo. Na wniosek władz prokuratorskich Landtag uchylił 27 września 1961 r. immunitet poselski swego członka Reinefartha, zaś rząd krajowy znów udzielił mu trzymiesięcznego urlopu z funkcji burmistrza Westerland.

Tym razem śledztwo miało trwać dłużej. Prokuratura we Flensburgu powołała biegłego, dra Hansa v. Krannhalsa, autora książki o Powstaniu Warszawskim, wydanej w 1962 r. Krannhals zapoznał się ze zgromadzonymi aktami, w tym zapewne również z mikrofilmami akt, które jeszcze na przełomie 1960/1961 przedstawiciel polskiej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich przedstawił w Berlinie delegatowi niemieckiej centrali badania zbrodni hitlerowskich oraz dwukrotnie przybywał do Warszawy w 1962 i 1963, gdzie badał akta zgromadzone w Polsce. Z tego co mówił Krannhals, a także, co napisał w swej książce, wina Reinefartha miała być oczywista. Nie dla wszystkich jednak... W sierpniu 1964, gdy śledztwo przedłużało się coraz bardziej, prokuratura we Flensburgu zwróciła się nareszcie oficjalnie do strony polskiej o przekazanie materiałów znajdujących się w Warszawie. Materiały te zostały przekazane; ogółem strona zachodnioniemiecka otrzymała 1 985 fotokopii dokumentów przechowywanych w Warszawie oraz mikrofilmy przesłuchań 360 świadków polskich.

W listopadzie 1966 r. śledztwo zostało zakończone. Uzasadnienie decyzji zawarto na 361 stronach maszynopisu. Sama decyzja brzmiała: nie ma podstaw, aby Reinefartha postawić w stan oskarżenia. Wprawdzie „podejrzenie, że Reinefarth jako dowódca grupy bojowej przy tłumieniu Powstania Warszawskiego był odpowiedzialny lub współodpowiedzialny za sprzeczne z prawem rozstrzeliwanie, nie zostało we wstępnym śledztwie wykluczone” – ale też nie można przyjąć, że był za te mordy odpowiedzialny.

Wniosek prokuratury został zatwierdzony przez Wielką Izbę Karną Sądu Krajowego we Flensburgu. Śledztwo umorzono, uznano, że nie ma potrzeby kontynuowania

go dalej. Choć nie oczyszczony moralnie z zarzutów, choć już nie poseł i nie burmistrz, może nawet nie „wzorzec niemieckiej młodzieży” – Gruppenführer SS Reinefarth został oczyszczony prawnie. Wrócił do swego zawodu: nadal jest obrońcą sądowym.

Myszę o ludziach, którzy przyzwyczaili się, że morderca na emeryturze jest ich sąsiadem o ludziach, którzy udają się do niego po porady prawne, słuchają, gdy kat Warszawy tłumaczy, czym jest prawo i czym jest sprawiedliwość.

* * *

WKŁAD MILITARNY POLSKI¹⁹⁸

W początkowym okresie 2 wojny światowej polska była drugą co do wielkości siłą militarną w obozie sprzymierzonych. We wrześniu 1939 r. na pierwszym miejscu znajdowała się Francja dysponująca 88 dywizjami przeliczeniowymi, 1 370 samolotami – z czego 850 w pierwszej linii – oraz 4,5 mln żołnierzy w szeregach. Polskie siły zbrojne użyły w kampanii 1939 r. 48 dywizji przeliczeniowych, zaś z posiadanych 770 samolotów ponad 400 znajdowało się w pierwszej linii; ogólna liczebność Wojska Polskiego wyniosła ok. 1,8 mln ludzi.

W końcowym okresie wojny siły polskie znajdowały się na czwartym miejscu wśród wszystkich ponad 20 armii sprzymierzonych. Na europejskich teatrach działań wojennych najpotężniejsze siły wystawił Związek Radziecki: ok. 400 dywizji przeliczeniowych, 8 500 samolotów, 12 mln żołnierzy. Na drugim miejscu znalazły się USA, które skierowały do Europy 66 dywizji, 9 tys. samolotów, 3,7 mln żołnierzy. Wielka Brytania, posiadająca w ostatnim okresie wojny na europejskich frontach 19 dywizji i 6 000 samolotów, zaangażowała 3 mln żołnierzy. Polskie siły zbrojne na frontach wschodnim, zachodnim i włoskim walczyły 17 dywizjami przeliczeniowymi (z czego 13 dywizji przeliczeniowych wypadło na ludowe Wojsko Polskie), 625 samolotami i 0,5 mln żołnierzami w szeregach. Francja zajmowała 5 miejsce, posiadając na froncie 10 dywizji i dysponując 550 samolotami i 0,4 mln żołnierzami. Inne armie sprzymierzone były odpowiednio słabsze.

(Lm)

* * *

POLSKI WKŁAD W ZWYCIĘSTWO¹⁹⁹

Druga wojna światowa z Niemcami trwała 2 078 dni i spośród wszystkich państw antyhitlerowskiej koalicji tylko Polska walczyła równie długo. Wielka Brytania i Francja

¹⁹⁸ „Stolica” z 1970 r., nr 19.

¹⁹⁹ „Stolica” z 1976 r., nr 19.

brały udział w wojnie przez 2 075 dni, Australia, Nowa Zelandia i Kanada przez 2 074 dni. Związek Południowej Afryki – 2 033 dni, Norwegia i Dania – 1 857 dni, Belgia i Holandia – 1 826 dni, Grecja 1 655, Jugosławia – 1 495 dni, Związek Radziecki – 1 418 dni oraz Stany Zjednoczone 1 250 dni. Poza tymi 15 krajami biorącymi udział w wojnie z Niemcami, pozostałe 34 państwa walczyły znacznie krócej.

Spółród wszystkich 49 państw, które znalazły się w stanie wojny z Niemcami, tylko 20 wzięło w niej bezpośredni czynny udział – angażując swe wojska na froncie. Biorąc pod uwagę maksymalny jednorazowy stan liczebny armii zaangażowanych w walkach z Niemcami, na plan pierwszy wysuwa się Związek Radziecki z liczbą 8 mln żołnierzy uczestniczących w bojach. Na drugim miejscu uplasowały się Stany Zjednoczone z liczbą 3 500 000 żołnierzy. Oba te państwa stan ten osiągnęły w kwietniu 1945 r. Na 3 miejscu znalazła się Francja z 3 050 000 żołnierzy (stan z maja 1940 r.). Na 4 i 5 miejscu, z maksymalnym stanem 1 700 000 żołnierzy znalazły się Polska (we wrześniu 1939 r.) i Wielka Brytania (w kwietniu 1945 r.), 6 miejsce przypadło Kanadzie, która zaangażowała 550 000 żołnierzy. Pozostałe kraje nie osiągnęły liczebności wojsk na froncie przekraczającej pół miliona ludzi.

Działania wojenne objęły obszar 23 krajów Europy i północnej Afryki. Polskie formacje regularne, partyzanckie i dywersyjne toczyły walki na terytorium 19-tu z tych państw, przy czym oddziały regularne uczestniczyły w obronie bądź w wyzwaniu 12 państw. W ruchu oporu Polacy działali w 16-tu państwach (na 17 objętych w ogóle ruchem oporu).

Całą II wojnę światową podzielić można na 9 podstawowych makrokampanii. W 8 z nich udział brały oddziały polskie; nie uczestniczyliśmy tylko w kampanii bałkańskiej 1941 r.

Pod względem uczestnictwa Polaków w walkach na terenie różnych krajów i w różnych kampaniach udział nasz jest wyjątkowo znaczny. Armia Radziecka uczestniczyła w walkach na terenie 12-tu krajów. Na obszarze 10 krajów walczyli Brytyjczycy i Francuzi, a Amerykanie – w 7 krajach. Oddziały brytyjskie brały udział w 6 makrokampaniach, francuskie w 5 makrokampaniach, amerykańskie w 3 makrokampaniach.

Udział Polski w wojnie zmieniał się w czasie, równoległe do zmian w ilości posiadanych wojsk. We wrześniu 1939 r. ze strony polskiej walczyło 1 700 000 ludzi. Polska była wówczas drugim co do siły militarnej partnerem sojuszu, po Francji, a przed Wielką Brytanią. W czerwcu 1940 r. liczebność regularnych i konspiracyjnych sił polskich wynosiła 140 000, co stawiało ją na 3 miejscu w koalicji. W czerwcu 1941 r. liczebność ta zmalała do 130 tys., ale po Wielkiej Brytanii Polska była najsilniejszym z walczących przeciwników Niemiec. W październiku 1943 r. oddziały polskie na froncie wschodnim, na zachodzie oraz podziemne formacje w kraju liczyły ok. 550 tys. ludzi; plasowało nas to na 4 miejscu po ZSRR, USA i Wielkiej Brytanii. Latem 1944 r. w kraju i na obczyźnie walczyło 850 tys. żołnierzy polskich.

W końcowym okresie wojny polskie formacje toczone boje na frontach wschodnim, zachodnim i włoskim znajdowały się pod względem siły na 4 miejscu po Wielkiej Brytanii a przed Francją. W samych działaniach na terenie Niemiec oddziały polskie były liczniejsze od zaangażowanych sił brytyjskich. Więcej od nas wojsk zaangażowały jedynie Związek Radziecki i Stany Zjednoczone. Wreszcie tylko Polacy – obok oddziałów radzieckich – brali udział w zdobyciu Berlina.

Działania wojsk polskich wywarły poważny, a w pewnych momentach decydujący wpływ na przebieg i ostateczne wyniki II wojny światowej. Stawiając samotnie opór Niemcom we wrześniu 1939 r., zadaliśmy straty Wehrmachtowi tak wielkie, że wedle ustaleń amerykańskiego historyka Kennedy’ego bez uprzedniej rekonstrukcji sił zbrojnych uniemożliwiali one Niemcom rozpoczęcie nowej kampanii wojennej. Dało to czas Wielkiej Brytanii i Francji na całkowitą mobilizację potencjału wojennego. Wprawdzie Francja nie zdołała się obronie, ale Wielka Brytania mogła dzięki temu powstrzymać latem i jesienią 1940 r. uderzenie niemieckie. W tym sensie działania polskie decydująco wpłynęły na uniemożliwienie wygrania II wojny światowej przez Niemcy w 1940 r. Jak wiadomo, Hitler nie mógł przeprowadzić inwazji Wysp Brytyjskich, ponieważ przegrał bitwę powietrzną o Wielką Brytanię. W bitwie tej czynny udział wzięli Polacy, zestrzeliliując 203 spośród 1 733 zniszczonych niemieckich samolotów. Sedno sprawy polega jednak na czymś innym. W całym okresie od początku wojny do zakończenia bitwy o Wielką Brytanię Niemcy stracili ok. 3 800 samolotów. Niespełna 1 700 z nich zniszczyli Brytyjczycy, ok. 1 500 Polacy (z czego ok. 1 200 we wrześniu 1939 r. i ok. 70 we Francji w 1940 r.) oraz ok. 600 Francuzi, zaś resztę Belgowie, Holendrzy i Norwegowie. Świadczy to najlepiej, że wyczerpanie sił niemieckiego lotnictwa uderzeniowego w niemal równym stopniu spowodowane zostało przez Polaków i Brytyjczyków, co w konsekwencji uniemożliwiło Niemcom szybkie wygranie wojny.

Walcząc na zachodzie Europy, oddziały polskie odegrały kluczową rolę w kampanii norweskiej, uczestniczyły w obronie Francji, w walkach w północnej Afryce. Podczas kampanii włoskiej, zdobywając Monte Cassino, Polacy otwarli bramy do Rzymu, który mógł być zajęty już bez walk. Podczas wyzwolenia Francji, zamykając kocioł niemiecki pod Falaise, polska dywizja pancerna zadecydowała o zniszczeniu głównych sił niemieckich. Polska brygada spadochronowa uczestniczyła w wielkiej operacji desantowej pod Arnhem, ratując od całkowitej klęski oddziały brytyjskie.

Szczególną rolę odegrała walka w okupowanym kraju. Zmusiła ona Niemców do utrzymywania w Polsce bardzo poważnych sił, które na przełomie 1943–1944 wyniosły milion żołnierzy i ok. 150 tys. policji i SS, a więc dwukrotnie więcej, niż utrzymywano na froncie włoskim. Oblicza się, że wskutek działań dywersyjnych i partyzanckich zmniejszyła się o 30 proc., ilość transportów z wojskiem i zaopatrzeniem na front wschodni. Ruch oporu w Polsce rozszyfrował niemieckie nowe bronie VI i V2. Latem 1944 r. w wojnie partyzanckiej na ziemiach polskich brało udział ponad pół miliona

ludzi – a więc więcej, niż skierowało do walki jakiekolwiek państwo koalicji, poza czterema wielkimi mocarstwami.

Ważną rolę odegrały oddziały polskie na froncie wschodnim. Począwszy od bitwy pod Lenino, ludowe Wojsko Polskie toczyło boje na głównym kierunku strategicznym. Oddziały polskie uczestniczyły w forsowaniu Turii, Bugu i Wisły, obronie Przyczółka Magnuszewskiego i wyzwoleniu Pragi. W 1945 r. 1 armia Wojska Polskiego wyzwoliła Warszawę, sforsowała Wał Pomorski i zdobyła Kołobrzeg. W operacji berlińskiej wzięły udział dwie armie polskie, które m.in. zatrzymały i rozgromiły siły odsieczy spieszące na pomoc Berlinowi. Polacy wzięli wreszcie udział w szturmie Berlina oraz wyzwoleniu północnej części Czechosłowacji.

Oceniając ogólnie wkład Polski w całą II wojnę światową, jakkolwiek zdecydowanie ustępował wkładowi Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych a zbliżony był do wkładu Wielkiej Brytanii, to przewyższał wkład Francji i pozostałych krajów koalicji. Tocząc nieprzerwane walki, Polacy nie załamali się wskutek żadnej z klęsk, 7-krotnie w przeciągu 6 lat formując siły zbrojne od nowa.

Skalą naszego wysiłku są też poniesione ofiary. Cena, którą zapłaciliśmy za zwycięstwo, wyniosła 6 milionów ludzi, z czego ok. 650 tys. zginęło wskutek bezpośrednich działań wojennych, zaś 5 400 000 stanowiło wynik terroru okupanta. Z każdego 1 000 Polaków straciło życie 222. Są to ofiary nieporównywalne ze stratami poniesionymi przez którekolwiek z walczących społeczeństw.

W ogólnym polskim wkładzie w II wojnę światową nie miały być udział Warszawy. Stolica Polski była jedynym wielkim miastem, które w latach II wojny światowej 4-krotnie stanowiło pole bitwy: we wrześniu 1939 r., podczas Powstania w Getcie, Powstania Warszawskiego oraz walk na linii Wisły i o wyzwolenie Warszawy. Łącznie te cztery okresy otwartej bitwy objęły 208 dni. Pod względem długości walk Warszawa ustępuje tylko Leningradowi, który był obleżony przez 859 dni, zaś wyprzedza Stalingrad, o który boje trwały 164 dni. Dla porównania warto podać, że w latach 1940 oraz 1944–1945 walki na terenie Francji i Belgii wyniosły łącznie 192 dni. Niezależnie od tych czterech okresów, gdy Warszawa była regularnym polem bitwy, przez 670 dni trwały w niej systematyczne działania dywersyjne, a przez dalsze ok. 1000 dni sporadyczne działania dywersyjne i akcje małego sabotażu. Ilość Niemców, która zginęła w walkach o Warszawę jest blisko 3-krotnie wyższa od strat wroga podczas dwu kampanii toczonych na terenie Belgii, a także wyższa od strat, jakie poniósł Wehrmacht, aby w 1940 r. pokonać Francję.

Leszek Moczulski

* * *

POCHŁONIĘCI PRZEZ HISTORIĘ²⁰⁰

Napisał ktoś ostatnio, że okupacyjny dylemat Kolumbów i Antykolumbów, wybór między walką a biernością był pozorny, gdyż wszyscy działali w przymusowej sytuacji, musieli chcą czy nie stawać się Kolumbami. Przepraszam, ale to nieprawda. Nie istniała imperatywna konieczność, wymagająca od wszystkich walki – a wielu wybrało bierność, w każdym razie bierność społeczną i narodową. Wszyscy stawali przed koniecznością wyboru, lecz decyzje były różne.

Myszę teraz o chwili wyboru człowieka, który był wielką nadzieją naszej literatury. Wacław Bojarski pisał wiersze, świadczące o wielkim talencie. Chciał walczyć, z bronią w rękę. Dokonał wyboru. Nie miał jeszcze karabinu, starał się czynić to, co mógł. Właśnie trzydzieści lat temu, w maju 1943 r. złożył bukiet kwiatów przed pomnikiem Kopernika. Raniony w pobliżu tego pomnika, przez zaalarmowanego policjanta, zmarł 5 czerwca. Wstrząśnięty tą śmiercią, pisał jego przyjaciel, Andrzej Trzebiński: „Osiągnąłeś śmierć wcześniej, przede mną. Może ja osiągnę ją inaczej, w polu z bronią w rękę?”. 12 listopada 1943 Trzebiński zginął w ulicznej egzekucji na Nowym Świecie. Inni z tego samego kręgu: Gajcy, Rogalski, Stroński, Baczyński zginęli w tymże roku, lub następnym. Wszyscy dokonali wyboru, wszyscy chcieli walczyć – choć mogliby tylko pisać wiersze czy powieści, ratować własną egzystencję, kryć się, aby przeżyć. Był to wybór świadomy. Zawsze, w każdej sytuacji, każdy stał przed koniecznością wyboru; zawsze, nie tylko w latach wojny. Może dokonać wyboru egoistycznego – za to nikogo nie trzeba potępiać. Może jednak wybrać cel wyższy niż własna egzystencja – i za to przechowujemy go w pamięci.

Pisał w swoim dzienniku Andrzej Trzebiński: „Pochłonie nas historia. Młodych, dwudziestoletnich chłopców. Nie będziemy Mochackimi, Mickiewiczami, Norwidami swojej epoki. Mogliśmy być Rimbaudami. Ale odrzuciliśmy to, bo zśliśmy gdzie indziej. Rozumieliśmy siebie dobrze, bardzo dobrze. Myślałeś o sobie (to o Bojarskim – L. M.) jak o postaci historycznej. Ja także. Nie byliśmy specjalnie do historii upozowani, nie, przecież nasz gest miał powstać naturalnie, prosto, jak cień naszego działania... Kim jestem? – czy stać mnie na to, aby odejść, aby stać się samemu natchnieniem rewolucji?”.

Pochłaniała ich historia. Rok czterdziesty trzeci był najciemniejszym, najtrudniejszym, najgorszym rokiem okupacji. Krew płynęła ulicami. Wiosną i jesienią, w gazetach i przez megafony Niemcy ogłaszali długie listy nazwisk pomordowanych. Mnożyły się egzekucje. Płonęły lasy i płonęły róże. Ginęli ludzie przeciętni, przypadkowi nawet, ginęli ci, którzy byli nadzieją przyszłości, najwybitniejsi, najbardziej wyróżniający się, obdarzeni najwyższymi walorami.

²⁰⁰ „Stolica” z 1973 r., nr 22. Bardzo ważny tekst, pisany wprost. Należy go interpretować, podobnie jak kilka innych opublikowanych w 1973 r. w kontekście wystąpienia Moczulskiego w Poznaniu w mieszkaniu matki Restytuta Staniewicza 11 XI 1973 r. – *Obowiązek naszego pokolenia*.

Znamy nasz polski bilans minionej wojny. Z każdego tysiąca ludzi zginęło 222. Straszliwy wskaźnik. Lecz jeśli wyodrębnimy najlepszych, najaktywniejszych, rokujących największe nadzieje, najbardziej potrzebnych w przyszłości, wskaźnik ten jest jeszcze straszliwszy. Bardzo wysoka cena.

Każda wojna wymaga ofiar. Każda ofiara jednak boli. Czy mogło jednak cokolwiek wypełnić wyrwy, stworzone przez śmierć Krzysztofa Baczyńskiego i Andrzeja Morro, Andrzeja Trzebińskiego i Alka Dawidowskiego, Tadeusza Zawadzkiego i Wacława Bojarskiego, śmierć tych, którzy byli najcenniejsi?

Trzebiński pisał w 1943 r., wkrótce przed śmiercią: „Istnieją niebezpieczeństwa. Czy pokolenie wojenne zdąży się tak wyhartować etycznie, czy zdobędzie tak mocne przekonanie o swojej misji historycznej, że przetrwa zwycięsko arcytrudny psychologicznie i społecznie okres pierwszych powojennych lat?”.

Pisaliśmy już wielokrotnie na tych łamach, że przelana krew nie poszła na marne. Ofiary, poniesione w imię największej sprawy, tworzą najcenniejszy kapitał społeczny. Rodzą arsenał wartości moralnych dla użytku przyszłych pokoleń, są najcenniejszym dziedzictwem. Determinują późniejszy czas, późniejsze postawy ludzkie i społeczne. Nakładają obowiązek na następców.

Trzeba jednak inaczej jeszcze spojrzeć na tę sprawę. Z miliona trzystu tysięcy mieszkańców Warszawy – zginęło 800 tysięcy. Ponad 6 milionów Polaków nie przeżyło wojny, poległo zostało zamordowanych. Gdy nadszedł pokój, w roku 1946 można było się doliczyć mniej niż 24 miliony Polaków. Taki był koszt, który zapłaciliśmy, aby uratować biologiczne istnienie narodu.

Wyszliśmy z wojny ubożsi o te sześć milionów, z wybitą prawie w połowie w poważnym stopniu młodzieżą. Te straty w substancji narodowej były większe i ważniejsze od strat w substancji materialnej. Zburzone domy łatwiej można odbudowywać, niż uzupełniać wyrwy w społeczności.

Teraz – to jest już przeszłość. Odbudowaliśmy Polskę, odbudowaliśmy naród. Dziś jest nas dziesięć milionów więcej, niż tuż po wojnie, sześć milionów więcej Polaków niż przed wojną. Młode pokolenie wolne jest od ujemnych psychospołecznych obciążeń wojny i lat terroru. Dzięki temu właśnie, wypełniając wyrwy poniesione w przeszłości, rozwijając się – odzyskujemy dawną społeczną moc.

Cofamy się do roku czterdziestego trzeciego, ale przecież nie robimy tego, aby tylko wspominać przeszłość. Za to, że w czterechsetną rocznicę śmierci Kopernika złożył na jego pomniku kwiaty, Bojarski został śmiertelnie postrzelony. Gdy jego przyjaciel Trzebiński zginął na Nowym Świecie, inne ręce rzuciły kwiaty pod mur. Pochłonięci przez historię – cóż to oznacza? Unicestwieni, zamknięci w historii, w przeszłości – na zawsze? Otóż, nie! Pochłonięci przez historię ożywają w nas samych, ożywać tak będą zawsze. Pochłonięci przez historię – to oznacza żyjący w następnych pokoleniach.

L. M.

WRZEŚNIOWE OBRACHUNKI²⁰¹

Jest taki gorzki wiersz Słowackiego: „Szli, krzycząc Polska, Polska...”. Odmieniać można to słowo na liczne sposoby, różne nadając mu znaczenia. Ale i zadawać za Słowackim tym głośno krzyczącym pytanie: jaka? Jaka Polska, jaka ojczyzna, jaka niepodległość? I przez co?

Jest to pytanie, które zadajemy sobie od dwustu przeszło lat. Do dziś nie straciło swojej aktualności. Sięga samego dna naszych narodowych i państwowych problemów. Wielokrotnie w historii dawane były odpowiedzi; gdy okazywały się błędne, płaciliśmy najwyższą cenę. Odpowiedzi potrzebne są i dzisiaj; one przecież określają nasze miejsce, kierunki naszej przyszłości. Nawet jeśli szukamy wyjaśnień faktów, które nastąpiły kiedyś, jeśli zastanawiamy się nad przyczynami upadku Rzeczypospolitej w wieku XVIII i jej odrodzenia w stuleciu obecnym – nie są to dyskursy historiograficzne, gdyż tętnią żywą krwią, mają znaczenie dla naszego dzisiejszego samookreślenia.

Wiek już blisko dzieli nas od wielkiego sporu szkoły krakowskiej i szkoły warszawskiej. Pierwsza, przyczyn upadku Rzeczypospolitej upatrywała wyłącznie w czynnikach wewnętrznych; Polska, zdaniem jej prominentów, okazała się niezdolna do samodzielnego bytu; szkoła warszawska zaprzeczała, udowadniając, iż Polacy sami zdolni byli rozwiązać swe wewnętrzne kwestie, że po prawdzie już tego dokonali – gdy parcie zewnętrzne ościennych potencji, ich przemoc militarna zdławiła, rozszarpała Rzeczpospolitą wcześniej nim ta zdołała utwierdzić swą wewnętrzną siłę. Ten sam w istocie spór, choć na innym poziomie, ożył już za naszych czasów, gdy szukaliśmy odpowiedzi na pytanie o źródła Września 1939 r. W ferworze polemik wielki spór sprowadzany był często do kwestii jednostkowej odpowiedzialności i poszukiwania winnych.

Oczywiście Polska roku 1939 była osamotniona, pozbawiona w istocie rzeczy sojuszów, które wsparłyby wolę społeczeństwa przeciwstawienia się najeźdźcy. Siły i hartu nie brakło narodowi polskiemu, udowodniły to lata okupacji, późno jednak zawarty alians z Anglią, papierowy sojusz z Francją, nie uchroniły Polski od porażki z silniejszym wrogiem.

²⁰¹ „Stolica” z 1972 r., nr 36. M.zd. jest to jeden z najważniejszych tekstów Moczulskiego, może nawet mocniejszy od referatu wygłoszonego w Poznaniu, w mieszkaniu matki Restytuta Staniewicza 11 XI 1973 r. Jak to możliwe, że cenzura go puściła? Jedną z przyczyn była zapewne liberalizacja cenzury na początku rządów Gierka (jej dowodem jest także puszczenie przez cenzurę książki Moczulskiego „Wojna Polska 1939” w tymże samym, 1972 roku). Drugą przyczyną są także pewne „wstawki”, umieszczone przez Moczulskiego w środkowej części tekstu (wzmianka o Marksie, czy też pozytywny stosunek do „konceptji Polski Ludowej”). Oczywiście, gdy te wstawki wyrwać z kontekstu, mogłyby one służyć do kompromitacji autora. Jeżeli jednak oceniać je na tle całego artykułu, to tracą one na znaczeniu, w świetle jednoznacznego przesłania całości.

Mniej emocji wywoływały dyskusje na temat głównego źródła odzyskania niepodległości, a raczej odzyskiwania – gdyż doszło do tego dwukrotnie na przestrzeni jednego ćwierćwiecza. A także charakteru tych niepodległości. I tutaj szukano odpowiedzi na to samo, wyżej postawione pytanie.

Czy były to spory o historię? Skądże! Były i są to spory o jutro. O polską perspektywę. O swoistą hierarchię ważności. O istotę naszej niepodległej państwowości, wreszcie o czynniki, które determinują nasz wspólny los.

Jeśli przypominamy to właśnie dzisiaj, czynimy tak nie bez powodu. Polska Ludowa ma dwadzieścia osiem lat, lecz nie wolno na nią patrzeć z tej krótkiej perspektywy. Rzeczpospolitą naszego czasu należy widzieć na tle znacznie obszerniejszej epoki, wybiegającej głęboko w przeszłość, lecz także daleko w przyszłość.

Niepodległość. Bywały różne niepodległości. Cóż jednak oznacza ten termin? Można w nim widzieć pojęcie oderwane. Nawet zwykły slogan. Widzimy w niepodległości dobro nadrzędne. Jest to możliwość czynienia tego, co służy naszemu wspólnemu interesowi, możliwość układania własnej przyszłości, wytyczania prawidłowego rozwoju. A więc punkt startu? Bez wątpienia, niepodległość jest tym punktem, od którego dopiero rozpoczyna się normalny narodowy byt, twórczy i nieskrępowany. Ale zarazem niepodległość jest czymś więcej: gwarantem, że byt ten nie zostanie zagrożony, procesy rozwojowe nie będą zakłócone czy też ograniczane, że społeczeństwo działać będzie w swoim – nie obcym – interesie. W tym sensie pytanie o niepodległość jest dla nas zawsze aktualne – również i dziś. Na niepodległość nie można się tylko wybić, trzeba wybijać się na nią bezustannie. Stanowi ona bowiem podstawę naszego losu – jeśli los ten ma być naprawdę nasz.

Stąd nieporównywalna waga kwestii: co doprowadziło do upadku Rzeczpospolitą, co było przyczyną jej odrodzenia się? A więc: jakie są czynniki, pchające nas w dół, jakie – wynoszące do góry?

Wiele odpowiedzi padło na to pytanie. Chcemy tutaj przywołać na pamięć jedną. Sto siedemdziesiąt dwa lata temu, w czerwcu 1800 roku spod prasy drukarni Baudouina w Paryżu, na poły nielegalnie, wyszła skromna broszurka. Jej tytuł pierwotny brzmiał: „Czy się mogą Polacy sami wybić na niepodległość?” – skrócono go jednak do pytania: „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość?”. Przez sto lat autor pozostawał anonimowy, nim wreszcie w 1905 r. Wacław Tokarz ustalił: był nim Józef Pawlikowski. Dziś znamy tę postać dobrze, liczni historycy, od Askenazego, Limanowskiego i Smoleńskiego poczynawszy, a na Rostworowskim, Haliczu i Leśnodorskim kończąc, przybliżyli Pawlikowskiego współczesnym Polakom. Wprawdzie okazuje się, nie wszystkim, skoro jeszcze ostatnio autorstwo jego dziełka „Czy Polacy...” przypisał ktoś – Józefowi Wybickiemu! Pawlikowski, polski jakobin, współorganizator Insurekcji 1794 r., bliski współpracownik Kościuszki, wybitny działacz okresu Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, zajmuje poczesne miejsce w galerii rewolucjonistów polskich. Wszechwładny ambasador carcy Katarzyny. Igelström nazwał go „jednym z piekiel-

ných adwokatów warszawskich” i polecił uwięzić; werdykt ten wykonano z trzydziestodwuletnim opóźnieniem. Na rozkaz zaborców w 1826 r. zamknęły się za nim bramy karmelitów. Zmarł w więzieniu.

Na przełomie stuleci Pawlikowski był sekretarzem i najbliższym współpracownikiem przebywającego wówczas w Paryżu Tadeusza Kościuszki. Z bezpośredniej inspiracji Naczelnika napisał „Czy Polacy...”. Rozróżnić nie sposób, które z myśli tej książeczki są Kościuszki, które Pawlikowskiego, które wspólne ich obu. Jedno nie budzi wątpliwości: generalna myśl tej pracy była również podstawowym przekonaniem Kościuszki. Choć nie on był autorem tekstu, traktat ten stanowił w istocie testament polityczny Naczelnika. Wydany w sześć lat po Insurekcji, w pięć po trzecim rozbiorze, u samego progu epoki zaborów – stał się wielkim drogowskazem na przyszłość, niestety niedocenionym, nie w pełni zrozumianym.

„Czy Polacy...” było broszurą polityczną, bezpośrednio związaną z aktualnymi wydarzeniami. Tę książeczkę pisał nie tylko Pawlikowski wspólnie z Kościuszką, pisała ją także gorycz ludzi Insurekcji, którzy mieli prawo liczyć na pomoc rewolucyjnej Francji, lecz nie otrzymali jej; pisała gorycz Legionów Polskich, którym rewolucyjna Francja pozwoliła walczyć o wolność innych, zabroniła zaś walczyć o wolność własną; pisała gorycz jakobinów polskich, którzy z rozpaczą obserwowali zmierzch rewolucji francuskiej i jej przyjazne traktaty z zaborcami, królem pruskim i carem. Pisała wreszcie gorycz ludzi, którzy lepiej niż inni poznali wady i słabości własnego narodu.

Te warunki czasu narzuciły książce treść i układ. Rozpoczyna ją rozdział zatytułowany: „Wady Polaków, które im przeszkadzają do niepodległości politycznej”, którego pierwsze zdania brzmią, jak następuje:

„Naród żądający niepodległości potrzeba koniecznie, aby ufał w swoje siły. Jeżeli nie ma tego czucia, jeżeli do utrzymania bytu swego nie idzie przez własne usiłowanie (...), nie dojdzie ani szczęścia, ani cnoty, ani sławy. (...) Opinia nikczemnego mniemania o sobie zaczęła się u nas wtedy, kiedy szlachcic polski nie szukał dobra kraju, ale wsparcia pychy możnowładnych familii (...). Dlatego szlachcic polski, a osobliwie p a n w sprawie publicznej nie przyzwyczajał się robić ofiar Ojczyźnie, ale nabyć w zamieszkach więcej bogactw. Było interesem magnatów, wmawiać nikczemność i niechęć do Narodu (...), bo oni u podnóżka tronów frymarcząc krwią jego, panoszyli się za dobrą sprzedaż. Było interesem magnatów osłabiać duch współziomków, uniażać ich przymioty, aby nie uczuli swej mocy i nie zrzucili haniebnej opieki, gdyż przez to zginąłby cały ich wpływ i powaga. Naród zatrudniający się sam sobą bez bojaźni względem kogokolwiek, nie unoszony żadnymi względami, szuka przez mądre ustawy, jak zagruntować w obywatelach cnotę, zatwierdzić ich szczęście, aby moc ogólna tym stalszą miała twierdzą; prawo tam wszystkich jednakowo wstrzymuje pasje, dlatego p a n nie może być ani przemocnym, ani ździercą. Przypomnijmy sobie, jaka wrażana była opinia w Polaków, iż niezdolni do przemysłu, do rękodziół, do nauk, a co najgorsza, że sami siebie obronić nie potrafia, i to zdanie do tego czasu utrzymywane, nurza

nas w nieszczęściu. Naród (...) kwitnący przedtem (...) nie miałby być wolnym, gdyby zechciał? (...) Wszystko nurzało się w występkach, swawoli bez cudłów, szlachta nie umiała być niczym jak tyranami włościan; nie tylko serce się ściska na wspomnienie ich okrucieństw, ale imaginacja sama wzdryga się na ich rodzaje. Polacy, poznaliście już wiele waszych błędów, umieliście zejść z ich drogi, czujcie i tę prawdę, że nie możecie być rzetelnie wolnymi, jeżeli nie zyskacie niepodległości przez swoje własne usiłowanie”^{*}.

Cóż to za kapitalna analiza Polski osiemnastowiecznej, Polski epoki Sasów, tej właśnie sprzed 230 lat – zachwalanej przez niektórych, korzącej się u obcych dworów, Polski zaborów i Targowicy, Polski bezskutecznie oczekującej na pomoc dalekiej Francji! Precyzyjne ukazanie klasowych źródeł uległości wobec zaborców i zdrady narodowej możliwych, jakby oparte o metodologię marksistowską, choć od Marksa wcześniejsze!²⁰² Ale przecież odnaleźć w tym trzeba coś więcej niż wyznanie chwili. Wczytawszy się głębiej, w płomiennym manifestie Pawlikowskiego, a więc Kościuszki, widzimy treści o wartości ponadczasowej, uniwersalnej.

Uważnie odczytana broszura „Czy Polacy...” zawiera głęboki program pozytywny i udziela odpowiedzi na pytania, jakie nasz naród zadaje sobie od pokoleń. Główne źródło siły Pawlikowski upatruje w mocy wewnętrznej Polaków, główne źródło słabości – w braku poczucia tej mocy. Czynniki zewnętrzne odgrywają ważną rolę, tworzą istotne warunki, ale nie są decydujące. Prawda, i tutaj wielką rację miała szkoła warszawska naszej historiografii, że Polska upadła pod bezpośrednimi ciosami potężnych zaborców. Bez tych ciosów przetrwałaby, zdolna dokonać reform wewnętrznych. Brak poczucia własnej siły sprowokował jednak obcych do szukania korzyści na Polsce, w osiemnastym wieku, gdy obowiązkową doktryną państwową stało się szukanie cudzej pomocy, połączone z przekonaniem, że sami niczego nie dokonamy – przesądzona została katastrofa. Wprawdzie w ostatniej ćwierci stulecia naród poderwał się, przeobraził wewnętrznie, ale dzieła reform nie zdołano dokończyć. Znaczna część społeczeństwa nadal nie chciała uwierzyć we własną siłę; dowodem tego są kolejne wojny w obronie Konstytucji 3 Maja, a także losy powstania kościuszkowskiego.

W podobnych kategoriach patrzeć należy na odzyskanie państwowości w wieku dwudziestym. Przygotowane to zostało przez zryw rewolucyjny lat 1904–1907. Znow, prawdą jest twierdzenie, że korzystna sytuacja międzynarodowa stworzyła możliwość, aby Polacy wybili się na niepodległość. Ale tylko możliwość, bowiem sam fakt nie był przesądzony. Naród polski potrafił wówczas wziąć swe sprawy we własne ręce; nie cze-

^{*} Cytuję za tekstem opracowanym krytycznie przez Emanuela Halicza: „Czy Polacy wybić się mocą na niepodległość?”, Warszawa 1967, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, s. 69 i nast. [przypis oryginalny].

²⁰² Odwołania się do Marksa w tym miejscu musi drażnić. Jest też nienaturalne. Być może był to jednak element ceny, jaką trzeba było zapłacić, aby cenzura pusiła ten znakomity tekst.

kając, aż ktokolwiek z zewnątrz przyniesie nam w podarku suwerenne państwo, stworzyliśmy je sami. We wszystkich zaborach, w Kongresówce, Galicji, Poznańskim czy na Śląsku – czynnie, także zbrojnie formowana była Rzeczpospolita. Nie inaczej działa się w latach II wojny światowej. Hitler ogłosił ostateczny zanik polskiej państwowości; świat uznałby to prędzej czy później, gdyby nie Polacy. Potrafilismy nie tylko walczyć nieustępliwie o niepodległość; podczas okupacji stworzono również optymalną koncepcję polityczną, koncepcję Polski Ludowej²⁰³, która pozwalała odrodzić suwerenną państwowość i zapewnić jej trwałość. Gdy w latach 1944 i 1945 przyszło wyzwolenie, a więc wytworzyła się względnie korzystna sytuacja międzynarodowa – mogliśmy ją wykorzystać w naszym interesie, ponieważ w chwili tego wielkiego zakrętu dziejowego Polska znalazła w sobie dość wewnętrznej mocy.

Koncepcja Polski Ludowej to sojusz ze Związkiem Radzieckim. Silna Polska leżała w intencjach naszego sojusznika, stąd mocny jego głos w sprawie granicy naszej na Odrze i Nysie Łużyckiej. Warto tu przypomnieć, że w ówczesnej sytuacji międzynarodowej przyjazny głos Związku Radzieckiego miał dla Polski wielkie znaczenie.

Przyznając rację szkole warszawskiej, sprzeciwić się należy prymitywizowaniu jej tez. Czynną to niektórzy. Uproszczone twierdzenie, że upadek Polski nastąpił wyłącznie z przyczyn zewnętrznych, na co wewnętrzna sytuacja państwowa nie miała żadnego wpływu, ma swój odpowiednik w przekonaniu, że przyszłość i byt Polski zależy jedynie od korzystnej koniunktury zewnętrznej. Wspomnieć warto pewnego błyskotliwego pisarza czasów napoleońskich, być może opłacanego przez Francuzów, który po utworzeniu Księstwa Warszawskiego udowodnił czarno na białym, iż ten twór państwowy ma przed sobą świetlaną przyszłość.

Wróćmy do Pawlikowskiego. Tezę o konieczności narodowego poczucia własnej siły uzupełnia on następną. Jest to postulat głębokich reform wewnętrznych. Rzecz bowiem nie dotyczy jedynie kwestii społecznej psychologii. Żłudne i szkodliwe jest poczucie własnej mocy, jeśli ona w istocie nie istnieje. Grzęźnięcie w bagnach konserwatyzmu, zaniechanie permanentnego niemalże procesu naprawy i udoskonalenia, jest śmiertelnym zagrożeniem. Jeśli wyżej napisaliśmy, że niepodległość stwarza możliwość społecznego działania we własnym narodowym interesie, to i odwrotnie, należyty i dynamiczny rozwój wewnętrzny staje się podstawowym, jeśli nie jedynym, istotnym gwarantem utrzymania i umocnienia tejże niepodległości. Działa tutaj sprzężenie zwrotne.

Czynniki zewnętrzne, międzynarodowe, grają bardzo poważną rolę, temu nikt nie może zaprzeczyć. Powoływany tylekroć Pawlikowski był gorącym rzecznikiem najbliż-

²⁰³ Mamy tu czytelne nawiązanie do Zbigniewa Żaluskiego. Zob. rozmowę z nim przeprowadzoną przez Moczulskiego, zamieszczoną w rozdziale „Rozmowy” – „Polska Ludowa: koncepcja i rzeczywistość”. Pojęcie „koncepcja Polski Ludowej” Moczulski wyraźnie przeciwstawia rzeczywistości (czyli teorię przeciwstawia praktyce). Wypowiadając się pozytywnie o koncepcji Polski Ludowej, nie odnosi się do praktyki. Nie chwali tego, co jest, ale to, co teoretycznie być powinno, biorąc oficjalne zapewnienia na serio.

szego związku Polski z rewolucyjną Francją. Te jego tezy mają zresztą również ponadczasowy charakter. Najlepszym, niejako naturalnym sojusznikiem, były i są dla nas te państwa, które dokonały, kontynuują i reprezentują przeobrażenia rewolucyjne. Do nich należy przyszłość.

Związki z państwami postępowymi, państwami jutra, muszą mieć walor dla obu stron. Rewolucyjna Francja mogła darzyć sympatią Polskę, współdziałać z nią czynnie, chciała jednak tylko wówczas, gdy Rzeczpospolita reprezentowała własną siłę. Im ta siła była większa, tym bardziej Polska stawała się atrakcyjna. Czekanie na pomoc wyłącznie z racji silnych więzów uczuciowych i ideowych jest chowaniem głowy w piasek. Najchętniej i najłatwiej pomaga się mocnym.

Czy jednak naród Polski ma w sobie dostateczną moc, aby wybijać się na niepodległość? Tego pytania nie wolno unikać. Trwa ostatnio dyskusja o potrzebie poczucia sukcesu. Prawdą jest, że potrzeba nam sukcesu jak powietrza. Prawdą jest też, że istnieją niewygasłe objawy poczucia słabości, usprawiedliwione choćby stanem wewnętrznego zastoju końca lat sześćdziesiątych. Pamiętajmy jednak, że odrzuciliśmy tę słabość i wierzymy w powodzenie.

Wiek dziewiętnasty był dla nas wiekiem klęsk. Ile jednak mocy znaleźliśmy w sobie, aby raz po raz stawiać do walki o własne istnienie? Wprawdzie gdybyśmy tej mocy istniejącej potrafili zmobilizować więcej, już wówczas – mimo niezbyt sprzyjającej sytuacji międzynarodowej – klęski zamienilibyśmy w zwycięstwo. Szansa taka istniała, nie tylko w 1831, lecz także nawet i w 1863 roku. Trudno powstrzymać myśl, że bardziej konsekwentne powszechne reformy i przeobrażenia wewnętrzne, głównie socjalne, dodałyby nam wystarczającą część potrzebnej siły. To jednak inne zagadnienie. Otóż ponosiliśmy klęski, bez skąpstwa wydatkowaliśmy naszą energię materialną i moralną. Gdyby Polacy byli narodem słabym, ten szczodry upływ oznaczałby całkowite zużycie naszej siły, a klęska stałaby się śmiercią. Zasób tych sił okazał się jednak dostatecznie wielki, aby ocalić zarówno program niepodległości, jak program przeobrażeń wewnętrznych.

Równie jaskrawy jest przykład naszych czasów. U progu drugiej wojny światowej w granicach Rzeczypospolitej żyło 27 milionów Polaków – silnych poczuciem swej mocy, to poczucie próbowano w nas złamać. Przez pięć następnych lat zginęły miliony, terror i eksterminacja spowodowały nie tylko wielkie straty biologiczne, lecz także moralne. Można było zwątpić we własne siły; więcej, można było zwątpić w celowość jakiegokolwiek działania. Ileż to razy wydawało się, że nasze działanie obracało się przeciwko nam, że nasza wola czynu i walki wtrącała nas w otchłań rozpacz i klęski? Po roku 1945 los też nas nie pieścił. Nastąpił wreszcie przełom polityczny. Ale później nadszedł czas zatrzymania rozwoju, parę lat, gdy miały prawo umacniać się stany niepewności. Wszystko to osłabiało moc wewnętrzną społeczeństwa.

A jednak! Znów wkroczyliśmy na nowe tory. Wszystko zaczyna toczyć się szybciej i lepiej. W bycie materialnym, w tempie rozwoju, wreszcie choćby w możliwości publikowania swoich myśli. Ukazuje się coraz wyraźniej nowa perspektywa.

Właśnie dziś patrzymy szczególnie uważnie w przeszłość. Polska Ludowa ma 28 lat, z tej perspektywy także wiele można zobaczyć. W tym króciutkim czasie społeczeństwo rozwinęło się, rozrosło, od 1945 r. przybyło blisko dziesięć milionów Polaków, nasz kraj liczy ich o sześć milionów więcej niż przed wojną. Nadrobiliśmy straty biologiczne, rozwijamy się dalej. Odbudowaliśmy kraj, zbudowaliśmy go na nowo. Gdyby nasz naród był słaby, te dokonania nigdy by nie nastąpiły.

Perspektywa minionych czasów napawa optymizmem. Perspektywa ubiegłych 28 lat optymizm ten umacnia. Perspektywa ostatnich kilkunastu miesięcy optymizm ten uzasadnia. Wprawdzie mogliśmy więcej osiągnąć. Czy jednak tempa naszego rozwoju nie zmniejsza niedostatek wiary we własne siły, brak poczucia wewnętrznej mocy?

Składając w 1799 r. rotę przysięgi do Towarzystwa Republikańców Polskich, uzupełnił ją Tadeusz Kościuszko słowami: „w samej sile wewnętrznej (narodu) szukać mocy”.

Byłoby jednak niesłuszne nie dostrzegać, wierząc we własne społeczeństwo, w jego zdolności twórcze, w prężność, pracowitość i hart, że pomyślny rozwój Polski gwarantują również jej sojusze, bezpieczeństwo jej granic. Jakkolwiek jest to prawda znana i brzmieć może schematycznie, warto również o tym pamiętać. Wierząc w swój naród, trzeba wierzyć w jego mądrość. A trwałe sojusze i bezpieczne granice na mądrości politycznej są oparte.

Leszek Moczulski

ROZMOWY

SŁOWO O WRZEŚNIU

(ROZMOWA Z GENERAŁEM ROMANEM ABRAHAMEM)²⁰⁴

– **Panie Generale! Jest Pan jednym z trzech żyjących w kraju generałów Września²⁰⁵ i najstarszym generałem kawalerii. Gdy po 35 latach wracamy do wydarzeń Kampanii Jesiennej, jak dziś, z perspektywy tylu lat ocenia Pan ten dramatyczny fragment naszych dziejów ojcystych?**

– Rzetelne przedstawienie obrazu zdarzeń wojny 1939 roku oraz rozpowszechnianie prawdy historycznej tak o przygotowaniach do niej, jak i jej przebiegu, a zwłaszcza o przyczynach i skutkach, które wywarła ona na całokształt II wojny światowej – jest dla społeczeństwa polskiego rzeczą wielkiej wagi. Wojna 1939 była jednym z najtrudniejszych etapów tysiącletniej drogi bojowej Polski, zapisała też krwawymi i złotymi zgłoskami tragiczne i heroiczne karty dziejów naszego narodu. Nasz samotny, pełen determinacji bój na jesieni 1939 roku, oceniany z punktu widzenia całej II wojny światowej, stanowił decydujący wkład o ogromnym znaczeniu politycznym, militarnym i moralnym dla jej kolei i ostatecznego efektu. Polska jako pierwsza spośród państw Europy stanęła na drodze III Rzeszy, przyjęła na siebie cały ciężar uderzenia niemieckiej maszyny militarnej, zaskakującej świat nieznaną dotychczas siłą, szybkością działań i druzgocącą przewagą broni pancernych i lotniczych. Był to przewrót w prowadzeniu błyskawicznych operacji. Uderzeniu niemieckiemu, tak potężnemu, że nie miało ono precedensu w historii wojen, potrafilśmy stawić czoło.

– **Dostrzegają to obcy historycy i analitycy.**

– Tak. Radziecki historyk płk prof. D. M. Proektor w swym dziele „Wojna w Europie 1939–1941” stwierdza, że „Opór Polski okazał się realną siłą... Armia polska znalazła w sobie dość mocy, aby kilka razy pokrzyżować plany i działania niemieckiego dowództwa”. Marszałek Związku Radzieckiego Rotmistrz, jeden z najwybitniejszych dowódców broni pancernej w II wojnie światowej, w swych ocenach idzie jeszcze dalej, stwierdzając, że opór armii polskich był nie tylko realną, ale i skuteczną siłą; Wojsko Polskie przeciwstało się Niemcom w niesłychanie ciężkich warunkach, samotnie,

²⁰⁴ „Stolica” z 1974 r., nr 35, s. 4-5. Absolutnie fundamentalna rozmowa, przeprowadzona, co znamienne, przez dwóch liderów młodego pokolenia: Leszka Moczulskiego i Andrzeja Szomańskiego. W „Stolicy” opublikowano także tekst Romana Abrahama: *Wielkość i tragizm Września* (nr 20 z 1975 r., s. 4), a w nr. 11 z 1976 r. ukazała się notka o jego śmierci (s. 11).

²⁰⁵ Roman Abraham (zm. w 1976 r.), Jan Jagmin-Sadowski (zm. w 1977 r.) oraz Mieczysław Boruta-Spiechowicz (zm. w 1985 r.) – cała trójka generałów była aktywna w nurcie niepodległościowym (zob. M. Lewandowski, *Interrex. Niepodległościowe środowisko kombatanckie wobec Prymasa Stefana Wyszyńskiego w latach 1956-1981*, Warszawa 2020).

już w chwili rozpoczęcia działań dwustronnie oskrzydłone – ale potrafiło skutecznie walczyć z wrogiem, co poważnie rzutowało na całą II wojnę światową. Nawet Niemcy zmuszeni są uznać skuteczność polskich działań obronnych. Marszałek Albert Kesselring, który w 1939 r. dowodził połową niemieckiego lotnictwa rzuconego przeciwko Polsce, a uważany jest powszechnie za jednego z najwybitniejszych niemieckich dowódców II wojny światowej, w swoich wspomnieniach wojennych napisał: „Przynosi to zaszczyt polskiemu dowództwu... jeżeli dobitnie podkreślę, że siły polskie ożywiała niezłomna wola walki, a dowódcy polscy starali się w ciężkich warunkach operacyjnych i łącznościowych staczać bitwy według zasad koncentracji wysiłku”. Wreszcie pisarz angielski John Kimche stwierdza, że „Nie Polska ponosi winę przegranej bitwy, ale wyłącznie Francja i Anglia, gdyż zaniechały wypełnienia swoich obowiązków sojusznicznych, i to w chwili, kiedy gros sił niemieckich zaangażowane było nad Wisłą, a wszystkie bronie pancerne i 2 000 samolotów uderzyło na Polskę”.

– Dodać do tego warto opinię amerykańskiego historyka Kennedy’ego, który po szczegółowym zbadaniu kompletu niemieckich dokumentów sztabowych stwierdził, że opór Polski był na tyle skuteczny, iż doprowadził do zużycia siły uderzeniowej Wehrmachtu; po zakończeniu Kampanii Jesiennej 1939. Niemcy nie byli w stanie prowadzić nowych operacji na podobną skalę.

– Daliśmy Francji i Anglii czas. Kampania Jesienna obezwładniła Wehrmacht na 8 miesięcy i uniemożliwiła III Rzeszy uderzenie na Zachód i wygranie wojny jeszcze w 1939 roku. Nasz opór doprowadził do zużycia sprzętu, paliwa i amunicji niemieckiej w takim stopniu, że trzeba było wielomiesięcznej pracy dla odbudowy siły Wehrmachtu.

– Liczba ponad 1 200 samolotów, które Niemcy zużyli, aby nas pokonać, mówi sama za siebie. Zważywszy, że 1 września 1939 Luftwaffe dysponowała ogółem 2 400 samolotami bojowymi zdolnymi do działań.

– Aby całkowicie zrozumieć wydarzenia 1939 roku, należy pamiętać, że trwała wówczas wojna koalicyjna. Zgodnie z wiążącymi ustaleniami sztabowymi Wojsku Polskiemu przypadło wówczas zadanie strategicznej straży przedniej, wiążącej gros sił niemieckich, gdy koalicyjne siły główne mocarstw zachodnich miały rozstrzygnąć wojnę, atakując słabą osłonę niemiecką na Zachodzie. Pamiętać trzeba również, że Polska była gotowa tak taktycznie, jak i operacyjnie do tej wojny koalicyjnej z Niemcami, natomiast nie byliśmy gotowi w przygotowaniu technicznym i materiałowym do samotnej walki z III Rzeszą. Natomiast Niemcy były gotowe do błyskawicznej wojny z samotną Polską, ale nie były gotowe do prowadzenia wojny światowej z koalicją.

– Tej tezie już nie przeczy nikt zarówno z polskich, jak obcych historyków.

– Chciałbym zacytować opinię, którą w rozmowie z Tadeuszem Alf-Tarczyńskim wyraził gen. dyw. Wacław Stachiewicz, szef sztabu głównego w 1939 r. Powiedział on: „Wojsko Polskie do końca wykonało zadanie, jakie mu przypadło, zadanie straży przedniej przyjmującej na siebie pierwsze uderzenie nieprzyjaciela i dające siłom

głównym, nawet za cenę własnego zniszczenia, czas do ugrupowania się, rozwinięcia i wejścia do walki. Wojsko Polskie wykonało to zadanie całkowicie. Straż przednia została zniszczona, ale dała siłom głównym na Zachodzie 9 miesięcy czasu na wejście do bitwy w najlepszych dla nich warunkach. Siły główne, zapięte na ostatni guzik, do akcji nie weszły. Wojsko Polskie, walczące samotnie, biło się o 2 dni dłużej niż ogromne w porównaniu z polskimi siły wojsk alianckich. Francja zakończyła swój krótki opór wstydem kapitulacji”.

– Z tą opinią koresponduje lapidarna ocena Karola de Gaulle, który bezczynność wielomilionowej armii francuskiej, stojącej naprzeciwko słabych sił niemieckich, w chwili gdy całe uderzenie niemieckie przyjął na siebie samotny polski sojusznik, porównuje do zbrodni.

– A również opinia wybitnego historyka brytyjskiego gen. Fullera, nieprzyjawnego zresztą Polsce, który musiał napisać, że „najsilniejsza armia świata (tj. francuska), mając przed sobą nie więcej niż 26 dywizji, siedziała cichutko za stalą i betonem, podczas gdy dzielny do szaleństwa sprzymierzeniec polski ginął”. Ale nie powołujmy się już na dalsze podobne opinie, których w literaturze światowej nie brakuje. Chciałbym podkreślić może największe znaczenie Września – a mianowicie moralne znaczenie tej Kampanii.

– Do dziś jest ono i jutro będzie wartością trwałą.

– Naród w chwili próby, w imię miłości Ojczyzny, dla ratowania jej niepodległości, kosztem niesłychanych ofiar, w samotnej śmiertelnej walce z olbrzymią przewagą wroga – stawiał bohatersko zbrojny opór najazdowi niemieckiemu i pierwszy powstrzymał zagrażającą światu ekspansję militarną III Rzeszy. Każdy z 36 dni Kampanii stawał nasz bój na najwyższym poziomie chwały żołnierskiej. Z nieustępliwej walki całego narodu z najeżdżcą zrodziły się późniejsze czyny bojowe żołnierzy polskich, walczących z Niemcami na wszystkich frontach świata i żołnierzy Armii

Krajowej, Armii Ludowej, Batalionów Chłopskich, oraz wszystkich innych formacji podziemnych. Wrzesień stał się prekursorem tych walk. Kampania Jesienna stała się czynem nie tylko armii, ale przede wszystkim całego społeczeństwa. Była to wielka polska wojna ludowa i narodowa, gdyż po raz pierwszy w dziejach wziął w niej udział cały naród. Zjawisko solidarności narodowej, wspólnego frontu walki przeciwko Niemcom, bez względu na pochodzenie społeczne, dzielnicowe, wiek – wybiło się na plan pierwszy. Był to przejaw wielkiego uświadomienia narodowego szerokich mas i niespotykanej wcześniej w naszej historii spójni łączącej wszystkich Polaków.

– Ten moralny wpływ Września dotyczył nie tylko Polski.

– Byliśmy porzuconą i samotnie walczącą strażą przednią, budzącą z letargu narody świata. „Polska jest natchnieniem narodów” – powiedział wówczas Roosevelt, a Churchill uzupełnił „Polska jest sumieniem świata”. Rzeczywiście, nasz samotny opór, heroiczna walka, a także samotna klęska wstrząsnęły wszystkimi wolnymi narodami, zmobilizowały je do walki w imię najszlachetniejszych ideałów ludzkości.

– Panie Generale, na czele brygady, a później grupy operacyjnej kawalerii, walczył Pan w Wielkopolsce nad Bzurą i w Puszczy Kampinoskiej, aby ranny – przebiwszy się na czele swych wojsk do Warszawy, wziąć udział w jej obronie. Obrona stolicy należy do najbardziej heroicznych epizodów Września.

– Warszawa broniona początkowo przez kilkanaście batalionów i 60 armat rozpoczyna już 8 września swój 20-dniowy heroiczny bój z najeźdźcą. Na czele sił wojskowych i ludności stolicy stanęli dwaj ludzie, którym stolica zawdzięcza chwałę pełnej hartu obrony: gen. bryg Walerian Czuma, dowódca wojskowy, i niezłomnego ducha żołnierz – prezydent Stefan Starzyński²⁰⁶. Postać Stefana Starzyńskiego przeszła trwale do historii narodu. Warszawa, samotna – broniła się dni dwadzieścia. Berlin w końcowych dniach kwietnia 1945 roku ze swoją przeszło 200-tysięczną załogą, tysiącem armat i najnowocześniejszym sprzętem bronił się przed wojskami radzieckimi i polskimi zaledwie dni dziesięć.

– Panie Generale, jak dziś, po 35 latach od tamtego czasu, latach wypełnionych przecież coraz bardziej pogłębioną i nie wolną od goryczy refleksją, w najkrótszych słowach można byłoby ująć sens naszego oporu?

– Każdy musi zadać sobie pytanie, jakimi torami potoczyłyby się losy II wojny światowej, gdyby naszej kampanii nie stało, gdyby jej skuteczna siła oporu nie przeszkodziła Niemcom w planowym zwróceniu się jeszcze późną jesienią 1939 r. przeciwko Francji i wygranie wojny lądowej w Europie już w tym roku. W 1939 r. walczyliśmy nie tylko o tę czy inną linię, pozycję lub miasto, ale o imponderabilia, wartości najwyższe, o prawo do dumnego uniesienia głowy. I tę walkę wygraliśmy.

*Rozmawiali: L. M. i A. Sz.*²⁰⁷

* * *

SENS I REZULTATY WRZEŚNIA (ROZMOWA Z PPŁK. TADEUSZEM JURGĄ)²⁰⁸

Niżej publikujemy relację z rozmowy, jaką prowadzili pptk dypl. mgr TADEUSZ JURGA, sekretarz naukowy Zakład II Wojny Światowej Wojskowego Instytutu Historycznego i znany badacz dziejów 1939 r. oraz red. LESZEK MOCZULSKI, kierownik działu

²⁰⁶ Znamienne jest pominięcie nazwiska gen. Rómmla, z którym gen. Abraham toczył ostre polemiki nt. decyzji Rómmla w czasie obrony Warszawy we wrześniu 1939 r.

²⁰⁷ Współautorem rozmowy był Andrzej Szomański (zm. w 1987), równieżnik Moczulskiego, członek konspiracyjnego Konwentu, członek-założyciel KPN, sądzony w procesie drugiego kierownictwa tej organizacji. Z perspektywy lat widać wyraźnie, że była to postać nr 2 w Konfederacji Polski Niepodległej. Wspólna rozmowa Moczulskiego i Szomańskiego z Abrahamem w 1974 r. urasta dziś do rangi symbolu.

²⁰⁸ „Stolica” z 1969 r., nr 35.

historycznego „Stolicy”. Tematem rozmowy było dyskusyjne pod niektórymi względami nadal zagadnienie skutków i rezultatów Września oraz efektów, jakie przyniósł 36-dniowy opór Polski (red.).

– Punktem wyjścia naszej rozmowy musi być fakt, że w sensie militarnym Polska przegrała Kampanię Jesienną 1939 r. Pod tym względem wszyscy są zgodni. Czy jednak przegrana militarna stanowiła jedyny rezultat Września?

– Obydwaj zgodzimy się, że nie. Wojna Obronna Polski 1939 r. przyniosła ważne rezultaty z punktu widzenia dalszych losów konfliktu światowego. Liczył się przede wszystkim wywalczony przez polskie siły zbrojne czas, a czas przecież działał na niekorzyść Niemiec. Nasi ówcześni sojusznicy starali się wygrać na czacie, aby uzupełnić swoje przygotowania militarne; dlatego zresztą klecili w ogóle sojusz z Polską. Wielka Brytania i Francja pragnęły m.in. wyjść spod natychmiastowego uderzenia niemieckiego – i opór Polski przyczynił się do tego walczyć. Jak wiemy, Hitler dopiero wiosną 1940 r. rozpocząć mógł działania aktywne na Zachodzie.

– Eksponuje Pan, Panie Pułkowniku, czynnik czasu. Rzeczywiście działał on na niekorzyść Niemców, moim zdaniem jednak czynnik ten występował szczególnie krytycznie w samym trakcie trwania kampanii; armia francuska uzyskała wtedy wyjątkową okazję, aby odnieść rozstrzygające wojnę zwycięstwo nad przeciwnikiem, którego główne siły utraciły swobodę działania, związane dramatycznymi trudnymi walkami nad Wisłą. Co jednak poza czynnikiem czasu spowodowało, że Niemcy w 1939 r. nie były zdolne do przeprowadzenia dalszych operacji na wielką skalę?

– Zużycie armii niemieckiej podczas działań w Polsce było tak znaczne, że wykluczało szybkie podjęcie zakrojonych na szeroką skalę operacji. Jest to m.in. zdanie amerykańskiego historyka R. M. Kennedy’ego, zaś moje badania – i nie tylko moje – potwierdziły je w całej rozciągłości. Z zachowanych niemieckich dokumentów wynika, że w trakcie wojny z Polską, Niemcy stracili m.in. 674 czołgi i 319 samochodów pancernych. Zważywszy, że w chwili wybuchu wojny Wehrmacht posiadał na etacie 3 206 czołgów, z czego ok. 2 800 nadających się do działań w jednostkach bojowych i całkowicie zaangażowanych w Polsce – były to straty znaczne. Tylko pomiędzy 1 a 30 września Luftwaffe straciła wskutek walk lub zużycia 1 360 samolotów, z czego 70 na froncie zachodnim, a resztę w Polsce.

– Cyfra ta nabiera wymowy, jeśli zważymy, że Niemcy początkowo zaangażowali w Polsce ok. 1 800 samolotów, choć później ilość tę nieco powiększyli. Osobiście podejrzewam, że straty niemieckie w Polsce w czołgach i – być może – w samolotach, były wyższe, zachowane sprawozdania stanowią wynik podsumowania uzyskanych meldunków, a te nie musiały być kompletne. O tej niepełności wyliczonych strat świadczy m.in. to, że podają one straty Niemców podczas kampanii w poległych na ledwie 7 718 żołnierzy i oficerów. Jest to cyfra wyraźnie zaniżona. Sam Hitler po zakończeniu kampanii określił ilość zabitych na ponad

10 tys., a przecież na pewno nie zawiązał on rzeczywistych strat. Zachodnioniemiecki historyk, gen. Müller-Hillebrand określa ilość zabitych, jak obaj pamiętamy na 16 343. Źródła brytyjskie oceniają straty niemieckie jeszcze wyżej, bo od 50 do 91 tys. zabitych; są to resztą zapewne dane przesadne. Czy więc nie sądzi Pan, że również straty w sprzęcie niemieckim były wyższe niżby wynikało ze sporządzonych tuż po kampanii dokumentów niemieckich?

– Możemy opierać się tylko na tych aktach, które znamy, a ewentualna weryfikacja strat niemieckich musi być oparta o nowe materiały archiwalne, o ile takie dadzą się odnaleźć. Niezależnie jednak od szczegółów dotyczących strat niemieckich, stwierdzić należy, że uniemożliwiły one Niemcom atak na Zachodu czy gdziekolwiek indziej jeszcze w 1939 r., czyli dały czas aliantom zachodnim.

– **Wprawdzie Francuzi czasu tego nie potrafili wykorzystać...**

– Ale Brytyjczycy wykorzystali. W 1939 r. nie posiadali oni praktycznie zupełnie armii lądowej.

– **Pytanie: czy nie uważa Pan, że straty poniesione przez Luftwaffe w Polsce, były nie do odrobienia w tym sensie, że wpłynęły na wynik bitwy o Wielką Brytanię. Gdyby nie działania polskie, Luftwaffe mogłaby wyraźnie większymi siłami zaatakować wyspy brytyjskie.**

– Obok strat materialnych występuje tutaj czynnik czasu, który miał większe oświadczenie sądzące, że decydujące znaczenie. Co do strat Luftwaffe i ich wpływu na bitwę o Wielką Brytanię – odpowiedź jest trudna. Trzeba by było przeprowadzić dokładną analizę, ile nowych samolotów przemysł niemiecki po Kampanii dostarczył Luftwaffe i w jakim stosunku pozostawało to do strat poniesionych w Polsce.

– **Pewnymi cyframi dysponujemy. Z początkiem września 1939 Niemcy posiadali 2 433 samoloty bojowe gotowe do działań, gdy u progu zaczepnych działań na Zachodzie (kampanie norweska i francuska) w marcu 1940 r. – 2 509 samolotów, a w czerwcu 1941 – 2 220 samolotów. Są to wielkości bardzo zbliżone, wynika z nich, że w tym czasie przemysł niemiecki oraz warsztaty remontowe w zasadzie uzupełniały tylko straty. Wzrost sił brytyjskiego lotnictwa myśliwskiego, które rozstrzygnęło bitwę o Wielką Brytanię, był natomiast znaczny. We wrześniu 1939 Fighter Command RAF dysponował 35 dywizjonami myśliwskimi wyposażonymi w nowoczesny sprzęt, a u progu bitwy o Wielką Brytanię w lipcu 1940 r. – tuż 54 dywizjonami myśliwskimi. Czas wygrany przez Polskę i straty jakie zadaliśmy Luftwaffe przyniosły więc chyba efekty. Przejdźmy do innego zagadnienia. Ostatecznie armia niemiecka rozbita została w bojach nie z Francuzami i Brytyjczykami, a na froncie wschodnim. Czy Pańskim zdaniem, Pułkowniku, opór Polski we wrześniu 1939 r. pociągnął za sobą pozytywne skutki z punktu widzenia powstrzymania przez ZSRR ofensywy niemieckiej i następnie odwrócenia losów wojny?**

– Jest to zagadnienie bardzo trudne do precyzyjnego wyważenia. W grę wchodzi ogromna ilość czynników, stawiane tezy muszą mieć dyskusyjny charakter...

– Pewne zagadnienia są chyba już jednak jasne. Wydaje mi się, że czas i nie tylko czas działał również na korzyść Związku Radzieckiego.

– Bez wątpienia. Jak wiemy, w pierwszym okresie II wojny światowej trwała jeszcze reorganizacja i rozbudowa radzieckich sił zbrojnych. Im później Niemcy atakowali na wschodzie, tym lepsza była sytuacja ZSRR. Poza tym działania w Polsce wniosły pewien element doświadczeń zarówno w zakresie fortyfikacji, jak i walki z niemieckimi wojskami pancernymi, nowym i decydującym elementem militarnym na polu walki.

– Można więc chyba zgodzić się z tezą, że Wrzesień 1939 przyczynił się do tego, że armia radziecka weszła do wojny później niż to jej groziło i lepiej przygotowana, z silniejszymi rezerwami, wreszcie na bardziej wysuniętych do przodu pozycjach, z większym zapasem przestrzeni operacyjnej²⁰⁹

– Ta teza nie budzi zastrzeżeń. Wrzesień wpłynął na pewno na te dwa zasadnicze czynniki czasu i przestrzeni, co miało wyraźne znaczenie dla przebiegu wydarzeń na froncie wschodnim.

– Nie należy zapominać o tym, że pokonanie Polski przyniosło Niemcom nie tylko likwidację walk na wschodzie i pozwoliło na przerzucenie Wehrmachtu na zachód, lecz spowodowało konsekwencje ważne z punktu widzenia przyspieszenia rozbudowy potencjału militarnego III Rzeszy. Jak wiadomo, Niemcy zaatakowały Polskę z minimalnym zapasem na przykład paliw płynnych, który ledwie starczyło na przeprowadzenie tej kampanii. Rozbicie Polski umożliwiło Rzeszy przerwanie blokady, w której znalazła się z początkiem Września. Dopiero po klęsce Polski Niemcy mogli przystąpić do realizacji narzuconej Rumunii jeszcze w marcu 1939 umowy gospodarczej, czyli pełną garścią czerpać z rumuńskich złóż naftowych i pól pszenicznych. Chodziło zresztą o dostawy z całych Bałkanów, które w niemieckich planach ekonomicznego przygotowania i prowadzenia wojny odgrywały tak zasadniczą rolę. Przyjmijmy choćby jeszcze węgierskie boksyty, podstawę niemieckiego przemysłu aluminiowego.

– Trzeba pamiętać nie tylko o materialnych, ale również moralnych skutkach niemieckiego zwycięstwa w 1939 r. Wywołało to przestach wszystkich mniejszych krajów europejskich, które zdały sobie sprawę, że na pomoc zachodnich aliantów nie mają co liczyć i dlatego były ustępliwe wobec Niemiec. Dzięki temu Rzesza mogła bez przeszkód uzupełniać swe zapasy surowcowe i inne importem z Bałkanów.

– Przejdźmy jednak do jeszcze innego zagadnienia. Jak wiadomo, Hitler nie był w 1939 r. przygotowany do toczenia przewlekłej wojny światowej...

– Dlatego też musiał zastosować Blitzkrieg, wojnę błyskawiczną, aby nie dać czasu przeciwnikom, zwłaszcza aliantom zachodnim na pełne uruchomienie ich olbrzymich możliwości potencjalnych.

– Hitler zmierzał do tego, aby konflikt z Polską pozostał starciem izolowa-

²⁰⁹ Ów „większy zapas przestrzeni operacyjnej” to skutek agresji na Polskę 17 Września.

nym. Wznowienie działań wojennych, miało nastąpić w późniejszym okresie, gdy po rozbiciu Polski a przed rozpoczęciem zbrojnej konfrontacji z zachodem Wehrmacht me tylko uzupełni poniesione straty, lecz również rozbuduje się poważnie, odpowiednio do czekających go trudnych i długotrwałych zadań agresywnych.

– Opór Polski przekreślił te rachuby. Polska przerwała bezkrwawe podboje niemieckie, co miało zasadnicze znaczenie z punktu widzenia przyszłości. Nasza walka spowodowała, że nie powiódł się plan niemiecki ograniczenia wojny do samotnego pojedynku z Polską. Wcześniej, nim pozwalały na to niemieckie przygotowania, w rezultacie agresywnych działań III Rzeszy, znalazła się ona wbrew zaplanowanemu kalendarzowi poczyniła wojennych od razu w przewlekłym konflikcie światowym.

– Pragnę zwrócić uwagę na szczególną rolę dwu pierwszych dni wojny. Armia polska stawiała wówczas naprawdę potężny opór najsilniejszej machinie wojennej ówczesnego świata. Ani 1, ani 2 września Niemcy nie byli w stanie pochwalić się jakimkolwiek przemawiającym do wyobraźni sukcesem. Nie udało im się zdobyć nawet nadgranicznej Mławy czy Katowic, w ogóle znanego większego miasta, którego nazwa mówiłaby coś światu. Więcej, nie udało im się dokonać w pełni *fait accompli*²¹⁰ w Gdańsku, bo cóż to za fakt dokonany, to ogłoszenie 1 września o przyłączeniu Wolnego Miasta do Rzeszy, gdy na jego terytorium trwają walki, broni się Westerplatte... Ten silny opór Polski wpłynął – jak wynika z licznych dokumentów – na stanowisko Wielkiej Brytanii i Francji, które musiały w tej sytuacji wypowiedzieć wojnę Niemcom. Dlatego przywiązuję tak wielką wagę do walk w piątek 1 września i w sobotę 2 września na nadgranicznych, tak ryzykownych z operacyjnego punktu widzenia pozycjach.

– To był właśnie ów element polityczny, który zadecydował o ugrupowaniu wyjściowym naszego wojska. Rozwinięcie głównych sił nad granicą z Niemcami, pozbawioną przeszkód naturalnych – a nie w głębi kraju, było absurdem operacyjnym i polityczną koniecznością. Oto jedna z podstawowych sprzeczności polskiego planu obronnego „Zachód”. Na tych wysuniętych pozycjach przyjęte zostało pierwsze uderzenie niemieckie. Pamiętajmy jednak, że chodzi nie tylko o te dwa pierwsze dni wojny. Opór Polski później był również stanowczy i zdeterminowany, armia dała z siebie wszystko...

– To nie budzi wątpliwości. Polityczno-strategiczne znaczenie tych dwu dni jest jednak kapitalne. W niedzielę 3 września ograniczona wojna przeradza się w konflikt światowy. Od tego momentu zaczynają działać te wszystkie czynniki, które ostatecznie zadecydowały o katastrofalnej klęsce Niemiec: Rzesza staje naprzeciwko przeważającej pod względem potencjału ogólnej koalicji. W koalicji tej później nartępują zmiany, pewne człony odpadają, ogromne znaczenie ma wkroczenie do wojny ZSRR a także USA – lecz już 3 września stają się faktem, wszystkie zasadnicze czynniki, które rozstrzygnęły, że Niemcy tej wojny wygrać nie mogli. Mam

²¹⁰ *Fakt dokonany* (łac.).

jeszcze jedno pytanie, tym razem bardziej ogólnej natury. Jakie czynniki spośród pozytywnych dla sprawy Polski i dla sprawy zwycięstwa sprzymierzonych, które przyniosła Kampania Jesienna 1939, wysunąłby Pan na plan pierwszy?

– Zaczęę od innej strony, niż do tej pory mówiliśmy. Pragnę zwrócić uwagę, że opór Polski we Wrześniu 1939 r. zdecydował o postawie całego społeczeństwa w toku następnych lat wojny. Przeliczyć to można z kategorii moralnych na materialne, na cały polski wkład w II wojnę światową, zarówno tutaj w kraju w walkach Polski Podziemnej, jak też na wszystkich frontach na wschodzie i zachodzie. Jest to czynnik kapitalnego znaczenia.

– Czy jedyny?

– Nie jedyny. O innych mówiliśmy wcześniej. Oceniając generalnie stwierdzić należy, że polskie „nie!” zdecydowało w znacznej mierze o rezultacie II wojny światowej. Przegraliśmy wprawdzie kampanię – decydowała przewaga materialna, ilościowa i techniczna. To rozstrzygnęło losy wojny – ale tylko we Wrześniu 1939. Obok tego bezpośrednie i pośrednie rezultaty kampanii przyniosły liczne pozytywne skutki i stały się ważnym wkładem Polski w ogólne dzieło zwycięstwa. Polska krew w tej kampanii nie płynęła na marne...

– Na pewno nie. Prawda – przegraliśmy tę kampanię. Czy jednak III Rzesza po jej zakończeniu znajdowała się w lepszym położeniu strategicznym niż u jej początku? Wątpię. Armia polska została rozbita, niewielu tylko żołnierzy zdołano wyewakuować na zachód, kraj znalazł się w obcej władzy. Lecz przegraliśmy tylko kampanię, zaś dzięki owym 36 dniom Września, tak tragicznym, dzięki potężnemu oporowi Rzeczypospolitej, armii i całego społeczeństwa – oporowi, który pokrzyżował polityczne i strategiczne plany Hitlera – wygraliśmy wojnę. Analizując przyczyny klęski wrześniowej – doceniamy dziś wagę systemu zbiorowego bezpieczeństwa.

* * *

POLSKA LUDOWA: KONCEPCJA I RZECZYWISTOŚĆ²¹¹ (ROZMOWA Z PPŁK. ZBIGNIEWEM ZAŁUSKIM)²¹²

– Minione fakty można ocenić w pełni dopiero z perspektywy dziejowej. Dy-stans 30 lat dzielących nas od chwili powstania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest na pewno bardzo, a może zbyt krótki. Niemniej jednak już dziś pewne fakty

²¹¹ O rzeczywistości PRL jest w tej rozmowie niewiele. Wspomnienie o niej w tytule służyło zapewne zaznaczeniu pewnego dystansu między koncepcją Polski Ludowej (o której entuzjastycznie mówił Załuski) a rzeczywistością.

²¹² „Stolica” z 1974 r., nr 28-29.

podstawowe można poddać pełniejszej ocenie. Proces rodzenia się PRL był stosunkowo krótki: nie minęły nawet dwa lata od chwili zarysowania koncepcji do początku jej realizacji. Sądzę, że ta szybkość przemian była bardzo ważna: uwytknęła ona to, co dla samej istoty Polski Ludowej jest najważniejsze. Czy zgodzi się Pan, Panie Pułkowniku, że przedłużanie okresu tego Wielkiego Zwrotu mogło grozić poważnymi konsekwencjami ujemnymi?

– Na pewno. Koncepcja Polski Ludowej sformułowana została w stosunkowo krótkim czasie, a ta względna szybkość jej precyzowania spowodowała, że dziś często zapominamy o sprzeciwach i oporach, jakie wywołały u niektórych jej generalne założenia, a także o pełnej entuzjazmu nadziei, gwałtownie rodzącej się u innych. Jeśli mówi Pan – słusznie – o krótkim okresie czasu między narodzinami koncepcji Polski Ludowej a początkiem budowy ludowego państwa, to dla mnie i wielu podobnych czas ten był jeszcze krótszy i sprowadzał się nawet do kilku tygodni. Pamiętam, jak doszła mnie wieść o tworzeniu się Ludowego Wojska Polskiego i jak z radzieckiej Azji śpieszyłem do formujących się oddziałów²¹³. Oczywiście, nie chodzi o odczucie jednostkowe. Dziś po latach, studiując dokumenty tamtej epoki, widzimy wyraźnie, jak koncepcja Polski Ludowej powstawała równolegle w kraju – wśród komunistów polskich przebywających w ZSRR. Za punkt wyjściowy uznać trzeba przełom lat 1941 i 1942; dwa lata później istniał już sprecyzowany program i zaczęła się jego realizacja: świadczyły o tym takie fakty, jak utworzenie i wejście do boju Wojska Polskiego w ZSRR i powołanie Krajowej Rady Narodowej. Oznaczało to, że radykalna lewica wysuwa się na czołowe miejsce w walce narodowowyzwoleńczej Polaków, ale oznaczało także, że poszerza

²¹³ Załuski urodził się w 1926 r. na Wołyniu. W 1940 r. jego rodzina została deportowana do sowieckiego Kazachstanu. Na przełomie lat 1943 i 1944 17-letni Zbyszek (już po śmierci ojca) wstąpił ochotniczo do Korpusu Polskiego Berlinga, co było dla niego (i dla wielu innych Polaków) jedynym sposobem wydostania się z ZSRR. Niezależnie od tych przeżyć miał Załuski, jak się wydaje, szczerze lewicowe poglądy. Pod tym względem przypominał innego pułkownika LWP (a wcześniej – żołnierza I Brygady Legionów) Kazimierza Rosena-Zawadzkiego (1900-1990), który także miał szczerze lewicowe poglądy. Spowodowały one jego akces do PZPR (mimo ciężkich przeżyć w obozie w Starobielsku, skąd trafił do „willi szczęścia” w Małachówce, a następnie do Armii Berlinga oraz mimo trzyletniego pobytu w stalinowskim więzieniu, niesłusznego oskarżenia o szpiegostwo i tortur ze strony wyjątkowo okrutnej Informacji Wojskowej, które spowodowała u niego częściową utratę wzroku). Owe lewicowe poglądy nie przeszkadzały Załuskiemu współpracować z Moczulskim także w okresie tworzenia Ruchu Obrony w marcu 1977 r. (na bieżąco informował on Moczulskiego o nastrojach panujących w KC PZPR; to za jego pośrednictwem Moczulski przekazał członkom Politbiura swój tekst *Memoriał* z grudnia 1976 r.). Natomiast Rosen-Zawadzki w l. 80. wspierał działalność KPN (zob. wspomnienia Jerzego Woźniaka na ten temat w Internetowym Archiwum KPN w dziale Wspomnienia-Obszar I Warszawy). Najomocniejszą z Załuskim (której przed kolegam z Ruchu Obrony Moczulski nie ukrywał) była przyczyna późniejszych oskarżeń Moczulskiego o kontakty z ludźmi z kierownictwa PZPR oraz współpracę z moczarowcami (Załuski, jako autor m.in. *Siedmiu polskich grzechów głównych* z 1962 r. uważany był – mniejsza czy słusznie – za ideologa „partyzantów”).

tę walkę konsekwentnie o program wyzwolenia społecznego i głębokich przeobrażeń ustrojowych.

– **Przypomnijmy sobie warunki tamtego czasu. W latach 1943–1944 sprawa polska znalazła się w ślepych zaułku...**

– Był to efekt obłądnej polityki rządu emigracyjnego...

– **Powiedzmy, polityki, która od samego początku nie potrafiła stworzyć jasnej koncepcji działania, adekwatnej do skomplikowanej sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej w latach drugiej wojny światowej²¹⁴. Ograniczanie celów Polski wyłącznie do kontynuowania wojny z Niemcami aż do zwycięskiego końca – choć ta wojna była rzeczywiście problemem najważniejszym – było ślepotą polityczną. Z upadku Francji i podważenia mocarstwowej pozycji Wielkiej Brytanii nie umiano wyciągnąć wniosków. Wiedząc, że Rzesza prędzej czy później zostanie rozbita, nie potrafiono zobaczyć wizji powojennej Europy, której stary układ właśnie w latach wojny został całkowicie zdruzgotany.**

– Z tego braku prawidłowej oceny przyszłości między innymi wynikała polityka rządu emigracyjnego wobec ZSSR i kulturowanie teorii dwóch wrogów. Oczywiście, jeśli mówimy, że sprawa polska trafiła do ślepego zaułka, to stało się tak, ponieważ rząd emigracyjny zachowując generalnie słuszne stanowisko konsekwentnego kontynuowania wojny z Niemcami, nie był zdolny do prowadzenia jasnej i realistycznej polityki wobec ZSRR – naszego sojusznika w tej wojnie, sojusznika nie na mocy układów, ale co ważniejsze – wspólnych interesów. Otóż, na szczęście, istniała alternatywa wobec polityki rządu emigracyjnego, a stanowiła ją koncepcja Polski Ludowej. Dzięki tej alternatywie wyszliśmy ze ślepego zaułka.

– **Na marginesie warto zwrócić uwagę, że brak alternatywy powoduje uplasowanie się na beznadziejnej pozycji wyjściowej. Przypomnijmy sobie jednak generalne założenia koncepcji Polski Ludowej.**

– Dwa podstawowe założenia koncepcji Polski Ludowej: suwerenna, własna państwowość oraz radykalne przeobrażenia społeczne. Wy płynęła z tego nowa orientacja

²¹⁴ Krytyka przez Moczulskiego – pilsudczyka, rządu emigracyjnego i cywilnych władz w kraju podczas okupacji jest zrozumiała w kontekście dominacji w ośrodkach cywilnych krajowych i zagranicznych przedwojennej antysanacyjnej opozycji. Oczywiście cenzura (i zapewne większość czytelników) rozumiała tę krytykę opacznie, jako wychodzącą z zupełnie innych pozycji. Natomiast, gdy idzie o zarzuty dot. braku porozumienia polskich władz z Sowietami w 1944 r. – oskarżali o to władze cywilne także niektórzy pilsudczycy z KG AK (należeli do nich i Ludwik Muzyczka i Kazimierz Pluta-Czachowski – liderzy nn-u po 1956 r.), co było zresztą przyczyną podejrzeń wobec nich ze strony Oddziału II KG AK w lipcu-sierpniu 1944 r. (zob. M. Lewandowski, *Ludwik Muzyczka*, s. 121-126; tenże, *Kazimierz Pluta-Czachowski*, t. I, s. 264-291). Tak więc słowa Moczulskiego w tej rozmowie wynikały z jego autentycznie krytycznych poglądów wobec polskich władz cywilnych w czasie okupacji, z tym, że z powodów cenzuralnych nie mógł swojego stanowiska szerzej wyjaśnić czytelnikom.

polityczna, zakładająca przyjazną i braterską – sojuszniczą współpracę z ZSRR. Pamiętam pierwsze karabiny, które dostaliśmy z rąk radzieckich towarzyszy broni...

– **Może Pan Pułkownik omówi szerzej te założenia podstawowe.**

– Zaczniemy może od tego, że program wywalczenia własnej państwowości, suwerennej i niepodległej, odpowiadał powszechnym dążeniom Polaków. Trzeba powiedzieć, że na plan pierwszy wysuwały go wszystkie ugrupowania polityczne ówczesnej Polski, bowiem każde z nich miało charakter niepodległościowy. Między dążeniem do niepodległości...

– **Rzeczywistym i konkretnym, a nie obracającym się w sferze marzeń lub dogmatów.**

– Właśnie. Między realnym dążeniem do niepodległości a stworzeniem warunków, w jakich ta niepodległość może być odzyskana i utrzymana, jest olbrzymia różnica. Nie można odmówić rządowi emigracyjnemu, że nie stał na stanowisku obrony niepodległości. Czy jednak jego polityka mogła zapewnić osiągnięcie tego celu? Czy niektóre działania tego rządu obiektywnie nie były wymierzone przeciwko owemu celowi nadrzędnemu bądź też czy nie utrudniały jego osiągnięcia? Pamiętać trzeba, że utrzymanie niepodległości zależy – skrótnie mówiąc – od siły wewnętrznej kraju oraz od sytuacji międzynarodowej.

– **Tutaj dochodzimy do drugiego generalnego założenia koncepcji Polski Ludowej, a mianowicie do głębokich przeobrażeń społecznych i ustrojowych.**

– Przeobrażenia te, niosąc z sobą sprawiedliwość społeczną, w konsekwencji stwarzały podstawy do eliminowania antagonistycznych sprzeczności rozrywających naród; pozwalały więc na pełne wykorzystanie bazy społecznej i materialnej, na przyspieszony rozwój gospodarczy, a ogólniej mówiąc na poważny wzrost siły wewnętrznej państwa. Stąd stanowiły nie tylko cel sam w sobie, ale oddziaływały pozytywnie na uzyskanie równoległego celu, jakim było stworzenie i umocnienie suwerennej państwowości.

– **Przeobrażenia ustrojowe są niezbędne dla umacniania suwerennej państwowości, a istnienie niepodległego państwa pozwala na przeprowadzenie nawet najgłębszych zmian wewnętrznych. Rezygnacja z jednego z tych czynników odbija się natychmiast na drugim.**

– Właśnie cała słabość koncepcji politycznej rządu emigracyjnego wynikała stąd, że stawiając kwestię niepodległości, skutek swych uwarunkowań klasowych nie potrafił jej związać ani z konsekwentnymi reformami wewnętrznymi, ani z polityką zagraniczną opartą o realia świata. Polska nie mogła przecież powstać na nowo przeciwko ZSRR, a tylko wespół, w porozumieniu i przy pomocy sojuszniczego Związku Radzieckiego.

– **Przejdźmy do nieco innego zagadnienia. Koncepcja Polski Ludowej sformułowana została w krótkim czasie, najogólniej mówiąc między takimi faktami granicznymi jak agresja Niemiec na ZSRR a początkiem wyzwalań ziem polskich przez Armię Radziecką i Ludowe Wojsko Polskie; w tym czasie doszło do takich wydarzeń jak powstanie Polskiej Partii Robotniczej, zerwanie stosunków między**

rządem emigracyjnym a radzieckim, utworzenie Związku Patriotów Polskich, początek formowania armii polskiej w ZSRR i powołanie Krajowej Rady Narodowej. Otóż pamiętając o szybkim kształtowaniu się koncepcji Polski Ludowej, nie możemy zapominać, że posiadała ona długą, co najmniej półtorawieczną genezę.

– W roku 1944 upłynęło 156 lat od Insurekcji Kościuszkowskiej. Trudno zaprzeczyć, że Insurekcja i jej dziedzictwo, a także walki wyzwolenicze prowadzone przez cały wiek XIX przez rewolucyjnych demokratów legły u najgłębszych podstaw koncepcji Polski Ludowej.

– **Trzeba powiedzieć jasno: przez cały okres niewoli ścierały się w Polsce trzy kierunki myśli politycznej, jeden, który można nazwać niepodległościowo-zachowawczym nie dał godnych uwagi i trwalszych efektów. Drugi, radykalny i niepodległościowy, wiązał zawsze kwestię odzyskania państwowości z dokonaniem reform socjalnych. Kościuszko, jakobini polscy, demokraci okresu Powstania Listopadowego i Wielkiej Emigracji, Czerwoni z 1863 r., bojownicy robotniczej rewolucji 1905 r. – to jeden i ten sam nurt. Poza wszystkim innym, dorobek intelektualny i moralny tego nurtu, wytwarzany przez kolejne pokolenia, jest wartością trwałą i cenną, dziś i w przyszłości. Trzeci wreszcie nurt zmierzał do ugody z zaborcami, a więc kapitulacji, czyli w efekcie prowadził do zdrady narodowej.**

– Zatrzymajmy się bliżej przy nurcie lewicowym. Cechowały go trzy zasadnicze składniki: dążenie do niepodległości, program głębokich reform społecznych oraz głęboki internacjonalizm. Hasła Legionów Dąbrowskiego – „Ludzie wolni są braćmi” – i Powstania Listopadowego – „Za Waszą wolność i naszą”, współdziałanie takich ludzi jak Potiebnia i Jarosław Dąbrowski, wspólna walka robotniczych rewolucjonistów polskich i rosyjskich z caratem, są wystarczającym dowodem. Kontynuatorami tej linii w latach drugiej wojny światowej stali się komuniści polscy. Odrzuciwszy i przezwyciężywszy błędy, które wcześniej pojawiły się w ruchu robotniczym, stali się oni kontynuatorami najlepszych tradycji postępowych i niepodległościowych, jak też stworzyli nowy, odpowiadający warunkom czasu historycznego program. Wynikał on z roli, jaką spełniała klasa robotnicza, a przez swój proletariacki charakter różnił się wyraźnie od radykalnych i demokratycznych nurtów przeszłości.

– **30 lat temu, w roku 1944 Koncepcja Polski Ludowej zaczęła być realizowana.**

– Nie było to łatwe. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego – pierwszy rząd Polski Ludowej, powstał w lipcu 1944 r., a dopiero rok później, po utworzeniu Rządu Jedności Narodowej w czerwcu 1945 r., Polska Ludowa uzyskała pełne uznanie międzynarodowe. Warto przypomnieć, że Rzeczpospolita, należąc do członków założycieli ONZ nie była reprezentowana na konferencji w San Francisco, na której ustanowiono tę organizację. Osobną kwestię stanowi sytuacja wewnętrzna: społeczeństwo było zdeintegrowane, rozbite, dochodziło do wydarzeń dramatycznych, znaleźliśmy się na skraju wojny domowej.

– Polacy strzelali do siebie, a ta krew przelana w bratobójczej walce najbardziej boli.

– Jeśli do tego dodamy, że społeczeństwo nasze znalazło się u progu zagłady biologicznej, że na każdy tysiąc Polaków 222 zginęło lub zostało zamordowanych, że kraj był zniszczony na skalę niespotykaną, a gospodarka zdruzgotana – łatwo sobie zdać sprawę, jak bardzo trudny mieliśmy punkt startu. Polska Ludowa potrafiła jednak od samego początku realizować swe najgłębsze założenia programowe: umacniać suwerenność i wprowadzać rewolucyjne przeobrażenia ustrojowe.

– Chciałbym poruszyć, Panie Pułkowniku, jeszcze inne zagadnienie. Warto zastanowić się nad rolą, jaką spełniała i spełnia Polsko Ludowa w naszej historii, tej minionej – i tej, która dopiero nadejdzie.

– Nie waham się użyć określenia, że jest to rola przełomowa. Po przeszło stu latach niewoli, w 1918 r. odzyskaliśmy niepodległość, lecz okazała się ona nie dość odporna na ciosy zewnętrzne. W latach drugiej wojny światowej przyszłość niepodległej Polski znów została zagrożona. Wyjściem pozwalającym na utrwalenie tej niepodległości, stała się Polska Ludowa. Nowa orientacja polityczna, głębokie socjalistyczne przemiany wewnętrzne, twórcza praca Polaków nad odbudową i rozbudową kraju w nowych, bezpiecznych jak nigdy w historii granicach, ważne miejsce, jakie zajmujemy w całej wspólnocie socjalistycznej, przyjacielskie stosunki z wszystkim sąsiadami, a zwłaszcza z ZSRR – oto zarówno efekty minionego 30-lecia, jak też gwarancja przyszłości, w którą możemy i powinniśmy spoglądać ufnie. Dziś Polska nie tylko znajduje się na karcie Europy, ale zajmuje na niej poczesną pozycję.

– Mówi się często, a jest w tym wiele racji, że świat współcześnie znajduje się w międzyepoce. Dawne układy zawałyły się, bądź padają na naszych oczach, nowe się rodzą. Sądzę, że Polską Rzeczpospolitą Ludową należy widzieć właśnie na tle międzyepoki. Jakież to prądy dominują we współczesnym świecie, jaka epoka się rodzi?

– Nie budzi chyba wątpliwości, że najbardziej znamionym procesem rozwojowym naszego czasu jest coraz szybszy rozwój ideologii socjalistycznej, promieniującej na cały świat, oraz towarzyszący mu proces powstawania państw narodowych na miejscu dawnych terytoriów zależnych i kolonialnych.

– Zjawisko tworzenia się i umacniania państw narodowych objęto już cały glob, z wyjątkiem resztek ostatnich imperiów kolonialnych, takich jak portugalskie (choć i ono, wprawdzie niejako ostatnie, już się kończy). Warto zwrócić uwagę na atrakcyjność ideologii socjalistycznej dla tych młodych państw.

– Niektórzy przeciwstawiają temu procesowi występujący równolegle trend integracyjny. Jest to nieporozumienie, a często celowe wprowadzanie w błąd. W rzeczywistości bowiem, zjawiska współczesnej integracji nie zmierzają do zaniku państw narodowych, lecz do umocnienia, a to na drodze zespolenia wysiłków odrębnych i suwerennych państw we wspólnym interesie. Tym się między innymi różni współczesna integracja,

znajdująca wyraz zwłaszcza na płaszczyźnie ekonomicznej od archaicznego modelu integracji imperialnej, w której wszystko podporządkowane było interesowi najsilniejszego.

– **Te wielkie tendencje współczesnego świata oddziałują również na rozwój Polski Ludowej.**

– Bez wpadania w przesadny optymizm, gdyż trudno zamykać oczy i nie dostrzegać trudności, jakie musimy przełamywać, stwierdzić należy, że droga, którą kroczymy, jest zgodna z ogólnymi procesami rozwojowymi świata. Największe niebezpieczeństwo grozi zawsze wtedy, gdy się jest w niezgodzie z logiką procesu historycznego, gdy się chce działać na przekór tej logice zamrażać albo galwanizować to, co przemija. Koncepcja Polski Ludowej, która nieprzerwanie stanowi dla nas drogowskaz działania, powoduje, że jesteśmy od tego czy podobnych niebezpieczeństw wolni.

– **Panie Pułkowniku, możemy już mówić o dziedzictwie Polski Ludowej. Czy nie sądzi Pan, że może najważniejszym czynnikiem tego dziedzictwa jest utrwalenie naszego odrębnego bytu państwowego i jego socjalistyczny charakter? U progu stulecia Polska niepodległa, ludowa i socjalistyczna mogła być tylko marzeniem niektórych; przedstawiciele różnych, nawet absolutnie sprzecznych ze sobą kierunków politycznych takie marzenie uważali za mrzonkę. Co więcej – szkodliwą mrzonkę. Dziś dla Polaków brak własnej państwowości i socjalistycznych założeń ustrojowych znajduje się poza granicą wyobraźni. Co za olbrzymia zmiana²¹⁵.**

²¹⁵ W toku tej rozmowy entuzjastą koncepcji Polski Ludowej jest przede wszystkim Załuski. Jednak Moczulski od jego poglądów się nie odcina, przytakuje mu, a w tym rozbudowanym pytaniu przedstawia swój punkt widzenia – dostrzega on pozytywty tego tworu państwowego, z którym za kilka lat rozpocznie jawną walkę. Można więc podejrzewać tu Moczulskiego, że – niezależnie od oczywistych ograniczeń cenzuralnych – jego postawę cechował w tym momencie pewien koniunkturalizm. Trzeba jednak podkreślić, że Moczulski także po założeniu KPN, na sali sądowej, w swoim ostatnim słowie, jesienią 1982 r., dostrzegał w Polsce Ludowej pewne pozytywty. Oto jego słowa: *Mój stosunek do PRL. Powstała bez mandatu społecznego, prawnego, moralnego – i wbrew woli Narodu, narzucona siłą przez Stalina (o czym świadczy m.in. proces moskiewski) z akceptacją Roosvelta i Churchila, w tajemnicy przed ich narodami, z przekroczeniem ich konstytucyjnych kompetencji. Nie uwiarygodniła się w sposób przewidziany prawem międzynarodowym, poprzez wolne wybory, zagwarantowane w Jalcie i przez porozumienie moskiewskie z czerwca 1945 r. Nie skorzystała z okazji uwiarygodnienia się społecznego do 1980 roku. Ani w roku 1948, 1956, 1968, 1970, 1976. Zwłaszcza w roku 1956 zawiodła nadzieje, była już blisko, ale się wycofała. Prawdopodobnie zbyt duży kredyt zaufania do jednej osoby nie pozwolił dojść do tego koniecznego minimum. Nadal uważam, że PRL jest odrębnym polskim tworem państwowym, podobnie jak w schyłkowym okresie I Rzeczypospolitej – monarchia Stanisława Augusta, osadzonego na tronie pod protektoratem carycy Katarzyny w 1764 r. mając za sobą różne historyczne momenty, począwszy od porwania nieposłuszných senatorów 1768 r., aż po czas Sejmu Wielkiego, zdolna do Konstytucji 3-Maja, ale również do Targowicy, ale będąca odrębnym polskim organizmem. Tak samo Księstwo Warszawskie, stworzone przez Bonapartego w sposób niewiarygodny, bezprecedensowy w całej historii Polski, eksploatowane przez Francuzów nie tylko gospodarczo. Jak Królestwo Kongresowe z lat 1815-30 – to Królestwo o pięknej, liberalnej Konstytucji. było czymś znacznie większym niż Królestwo z lat 1916-18, a zwłaszcza 1882, ale mniejszym od aspiracji, potrzeb i możliwości Polaków. PRL jest czymś nieskończenie większym*

– Oznacza to jedno: koncepcja Polski Ludowej zwyciężyła. Sprawdziła się, rozwinęła i umocniła. W otchłań historii odeszła Polska z lat drugiej wojny światowej, zagrożona w swym istnieniu biologicznym i państwowym. Zamkniętą kartą historii stała się Polska roku 1945, licząca 24 miliony obywateli, walcząca o uznanie nowej granicy zachodniej, przystępująca do odbudowy zrujnowanego kraju. Współczesna Rzeczpospolita, o ponad 33 milionach obywateli, trwałych i uznanych granicach, z rozwijającą się gospodarką – to zupełnie inny kraj. Przekształciliśmy i przekształcamy rzeczywistość, zmieniają się też, stają coraz ambitniejsze nasze aspiracje narodowe.

To, czego pragnęliśmy 30 lat temu, zostało już osiągnięte, a obecnie narastają nowe dążenia i pragnienia, na skalę nowych warunków i nowych naszych sił. Taki jest kierunek rozwoju. Dźwigamy Polskę wzwyż. Polskę dokonań i Polskę marzeń. Droga, którą przebyliśmy, świadczy o tym najwymowniej.

Rozmawiał Leszek Moczulski

* * *

WSPÓŁCZESNOŚĆ I HISTORIA.

ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ZAŁUSKIM²¹⁶

– Pamięta Pan wyraźnie ten obraz: gdzieś, za horyzontem, na bezchmurnym sierpniowym niebie – czarny tuman dymu płonącego miasta...

– Czy mógłbym kiedyś zapomnieć? Pamiętam to lato czterdziestego czwartego. Najpierw było bardzo piękne. W lipcu wyruszyliśmy z moich stron rodzinnych. Marsz przez Lubelskie, w jakiejś wielkiej euforii zwycięstwa i wolności. Piaszczysty brzeg Wisły, taki jak w piosence. Drewniany, długi most, gdzieś pod Holendrami. Zachodni brzeg. I następna rzeka, Pilica. Przed jej nurtem nowe miejsce postoju. Na krótko, na parę

od Królestwa Polskiego w 1831 r., ale w istocie swojej jest to czwarta forma państwa, które mimo swojej ograniczonej suwerenności, zaspokaja aspiracje większości obywateli – jest polskim odrębnym tworem państwowym. Wszystkie te twory miały w sobie coś małego i wielkiego. Monarchia była zdolna do wielkich osiągnięć kultury, oświaty, gospodarki, Sejmu Wielkiego i dwu powstań. Księstwo Warszawskie – do obrony honoru Polaków i pierwszej zwycięskiej wojny od czasów króla Jana III Sobieskiego. Królestwo Polskie – do Powstania Listopadowego (prawie wygrało wojnę z największym ówczesnym mocarstwem). Jestem przekonany, że tak – jak tamte – tak i PRL jest zdolna do czegoś wielkiego.

²¹⁶ „Stolica” z 1977 r., nr 3. Osobliwa rozmowa, zupełnie inna od poprzedniej, toczona w innej w atmosferze i w innym tonie. A także skupiona na innej tematyce. W tym czasie Moczulski był już jedną nogą w jawnej opozycji (trwały rozmowy między „niepodległościowcami” a grupą Kuronia w sprawie wspólnego powołania Ruchu Obrony). Osobliwość tej rozmowy polega na tym, że momentami obaj dyskutanci mówią tu otwartym tekstem, a niektóre pytania Moczulskiego są bardziej obszerne od odpowiedzi Załuskiego. Załuski zmarł 5 III 1978 r. i zdaniem Leszka Moczulskiego nie była to śmierć naturalna. Przed śmiercią mówił on Moczulskiemu, że przygotowywał jakieś wystąpienie polityczne grupy oficerów IWP, które miało być „mocniejsze, niż utworzenie Ruchu Obrony”.

dni – jak myśleliśmy. I gęstniejąca sieć okopów niemieckich przed nami. I wtedy całą jasną radość tego lata przystłoniły dymy płonącej Warszawy. Tak bliskiej – i tak dalekiej...

– **Lecz jednak doszliście.**

– Tak. Znów był wrzesień, słoneczny jak tamten wcześniejszy o pięć lat. Słyszę ciągle turkot furmanek z moimi moździerzami, gdy weszliśmy w ulicę Grochowską. Znów Wisła, za nią wysoka skarpa, płonące miasto. Tamte dni jawią mi się w oderwanych obrazach, pełnych huku, smak tynku w ustach – z walących się ścian. Był tylko jeden rozkaz, innego nikt by nie słuchał: na tamten brzeg...

– **Aż Wisła stała się czerwona od krwi.**

– Tak, aż Wisła stała się czerwona od krwi... A później, zaczęła się już zima, patrzyłem przez nożycową lornetkę z Parku Praskiego na Warszawę. Na naszych oczach dopełniał się jej los. Każdego dnia słyszać było eksplozje, widać burzone domy.

– **Wreszcie jednak ruszyliśmy znów.**

– Tym razem po lodzie. Jak odległe było wówczas to piękne lato, gdy dopiero zbliżaliśmy się do Wisły... Łódź łamał się pod naszymi moździerzami, saperzy musieli go wzmacniać. Potem poszliśmy łukiem, przez Służewiec, samym skrajem Warszawy.

– **Tak doszedł Pan do miasta, które nim odzyskało wolność, zostało zburzone. Jest Pan człowiekiem w jakiś sposób urzeczonym historią; kiedy do tego urzeczenia doszło? Czy w tym równie radosnym jak gorzkim momencie, gdy maszerowaliście obok ruin Warszawy, miasta, którego nie było dane wam ocalić? Czy później, w Kołobrzegu, lub u bram Berlina. A może wcześniej, gdy drogę zagradały wam ogień i woda, albo jeszcze wcześniej, nim dostaliście do ręki karabin? A może nastąpiło to jeszcze w dzieciństwie? Wychowywał się Pan w Siekierzycach nad Konopelką²¹⁷ w tej nazwie pobrzmiwa dobre pięćset lat naszej historii.**

– A może to wszystko razem?

– **Któż to wie... Wycofuję pytanie, bo nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi... Wspomniał Pan ostatnio, że każde następne pokolenie musi dostrzegać mądrość i hart swych dziadków i ojców, bo tylko wówczas może odpowiednio wyżej podnieść poprzeczkę. Proszę powiedzieć, choć domyślam się, co Pan powie, jaki wpływ na wysokość tej poprzeczki ma rozumienie i świadomość własnej narodowej historii?**

– Bez tego nie można jej umieścić inaczej niż tuż przy ziemi. Tylko historia może dać miarę porównawczą naszym współczesnym wysiłkom. Wszystko dzieje się w czasie i tylko w czasie jest porównywalne. Ale przecież historia nie tylko dlatego jest nam niezbędna. Chcę wrócić do formuły Lelewela: naród – to zbiorowa pamięć przeszłości.

– **Dodam cytat kogoś bardzo nam nieprzychylnego: odbierzcie im historię, a przestaną być Polakami²¹⁸.**

²¹⁷ Chodzi zapewne o Sikiricze nad Konopelką na Wołyniu w rejonie Kiwerekim. Konopelka jest dopływem Styru.

²¹⁸ „Odbierzcie Polakom ziemię i historię, a przestaną być Narodem” – słowa Bismarcka.

– Właśnie Przez dwieście lat w tym kraju walczyliśmy o cele wielkie: niepodległość, postęp społeczny, wolność ludzi, demokrację. Wszystkie te cele spaja w monolit rozumne, niebezkrwotycznie, ale pełne szacunku poczucie naszej historii. Bez jej odczuwania nie możemy być narodem.

– Przypominam sobie nasze rozmowy sprzed blisko piętnastu lat. Byliśmy wówczas w ogniu dyskusji o konstruktywną funkcję historii, wzorce narodowych postaw i kreatorskie walory tradycji. To wtedy może najgłośniej krzyczeli ci, którzy sądzili, że wielkie procesy społeczne mogą rozwijać się w oderwaniu od gleby, z której wyrosły, a więc – jak to eksponowano w „Królu Ubu” – w Polsce, czyli nigdzie. Obawialiśmy się, jak te prześmiejczy szyderców, czy raczej ludzi, którzy chętnie zobaczyliby Polaków odciętych od swych korzeni – wpłyną na dorastające wówczas pokolenie. Czy nasze obawy nie były jednak zbyt przesadne, czy nie pomniejszaliśmy siły narodowej odporności?

– Może ma Pan rację. To prawda, że tamto pokolenie, które już dorosło i coraz wyraźniej zaczyna dominować nad rozwijającymi się w kraju procesami – posiada poczucie narodowej historii, ciągłości i narodowej tożsamości. Choć może jest to poczucie tylko instynktowne. Więcej w nim serca niż wiedzy. Tak, nasze obawy były chyba przesadne, ale pamiętać trzeba o trwających szkodach, które wyrządzili i na inny sposób wyrządzają dziś szydercy. Nie potrafili oni wprowadzić osiągnąć swoich celów, bo jakiej to trzeba by mocy piekielnej, aby odebrać duszę narodowi. Ale uczynili wiele złego – utrudnili drogę choćby części młodzieży do zrozumienia własnej tożsamości i istoty własnych obowiązków. Zresztą walka nie jest bynajmniej zakończona. Raz po raz dają o sobie znać ci, dla których społeczne poczucie żywego związku z narodową przeszłością stanowi największą groźbę i przeszkodę.

– Tak, ta walka nie jest jeszcze zakończona. Ciągłe są aktualne te same wielkie cele. W tej walce o narodową świadomość wkraczamy, być może, w okres decydujący. Jakie elementy rozumienia naszej narodowej przeszłości są dla losów tej walki, pańskim zdaniem, najważniejsze?

– Na pewno poczucie niezłomności. Przecież historia naszych ostatnich dwustu lat – to historia niezłomności. Takiej, na której żadna klęska nie jest w stanie pozostawić rysy. A także ofiarności, gotowość do poświęcania interesów partykularnych tym największym, narodowym.

– Wspominając te ostatnie kilkanaście lat dyskusji i sporów, myślę, że dużo się w tym czasie nauczyliśmy. Kiedyś wiele spraw wydawało się nam zbyt proste – tak jak prosty jest żołnierski obowiązek. Ale chyba do reszty zrozumieliśmy, że to nie tylko działania zbrojne stanowią jedyne, czy też główne, narzędzie uzyskania niepodległości. Nawet więcej; zrozumieliśmy że same działania zbrojne nie mogą wystarczyć dla osiągnięcia tego celu. Stąd chyba bierze się nasze współczesne, o wiele pełniejsze niż kiedyś zrozumienie, że do najcenniejszego dorobku narodu polskiego należy nie tylko ofiarna walka o niepodległość, ale także konstruowa-

nie Rzeczypospolitej – państwa wolności i demokracji. W języku polskim słowo suwerenność ma najwyższy wymiar. Kojarzy się jednak ono nie tylko z państwem, także z suwerennością ludu, narodu. Czy nie sądzi Pan, że także w działalności publicystycznej, literackiej, artystycznej leży przed nami jeszcze jedno wielkie pole działania, być może w jakimś sensie ciągle pole niczyje?

– Drażyla mnie ta kwestia, m.in. gdy pisałem książkę o roku czterdziestym czwartym. Jest to przecież nie tylko rok wojny, wyzwolenia – ale w równej mierze rok budowy, tworzenia, trudnego otwierania dróg do przyszłości...

– Mnie też „czterdzieści cztery” kojarzy się z poszukiwaniem jutra²¹⁹...

– Ale w ten sposób dochodzimy do historii nam najbliższej. Do ostatnich trzydziestu paru lat. Boję się, że nasze spojrzenie – dziś żyjących, działających ludzi (a wielka ich część urodziła się już po wojnie) na naszą rzeczywistość najnowszą historię jest niepełne, bardzo niedoskonałe, że lepiej potrafimy odczytać nauki historyczne płynące z lat wojny czy wręcz wieku XIX, niż z naszych czasów.

– Jest to także i kwestia dystansu.

– Oczywiście, tego dystansu nam brakuje. Ale to nie jest wystarczający powód, aby wstrzymać się przed rzetelnym pogłębionym spojrzeniem na ostatnie trzydzieści lat, aby poddać analizie źródła naszych sukcesów i porażek, aby zrozumieć, które procesy są najważniejsze. Choćby z braku dystansu nasze wnioski były niepełne, to jednak do czegoś dojdziemy. Więc: dojść musimy, te ustalenia są nam bardzo potrzebne.

– I taki jest chyba konstruktywny wniosek z naszej rozmowy.

Rozmawiał LESZEK MOCZULSKI

* * *

²¹⁹ W sierpniu 1976 r. ogłoszony został dokument pod nazwą „Program 44”, do którego aluzję zrobił tutaj Moczulski, który był głównym autorem tego dokumentu (w pracach nad jego powstaniem uczestniczyli też inni ludzie, m.in. Jan Dworak i Piotr Krawczyk). Był to zarys reform ustrojowych w PRL, który miał – w myśl koncepcji Moczulskiego – stworzyć płaszczyznę współpracy między środowiskiem Moczulskiego i Czumy a środowiskiem Jacka Kuronia. Rozmowy na ten temat rozpoczęto na kilka miesięcy przed powstaniem KOR-u. Pod koniec 1976 r. zostały one wznowione. Do porozumienia nie doszło. Ostatecznie „niepodległościowcy” powołali samodzielnie pod koniec marca 1977 r. Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

TRWANIE: NIEZŁOMNOŚĆ I WYTRWAŁOŚĆ (ROZMOWA Z PROFESOREM STANISŁAWEM LORENTZEM)²²⁰

– Panie Profesorze, skończył Pan właśnie 75 lat, od trzydziestu dziewięciu lat pracuje Pan w tym samym gabinecie.

– Rzeczywiście, jestem jedynym w całym świecie dyrektorem Muzeum, który tyle lat dzierży to samo stanowisko. Mówię nieraz, że mam pretensję, bo od 1935 r. nigdy nie awansowałem. Wszyscy poawansowali, a ja ciągle jestem na tym samym stanowisku. W Luwrze, czy w muzeach londyńskich, włoskich, radzieckich, dyrektorzy w tym czasie zmieniali się po cztery czy pięć razy. Ale to oczywiście anegdoty. Istota rzeczy polega na czymś innym: otóż niewątpliwie ciągłość, zwłaszcza w zakresie kultury, jest niezmiernie ważna; ciągłość instytucjonalna, ciągłość koncepcji. Nie można bowiem tylko zaczynać i rzucać, realizować coraz to inne, nowe, odmienne, często sprzeczne koncepcje. Trzeba oczywiście zawsze rozwijać, przekształcać, uzupełniać, doskonalić, ale nie przez zaniechanie, a kontynuowanie tych samych przewodnich myśli.

– W Pańskim działaniu myśli przewodnie są chyba wyjątkowo klarowne. Mieszczą się one bez reszty w wielkiej, społecznej i patriotycznej funkcji sztuki. Przez cały wiek dziewiętnasty, a w nie mniejszym stopniu i przez dwudziesty, sztuka i zabytki przeszłości spełniały trudne do przecenienia rolę przy umacnianiu poczucia naszej tożsamości i edukacji narodowej...

– Bezwzględnie!

– ...a sędzę, że jej wpływ nie słabnie, a umacnia się nadal.

– Ten wpływ trwał ciągle. Możemy mówić z całą pewnością o okresie dwustu lat, począwszy od czasów Komisji Edukacji Narodowej. Wówczas zrodziła się świadomość, że zabytki przeszłości są nie tylko dokumentem historycznym, reliktem czy obiektem kultu, ale że stanowią one narzędzie wychowania i oświaty narodowej. Weźmy chociaż Puławy Czartoryskiej czy zbiory Stanisława Kostki Potockiego w Wilanowie. Gromadzono wówczas na szerszą skalę rzeczy polskie, zaś Stanisław Kostka Polocki zgromadził wszystkie pamiątki po Sobieskim jako wielkim bohaterze narodowym. Czyniono tak w przeświadczeniu, że te zbiory stanowią nie tylko kolekcję dzieł sztuki, ale przede wszystkim mają ogromne znaczenie dla utrzymania idei niepodległości, wychowania w patriotyzmie. Przez cały okres niewoli sztuka polska, jej zabytki były nie tylko świadectwem naszego twórczego ducha i wspaniałej przeszłości, ale spełniały podstawową funkcję pomagania i umacniania poczucia odrębności i dumy narodowej. W czasach Drugiej Rzeczypospolitej doszedł nowy czynnik. Przecież ten naród odradzał się po po-

²²⁰ „Stolica” z 1974 r., nr 19. Prof. Stanisław Lorentz, związany był przed wojną z sanacją, a po 1956 r. współpracował z nurtem niepodległościowym (zob. M. Lewandowski, *Interrex*, s. 217). Był też inicjatorem odbudowy Zamku Królewskiego (jako symbolu niepodległej Polski), którą to akcję gorąco poparło środowisko „Stolicy”.

nad stuletniej niewoli i podziałach rozbiorowych, a choćby z tego względu był bardzo zdeintegrowany, zróżnicowany. Trzeba było go scalać. I tutaj zabytki odgrywały rolę nie najważniejszą, ale istotną.

– **A dzisiaj?**

– Przybył dodatkowy czynnik. Wpływa on z unifikowania się świata, który nas otacza. Widzimy to głównie w zakresie gospodarki, ale także i kultury. Ziemia skurczyła się bardzo, zmalała, dzisiaj w telewizji widzimy natychmiast albo prawie natychmiast to, co dzieje się w Ameryce czy na krańcach Azji, wszędzie w świecie śpiewa się te same piosenki, a obrazy eksponowane w nowojorskiej galerii oglądać możemy w naszych ilustrowanych magazynach. W ten sposób wszystko, a zwłaszcza kultura i sztuka przenika się coraz bardziej, nabiera charakteru uniwersalnego, międzynarodowego i ponadnarodowego. Ta zunifikowana kultura dociera do nas natychmiast, wszelkimi środkami przekazu, atakuje naszą świadomość wpływa na jej kształtowanie. W ten sposób świat staje się jedną całością. Czy to złe, czy dobre? To dobrze, ale nie zapominajmy, że te procesy unifikacyjne niosą z sobą również poważne niebezpieczeństwa. Chodzi o to, aby w tej powodzi płynącej z całego świata, nie zagubić się, nie stracić własnego oblicza. Nie jestem przeciwny temu, aby wiedzieć i korzystać z wszystkiego, co się na świecie dzieje, co inni stworzyli, ale nie mamy prawa tylko powtarzać; musimy sami tworzyć i temu, co tworzymy, nadawać odrębny polski charakter.

– **Dotyczy to nie tylko kultury i sztuki.**

– Oczywiście. Weźmy na przykład wielkie, masowe budownictwo. Zrozumiałe, że musimy tutaj korzystać ze wszystkich najnowszych doświadczeń światowych. Ostatecznie, dzisiaj buduje się domy z prefabrykowanych, a nie pojedynczych cegieł. Chodzi tylko o to, abyśmy nie powtarzali architektury zapalczanych pudełek skądś tam zapożyczonych; komponujemy nowe dzielnice sami, w zależności od warunków miejscowych, nadawajmy im indywidualny wyraz i oblicze. Niech one będą naszym własnym wkładem, w tym wypadku w architekturę światową. Uważam, że jest to niezbędne nawet nie z przyczyn estetycznych, ale po prostu konieczne dla zdrowego, dobrego bytowania współczesnego człowieka. Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdybyśmy nie odbudowali dawnej Warszawy: Starego Miasta, Krakowskiego Przedmieścia. Nowego Światu...

– **A także nie zachowali Hożej czy Żurawiej.**

– Właśnie. Otóż gdybyśmy tego nie uczynili, na Warszawę składałyby się tylko albo MDM-y budowane w latach pięćdziesiątych, albo pudełka od zapalek z lat następnych. Czy wyobraża Pan sobie całą Warszawę zbudowaną na kształt osiedla Za Żelazną Bramą, czy choćby osiedla Stegny? Ludzie, którzy musieliby mieszkać w takim mieście, byłiby nieszczęśliwi. Człowiek, który przemierzałby po mieście całe kilometry i wszędzie widział to samo, nie mógłby przecież normalnie żyć. Zrobiliśmy rzecz wprost genialną, odbudowując najbardziej zabytkowe części miasta i zachowując jego ocalałe pozostałości, bowiem dzięki temu Warszawa nie tylko ma swój odrębny wyraz,

ale jest miastem, w którym można mieszkać. Człowiek musi mieć zmianę wrażeń, jest to dla zdrowia psychicznego niezbędne.

– Wróćmy jednak do zabytków, o których zaczęliśmy mówić. Bezsprzecznie, poza wszystkim innym, nadają one krajobrazowi zindywidualizowany wyraz, ratują przed unifikacją.

– Z wielką radością przyjąłem utworzenie Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, bo jestem przekonany, że ich ratowanie to sprawa najważniejszej wagi. Zwłaszcza że nadal występuje tutaj wiele nieporozumień. Wcale bowiem nie chodzi o to, aby ocalić jeden czy drugi budynek, ale o uratowanie czegoś znacznie większego: polskiego narodowego charakteru. Pejzażu polskiego, krajobrazu, wraz z architekturą.

– Zwłaszcza, że wojny, zaborcy i okupanci większą jego część obrócili w gruzy. Zostało nam już mało...

– Bardzo mało. Wszystkich zabytków, nawet z najdrobniejszymi, jakimiś kapliczkami przydrożnymi, mamy ledwo trzydzieści sześć tysięcy. Proszę porównać. W Wielkiej Brytanii zabytków I i II klasy, którymi opiekuje się państwo, jest 330 tysięcy, we Włoszech ponad 600 tysięcy. Dlatego tak cenna jest akcja podjęta w ostatnich latach przez Ministerstwo Kultury i Konserwatora Generalnego wykorzystywania budynków zabytkowych dla celów współczesnych. Nie stać nas na to, aby z każdego zabytku urządzić muzeum, nie byłoby to zresztą wcale słuszne. Niech utrzymuje je użytkownik. Ta akcja już w pierwszym roku przyniosła doskonały rezultat, obejmując tak wspaniałe zabytki jak Krasiczyn czy Niepołomice; na razie zawarto osiemdziesiąt siedem umów o użytkowanie, w przygotowywaniu jest dwieście dalszych.

– Tych efektów nie da się zaprzeczyć, ale potrzeby są wielokrotnie wyższe.

– Oczywiście! Dla mnie każdy, kto nie szanuje zabytków, jest przestępcą! Także ten, kto zabytek niszczy, choćby był w ruinie. Niech stoi w ruinie tak długo, aż go ktoś nie będzie mógł zakonserwować czy odbudować. Mówią niektórzy: wybierzcie sobie w danym regionie piętnaście najciekawszych zabytków, damy na nie potrzebne fundusze, ale z reszty, powiedzmy z dwustu pięćdziesięciu zabytków należy zrezygnować. Wymaga tego rzekomo porządkowanie kraju. Otóż, to nie jest porządkowanie, tylko odpolszczanie kraju. Gubienie narodowego pejzażu. W latach niewoli zabytki były tylko jednym ze sposobów w naszej walce o niepodległość, obecnie chodzi o ratowanie naszego charakteru w epoce, gdy na świecie wszystko się unifikuje. A także ratowanie naszego odrębnego wkładu, który wzbogaca wartości najbardziej zunifikowane kultury światowej.

– Czy nie sądzi Pan Profesor, że równolegle i kompleksowo, powinniśmy walczyć o ochronę krajobrazu i zabytków, wszystkie te elementy traktując łącznie?

– Ochrona krajobrazu i zabytków jest taką samą ochroną środowiska, jak troska o czystość wody czy powietrza. Oczywiście, możemy tę ziemię zniszczyć w taki sposób, że nie będzie nam się chciało na niej żyć. Ale jest to wizja, o której strach myśleć. Piękno krajobrazu jest nam niezbędne dla normalnego życia, nie możemy go stracić

czy roztrwonić. Bardzo łatwo jest wyciąć lasy, zniwelować pagórki, wszystko zabudować zakładami przemysłowymi. Nie występuję przeciwko rozbudowie przemysłu, jest to najbardziej potrzebne, ale trzeba nowe zakłady wznosić tak, aby nie marnować skarbów naszej ziemi. Budując, trzeba pamiętać o zachowaniu charakteru krajobrazu. Oczywiście, bardzo wiele zależy od lokalizacji.

– **Panie Profesorze, z podziwem obserwuję Pańską energię i wytrwałość, z jaką działa Pan w naszym życiu publicznym od tylu lat. Praca naukowa, działalność społeczna, odczyty w kraju i na wszystkich krańcach świata, coraz to nowe pomysły i inicjatywy, wreszcie samo Muzeum Narodowe, które przejął Pan jeszcze w trakcie budowy gmachu. Czynił to Pan bez względu na okoliczności, przed i po wojnie, podczas okupacji w najbardziej nawet trudnych okresach. Co jest źródłem tej siły, która pozwala Panu z tak wielkimi efektami walczyć o naszą kulturę. W każdych warunkach potrafił Pan robić to, co Pan uważał za słuszne. Jak się to Panu udało?**

– Recepta jest prosta: robię to, o czym jestem przekonany, że jest słuszne i potrzebne. Jeśli coś uważam za niesłuszne, nikt mnie nie zmusi, abym to czynił. Bardzo otwarcie protestuję i walczę bez względu na konsekwencje. Po raz pierwszy zostałem wyrzucony ze służby państwowej w roku trzydziestym pierwszym czy drugim przez premiera Prystora, za odmowę – jako konserwator – wydania zezwolenia arcybiskupowi wileńskiemu Jałbrzykowskiemu na sprzedaż za granicę gobelinów, zresztą w szlachetnym celu, bo na ratowanie zalanej powodzią katedry. Nie wykonałem wówczas polecenia ministra i premiera i zostałem zawieszony. Ale po tygodniu tę restrykcję cofnięto.

– **Na jesieni minie trzydzieści pięć lat, odkąd Pan zaczął ratować Zamek... – Czy w tym czasie nigdy nie stracił Pan nadziei, że Zamek zostanie przywrócony do życia w dawnym kształcie?**

– Nie, nigdy. Absolutnie, nigdy nie miałem żadnej wątpliwości. Nie wiedziałem tylko, kiedy to się stanie. Ani wtedy – gdy Zamek płonął, ani w czasie okupacji, ani podczas Powstania, ani wtedy gdy Zamek został wysadzony w powietrze, ani nigdy później. Zawsze myślałem tylko o jednym: co zrobić, aby jak najwięcej uratować. Jeśli mnie pytają, kiedy powstała idea odbudowy Zamku, odpowiadam, że we wrześniu 1939 r.

– **Panie Profesorze, kończąc już, jak najkrócej można określić sens Pańskiej pracy?**

– Walczę o kulturę narodową. Na moim skromnym odcinku walczę tak gorąco i o odbudowę Zamku, i o ratowanie zabytków, i o ochronę krajobrazu – nie tylko dlatego, że to jest piękne, ale z tego powodu, że jest to niezbędne dla naszego życia.

Rozmawiał LESZEK MOCZULSKI

Rozmowa odtworzona wedle zapisu magnetofonowego

* * *

TRWANIE POPRZEZ KLIMATY (ROZMOWA Z MELCHIOREM WAŃKOWICZEM)²²¹

– Czy jest Pan warszawiakiem?

(Mówię to tonem lekko zaczepnym: co może odpowiedzieć człowiek, który prawie całe życie spędził w Warszawie? Melchior Wańkowicz waha się ułamek chwili, ale odpowiada stanowczo).

– Nie. Pochodzę z bramy smoleńsko-witebskiej, gdzie na 70 kilometrach między Dźwiną a Dnieprem było 28 wielkich pobojuwisk. Jestem z dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Z ziemi, gdzie przełamywały się nieprzerwanie dwie wielkie kultury: Rzymu i Bizancjum.

– A Warszawa?

– Tutaj spędziłem większą część życia, począwszy od drugiej klasy szkoły średniej. Tylko z przerwą na studia na Uniwersytecie Jagiellońskim – no i te 17 lat przebytych na emigracji.

– Jestem pierwszy raz w Pańskim nowym domu. Gdy tu wchodziłem, przypomniało mi się „Ziele na kraterze”. Ile Pan miał właściwie w tych domów – prawdziwych domów?

– Pięć. Najpierw tam, gdzie się urodziłem: Kałużyce. Drugi dom – to willa na Żoliborzu. Trzeci – willa na Ealingu w Anglii. Czwarty na Long Island, w Ameryce. I teraz piąty.

(Melchior Wańkowicz siedzi w fotelu za wielkim biurkiem, na tle regałów. Gabinet, w którym rozmawiamy, podobnie jak cały dom, urządzony jest bardzo nowocześnie choć wygodnie. Stary człowiek mieszka w nowym domu, nie tylko nowym, że świeżo wybudowanym, ale przede wszystkim nowym w swym kształcie, wystroju, wyglądzie).

– Te domy młodnieją. Urodził Pan się w starym, rodzinnym dworze. Od ilu pokoleń zamieszkałym?

– No... Pożar był 200 lat wstecz, teraz już 300 lat mija. Dziadowie przenieśli się wówczas do domku ekonomicznego, a później obrastał on w przybudówki i dobudówki. Z przodu pozostała kolumnada małego dworku, a w głębi...

– Tamten dom służył przez 200 lat. A następne? Ten na Dziennikarskiej?

²²¹ „Stolica” z 1974 r., nr 20. W ramach przyszłej jawnej działalności zamierzaliśmy uruchomić pismo wychodzące jawnie, ale poza cenzurą. Szukałem redaktora i w pewnym momencie wpadłem na pomysł, że może nim być Wańkowicz. Pan Melchior mocno się wahał, ale wykorzystałem moją długoletnią z nim znajomość i wspólną pilsudczykowską orientację, aby skłonić go do wyrażenia zgody. W końcu uległ moim namowom. Redakcja miała się mieścić w jego mieszkaniu na ulicy Studenckiej. Był to doskonały pomysł. Wańkowicza nie sposób było zamknąć, a równocześnie jego nazwisko zapewniłoby pismu olbrzymi rozgłos. Niestety zanim pomysł mogliśmy wcielić w życie Wańkowicz zmarł. A. Dudek, M. Gawlikowski, Leszek Moczulski. Bez wahania, s. 119.

– Na Żoliborzu mieszkalem dziesięć lat. W trzecim domu – dwa lata. W czwartym – jakieś trzy lata. No a ten służy mi już dwa, właściwie trzy miesiące.

(Melchior Wańkowicz patrzy w okno. Zapadł wieczór, jest ciemno, nie widać, że na zewnątrz zaczęła się wiosna. W pokoju jest jasno i ciepło).

– **Więc trzy miesiące. W swoim życiu, na nowo zakorzeniał się Pan cztery razy. Tylko raz jako dziecko wszedł Pan w dom, który trwał obrośnięty przybudówkami i tradycją, wszedł Pan w klimat, który istniał setki lat, dziesiątki pokoleń, w krajobraz tej Polski wiecznej, która była zawsze, świadoma ciężaru całej swojej przeszłości. A potem cztery razy rzucony wiatrem historii, musiał się Pan zakorzeniać na nowo.**

– Napisałem przecież książkę „Przez cztery klimaty”. Zmieniały się miejsca i czasy.

(Wańkowicz nie wzrusza ramionami, ale czuję niemal namacalnie, że ten gest następuje gdzieś wewnątrz jego psychiki. Tonem głosu akcentuje, że nastąpiła przecież rzecz normalna: w czas między epoki wszyscy zakorzeniają się na nowo).

– **Uważa więc Pan, że te Pańskie osobiste losy, zakorzeniać się raz po raz na nowo, często nietrwale – tak jak właśnie ziele na kraterze, są w jakimś stopniu paralelne do naszych losów narodowych?**

– Czy tylko moje? Jeśli ktoś czynnie uczestniczy w życiu narodu, to jego losy muszą przebiegać tak jak losy wspólne. Tych paraleli jest zresztą więcej. Widzi Pan, jesteśmy krajem bardzo ciekawym pod względem naszych wewnętrznych kontrowersji. Znajdujemy się na pograniczu kultury euroazjatyckiej i zachodnioeuropejskiej. W mojej ziemi rodzinnej, owym dawnym Wielkim Księstwie, było to jeszcze bardziej widoczne. Stroje – orientalizujące, naloty językowe, ale i jakieś wartości głębsze: przecież to wszystko bardzo nas różni od Zachodu. Przypomnijmy sobie, że na Zachodzie była większa równowaga sił społecznych. W dawnej Rzeczypospolitej szlachta stanowiła dziesięć czy nawet piętnaście procent społeczeństwa, gdy na Zachodzie dwa lub trzy procent – ale obok niej było tam wielkie mieszczaństwo, które wpływało swoją kulturą na oblicze całego narodu. U nas istniały dwie zupełnie różne i nieprzenikające się kultury: szlachecka i chłopska...

(Oponuje, że może teza jest zbyt ostra, skrajna, że te kultury wpływały na siebie nawzajem, ale Melchior Wańkowicz nie godzi się z tym, mówi dalej:)

...Kultura szlachecka – imponderabiliów i kultura chłopska – realiów. To się w całym naszym bycie ciągle odzwierciedla. Także w naszych ocenach nas samych. Kiedyś w rocznicę Powstania Styczniowego zaprosiłem kilka osób – byli: Kieniewicz, Jasienica, Bieńkowski, Stomma i Bocheński. Postawiłem pytanie: czy to Powstanie było w naszych dziejach minusem, czy plusem? I wie Pan, na czym stanęło? Trzy głosy za, trzy przeciw!

– **Ciekawe, kto był przeciw, to znaczy uważał Powstanie za minus?**

– Niestety, znalazłem się tutaj w złej kompanii, ze Stommą i Bocheńskim. Uważaliśmy, że to Powstanie było niepotrzebne.

– Ale gdyby nie było tego Powstania, być może dzisiaj nie rozmawialibyśmy po polsku!

– Nie wiem, proszę Pana. Pod Białą Górą w roku 1620 wycięto całą szlachtę, a dzisiaj rozmawiają po czesku.

– To jest argument za moją tezę. Zwłaszcza, że klęska Powstania Styczniowego daleka była jeszcze od katastrofy czeskiej w Wojnie Trzydziestoletniej. Wreszcie czy to Powstanie nie przyczyniło się do zbliżenia kultury chłopskiej i szlacheckiej, której rozdział tak Pan akcentuje?

– Nie wiem, proszę Pana, nie wiem... Widzi Pan, u mnie zawsze działają awersje do poszlacheckiej kultury, a z jej ducha wyrosło przecież i tamto powstanie. Wyszedłem z tej kultury. Jestem bardzo przywiązany do tradycji i ciężko przeżywałem rozpadanie się kultury poszlacheckiej. A prawda była taka, że do tej kultury nie dopływała kultura chłopska. Ale mówiliśmy o kontrowersjach wewnętrznych. Uważam, że nasz naród jest bardziej skazany na te kontrowersje niż którykolwiek inny. Choćby ze względu na przewiew między dwiema cywilizacjami. Świadomość tego przewiewu doprowadzała do szalenie pesymistycznych wniosków, że przypomnimy chociażby tezy Nałkowskiego. To jest jedna kontrowersja, geopolityczna. Drugą kontrowersję wywołały względy klasowe: istniały dwie odrębne, hermetycznie zamknięte grupy, szlachecka i chłopska, zupełnie inaczej niż na Zachodzie, gdzie te grupy łączyły z sobą liczne mieszczaństwo. A takich kontrowersji można wskazać więcej...

– Na pewno. Pozostaje jednak kwestia ich oceny. Poglądy Nałkowskiego skontrował udalnie Eugeniusz Romer, który wykazał co innego: ziemie Rzeczypospolitej stanowią samodzielną całość, a przez to są czynnikiem zespalającym Wschód i Zachód. Tezy krakowskiej szkoły historycznej o niemożności utrzymania odrębnej państwowości – co miały powodować wewnętrzne czynniki dezintegracyjne – obaliła nie tylko szkoła warszawska, ale przede wszystkim sam rozwój historii.

– Nie zmienia to faktu istnienia głębokich kontrowersji. Występowały one u nas zawsze. A przecież dziedziczymy je: pisarz, który chce pisać o swoim narodzie, jest bez reszty zaplątany w te kontrowersje. Oczywiście, jeśli chce pisać uczciwie.

– Czy uważa Pan, że te kontrowersje są nieusuwalne, że zawsze będą na nas ciążyły?

– Jesteśmy teraz w Polsce na dwu falach: na fali optymizmu i na fali pesymizmu. Optymistyczne jest to, że po raz pierwszy w naszych dziejach zrasta się kultura szlachecka z kulturą ludową. W czasach Drugiej Rzeczypospolitej społeczeństwo zyskało uświadomienie polityczne i narodowe, dzięki czemu tak wspaniale zdaliśmy egzamin w minionej wojnie. Ale dominowała wówczas ciągle kultura poszlachecka. Dopiero w ostatnich trzydziestu latach następuje coraz szybciej stapianie się tych dwóch kultur. To jest pierwszy wielki plus. A drugi, że zaczynamy nareszcie znowu coś znaczyć na świecie, w miarę rozwoju naszych aktywów. Jesteśmy coraz bardziej prężni, co się liczy, tym bardziej że kultura i cywilizacja zachodnia jest współcześnie atakowana

przez cztery inne i w poważnym stopniu im ulega. Idziemy, cały świat, ku jakiejś cywilizacji uniwersalnej. Oczywiście, cywilizacja zachodnia nie zaginie, tak jak kiedyś nie zaginęła helleńska. Od naszej prężności będzie zależeć, jakie miejsce zajmiemy w tej przyszłej cywilizacji uniwersalnej. Czasu nie da się odwrócić... w pełni doceniam fakt, że przenikanie się kultur stwarza kolejną kontrowersję, od której nikt nie może być wolny.

– Oczywiście, ma Pan wiele racji uważając, że czynniki uniwersalne mogą pozostawać w kontrowersji z rodzimymi. Na pewno pozostają. Ale czy wszystkie – i zawsze?

(Teraz wywiązuje się dłuższa rozmowa o tym, czy procesy rozwojowe, które w ostatnich latach zaczęliśmy określać terminem rewolucji narodowej czy wręcz rewolucji ojczyzn są przeciwstawne w stosunku do dążeń uniwersalnych – czy też stanowią dla nich podstawę? Procesy integracyjne mogą następować tylko między społecznościami, zdolnymi już do całkowitego określenia swej odrębnej tożsamości i indywidualnego wyrazu. Czy uniwersalizm oznacza unifikację, czy też raczej związek osobnych różnorodności, które umacniają się jeszcze bardziej wewnętrznie zamiast zanikać? Poszukiwanie własnego oblicza często prowadzi do bezwiednego lub świadomego kopiowania innych wzorów, to prawda, ale przecież kopiowanie stanowi tylko fazę wstępną, zastępowaną później naturalną reakcją, nawrotem do wypuklania cech indywidualnych, odrębnych i niepowtarzalnych. Wreszcie, jeśli Polska jest pełna kontrowersji, to w jaki sposób Europa, której jesteśmy częścią, może być od nich wolna? I odwrotnie. Nie tylko nasi pisarze szamoczą się ze sprzecznościami – godzimy się obaj z tą tezą, a Melchior Wańkowicz zaczyna tłumaczyć, jak się to u niego przejawia:)

– Przez całe życie byłem kontrowersyjny. Są pisarze, którzy lubią ten sport: na przykład Irzykowski czy Nowaczyński. Ja tego sportu nie lubię. Chciałbym budować, pomagać. Jestem dośrodkowy. Ale zawsze tak się zdarza, że muszę obieć karafkę La Fontaine’a z drugiej strony, zobaczyć jak załamuje się w niej słońce.

– Może nie wszyscy, na pewno nie wszyscy, niewielu z naszych pisarzy uwikłanych jest w takie same lub inni kontrowersje.

(Wańkowicz sięga do własnych wspomnień sprzed jakichś dwudziestu lat: przypomina, co wówczas niektórzy i w kraju, i na obczyźnie o nim pisali. I nie tylko pisali, bo w pewnej szkole emigracyjnej dla dziewcząt na rozkaz dyrektorki uczennice uroczyście spaliły „Kundlizm”).

– Nie chcę eksponować w tych sprawach własnej osoby, ale czy zmienny stosunek do tych samych moich książek nie jest przejawem wielkiej kontrowersji, w którą uwikłani jesteśmy wszyscy? Wyczytywałem kiedyś, głównie z powodu „Sztafety”, niesamowite bzdury o sobie, pod niesłychanie ostrymi tytułami. Któż tego nie pisał? Pisał tak Kąkolewski, który teraz książeczkę o mnie wydał, pisał Bratny, który jest moim wielkim przyjacielem – a Mrozek ogłosił cztery artykuły z rzędu, zakończone stwier-

dzeniem, że dla takiego jak pan Wańkowicz nie ma miejsca w Polsce. No cóż, dzisiaj to ja jestem w Polsce...

– **Minęły lata i sytuacja zmieniła się. To są tylko sezony, te wszystkie różne klimaty, a takie mody i tzw. obiektywne konieczności – ale przecież chyba my w Polsce umiemy żyć nie sezonowo; my wiemy, że jesteśmy wartością trwałą, niezależnie od zmiany klimatu. Zakorzeniliśmy się tutaj od tysiąca lat z okładem i nie boimy się sezonów. Jeśli więc mówimy o tych wszystkich Pańskich niegdyś krytykach, którzy potem się zmienili, albo i nie zmienili – to dlaczego tak się dzieje? Czy chodzi tylko o to, że poprzednio Wańkowicz nie podobał im się, a teraz podoba – i to bardzo? Czy kontrowersja występuje tylko między tym, co pisano kiedyś, a co pisze się dzisiaj? Myślę, że chodzi tutaj o kwestię głębszą: niegdyś i dziś, ci sami ludzie – jeśli tylko są uczciwi – szamocą się z tymi samymi kontrowersjami, które w różnym czasie tworzą różne co do siły i kierunku presje i imperatywy.**

– Oczywiście, ale sprawa nie jest wyczerpana. Działo nie tylko tchórzostwo i nie tylko te presje, o których Pan wspomniał, lecz z drugiej strony także modnisiostwo, jakieś egzystencjalistyczne czy inne takie. Kultura polska jest tak wspaniała i rozległa, że w nią można wlewać wszystko. Jeśli tylko coś jest z talentem napisane, mieści się w niej doskonale. Na przykład „Wariacje pocztowe” Kazimierza Brandysa – proszę bardzo! – Wszystko, co jest naprawdę literaturą, niezależnie od tego, co głosi, mieści się w naszej kulturze. Pisarze uciekali ze swoim pisarstwem, kryli się w różnych egzystencjalizmach, bo w Polsce był do tego grunt, była rozpacz i było zwątpienie. Ale literatura ucieczki i krycia się nie wystarcza, potrzebne jest pisarstwo społeczne.

– **Tutaj życiorysy literackie są często bardzo wymowne.**

– Do takich kiedyś *par excellence* społecznych pisarzy, którego zepchnięto do tematów pięknoduchowskich pochwał pederastów – choć z wielkim artyzmem pisanych – należy przecież Andrzejewski. Mnie trochę mierzi książka „Obywatele” Kazimierza Brandysa, ale on od niej dotarł do „Listów do pani Z.”, a ostatnio do tych „Wariacji pocztowych”. Powiedziałem już, że jest to napisane z talentem i na pewno wzbogaca naszą kulturę, ale jeśli myślimy o funkcjach społecznych, to nie widzę ich w opisie, jak ktoś spółkuje z małpą, albo zjada własną nogę. Tutaj chyba zatracona została jakaś równowaga. Wszystkie takie mody pozwalają się, być może, dorabiać – ale naprawdę są ucieczką, a zysk społeczny z niej wielce wątpliwy. Zwłaszcza, gdy ktoś naiwnie uwierzy w modę sezonową i myśli, że to modnisiostwo egzystencjonalne czy jakieś tam jeszcze inne stanowi prawdę uniwersalną i objawioną. Jeśli Osęka napisał, że się wstydzi własnego wzruszenia na filmie „Hubal”, no to... Niby dlaczego się wstydzić? Pewnie, jeśli coś jest napisane albo zrobione mętnie i niezrozumiale, trudno się wzruszyć. Skąd jednak ten wstyd? Czy można się wstydzić reakcji naturalnych u normalnego człowieka? A cmokać nad opisem spółkowania z małpą?

(Wcześniej jeszcze Melchior Wańkowicz przeniósł się zza biurka na fotel przy stoliku. Rozmawiamy już trzecią godzinę. Z podziwem obserwuję niespożytą siłę

ponad osiemdziesięcioletniego przecież pisarza. Mówi precyzyjnie, z temperamentem:)

– A przecież modnisiostwo przejawia się nie tylko w tym, co się pisze, ale i jak się pisze. My jesteśmy ze starej szkoły Sienkiewicza. Orzeszkowej, Prusa – a byli to pisarze, którzy umieli pisać tak, że czytelnik rozumiał, o co chodzi. Oczywiście, takie pisarstwo wymaga wysiłku, trzeba solidnie popracować. Często się zdarza, że pisarz chciałby wzorować się na książce, której nie zrozumiał – i tylko niezrozumiale pisze, bo na więcej go nie stać. On nawet nie łże w tym, co pisze, ale po prostu nie potrafi. Opowiem Panu taką anegdotkę, kiedy zacząłem czytać Gombrowicza, a dostałem go w odcinkach, obudziłem w nocy żonę i mówię: słuchaj, ale to jest świetnie napisane! Po jakimś czasie otrzymałem dalszy odcinek, położyłem i nie czytam. Żona pyta dlaczego. Powiedziałem, że przeczytam później; nie spieszy mi się, bo już wiem jak on to robi. Ci, którzy często chcą pisać tak jak Gombrowicz, nadal nie wiedzą, jak on to robi. Dlatego wiele książek odkładałem. „Wariacje pocztowe” przeczytałem tylko w jednej trzeciej. Zainteresowały mnie natomiast książki Jasienicy, Łojka o Powstaniu Listopadowym...

– Lepiej wróćmy do głównego tematu: do tych polskich kontrowersji, klimatów i przemian. W „Zielu na kraterze” jest scena mazura w wili na Dziennikarskiej, tuż przed wybuchem Powstania. Znamy późniejsze tragiczne biografie tych, którzy brali udział w zabawie. Proszę Pana, gdyby dzisiaj w tym domu, gdzie Pan mieszka już trzy miesiące, doszło do podobnej zabawy młodych ludzi, mógłby Pan przewidzieć przyszły los tancerzy? Bo tamten los, na kartach „Ziela na kraterze” w każdym razie, był już zdeterminowany. Czy dzisiaj też? I jak?

– Nie wiem. Myślę, że ich losy potoczą się zupełnie inaczej. Ale jak?

– Ziele na kraterze odradza się zawsze? Co jest według Pana ważniejsze, bardziej świadczące o istocie naszych narodowych losów: to odradzanie się, czy też wybuchy lawy z krateru?

– Nie wiem. Może jedno i drugie?

– Powtórzmy, o czym już mówiliśmy: urodził się Pan w domu, który istniał, żył, trwał od 200 lat. Gdy wchodził Pan w życie dorosłe, ta stabilizacja zawałała się – i potem zawałała się jeszcze kilka razy. W sumie stworzyło to stan trwania przez różne klimaty. Czy kolejne Pańskiego osobistego losu nie są czasem kluczem, przy pomocy którego odczytuje Pan nasz los wspólny?

– Może... Na pewno.

– Ale przecież Pański osobisty los jest typowy tylko dla pewnego, zakończonego już wycinka naszej historii. Od blisko trzydziestu lat Polacy stabilizują się, a nie są zalewani lawą z krateru. Czego dokona pokolenie, które z tej stabilizacji wyrosło? Pokolenie, które wyrosło ze stabilizacji czasów Pańskiej młodości, potrafiło zdobyć niepodległość. Co potrafi współczesne?²²²

²²² Bardzo czytelna aluzja. Końcowy fragment rozmowy jest porywający u obu rozmówców.

– Nie wiemy jeszcze, jakim ono jest, czy też będzie. Jakie prawdy będą się w nim ścierać. Myślę, że już nie będzie kontrowersji między prawdą szlachecką a chłopską. Tak jak to było kiedyś. Prawdę szlachecką reprezentował Hubal, walcząc niezależnie od tego, jaką miał szansę. Prawdę chłopską uosabiał Sucharski na Westerplatte, obliczając, czy są jeszcze szanse, czy trzeba kapitulować. Jakie prawdy będą się ścierać jutro?

– **Może w odczytaniu tego pomocny nam będzie przykład Władysława Raginisa, obrońcy Wizny, chłopskiego syna, który zrozumiał – i dlatego mógł zapłacić najwyższą cenę – że nie rachunek jest najważniejszy ani piękny gest, a jedynie niezłomność?**²²³

(Melchior Wańkowicz oprowadza nas po domu. W pokoju na lewo od wejścia, na wykutej w murze półce rząd książek. Liczę głośno: czterdzieści dwa woluminy. Dzieła całego życia pisarza, które trwało i rozrastało się poprzez wszystkie klimaty. Wańkowicz opowiada o spotkaniu pisarzy w Radziejowicach:)

– Wiele tam mówiono o hutnictwie, o stali, o fabrykach domów. Powiedziałem krótko: to wszystko ważne. Ale najważniejszym materiałem budowlanym, najprawdziwszym tworzywem, najbardziej wartościowym – jest człowiek. Nigdy nie wolno zapomnieć, że wszystko od niego zależy.

* * *

OSTATNIE ROZMOWY²²⁴ [Z MELCHIOREM WAŃKOWICZEM]

Skończyłem po raz któryś przestuchiwać taśmy magnetofonowe i wypełniający pokój głos Melchiora Wańkowicza umilkł. Od kilku dni, gdy rano zatelefonowano do mnie z tą wiadomością, grzebię w pamięci: strzępy wspomnień, fragmenty rozmów – czy ułożą się w jednolity obraz?

1

Gdzieś z końcem zimy Wańkowicz zaczął mówić o własnej śmierci. Mam zapis magnetofonowy tej rozmowy. Pisarz wyglądał wspaniale, zdrowo, był w świetnej formie. Ociepiał dłonią kieliszek koniaku, pił go drobnymi łyčkami. Mam utrwalone to wszystko, co wówczas mówił, ale nie mogę sobie przypomnieć, czy siedział za wielkim czarnym biurkiem na tle wypełnionych książkami regałów, czy też w fotelu przy oknie, za małym stoliczkiem. Wańkowicz zaczął mówić o własnej śmierci; spokojnie, beznamietnie, z dystansem. Szykował się właśnie do wyjazdu do Anglii, gdzie miał być poddany trudnej operacji. Wiedziałem, że jest chory nieuleczalnie i wiedziałem, że on to

²²³ Ależ wspaniała pointa!

²²⁴ „Stolica” z 1974 r., nr 40.

wie. Nie wiem, czy Wańkowicz wiedział, jaką ma szansę, mówił nie o niej, a o własnej śmierci. W tej rozmowie był taki fragment:

„Ja: – Dla mnie jest to ciągle poza sferą wyobraźni. Przywykłem tak bardzo, że Wańkowicz jest zawsze taki sam. Kiedy po raz pierwszy miałem w ręku *Na tropach Smętka*, nie, nie czytałem, bo nie umiałem jeszcze, oglądałem tylko ilustracje. Mój Ojciec powiedział, że Wańkowicz to jest taki starszy pan, który pisze książki. I tak dla mnie było zawsze, kiedyś i dziś: starszy pan, który pisze książki.

Wańkowicz (wyraźnie poruszony głos): – Ale przecież, gdy pisałem „Smętka”, nie byłem wcale starszym panem!

Ja: – Wiem, ale dla mnie był Pan już nim wtedy.

Wańkowicz: – Nie, nie, wtedy byłem jeszcze młody!”.

Wkrótce po tej rozmowie pisarz wyjechał do Anglii. Potem przeczytałem w gazecie, że operacja przebiegła pomyślnie. Kilka dni później Wańkowicz wrócił do Warszawy, a jeszcze po paru dniach wpadłem do jego domu na Studenckiej. Nie chciałem niepokoić wizytą pisarza, ale usłyszał mój głos z sąsiedniego pokoju i zażądał, abym wszedł. W miarę nasilania się choroby był coraz bardziej arbitralny, zniecierpliwiony. Wszedłem do gabinetu, w którym pracował – i ledwo poznałem pisarza. Zmalał, przygarbił się, ściemniał. Siedział w fotelu, na kolanach miał jakąś deseczkę, a na niej rozłożony maszynopis, nad którym pracował; obok stała maszyna do pisania, portable z wkręconą i zapisaną do połowy kartką papieru. Miał bardzo stare oczy, był nieogolony. Popatrzył na mnie jakoś zaczepnie i powiedział:

– Proszę mi tylko nie mówić, że dobrze wyglądam. Wiem, jak wygląda człowiek, który umiera.

Nic takiego nie chciałem ani nie mogłem powiedzieć. Wańkowicz sam zmienił temat. Zaczął narzekać na wydawnictwo, które opóźniło nadesłanie korekt książki. Nie mogę sobie przypomnieć w tej chwili o jaką książkę chodziło, bowiem w produkcji było ich kilka. Czyżby to było coś, wydawane przez Wydawnictwo Literackie? Wańkowiczowi bardzo zależało, aby wszystkie te książki ukazały się wiosną, zdążyły na kiermasz majowy. Czy jednak zależało mu tylko na tym, aby zdążyły ukazać się przed kiermaszem? Chciał przyspieszyć tok produkcji; był niezadowolony, że może działać tylko przez telefon, a nie osobiście, jakby jego materialna obecność o wszystkim rozstrzygała. Chciałem wyjść po pięciu minutach; Wańkowicz źle się czuł, gorączkował, stan był wysoce niepokojący. Ale siedziałem ponad godzinę: Pan Melchior chciał rozmawiać. Jak prawie zawsze, nie byliśmy zgodni we wszystkich poglądach, a to nas znów zaprowadziło do sporu o Powstanie Styczniowe. Ojciec pisarza walczył w Powstaniu, a potem został zesłany na Syberię. Też miał na imię Melchior. Ale Melchior-syn nie chciał o tym mówić, w każdym razie ze mną nie chciał.

Kilka dni później – jeszcze jedna rozmowa. Pisarz znów pracował. Pamiętam ten gest głowy, gdy odkładał maszynopis. Czuł się już lepiej, gorączka ustąpiła. Ale to nie był ten sam Wańkowicz, z którym rozmawiałem przed wyjazdem do Anglii. W każdym razie zewnętrznie głos mu się też zmienił. Wtedy nawet nie dostrzegłem tego tak

wyraźnie, jak dzisiaj, gdy przesłuchuję taśmy. Tej rozmowy nie mam zresztą nagranej do końca. Kasetą się skończyła, nie miałem następnej. Rozmowa urywa się w połowie zdania, a potem rozmawialiśmy jeszcze dobre pół godziny.

Ostatnia rozmowa. To już było lato. Wpadłem przed wieczorem. Pisarz czuł się dobrze. Gdy zadzwoniłem do furtki, wyszedł na podest domu. Tym razem siedzieliśmy w małym saloniku. Wańkowicz przyniósł koniak, ale prosił, żeby nalać, bo nie był pewien sprawności swej ręki. Miał przekorny wyraz oczu, gdy opowiadał, nad czym pracuje. To już było grubo po kiermaszu, cieszył się jego wspomnieniem. Pamiętam, pomyślałem, że teraz bardziej przypomina tego dawnego Wańkowicza, sprzed operacji. A wiedziałem przecież, co było z tą operacją. Przebiegła zgodnie z planem, pomyślnie. Tak, tylko w jej trakcie operujący profesor stwierdził, że choroba zaatakowała jeszcze jeden organ wewnętrzny.

Mam zapis tej rozmowy, całej. Za parę dni miałem wyjechać na urlop pod żaglami, opowiadałem Wańkowiczowi o moich spotkaniach na szlaku, o młodych ludziach, o tym, co mówią na wieczornych ogniskach, co śpiewają. Był tym bardzo zainteresowany. Długo mówiliśmy o Monte Cassino i nasze poglądy były zgodne – oraz o Powstaniu Styczniowym, gdzie spieraliśmy się. Zaczęliśmy też spierać się o Warszawskie.

Było ciemno, gdy wychodziłem, tylko sylwetka Pisarza w oświetlonym prostokącie drzwi. Później? W sierpniu telefonował do mnie parokroć, miał jakieś sprawy w związku z książką, którą przygotowywał. Ale mnie nie było w Warszawie. Po powrocie postanowiłem wpaść do niego zaraz po niedzieli.

Tej niedzieli jeszcze pracował. A potem wszystko poszło tak szybko! We wtorek nad ranem...

2

Nie mogę się uwolnić od presji nagranych taśm. Przesłuchiwałem je całą noc, a choć głos Melchiora Wańkowicza już zamilkł wraz z zatrzymaniem ostatniej kasety, słyszę go nadal. To on stworzył ten termin „międzyepoka” i tyle czasu o tym przegadaliśmy, spierając się i godząc. Międzyepoka – i pokolenie międzyepoki. Między jaką a jaką epoką? Tamtą epokę, która umarła, Wańkowicz pamięta ją doskonale. A później, w miarę upływu lat, wraz z postępem starości, słabnąca, ale nie zanikła nigdy nadzieja, że swoim długim życiem zawadzi o tę nową epokę jutra. Wymyślał mi, że jestem nadmiernym optymistą, ale sam był nim przecież.

3

W dzisiejszej „Literaturze” nowy wiersz Brylla:

Aż w późnym listopadzie – Zbielały

od szronu

Mój ojciec z polskiej wojny powrócił

do domu

DIAMENT, NIE POPIÓŁ

Fragment zapisu magnetofonowego:

„Wańkowicz: – O sobie nie mogę tego powiedzieć, że mi się niebo zważyło na głowę. To był wielki wstrząs. Może wcześniej ogarnęło mnie przerażenie, gdy dotarłem do Lublina. Ale gdy przekraczałem granicę, ten strach minął. Była we mnie jakaś wielka ciekawość, jak to się stało. Dlatego napisałem *Wrzesień żagwiący* i *Hubala*. Ale było jakieś wielkie przekonanie, że wyjdziemy z tego zakrętu na prostą drogę. I smutek, że historia tak nami wstrząsa. Dlatego później napisałem *Ziele na kraterze*. Ogień pali, lawa zalewa – ale korzenie mocno trzymają się tego ubogiego podłoża...”

Inny fragment:

„Wańkowicz: – Pisarz nigdy nie jest sam. Gdybym był sam, nic bym nie napisał. Pamiętam tych wszystkich ludzi, z którymi slishyśmy razem. Są oni we mnie i będą. Są w moich książkach. I siebie, i ich – nas wszystkich przekazuję moim czytelnikom”.

Z wiersza Brylla:

Nie mówił nic. To inni powiedzieli

potem

Jak bił się u Kleeberga w kompanii

piechoty

Jak rozbito kompanię jak bił się

od nowa

Mój ojciec jadł w milczeniu. Nie

powiedział słowa.

Wańkowicz mówił w imieniu naszych ojców. Odkrywał prawdę o naszych ojcach, byśmy mogli im być podobni.

L. M.

* * *

DIAMENT, NIE POPIÓŁ (ROZMOWA Z BOHDANEM PORĘBĄ)²²⁵

– Proszę Pana. Wiem, że bez reszty pochłania Pana terażniejszość. Dlaczego więc w swoich filmach sięga Pan do historii? Ostatnio „Hubal”, teraz kręci Pan film o Jarosławie Dąbrowskim*. Jaki Panu przyświeca w tym cel?

²²⁵ „Stolica” z 1974 r., nr 26. Bohdan Poręba był w 1981 r. członkiem agenturalnej, prosowieckiej i antysemickiej inicjatywy, działającej pn. stowarzyszenia „Grunwald”. Jednak 7 lat wcześniej nie było jeszcze „Grunwaldu”, a Poręba zdobył uznanie, jako reżyser cenionego do dzisiaj filmu „Hubal”. Ta rozmowa ma już zupełnie inny ciężar gatunkowy, niż te, zamieszczone wcześniej.

* „Jarosław Dąbrowski”. Film kręcony wspólnie przez kinematografię polską i radziecką, w trzech wersjach językowych (polskiej, rosyjskiej i francuskiej) według scenariusza Jurija Nagibina [przypis redakcji „Stolicy”].

– Sięganie do historii tylko wtedy ma sens, gdy szukamy w niej korzeni współczesności, a jakąś organiczność wydarzeń obecnych możemy wykryć w przeszłości. Jeśli teraz robię film o Dąbrowskim, to głównie dlatego, że widzę w nim kontynuację myślową wątków rozpoczętych w „Hubalu”. Major Hubal realizował pewną koncepcję: chciał przetrwać na czele umundurowanego i walczącego na ziemi polskiej oddziału, symbolizującego trwanie polskiej państwowości – aż do wiosny, czyli do spodziewanej zwycięskiej ofensywy aliantów zachodnich. Koncepcja okazuje się złudna: sojusznicy nie zamierzają podjąć ofensywy, tak jak nie podjęli jej we wrześniu, a zresztą wkrótce i Francja pada. „Hubal” to oczywiście przede wszystkim ukazanie podziwu godnej postawy człowieka; ale także rozliczanie się z nadziejami i złudzeniami całej koncepcji politycznej, opartej o pomoc zachodnich sojuszników. Upadek tej koncepcji powoduje konieczność szukania drugiej drogi. To inne rozwiązanie trzeba zbadać. Sięgam więc do tych tendencji w naszych nurtach niepodległościowych, które wiązały wyzwolenie Polski z radykalizacją społeczną i rewolucją ludów, a głównie rewolucją rosyjską.

– **Przypomina mi się takie zdanie sprzed lat osiemdziesięciu, opublikowane w jednym z podziemnych pism socjalistycznych: „Jedna tylko noga potwora caratu, gniotąc miliony istot, spoczywa na rosyjskim narodzie. Druga też nie wisi w powietrzu, ciężarem swym przygniata ona wszystkie, łańcuchem niewoli doń przykute ludy. Interesy proletariatu rosyjskiego najdokładniej się zbiegają z interesami polskiego”. Niestety, głębiej tego spostrzeżenia nie wszyscy wówczas chcieli dostrzec, a i dziś nie zawsze doceniają.**

– Ja sięgam w „Jarosławie Dąbrowskim” bardziej w przeszłość, gdy myśl ta jeszcze większe napotykała opory. Główną tezę mego filmu będzie konieczność podjęcia walki niepodległościowej, ale także konieczność rozumienia jej w aspekcie szerszym, a więc „za Waszą i naszą wolność”, czy – jak dzisiaj mówimy, w aspekcie internationalistycznym. Chcę zresztą pokazać, że jak ponad granicami łączyli się walczący o wolność, to również łączyli się ci, którzy chcieli utrzymania *status quo*: ustroju społecznego i systemu Świętego Przymierza. Pragnę ukazać Powstanie Styczniowe jako oczywistą konieczność dziejową; dzisiaj trudno kwestionować jego celowość: można krytykować terminy wybuchu, różne koncepcje organizacyjne – ale nie to, że do niego doszło. Było to zresztą nie tylko powstanie narodowe, ale i rewolucja, wymierzona przeciwko konserwie społecznej i przeciwko najbardziej konserwatywnemu przeciwnikowi w świecie, jednemu z żandarmów Europy – imperium carów. W końcu nie było rzeczą przypadku, że I Międzynarodówka powstała na mityngu solidarności ze sprawą Polski. Marks i Engels uznali Powstanie Styczniowe za najbardziej rewolucyjny ruch tego czasu w Europie.

– **W jednym ze wczesnych listów Marks pisał do Engelsa, że zbadawszy wszystkie ruchy rewolucyjne w Europie od upadku Bastylii, znalazł czynnik, który je łączył bez wyjątku: był to pozytywny stosunek do kwestii niepodległości Polski.**

– Engels powiedział zresztą, że Polska straciła niepodległość tylko dlatego, że była

rewolucyjna – i tylko przez rewolucję może ją odzyskać. Niestety, cały ten nurt rewolucyjny w naszych dążeniach niepodległościowych jest, mimo niewątpliwego postępu, nadal stosunkowo mało znany, zwłaszcza młodzieży. Wielka droga prowadząca od Kościuszki aż do Komuny Paryskiej – w której było czterech generałów Polaków – i jeszcze dalej, warta jest uważnej penetracji i analizy. Wydaje mi się to niesłychanie ważne: szukanie korzeni naszej myśli lewicowej i niepodległościowej zarazem, wiązanie najlepszych tradycji patriotycznych i internacjonalistycznych – z rzutem w przyszłość, gdyż te wartości są nadal ważne i potrzebne.

– Zatrzymaliśmy się dłużej przy filmie, który Pan kręci obecnie, ale przecież w całej Pańskiej twórczości są pewne wyraźne nici przewodnie. „Hubał” nie był w niej wyjątkiem...

– Proszę Pana, ja uważam, że „Hubała” kręciłem od pierwszego kadru nakręconego w życiu. Swoją rolę reżysera traktuję jako możliwość głośnego myślenia; interesuje mnie on o tyle, o ile mogę dzielić się tym własnym myśleniem z otoczeniem. Najważniejszy jest dla mnie pewien kontakt społeczny, przy pomocy którego mogę sprawdzać poszukiwania rozwiązań kwestii, nurtujących nasz naród. Film, jak każda dziedzina twórczości, jest przede wszystkim sposobem porozumiewania się między ludźmi. Dopiero na dalszym planie interesują mnie wszystkie pochodne, takie jak forma itd. Usiłowałem nas pozbawić wszystkich wartości trwałych. Dlatego naszym głównym obowiązkiem, co nas może różni od krajów o innej przeszłości, jest właśnie konieczność szukania przede wszystkim tego, co stanowiło i stanowi u nas wartość trwałą. Zawsze bardziej mnie interesował diament niż popiół. Byłem i jestem przekonany, że poza drobnymi epizodami, ambitna sztuka za główne i podstawowe zadanie uważała sprawdzian człowieka, jego wartości, jego siły – i w gruncie rzeczy sprawdzian ten prowadził do wniosków optymistycznych. To sprawdzanie wartości w człowieku, często nawet przez niego samego nie dostrzeganych, które ujawniały się dopiero w działaniu – jest wspólne całej wielkiej twórczości. Osobiście dlatego uważam się za humanistę, bo jestem przekonany, że człowiek jest istotą wielkiego formatu – i mocną. Zawsze interesował mnie taki bohater, który znajdując się w sytuacji pozornie bez wyjścia, potrafi znaleźć w sobie dość siły, aby się przeciwstawić wszystkiemu i wybrać swoje człowieczeństwo poprzez walkę, chociażby nawet była ona przegrana w sensie zewnętrznym.

– Powiedziano przecież kiedyś: Być pokonanym a nie ulec, to największe zwycięstwo²²⁶.

– Właśnie. To jest postawa zarówno Hubała, jak Dąbrowskiego.

– Pan ją przypomina w swych filmach, ale przecież w pewnych środowiskach ta postawa jest bardzo niemodna.

– Cóż, aby iść taką drogą, wydobywać te najgłębsze wartości człowieka, trzeba przeciwstawić się modom. Nieszcześnie zwłaszcza kinematografii, jako sztuki mło-

²²⁶ Słowa Józefa Piłsudskiego umieszczone w wawelskiej krypcie, gdzie pochowany jest Marszałek.

dej, jest stałe poszukiwanie nowości i nowostek, gonienie za modą. Jestem dumny, że w zasadzie nigdy nie zmieniłem tego, co od początku wydawało mi się słuszne – zarówno w sensie myślowym, jak stylistycznym. Zaczynałem kiedyś od filmów dokumentalnych, a mówiły one o ludziach kalekich – którzy, aby być dalej ludźmi, muszą przeskoczyć własną ułomność.

– Ludzie, którzy się nie poddają.

– Tak. Zrobiłem więc film o ludziach niewidomych, zatytułowany „I dla nas świeci słońce”, a także reportaż „Wyspa wielkiej nadziei” o dzieciach chorych na gruźlicę kości. Warto chyba zwrócić uwagę, że już sam tytuł tego filmu nakręconego w 1957 r. zderzał się niejako z obowiązującą niemal wówczas dokumentalistów modą tzw. czarnej serii. Była to zresztą tendencja bardzo cenna, uważam tylko, że nie ma potrzeby śpiewać unisono. Tę samą linię realizowałem, gdy zacząłem kręcić filmy fabularne. Pamięta Pan, że pod koniec lat pięćdziesiątych szczególnie wiele uwagi poświęcono problemowi chuligaństwa...

– Zaś niektórzy szli tak daleko, że usiłowali sugerować, iż cechy chuligańskie są niejako wrodzone całemu młodemu pokoleniu.

– Zrobiłem wówczas film „Lunatycy”, w którym chciałem wykazać, że granica, ta jakby szyba szklana, mająca dzielić chuliganów od społeczeństwa, a którą sobie wymyślono – jest dosyć krucha i przy sprzyjających warunkach można ją łatwo zdruzgotać. W moim filmie chuligan, który po bandyckim napadzie nie może już uciekać, podaje się za pierwszego, przybyłego z pomocą. Zostaje uznany za bohatera i nagle zaczyna to fascynować zarówno jego, jak całą bandę.

– Łatwo domyślić się, że nie wszystkim się to podobało. Ale w tym samym czasie zaczął Pan też kręcić filmy o przeszłości?

– Jeszcze jako dokumentalista zrobiłem film „Apel poległych”, pierwszy w kraju, który ukazywał walkę naszych żołnierzy na wszystkich frontach. Później nakręciłem fabularny „Droga na zachód” o pociągu jadącym na Ziemię Zachodnie tuż za frontem. Był to film opowiadający się za prostym poczuciem obowiązku, spełnionym do końca i wysokiej cenie zapłaconej za wierność sobie. Kolejny film oparty o wątki zaczerpnięte z Ksawerego Pruszyńskiego, a zatytułowany „Daleka jest droga”, mówił o prawie powrotu żołnierzy z Zachodu do Polski. Później w moim życiorysie filmowym nastąpiła siedmioletnia przerwa, pracowałem w tym czasie w różnych teatrach, głównie prowincjonalnych, co sobie zresztą bardzo wysoko cenię. Powrót mój do kinematografii nastąpił w 1969 r. przez nakręcenie filmu telewizyjnego dla młodzieży... To znaczy ja nigdy nie odszedłem z kinematografii, ale po prostu nie mogłem realizować filmów jakiś czas; nie dlatego, że nie było mi wolno, ale po prostu nie miałem możliwości...

– Znam te mechanizmy...

– Tak. To była sprawa branżowa: zawsze byłem niesforny i realizowałem te filmy, które chciałem. Otóż nakręciłem serial dla TV o postaci ludowego bohatera, który zdobył ostrogi rycerskie. Później zrealizowałem film „Prawdzie w oczy”, według sce-

nariusza Jerzego Grzymkowskiego. Niestety, był to mój jedyny film, który rozszedł się z zainteresowaniami szerokiej publiczności. A szkoda, bo ja jestem z niego bardzo dumny. Pan go nie widział?

– Nie.

– Bardzo żałuję. Niedługo będzie powtórnie w telewizji, bardzo bym chciał, aby go Pan zobaczył. Był to film szary, niezbyt efektowny, ale mówił pewne rzeczy w sposób dość twardy. Pokazywał on narastające poczucie siły wśród robotników, którzy się nie zgadzają z bałaganem w produkcji, metodami zarządzania i tak dalej. Zaczynają mówić „nie”! Premiera odbyła się 20 listopada 1970 r. a w roku następnym film otrzymał na wniosek warszawskich fabryk nagrodę CRZZ. Bohater „Prawdzie w oczy” znajduje się w sytuacji krytycznej, ze wszystkich stron, nawet we własnej rodzinie wywierana jest na niego presja, aby skapitulował, ale on mówi „nie!”. Wydaje mi się, że jest to postawa, którą można porównać z postawą Hubala, czy też tego maszynisty z pociągu jadącego na zachód, a także z postawą niewidomych, którzy przewyżniają własne kalectwo. Po prostu jest to opowiedzenie się za człowiekiem aktywnym, wiernym sobie i widzącym siebie w kontekście społecznym. Proszę Pana, moim *credo* jest przeciwstawianie się tej potwornej degrengoladzie człowieka, jego kondycji – sugerowanej przez część współczesnej sztuki. Uważam, że takie przeciwstawienie się jest największym zadaniem współczesnych twórców. Jest to po prostu koniecznością, bo jeśli nie, to coś więcej poza „Końcówką” Becketta można jeszcze powiedzieć? Tam jest tylko śmierć. Stałe babranie się w naszych bebecach, stałe uświadamianie widzowi rzekomej naszej niemocy, kompletnej pustki, alienacji, niemożności wzajemnego porozumienia się, frustracji – jest po pierwsze jałowe; a po drugie – jest potwornie niespójne z rzeczywistością.

– Proszę Pana, w minionej wojnie ponieśliśmy straszliwe straty, społeczeństwo polskie znalazło się na progu zagłady biologicznej. Siła wewnętrzna naszego narodu zmalała wielokrotnie. Ale to już przeszłość. W ciągu tych dziesięcioleci, jakie upłynęły od zakończenia wojny, odbudowaliśmy się i rozbudowaliśmy biologicznie i społecznie. Jednak nie towarzyszy temu jeszcze powszechne zrozumienie odzyskanej siły. Książki czy filmy, upatrujące w naszej przeszłości nieprzerwane pasmo klęsk, pomyłek i prostej głupoty, eksponujące rzekome ujemne cechy Polaków sugerujące, że do niczego nie jesteśmy zdolni, a wszystko, co zrobimy, obróci się przeciwko nam – nie pozwalają, a co najmniej utrudniają Polakom zrozumienie własnej siły. A bez tego zrozumienia nasze działania będą chociażby częściowo spętane. Jeśli ludziom się powtarza: Jesteście nędzni, jesteście słabi, jesteście nic nie warcie – to po prostu społeczeństwo nie bardzo może uwierzyć, że stać go na wiele więcej niż pokolenia działające w okresie końca wojny²²⁷.

²²⁷ Po raz kolejny Moczulski powtarza na łamach „Stolicy” główną tezę swojego referatu wygłoszonego 11 XI 1973 r. w Poznaniu, w mieszkaniu matki Restytuta Staniewicza (*Obowiązek naszego pokolenia*).

– Chociaż fakt, że nasze społeczeństwo nie chce przyjmować tego, co mu się podaje jako strasznie współczesną wielką sztukę, świadczy nie tyle o niedorozwoju, jak się czasem sugeruje, tylko o dojrzałości narodu. Dotyczy to zarówno spojrzenia na historię, wyłącznie szyderczego, dotyczy obrazu człowieka współczesnego – a oba są coraz powszechniej odrzucane. W końcu to nie dzięki stale nam pokazywanym neurastenikom, nierobom i ludziom na granicy schizofrenii nasz kraj się jakoś rozwija i umacnia.

– Czy widział Pan już w krakowskim Teatrze Starym Gawlika i Wajdy „Noc Listopadową”?

– Nie, jeszcze nie, ale ja to na pewno obejrzę.

Chciałbym jeszcze wrócić do kwestii tych nowych mód, choć wcale już nie są one takie nowe. To grzebanie się w bebechach ludzkich, eksponowanie alienacji, samotności i bezradności człowieka jest niczym innym, jak samoobroną ustroju burżuazyjnego, który się broni w ten sposób, że chce koniecznie zdeintegrować jednostkę wobec społeczeństwa. Ja nie chcę się autorytatywnie wypowiadać o sytuacji zachodniej, ale jeśli takiej modzie ulega twórca w przesyconym bogactwem kraju, tworzący dla znudzonej burżuazji, ma to mimo wszystko inny charakter, niż jeśli tę modę, choćby na zasadzie nieświadomej karykatury, przenosimy do nas. Denerwujące jest, że ciągle mówimy o jakimś kryzysie wartości; ja dostrzegam ten kryzys, ale czym innym jest go dostrzegać, a co innego zgadzać się z nim. Osobiście nie mogę się zgodzić z kryzysem wartości w kraju, w którym się te wartości buduje, szuka się – i w którym one ostatecznie zostały zburzone bardzo niedawno, czy też były burzone przez długi okres.

– Ale te wartości nie zostały całkiem zburzone, one raczej zostały zepchnięte w cień, obrzucone błotem!

– Oczywiście. Zresztą, to tylko niektóre środowiska ulegają modom, przerzucają się od jednej do drugiej. Normalni ludzie, robotnicy zwłaszcza, mają bardziej okrzepłe poglądy, doceniają rzeczy sprawdzone, ich się na lada nowostkę nie weźmie. Wydaje i się, że aby się rzucać od jednej mody do drugiej, trzeba być bardzo nieustabilizowanym wewnątrznie. Nie tak dawno to falowe uleganie kolejnym modom było prawie powszechne. Zastanawiające, że w tym samym czasie, gdy my kopiujemy obce mody, oni czekają na nasz głos, ale autentyczny, oryginalny, inny – który być może coś wniesie do wspólnej europejskiej kultury. Takim głosem nie może być przecież powtarzanie niczym papuga.

– Ani żadne popłuczyny...

– Inna rzecz, że coraz wyraźniej widać jakby pewne zmęczenie tą sytuacją. Jest wielu, zwłaszcza młodych reżyserów, którzy nie bardzo chcą iść dalej za modami. Rośnie zainteresowanie tematyką społeczną. Chociażby te ostatnie rozliczenia z okresem naszej rewolucji powojennej. Mam na myśli głównie „Ciemną rzekę”. Jest to uczciwy i piękny film, bo pokazuje autentyczny dramat tamtego czasu, ale nie dzielący, tylko łączący Polaków wspólną tragedią.

– Ostatecznie, poza prologiem, w tym filmie płynie wyłącznie najlepsza polska krew.

– Dowodem tych nowych zainteresowań może być także fakt, że Andrzej Wajda robi właśnie film o narodzinach kapitalistycznej Łodzi według „Ziemi obiecanej” Reymonta.

– Książka jest bardzo wyraźnie zaangażowana, zobaczymy, co z tego zrobi Wajda.

– Powiedział to w „Życiu Literackim”.

– Chciałbym poruszyć jeszcze inne zagadnienie. Zaczniemy od tego, że zastanawiam się, czy film jest bardziej masowym narzędziem oddziaływania niż telewizja.

– Na pewno. Dlatego że jest to masowe oddziaływanie przez wybór. Ta masa, która idzie do kina, nie ogląda filmu przypadkowo, ale go sobie wybrała.

– No właśnie. Tutaj zresztą dochodzimy do zagadnienia, w którym być może pojawi się między nami kontrowersja. Film jest narzędziem szczególnie komunikatywnym, działającym masowo, a przez to samo może być groźny. Któż jednak robi filmy? Reżyserzy. Ale wy jesteście przecież fachowcami w organizowaniu obrazu. Natomiast film ma ambicje sięgać do wszystkiego: do głębi duszy ludzkiej, występuje w charakterze sumienia narodu, roztrząsa najbardziej zawile problemy jednostek i całej wspólnoty narodowej, a nawet ludzkości. Otóż reżyser jest fachowcem w swojej dyscyplinie, to znaczy w robieniu filmów; ale nie jest specjalistą od tego, o czym mówi: nie jest ani filozofem, ani historiografem, ani socjologiem czy psychologiem. A równocześnie posiada olbrzymią władzę: w stopniu niebotycznie większym od fachowców może przekazywać swe poglądy w tych dziedzinach, gdzie na dobrą sprawę jest tylko amatorem. Stąd wynika kwestia wyjątkowej odpowiedzialności społecznej reżyserów, którzy mogą oddziaływać na masowego odbiorcę w stopniu niespotykanym i w każdym kierunku; dane jest im prawo – a może sami go uzurpują – kształtowania dusz. Jakie to niebezpieczeństwa może za sobą pociągnąć, nie trzeba udowadniać²²⁸.

– Można to powiedzieć nie tylko o reżyserach, a o twórcach w ogóle. Choć ma Pan rację, że możliwości masowego oddziaływania reżysera są nieporównywalnie większe. Oczywiście, pociąga to za sobą poważne niebezpieczeństwo. Jest kwestią odpowiedzialności społecznej reżysera, jak wykorzysta posiadane możliwości. Uważam – i staram się tak postępować – że reżyser powinien odpowiadać filmem na pytania, które sam sobie stawia i które życie stawia nam wszystkim. Wybieram zagadnienie, które uważam za ważne, ale daleki jestem od przekonania, że mam na ten temat wszechwiedzę. Realizowanie filmów wymaga postawy pokornej wobec tworzywa. Nie wolno powiedzieć: ja

²²⁸ Można w tym pytaniu i w końcowej części rozmowy, dopatrzyć się zawołowanej krytyki rozmówcy. Otwarta krytyka, z przyczyn cenzuralnych, była niemożliwa.

już wszystko wiem. Reżyser jest tylko kierownikiem w poszukiwaniach, jego film powinien skłaniać ludzi, aby sami znajdowali odpowiedzi – i pomagać im w tym. Tylko wtedy mamy do czynienia z procesem twórczym. Nie oznacza to rezygnacji z własnych sugestii, bowiem uchylanie się od zajęcia własnego stanowiska, stawianie jedynie pytań – to ucieczka od odpowiedzialności.

– Powiedział Pan, że kręcąc film, chce Pan stawiać i odpowiadać na pytania. Wiemy, że jest stosowana i inna metoda. Przenosząc termin z zupełnie innej dziedziny, można ją nazwać szukaniem człowieka do koncepcji. Ma się pewną koncepcję – i tylko szuka winnego, który do niej pasuje.

– Nie tylko człowieka! Także narodu! Stwarza się koncepcję, w której wszystkie wartości obraca się o 180 stopni – i podstawia do niej społeczeństwo.

– Muszę się przyznać, że właściwym podtekstem tych moich pytań jest dążenie do stwierdzenia, że w warunkach, gdy reżyserzy dysponują tak olbrzymią władzą moralną, powinno się dążyć do tego, aby filmy ukazywały wszelkie możliwe odpowiedzi na nurtujące nas pytania, a nie preferowały jedyne, a zarazem tzw. jedynie słuszne. Musi być możliwość wyboru.

– Oczywiście! Chodzi o to, aby równowaga nie została zachwiana. A została ona, niestety, zachwiana. Tak na przykład w naszej kinematografii została wyraźnie zachwiana równowaga w obrazie drugiej wojny światowej. Nastąpiło to głównie nawet nie przez przeinaczanie faktów, ale przez fałszywy obraz psychiczny naszego społeczeństwa w tamtym okresie. Przecież ułani z 1939 r. w naszych filmach zachowują się tak, jakby bez wyjątku czytali „Drogi do wolności” i byli do reszty przesiąknięci poglądami Sartre’a.

– Dotyczy to nie tylko filmów historycznych...

– Na pewno. Ale trzeba sobie zadać pytanie, kim ten reżyser musi być? To powinien być po prostu normalny członek społeczeństwa, obywatel, mający prawa i obowiązki, związany z tym narodem. Wcale nie wyższy od innych, tylko jeden spośród nas. Nie może zrobić współczesnego filmu o Polsce człowiek, który nie żyje życiem i troskami społeczeństwa, a ocenia je przez to, co zobaczy na Rivierze, albo przez filmy. Jest niestety nieszczęściem dużej części naszej krytyki, że żyje tylko cieniami ekranu.

– Słowem, reżyser powinien nie tylko oddziaływać na społeczeństwo, ale sam ulegać społecznemu oddziaływaniu.

– To jest chyba pierwszy obowiązek.

Rozmowa odtworzona wedle zapisu magnetofonowego.

* * *

**MIASTA, W KTÓRYCH ŻYJEMY
(ROZMOWA Z ADOLFEM CIBOROWSKIM)²²⁹**

...Żyjąc w drugiej połowie XX wieku, znajdujemy się w czasie ogromnych przemian ilościowych...

– **Panie inżynierze, spośród wszystkich osiedli składających się na Warszawę, wedle niemal powszechnej opinii za najładniejsze uważane jest Stare i Nowe Miasto. Dlaczego? Czy spowodowane jest to może typowym dla Polaków szacunkiem wobec historii narodowej, czy też chodzi o dość powszechne przyzwyczajenia ludzi do form zastanych, czy też po prostu Stare Miasto jest rzeczywiście najładniejsze – ładniejsze od tego, co dzisiaj potrafimy budować?**

– Mamy tutaj do czynienia ze splotem przyczyn. Badania wykazały, że ludzie, nie tylko u nas, a wszędzie na świecie, są przyzwyczajeni do tego, co znają, a swoje opinie kształtują na podstawie doświadczenia przeszłości. Pytany o to, jakie chce mieć miasto, człowiek żąda tego, co zna sam z przeszłości, bądź co zna jako członek społeczeństwa. To pierwsza przyczyna. Druga jest może ważniejsza. Żyjąc w drugiej połowie XX wieku, znajdujemy się w fazie ogromnych przemian ilościowych. Jeszcze w XVII wieku największe miasto ówczesnej Europy – Londyn – liczyło niespełna pół miliona mieszkańców. Oczywiście, były większe miasta, i to znacznie dawniej. Rzym w czasach Cesarstwa przekroczył milion ludności. Ale od końca czasów starożytnych, na całe półtora tysiąca lat historii europejskiej, dobre tysiąc czterysta lat społeczność naszego kontynentu miała charakter przede wszystkim wiejski. Nieliczna reszta żyła w miastach jak dla nas niewielkich, kilkudziesięcio-, a w sporadycznych wypadkach kilkusettyśiętnych. Jeszcze z początkiem XIX stulecia w miastach mieszkało ok. 5 proc. ludności świata. Przez setki lat mieliśmy do czynienia prawie wyłącznie z miastami małymi. Jeśli stara Warszawa czy stary Kraków były miastami kilkunasto- lub kilkudziesięciotysięcznymi, całkowicie w zasięgu pieszego, to mogły one i musiały być kształtowane zupełnie inaczej niż współczesne miasta milionowe lub wielomilionowe. Pamiętajmy, że miasta milionowe zaczęły powstawać dopiero w drugiej połowie XIX wieku, w wyniku rewolucji przemysłowej. Rozwijały się one chaotycznie, przypadkowo. Zabrakło przy tym okazji i czasu do rozwinięcia w pełni poglądów i zebrania doświadczeń, jak najlepiej kształtować takie miasta duże, aby zachować niezbędne cechy indywidualności i bezpośredniego kontaktu z człowiekiem, charakteryzujące miasta dawne. Wreszcie mamy do czynienia z trzecią przyczyną. Zarówno w miastach historycznych, jak i w tych, które rozwinęły się w minionych stu latach, występował podział na zupełnie odrębne

²²⁹ „Stolica” z 1974 r., nr 30. W „Stolicy” jest zaskakująco dużo tekstów Moczulskiego na tematy architektoniczne i urbanistyczne. Jednym z nich jest kolejny tekst zamieszczony w tym tomie. Od strony tych zainteresowań Moczulski jest zupełnie nieznamy. Jakiś związek z tymi zainteresowaniami miał zapewne fakt, że młodsza o 4 lata siostra Moczulskiego, Hanna, była inż.architektem.

części składowe. Inaczej wyglądały dzielnice zamieszkane przez warstwy posiadające, inaczej dzielnice biedoty. To, co się pamięta, zapisuje w historii architektury i urbanistyki, co stanowi przykład, co się wreszcie konserwuje, odbudowuje po zniszczeniach wojennych – to wszystko jest śladem owych dawnych, pięknych dzielnic, służących warstwom uprzywilejowanym. Kiedyś miasta były elitarne, dzisiaj budujemy egalitarne. Nie wystarczy już, jak kiedyś w Nancy, posiadać jeden piękny plac, albo – jak w starożytnym Rzymie, kilka, ale służących tylko pewnemu wycinkowi społeczności; obecnie pragniemy, aby każdy mieszkaniec miał nie tylko równe prawo do mieszkania, jego standardu i wielkości, ale także do wszystkich urządzeń, usług, do tego, aby żyć w dzielnicy, która swym kształtem urbanistycznym i architektonicznym nie odbiega od innych. Powoduje to konieczność świadomego kształtowania nie tylko tej części, która jest przeznaczona dla wybranych, ale kształtowania miasta w całości. I tutaj kwestia ilościowa – wielkość nowych miast, w połączeniu z kwestią egalitarnego charakteru wszystkich dzielnic tworzą zupełnie nowe zagadnienia, do których tradycyjnie i historycznie nie jesteśmy przygotowani, a także przyzwyczajeni.

– Zastosujmy inną miarę czasu. Jeśli współczesne wielkie miasta rozwijają się od stu lat, jest to okres czterech, najwyżej pięciu pokoleń; mówiąc inaczej, pierwsze z tych pokoleń odeszło bardzo niedawno, już za naszych czasów. Milionowe metropolie naszych dni istnieją niewiele dłużej niż przeciętny wiek człowieka; znamy ludzi, którzy byli już dorośli, gdy Warszawa po raz pierwszy przekroczyła milion mieszkańców. A więc obracamy się w bardzo krótkim odcinku czasu. Miasta historyczne, ich modele, układy przestrzenne, formowały się setki lat, czy można powiedzieć, że nie nabyliśmy jeszcze należytego doświadczenia, co wymaga czasu, aby kształtować miasta współczesne, tak jak w tych nowych warunkach powinny one wyglądać? Może jesteśmy nawet dopiero u początku drogi? Bez licznych doświadczeń, złych i dobrych, bez odpowiedniej nowej tradycji, bez wykształcenia szkół myślenia – trudno jest stworzyć dzisiaj miasta milionowe, dopasowane tak samo do potrzeb ogółu ich mieszkańców, jak miasta historyczne przystosowane były do potrzeb zbiorowisk liczonych w tysiącach.

– Łatwo jest odpowiedzieć, czym jest miasto współczesne w sensie funkcjonalnym, znacznie trudniej – czym jest ono w sensie formy przestrzennej. Wiemy, jakie funkcje miasto powinno spełniać. Natomiast jaki kształt przestrzenny powinno ono mieć? Tutaj już zaczynają się trudności. Zwłaszcza gdy miasto rozwija się w szybkim tempie, gdy rocznie przybywa mu więcej budynków niż przez całe stulecia posiadały ich miasta historyczne – to jak takie miasto uformować w przestrzeni? Formujemy je. Czy jednak uzyskujemy miasto? Pod względem funkcjonalnym – tak. To znaczy mamy wielkie osiedla ludzkie, które spełniają funkcje typowe dla działalności i życia człowieka. Czy uzyskujemy jednak miasto pod względem architektoniczno-przestrzennym? Tutaj może być wiele wątpliwości. Nawet tego rodzaju miasta, jak Brasilia czy Chandigar, całkowicie nowo wybudowane, albo Nowa Huta, spełniające wszystkie podstawowe

warunki funkcjonalne, nie stwarzają tego klimatu urbanistycznego, do którego przywykliśmy, choćby w śródmieściu Paryża hausmanowskiego, czy Londynu...

– Czy Warszawy...

– Właśnie, Warszawy. Uważam, że śródmieście Warszawy bardziej spełnia rolę miasta w sensie przestrzennym niż śródmieście Brasílii. A to chyba dlatego, że na kształtowanie śródmieścia Warszawy silniej wpłynęła tradycja: zachowaliśmy obszerne fragmenty starego układu, odbudowaliśmy wiele starych budynków, włączyliśmy je w kompozycję i w życie nowego miasta; nawet przeszliśmy pewien proces ewolucji architektonicznej, dzięki czemu mamy i MDM i Ścianę Wschodnią, zachowane zostało zróżnicowanie architektoniczne, które jest typowe dla miasta tradycyjnego i które ułatwia człowiekowi zaadaptowanie się psychiczne. Natomiast miasto budowane od jednego rzutu, według jednego projektu, szokuje nas pewną oschłością. Choćby architektura poszczególnych budynków była znakomita, tak jak na przykład w Brasílii...

– Nawet jeśli układ urbanistyczny będzie do końca przemyślany.

– Nawet wówczas. My we wszystkich prawie teoretycznych rozważaniach i w kilku zrealizowanych przykładach takich do końca przemysłowych układów urbanistycznych przeoczyliśmy kilka ważnych elementów, poczynając od studiów Le Corbusiera przebudowy Paryża czy przebudowy Moskwy. Były to studia rewelacyjne i rewolucyjne w sensie układu funkcjonalnego, zwłaszcza dlatego że wyprowadzały konsekwentnie egalitaryzm, zrywając z elitaryzmem miast historycznych. Wszyscy mieli posiadać równie dobre warunki nasłonecznienia, czystego powietrza, mniej więcej ten sam odstęp od środków komunikacji publicznej, usług itd. Natomiast studia te przeoczyły chociażby tak kapitalny czynnik, że człowiek przywykł do własnej skali i wynikającego z niej wnętrza miejskiego. Wnętrza, w którym chce się spotkać z innymi ludźmi, pospacerować, popatrzeć i porozmawiać. Otóż projekty Le Corbusiera nie stwarzały tego rodzaju, przestrzeni miejskiej, do którego przywykliśmy. Nie stwarza tego również realizacja centrum Brasílii. To są ogromne przestrzenie, na których stoją bardzo piękne budynki, a między nimi jest nawet bardzo dużo zieleni, ale brakuje tej niewielkiej, ciasnej przestrzeni miejskiej, gdzie warto jest pójść na piechotę, a nie pędzić samochodem – po to aby pospacerować, posiedzieć, wypić kawę, obejrzeć wystawy sklepowe. Więcej: wprowadziliśmy liczne nowe urządzenia, absolutnie funkcjonalne, które jakby się przeciwstawiały tradycyjnej formie i tradycyjnemu rozumieniu miasta. Zamiast ulicy ze sklepami mamy wielkie domy towarowe. Funkcjonalnie są one znacznie lepsze od ciągu sklepów, ale nie zapraszają do spaceru wzdłuż wystaw, nawet nie w celu kupowania, ale po prostu pooglądania, napotkania znajomych.

– Zaczyna brakować pewnej intymności.

– Tak. Wielkość naszych nowych zadań, trzeba szczerze powiedzieć, zastała nas nieprzygotowanych. Nieprzygotowanych nie tylko pod względem projektowym, ale także psychicznym. Nie jesteśmy jeszcze gotowi do przyjęcia nowej formy miasta.

– Mamy tutaj do czynienia z nieprzygotowaniem podwójnym. Eksplozja wielkich miast to okres ostatnich kilkudziesięciu lat. Zastała ona nieprzygotowanych architektów i urbanistów, ale przede wszystkim nieprzygotowanych, nieprzyzwyczajonych do tych nowych warunków ludzi. Czy Pańskim zdaniem mieszkańcy muszą przyzwyczaić się do tych nowych form miasta, czy też miasta należy stosować do wymagań ludzi?

– Przypuszczam, że proces będzie obustronny. Ludzie będą się przyzwyczajali do nowych form miasta i życia w nim, a w kształtowaniu miast trzeba będzie znaleźć rozwiązania, odpowiadające potrzebom ludzi. Konieczne jest po prostu usunięcie tych braków, które dzisiaj przy projektowaniu i budowie miast występują. Chciałbym być dobrze zrozumianym. Uważam, że przy tej skali zadań, jakie występują w Polsce, w Europie, na całym świecie, koniecznością stała się daleko idąca standaryzacja i daleko idące uprzemysłowienie budownictwa mieszkaniowego. Nie stać nas na dom projektowany całkowicie indywidualnie. Potrzeby są zbyt wielkie. Dlatego przechodzimy z operowania cegłą, z jakiej budujemy jeden dom, do operowania nową cegłą, jaką jest cały dom – i z tych cegieł-domów mamy wybudować całe miasta. Wprowadzając standaryzowaną cegłę całego budynku, trzeba skorzystać z dodatkowych elementów, takich jak zieleni miejska, budynki usługowe itp., z których możemy kształtować piesze pasaże, jakieś placyki, słowem punkty zainteresowania między tymi cegłami wielkich domów stojących dookoła; mogły nadawać indywidualny charakter poszczególnym fragmentom miasta... Proces jest więc dwustronny: po pierwsze samo społeczeństwo przekształca się, potrzebuje innych urządzeń i form przestrzeni dla swego życia, a po drugie operujemy inną skalą jednostki podstawowej, z której składa się nasze budownictwo. Dla tej nowej skali budynku prefabrykowanego trzeba jednak szukać drugiej skali człowieka – skali o wymiarze trzech, czterech metrów, bowiem przechodząc idąc ulicą nie notuje tego, co jest wyżej.

– Chyba że widzi z wielkiej perspektywy jako zamknięcie osi, wzdłuż której się porusza. To, co mówię, jest truizmem, ale chyba nie tak powszechnie docenianym, skoro np. wielki zespół osiedla Za Żelazną Bramą nie ma ani wyraźnych osi, ani zamykających je obiektów, które można by oglądać z perspektywy.

– Wskazać należy na jeszcze jedną kwestię. Jeżeli wszyscy ludzie w naszym mieście i kraju mają równe prawa do mieszkania, zaś wielkość mieszkań zależy od zbliżonej przecież liczebności poszczególnych rodzin, to wszystkie mieszkania niezależnie od tego, gdzie je budujemy, są mieszkaniem wielkościami podobnymi, a więc mają podobną ilość i wielkość okien, a nawet ich rozstaw na elewacji. To wynika z równości społecznej, którą odzwierciedla nowa architektura. W budynku więc zbyt wiele się nie wymyśli; można stworzyć nową fakturę domu, ale mało co więcej. Taka unifikacja jest koniecznością...

– Czy rzeczywiście koniecznością? Jeśli dom jest zbiorowiskiem mieszkań, nawet bardzo podobnych do siebie, to czy domy muszą być identyczne?

– Nie muszą być zupełnie identyczne. Po pierwsze możemy mieć kilka czy kilkanaście technologii budowlanych. Możemy w tej samej technologii wielkiej płyty znaleźć kilka rozwiązań. Niemniej, nawet dysponując większą ilością rozwiązań, w granicach pojedynczego osiedla jest się zmuszonym posługiwać jednym, gdyż tego wymaga wykonawstwo i masowość produkcji. Musi to się odbić na osiedlu, gdyż nie możemy mieć dziesięciu wykonawców, z których każdy będzie stawiał inny budynek według odrębnej technologii i używał odmiennego sprzętu. Przedłużyłoby to nam proces produkcyjny i podniosło koszty – gdy podstawowym wymaganiem społecznym jest budować jak najwięcej. Dzięki różnicowaniu technologii, można i należy stosować zróżnicowanie wyglądu poszczególnych dzielnic miasta, ale znacznie trudniej jest to uzyskiwać wewnątrz osiedla.

– **No tak, ale w rezultacie dochodzimy do takich realizacji jak np. Stegny, które są osiedlem bardzo przyzwoitym, jeśli chodzi o mieszkania, ale złożonym w zasadzie z identycznych domów. W sumie warunki bytowania mieszkańców stają się co najmniej koszarowe...**

– Ja protestowałbym przeciw użyciu pejoratywnych określeń, takich jak koszarowe. Lepsze jest słowo masowe. I warunki tego masowego budownictwa kazały nam odpowiedzieć na dwa pytania. Po pierwsze, jak zróżnicować ustawienie poszczególnych grup budynków, aby różniły się od siebie nieco – i po drugie, jak wprowadzić i jakie wtórne formy architektoniczne, a więc budynki unikalne: szkoły, kluby, pawilony sklepowe, które mogą nadać nowy wymiar w ludzkiej skali, przeplatając się między bardzo standardowymi wielkimi blokami mieszkalnymi. Proszę pamiętać, że nowe badania futurystyczne idą jeszcze bardziej w kierunku normalizacji i standaryzacji. Na przykład ostatnie studia Solariego proponują budowę nowych miast w formie wielkich struktur przestrzennych; jedna taka struktura w kształcie jakby ogromnej piramidy jest miastem stukilkudziesięciotysięcznym. Mamy więc do czynienia z jakby wielkim plastrzem miodu, a jedynym kształtem przemawiającym do człowieka jest bryła całego miasta.

– **Tutaj nasuwa się taka kwestia: gwałtowny rozwój miast doprowadził do stworzenia koncepcji miasta wyłącznie funkcjonalnego, ale ta koncepcja okazała się być nadmiernie teoretyczna. Miasta muszą być funkcjonalne, to jest oczywiste, ale przecież muszą one być przede wszystkim humanistyczne. Czy zgodziłby się Pan z twierdzeniem, że nasza a także światowa urbanistyka, szukając przede wszystkim rozwiązań funkcjonalnych, zagubiła gdzieś względy humanistyczne? Czy poszukiwania Le Corbusiera, o których mówiliśmy, przy całym dążeniu do egalitarności pozostały tylko funkcjonalne, a zabrakło im humanizmu?**

– Współczesna urbanistyka, szczególnie w Polsce, jest humanistyczna z punktu uznania równych praw człowieka, uznaje, że w każdej dzielnicy powinien być park, równe mniej więcej odległości od szkoły, od sklepu, od ośrodka komunikacji, że dla wszystkich powinna być równie dobra woda, zaś warunki zdrowotne w całym mieście należy systematycznie poprawiać. To znaczy uwzględnia potrzeby biologiczne, społecz-

ne, gospodarcze. Natomiast nowa urbanistyka nie potrafi jeszcze uwzględniać dostatecznie potrzeb intelektualnych człowieka – tego, że człowiek przeżywa miasto, że chce być szczęśliwy, zadowolony z tego, co widzi, optymistyczny.

– **Zmagamy się ciągle z tymi kwestiami normalizacji i standaryzacji, a zarazem coraz bardziej dostrzegamy potrzebę utrzymania różnorodności. Wynika ona z różnych źródeł. Proszę powiedzieć, czy polska architektura i urbanistyka na tle światowej, którą Pan zna tak dobrze, wyróżnia się jakimiś wyraźnymi, odrębnymi cechami narodowymi, czy też coraz bardziej unifikuje się, upodabnia do tego, co buduje się wszędzie na świecie? Nie chcę ukrywać, że osobiście oceniam to pesymistycznie, a za czynnik ujemny uważam zatrącenie własnych odrębnych cech narodowych.**

– Proszę Pana, tych cech odrębnych jest wraz z upływem czasu stosunkowo coraz mniej. One zanikają w miarę postępu technologicznego, wspólnego dla całego świata. Pamiętajmy, że wymiana doświadczeń następuje dzisiaj wielokrotnie szybciej, niż to było sto lat temu, a co dopiero dwieście...

– **I nie tylko doświadczeń i technologii, bo również wszelkiego rodzaju mody...**

– Ta unifikacja następuje i będzie następować coraz szybciej. Budynki mieszkalne w Warszawie czy w całej Polsce są podobne do domów wznoszonych na całym świecie. Natomiast wyraźniejsze różnice można dostrzec w urbanistyce. Zresztą, tutaj na ogół jesteśmy lepsi. Warszawa ma układ urbanistyczny o wiele lepszy, bardziej czysty niż wiele innych milionowych miast budowanych lub rozbudowywanych po wojnie.

– **Ale chyba głównie dlatego, że zachowaliśmy ten układ, tak jak narastał w toku dłuższych procesów, a jedynie uzupełnialiśmy i ulepszailiśmy go, nawiązując także do projektów opracowanych jeszcze przed wojną.**

– To Warszawa, ale układ, który się obecnie zarysowuje na Górnym Śląsku – Katowice, Gliwice, Zabrze – stanowi zupełnie nowy wielki kształt urbanistyczny, wyróżniający się w świecie.

– **Wróćmy jednak do architektury. W pełni rozumiem konsekwencje wpływające ze stosowania nowych, wspólnych dla całego świata technologii, ale czy to oznacza, że szukanie własnych, odrębnych, związanych z naszą tradycją narodową środków wyrazu jest zbędne? I czy taka unifikacja jest celowa, a także możliwa? Wprawdzie nie bardzo wiem, w jaki sposób należy te cechy narodowe wydobywać...**

– W każdym razie nie przez powtarzanie starych form...

– **To jest oczywiste, nie możemy przecież dzisiaj wznosić budynków klasycystycznych czy renesansowych. Ale jak ten czynnik narodowy powinien wyrażać się w nowych formach?**

– Pamiętać musimy o tym, że już sama kwestia innego klimatu u nas czy we Francji lub Włoszech, fakt, że w Polsce i tam rosną inne drzewa – a miasto to przecież kombinacja budynków i zieleni, to wszystko powoduje, że i wyraz ogólny musi być nieco inny.

– No tak, ale czy sami często o tym nie zapominamy? Aby uniknąć nieporozumień, chciałbym podkreślić, że mnie podoba się Ściana Wschodnia. Tylko czy równie dobrze nie mogłaby być ona wybudowana w Akrze, Bombaju lub Sztokholmie?

– Mogłaby. Byliby z niej tam nawet dumni.

– Tak, ale mnie chodzi o coś innego. W charterze pasowałaby do każdego z tych miast, odpowiadała im?

– Tak. Odpowiadała. Ale i ludzie stają się do siebie coraz bardziej podobni.

– Nie uznałbym tej postępującej unifikacji za powód do radości. Wróćmy jednak do głównego wątku rozmowy. Żyjemy u czasie, gdy wśród innych wielkich eksplozji, trwa również eksplozja urbanistyczna. Problem, jak należy budować nowe miasta, aby w pełni zaspokajały one wszystkie potrzeby i aspiracje ludzi, jest nadal otwarty. Rozstrzygnięcie jego musi nadejść, tylko kiedy?

– Zwrócił Pan uwagę, że są już cztery generacje na świecie, które mają doświadczenia bytowania w milionowych miastach; dodać należy, że przecież jest dopiero jedna generacja fachowców, działających po drugiej wojnie światowej, przed którą te zagadnienia stanęły. Nawet generacja starsza, która powinna uczyć pokolenie młodsze, tych doświadczeń w takiej skali nie miała. Te doświadczenia na własnej skórze, na błędach popełnianych przy każdej realizacji dopiero zdobywamy, zbieramy. W mieście średniowiecznym czy renesansowym, gdzie wszystko toczyło się znacznie wolniej, doświadczenia zdobywały kolejne generacje. Procesy rozwijały się przez setki lat – i fizycznie, i psychicznie, a ostatecznie dawały taki właśnie wynik, jak Stare Miasto w Warszawie.

Ciekawe, jak za pięćdziesiąt czy sto lat następne pokolenia ocenią to, co budujemy dzisiaj. Może też będzie się im bardziej podobać od miast wznoszonych w ich czasie?

Rozmowa odtworzona wedle zapisu magnetofonowego.

VARIA

NIE OD RAZU MIASTO ZBUDOWANO...²³⁰

W grudniowy wieczór żółte oczy autobusu przypominają ślepie jakiegoś prehistorycznego zwierza. Jest mrok i tylko te światła widać dobrze. Aleje Ujazdowskie w jesiennej mgle stapiają się i przestają być ulicą; ciemniejsza bariera drzew Łazienek jest ledwie widoczna, budynki po drugiej stronie rozplynęły się w ciemnościach, przechodnia o tej porze napotkać nie sposób. Autobus odjechał, idziemy więc sami, a to czego nie widać przynosi przed oczy pamięć – własna lub cudza. Dwa już stulecia Aleje są warszawską ulicą; Piwna czy Świętojańska istnieją lat sześćset.

Ta Warszawa, która nawarstwiała się przez stulecia, która jest miastem naszego dnia dzisiejszego, wkrótce odejdzie w przeszłość. W tym dziesięcioleciu, do roku 1980 – wyczerpane zostaną, jak powiadają urbaniści, rezerwy przestrzenne w obrębie obecnych granic stolicy. Warszawa zostanie całkowicie zabudowana – w ostatecznych ramach, zakreślonych możliwością przyzwoitego bytowania jej mieszkańców. Rozpocznie się okres rekonstrukcji: znane, wtopione w pejzaż, ożywione losem tysięcy ich mieszkańców dzielnice będą zastępowane przez inne, nowe, wznoszone na tym samym miejscu. Zmieniając Warszawę, rekonstrukcja nie będzie jej poszerzała. Ale miasto żyje i nic nie przerwie jego rozwoju. Obok dotychczasowej Warszawy wyrośnie inna, druga – z czasem wcale od tej starej, tej naszej – nie mniejsza. Oto wizja, perspektywa miasta, która ucieleśni się na naszych oczach. Przed końcem drugiego tysiąclecia znajdziemy się w Drugiej Warszawie.

Może zresztą określenie Druga pasuje tylko do naszych wyobrażeń, a bardziej precyzyjny byłby przymiotnik Trzecia lub Czwarta.

I.

Na długi czas o kształcie tej Warszawy, w której i my żyjemy, zdecydowała epidemia. Z początkiem jesieni 1770 r. wybuchła zaraza. Groziło, że dżuma dotrze do Warszawy, powodując śmierć większej części jej mieszkańców. Aby powstrzymać niebezpieczeństwo, postanowiono stolicę otoczyć wałem, skanalizować w ten sposób ruch do miasta: na nielicznych rogatkach uzyskać możliwość jakiegokolwiek kontroli, wzbraniającej dostępu choremu, a więc zarazie.

W tym czasie istniały dwa odrębne miasta: Stara i Nowa Warszawa. Obok nich wyrosły miasteczka i osiedla prywatne zwane jurydykami. Zwarta zabudowa na północy sięgała obecnej Cytadeli, na południu wąskim językiem docierała do placu Trzech Krzyży, na zachodzie rozpościerała się niewiele poza dzisiejszy plac Dzierzynskiego.

²³⁰ „Stolica” z 1973 r., nr 51–52.

Daleko za miastem znalazła się podmiejska rezydencja królewska, wznoszone dopiero Łazienki. Ustanowione w tym czasie Rogatki Jerozolimskie (przy obecnym placu Zawiszy) znajdowały się w szczerym polu: biegła od nich droga, z czasem nazwana Twardą (dziś: Krajowej Rady Narodowej), prosto do podmiejskiej jurydyki Grzybów, a od niej Senatorską do właściwego miasta. Na prawym brzegu Wisły osobne miasteczko – Praga – rozpościarało się wzdłuż rzeki od obecnego portu po ZOO, w głąb nie dochodząc nawet dzisiejszej ul. Targowej.

Budowę wałów prowadził marszałek wielki koronny Stanisław Lubomirski przy pomocy dyrektora budowli królewskich, Augusta Moszyńskiego. Okopy, nazywane powszechnie imieniem Lubomirskiego, objęły nie tylko ówczesną aglomerację warszawską – obie Warszawy i jurydyki – ale znaczny teren na ich przedpolu. Król życzył sobie, aby w obrębie wałów znalazły się Łazienki. Ostatecznie długie na 13 kilometrów okopy ciągnęły się od Wisły przez teren obecnej Cytadeli i Dworca Gdańskiego, a dalej mniej więcej tak, jak dzisiaj ulice Okopowa, Towarowa, Koszykowa, Noskowskiego, Polna, plac Unii, Klonowa, aby na południe od Łazienek znów dotrzeć do rzeki. Objęty okopami obszar 1469 ha w trzech czwartych składał się z niezabudowanych pól i uprawnych, łąk, pastwisk, a nawet lasów. Okopy otaczające Pragę miały 3 kilometry długości; szły równoległe do obecnej ul. Targowej, ale nieco bliżej Wisły.

Linia tych okopów na co najmniej półtora wieku określiła kształt przestrzenny całej Warszawy, a do dzisiaj wyznacza obszar właściwego śródmieścia. Same wały przetrwały zresztą sto lat i zniwelowano je dopiero po Powstaniu Styczniowym. Wewnątrz okopów Lubomirskiego zbudowana została wielkomiejska, nowoczesna Warszawa.

Decyzją Sejmu Wielkiego z 1791 r. wszystkie odrębne organizmy miejskie wewnątrz wałów Lubomirskiego połączone zostały w jedno zjednoczone miasto – Warszawę. Aglomeracja stała się metropolią i jednolitym, odrębnym organizmem komunalnym.

Przez cały wiek XIX Warszawa rozbudowywała się wewnątrz wałów. Stosunkowo szybko przystąpiono do regulacji terenów, wyznaczania sieci ulic – wyprzedzając tym prace budowlane. Część obszaru rozplanowano jeszcze w czasach stanisławowskich; dzieła dokończyła prawie całkowicie Rada Budowlana Królestwa Kongresowego przed Powstaniem Listopadowym. Wały spełniały rolę ważnego czynnika miastotwórczego; zakreślone w sposób przemyślany i logiczny, z ogromną urbanistyczną perspektywą, wyznaczały obszar spłaszczonej połowy koła, dogodny dla wznoszenia na nim miasta. Równocześnie tam, gdzie była taka potrzeba, okopy nie zamykały możliwości rozrastania się zabudowy poza ich krąg.

II.

W wieku XIX zaczęły działać jednak czynniki hamujące prawidłowy rozwój przestrzenny stolicy. Stały się nimi fortyfikacje carskie. Po upadku Powstania Listopadowego Mikołaj I nakazał zburzyć północną dzielnicę miasta – Półków – na jej miejscu

wznosząc forty Cytadeli; zamknęła ona najbardziej naturalny kierunek rozwoju stolicy wzdłuż Wisły na północ. W drugiej połowie stulecia względy militarne spowodowały dalsze ograniczenia. Warszawa stanowiła wówczas kresowe miasto imperium carskiego; założono, że w wypadku wojny koncentracja armii dokonana zostanie na wschodnim brzegu Wisty. Przyniosło to dwie ważne konsekwencje: budowę licznych fortów, wianuszkami od zachodu otaczających Warszawę (a raczej warszawski przyczółek mostowy, jedną z podstaw operacyjnych armii carskiej) – oraz budowę strategicznych linii kolejowych.

Pas fortów wokół Warszawy zamknął skutecznie możliwość przestrzennej rozbudowy miasta. W całym tym pasie zakazano wznoszenia domów wyższych niż parterowe i innych niż drewniane; chodziło o to, aby w wypadku wojny móc je natychmiast spalić, odsłaniając pola ostrzału. Na terenie wokół fortów nie można było budować nic – poza instalacjami, których wymagały względy militarne.

Podobną rolę spełniały strategiczne linie kolejowe. Nie miały one większego uzasadnienia gospodarczego. Linia nadwiślańska, rokadowa w stosunku do planowanego frontu, łączyła trzy twierdze: w Iwangrodzie (Dęblinie), w Warszawie i w Nowogrodzie (Modlinie). Dwie pozostałe, petersburska i terespolska, służyć miały do dowozu wojsk i materiału wojennego z głębi imperium. Układ tych linii na Pradze a także powiązanych z nimi koszar i magazynów wojskowych spowodował, że rozwój prawobrzeżnych dzielnic na wschód został niemal całkiem powstrzymany i ograniczony tylko do wąziutkich pasów wzdłuż dróg wylotowych, ponadto, aby ominąć samo miasto, zbudowano kolejową linię obwodową; przechodziła ona przez Wisłę pod osłoną i między fortami Cytadeli (wewnętrznego jądra twierdzy), a następnie biegła po wewnętrznej stronie pasa fortyfikacji warszawskich. Tereny kolejowe i wysokie nasypy stworzyły trudną do przebycia zaporę.

W ten sposób rozwój przestrzenny Warszawy zatrzymano ze wszystkich stron. Miasto, które bez większego trudu mogło przenikać poza okopy Lubomirskiego, ściśniono zostało wewnątrz pasa fortów i linii kolejowych. Nastąpiło, to w czasie, w którym w sposób planowy i przemyślany rozwijały się inne metropolie Europy, takie jak Paryż (układ urbanistyczny współczesnego Paryża powstaje w latach sześćdziesiątych XIX w.) czy Berlin (który kształt wielkomiejski uzyskuje między 1870 a 1910 r.). W rezultacie Warszawa nie tylko że nie dorównywała kroku innym wielkim miastom, lecz wręcz przeciwnie: nastąpił gwałtowny i bardzo głęboki regres. Pozostano przy układach urbanistycznych stworzonych w epoce stanisławowskiej i Królestwa Kongresowego; dalszy postęp był tylko pozorny. Takie stały się dla Warszawy następstwa i skutki utraty niepodległości Rzeczypospolitej.

Wewnątrz twierdzy miasto rozbudowywało się żywiołowo i tandetnie, bez i porządkującej myśli generalnej. Szczupłe tereny osiedleńcze spowodowały wyjątkową ciasnotę zabudowy. W czasach stanisławowskich stolica liczyła 100 tysięcy mieszkańców, a w roku 1914 – blisko 900 tysięcy, w tym czasie obszar zabudowany powiększył się

najwyżej pięciokrotnie, a ilość mieszkańców – prawie dziewięciokrotnie. Z początkiem naszego stulecia Warszawa należała do najbardziej zagęszczonych miast europejskich. Co gorsza, rozwój tego zamkniętego miasta następował przypadkowo. Widać to najlepiej po lokalizacji przemysłu. Wprawdzie wszędzie w wieku XIX trudno mówić o logicznym planowaniu umiejscowienia przemysłu, ale niejako automatycznie formują się dzielnice funkcjonalne: wielkomiejskie city, osiedla mieszkaniowe i fabryczne. Nie do pomyślenia była ewentualność, aby pod paryskim Luwrem i obok Wielkich Bulwarów czy wokół berlińskiego Königsplatz budować fabryki albo odgradzać nimi miasto od Łasku Bulońskiego. W Warszawie pierwsza wykształcona dzielnica przemysłowa – Powiśle – wzniesiona zostaje o trzy kroki od reprezentacyjnej osi miasta. Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata, od Zamku Królewskiego i Łazienek. Później dzielnice fabryczne wyrastają tylko (a więc zamykają) na możliwych jeszcze kierunkach rozwoju przestrzennego miasta: na Woli i Czystem, na Pradze i Grochowie, także Mokotowie.

Dusząca się w pętli fortyfikacji i linii kolejowych, celowo odizolowanych od miasta, już pod koniec XIX w. Warszawa wypełnia prawie całkowicie obszar możliwy do zabudowy: rezerwy przestrzenne w południowej części obecnego śródmieścia były tylko pozorne, teren ten zajmowały bowiem koszarzy i place ćwiczeń wojskowych. Jeszcze wewnątrz tej pętli tworzą się odrębne organizmy miejskie (do 1914 r. granice administracyjne miasta na niektórych tylko odcinkach bardzo niedaleko przekroczyły okopy Lubomirskiego), najważniejszymi z nich są fabryczne osiedla Wola i Grochów. O ile wielkomiejski charakter samej Warszawy, a w każdym razie jej części zbudowanych po 1831 r. był bardzo wątpliwy, to charakter tych osiedli odbiegał wyraźnie na niekorzyść.

Wypełnienie układu przestrzennego chaotyczną zabudową stworzyło zresztą hamulec dla rozwoju przemysłu. Wprawdzie działały i inne czynniki. Stalownia Warszawska na Nowej Pradze największy zakład warszawski, a jeden z największych na ziemiach polskich, została w 1889 r. przeniesiona w całości (urządzenia i pracownicy) do zagłębia donieckiego. Nie był to przykład jedyny. Poważniejszym czynnikiem ograniczającym stawał się brak wolnych terenów. Z drugiej jednak strony ośrodek warszawski – wielkie centrum demograficzne, gospodarcze i administracyjne, największy w Polsce węzeł kolejowy – działał jak magnes, przyciągając inicjatywy industrializacyjne.

III.

Hamulce obaliło dopiero odzyskanie niepodległości. Wcześniej, w 1916 r. (w rok po odejściu wojsk carskich) przesunęto daleko granice administracyjne miasta. W 1915 r. obszar Warszawy wynosił prawie 4 tys. ha, w roku następnym przyłączono ponad 8 tys. ha, a wraz z późniejszymi przyłączeniami obszar Warszawy w 1938 r. przekracza 14 tys. ha.

Nagły wzrost przestrzenny stolicy był niezbędny, ale też i tworzył zupełnie nowe problemy.

Wynikały one z podstawowych dysproporcji między dawną Warszawą (w granicach okopów Lubomirskiego) a terenami przyłączonymi. Przykładowo, dawne dzielnice były nadmiernie zagęszczone; w 1916 r. mieszkało tutaj 244 osoby na 1 ha; na terenach przyłączonych zaludnienie, typowe raczej dla obszarów wiejskich, sięgało 13 mieszkańców na 1 ha. 93 procent domów na nowych terenach stanowiły budyneczki parterowe, a najwyżej jednopiętrowe, 78 procent było z drewna. Nie istniały wodociągi i kanalizacja, gaz i elektryczność występowały wyjątkowo, a na całym przyłączonym obszarze znajdowało się dosłownie kilkanaście izb szkolnych.

U progu niepodległości Warszawa stanęła przed dwoma kluczowymi problemami. Pierwszym była konieczność faktycznej, a nie tylko administracyjnej integracji miasta w jego nowym kształcie przestrzennym i niwelacja różnic między dzielnicami starymi i nowymi. Drugim – niezbędna rekonstrukcja starszej części Warszawy połączona ze znacznym rozgęszczeniem centralnych dzielnic i usunięciem z nich najbardziej uciążliwego przemysłu.

Te gigantyczne zadania realizowaliśmy w ciągu pół wieku: obecne jesteśmy w fazie końcowej.

Pierwszy okres przebudowy Warszawy w funkcjonalną i nowoczesną metropolię trwał przez międzywojenne dwudziestolecie. Niczym zwolniona z uścisku sprężyna, miasto wybiega we wszystkich kierunkach. W 1914 r. Dworzec Gdański wznosił się wśród pól, a obok placu Unii pasły się krowy. Przez dwadzieścia lat powstają olbrzymie dzielnice, takie jak Żoliborz z Bielanami, Mokotów, Grochów, Saska Kępa czy Ochota – wyróżniające się nowoczesnością, o przeciętnym standardzie znacznie wyższym niż w Śródmieściu, zaplanowane z rozmachem urbanistycznym i architektonicznym. Pierwsze wielkie zadanie – integracja terenów starych i przyłączonych – zostało w znacznym stopniu wykonane. Niewielki natomiast postęp nastąpił w rekonstrukcji i rozgęszczaniu dzielnic centralnych. Na niezbędne wyburzenia i wznoszenie nowych osiedli na miejscu starych brakowało kapitału, a także mieszkań potrzebnych dla nadwyżki ludności. Niemniej jednak działania te zastały przygotowane koncepcyjnie. Opracowano plany regulacji miasta, w lwiej części realizowane jednak dopiero po II wojnie światowej. Do tych prac regulacyjnych zapoczątkowanych przed wojną należą m.in. takie inwestycje, jak przedłużenie ul. Marszałkowskiej na północ, budowa Trasy N–S (aleja Niepodległości i Marchlewskiego), Wisłostrada, obecne Trasy Starzyńskiego czy Łazienkowska.

Integracja i regulacja Warszawy następowały równolegle z szybkim rozwojem miasta. Ludność stolicy z prawie 900 tys. wzrasta do ponad 1 300 tys. mieszkańców.

Cały ten rozwój został gwałtownie przerwany II wojną światową. Warszawę zburzono, większość jej mieszkańców wymordowano lub wypędzono. Gdy w 1945 roku nadeszło wyzwolenie, obok dwu wcześniejszych a nadal aktualnych zadań (integracji i rekonstrukcji) stanęło nowe: odbudowa stolicy.

Minione blisko trzy dziesięciolecia wypełnione są realizacją tych trzech zadań.

Okazało się zresztą, że odbudowa Warszawy dokonana została szybciej niż pełna integracja organizmu miejskiego i jego rekonstrukcja.

Procesy integracyjne w poszerzonych jeszcze bardziej granicach miasta (decyzjami z 1951 i 1957 r. przyłączano do stolicy nowe obszary, powiększając miasto z 14 tys. do ponad 30 tys. ha) posunęły się wyraźnie naprzód, choć dalekie są od zakończenia: porównanie i standardów starych i nowych osiedli np. na Grochowie albo Bródnie jest tego najlepszym dowodem: Rembertów czy Wiochy nadal raczej formalnie należą do stolicy. W procesach rekonstrukcyjnych postęp jest większy: w zasadzie zakończano rozgęszczanie dzielnic centralnych. Bardzo zaawansowane są prace w tworzeniu nowego układu urbanistycznego; zrealizowane już bądź realizowane arterie przelotowe, nowy układ osiedli i nowe struktury urbanistyczne osiedli zlikwidowały głównie błędy i niedostatki rodem z drugiej połowy XIX wieku. Odbudowa Warszawy, dokonana najwcześniej spośród trzech głównych zadań, prowadzona była etapowo: najpierw przywrócono do życia przemysł, którego stan zatrudnienia z 1938 r. (łącznie z rzemiosłem) osiągnięto w 1960 r. W drugiej kolejności uzyskano przedwojenną ilość mieszkańców: obecnie Warszawa ma ich nieco więcej niż przed 1939 r., choć wprowadzie na dwukrotnie większym obszarze. Wreszcie, nie wszystkie obszary zabudowane przed zburzeniem i nadające się do zabudowy, obrosły już w nowe domy; proces ten jednak zakończony zostanie w najbliższych latach.

Nie ma powodu ukrywać, że rozwój Warszawy współczesnej dwukrotnie silnie zahamowano.

W 1954 r. wprowadzono ograniczenia meldunkowe, tworząc ze stolicy miasto zamknięte. Spowodowało to radykalne ograniczenie tempa przyrostu ludności. Gdy w latach 1945–1953 ludność stolicy wzrosła z 162 tys. do 913 tys., to w następnym dwudziestolecu – do końca 1973 r. – przyrost wyniósł ok. 450 tysięcy osób. Drugim czynnikiem, który zwolnił tempo rozwoju, stały się plany deglomeracyjne z lat 1966–1970. Wprawdzie decyzje te dawały się uzasadnić doraźnymi na ogół potrzebami, lecz stawały także przeciwko rzeczywistym potrzebom i zasadniczym procesom rozwoju miasta. Tym bardziej że – dodajmy – Warszawa dziś jeszcze, skupiając 4 procent ludność Polski, wytwarza 7,6 procent dochodu narodowego, a pochłania 5 procent ogólnokrajowych inwestycji.

IV.

Historyczny rozwój Warszawy zdecydował o jej współczesnym obliczu. Umocnił i rozwinął podstawowe funkcje miasta. Taka właśnie Warszawa rozwinęła się w jednolitym układzie przestrzennym, zdeterminowanym przez okopy Lubomirskiego. Dziś wprawdzie linia dawnych okopów znalazła się w centrum miasta, ale Warszawa nie może się od nich oderwać. Wewnątrz tej linii rozwinęły się dzielnice centralne, na przedpolu okopów Lubomirskiego powstał wieniec nowych dzielnic. Dawny układ pozostał – i on określa kształt współczesnego miasta.

Warszawa jednak rozwija się coraz dalej. Rozrasta we wszystkich kierunkach. I oto dochodzimy do najważniejszego problemu przyszłości: jeśli obecnie rezerwy przestrzenne wewnątrz granic Warszawy kończą się, a miasto ma rozwijać się dalej – to jak i w którym kierunku? Jeśli Warszawa otoczona jest wieńcem innych miast i osiedli coraz bardziej szczelnie, tak że następuje już integrowanie się obszarów zabudowanych stołecznych i podstołecznych – jaka powinna być przyszłość całej tej ogromnej skupiającej ok. 2,7 mln osób aglomeracji?

Jedno jest pewne. Te decyzje, które zapadają dziś bądź jutro, w sposób decydujący wpłyną na przyszły kształt i charakter Warszawy. Pewna epoka dziejowa miasta, bardzo trudna, wypełniona wieloma przeciwieństwami, trudnościami i dramatycznymi wydarzeniami – kończy się na naszych oczach. Ta odchodząca epoka objęła dwa stulecia. Musimy zdawać sobie sprawę z ciężącej na nas odpowiedzialności podejmowane współcześnie decyzje dotyczące przyszłości stolicy zdeterminują jej kształt i charakter na nową, może równie długą epokę.

Leszek Moczulski

* * *

PUŁK CZWARTY²³¹

Mieliśmy ich w historii osiem. Siedem pułków piechoty i jeden batalion, wszystkie noszące imię Czwartaków. Nazwa ta w polskiej tradycji narodowej, a zwłaszcza tradycji Warszawy znaczy bardzo wiele; czwarty pułk piechoty wszedł na trwałe do historii naszego oręża, a zarazem i do dziejów stolicy. Szkic niniejszy w encyklopedycznym niemal zarysie przedstawia kolejne wcielenia jednostki o tej samej numeracji – Czwartaków.

Pierwszym historycznie pułkiem naszej piechoty, który otrzymał tę cyfrę, był Regiment Buławy Wielkiej Koronnej, zwany popularnie hetmańskim. Powstał on w 1717 roku po dokonanej wówczas reorganizacji sił zbrojnych Rzeczypospolitej i po połączeniu licznych drobnych oddziałów w większe jednostki. Regiment Buławy Wielkiej należał do pięciu najstarszych pułków piechoty, gdy w okresie stanisławowskim podjęte zostały kolejne próby reorganizacji i rozbudowy wojsk polskich. W 1786 roku wszystkie regimenty piesze, z wyjątkiem Gwardii Koronnej, otrzymały kolejną numerację. Regiment Buławy Wielkiej dostał nową nazwę Regimentu IV. W czasie aukcji wojska podczas Sejmu Czteroletniego ustalony został nowy etat pułku, a także jego barwy. Podobnie jak w całej piechocie, żołnierze Regimentu IV nosili mundury granatowe kroju polskiego z ciemnozielonymi wyłogami i złotymi guzikami.

W wojnie 1792 roku w obronie Konstytucji 3 Maja Regiment IV nie odegrał większej roli. Został on podzielony batalionami między dywizję ks. Józefa Poniatowskiego

²³¹ „Stolica” z 1969 r., nr 19.

i dywizję wołyńską ks. Michała Lubomirskiego. Oba uczestniczyły, bez większego powodzenia, w bitwie pod Zieleńcami. Ks. Józef pokonał tam carski korpus gen. Markowa – było to pierwsze zwycięstwo oręża polskiego w walnej bitwie od czasów Jana Sobieskiego. Król Stanisław August nagrodził za nie wojsko, ustanawiając order *Virtuti Militari*. Wszystkie jednostki polskie, uczestniczące w batalii zielewieckiej, słusznie były z tego dumne i część tej chwały, choć niewielka spada także na Regiment IV.

W Powstaniu Kościuszkowskim Regiment IV znalazł się jako jeden z pierwszych. Stacjonował on na Lubelszczyźnie, w Lubomli i w połowie kwietnia 1794 roku wspólnie z Regimentem I wystąpił orężnie, stanowiąc główną siłę tzw. powstania chełmskiego, dowodzonego przez gen. Grochowskiego. Później pułk połączył się z siłami głównymi Kościuszki, uczestniczył w bitwie pod Szczekocinami w składzie korpusu Grochowskiego (który tam poległ), następnie walczył w bitwie na przedpolach Warszawy, tocząc boje pod Błoniem wspólnie z innymi jednostkami korpusu gen. Mokronowskiego. Wkrótce potem rozpoczęło się oblężenie Warszawy. Regiment IV uczestniczył w obrobie północnego odcinka, gdzie dowodzi gen. Mokronowski, a następnie ks. Poniatowski. Ks. Józef wysuwa regiment na pozycję pod Wawrzyszewem. Na tym odcinku nad ranem 25 sierpnia 1794 rozpoczyna się szturm pruski. Pułk walczy w zalesionych wzgórzach pod Wawrzyszewem.

Pod koniec oblężenia Warszawy Tadeusz Kościuszko wyznacza Regiment IV do korpusu gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. Pod jego dowództwem pułk bierze udział w wyprawie wielkopolskiej, jednej z najbardziej udanych operacji Insurekcji. Walczy, docierając wraz z korpusem aż po Gniezno i Bydgoszcz. Klęska Maciejowicka powoduje, że Dąbrowski cofa się ku Warszawie. Regiment dzieli losy całej armii, aż po jej rozwiązanie w Radoszycach.

Drugi w naszych dziejach pułk czwarty piechoty powstaje w 1807 roku w armii Księstwa Warszawskiego. Zostaje on sformowany w ramach 3 Legii, przemianowanej następnie na 1 dywizję warszawską. Pułk stacjonuje w Płocku, lecz niedługo. Na mocy układu z Napoleonem Bonaparte w 1808 r. z każdej dywizji polskiej jeden pułk ma zostać skierowany na wojnę hiszpańską. Wyboru pułków dokonuje marszałek Davout, najświetniejszy chyba z napoleońskich dowódców. Z 1 dywizji wybiera on pułk najlepszy – jest to właśnie Pułk 4 dowodzony przez płk. F. Potockiego. Mimo iż skierowany do Hiszpanii i przeniesiony na żołd francuski, pozostaje on oficjalnie w składzie wojska Księstwa Warszawskiego. Żołnierze noszą mundur granatowy, białe spodnie, wysoką okrągłą czapkę, żółte rabaty, pasowe naramienniki, kołnierzyk i kity na czapce.

Lata 1808–1812 pułk spędza w ciężkiej pracy wojennej w Hiszpanii. Rychło uzyskuje opinię jednego z najlepszych pułków uczestniczących w tej wojnie, z sukcesami bierze udział w licznych bitwach.

W 1812 r. Pułk 4 zostaje skierowany na wyprawę moskiewską Napoleona.

Armia Królestwa Polskiego, utworzona w 1815 r. posiadała dwa pułki o numeracji 4. Były to Pułk 4 Piechoty Liniowej i Pułk 4 Strzelców Pieszych. Oba nosiły mundury

granatowe, spodnie białe, wysokie czarne czapy. Pułk 4 Piechoty Liniowej posiadał rabaty żółte, naramienniki białe. Pułk 4 Strzelców Pieszych rabaty i naramienniki granatowe z żółtą wypustką.

Nazwa Czwartaków przylgnęła do Pułku 4 Piechoty Liniowej. Stacjonował on w Warszawie, w koszarach sapieżyńskich i w znacznej mierze rekrutował się z Warszawskiej młodzieży. Wynikami szkolenia wysunął się rychło na czołowe miejsca i słusznie uchodził za najlepszy z pułków piechoty. Był zresztą najlepszy nie tylko pod względem umiejętności bojowych. To właśnie Czwartacy stanowili główną siłę bojową powstańczego zrywu. W Noc Listopadową 29 XI 1830 r. obronili oni wówczas Arsenał, rozdali broń ludowi.

W wojnie 1831 roku Czwartaków nie zabrakło w żadnej z najtrudniejszych potrzeb. Walczyli pod Wawrem, w Olszynie Grochowskiej, wzięli wybitny udział w kwietniowej ofensywie polskiej, skrwawili się pod Ostrołęką, później walczyli na Woli w obronie Warszawy. Za każdym razem pułk udowydniał swe najwyższe umiejętności bojowe i wyróżniał się patriotycznym duchem. Po upadku powstania żołnierze pułku zachowali ścisłą więź. Z ich szeregów narodziły się na emigracji sławne ośrodki rewolucyjne, zwane Gromadami Grudziąż i Humań.

Również Pułk 4 Strzelców Pieszych zapisał w wojnie piękną kartę, walcząc od batalii grochowskiej po obronę Warszawy.

Następny w naszych dziejach pułk 4 powstał po kilkudziesięcioletniej przerwie. Sformowany on został w 1915 r. w ramach II brygady Legionów Polskich. Wyróżnił się w walkach w Karpatach, a później na Wołyniu. W 1918 r. wraz z II brygadą przebił się przez front i przeszedł na Ukrainę. Tutaj wziął udział w bitwie z Niemcami pod Kaniowem. Rozbity i rozwiązany, odrodził się w listopadzie 1918 r., tym razem już w składzie sił zbrojnych niepodległej Polski.

W kampanii jesiennej 1939 r. 4 Pułk Piechoty Legionów dowodzony przez ppłk. Laliczyńskiego walczył w składzie 2 dywizji. Uczestniczył w bojach nad Wartą, wielokroć kontratakując silniejszego wroga. Później przeżył gehennę dramatycznego odwrotu armii „Łódź”, przebijającej się ku Warszawie. 12 września 1939 z rejonu Błonia pułk wspólnie ze swoją dywizją rozpoczął atak celem złamania pozycji niemieckich i przedostania się do stolicy. Przeciwnikiem pułku była elitarna jednostka SS-Leibstandarte „Adolf Hitler”. W walce ze zmotoryzowanymi i wspartymi czołgami oddziałami nieprzyjaciela pułk zdobył Świecice, później Ołtarzew. Niemcy rzucili do przeciwdziałania 4 dywizję pancerną i w walkach z nią pułk poniósł bardzo ciężkie straty. Przedostał się następnie do Modlina i wziął udział w jego obronie, walcząc na odcinku zakroczymskim. Wraz z załogą twierdzy 4 pp. kapitulował i żołnierze musieli iść do niewoli. Pułk odtworzył się jednak w partyzantce jako 4 pp. AK. Toczył on boje w południowej i środkowej Kielecczyźnie, brał udział w nieudanej zresztą wyprawie na odsiecz Warszawy w sierpniu 1944 r.

Jesienią 1939 r. we Francji sformowany został 4 warszawski pułk strzelców pieszych. W ramach 2 dywizji polskiej brał on udział w kampanii 1940 r., w najtrudniej-

szych warunkach walcząc pod Maîche i St. Hipolite. Otoczony przez Niemców pułk nie kapitulował, a wraz z całą dywizją przebił się do Szwajcarii.

Bezpośrednim kontynuatorem tradycji Czwartaków był oddział bojowy Gwardii, a następnie Armii Ludowej, który przyjął to imię. Początkowo pluton, rozwinął on się w batalion im. Czwartaków. Dowódcą batalionu był „Konrad” – Lech Kobylński, kompaniami dowodzili „Mirek” – Lech Matawowski, „Tadek” – Tadeusz Pietrzak i „Żarłok” – Ryszard Suski. Chrzest bojowy oddział odbył 23 października 1943 r. podczas akcji zbrojnej na lokal „Nur für SS und Polizei” – Bar Podlaski. Później przyszły inne sławne akcje: Na fabrykę przy ul. Madalińskiego, potyczka przy ul. Boboli, akcja na fabrykę „Błaszanka”, potyczka u zbiegu Waliców i Prostej, zniszczenie kabla łączącego front wschodni z Berlinem przy ul. Hożej, napad na Zakłady Philipsa, potyczka na Zielnej przy Prudentialu, wysadzenie wiaduktu kolejowego na Grochowie – i liczne inne. Po wybuchu Powstania Warszawskiego Czwartacy natychmiast znaleźli się w boju. Pierwsza kompania batalionu wstąpiła się w obronie barykady u zbiegu Wolskiej i Młynarskiej. Później batalion już w całości walczył na Starym Mieście, tocząc boje w rejonie Mostowej i Rybaków. Grupa Czwartaków należała do ostatnich żołnierzy, którzy 2 września 1944 opuścili Stare Miasto. Następnie siły główne batalionu brały udział w obronie Żoliborza, a po jego kapitulacji resztki Czwartaków przeprowadziły się na wschodni brzeg Wisły. Natomiast jedna kompania batalionu do końca powstania walczyła na Starym Mieście. Z szeregów Czwartaków wywodzili się w znacznej mierze żołnierze grup dywersyjnych, sformowanych w 1944 r. na Lubelszczyźnie i zrzuconych ze spadochronów za frontem wroga.

1 sierpnia 1944 r. wszedł do walki ostatni w naszej historii pułk 4 – 4 Pułk Piechoty z 2 dywizji im. Henryka Dąbrowskiego, sformowany on został jeszcze w 1943 r. w Sielcach nad Oką. W lipcu 1944 r. pułk brał udział w wyzwolaniu Lubelszczyzny. Pod koniec lipca znalazł się na froncie nad Wisłą pod Puławami. 1 sierpnia żołnierze pułku przystąpili do forsowania rzeki w rejonie Puław. Akcja ta przyniosła tylko częściowy sukces. Po trzech dniach walk w rezultacie sytuacji na całym odcinku 1 armii Ludowego WP, oddziały pułku zostały wycofane na wschodni brzeg rzeki.

Na przełomie sierpnia i września żołnierze pułku obsadzali pozycje nad Pilicą, broniąc przyczółka Magnuszewskiego. Następnie pułk znalazł się w Warszawie, nie brał jednak udziału w forsowaniu Wisły. Dopiero w styczniu 1945 r. przypadły 4 pp. odpowiedzialne zadania. Sforsował Wisłę 16 stycznia pod Kępą Kiełpińską, wyzwolił Łomianki, Dąbrowę, Wólkę Węglową, Placówkę, Wawrzyszew, a wreszcie Powązki, kończąc operację oswobodzeniem rejonu Leszna i obecnego placu Dzierżyńskiego.

Niemal natychmiast po wyzwoleniu Warszawy 4 pp. rusza na Zachód. Wstępuje się w walkach o przełamanie Wału Pomorskiego, szczególnie pod Mirosławcem. Później uczestniczył w obronie wybrzeża polskiego w rejonie Kamienia Pomorskiego. Stamtąd został i skierowany do operacji berlińskiej. Forsuje Odrę pod Gozdowicami, walczy

pod Altreetz, Oranienburgiem, Linum, Rhinow, nad kanałem Ruppiner i dociera do Mahlitz w pobliżu Łaby, na zachód od Berlina. Tutaj zastaje go koniec wojny.

Przez 153 lata Czwartacy walczą we wszystkich kampaniach, z wyjątkiem powstania styczniowego i zyskują sobie dobre imię. Między 1792 r. a 1945 r., między Zieleńcami a Berlinem Pułk 4 walczy w pierwszych szeregach. Dumna tradycja Czwartaków jest nadal żywa i stanowi część naszej zbiorowej świadomości. Z tradycji tej czerpiemy i czerpać będziemy niepowtarzalne i trwałe wartości. Duch „Czwartaków” żyje wśród nas.

LESZEK MOCZULSKI

* * *

ŚMIERĆ GENERAŁA DE GAULLE'A²³²

Setki tysięcy warszawiaków witało go jeszcze trzy lata temu, gdy ponownie przybył do stolicy Polski. Przed oczami mamy te wrześniowe dni: wyniosła postać Generała, a wokół wiwatujące tłumy; Generał wysoko unosi dłonie, wita Warszawę i Polskę...

9 listopada dobiegł kresu żywot największego Francuza naszego stulecia, jednej z najwspanialszych postaci w długiej i dumnej historii Francji, człowieka należącego do nielicznego grona tych, którzy wyznaczali bieg dziejów XX wieku.

Śmierć Generała nastąpiła w momencie, gdy umiera również pewna epoka. Dlatego musimy używać czasu przeszłego dokonanego. Był Generał przez całe życie mozolnym bojownikiem o wielkość Francji. Był bohaterskim obrońcą Verdun. Był człowiekiem, którego głos ostrzegał, nim jeszcze nastąpiła klęska Francji i Europy. Był mężem, który w chwili katastrofy uniósł porzucony sztandar, uratował honor Francji i porwał ją za sobą do walki. Był człowiekiem, którego imię stało się symbolem dla całej walczącej Europy. Był pierwszym kierownikiem odbudowy i odrodzenia Republiki. Był tym, który potem w trudnym czasie, wezwany przez naród, stanął na czele Ojczyzny i wyprowadził ją z chaosu. Był mężem stanu, który rzucił wyzwanie amerykańskiemu supermocarstwu i zerwał satelickie więzy Francji, dając przykład innym. Był tym, który odbudował prestiż, światową rangę Republiki. Był przywódcą światowym, który jako pierwszy zaczął budować most między Zachodem a Wschodem. Był uosobieniem wielkości Francji.

Zmarł w czasie, gdy rodzi się nowa epoka. Dlatego, wspominając Generała, musimy używać również czasu przyszłego. Jego konsekwencja i Jego miłość ojczyzny – zwraca nas ku jutru. Generał zawsze żył jutrem, patrzył daleko w przyszłość. Odszedł, lecz pozostaje człowiekiem przyszłości.

²³² „Stolica” z 1970 r., nr 47. Nie był to jedyny tekst Leszeka Moczulskiego o gen. de Gaulle. Zob. przede wszystkim *Rzecznik niezawisłości Francji*, *Stolica* z 1967 r., nr 24.

Śmierć nadeszła, gdy Generał pracował nad kolejnym tomem „Pamiętników Nadziei”. On, który tylekroć nadzieje spełniał, pozostawił swoją nadzieję.

L. M.

* * *

UKŁAD PRL–NRF²³³

W 31 lat i 79 dni po napaści III Rzeszy na Polskę, w 25 lat i 193 dni po bezwarunkowej kapitulacji Niemiec – w dniu 18 listopada 1970 r. paraflowany został w Warszawie przez ministrów Stefana Jędrzychowskiego i Waltera Scheela układ o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków PRL–NRF.

Z inicjatywą normalizacji wzajemnych stosunków wystąpił 17 V 1969 r. I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, w swoim znanym przemówieniu stwierdzając: „Nie ma przeszkód natury prawnej, aby NRF nie mogła uznać istniejącej granicy zachodniej Polski za ostateczną. W każdej chwili gotowi jesteśmy zawrzeć z NRF taki układ między państwowy, podobnie jak 19 lat temu zawarliśmy w tej sprawie układ z NRD... Polska nigdy nie zawrze z NRF układu w sprawie granicy na Odrze i Nysie, który odbiegałby od Układu Zgorzeleckiego... Byłby to bowiem krok wstecz, uderzenie w siebie i wszystkich naszych sojuszników i przyjaciół...”²³⁴.

²³³ „Stolica” z 1970 r., nr 48.

²³⁴ Uznanie przez RFN (w tamtym czasie mówiono u nas – NRF) granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej było sprawą wielkiej wagi. Układ Poczdamski z 1945 r., który określał tę granicę, nie miał charakteru umowy międzynarodowej. Był wprawdzie zawarty na piśmie (inaczej niż porozumienia Wielkiej Trójki w Teheranie i Jalcie), jednak – jako zawarty bez udziału Niemiec – nie mógł rodzić dla nich żadnych zobowiązań. Nie był umową międzynarodową w rozumieniu prawa międzynarodowego, a więc nie mógł też dawać Polsce żadnych praw. Było to jedynie porozumienie polityczne, a nie prawno-międzynarodowe. Z jego treści wynikało, że granica polsko-niemiecka zostanie określona w traktacie pokojowym z Niemcami. Traktatu tego nigdy nie zawarto z uwagi na Zimną Wojnę (w 1990 r., gdy trwały rozmowy w sprawie zjednoczenia Niemiec, Konfederacja Polski Niepodległej zgłosiła propozycję, aby zjednoczenie Niemiec poprzedzić podpisaniem traktatu pokojowego, jednak propozycja ta nie została podjęta nawet przez polską dyplomację; zob. *Rezolucja RP KPN z 2 IX 1990 r.*, „Gazeta Polska” z 1990 r., nr 4, s. 4.). W tej sytuacji granice polsko-niemiecką regulowały układy dwustronne: Polska-NRD z 1950 r., PRL-RFN z 1970 r. oraz Polska – zjednoczone Niemcy z 1990 r. W momencie, gdy Moczulski pisał przytoczony wyżej tekst zawarty był tylko układ z NRD. Polska granica zachodnia była kontestowana w RFN. To powodowało, że stacjonowanie w PRL wojsk radzieckich (ich baza była m.in. w Legnicy – na Ziemiach Odzyskanych) było argumentem na rzecz „sojuszu” polsko-sowieckiego, czyli uzależnienia Polski od Sowietów. Kiszczak grał tym argumentem jeszcze pod koniec lat 80. (zob. *Notatka z rozmowy (Kiszczak, Pudysz, Orszulik, Olszewski)*, 6 V 1988 r. [w:] ks. bp. Alojzy Orszulik SAC, *Czas przełomu. Notatki z rozmów z władzami PRL w latach 1981-1989*, Warszawa-Ząbki 2006, s. 333-335). Z tej perspektywy układ zawarty przez Gomułkę w 1970 r. miał duże znaczenie, gdyż podważał sens obecności Armii Czerwonej na ziemiach polskich oraz obalał

Inicjatywa polska została podjęta w NRF po zmianie rządu w wyniku wrześniowych wyborów ubiegłego roku; po utworzeniu koalicyjnego rządu SPD-FDP nowy kanclerz Republiki Federalnej Willy Brandt w dniu 23 X 1969 wyraził gotowość normalizacji stosunków z PRL. Sprawy tej dotyczyły dwie noty: Republiki Federalnej z dnia 26 XI 1969 oraz Polski, która odpowiedziała 22 XII 1969.

Bezpośrednie rozmowy, rozpoczęte 6 II 1970 r. prowadzone były przez wiceministra Józefa Winiewicza i sekretarza stanu Georga Ferdinanda Duckwitza. Odbłyły się one w sześciu rundach:

I – 9–4 II w Warszawie; rozważono tematy, których mają dotyczyć rozmowy polityczne.

II – 9–11 III w Warszawie: rozpoczęto wymianę poglądów w sprawie podstaw normalizacji wzajemnych stosunków.

III – 22–24 IV w Warszawie; kontynuowano wymianę poglądów na temat normalizacji oraz zasad, na których normalizacja ta będzie oparta.

IV – 7–11 VI w Bonn; zakończenie wstępnej, sondażowej fazy wymiany poglądów, wspólna decyzja rozpoczęcia omawiania i wypracowywania poszczególnych sformułowań projektu porozumienia o podstawach normalizacji.

V – 23–25 VII w Warszawie: rozpoczęcie formułowania poszczególnych postanowień Układu.

VI – 5–7 X w Bonn, kontynuacja prac nad projektem Układu. Ze względu na zaawansowany stan prac i przygotowanie projektu Układu postanowiono, że kierownictwo rozmów przejmą ministrowie spraw zagranicznych obu państw.

Finalny etap rokowań, prowadzonych przez ministra Stefana Jędrychowskiego i ministra Waltera Scheela rozpoczął się w Warszawie 3 listopada i trwał z jednodniową przerwą – do dnia 14 XI 1970 r. Decydujące było ostatnie posiedzenie, rozpoczęte 13 listopada o godz. 22.30, zakończone zaś następnego dnia o godz. 4.45 nad ranem.

19 listopada 1970 r., tuż po godzinie 12.00, w Sali Herbowej pałacyku MSZ przy ul. Foksal w Warszawie, ozdobionej herbami województw polskich, ministrowie S. Jędrychowski i W. Scheel parafowali Układ. Z tej okazji obaj ministrowie złożyli oświadczenia. Min. Jędrychowski stwierdził m.in.: „Układ ten stanowi trwałą podstawę normalizacji wzajemnych stosunków między obu państwami. Zamykając przeszłość, otworzy on nową – jak jestem przekonany – pomyślną i owocną dla obu stron erę stosunków między obu krajami i społeczeństwami. Jednocześnie Układ stanowi wkład obu naszych państw w dzieło umocnienia bezpieczeństwa i pokoju w Europie...”.

jeden z argumentów na rzecz pozostawania Polski w obozie sowieckim. Kwestia ta była w zainteresowaniu Moczulskiego już przed powyższym artykułem w „Stolicy”, gdy analizował nastroje w RFN pod koniec l. 60. podkreślając, że nowe pokolenie Niemców pogodziło się z ytratą ziem na wschodzie (Leszek Moczulski, *Szpony czarnego orła*, Warszawa 1969, s. 232-235). W tej sytuacji jest zrozumiałe, że po podpisaniu układu Moczulski w „Stolicy” opublikował krótki tekst na ten temat (obszerne wywody byłyby niecenzuralne), aby podkreślić wagę tego wydarzenia.

Min. Scheel oświadczył: „Rząd Federalny również uważa Układ... za decydujący krok, który ma umożliwić przezwyciężenie bolesnej przeszłości i rozwój normalnych przyjacielskich stosunków między obu naszymi krajami... Toczyć się jeszcze będzie ostra walka o zaaprobowanie tego Układu przez odpowiednie gremia parlamentarne NRF i przez niemiecką opinię publiczną, uważam to za proces normalny i konieczny dla rzeczywistego pojednania niemiecko-polskiego. Rząd Federalny będzie niewzruszenie kontynuował swą politykę i jestem przeświadczony, że będzie ona mogła znaleźć aprobatę w szerokiej większości naszego narodu”.

W chwili pisania tych słów został opublikowany tekst Układu. W artykule pierwszym Układu obie strony zgodnie stwierdzają, że istniejąca linia graniczna określona w rozdziale IX Układu Poczdamskiego stanowi zachodnią granicę Polski: w artykule drugim obie strony wyrzekają się użycia przemocy lub groźby jej zastosowania we wzajemnych stosunkach.

L. M.

* * *

PETERSBURG – PIOTROGRÓD – LENINGRAD²³⁵

Gdy wyjeżdżałem z Warszawy, wieczorem w Alejach Ujazdowskich wszystkie ławki obiadły przytulone do siebie pary; dzisiaj w Leningradzie patrzę, jak Newą płynie gęsta kra. 8 stopni geograficznych na północ, w naszych szerokościach to już się liczy. Zimno. Idę wzdłuż brzegu rzeki, pod prąd, na wschód. Zostawiam za sobą Pałac Zimowy, dochodzę aż do Ogrodu Letniego. Po drugiej stronie Newy twierdza Pietropawłowska, a później, przy wyniosłych, białych nowych domach, przycumowany krążownik Aurora. Ta panorama drugiego brzegu rzeki w jakimś wielkim skrócie zamyka dzieje tego miasta. Twierdzę Pietropawłowską skończono budować 27 maja 1703 roku – i data ta uważana jest za początek historii miasta, które założył Piotr I i nazwał ku własnej czci Sankt-Petersburgiem. Na krótko, z początkiem pierwszej wojny światowej, nazwę zmieniono na Piotrogród – i to właśnie w Piotrogradzie salwa z krążownika Aurora, jedyne okrętu, który ocalał w kłęsce pod Cuszimą, rozpoczęła 7 listopada 1917 r. Rewolucję Październikową. Wreszcie w styczniu 1924 r., tuż po śmierci wodza tej rewolucji Włodzimierza Lenina, miasto dostało swe dzisiejsze imię. Trzy nazwy – i jak różny mamy do nich stosunek!

²³⁵ „Stolica” z 1974 r., nr 45. To prawdziwa perełka, złożona z niedopowiedzeń, sugestii, półsłówek i aluzji. Autor cały czas podkreśla swój dystans do Rosji, odwołuje się do krwawych, antypolskich epizodów z jej historii, przemycia krótki opis szturmu na Pałac Zimowy (krótka walka, a siedziba rządu tymczasowego bronił tylko batalion kobiety – obraz daleki od tego, który serwowała oficjalna propaganda). No i na zakończenie – udany rosyjsko-polski zamach na cara (tego, który utopił we krwi Powstanie Styczniowe).

Krażę po mieście. Pomniki. Słynny „Jeździec miedziany”. Koń wspina się na kamiennej bryle, zaś na niej prosty napis: PETRO primo – CATHARINA secunda – MDCULXXXII. A więc pomnik ten wzniesiono dziesięć lat po pierwszym rozbiórze. Pomnik Piotra wznosi się na placu, dziś noszącym imię Dekabrystów. To oni właśnie po śmierci Aleksandra I wystąpili przeciwko Mikołajowi I, późniejszemu dławicielowi Powstania Listopadowego, płacąc za to życiem lub katogą. Przechodzę obok soboru Issakijewskiego, monumentalnego swą połączoną kopułą. Zaraz za nim pomnik Mikołaja I. A jeszcze dalej dość surowy, klasycystyczny budynek. Przysmykam oczy, żeby zobaczyć kłębiący się przed nim tłum, marynarzy w pasiastych koszulkach, zbuntowanych żołnierzy w rozpiętych koszulach, z długimi bagnetami na karabinach, robotników z zakładów putiłowskich i inteligentów w *pince-nez* w cienkiej, drucianej oprawie. To właśnie tutaj, w owym roku 1917 mieściła się Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. To właśnie tutaj, 27 marca 1917 (14 marca starego stylu) uchwalono rezolucję zatytułowaną „Priwiet polskomu narodu”. Głosiła ona: „Carat, który w ciągu półtora wieku dławił zarówno naród polski jak i rosyjski, został obalony wspólnymi siłami proletariatu i wojska. Zawiadamiając Naród Polski o zwycięstwie wolności nad ogólnorosyjskim żandarmem, Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich oświadcza, że demokracja w Rosji stoi na stanowisku uznania samookreślenia politycznego narodu i oznajmia, że Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowo-międzynarodowym. Przesyłamy Narodowi Polskiemu swe bratnie pozdrowienia i życzymy mu powodzenia w oczekującej go walce o wprowadzenie w niepodległej Polsce demokratycznego republikańskiego ustroju”.

Wracam znów w kierunku Newy i inne nadchodzą skojarzenia. Skręcam w bok z Newskiego Prospektu, zostawiając po lewej dom, który jest wierną, choć zmniejszoną kopią weneckiego Pałacu Dożów. Wchodzę w jakiś szeroki zaułek. Wokół wysokie, od frontu zapewne monumentalne domy, ale stąd, od tyłu, wszystko wygląda trochę jak jakaś gigantyczna teatralna dekoracja oglądana od strony kulis. Zaułek zagina się, przechodzi przez wysoką, zamkniętą łukiem bramę w jakimś wielkim domu. Idę tam – i już jestem na placu Pałacowym. Przede mną bogaty fronton Pałacu Zimowego. Na środku placu olbrzymia kolumna wykuta z jednej bryły granitu, wagi 600 ton, zwieńczona figurą anioła zwycięstwa dłuta Orłowskiego; to kolumna aleksandrowska, postawiona przez Aleksandra I w 1814 roku, na cześć zwycięstwa nad Napoleonem. Od strony zachodniej widać gmach Admiralicji, ozdobiony złotą iglicą wysoką na 72,5 metra. Z tyłu – budynek dawnego Sztabu Generalnego, dwa skrzydła połączone łukiem Triumfalnym z rzeźbą Rydwan Sławy, projektu Piementowa i Demut-Malinowskiego. Ten plac jest jednym z najpiękniejszych założeń urbanistyczno-architektonicznych Europy, można o tym przeczytać w każdym *baedekerze*²³⁶. Patrząc teraz od frontu na

²³⁶ Niemieckie wydawnictwo Karla Baedekera wydawało popularne przewodniki turystyczne i dlatego nazwa „bedekar” stała się synonimem przewodnika turystycznego w ogóle.

Łuk Triumfalny, pod którym wszedłem na ten plac, przypominam sobie relację pamiętnikarza; opis maszerujących kolumn gwardii, z chrzęstem broni, stukotem kopyt końskich, turkotem armatnich kół wkraczających na plac, aby spoglądającemu z okna Pałacu Zimowego carowi Mikołajowi I oddać ostatni hołd przed ruszeniem na ogarniętą Powstaniem Listopadowym Warszawę. I inne przypomnienie, nieco późniejsze w czasie: Aleksander Puszkina, czytający dźwięczne jak spiż strofy wiersza „Borodino”. I zupełnie inne, z dnia 9 stycznia 1905 r.: robotnicy petersburscy wielotysięcznym pochodem udają się pod Pałac Zimowy, czworoboki wojska gęstymi salwami strzelające prosto w tłum, szarża kawalergardów, krew i krzyk. I jeszcze inne: „Wydano nam karabiny i naboje i wyruszyliśmy na miasto (wspomina Jan Rabus). Około godziny 21 obsadziliśmy przyczółki mostu Wasyla Ostrowskiego na Newie. W godzinę później dołączyły do nas dwa plutony pułku keksholmskiego. Około godziny 23.00 ukazały się na Newie przytłumione światła, które od strony Bałtyku przybliżyły się do mostu. Most został podniesiony i okręty przeszły. Były to cztery torpedowce, wśród nich krążownik Aurora. Nastąpił moment wyczekiwania. Prowadzono pertraktację z rządem Kiereńskiego. Po godzinie pierwszej w nocy ukazał się sygnał rakietowy z twierdzy Pietropawłowskiej. Okrążanie Pałacu Zimowego zaczęło się zacieśniać. Przeszliśmy przez Park Aleksandrowski i zajęliśmy ulicę przylegającą do placu koło Pałacu Zimowego. Na placu były ustawione sterty opałowego drewna. Za tym drewnem ukryty był szturmowy oddział kobiecy. Ponieważ oddział ten na nasze żądanie odmówił złożenia broni, a nawet zaczął strzelać w naszym kierunku, daliśmy salwę w stertę drewna. Kobiety wywiesiły białą flagę. Skapitulowały i wycofały się. Podeszliśmy pod mur otaczający Pałac Zimowy. Na murze była ustawiona masywna żelazna krata. Po prawej stronie oddział keksholmowców, po lewej marynarze, nasz oddział trzymał się bliżej keksholmowców. Do Pałacu przedostało się kilkunastu żołnierzy, lecz natknęli się na silny ogień karabinu maszynowego i zmuszeni zostali wycofać się. W tym momencie powietrzem wstrząsnęła salwa z krążownika Aurora. Po paru minutach biała flaga z Pałacu Zimowego i cisza dowodziły, że tak załoga Pałacu, jaki i sam rząd poddali się rewolucji”. Jakże skąpa i lapidarna jest relacja polskiego robotnika o wydarzeniu, które tak bardzo wpłynęło na losy świata!

Teraz zmieniam punkt obserwacji, wchodzę do Pałacu Zimowego. Sala, w której rząd tymczasowy Kiereńskiego zapowiadał buńczucznie, że nie podda się nigdy – i skapitulował natychmiast, gdy od salwy Aurory wyleciało kilka szyb w oknach. Inna sala, w niej naturalnej wielkości figura Piotra I, twarz wedle zdjętej z cara maski gipsowej, postać ubrana w zielonkawy mundur, w którym car chadzał przed śmiercią. Jeszcze inna sala, ze ścianami i sufitem wyłożonymi niesłychanie ozdobną ornamentacją z czystego złota: „Jest tutaj tego 350 kilogramów” – z uśmiechem mówi przewodniczka. I dodaje: „To był salon carycy”. Przez okna Pałacu widok na twierdzę Pietropawłowską; pierwszym więźniem w tym kiedyś więzieniu stanu był – i zmarł tutaj – syn Piotra I. Ostatnich więźniów – Rosjan, Polaków – uwolniła w 1917 r. rewolucja.

Daleko, za zakolem Newy, w obszernym parku, niezbyt wielki klasycystyczny budynek o żółtych ścianach, z białymi kolumnami. To Instytut Smolny. Tutaj mieścił się sztab rewolucji, pracowała Rada Komisarzy Ludowych. To właśnie Rada Komisarzy Ludowych, obradująca pod przewodnictwem Włodzimierza Lenina, 29 sierpnia 1918 r. wydała dekret, który stwierdzał: „Unieważnia się i uważa za niebyłe wszystkie traktaty, które rząd carski zawarł z cesarstwem Austrii i Królestwem Prus w sprawie rozbiorów Polski”. Akt ten przekreślił za jednym zamachem wszystkie rozbiory naszego kraju, pozbawił je jakiegokolwiek mocy, stwierdził że po prostu nie istnieją.

Wracam do centrum. Chłodny, deszczowy wieczór. Krążę uliczkami o dziewiętnastowiecznej zabudowie, najpierw gdzieś przy rzeczce Fontance, później w okolicy Bolszoi Prospekt. Tutaj nie ma wielkich perspektyw urbanistycznych, rzędy czteropiętrowych kamienic, słysząc jak blaszanymi rynnami ścieka woda, światła w oknach jarzą się jakoś żółto. Deszcz przechodzi, zastępuje go mgła, tłumiąca blask latarni. Patrzę na te domy, jakbym czytał Dostojewskiego, cały ich klimat on umiał oddać najlepiej.

Ten spacer po zimnym, deszczowym, wieczornym mieście jest jakby wędrówką po historii. Petersburg, dumna stolica carów Piotrogród, miasto rewolucji. Leningrad, druga stolica Kraju Rad. To samo miasto, a jakże inne skojarzenia budzą te różne nazwy. Uznoszę sobie nagle, że to miasto nad Newą ma coś wspólnego z Warszawą. Nie tylko klasycystyczna architektura, przywodząca na pamięć, choć młodsza, nasz Nowy Świat. To miasto, podobnie jak moje miasto, w historii było miastem buntu. Myślę o tłumach, do których strzelały carskie rotty przed Zamkiem Królewskim w Warszawie i przed Pałacem Zimowym, tutaj, nad Newą.

I jestem, gdzie chciałem dotrzeć. Wąski kanał, nad nim w wieczornym mroku wznosi się piękna cerkiew o kręconych kopułach, jakby były uformowane z jakiejś masy. Z wszystkich leningradzkich soborów ten podoba mi się najbardziej. Teraz stoi cichy, jakby opuszczony, martwy. Zmrok gęstnieje, zacierają kontury. Przez cały dzień, gdy chodziłem z miejsca na miejsce, z których każde zapisało się także w naszej historii, szarpały mną sprzeczne uczucia. Teraz oglądam sobór, który postawiono 90 lat temu, na miejscu, gdzie bomba rzucona przez rosyjskich i polskich rewolucjonistów rozerwała cara Aleksandra. Tego samego, który tak twardo oświadczył w Warszawie: „Dość marzeń, panowie, dość marzeń!” – A jednak ci, którzy marzą, mają rację.

Leszek Moczulski